

# White Stephen

## Zaślepieni

Z angielskiego przełożył Andrzej Leszczyński  
Tytuł oryginału BLINDED

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żyjących czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Świat Książki Warszawa 2010

Dla Kate Miciak, za twoją intuicję i przyjaźń  
Każda miłość jest taka sama jak poprzednia, tylko gorzej ubrana  
- Dorothy Parker

### PROLOG

Sam

Każdy gliniarz dobrze zna smaki i zapachy, które atakują zmysły, gdy przejawy zła wchodzą w kolizję z jego wrażliwością. To widok niemowlęcia w kołysce w wypełnionym dymem marihuany pomieszczeniu. To zdumienie malujące się na pomarszczonej twarzy staruszki chwilę po ucieczce złodzieja z jej torebką. To ciężarna kobieta wykrwawiająca się na śmierć na podłodze swojego domu.

Byłem gliniarzem od bardzo dawna. I świetnie znałem te zapachy. Jak również smaki. Naprawdę.

Może to zabrzmiało jak czcza przechwałka, ale wierzyłem także, że zdarzają się dni, kiedy jestem w stanie poczuć zapach iskry, zanim wzniesie płomień, i smak trucizny, nim się znajdzie na moich wargach. W takie dni byłbym gotów stać twardo między wrażliwością a złem. W takie dni potrafiłbym oddzielić jedno od drugiego.

Co takiego jest w śpiącej kobiecie? A w każdym razie w kobiecie, która nie jest twoją żoną od nie wiadomo ilu lat?

Bo przy mnie właśnie spała kobieta, dzieliło ją ode mnie nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. Zapach perfum drażnił mi nozdrza, a ciepło bijące od jej ciała odczuwałem, jak mi się zdawało, nawet przez ubranie. To prawda, że zwracałem uwagę na setki rzeczy, które powinienem był ignorować. Jak choćby intymność kryjąca się w jej oddechu. Nerwowość ruchów gałek ocznych pod zamkniętymi powiekami. Moc ukrytą w rytmicznym unoszeniu się i opadaniu piersi. Bezbronność lekko rozchylonych nóg. To wszystko bardzo mnie rozpraszało.

Czy miałem poczucie winy? Może trochę. Ale nie za dużo. Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę to, co już się wydarzyło.

Niemniej powinienem był patrzeć w inną stronę, na przykład za okno. Powinienem był uważnie wypatrywać oznak nieuchronnej kolizji wieszczącej pojawienie się zła - bo świetnie wiedziałem, że ono musi się zjawić. Byłem tego pewien. Niemalże czułem jego charakterystyczny posmak w głębi gardła, po lewej stronie, na wprost miejsca, z którego rozkojarzony chirurg niepotrzebnie usunął mi kiedyś ząb mądrości.

Pozwoliłem sobie po raz ostatni wciągnąć głęboko w nozdrza zapachy wrażliwości leżącej obok istoty, jakbym zaciągał się dymem z papierosa, po czym skierowałem całą uwagę na

zewnątrz. Czyżbym coś przeoczył? Chyba nie, nic na to nie wskazywało. Jednak za ledwie uchylilem okno, natychmiast wyczułem wrażliwość wiszącą nawet tam, w powietrzu. Tyle że za oknem musiała iść w zawody z cudownym aromatem indyka piekącego się na Święto Dziękczynienia.

Odniosłem nawet wrażenie, że świetnie to znam - olbrzymie, wypatroszone, ważące z dziesięć kilo ptaszysko, z typowo amerykańskim farszem, jaki przyrządzała moja mama.

A więc wrażliwość była zarówno w pokoju, jak i na zewnątrz.

Gdzie zatem kryło się zło?

Gdzie?

Smak pieczeni odbierałem tak sugestywnie, jakbym miał już jej pełne usta, ale zarazem czułem wyraźnie zapach perfum kobiety śpiącej z głową opartą na mojej piersi. I oprócz tego na końcu języka wyczuwałem słaby posmak zbliżającego się zła.

Kobieta cicho jęknęła przez sen.

Zawtórowałem jej w głębi ducha.

Alan

Poniedziałek rano, dziewiąta piętnaście. Mój drugi pacjent tego dnia.

Gibbs Storey niewiele się zmieniła przez te dziesięć lat od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni. Jeśli już, to jeszcze bardziej zbliżyła się do ideału kobiecej budowy, za jaki ją uważałem w połowie lat dziewięćdziesiątych. Pewnie dzięki jodze, może również ćwiczeniom pilates. Jej nieskazitelna cera nie stała się nagle upstrzona trądzikiem czy zeszpecona przez łuszczycę, policzki nie obwisły jak u staruchy. Blond włosy miała krótsze, ale tak samo połyskliwe, a oczy wciąż zachwycaly błękitem, który doskonale pamiętałem.

Brak choćby najdrobniejszych zmarszczek skierował na chwilę moje myśli w stronę najnowszych osiągnięć w stosowaniu botoksu, lecz szybko doszedłem do wniosku, że jej wspaniała skóra zapewne nigdy nie będzie przejawiała żadnych oznak starzenia. Gibbs musiała być nosicielką jakiegoś cudownego genu uodporniającego ją na takie przejawy. I jak zawsze roztaczała wokół siebie atmosferę piękności. Nie mówiąc już o aurze popularności. I ledwie uchwytniej aurze nieprzeciętnego wdzięku.

Brakowało mi tylko atmosfery statecznej żony i matki.

Poznałem Gibbs i jej męża Sterlinga, kiedy zgłosili się do mojej współpracownicy w przychodni psychologicznej, Diane Estevez, na terapię z powodu narastających konfliktów małżeńskich. Razem z Diane oceniliśmy sytuację podobnie - uznaliśmy to za klasyczny, wręcz anachroniczny przypadek rozstroju małżeńskiego wymagający jednoczesnej rozmowy z pacjentami pary terapeutów, ale najwyżej przez trzy sesje. Jak na ironię, zwłaszcza z powodu obowiązujących stawek za spotkania psychoterapeutyczne i ograniczeń formalnych nie byliśmy w stanie poprowadzić z Diane tej sprawy po zakończeniu trzeciej sesji podstawowej.

Po tym, jak zerwali z nami kontakty i wyjechali z Boulder - „Doktorze Gregory, Sterling dostał pracę w Los Angeles, na której tak mu zależało! Czy to nie cudowne?!”, obwieściła radośnie Gibbs w poczcie głosowej, w której zarazem dziękowała za udzieloną im pomoc - ani ja, ani Diane nie mieliśmy o nich żadnych wiadomości. Dopiero teraz Gibbs niespodziewanie zadzwoniła z informacją o swoim powrocie i zapytała, czy nie zechciałbym jej przyjąć indywidualnie.

Ową telefoniczną prośbę o indywidualne spotkanie odebrałem przed dziesięcioma dniami, w piątek. Nie odpowiadał jej żaden z kilku wolnych terminów, jakie zostały mi w minionym tygodniu, toteż umówiliśmy się na poniedziałkowy rano. Ani jednym słowem nie zaprotestowała przeciwko tak odległemu terminowi wizyty.

Ja natomiast miałem wystarczająco dużo czasu, żeby wyciągnąć z magazynu starych spraw teczkę państwa Storey i zapoznać się z własnymi skromnymi notatkami z tamtych spotkań.

Parę kartek z uwagami z rozmów wstępnych i oceną postępów sesji pozostało bez wpływu na moje żywe wspomnienia, nie odmieniło także przeświadczenia, że wraz z Diane nie zdołaliśmy specjalnie pomóc ani Gibbs, ani Sterlingowi.

Terapia związków małżeńskich znacznie się różni od indywidualnej terapii dwojga ludzi. To zupełnie inna para kaloszy, bardziej zbliżona do terapii grupowej. Terapia związków małżeńskich nie podlega prawom arytmetyki albo powielania, wszelkie problemy zdają się piętrzyć zgodnie z przebiegiem funkcji logarytmicznej. Opór terapeutyczny w pracy z parami małżeńskimi, zwłaszcza w czasie wspólnych sesji, w niczym nie przypomina dobrze znanego kontredansa terapeuty z pacjentem. Więzy tworzące się między poszczególnymi klientami a każdym z pary terapeutów noszą piętno głęboko zakorzenionej rutyny istniejącej między małżonkami. Każdy pacjent, niczym wytrawny tancerz na sali balowej, jest w stanie przewidzieć ze znacznym wyprzedzeniem kroki swojego współmałżonka. Ona zawsze przyjmuje postawę obronną, gdy on staje się agresywny, on zaś reaguje skrajną niechęcią, ilekroć ona wpada w zachwyty.

Terapeuci zajmujący się parami małżeńskimi muszą dobrze poznać reakcje swoich pacjentów, zanim będą w stanie maksymalnie im pomóc.

Moje wspomnienia ze wspólnej terapii Storeyów ograniczały się do świadomości, że wraz z Diane ledwie zaczęliśmy rozpoznawać u naszych pacjentów kroki ich intymnego tanga, gdy przerwali terapię i przenieśli się do Kalifornii.

Pierwsza wspólna sesja była typowym przykładem rozmowy wstępnej pod tytułem: „Co was skłoniło do szukania specjalistycznej pomocy?” a hasłem dnia stało się „porozumienie” mające na celu odnowienie i pogłębienie związku, co oboje uznali za podstawowy cel wizyty w naszej przychodni. Oboje małżonkowie podkreślali, że potrzebna im fachowa pomoc w znalezieniu wydajniejszych metod porozumienia z życiowym partnerem. Przypomniałem sobie, że on był chyba trochę mniej przekonany co do owej motywacji.

Z początku ani ja, ani Diane nie wierzyliśmy ich wyznaniom. Co prawda, nie dopuszczaliśmy do siebie możliwości, że specjalnie nas okłamują - w każdym razie ja nie brałem tego pod uwagę, bo nigdy nie byłem całkowicie przekonany co do stanowiska Diane - a raczej tylko oczekiwaliśmy, że zmierzą się z szokującym odkryciem, iż nawzajem się okłamywali co do prawdziwego powodu wizyty w naszym gabinecie. „Problemy z porozumieniem” były bowiem społecznie akceptowalną przyczyną podjęcia terapii, a więc taką, o której już można było powiedzieć znajomym i przyjaciom.

Tyle że oboje z Diane nie byliśmy wówczas przekonani, że Storeyowie przyszli do nas właśnie z tego powodu.

- "Witam, doktorze Gregory - powiedziała Gibbs, usadowiwszy się w fotelu w moim gabinecie, by rozpocząć pierwsze indywidualne spotkanie. Nie było to zbyt radosne powitanie, bo i nie miała się chyba z czego cieszyć. - Kopę lat - dodała po chwili.

Włosy miała zebrane z tyłu głowy w koński ogon. Uśmiechnęła się przy tym tak rozbijająco, że omal nie przegapiłem, jak wspaniale nadal wygląda.

Od niechcenia skinąłem głową. Moje teatralne rozdziawienie ust można było mierzyć najwyżej w milimetrach.

- Na pewno zastanawia się pan, co mnie tu sprowadza.

Odpowiedziałem jej następnym, ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Gdyby psychoterapeutom płacono od słowa, szybko zostałbym skrajnym nędzarzem. Niemniej Gibbs miała rację, rzeczywiście się zastanawiałem, co ją do mnie sprowadza po tylu latach.

Podejrzywałem, że wzięła rozwód ze Sterlingiem i wróciła do Boulder, by zacząć tu nowe życie. Większość ludzi po rozwodzie wracała do znanych sobie miejsc. Czyżbym więc miał teraz pełnić rolę jej przewodnika po nowym otoczeniu?

Byłem niemal pewien, że właśnie o to chodzi.

- Pamięta pan Sterlinga? Mojego męża?

Męża? A więc jednak się pomyliłem. Storeyowie żyli tylko w separacji, jeszcze się nie rozwiedli.

Postanowiłem się w końcu odezwać, ale jak zwykle w poniedziałek rano nie wydusiłem z siebie nawet jednego całego zdania.

- Tak, oczywiście - wybąkałem.

Gibbs przytknęła palec do warg i pochyliła się nisko nad biurkiem, jakby zamierzała mi wyznać coś strasznego i obawiała się, że jej babcia usłyszy to zza grobu.

- Wydaje mi się, że w Laguna Beach zamordował naszą przyjaciółkę.

No, dobra. Pomyliłem się po raz kolejny.

Poprzedni tydzień.

Uznałem, że nie zniosę dłużej biernego patrzenia, jak ona męczy się z tym przeklętym kołnierzem.

To było po prostu nieludzkie.

Nie cierpiała go. I choć nie powinno to mieć większego znaczenia, po prostu źle w nim wyglądała. Nie tylko wydawał się na niej strasznie duży - a ja naprawdę nie mogłem zrozumieć, dlaczego takie rzeczy muszą być aż tak wielkie - ale w dodatku na swój sposób odcinał jej dostęp do całego świata. Nie byłem pewien, czy to efekt zamierzony, zwłaszcza w ciasnych pomieszczeniach. Raczej nie. Jeśli w ogóle mogła się precyzyjnie przemieszczać w tym kołnierzu przez wąski korytarz, czyniła to z najwyższym trudem i wylaniała się po drugiej stronie z głową nisko spuszczoną ze wstydu. Trudno mi było ocenić, pod jakim względem najbardziej brzydzi się swoim kołnierzem, bo to, że się nim brzydzi, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Jestem psychologiem nie tylko z wykształcenia, ale także z zachowania, dlatego musiałem jej jakoś pomóc żyć z tym kołnierzem. A zdjęcie go nie wchodziło w rachubę.

Musieliśmy przestrzegać pewnych zasad.

Zastanawiałem się, dlaczego nie został zrobiony z tworzywa przezroczystego zamiast mlecznego. Może byłby wtedy mniej uciążliwy. No i bardzo by się przydało przy nim wsteczne lustro. Ale mówiąc poważnie, zachodziłem w głowę, czy nie lepszy byłby stożkowy ogranicznik ruchów, gdyby tylko produkowano je w mniejszych rozmiarach. Denerwowała mnie też konieczność stosowania taśmy samoprzylepnej. Czy na pewno nie można jej było niczym zastąpić?

Najlepsze rozwiązanie przyszło mi do głowy za kwadrans trzecia w nocy z soboty na niedzielę, w mroku wypełniającej dziecięcą sypialnię, kiedy próbowałem usnąć na nowo naszą roczną córeczkę leżącą w kołysce.

Stożkowa osłona na łapę.

Musiałem znaleźć jakiś sposób na skonstruowanie takiej osłony. Gdyby udało mi się czymś w rodzaju parasolki odgrodzić jej pysk od łapy, nie musiałaby nosić wokół szyi tej przeklętej plastikowej kryzy pełniącej dotąd właśnie tę funkcję. Tydzień temu weterynarz usunął jej rakowatą narośl na wierzchu przedniej lewej łapy, a gdy parę dni temu zdjął opatrunek, żeby rana szybciej się zagoiła na powietrzu, naszym najważniejszym zadaniem stało się chronienie Emili przed nieustannym wylizywaniem rany, gdyż najwyraźniej psi instynkt bouviera podpowiadał jej, że ślina jest najlepszym środkiem dezynfekcyjnym na świecie.

Szeroki plastikowy kołnierz skutecznie spełniał swoje zadanie, ale jednocześnie wpędzał naszą suczkę w stan coraz silniejszego przygnębienia. Stożkowata osłona na łapę była oczywistą alternatywą dla kołnierza. Tylko z czego mógłbym ją zrobić?

Zapoznałem z tym pomysłem przyjaciela Sama Purdyego, który wpadł do nas na trasie swojej przedpołudniowej przejażdżki rowerowej. Siedzieliśmy przy kuchennym stole w naszym domu w Spanish Hills. Zarówno witryny wszystkich sklepów w Boul-der przybrane na Święto Dziękczynienia, jak i bezlistne drzewa lasu porastającego dno doliny u stóp Gór

Skalistych świadczyły wyraźnie, że mamy późną jesień, ale nastąpiła późnowiosenna pogoda. Mocno grzejące słońce, bezchmurne niebo i tylko leciutki wiaterek pozwalały wnioskować, że po południu temperatura przekroczy dwadzieścia stopni.

- Wymyśliłem... tak mniej więcej koło czwartej nad ranem..., że najlepiej będzie użyć pianki modelarskiej, by nadać kształt tej osłonie - powiedziałem.

Sam nie odpowiedział. Odniosłem wrażenie, że stara się powstrzymać beknięcie. Zaskakujące było właśnie to, że próbował je pohamować, nie należał bowiem do ludzi, którzy przedkładali jakiegokolwiek normy ponad swoje procesy trawienne.

Dokończyłem rysowanie okręgu o średnicy około dwunastu centymetrów, po czym przystąpiłem do wycinania otworu pośrodku grubej plastikowej podkładki do klęczenia, którą zwędziłem z szopy sąsiada.

- Stożek musi być dość mocny i wytrzymały - dodałem. -Pianka modelarska wydaje się idealna do tego celu.

- Lauren pozwoliła ci pociąć tę podkładkę? - Sam znał mnie na tyle dobrze, że nie miał wątpliwości, iż jakiegokolwiek przedmioty związane z uprawą ziemi nie mogą być moją własnością.

- To nie jej. Wykradłem podkładkę z szopy Adrienne. Ale nawet gdyby należała do Lauren, na pewno by mi pozwoliła. W końcu wykorzystuję ją do wyższych celów.

Sam był detektywem z komendy policji w Boulder, przejawiałem więc bezgraniczne zaufanie do niego, przynajmniej do tego drobnego przestępstwa jeszcze przed lunchem.

Nasza sąsiadka Adrienne była urologiem, a zarazem właścicielką jednego z największych ogrodów warzywnych w okolicy. Mieliśmy niepisaną umowę, że mogę do woli podkraść z niego wszelakie płody, jeśli tylko w sierpniu przygotuję dla niej z jej pomidorów wystarczający zapas mrożonego przecieru i ziołowego sosu typu salsa. A więc jej pomidory, papryka i bazylija za moją pracę w kuchni. Idealny przykład dobrosąsiedzkiego współżycia. Stąd też doszedłem do wniosku, że plastikowa podkładka wykradziona z szopy na narzędzia jakimś sposobem wliczy się do tego rozrachunku.

Zrobiłem pośrodku otwór o średnicy odpowiadającej grubości łapy bouviera, po czym wyciąłem klin, żeby uformować ścięty stożek pasujący na psią łapę. Powstały ochraniacz miał w przybliżeniu średnicę płyty DVD, ale z dużym otworem pośrodku bardziej przypominał starą winylową płytkę na 45 obrotów.

- Adrienne jest w domu? - zapytał Sam.

Byłem tak pochłonięty sporządzaniem nowego przyrządu weterynaryjnego, że prawie nie zwróciłem uwagi, jak kurczowo przyciska rękę do brzucha. Prawie.

- Czemu pytasz?

Adrienne była bardzo dobrą sąsiadką, mieszkała z synem w dużym domu po przeciwnej stronie gruntowej drogi. Była też naszą serdeczną przyjaciółką, lecz według mnie głównym powodem tego pytania był fakt, że była też znanym urologiem i że kiedyś usuwała Samowi kamienie nerkowe.

- Nic takiego - mruknął. - Z czystej ciekawości.

Zacząłem rozkładać na stole paski sztywnego cienkiego plastiku, które znalazłem w szafce Lauren. Moja żona nieszczerze interesowała się drobnymi domowymi naprawami, chyba satysfakcjonowało ją wyłącznie powiększanie zapasów różnych rzeczy w szafce. Był tam między innymi słoiczek kleju do drewna, który chyba pamiętał jeszcze czasy Jimmiego Cartera.

Paski plastiku miały mniej więcej pięć na dziesięć centymetrów. Chcąc stworzyć parasolowatą osłonę, musiałbym ułożyć z nich wycinek koła zajmujący jakieś 270 stopni, co było po prostu niewykonalne. Zacząłem je więc przycinać kuchennymi nożycami, tworząc w przybliżeniu wycinek regularnego oś-miokąta.

Sam odwrócił głowę. Zadarł ją do góry, potem obrócił na lewo, na prawo, wreszcie odchylił do tyłu. Rękę znowu przycisnął do brzucha.

- Na pewno pytasz z czystej ciekawości? - zapytałem.

- Coś mi się zdaje, że wyhodowałem sobie następny cholerny kamień.

Usiłowałem zachować pełny spokój, skleijając taśmą samoprzylepną paski ułożone na planie ośmiokąta, ale z coraz większym niepokojem obserwowałem Sama. Zawsze podenerwowany, cierpiał na chroniczną nadwagę, całkowicie lekceważąc dietę, jaką Adrienne zaleciła mu po usunięciu pierwszego kamienia, a jego wysiłek fizyczny ograniczał się do sporadycznych przejażdżek rowerowych, na które od czasu do czasu go namawiałem. Krótko mówiąc, był wprost idealnym kandydatem do wyprawy powrotnej rzeką cierpienia niosącą ostre małe kamyki z głębi nerek do piekielnego portu „O, mój Boże!”.

- Przykro mi. Masz takie same objawy jak poprzednio? - zapytałem. Bez większego trudu przychodzi mi zachowanie spokoju, miałem więc nadzieję, że i teraz mój głos nie zdradzi niepokoju.

- Niezupełnie. Ale z drugiej strony bardzo starałem się uwolnić od tamtych cierpień, więc kto wie...

- Staraleś się tylko o nich zapomnieć. Jeśli się bardzo postarasz, niemal o wszystkim zdołasz zapomnieć. Uwolnienie się od cierpienia musiałyby być niezależne od świadomości.

Prychnął z pogardą i pokręcił głową.

- Lepiej zajmij się tą cholerną parasolowatą osłoną i nie obrzucaj mnie swoim psychologicznym bełkotem.

Siląc się na całkiem obojętne i beznamienne brzmienie głosu, zapytałem:

- Czym różnią się te dolegliwości od wcześniejszych?

- Sam nie wiem.

Wstał, ale nie ruszył się z miejsca, tylko znów zadarł głowę i obrócił nią na boki.

- Kark cię boli?

Z jego miny wyczytałem, że tak.

- Musiałem krzywo spać - mruknął.

- Adrienne pojechała już do przychodni. Później razem z Lauren mają zabrać Jonasa i Grace do zoo w Denver. Mogę jednak zadzwonić na jej komórkę. Chcesz, żebym to zrobił?

- Nie. Nic mi nie będzie. Skończyłeś z tą osłoną?

Nadal sklejałem paski plastiku taśmą samoprzylepną, starannie uzupełniając pustą przestrzeń między nimi. Wiedziałem, że najmniejsza szczelina otworzy drogę dla niestrudzonego, wielce wprawnego jęczora Emily.

- Czemu stoisz, Sam?

Ku memu zaskoczeniu szybko usiadł. Zwróciłem uwagę na

kropelki potu, które upstrzyły mu czoło niczym mgłą osiadająca na przedniej szybie samochodu w zimny poranek.

- Kiepsko wyglądasz. Lepiej zrezygnujmy z tej przejażdżki rowerowej. Może być... Sam nie wiem. Pojechał gdzieś? Porozmawiał z lekarzem? Jeśli to rzeczywiście kolejny kamień, chyba musisz przyjąć środki przeciwbólowe. Biorąc pod uwagę, jak bardzo poprzednio cierpiałeś, powinny to być mocniejsze leki.

- Nic mi nie będzie. Jeśli ból za chwilę nie przejdzie, łyknę tabletkę tylenolu albo czegoś podobnego.

„Jasne, tylenol na pewno ci pomoże - pomyślałem. - Tylko przy okazji nie podpal lasu, kiedy się zatrzymasz na sikanie”. Skrzywił się boleśnie i po raz kolejny wykręcił szyję.

- Poczekam, aż założysz psu tę osłonę. Ciekaw jestem, czy spełni swoje zadanie.

Przytwierdzenie parasolki nad lewą łapą Emily okazało się trudniejsze niż zrobienie samej osłony. Nawet się nie sprzeciwiała, jak gdyby kryza na szyi była dla niej tak wielkim upokorzeniem, że zrobiona z wielobarwnego plastiku stożkowata osłona na łapie nie mogła

już bardziej porazić jej psiego zmysłu estetyki. Musiałem użyć jeszcze dwóch plastrów z apteczki do usztywnienia konstrukcji, a następnie okazałej ilości taśmy samoprzylepnej do jej umocowania. Okazała się jednak dość odporna, trzymała kształt i tkwiła tam, gdzie powinna, zasłaniając górną część lewej łapy.

Kazałem Emily wstać.

Nawet się nie ruszyła. Tylko westchnęła.

Zdjąłem przekłętą plastikową kryzę z jej szyi i ponowiłem komendę.

Tym razem się podniosła.

Parasolka skutecznie osłaniała ranę na jej łapie, końce plastikowych pasków wisiały jakies dwa centymetry nad podłogą. Ulegając swoim instynktom, suczka natychmiast pochyliła łeppek, żeby polizać ranę na łapie.

Nie dała rady.

Położyła się i podjęła kolejną próbę.

Także bez rezultatu.

Wstała jeszcze raz, ostrożnie zrobiła parę kroków i porozumiewawczo trąciła nosem naszego drugiego psa, miniaturowego pudła o imieniu Anvil. Ten jednak ani myślał ulegać jej namowom. Zresztą Emily miała zwyczaj dość regularnie przywoływać go do porządku, jakby nie tylko pragnęła okazać swoją wyższość, ale czuła się też w obowiązku narzucania swej woli.

Anvil jak zwykle nie zareagował. Przekonałem się już dawno, że nie uznaje dyscypliny w żadnej postaci.

- Znasz Jonasa? Syna Adrienne? - zapytałem. Sam mruknął gardłowo.

- Malec nie potrafi wymówić Anvil, więc ochrzcił pudła imieniem Midgeto. Moim zdaniem to całkiem do niego pasuje, nie sądzisz?

Sam miał kurczowo zaciśnięte powieki. Najwyraźniej niewiele też słyszał.

Emily skierowała całą swoją uwagę na stożkowatą wielobarwną osłonę na łapie. Zaczęła chodzić w kółko, usiłując się chyba przekonać, czy i ten obcy element będzie musiała tolerować.

Po kilku następnych próbach dosięgnięcia jęzorem rany z różnych stron popatrzyła na mnie, potrząsnęła gwałtownie kudłatym łepkiem i wydała z siebie głęboki gardłowy dźwięk mający chyba wyrażać uznanie. Tylko komuś obcemu mógłby się kojarzyć z groźnym warknięciem. Ja jednak znałem trochę język bouvierów i dobrze wiedziałem, co on oznacza.

Raczej rzadko się zdarzało, żeby przedstawiciele dwóch odmiennych gatunków byli tak zgodni co do efektów jakiegoś działania. Mnie nowa osłona bardzo się podobała. I najwyraźniej nie mniej podobała się Emily.

Opinię Sama na temat sporządzonej przeze mnie parasolki było mi zdecydowanie trudniej określić.

Kiedy odwróciłem się do niego, by powiedzieć, jak się cieszę ze swojego pomysłu, uświadomiłem sobie nagle, że dopadł go zawał serca.

Nie chcąc go niepotrzebnie niepokoić moją amatorską diagnozą, przeprosiłem i poszedłem, a raczej pobiegłem do telefonu i zadzwoniłem po karetkę. Kiedy wróciłem do kuchni, Sam bąknął:

- Zdaje się, że już mi lepiej.

Podaliśmy mu całą garść tabletek aspiryny.

- Rozgryź je, a potem się połóż na kanapie w salonie.

- Co to jest?

- Przynajmniej raz nie próbuj się ze mną spierać. Wrzucił tabletki do ust, rozgryzł je i powoli ruszył za mną

na krótką wyprawę od stołu kuchennego do kanapy. Dłoń, którą wcześniej przyciskał do brzucha, teraz trzymał na wysokości mostka.

- Jak cię znam, to zadzwoniłeś po karetkę, prawda? Przemknęło mi przez myśl, że lepiej byłoby skłamać. Ale nie byłem do tego zdolny. Skinąłem głową.

Anvil-Midgeto tuż za nim wskoczył na kanapę, powąchał koszulę pod pachą Sama, po czym wyciągnął się przy nim na wysokości brzucha. Można było odnieść wrażenie, że psi instynkt nakazał mu wziąć na siebie rolę poduszki elektrycznej.

Emily oparła pysk na udzie Sama.

Ten w zamyśleniu pogłaskał psy po łepkach i mruknął:

- Masz bardzo dobre psy.

Rzadko się ze sobą zgadzamy, ale to nie podlegało dyskusji.

- Naprawdę myślisz, że to zawał?

- Nie wiem. Obawiam się jednak, że tak.

- Nie chcę umierać, Alan.

Co do tego też byliśmy zgodni, bo i ja nie chciałem, żeby umarł.

„Wydaje mi się, że w Laguna Beach zamordował naszą przyjaciółkę”.

Wpatrywałem się uważnie w Gibbs. Już od dawna nie słyszałem podczas sesji terapeutycznych równie prowokacyjnego stwierdzenia, ale zarazem borykałem się z myślami o Samie.

Niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej karetka zabrała go do szpitala Avista, znajdującego się bliżej mojego domu, pośród wzgórz po wschodniej stronie doliny Boulder, zamiast do szpitala miejskiego położonego zaledwie kilka przecznic od jego domu w cieniu Gór Skalistych po zachodniej stronie miasta. Kardiolog, który badał go w izbie przyjęć i zaaplikował mu jakiś zastrzyk ze środkiem nasercowym, dokładnie na tę samą godzinę w poniedziałkowy ranek, kiedy byłem umówiony z Gibbs Storey, zarządził badanie angiograficzne. Zatem kiedy ona wyznała mi, że podejrzewa swojego męża o popełnienie morderstwa, Sam prawdopodobnie miał już rozciętą pachwinę, z której długi próbnik musiał przedostać się żyłą aż do serca.

Jak on, doświadczony detektyw z wydziału zabójstw, zareagowałby na oświadczenie kobiety, gdyby siedział tu teraz naprzeciwko niej? Nie miałem pojęcia. Gdyby istniał jakiś sposób na włączenie go do tej sesji, wykorzystałbym to bez wahania.

Ja natomiast w odpowiedzi na oskarżenie Gibbs mógłbym syknąć: „Jasna cholera!”. Ale nie zrobiłem tego.

Albo też powiedzieć: „Wcale mnie to nie dziwi”, bo taka była prawda. No, może nie do końca. Sterling Storey, choć nie tak uroczy jak jego żona, również potrafił urzekać.

Podejrzewałem go zresztą o despotyzm. A ściślej rzecz biorąc o to, że zastrasza ludzi wokół siebie. Dobrze pamiętałem, jak się zachowywał podczas naszych wcześniejszych wspólnych sesji terapeutycznych.

Kiedy w końcu złapałem oddech, skarciłem sam siebie, bo to, że dziesięć lat temu obrzucił swoją żonę kilkoma niewybrednymi epitetami, nie oznacza wcale, iż byłby zdolny do zabójstwa.

Ale jednocześnie w mej pamięci odżyło jego przenikliwe spojrzenie. Już samo to, że nadal o nim pamiętałem, było bardzo istotne. Co więcej, byłem prawie pewien, że zwróciłem na nie uwagę w czasie drugiej z naszych trzech sesji. Gibbs powiedziała wtedy coś o... Boże, za nic nie mogłem sobie przypomnieć, co powiedziała, za to świetnie pamiętałem, jakby zdarzyło się to wczoraj, że Sterling położył jej dłoń na kolanie, by przyciągnąć uwagę, po czym przeszył ją niesamowicie lodowatym i groźnym spojrzeniem.

Gibbs natychmiast umilkła i cofnęła się nieco niczym karny pies słyszący komendę „siad”.

A po chwili zmieniła temat.

O czym wtedy rozmawialiśmy?

Nie, nie mogłem sobie przypomnieć.



W odpowiedzi na oskarżenie skierowane pod adresem męża mogłem się zdziwić: „Dlaczego mi o tym mówisz? Czemu nie zgłosiłaś tego na policji?”. Wiedziałem jednak, że miała ku temu ważne powody. Może nie aż tak ważne, by zwały mnie z nóg, lecz na tyle istotne, że mogły mi zdradzić kilka ważnych prawd o siedzącej przede mną kobiecie.

Postanowiłem zyskać na czasie. Założyłem nogę na nogę i zapytałem:

- Dlaczego nie mówi mi pani wprost o tym, co ją niepokoi?

Mimo ujawnienia swoich podejrzeń dotyczących męża była tak samo opanowana, jak wcześniej. Stopy w modnych pantofelkach nadal trzymała równiutko tuż obok siebie, a kolana o idealnie gładkiej skórze miała złączone tak, jakby zamierzała nie wypuścić pomiędzy nich niewidocznej kartki papieru. Szeroka w ramionach na tyle, żeby zachwycić nawet sierżanta musztry komandosów, siedziała prościutko, niemal wyprężona, przypominając maszt flagowy w koszarach. Dłonie oparła na kolanach tak, jakby pozowała do fotografii reklamującej pierścionek zaręczynowy z wielokaratowym brylantem.

- Nie mam nawet pojęcia, jak to powiedzieć. - Uniosła te przepiękne dłonie i złączyła je jak do modlitwy, tyle że z czubkami palców skierowanymi do mnie, a nie do nieba. -W Kalifornii, w Laguna Beach, zaprzyjaźniliśmy się z Louise. Tyle że... nie chodzi tylko o nią. Nie tylko Louise?

- Mówi pani o kobiecie, która została zamordowana?

- Tak, w roku dziewięćdziesiątym siódmym. Mieszkaliśmy wtedy w Corona Del Mar. Louise zginęła w swoim mieszkaniu w Crescent Bay w Święto Dziękczynienia. W każdym razie blisko święta. Skończyliśmy właśnie urządzać nasz nowy dom. Od samego początku policja była przeświadczona, że zabójca nie był blisko związany z ofiarą, że raczej znał ją tylko... no, wie pan... przelotnie, lecz nie była to żadna zażyłość. Louise nie pochodziła z Kalifornii, była Brytyjką. Ale do dzisiaj nikogo nie aresztowano w tej sprawie.

Skończyli właśnie urządzać nowy dom?

- I, pani zdaniem, Sterling miał z tym coś wspólnego?

- Coś wspólnego? Śmieszne określenie. Moim zdaniem to właśnie Sterling ją zamordował. Zresztą kogo miałabym oszukiwać? Chociaż wciąż nie potrafię w to uwierzyć, jestem prawie pewna, że to zrobił. Łączyło go z nią... coś więcej.

- A więc byli ze sobą związani? Mieli romans?

- Oczywiście.

Tych kilka wypowiedzianych przez nią wcześniej słów kołatało mi się pod czaszką niczym ćma uwięziona między dwiema warstwami moskitiery. Powtórzyłem je na głos:

- Gibbs, co pani miała na myśli, mówiąc: „Nie chodzi tylko o Louise”?

- Pewne dziwne przeczucie - odparła. Opowiedz mi o nim, nakazałem w myślach.

- Co miało oznaczać zdanie: „Nie chodzi tylko o Louise”? Co chciała pani przez to powiedzieć?

- Sama nie wiem, dlaczego tak się wyraziłam.

Moje myśli znów powędrowały w inną stronę, ale szybko przywołałem się do porządku. Postanowiłem nie mówić jej, co ja o tym myślę. Dlaczego? Bo po prostu nie wierzyłem w to ostatnie zaprzeczenie. Może i nie miało to większego znaczenia terapeutycznego, ale wydawało mi się szczególnie istotne ze względu na okoliczności.

W końcu rzeczy nieistotne dla przebiegu terapii mogą mieć zasadnicze znaczenie dla osądzenia zabójcy.

Gibbs przygryzła wargi i uśmiechnęła się wstydliwie. Nie mogłem wykluczyć, że próbuje pohamować łyzy cisnące się do oczu, ale biorąc pod uwagę wyraz jej twarzy, wolałem przyjąć, że tylko próbuje się smutno uśmiechnąć.

Pospiesznie uniosła obie dłonie i zasłoniła usta, ale zaraz opuściła ręce na kolana i powiedziała:

- Zna pan Sterlinga, doktorze Gregory. Chodzi mi o to, że on... często bywa porywczy. Tylko czy to możliwe, że wyszłam za mordercę? Może tylko dostaję fioła?

To dwa zupełnie różne pytania, przemknęło mi przez głowę.

Zupełnie różne.

Zanim wymyśliłem odpowiedź, przypomniałem sobie nagle, co takiego Gibbs powiedziała przed dziesięciu laty, a co wywołało pamiętne mordercze spojrzenie Sterlinga.

Seks.

Powiedziała wtedy coś na temat seksu.

Itouise setki razy chodziła do Crescent Bay ścieżkę prowadzącą nad morzem od stojącego na szczycie klifu domu, w którym mieszkała. Nawet tysiące razy. Z zamkniętymi oczyma mogłaby przestępować nad grubymi zwojami wodorostów wyrzuconych na brzeg. Od miejsca, gdzie ścieżka wychodziła na skraj plaży, było zaledwie kilkadziesiąt metrów do nagich skał stanowiących północny kraniec półkolistej zatoczki. Niosąc w ręku swoje buty do joggingu,

pokonywała ten odcinek w ciągu minuty, trzymając się z dala od linii zasięgu fal. Drobnymi i sypkim piaskiem zazwyczaj zdążył wcześniej wypromieniować nagromadzone ciepło słońca, toteż przyjemnie chłodził białe stopy.

Zastanawiała się, co on kombinował.

Miała nadzieję, że będzie to coś z polotem. Nadzwyczaj ceniła u mężczyzn przejawy wyobraźni.

Jak u tego smarkacza z Paryża? Albo u Australijczyka? Nie, ten nie był jeszcze taki zły. Tyle że jego można było oceniać wyłącznie po efektach, a nie po wstępie.

Tęskniła za kimś, kto zatroszczy się również o dobry początek. Ostatecznie w tym meczu nie chodziło tylko o zdobycie gola.

Kiedy ostatni raz patrzyła na zegarek przed wyjściem z mieszkania, było wpół do ósmej. Ale wyszła nie wcześniej niż za kwadrans ósma. Świetnie zdawała sobie sprawę, że jest warta, żeby na nią czekać. Niezależnie od tego, co na dziś zaplanował, była warta jego cierpliwości. Bo w końcu pełniła rolę zwierzyny łownej.

Spojrzała na trzymany w ręku walkman i poprawiła słuchawki w uszach, niecierpliwie wyczekując kolejnej części nagrania. Na samym początku kasyty zapowiedział bowiem: „Nie wyłączaj tego nagrania, niech idzie cały czas. Cisza będzie nieodłączną częścią tajemnicy. Wykonuj moje polecenia. Możesz mi zaufać i robić dokładnie to, co powiem”.

U podnóża skalnego cypla otarła piasek ze stóp i włożyła buty, po czym ruszyła prowadzącą w górę ścieżką ku jeziorom przypiłowym. Najbardziej lubiła to największe, w kształcie wyspy Maui, które o tej porze powinno być już wypełnione przez wody przypiłowu. Miała nadzieję, że między kolejnymi falami - które jej się kojarzyły z oddechami oceanu - dostrzeże jeszcze piękne skupisko jeżowców w południowo-wschodnim krańcu jeziora.

Uwielbiała te niezwykle stworzenia, chociaż właściwie nie umiała powiedzieć dlaczego.

- Idź w kierunku najwyższych jezior. Tylko nie zapalaj latarki. Nie podglądaj. Wtedy niespodzianka będzie przyjemniejsza -

rozległ się w słuchawkach lekko zniekształcony męski głos, który w jednej chwili wywołał jej uśmiech. Miło było znów poczuć jego obecność.

Nawet nie miała przy sobie latarki, bo wcale jej nie potrzebowała w tym terenie; czuła się tu równie pewnie, jak we własnym mieszkaniu, gdy wychodziła w ciągu nocy do toalety. W dodatku noc nie była całkiem ciemna, a nawet gdyby była, znała przecież tutejsze ścieżki nie gorzej od kabiny pasażerskiej boeinga 747. Potrafiłaby krążyć między tymi skałami z zawiązanymi oczyma, niezależnie od poziomu morza. Znała na pamięć cały ten rejon między

Crescent Bay a Emerald Bay. Mogłaby nawet pokonać tę drogę w czasie sztormu, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Nie zatrzymuj się, moja droga. Jeszcze trochę cierpliwości. Wkrótce zostanie ci to wynagrodzone. Naprawdę niedługo - zachęcał ją głos z nagrania. - Zaczynj się teraz rozglądać. Patrz uważnie na wszystkie strony.

W końcu zauważyła koszyk piknikowy, dość stary i podniszczony. Stał wysoko na skalnej półce, niemalże poza jej zasięgiem.

Ściągnęła go z trudem i uniosła pokrywę. Serce zabiło jej mocniej.

Meursault. Uwielbiała to wino. Do tego korniszony. I pasztet. „No cóż - pomyślała - na ten jeden wieczór mogę przestać być wegetarianką”.

Spóźniła się. „Dokąd mógł pójść?”.

Odkorkowała butelkę, nalala sobie lampkę wina, pociągnęła drobny łyceczek, zagryzła korniszonem i zapatrzyła się na odbicia gwiazd w falach coraz wyżej zalewających położone w dole jeziora i coraz bardziej podchodzących pod skalną półkę, na której przycupnęła.

- Cudownie - powiedziała na głos. - Jest naprawdę cudownie.

- To nie jedyna niespodzianka tego wieczoru. Przygotuj się - odpowiedział jej w słuchawkach głos nagrany na kasecie.

- Ale początek jest znakomity - przyznała głośno.

Ostre krawędzie skały nieprzyjemnie wrzynały się w pośladki, toteż uniosła się i kucnęła, zachodząc w głowę, jak, do pioruna, w tych warunkach można zdobyć gola, nie odstrasżając jej na zawsze od podobnych eskapad.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. „Zabawnie będzie się o tym przekonać”.

- Rozepnij bluzkę. I to już!

„Oho. Jak w stanie wyższej konieczności”.

„No, dobra”.

Zacząła rozpinąć kolejne guziki.

- Nie odwracaj się.

Serce waliło jej coraz mocniej. Podniecenie zapierało dech w piersi.

Nie minęła sekunda, jak nagle straciła grunt pod nogami, a coś zimnego i twardego zacisnęło się wokół jej szyi, całkowicie odcinając dostęp powietrza. W jednej chwili zaczęła się dusić. Próbowwała odciągnąć od szyi to coś, co wrzynało jej się w krtań, ale bez skutku.

Chwilę później nawet nie poczuła, jak zamykają się nad nią zimne wody Pacyfiku, gdy poleciała z półki głową w dół prosto w mroczną czeluść.

Pacjenci powracający po dłuższej przerwie w terapii, jak Gibbs Storey, przyjmują za pewnik, że nawet dziesięciolecia nie powinny mieć wpływu na moją pamięć, zwłaszcza w stosunku do faktów dotyczących ich życia. Oczywiście jest to całkiem mylny pogląd. Razem ze Sterlingiem po ostatniej wspólnej sesji wyjechała do Capistrana, Corony, Laguny, Newport Beach czy też jakiegokolwiek innej miejscowości, i w ogóle nie liczyła się z tym, że w minionym dziesięcioleciu musiałem się zapoznać z historiami setek innych pacjentów. Tylu relacji mój mózg nie był w stanie pomieścić. Było ich po prostu za dużo. Zdecydowanie za dużo. Nie należało się dziwić, że w podobnych sytuacjach często myślą mi się fakty, nie pamiętam, kto umarł i w którym roku, kto na co chorował albo kto z kim sypiał.

Dlaczego więc nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów, czytając sporządzone podczas wcześniejszych rozmów notatki?

Bo z założenia niewiele zapisuję. Im bardziej intymne wydają mi się szczegóły danej sprawy, tym mniej chętnie przelewam je na papier. Czemu? Bo zasada poufności obowiązująca w kontaktach lekarza z pacjentem nie przypomina wysokiego muru odgradzającego moją wiedzę o pacjencie od zakusów wymiaru sprawiedliwości. Owa zasada jest rodzajem muru z kilkoma dogodnie rozmieszczonymi, zamkniętymi na klucz furtkami. Ale to sąd, a nie ja,

przetrzymuje klucze od tych furtek. Zatem wszelkie moje notatki mogą któregoś dnia ujrzeć światło dzienne. Niemniej, przez lata prowadzenia prywatnej praktyki nie odkryłem ani jednej przyczyny, dla której powinienem ochotniczo ujawnić opinii publicznej czyjekolwiek osobiste wyznania.

Dlatego też starałem się notować jak najmniej.

Zastałem Diane Estevez w naszej ciasnej kuchence jakąś godzinę po wyjściu Gibbs z mojego gabinetu. Liczyłem na to, że ona skutecznie odświeży moją pamięć w związku z dawnymi wspólnymi sesjami Storeyów. Co prawda, pytając ją o tego typu sprawy, niekiedy podejrzewałem, że zmyśla, niemniej potrafiła gładko i bez zająknięcia relacjonować dawne rozmowy.

- Cześć, Alan. Jak się miewa Sam?

Nie miałem okazji rozmawiać z nią o zawale przyjaciela, lecz nie zdziwiło mnie specjalnie, że o tym wie. Diane wszędzie miała swoich informatorów. Gdyby plotkę można było uznać za współczesną formę sztuki, to ona powinna być odpowiednikiem Picassa naszego pokolenia.

- Dziś rano miał badanie angiograficzne. Będę wiedział coś więcej na ten temat, gdy po południu odwiedzę go w szpitalu.

- Czeką go angioplastyka? By-passy?

- Nic jeszcze nie wiadomo.

- Ale to na pewno był zawał?

- Poziom enzymów wskazuje, że jest jakiś poważny zator tętniczy

- Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

- Oczywiście, choć oboje dobrze wiemy, że będziesz znała ostateczną diagnozę, jeszcze zanim kardiolog ją ogłosi. Nie zgadniesz, z kim rozmawiałem dzisiaj rano.

Diane nasypywała właśnie mieloną kawę do papierowego sączka ekspresu i nagle zastygła bez ruchu, jakby straciła rachubę odmierzanych porcji.

- Nie zgadnę. Z kim?

Doktor Estevez była moją przyjaciółką od czasu, gdy wspólnie ukończyliśmy internę.

Prowadziliśmy niezależne od siebie praktyki, chociaż dzieliliśmy pomieszczenia na parterze będącego również naszą wspólną własnością ponadstuletniego wiktoriańskiego domu przy Walnut Street na obrzeżu śródmieścia Boulder.

- Może jednak spróbujesz?

- Z D.B. Cooperem? Dowcip z brodą.

- Ciepło - odparłem. - Z Gibbs Storey? Spojrzała na mnie.

- Z „Tańczącą Królową”?

Nazywała ją tak od samego początku. Nie wiedziałem, czy można łączyć to przezwisko z tytułem starej piosenki zespołu ABBA, bo nie wyczuwałem w tym aluzji. Wiedziałem jednak, że Diane niezbyt wysoko ceni Gibbs. A ja nigdy nie byłem fanem zespołu ABBA.

Przynajmniej dopóki nie wystąpił na Broadwayu.

Zresztą później też nie.

- Z tą samą.

- Gdzie się z nią widziałeś? Gdzieś na mieście?

- Nie, tutaj, w moim gabinecie.

Postawiła dzbanek z wodą na obrzeżu umywalki i zajrzała mi głęboko w oczy.

- Na sesji terapeutycznej?

- A zajmuję się tutaj czym innym?

- Po co mi to mówisz? - Diane nie należała do osób kłótliwych, choć była do tego całkowicie zdolna. W tym wypadku chciała wiedzieć, dlaczego z taką ochotą zdradziłem przed nią poufne informacje dotyczące mojej pacjentki.

- Ponieważ uzyskałem zgodę na rozmowę z tobą. - Tuż przed końcem sesji rzeczywiście zapytałem Gibbs, czy mogę skonsultować jej przypadek z Diane, na co się zgodziła.

- Coś mi podpowiada, że nie spodoba mi się ta sprawa -rzekła Diane.
  - Chyba słusznie.
  - Ciągle jest z „Mister Platyną”, czy odeszła w końcu od niego? Jeśli nadal z nim jest, nie masz mnie co namawiać, bo za nic się nie zgodzę na wspólne sesje. Na pewno nie z nim. A raczej z nią. Możesz wybić to sobie z głowy. Mówię poważnie.
- Tak samo od początku zaczęła nazywać Sterlinga, „Mister Platyna”. Pod tym względem nie byłem już tak pewien, ale przed dziesięciu laty działałem w przeświadczeniu, że jego także nie za bardzo ceni. Wyczuwałem jednak, że lubi go trochę bardziej niż jego żonę. Do diabła, na Gibbs spoglądała czasami z taką pogardą, jak na kawałek gnijącego sera.
- Nadal z nim jest. Przynajmniej czasowo. Wydaje się jej, że gdyby spróbowała od niego odejść, i ją zaczęłyby co najmniej prześladować.
- Diane obrzuciła mnie spojrzeniem typu „a nie mówiłam?”.
- Każda kobieta po przejściach tak uważa, inaczej Bóg nie musiałby wymyślać schronisk dla kobiet i zakazów zbliżania się do nich. „Tańcząca Królowna” musiałaby dostać niezłego kopa, żeby wreszcie wyrwać się z tego małżeństwa. To przecież oczywiste, że Sterling nigdy nie pozwoli jej odejść.
  - Dlaczego tak uważasz?
  - Ponieważ jest typową lalunią. Zwróciłeś uwagę na jej dłonie? Ma idealnie kształtne smukłe paluszki.
- Trudno mi się było przyznać przed Diane, że faktycznie zwróciłem na to uwagę, toteż odparłem:
- Czy ktoś ci już mówił, że masz zbyt skłonności do sarkazmu?
  - Nie martw się, tego typu tendencje są świetnie rozpuszczalne w kofeinie. Pozwól mi zaparzyć świeżej kawy, a na pewno od razu zrobię się przyjemniejsza. Cieszę się, że tym razem to ty musisz pomagać „Tańczącej Królownie”, a nie ja. Dlatego nawet nie próbuj mnie zwerbować do tego przypadku. Wypisuję się z niego, Alan. Raz na zawsze.
- Diane znacznie lepiej wychodziło udawanie stanowczości niż bycie stanowczą. Mimo najszerszych wysiłków nie potrafiła ukryć, że jej stalowe serce kraje się ze współczucia. Niemniej musiałem jak najszybciej pozyskać ją do sprawy, bo istniała groźba, że nawet siebie zdoła skutecznie przekonać, iż jest nieugiętą suką.
- Gibbs podejrzewa, że Sterling kilka lat temu kogoś zamordował.
  - I ja się czasem wygłupiam, że Raoul jest ścigany listem gończym FBI. Podoba mi się rola agentki do zadań specjalnych, która puszcza frajera. Dopóki żadna ze stron nie sięga po broń, wychodzi z tego niezła zabawa.
- Jej mężem był porywczy Latynos, Raoul Estevez. Nic nie wiedziałem o ich życiu intymnym i szczerze wołałem, żeby tak zostało.
- Ja nie żartuję, Diane. Gibbs podejrzewa, że zamordował ich przyjaciółkę z Kalifornii, z którą łączył go romans.
- Dłuższe milczenie dało jej wystarczająco dużo czasu do namysłu, by sobie uzmysłowiła, że mamy listopad, a nie pierwszy kwiecień.
- I ty jej uwierzyłeś?
  - Całkiem szczerze? Nie jestem przekonany, że on mógłby kogoś zamordować. Przynajmniej na razie. Niemniej wierzę, że podzieliła się ze mną swoimi podejrzeniami.
  - Jak się o tym dowiedziała? Ma przeciwko niemu jakieś dowody?
  - Przekonały ją rozmaite drobiazgi. To zrobił coś dziwnego, to coś powiedział. To oskarżenie częściowo oparte na poszlakach, częściowo na domysłach, częściowo na jego słowach.
  - Czy gdyby usłyszała to Lauren, wszczęłaby postępowanie? - Lauren, moja żona, była zastępcą prokuratora okręgowego w Boulder. W wypadku jakichkolwiek podejrzeń domagała się przede wszystkim faktów.

Wzruszyłem ramionami.

- Zadałem sobie to samo pytanie i doszedłem do wniosku, że Lauren postanowiłaby wysłuchać pełnego zeznania Gibbs.

- A co z zeznaniami Sterlinga?

- Na razie znamy je tylko z relacji Gibbs. Nie padło z jego ust bezpośrednie przyznanie się do winy, ale mówił jej o takich szczegółach, które, jej zdaniem, może znać jedynie morderca.

- Jeśli, ze szczególnym naciskiem na „jeśli”, można jej wierzyć.

Diane zwróciła moją uwagę na psychologiczną stronę zagadnienia.

- Czemu wróciła do tego właśnie teraz? Dlaczego wcześniej nie wyjawiała swoich podejrzeń? Ile lat minęło od zabójstwa jej przyjaciółki?

- Do morderstwa doszło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. To bardzo istotne pytania, na które nie potrafię udzielić odpowiedzi. Zakładam, że ma to coś wspólnego z ich powrotną przeprowadzką do Boulder. Ale to wyłącznie mój domysł. Oczywiście zapytałem ją o to, ale nie uzyskałem jasnej odpowiedzi.

- I dlaczego wybrała ciebie?

W kontekście kryło się: „Czemu nie przysłała z tym do mnie?”

- Chciałbym móc to wyjaśnić. Może bała się ciebie? Choćby ze względu na twoje skłonności do kontrprzenoszenia?

Byłem niemal pewien, że zaraz usłyszę jej zapewnienia, iż nie żywi żadnej niechęci do Gibbs. Ale nawet nie skrzyła w tym kierunku.

- Czy poza kwestią domniemanego morderstwa rozmawiałeś z Gibbs o jakichś ważnych sprawach podczas tej... sesji?

Wyjaśniłem, że pacjentka chciała, bym to ja powiadomił policję o jej podejrzeniach. Słyszając to, Diane zmierzyła mnie surowym wzrokiem spod przymrużonych powiek. Niezrażony, ciągnąłem dalej:

- Rozmawialiśmy też o tobie i ewentualnej pomocy, jakiej mogłaby od ciebie oczekiwać.

Bardzo liczę na twoje konsultacje w tej sprawie, a zwłaszcza na pomoc w dogadaniu się z tą Celeste ze schroniska dla kobiet. Wolałbym ją zawczasu przygotować na to, że Gibbs będzie musiała się u niej schronić, jak tylko sprawa nabierze rozgłosu.

- Ta Celeste nazywa się Celeste Clayton. Kiedy mam z nią porozmawiać?

- Nawet jeszcze dziś po południu, jeśli to możliwe. Po raz kolejny spotykam się z Gibbs jutro rano. Dobrze by mieć już pewność, że znajdzie się dla niej miejsce w schronisku, wtedy dam jej do zrozumienia, iż może bezpiecznie zgłosić się na policję i ujawnić wszystkie swoje podejrzenia co do Sterlinga.

- Już teraz powinna się znaleźć w schronisku, Alan, a nie jutro.

- Masz rację. Zasugerowałem jej to, lecz odmówiła. Zaleciłem stanowczo, żeby dobrze się nad tym zastanowiła. Ale i tak nie chciała o niczym słyszeć.

- Mogę przyjść na rozmowę razem z Celeste? Bardzo bym chciała przy tym być.

- Właśnie na to liczyłem. W ten sposób łatwiej mi przyjdzie wyrazić swoją opinię.

- Ale Gibbs nie odrzuciła możliwości skorzystania z pomocy schroniska?

- Nie.

- Nawet nie próbowała zaproponować?

- Nie. Sama wiesz, że nie należy do kobiet, które umieją postawić na swoim. Może właśnie w tym tkwi przyczyna twojego kontrprzenoszenia?

Zamyśliła się na chwilę, po czym odparła:

- Mam do czynienia z wieloma słabymi kobietami. Nie na tym rzecz polega. Nie zastanowiło cię, dlaczego tak bezkrytycznie zrzuciła wszystko na twoją głowę, zarówno sprawę morderstwa sprzed lat, jak i swoją przeszłość?

- Moim zdaniem, cała ta historia jest bardzo zastanawiająca.

- Wiem, że wolałbyś tego nie słuchać, ale przecież nie chodzi o moje kontrprzenoszenie, prawda? - odparła głosem niższym co najmniej o pół oktawy, chcąc przykuć moją uwagę. Odniosło skutek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Masz zamiar w jej imieniu zawiadomić policję?

- Jeszcze nie wiem. Chyba powinienem.

- A więc to także twoje kontrprzenoszenie, Alan. Dla Gibbs decydujesz się zrobić coś, czego nie zrobiłbyś dla innych pacjentów. Organizujesz jej kryjówkę, umawiasz się z różnymi ludźmi. Czyli na ciebie ona też działa. Możesz uznać, że jestem cyniczna, ale podejrzewam, że ma to coś wspólnego z jej blond włosami i zadartymi cyckami.

„Zadartymi cyckami?”

- Nie sądzę. Po prostu okoliczności są niezwykle. Gdyby ktoś inny oznajmił mi to samo, prawdopodobnie zareagowałbym identycznie.

- Na pewno na prośbę każdego pacjenta skontaktowałbyś się z policją na drugim końcu kraju, żeby złożyć doniesienie w sprawie dawnej zbrodni?

- Oczywiście.

- Starego pacjenta, który nie byłby tak piękną blondynką? Byłem wdzięczny, że owe „zadarte cycki” tym razem zniknęły z jej równania.

- Oczywiście - powtórzyłem.

- Już to widzę. - Diane wróciła do przerwanej pracy nad zaparzaniem kawy. Odwrócona do mnie plecami, dodała: - Czemu to właśnie tobie zawsze przytrafiają się takie sprawy, Alan? Miałaś

w swojej praktyce częściej do czynienia z trupami niż grabarz z małego miasteczka. Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

Szczerze mówiąc, rozmyślałem nad tym od dawna, ale nie chciałem dawać jej satysfakcji.

- Obiecuję się nad tym zastanowić, jeśli i ty mi coś obiecasz. Dziesięć lat temu podczas naszej wspólnej terapii Gibbs podjęła jakiś temat, lecz zaledwie otworzyła usta, Sterling usadził ją z gorliwością harcerza gaszącego obozowe ognisko. Pamiętasz, co to było? On wtedy tylko na nią popatrzył, przeszył ją spojrzeniem, i to wystarczyło. Właśnie to spojrzenie utkwilo mi w pamięci.

- Ja przynajmniej nie muszę się nad tym zastanawiać, bo świetnie to pamiętam. Też mam żywo w pamięci tamto zdarzenie.

- Więc co to było?

- Oznajmiła niespodziewanie, że na jakimś etapie terapii będzie chciała z nami porozmawiać o ich życiu seksualnym.

- Ach, tak - odparłem. - I to chyba wystarczyło. Właśnie tak mi się zdawało, że miało to coś wspólnego z seksem.

- Nie próbuj mnie brać pod włos - mruknęła Diane. - Dokładnie o to chodziło. W dodatku zamierzała szczerze wyznać, że lubią często zmieniać partnerów czy też on lubi to robić w damskich fataląszkach, albo coś równie smakowitego i soczystego. Przez jakiś czas sądziłam, że łączą ich więzi typu sado-maso, lecz mimo najszczerzych wysiłków nie potrafiłam sobie wyobrazić „Tańczącej Królowej” w czarnym skórzanym stroju ze stanikiem nabijanym ćwiekami. Najwyżej wiedziałyby, co zrobić z batem.

Rysowany przez Diane wizerunek tej pary był tak sugestywny, że na krótko odebrało mi mowę.

- I naprawdę myślałaś, że zamierza z nami o tym porozmawiać? - zapytałem w końcu.

- Oczywiście. W końcu coś z ich niezwykłego życia seksualnego przyprawiało ją o dreszcze. Ale Sterling nie mógł dopuścić, żeby prawda wyszła na jaw. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że sobie nie życzy poruszania tego tematu. Właśnie

dlatego przeszył ją piorunującym wzrokiem. Możesz uznać to za pewnik.

- Nie wygłupiaj się, Diane. Mówisz poważnie o tych relacjach sado-maso? Albo o przebieraniu się w damskie fatalaszki?

Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głowy. Było to tylko odrobinę mniej skuteczne od piorunującego spojrzenia, jakim Sterling przed laty uciszył swoją żonę.

- Całkiem poważnie. Mówiłam jednak, że prawie od wstępu wykluczyłam możliwość istnienia między nimi związku sado--maso. Wtedy postawiłabym raczej na częste zmiany partnerów. Jeśli tak było naprawdę, to do dzisiaj nic nie powinno się zmienić. Tylko Gibbs chciała się zdobyć na otwartość, Sterling nie zamierzał do tego dopuścić. Stawiałabym na to, że chciał ją ukarać za odmowę udziału w czymś, na co nie miała ochoty, dlatego postanowił całkowicie wykluczyć ten temat z naszych sesji.

- Masz na myśli celowe zmiany partnerów, jak... no, wiesz...?

- Na przykład regularny udział w orgiach seksualnych z innymi parami o podobnych zainteresowaniach. Znasz inne rodzaje tego typu zachowań?

Zachichotała krótko, zdaje się, na samą myśl, że mógłbym dysponować większą od niej ezoteryczną wiedzą na temat dewiacji seksualnych. Dlatego wolałem się nie przyznawać, że określenie „zmiana partnera” w moim pojęciu wiąże się bardziej z tańcami ludowymi i muzyką country and western.

- Gibbs i Sterling mieliby być miłośnikami orgii? Możesz mi powiedzieć, co cię skłoniło do takiego wniosku? Przecież Gibbs ani razu nie wspomniała nawet jednym słowem na ten temat, prawda? A może wyznała ci coś na osobności? Jestem pewien, że dobrze bym zapamiętał, gdyby zrobiła chociaż aluzję do tego, że uwielbiają orgie seksualne.

- Po prostu szósty zmysł mi podpowiedział, do czego ona dąży.

- Więc jak to się stało, że mój szósty zmysł niczego mi nie podpowiedział?

- Co to ma być? Wzajemna psychoterapia? Wiem, że niektórzy sądzą, iż potrafimy czytać w ich myślach. Nie zapominaj jednak, że nasza praca przypomina bardziej wypatrywanie iskerek światła w całkowitych ciemnościach. Wyczuwałam podświadomie, do czego Gibbs zmierza. Sterling doskonale to wiedział. A co do ciebie, skarbie... Jesteś takim świętoszkiem, że chyba nigdy nie zapuszczasz się w te dzikie tereny. Doskonały z ciebie terapeuta, ale w sprawach seksu zwykle błędzisz jak dziecko we mgle. Szczerze mówiąc, to jedna z tych cech, które bardzo mi się u ciebie podobają.

- Podoba ci się, że jestem świętoszkiem?

Szybko podstawiała kubek pod zaparzaczkę, żeby wylać pierwsze krople najmocniejszego naparu.

- W końcu trzeba się zdecydować na coś, co można polubić, nie sądzisz?

Zawał Sama nie należał do nazbyt groźnych, przynajmniej według kryteriów dla tego schorzenia. Zdaniem kardiologa w jego mięśniu sercowym nie zaszły zbyt daleko idące zmiany.

Podczas moich odwiedzin w szpitalu w poniedziałkowe popołudnie Sam pokazał mi na plastikowym modelu ludzkiego serca, mającym wielkość grejpfruta, wykryte przez specjalistów miejsce przewężenia. Musiałem podać mu ten model ze stolika, gdyż leżał w łóżku na wznak unieruchomiony przez dziwny przyrząd podobny do mostu wiszącego rozpiętego między jego rozłożonymi udami. Wyjaśnił, że rusztowanie ma na celu wywarcie na rozciętą tętnicę nacisku mniej więcej takiego, pod jakim w naturze zwykły węgiel przekształca się w diament.

W każdym razie na pewno nie był to taki nacisk w okolicach krocza, jaki większość mężczyzn powitałaby z radością.

- Tę, która mi się zablokowała, nazywają tętnicą poprzeczną. To ta. - Wskazał cienką czerwoną linię przecinającą plastikowy

model. - Wprowadzili do niej rurkę, żeby całkiem się nie zamknęła. Wiesz, jak to robią?



Przytaknąłem ruchem głowy i przeciągnąłem palcem po czerwonej linii na plastikowym modelu, próbując sobie wyobrazić tkwiący w niej spiralnie skręcony elastyczny drucik, powiększający wewnętrzną średnicę delikatnej tętniczki w sercu Sama.

- Doktor powiedział, że mogło być o wiele gorzej. Pozostałe tętnice mam drożne. Może nie są tak szeroko rozwarte, jak powinny, ale pozostają wystarczająco drożne.

- To dobra nowina, prawda?

- W każdym razie niezła. Najlepiej byłoby mieć wszystkie tętnice rozwarte na całą szerokość.

- Gdzie jest Sherry? - zapytałem, ostrożnie obracając w palcach plastikowy model, jakbym się bał go odstawić na miejsce. Mimo że był wykonany z plastiku, coś mi nakazywało obchodzić się z nim nadzwyczaj delikatnie.

- Siedziała tu prawie przez cały dzień. Dopiero niedawno poszła, żeby trochę rozprostować nogi. No i pewnie zatęskniła za herbatą. Powiedziała, że musi choć trochę odetchnąć świeżym powietrzem, oderwać się od tego wszystkiego. - Szerokim ruchem wskazał bogaty zestaw aparatury stojącej przy łóżku. Były tam rozmaite monitory i pompy, od których biegły grube zwoje plastikowych wężyków, a zielonkawe liczby widniejące na ciekłokrystalicznych wyświetlaczach zapewne wskazywały istotne parametry stanu zdrowia pacjenta. - Jak sam widzisz, tu wszystko jest w porządku.

Wystarczająco dobrze znałem żonę Sama, by mieć podstawy do podejrzeń, że troska o stan zdrowia męża na pewnym etapie przerodzi się we wściekłość że on sam o to nie dba, a wściekłość ta objawi się w formie zdolnej przyprawić go o kolejny zawał.

- Już jest na ciebie zła? Pokiwał głową.

- Schrzanilem sprawę. Powtarzała mi wiele razy, że dorobię się zawału. Pewnie wiesz, że mój ojciec też chorował na serce.

I miał zawał mniej więcej w tym samym wieku co ja. Dlatego wciąż mnie namawiała, żebym chodził z nią na spacer, uprawiał jogging, lepiej się odżywiał. Cholera by to wzięła...

Trudno mi było sobie wyobrazić, jak żal i wyrzuty sumienia mogą w krótkim czasie poprawić jego stan zdrowia.

- Nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem - powiedziałem. - Teraz liczy się tylko to, jak będziesz dalej żył. Mam rację?

Prychnął z pogardą.

- Boże, daj sobie spokój z tą filozofią, Alan. Gdybym miał przy sobie książeczkę czekową, od razu wystawiłbym ci czek za fachową poradę. Ile teraz bierzesz? Sto pięćdziesiąt dolarów za pięćdziesięciminutową sesję? Czyste zdzierstwo! Ale, niestety, już w karetce ściągnęli ze mnie spodnie. Portfel został w kieszeni.

Co i rusz robił aluzje dotyczące mojego zawodu, traktował to chyba jak nieodłączny element łączącej nas przyjaźni. Tym razem zabrzmiało to mało przekonująco. Po rozmowie z Diane, która była akurat w nastroju bezwzględniego płatnego mordercy, bez najmniejszych trudności przyjąłem wymuszony sarkazm ze strony Sama.

- Dokładnie za czterdziestopięciminutową sesję. Czyżbyś się bał?

Odwrócił szybko wzrok i po chwili lekko skinął głową.

- Cieszę się, że byłem wczoraj u ciebie. Bo gdybym był sam, chyba nie zdobyłbym się na to, żeby zadzwonić po karetkę. Prędzej bym sobie wmawiał, że to tylko następny kamień nerkowy. Może nawet dwa kamienie naraz. I pewnie bym umarł przez ten swój ośli upór.

- Więc i ja się cieszę, że szybko się zorientowałem, co ci dolega. Dopisało nam szczęście.

- Jak się zorientowałeś, że to zawał?

- Trudno powiedzieć. Dało mi do myślenia to, że ciągle masowałeś sobie kark. Nie mogłem zrozumieć, co ból karku mógłby mieć wspólnego z kamieniami nerkowymi.

Westchnął głośno. Czy może raczej cicho jęknął. Trudno to było rozróżnić.

- Doktor powiedział, że będą mi potrzebne zabezpieczenia, chociaż nie sprecyzował, o co mu chodzi. Na wypadek drugiego zawału.

- Jak miałbyś się przed nim uchronić?
- Przez dbałość o zastawki i usprawnienie krążenia.
- To znaczy?
- Najwyraźniej chodzi o ćwiczenia fizyczne. - Wymówił to z lekkim ociąganiem i akcentem zarezerwowanym dla określeń typu „leczenie kanałowe” lub „badanie prostaty”.
- Pomogę ci - odparłem. - Zaczniemy od spacerów, potem przesiądziemy się na rowery i zaczniemy regularnie biegać. Tylko zobaczymy, co ci zalecą specjaliści.
- Dzięki - mruknął. Doskonale wiedział, że nie musi mnie prosić o pomoc w tym zakresie, najwyraźniej liczył na to, że sam mu ją zaoferuję. - Wiesz, co w tym wszystkim wydaje się ironią losu?
- Co?
- Że „Krispy Kreme” ostatecznie ma dotrzeć do Boulder. Tak przynajmniej słyszałem. Można więc liczyć na to, że już do końca życia nie będziemy skazani na pączki z tutejszej cukierni, bo do naszego miasta ma wreszcie zawitać Tadž Mahal wszystkich łakomczuchów.
- Bywają gorsze rzeczy.
- Tak? Wymień trzy.
- Sądziłem, że twój poziom cholesterolu jest w normie.
- Stale podnosił się już od jakiegoś czasu. I jest raczej wysoki. Prawdę powiedziawszy, jadłem mnóstwo różnych świństw. Ciekaw jestem, jak się trzyma twoja konstrukcja na łapie Emily. Parasolowata osłona spełnia swoje zadanie?
- Spisuje się znakomicie, nawet Emily ją polubiła. Lauren uznała, że powinienem rzucić pracę, opatentować tę osłonę i tylko zgarniać za nią forszę.
- Przecież nie potrzebujesz więcej forsy.
- Czyżby?

Pokręcił głową, ale nie wyjaśnił, o co mu konkretnie chodzi. W innych okolicznościach pewnie bym mu nie dał spokoju, ale teraz moje myśli nieuchronnie powędrowały w stronę tajemnicy, jaką „Tańcząca Królowa” roztoczyła wokół swego męża mordercy.

Otworzyłem już usta, by prosić Sama o radę w sprawie Gibbs i Sterlinga, ale mój wzrok ponownie padł na budzącą nieprzyjemne skojarzenia baterię aparatury w szpitalnej sali kardiologicznej, więc ugryzłem się w język. Przyznaję otwarcie, iż przez jakiś czas pocieszałem się myślą, że dla niego moja zagadka tajemniczego morderstwa będzie znakomitą okazją do oderwania się od problemów zdrowotnych i rodzinnych, ale wszelkie przemawiające za tym racje budziły we mnie tylko niesmak.

Przeważały względy zachowania dyskrecji. Zdecydowałem, że sam będę musiał się uporać z „Tańczącą Królową”.

Pielęgniarka wpadła do pokoju Sama z takim impetem, jakby brała udział w wyścigu. Miała strasznie poważną minę, a idealnie białe tenisówki zdawały się potwierdzać moje przypuszczenia, że tkwi w niej duch sprinterki. Przelotnie omiotła mnie wzrokiem, nim zaczęła odczytywać wskazania urządzeń monitorujących stan Sama. Poprawiła zaworek pod woreczkiem kroplówki i popstrykała palcem w przypominającą pęczek spaghetti wiązkę plastikowych wężyków biegnących do jego ramienia, jakby polowała na roznoszącego malarię komara.

- Jak się pan czuje, detektywie? - zapytała, z niewiadomych powodów ściskając w dłoniach palce jego stóp.
- Cześć, myszko - syknął Sam, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność w pokoju. - Jeszcze mam czucie w stopach, choć bardzo trudno mi wytrzymać w jednej pozycji przez tak długi czas. A czuję się tak, jakby Ray Bourque w drugiej rundzie trafił mnie kopniakiem prosto w nerki, a przez całą trzecią skakał mi po udzie i pachwinie.
- To dość trafny opis tego, co czują pacjenci po tego typu operacji - zauważyła.

Rzuciłem okiem na identyfikator, który miała zawieszony na szyi, i ku swemu zdumieniu ujrzałem na nim niecodzienne imię: „Myszka Lipner, piel. dypl.” Byłem święcie przekonany, że nie miała bladego pojęcia, kim jest Ray Bourque, i nawet nie miała ochoty poznać przyczyny, dla której tenże osobnik przez jakąś rundę mógłby skakać po udzie i pachwinie Sama Purdyego. Chętnie bym jej wyjaśnił, jakie miejsce zajmuje hokej w życiu Sama i skąd się bierze u niego owo szczególne upodobanie do wyróżniających się zawodników obrony, nie miałem jednak złudzeń, że i tego w najmniejszej mierze nie chce wiedzieć. Kusilo mnie jednak, by zapytać o pochodzenie niezwyklego imienia, chociaż coś mi podpowiadało, że wszyscy ją o to pytają i już dawno znudziło jej się wyjaśnianie czegokolwiek.

Z kieszonki na piersi wyjęła strzykawkę, zębami ściągnęła osłonę z igły i wbiła ją w gniazdo nad zbiorniczkiem kroplówki chyba szybciej, niż Wyatt Earp dobywał z kabury swojego sześćciostrzałowca. Zdecydowanym ruchem wcisnęła tłoczek i równie szybko opróżniła zawartość strzykawki do zbiorniczka.

- To panu trochę ulży. Jeszcze godzina, a gdy lek zacznie działać, zdejmujemy rozpórkę uciskającą pachwinę. Trochę cierpliwości, niedługo wrócę, żeby znów sprawdzić, jak się pan czuje.

- Mógłbym dostać jeszcze trochę tych lodowych smakołyków, zanim pani odejdzie?

Pielęgniarka wzięła ze stolika papierowy kubeczek i przytknęła go do warg Sama. Ten przechylił go ustami i na język zsunęło się kilka drobnych kawałków lodu. Głowa opadła mu ciężko na poduszkę i przez dziesięć sekund oddychał głęboko, jakby jego umysł z trudem usiłował wchłonąć pierwsze molekuly nowego specyfiku przedostającego się z kroplówki do krwiobiegu.

- Co pani mu podała? - zapytałem.

- Czystą wodę, lekko zmrożoną. A kim pan jest? - zaciekawiała się Myszka.

- Przyjacielem.

- To właśnie on wezwał do mnie karetkę - wyjaśnił Sam. -

Porządny gość. Też jest lekarzem. No, może niezupełnie lekarzem, ale też skończył akademię medyczną. Jest psychologiem.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, jakby podejmowała trudną decyzję, czy można mi pozwolić zostać w pokoju. Poprawiła woreczek kroplówki na stojaku i powiedziała:

- To był fentanyl, lek przeciwbólowy. Pozostawanie w jednej pozycji, na wznak, każdego potrafi wykończyć. - Odstawiła papierowy kubeczek na stół i dodała: - Świetnie się pan

wczoraj spisał. Pański przyjaciel na tyle wcześnie znalazł się w szpitalu, że można było mu rozbić zator naczyniowy już na izbie przyjęć. Dzięki temu wyjdzie stąd, mając nienaruszoną większą część serca.

Odwróciła się na pięcie i błyskawicznie wyszła. Sam wymamrotał:

- Pielęgniarki mają słabość do gliniarzy. Trudno powiedzieć, z czego to wynika.

Ostrożnie odłożyłem plastikowy model ludzkiego serca na tackę i jeszcze przez chwilę przyglądałem się, jak powieki robią mu się coraz cięższe wskutek działania fentanylu, a tymczasowe stłumienie bólu nasila senność.

Nagle jednak otworzył szeroko oczy i powiedział:

- Małżeństwo to śmieszna sprawa. Sama miłość nie wystarczy, no nie? Większość ludzi uważa, że niczego więcej im nie trzeba, ale to nieprawda. Bo czasami zdarzają się rzeczy niezwykle.

- Co masz na myśli? - zapytałem z nieskrywanym zainteresowaniem.

Ale nie odpowiedział.

Siedziałem przy nim jeszcze przez jakiś czas, wsłuchując się, jak jego oddech staje się wolniejszy i płytszy wskutek pogłębiania się narkotycznego snu.

W głębi duszy coś mi podpowiadało, że powinienem jak najszybciej wracać do domu, żeby zrobić Samowi parasolowatą osłonę na serce. Miałem jeszcze pod dostatkiem piankowej podkładki, pasków ze sztywnego tworzywa i taśmy samoprzylepnej.

Powinno wystarczyć. Gdyby tylko faktycznie można zrobić taką osłonę, która ochroniłaby jego serce przed dalszymi zagrożeniami i zarazem uniemożliwiła mu wszelkie działania zmierzające do zwiększenia tych zagrożeń.

W końcu szepnąłem do niego:

- Pielęgniarki mają słabość do gliniarzy, ponieważ zazwyczaj gliniarze w pełni na to zasługują. Tylko tyle, Sam.

Przez kilka następnych minut przy jego łóżku odtwarzałem w pamięci wszystko, co usłyszałem rano od Gibbs Storey. Wreszcie w myślach zapytałem Sama, jak gliniarz jego pokroju zareagowałby po wysłuchaniu takiej relacji. Zapytałem też, jak postąpiłby komendant policji w Boulder, gdyby dostał od policji kalifornijskiej informację, że na tym terenie działa groźny zabójca.

Niestety, Sam przespał wszystkie te rozważania.

8

Przez ponad dwanaście lat praktyki w Boulder zarekomendowałem do pobytu w miejscowym schronisku co najmniej piętnaście kobiet i jednego mężczyznę. Co roku czynnie pomagałem zbierać datki na jego utrzymanie. Starłem się być adwokatem wszelkich inicjatyw kierownictwa schroniska.

Nie miałem jednak bladego pojęcia, gdzie ono się obecnie znajduje. Nie powiedziała mi tego ani żadna pacjentka, ani nikt z personelu. Nie wtajemniczyła mnie nawet moja żona będąca prokuratorem okręgowym.

Dlaczego? Z prostej przyczyny. Im więcej osób znalazłoby lokalizację instytucji, tym mniej byłaby ona bezpieczna.

Dlatego wcale mnie nie zdziwiła wiadomość od Diane, że spotkanie z dyrektorką schroniska w sprawie sytuacji Gibbs Storey odbędzie się o siedemnastej trzydzieści w naszych pomieszczeniach przy Walnut Street, a nie w siedzibie schroniska.

Celeste Clayton, nazywana przez przyjaciół CeCe, była typową wielkomięską żydowską panią domu. Bez przerwy uśmiechnięta, nadzwyczaj uprzejma i pełna współczucia, przypominała ideał kompetencji. Zapewne stracony był dla niej każdy dzień, gdy nie mogła nikogo przytulić, nakarmić czy ukoić w smutku. Spóźniwszy się dziesięć minut na nasze spotkanie, wmaszerowała do mojego gabinetu uśmiechnięta od ucha do ucha, z rozłożonymi szeroko ramionami, żeby zatopić Diane w swych objęciach.

Po chwili przysłała kolej na mnie. Kiedyś zostałem jej pobieżnie przedstawiony przez udzielające się charytatywnie starsze małżeństwo, ponadto kilkakrotnie rozmawialiśmy przez telefon w sprawach moich klientek. Mimo to uściskała mnie co najmniej tak samo serdecznie, jak Diane.

Ciężko klapnęła na krzesło stojące przed moim biurkiem, ciekawie rozejrzała się dookoła i powiedziała:

- Ładnie tu.

- Nie daj się oszukać - wtrąciła Diane. - Urządzenie wewnątrz było wyłącznie w mojej gestii.

On tylko wypisywał czeki.

Nie było to do końca prawdą, ale Diane świetnie wiedziała, że nie będę chciał się z nią spierać w obecności gościa.

- Dzięki, Celeste, że zechciałaś się ze mną zobaczyć bez zbędnych ceregieli.

- Ceregiele w ogóle nie mają prawa bytu w moim interesie. Nikt nie potrafi przewidzieć, czy i kiedy będzie potrzebował pomocy schroniska. Zatem o co chodzi? Diane powiedziała tylko,

że rozdziawię usta ze zdumienia, chociaż mnie już nie tak łatwo zadziwić. Od tak dawna mam do czynienia z przemocą w rodzinie, że potrafię rozpoznać prawie każdą historię, ledwie usłyszę parę słów.

Wręczyłem jej podpisane przez Gibbs Storey pełnomocnictwo. Przebiegła je wzrokiem, po czym zaczęła mozolnie przypinać do jednej z kartek pękatego i mocno wysłużonego terminarza, który powinien mieć na okładce wytłoczoną nazwę „Czarna Dziura”. Byłem niemal pewien, że między poszarpanymi od drucianych spinaczy kartkami znalazłyby się dokumenty starsze od mojej legitymacji ubezpieczeniowej.

- Dawno temu, mniej więcej przed dziesięciu laty, razem z Diane krótko prowadziliśmy wspólną terapię pewnego małżeństwa, właśnie Gibbs Storey i jej męża. Później wyjechali...

- Gibbs? Jak to się pisze? Diane zachichotała.

- Przez dwa b i jedno s.

- Słucham dalej.

- Otóż Storeyowie wyprowadzili się stąd już po trzeciej lub czwartej sesji z nami. Zgadza się, Diane? - Przytaknęła ruchem głowy. - Od tamtego czasu nie mieliśmy żadnych wieści o dawnych pacjentach, aż tu nagle dziesięć dni temu Gibbs zadzwoniła do mnie i umówiła się na sesję na dzisiejszy ranek. Powiedziała, że przed paroma miesiącami przeprowadzili się tu z powrotem z Kalifornii. I już po paru minutach rozmowy oświadczyła, że jej mąż jest zamieszany w sprawę nierozwikłanego morderstwa sprzed lat.

- Zamieszany? - zdziwiła się Celeste.

- Mówiąc wprost, oskarżyła go o to, że zamordował ich przyjaciółkę z Kalifornii, z którą miał romans pozamałżeński.

- O kurczę...

Odniosłem wrażenie, że reakcja dyrektorki była nie tyle efektem zdziwienia przedstawionymi faktami, ile wyrazem zaskoczenia, że oto zetknęła się z nieznaną dotąd historią rozpadu małżeństwa.

- Gibbs jest przekonana, że znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie ze strony męża, gdy ten się dowie, że rozmawiała z policją. Nie mam żadnych racjonalnych powodów, aby kwestionować ten wniosek.

- Czy w ich małżeństwie występowała przemoc?

- W tym zakresie jesteśmy w dość niezręcznej sytuacji wobec ciebie, CeCe - odezwała się Diane. - Razem z Alanem próbowaliśmy nakłonić Storeyów do wspólnej terapii. Niemal wszystko, co możemy o nich powiedzieć, pochodzi właśnie

z tamtych wspólnych sesji sprzed lat. A ponieważ całość terapii jest objęta tajemnicą zawodową, nie wolno nam ujawnić żadnych szczegółów bez jego zgody.

- Nawet jeśli ona znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie?

- Poczucie zagrożenia to za mało - odparła Diane. - Musiałby przy nas skierować pod jej adresem realne groźby, byśmy zdecydowali się złamać klauzulę poufności. Tymczasem Sterling... - odchrząknęła - do tej pory jej nie groził. Przynajmniej nie w naszej obecności. Zatem jesteśmy związani przysięgą i nie możemy ujawniać żadnych faktów bez jego zgody.

- Coś mi mówi, że nie należy się spodziewać po nim takiej zgody, prawda? - zagadnęła Celeste. - Zatem powinnam chyba zakładać, że nie doszłoby do tego spotkania, gdyby nadal miał nieskazitelną małżeńską kartotekę. Czy takie założenie może być dla nas wszystkich podstawą do dalszej rozmowy?

Ani ja, ani Diane nie ośmieliliśmy się zaoponować.

Oto, jak pokonuje się teoretycznie bardzo trudne przeszkody zasad dochowania zawodowej tajemnicy, przemknęło mi przez myśl.

- Doskonale. Gdzie obecnie przebywa pani Storey?

- Po naszej rannej sesji wróciła do domu - odparłem. -Do tej pory jest przeświadczona, że jej mąż niczego nie podejrzewa. Dlatego utrzymuje, że będzie bezpieczna, dopóki policja nie zechce z nim porozmawiać.

Celeste uśmiechnęła się smutno.

- Tytuł tej piosenki potrafię wymienić już po trzech dźwiękach. Jeśli jeszcze tego nie wiecie, to bardzo smutna piosenka.

- Staralem się wyperswadować jej powrót do domu. - Sam nie wiem, dlaczego w tym momencie odczułem potrzebę zaakcentowania swojej niewinności.

- Mogę to sobie wyobrazić. Osobiście setki razy bezskutecznie tłukłam głową w podobny mur, Alan. A co z dziećmi? Powiedzcie mi lepiej, że nie mają dzieci.

- Na szczęście nie mają.

- Na kiedy macie umówioną drugą sesję?

- Na jutro rano. Gorąco liczę na to, że uzyskam jej zgodę na skontaktowanie się z policją z Laguna Beach i ujawnienie jej podejrzeń wobec męża. Wolałaby nie robić tego sama.

Oczywiście potem musi nadejść ten moment, o ile tylko policja da wiarę jej podejrzewaniom, kiedy będzie potrzebowała ochrony.

- Apartament w pałacu już na nią czeka - wyjaśniła Ce-leste.

- Może się zrobić bardzo głośny szum wokół tej sprawy, CeCe - powiedziała Diane. - Na pewno jesteś przygotowana na nalot dziennikarzy i reporterów?

- Nikt przecież nie musi wiedzieć, że ona ukrywa się w naszym schronisku. Jeśli ktoś zdoła to wywęszyć i okaże się na tyle nieodpowiedzialny, by ujawnić tę informację, zajmę się tym osobiście. W końcu od tego jesteśmy. Naszym zadaniem jest ochrona kobiet przed przemocą w rodzinie, a ta sprawa jak najbardziej się do tego kwalifikuje.

- Jesteś tego pewna? - zapytała Diane. - Dziennikarze rzucą się jak wygłodniałe sępy.

Celeste przeniosła wzrok z niej na mnie i z powrotem.

- Co ci się w niej nie podoba?

- Mnie? Dlaczego miałyby mi się coś nie podobać?

- Nie próbuj mnie wykiwać, Diane. Co jest w tej kobiecie, co ci utkwilo zadrą w sercu? Przecież widzę, że masz coś przeciwko niej.

Diane opuściła ręce na kolana i założyła nogę na nogę. Otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Kiedy wreszcie się odezwała, odniosłem takie wrażenie, jakby wciskała język niczym dźwignię biegów, ale poszczególne słowa grzęzły jej na pierwszym biegu.

- Gibbs Storey jest zwykłą suką typu alfa, CeCe. Jest w niej wszystko, czego nienawidzę w takich przereklamowanych dziewczęciach występujących w nazbyt eleganckich, nazbyt ciasnych, nazbyt pretensjonalnych i nazbyt... - z jej gardła wydobył się krótki jęk - ...nazbyt idealnych opakowaniach.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda, Diane? - zapytała Celeste tym samym beznamiętnym tonem, którym posługiwała się od początku spotkania. - Świetnie. Zatem przyjmij radę, której ci udzielam w dobrej wierze. Nie ulega wątpliwości, że z czasów nauki w szkole średniej pozostały ci pewne niezałatwione do końca sprawy, moja droga. -

Zawiesiła na chwilę głos. - Sugeruję, byś jak najprędzej się od nich uwolniła. Z przyjemnością skontaktuję cię z kimś, kto skutecznie pomoże ci się pozbyć tych upiórów. Wsunęła rękę między kartki swojego terminarza i jakimś cudownym sposobem wyłuskała spomiędzy nich wizytówkę. Podała mi ją.

- Tu jest numer mojej komórki. Zadzwoń, gdy twoja dama będzie gotowa skorzystać z naszych usług. Przyślę tu kogoś, żeby ją zabrał. Byłoby bardzo źle, gdyby ktoś dotarł za nią do schroniska. To wszystko? Pamiętajcie o gwiazdkowym przyjęciu dobroczynnym? Dobrze, właśnie na to liczyłam. Zatem do zobaczenia na nim. Tylko nie zapomnijcie książeczek czekowych.

Wstała i szybko wyszła z gabinetu. Spojrzałem na Diane i po chwili zapytałem:

- Przerklamowana suka typu alfa?

Wracalem do domu pozno.

Po spotkaniu z CeCe pozwolilem sobie jeszcze na kilka minut dekompresji w towarzystwie Diane, zanim wyruszyłem do Louisville, żeby znów odwiedzić Sama. Nie miał już katorżniczego rusztowania między nogami i został przeniesiony z oddziału kardiologicznego na telemetryczny. Kiedy wszedłem do pokoju, siedział oparty o ułożone wysoko poduszki, zapatrzony w ekran ściszonego telewizora. Zdażył się już uwolnić od szpitalnej koszuli nocnej i miał na sobie poza spodenkami jedynie płataninę kabelków wychodzących z czujników poprzyklejanych plasterkami w wygolonych kwadracikach na jego piersi.

Jakąś minutę po mnie do pokoju wmaszerowała Sherry. Uścisnęliśmy się na powitanie. Wyjaśniłem jej, że Sam zadał mi właśnie trudne pytanie o reakcję Simona na wieść o zawale ojca. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach zaczęła cierpliwie, aż skończę opowiadać Samowi o tym, czego może się spodziewać po synu.

Sherry wyraźnie zeszcupiała od czasu, kiedy widziałem ją poprzednio. Policzki miała zapadnięte, wręcz wychudzone. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że jest to tylko wizualny efekt makijażu położonego bardzo obficie wokół oczu. Zamyśliłem się nad przyczyną, dla której w dzień powszedni zrobiła sobie typowo sobotni wieczorowy makijaż. Zapewne to wyraz silnego stresu. Co było jego powodem? Niewykluczone, że stan zdrowia męża.

Przeprosiłem ich po paru minutach i na pożegnanie cmoknąłem Sherry w policzek.

Poprosiłem, żeby zadzwoniła, gdyby potrzebowała czegoś od Lauren czy ode mnie. I obiecałem Samowi, że zajrzę do niego jutro.

Sięgałem już do klamki, gdy mruknął:

- Alan?

Odwrociłem się. Ścisnął w palcach wałek sadła wylewający mu się z nad gumki spodenek - szczerze mówiąc, mający rozmiary solidnego koła ratunkowego - i zapytał, czy, moim zdaniem, jest gruby, po czym dodał szybko:

- Bo coś mi się zdaje, że według kardiologa jestem gruby. Nie powiedział mi tego wprost, ale zdaje się, że tak uważa.

Zerknąłem na Sherry, nim spojrzałem przyjacielowi prosto w oczy i odparłem:

- Owszem, wydaje mi się, że jesteś gruby, Sam.

Przez chwilę wyglądał na zranionego, ale wreszcie burknął:

- Właśnie, ja też tak uważam.

Mój śmiech rozległ się głośnym echem w niewielkim pokoju, chociaż zabrzmiał jak donośne pierdnięcie w kulminacyjnym

momencie opery. Napięcie powstałe między Samem a jego żoną było naelektryzowane niczym plazma.

Dziesięć minut później dotarłem do domu.

Grace była chora. Lauren biegła tam i z powrotem, usiłując poradzić sobie z problemem, który zmusił ją do wcześniejszego wyjścia z pracy. Była wściekła z powodu podejrzeń, że nasza córka podłapała krup. Nie zamierzałem się przyłączać do katastroficznego chóru i wychodząc z założenia, iż rzeczy rzadkie przytrafiają się rzadko, a tylko powszechne często, zdecydowałem, że będę się zachowywał tak, jakby Grace miała zwykłe zapalenie gardła, dopóki objawy mnie nie przekonają, że nie mam racji. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że obu moim kobietom muszę teraz poświęcić wyjątkowo dużo uwagi.

Psy nie były wyprowadzane przez cały dzień, zwłaszcza Emily kręciła się niespokojnie.

Parasolowata osłona na jej łapie zwisała smętnie jak pośladki u zaawansowanej czterdziestki, a plastikowe paski postukiwały o podłogę przy każdym kroku. Ten hałas, skutecznie wzmocniony przez troskę o dziecko, z każdą chwilą coraz bardziej doprowadzał Lauren co najmniej do szału.

- Zaczynij od tego - powiedziała stanowczo, wskazując łapę Emily, gdy chciałem ją zmienić przy łóżku Grace. - Zrób coś z tą osłoną. Błagam.

Usłuchałem niczym rozkazu. Wystarczyło mi piętnaście minut, żeby obejrzeć wspaniałe gojącą się łapę suczki, posypać ranę środkiem odkażającym, umocować osłonę na poprzednim miejscu, wyprowadzić oba psy na krótki spacer w dół ulicy i wrocic.

Kiedy Lauren, ze słuchawką telefonu przyciśniętą ramieniem do ucha, poniosła Grace do pokoju dziecięcego, wstawiłem wodę na makaron i przrzuciłem do rondelka zupę fasolową z puszki. Z doświadczenia wiedziałem, że z tych składników mogę zrobić strawny obiad w ciągu dwudziestu pięciu minut.

W ciągu pół godziny, zanim postawiłem obiad na stole,

Grace w końcu zasnęła. Lauren zeszała do kuchni z mokrymi włosami. Po szybkim prysznicu wyglądała na nieco odprężoną, a uśmiech na jej wargach podpowiedział mi, że najważniejszy problem został rozwiązany.

Nalałem jej kieliszek wina i przedstawiłem pokrótce nowiny dotyczące Sama i Sherry.

Zadała kilka zdawkowych pytań, na które odpowiedziałem najlepiej jak mogłem.

- Sherry nie kontaktowała się z tobą, Lauren? Nie wiesz o niczym, co by ich ostatnio podzieliło? Sprawiała wrażenie nieźle rozzłoszczonej na niego.

- Nie rozmawiałam z nią od pewnego czasu, zresztą nawet podczas naszych ostatnich spotkań najwyraźniej unikała szczerzej rozmowy. Niemniej wiadomo było, że wcześniej czy później Sam dorobi się zawału. Ze względu na otyłość, ciągły stres, kiepską dietę. Poza tym jest obciążony genetycznie. Wcale mnie nie dziwi, że Sherry jest wściekła. Powinien był bardziej dbać o siebie.

Nie takich przejawów współczucia po niej oczekiwałem.

- Miałaś ciężki dzień? - zapytałem po krótkiej przerwie. -Dobrze się czujesz?

To drugie pytanie było wyrazem troski o stan jej zmagania ze stwardnieniem rozsianym.

Ciekaw byłem, czy zauważyła jakieś nowe objawy, czy nie dawało jej się we znaki ogólne przemęczenie.

Nienawidziłem o to pytać. A ona nienawidziła odpowiadać. Wydaje mi się, że tym bardziej nie cierpiałem pytań, im bardziej ona nie cierpiała odpowiadać. Bo uważała, że przewlekła choroba i setki jej symptomów tworzyły najnudniejszy temat rozmowy na świecie.

- Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co powiedziałam o Samie i Sherry. Złóścisz się na mnie, Alan? Dlatego, że jestem chora? Uważasz, że to moja wina, iż często nie czuję się dobrze? Że robię coś... albo raczej nie robię czegoś...

Odchyliłem się na oparcie krzesła.

- Owszem, złości mnie, że jesteś chora. Ale nie złość się na ciebie za to, że masz stwardnienie rozsiane.

- A ja tak. Strasznie mnie to wścieka. Dlatego wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś i ty był wściekły.

Nieprawda, pomyślałem. Zamiast się złościć na swoją chorobę, wolałabyś być zdrowa. To nie ulega wątpliwości. Niestety, jest jak jest.

Lauren pociągnęła łyk wina.

- Grace nie da nam się dzisiaj wyspać - powiedziała, ostatecznie uwalniając się od konieczności odpowiedzi na moje pytanie o jej samopoczucie. - Dlatego nie możemy za długo pozwolić jej teraz spać.

- Zostawmy ją w spokoju przynajmniej na czas obiadu. Potem ją obudzimy. Może będzie w trochę lepszym nastroju.

Lauren zaczerpnęła łyżkę zupy.

- To nawet dość prawdopodobne. Co nowego w twojej poradni? - zapytała, siłąc się na beztroski ton.



- Prawdę mówiąc, właśnie wynikło coś nietypowego - odparłem, wprawiając ją w zdumienie.
- Chętnie wysłuchałbym twojej rady w pewnej sprawie.

Celowo przemilczając nazwiska i konkrety w rodzaju nazwy stanu czy miasta, zrelacjonowałem jej pokrótce historię Gibbs i Sterlinga Storeyów. Szerzej omówiłem swoje podejrzenia co do psychicznej i zapewne także fizycznej przemocy leżącej u podstaw tego małżeństwa.

Moja niedyskrecja w rozmowach z Lauren należała do tej szarej strefy zawodowej poufności, której usilnie staram się unikać. Jestem przekonany, że psychoterapeuta w gronie przyjaciół i znajomych zdecydowanie za często zdarzają się rozmowy w rodzaju: „Wiesz, mam teraz pacjenta, który...”. Większość moich kolegów po fachu wychodzi z założenia, że jeśli w takiej rozmowie nie ujawni się szczegółów umożliwiających identyfikację omawianego pacjenta, nie zostaną naruszone zasady poufności.

Kiedy moje wystąpienie dobiegło końca, Lauren siedziała już nad pustym talerzem. Dolałem jej trochę zupy.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - zapytała.
- Pewnie postąpię dokładnie tak, jak ona sobie życzy. Gdy tylko zyskam pewność, że znalazła bezpieczne schronienie, skontaktuję się z policją w jej poprzednim miejscu zamieszkania i powtórzę wszystko, co od niej usłyszałem.
- Poważnie?
- Jak sądzisz, co się wtedy stanie?
- To zależy, czy policja da wiarę tym rewelacjom.
- A od czego zależy ich wiarygodność?
- Od tego, czy w twojej relacji znajdują się jakieś szczegóły pasujące do wyników dotychczasowego śledztwa. Jeśli twoja klientka wie o czymś, co nie zostało ujawnione opinii publicznej, wówczas, jak sądzę, policja uwierzy w całość tej historii.
- I co wtedy?
- Potraktuj to jak czyste spekulacje, dobrze? Więc jeśli policja ci uwierzy, to albo nakaze twojej klientce stawić się w tamtym okręgu na przesłuchanie, albo przyśle tu kogoś, żeby spisał jej szczegółowe zeznania. Może przesłuchać także jego, to znaczy męża twojej klientki, jeśli okaże się na tyle głupi i wcześniej nie zwieje. Ale powtarzam, wszystko zależy od tego, w jakim stopniu wyniki tamtejszego dochodzenia będą się zgadzały z faktami przedstawionymi w twojej relacji. A to bardzo trudno przewidzieć. Poza tym, chyba sam wiesz, jak w policji traktuje się sprawy zamknięte. Śledczy błyskawicznie o nich zapominają, materiał dowodowy ginie, świadkowie umierają albo wyprowadzają się do innego miasta. Ludzie zapominają.
- Powiedziała, że zgodzi się zeznawać przeciwko niemu przed sądem.
- Przykro mi, ale to nie wnosi wiele nowego - odparła Lauren.
- Nie rozumiem.
- Chodzi mi o przywileje małżeńskie.
- Czyli?
- Kryje się w nich dużo więcej prawnych kruczków, niż się powszechnie uważa. Otóż każdy człowiek ma prawo zataić w zeznaniach wszystko, czego się dowiedział od współmałżonka, a co za tym idzie, i ta właśnie część przywilejów nie jest ludziom powszechnie znana, ma także prawo do powstrzymania współmałżonka przed ujawnieniem informacji będących wspólną małżeńską tajemnicą.
- Naprawdę? Sądziłem, że przywileje małżeńskie mówią tylko o tym, że nie można nikogo zmuszać do zeznawania przeciwko współmałżonkowi. No cóż, w każdym razie ona jest gotowa zeznawać. Powiedziałbym nawet, że się do tego pali. Zatem musiałyby złożyć dobrowolne zeznania.

- Jak już powiedziałam, sprawa nie jest taka prosta, bo on może skorzystać ze swojego prawa do powstrzymania jej przed złożeniem zeznań. Oczywiście w pewnych okolicznościach zachodzi możliwość pozbawienia go tego prawa.

- W jakich?

- W kodeksie są ściśle określone warunki, w jakich można uchylić przywileje małżeńskie. O ile mi wiadomo, we wszystkich stanach obowiązuje klauzula uchylenia tego przywileju w wypadku przemocy w rodzinie i znęcania się nad dziećmi. Jeśli któryś z małżonków maltretuje fizycznie drugiego lub znęca się nad dziećmi, strona pokrzywdzona ma pełne prawo zeznawać przeciwko niemu. Ale w twoim wypadku mamy do czynienia z zabójstwem osoby trzeciej, a nie z przemocą w rodzinie. Weźmy więc za przykład Kolorado. Gdyby zabójstwo, o jakim mowa, zdarzyło się na terenie tego stanu, przywileje małżeńskie zostałyby uchylone, gdyż w Kolorado automatycznie przestają obowiązywać, gdy w grę wchodzi poważne przestępstwo. W innych stanach podobne okoliczności są zróżnicowane i obowiązują różne przepisy. W niektórych, podobnie jak w Kolorado, automatycznie uchyla się je w wypadku poważnego przestępstwa, w innych nie. Podsumowując, wiele zależy również od tego, na terenie którego stanu doszło do zabójstwa będącego przedmiotem dyskusji.

- Mów dalej.

- W wielu stanach, między innymi w naszym, nikomu nie wolno zeznawać przeciwko współmałżonkowi bez jego wiedzy. W niektórych nawet najcięższe przestępstwo nie może być powodem odstępstwa od tej reguły. Jeśli twoja klientka pochodzi właśnie z jednego z tych stanów, nie będzie mogła składać zeznań przeciwko mężowi, nawet w sprawie o zabójstwo, jeśli on nie wyrazi na to zgody, co, jak sam chyba przyznasz, wydaje się bardzo mało prawdopodobne, skoro ona oskarża go o morderstwo. Emily otarła się o moje kolano i przekrzywiła łepkę, żeby ją podrapać za uchem, co też natychmiast uczyniłem.

- Znasz dokładnie przepisy obowiązujące w tym zakresie w poszczególnych stanach?

- A konkretnie w którym? - zaciekała się Lauren.

- Przykro mi, ale nie mogę ci powiedzieć, nawet gdybym bardzo tego chciał. Więc jak jest w pozostałych?

- Zdawałam egzamin do palestry w Kalifornii.

Dla nas obojga było to drugie małżeństwo. W czasie pierwszego osiadła na krótko w Kalifornii. Rzadko rozmawialiśmy o naszych poprzednich związkach, toteż jej wzmianka o pobycie w Kalifornii zawisła w powietrzu niczym odór prażonego czosnku.

- W porządku, więc jak wyglądają przywileje małżeńskie w Kalifornii? Pamiętasz jeszcze tego rodzaju szczegóły?

- Upłynęło sporo lat, ale z tego, co pamiętam, tamtejsze prawo zalicza się do bardzo konserwatywnych czy też liberalnych, zależnie od tego, czy ocenia je oskarżyciel, czy obrońca. Wydaje mi się, że w Kalifornii także obowiązuje przepis o koniecznej zgodzie współmałżonka, od której nie stanowi wyjątku nawet sprawa o zabójstwo.

- Co oznacza, przynajmniej w teorii, że gdyby do morderstwa opisywanego przez moją klientkę doszło w Kalifornii, nie mogłaby zeznawać przeciwko mężowi bez jego zgody?

- Otóż to. Jeśli się nie mylę.

Coś mi podpowiadało, że się nie myli. Z doświadczenia wiedziałem, że w zagadnieniach prawnych można na Lauren całko-

wicie polegać. Zamyśliłem się nad komplikacjami, jakie stwarzały objaśnione przez nią przepisy, i powiedziałem:

- Chciałem dzisiaj omówić tę sprawę z Samem. Żeby się przekonać, jak to będzie wyglądało z punktu widzenia policji, jakiej reakcji mogę się spodziewać, gdy zadzwonię z tego typu

rewelacjami. W ostatniej chwili doszedłem jednak do wniosku, że nie jest to najlepszy pomysł.

- Nie, zwłaszcza z jego strony. A w każdym razie nie teraz, biorąc pod uwagę stan jego zdrowia. Uważam zresztą, że tobie taka rozmowa też nie wyszłaby na dobre. Nie sądzę, byś dobrowolnie chciał się mieszać w coś takiego, Alan. Dobrze się nad tym zastanów.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- Załóżmy, że twoja klientka się nie myli co do... uczynków swojego męża. W takiej sytuacji miałbyś świadomość trzech rzeczy. Po pierwsze tego, że jest zabójcą. Po drugie, że fizycznie znęcał się nad żoną...

W zamyśleniu uniosła łyżkę do ust.

- A po trzecie?

Przełknęła zupę, odchyliła się na oparcie krzesła, pociągnęła jeszcze łyżeczek rieslinga, wreszcie odpowiedziała:

- No cóż, nie będzie zbyt szczęśliwy, że doniosłeś na niego policji. - Pochyliła się szybko nad stołem i zacisnęła palce na mojej dłoni. - Nie wolno ci zapominać o Emily i Grace. Nie mam pojęcia, jak byśmy sobie poradziły bez ciebie.

- Nie wymieniłaś jeszcze Anvila - wtrąciłem.

- Jego też to dotyczy.

- Może byś teraz odpoczęła? Sam zajmę się Grace. Wstała od stołu, zapewne nieświadoma, że w takich chwilach

uważnie obserwuję, jak utrzymuje równowagę. Nie miała pojęcia, jakim wzrokiem oceniam stabilność jej kroków, ilekroć się ode mnie oddala.

Ale tym razem zatrzymałem ją jeszcze przed wyjściem z kuchni.

- Czy przywileje małżeńskie nakładają ograniczenia na działalność policji? Czy konieczność uzyskania zgody na składanie zeznań przez współmałżonka w jakikolwiek sposób rzutuje na dochodzenie? Jeśli ona już teraz, nie czekając na zgodę męża, ujawni policji swoje podejrzenia, czy wpłynie to jakoś na ewentualną ocenę materiału dowodowego przed sądem?

- Dlaczego uważasz, że mogłyby stąd wyniknąć jakieś problemy?

- Reguła owocu z zatrutego drzewa?

- W tym wypadku nie ma zastosowania. Przywileje małżeńskie dotyczą wyłącznie zeznań przed sądem, w żaden sposób nie ograniczają działań policyjnych na etapie śledztwa.

Policjanci mogą do woli wypytywać o współmałżonka. Tyle że... nie zapominaj, że już od dawna nie miałam do czynienia z prawem precedensowym, nie śledziłam procesów. Może byłoby lepiej, gdybyś porozmawiał z czynnym obrońcą, kimś takim jak Cozy czy Casey, zanim podejmiesz decyzję co do dalszych kroków.

Cozy Maitlin i Casey Sparrow byli dobrze nam znanymi obrońcami w sprawach karnych.

Oceniając od strony zawodowej, nawet za dobrze.

- Myślałam już o tym, żeby zasięgnąć rady adwokata.

- Wspomniałam, że możesz natrafić na poważne przeszkody prawne, Alan. Dlatego wolę nie udzielać ci żadnych rad.

- Nawet tych całkiem prywatnych?

Oparła dłoń na biodrze wysuniętym w bok. Przyjęła postawę o charakterze prowokacji erotycznej, w każdym razie niemającą nic wspólnego z profesjonalizmem.

- W przyszłości daj trochę więcej soli do zupy. A co się tyczy rieslinga... - posłała mi całusa - ...był idealny.

- Dziękuję. Uśmiechnęła się serdecznie.

- Do tego zabójstwa doszło w Kalifornii, prawda? Odpowiedziałem uśmiechem. Miałem jednak świadomość,

że bardziej przypomina on bolesny grymas.

W tym momencie ciszę rozdarł przenikliwy głosik naszej córki.

Lauren trafnie odgadła. Tej nocy żadne z nas prawie nie zmrużyło oka.

10

Absolutnie wszyscy mieli okazję podziwiać niewyraźne, ziarniste, czarno-białe zdjęcie mojej pierwszej wtorkowej klientki. Jej podobizna znalazła się w telewizji, gazetach, czasopismach, internecie - wszędzie, gdzie tylko dało się ją zamieścić. Wszystko wskazywało jednak na to, że byłem jedynym człowiekiem zdolnym zidentyfikować osobę ukazaną na osławionej fotografii z kamer systemu bezpieczeństwa.

Kim była? Nazywała się Sharon Lewis i pracowała jako kierowniczka działu sprzedaży w wielobranżowej firmie o nazwie Micro Motion. Dwa tygodnie i jeden dzień wcześniej, niemal dokładnie o tej samej godzinie, o której rozpoczynaliśmy naszą drugą sesję psychoterapeutyczną, życie zmusiło ją do pospiesznej zmiany przebitego koła na Boulder Turnpike, przez co znacznie się opóźnił jej przyjazd na lotnisko międzynarodowe w Denver. Biegając z lotniskowego parkingu w stronę wejścia do hali odlotów, stwierdziła z przerażeniem, że ma zaledwie trzydzieści trzy minuty do startu samolotu do Houston; miała ją zabrać na umówione spotkanie służbowe, którego pod żadnym pozorem nie mogła odwołać. W poniedziałkowe ranki na lotnisku w Denver zawsze rozgrywają się dantejskie sceny, toteż zaledwie Sharon wbiegła do sali odpraw, osłupiała na widok tłumu zniecierpliwionych, uzbrojonych w walizki wojowników gotowych wyruszyć na swoje zwykłe cotygodniowe patrole, który kłębił się przed dodatkowym punktem kontrolnym, jakie ustawiono na wszystkich lotniskach po jedenastym wrześniu.

Ciągnąc za sobą torbę podróżną na kółkach, Sharon ruszyła prosto w kierunku punktu odpraw bagażowych, lecz bynajmniej się nie zdziwiła, gdy funkcjonariusze federalnych służb bezpieczeństwa natychmiast skierowali ją na koniec kolejki przesuwającej się leniwie niczym krew w żyłach obżartucha po obfitym obiedzie w restauracji Mortona.

A gdy w końcu dotarła do stanowiska kontrolnego, skierowano ją do następnej kolejki przed maszyną do prześwietlania bagażów, gdzie jej cierpliwość po raz kolejny została wystawiona na ciężką próbę. Znalazła się bowiem za sześćoosobową rodziną zachowującą się tak, jakby żadne z nich nie miało dotąd nigdy do czynienia z magnetometrem. Co gorsza, każde było wyposażone w taką ilość przymocowanych do ciała metalowych gadżetów, jak Edward Nożycoręki po zakończeniu zlotu miłośników kolczykowania.

Po wielu ciężkich westchnieniach i spojrzeniach kierowanych w stronę nieba udało jej się wreszcie przejść przez bramkę wykrywacza metali, ale zaraz potem, jak można było przewidzieć, skierowano ją do dokładniejszej kontroli prowadzonej przez atletycznie zbudowaną i wyzutą z poczucia humoru kobietę uzbrojoną w przenośny czujnik elektroniczny oraz pogardliwy stosunek do całego świata.

Jeśli można było wierzyć jej samoocenie, Sharon Lewis należała do ludzi, którzy cofają samochód bez patrzenia w lusterko, liczą artykuły w koszykach osób stojących przed nią w kolejce do ekspresowych kas w supermarkecie i dla których synonimem wspaniałych wakacji jest niekończąca się kąpiel. Jej przyjaciele, choć tych można było policzyć na palcach jednej ręki, z pewnością zaliczali ją do ludzi nietolerancyjnych.

Czekając niecierpliwie w kolejce do umundurowanej strażniczki, przeniesionej tu zapewne z bazy szkoleniowej komandosów, Sharon zerknęła przelotnie na zegarek i przekonała się z przerażeniem, że zostało jej tylko dziewięć minut do startu samolotu do Houston. A przez te dziewięć minut musiała nie tylko przejść kontrolę u barczystej funkcjonariuszki, ale jeszcze zbiec na dół, złapać autobus przewożący podróżnych do terminalu B, tam zaś przemierzyć sprintem cały budynek do bramki numer dziewiętnaście, która, rzecz jasna, znajdowała się na samym

końcu hali, a więc tak daleko od przystanku autobusowego, jak tylko było to możliwe.

I właśnie wtedy, w owej krytycznej chwili porannych ćwiczeń z wytrzymałości, kiedy spoglądała na zegarek i dokonała pobieżnych obliczeń, Sharon Lewis podjęła swoją pamiętną złą decyzję.

Oslawione zdjęcie z zapisu systemu bezpieczeństwa - to zamazane i ziarniste, na które musiał zwrócić uwagę każdy, kto choć raz zaznał niewygód na lotnisku w dowolnym zakątku świata - po raz pierwszy zostało opublikowane w magazynie „Time” pod znamiennym tytułem: **NAJBARDZIEJ SAMOLUBNA KOBIETA W AMERYCE.**

Jak Sharon zasłużyła sobie na ten tytuł?

Rozejrzała się szybko dookoła i doszedłszy do wniosku, że nikt nie zwraca na nią uwagi, a już najmniej atletyczna funkcjonariuszka z elektronicznym wykrywaczem metali w rękę, pochłonięta bez reszty zdejmowaniem aluminiowych ozdób z laski dystygowanego staruszka azjatyckiego pochodzenia. Fakt, że jest całkowicie ignorowana, nie tylko doprowadził ją do furii, ale także przypomniał o istnieniu czegoś nazywanego swobodami obywatelskimi. Miała już dość czekania w następnej kolejce. Miała dość wypadków, które tego ranka los piętrzył na jej drodze. Jak określiła to później w rozmowie ze mną, „zbrzydło jej liczenie idiotów”. Tylko minuty dzieliły ją od startu samolotu z Denver do Houston, i wszystko wskazywało na to, że wystartuje bez niej.

Co zatem zrobiła? Wzięła sprawy w swoje ręce. Zdjęła ze słupka oczko łańcuszka obciążonego czarnym nylonem, prześliznęła się na drugą stronę, zapięła z powrotem linkę zabezpieczającą, chwyciła z żelaznego blatu swoją walizkę wciąż oczekującą na prześwietlenie w maszynie i niepostrzeżenie ruszyła truchtem w stronę ruchomych schodów. Niespełna minutę później wepchnęła się w następną kolejkę - tym razem przed kalekę w wózku inwalidzkim - i wskoczyła do autobusu przewożącego pasażerów z terminalu na odległe stanowiska startowe.

Według doniesień prasowych, minęło osiem minut od chwili bezprawnego przekroczenia przez Sharon linii drugiej strefy bezpieczeństwa, zanim służby lotniskowe - powiadomione przez człowieka stojącego dotąd w kolejce bezpośrednio za nią - uznały, że faktycznie wyznaczone ściśle granice sektorów zostały naruszone. Dwie następne minuty zajęło im zablokowanie wszystkich punktów kontrolnych w terminalu. Cztery minuty po ogłoszeniu alarmu ostatecznie odcięto dostęp podróżnych do wszystkich bramek. Ale upłynęło jeszcze parę kolejnych minut, zanim wstrzymano odprawy pasażerów przy wszystkich bramkach, samoloty kołujące już na pas startowy zawrócono do wylotów rękawów oraz podjęto regulaminowe działania zmierzające do cofnięcia wszystkich do głównej sali terminalu i rozpoczęcia wzmożonej kontroli od nowa.

Znacznie później, gdy ludziom odpowiedzialnym za ochronę lotniska udało się odnaleźć na zapisie wideo krytyczną chwilę, wyodrębniono z niego owo zamazane, ziarniste, czarno-białe zdjęcie przedstawiające Sharon Lewis z torbą podróżną na kółkach w chwili przekraczania oddzielonej barierką granicy drugiej strefy bezpieczeństwa.

Niemniej służby bezpieczeństwa nie miały pojęcia, że kobieta, która spowodowała zatrzymanie całego systemu ochrony, nazywa się Sharon Lewis. Nikt nie wiedział, że osoba odpowiedzialna za to, iż dziesiątki tysięcy innych pasażerów straciły cenny czas, a linie lotnicze z całego kraju musiały wypłacić miliony dolarów w ramach odszkodowań za opóźnienia czy wręcz likwidację połączeń, jest kierownikiem działu sprzedaży w podrzędnej firmie wielobranżowej z Boulder. Zdołano jedynie ustalić, że winowajcą zamieszania jest szczupła kobieta o ciemnoblond włosach, mająca sto pięćdziesiąt dwa do stu pięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, ubrana w białą bluzkę i czarną garsonkę, podróżująca z walizką na kółkach.

A co na to Sharon? Nie miała najmniejszego pojęcia o powstałym zamieszaniu, gdyż zanim służby bezpieczeństwa zdążyły zamknąć lotnisko, jej samolot linii United Airlines do Houston szczęśliwie wystartował. Dopiero pod koniec dnia dowiedziała się o reperkusjach

swojego wyczynu. Przedstawiciel kontrahenta z Teksasu, z którym spotkała się tego dnia, opowiedział jej o całym zajściu, nie omieszkając przy tym opisać sprawczyni zamieszania jako „samolubnej suki, przez którą służby bezpieczeństwa musiały zamknąć lotnisko”. Skwitowała tę uwagę uśmiechem, chociaż żołądek podszedł jej do gardła. Ale już podczas naszej pierwszej sesji zapewniła mnie solennie, że w najmniejszym stopniu nie przeszkodziło jej to w sfinalizowaniu transakcji.

Przez dwa tygodnie od niesławnego zamieszania na lotnisku służby federalne desperacko poszukiwały kobiety uwiecznionej na zamazanym ziarnistym czarno-białym zdjęciu. Planowano ją aresztować, oskarżyć, skazać na wysoką grzywnę i wsadzić za kratki, niekoniecznie w tej kolejności. Sądząc z tonu publicznej dyskusji, jaka wywiązała się po wypadku, spektrum ewentualnych kar dla sprawcy mogłoby obejmować nawet ścięcie bądź ćwiartowanie.

Na szczęście nikt nie wiedział, kim była ta kobieta i gdzie należało jej szukać.

Oczywiście poza mną. Ale ja byłem zakneblowany obowiązkiem dotrzymania tajemnicy służbowej.

11

Z Sharon byłem umówiony na ósmą. Po niej, o ósmej czterdzieści pięć, miałem drugiego pacjenta. O dziewiątej trzydzieści następnego, a o dziesiątej piętnaście jeszcze jednego. Na jedenastą wyznaczyłem sobie przerwę, żeby złapać głębszy oddech, pójść do toalety i przygotować się na rozmowę z Gibbs. Ale już wcześniej pęcherz dał mi znać, że nie jest z tego zadowolony.

- Sterling myśli, że pojechałam do centrum handlowego w Broomfield. Uważa, że tylko zakupy mi w głowie - oznajmiła Gibbs, sadwiąc się na kanapie.

Czekałem, co będzie dalej. Po takim wstępie oczekiwałem jedynie potwierdzenia, że nadal chce mnie wciągnąć do swego konspiracyjnego spisku. Chociaż w zasadzie już to wiedziałem. Ewidentnie zgłosiłem się na ochotnika do tej roli w czasie poprzedniej sesji.

Co za tym idzie, teraz mogłem się tylko zastanawiać nad powodem, dla którego tak ochoczo podniosłem wtedy rękę.

- Gdyby wiedział, że siedzę teraz w pańskim gabinecie, pewnie od razu by mnie zabił.

- Zabił?

- Pewnie.

- Dla mnie to wcale nie jest pewne.

- W każdym razie nie byłby zadowolony. Może lepiej nie rozwijajmy tego tematu.

Świetny pomysł, lepiej go nie rozwijajmy. Sam nie umiałbym zaproponować nic lepszego.

Front wysokiego ciśnienia ściągający do nas masy ciepłego powietrza od dnia, kiedy Sam wylądował w szpitalu, trwał niezmiennie w jednym miejscu i choć minęła już połowa listopada, na dworze wciąż było bardzo przyjemnie. Kiedy wprowadzałem Gibbs z poczekalni dokładnie minutę po jedenastej, szybki rzut oka za okno upewnił mnie, że dzień, który od samego rana zapowiadał się wspaniale, z godziny na godzinę staje się jeszcze wspanialszy. Niewiele ponad miesiąc dzieliło nas od świąt Bożego Narodzenia, tymczasem tutaj, prawie dwa tysiące metrów nad poziomem morza, temperatura przekraczała dwadzieścia pięć stopni. Gibbs była ubrana tak, jakby nie spała całą noc, tylko wysłuchiwała aktualnych prognoz pogody, by jak najlepiej dobrać strój na wyjście z domu. Miała na sobie rybaczkę, tylko odrobinę nazbyt różowe i trochę zanadto obciskające jej zgrabne nogi. Naprawdę tylko trochę. Do tego pantofelki jak zwykle wygł-

ia:

dające niczym prosto z salonu mody. Mówiąc szczerze, moje buty nigdy nie prezentowały się tak dobrze, nawet jeśli miałem je pierwszy raz na nogach. Sweterek w kolorze szampana - zapewne jedwabny, ale z domieszką kaszmiru - idealnie podkreślał zmysłowy kształt jej biustu, chociaż wycięcie dekoltu ledwie sięgało początku rowka między piersiami. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiłem sobie wyobrazić, aby któraś z moich wcześniejszych pacjentek mogła przyjść na poranną sesję ubrana podobnie.

Ona jednak prezentowała się w tym stroju doskonale.

Od razu przyszło mi na myśl, że Diane podsumowałaby zapewne, iż wygląda jak zdzira. Przerklamowana suka typu alfa.

Co się tyczy podobnie charakterystycznych określeń, zdecydowałem natychmiast, że wolę „Tańczącą Królową”.

Z naszych spotkań sprzed dziesięciu lat utkwiło mi w pamięci, że Gibbs zawsze balansowała z ubiorem na granicy między stylem klasycznym a najnowszymi trendami mody, lecz nigdy jej nie przekraczała. Dzisiejszy strój doskonale pasował do tamtej charakterystyki.

Niemniej, oskarżenie męża o popełnienie morderstwa wyniosło ją daleko poza ustalone granice.

- Rozmawiał pan z tymi ludźmi, z którymi miał porozmawiać? - zapytała.

- Tak, rozmawiałem. Najpierw skonsultowałem się z doktor Estevez, a później razem poprosiliśmy o spotkanie kierowniczkę schroniska dla kobiet. Personel schroniska czeka na telefon od pani. Z przyjemnością udzieli pani bezpiecznej gościny pod swoim dachem. Jak tylko będziemy gotowi, ktoś ze schroniska przyjedzie tu po panią. Chcą mieć pewność, że nikt nie będzie pani śledził w drodze do ich ośrodka.

Gibbs założyła nogę na nogę, zatrzepotała powiekami i odparła:

- Chyba nie mam ochoty ukrywać się w schronisku. Zmieniłam zdanie. - Ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami i dodała: - Tylko proszę się nie złościć.

Na wcześniejszym etapie zawodowej kariery byłbym gotów pewnie uznać taką postawę za godną podziwu, lecz jeśli nawet tak było, to tamte czasy minęły bezpowrotnie.

- Rozumiem - odparłem.

Ale tylko to powiedziałem na głos, bo w głębi duszy już wrzeszczałem na nią: „Jak mam to rozumieć, do jasnej cholery? Zwariowałaś? Przecież sama twierdzisz, że mąż by cię zabił!”. Tylko czy naprawdę zaskoczyła mnie ta zmiana stanowiska?

Niespecjalnie. Koleżanka specjalizująca się w sprawach z zakresu przemocy w rodzinie powiedziała mi kiedyś, że maltretowana kobieta średnio pięć razy odchodzi od męża, zanim rzuci go ostatecznie. W jej świecie dopiero to szóste rozstanie miało jakąś magiczną moc. Przynajmniej biorąc rzecz statystycznie. Pamiętałem bowiem, że jedna z jej pacjentek wracała do oprawcy aż jedenaście razy.

Jedenaście. A każdy, kto choć pobieżnie miał do czynienia z psychoterapią maltretowanych kobiet, wie doskonale, jak dużo pacjentek w ogóle nie chce słyszeć o rozstaniu z mężem.

W moim przeświadczeniu Gibbs należała właśnie do tej grupy. Ani razu nie próbowała rzucić Sterlinga. Ewentualna krótka podróż do miejskiego schroniska dla kobiet miała być dla niej pierwszą, dziewiczą próbą separacji.

-! Martwi się pani tym, że mogę być na panią zły? - zapytałem, siląc się na ton równie łagodny, jak szampon, którego używałem do mycia mięciutkich włosów córeczki.

Początkowa fala złości dawno minęła i ponownie byłem na płycznach ciepłego morza współzucia w drodze do archipelagu psychologii, zastanawiając się, jakie okoliczności musiałyby zaistnieć, by cierpiące kobiety w rodzaju Gibbs były zdolne do podjęcia decyzji oczywistej nawet dla czterolatka spotykającego się na podwórku z nazbyt agresywnym rówieśnikiem.

- Zadał pan sobie mnóstwo trudu z mojego powodu. A ja nie cierpię okazywania niewdzięczności. To było bardzo miłe z pańskiej strony.

Miłe?

- Przejmuje się pani moją reakcją?

- Owszem.

- Chce pani z niej coś wywnioskować?

Co bardziej doświadczeni pacjenci psychoterapeutów sami zadają sobie takie pytania, nie trzeba ich nakierowywać. Podejrzywałem jednak, że Gibbs daleko było jeszcze do etapu, na którym umiałyby to zrobić.

- To, że nie lubię rozczarowywać ludzi? - odpowiedziała pytająco.

W szkole średniej siedziałem w jednej ławce z chłopakiem, który na wszystkie pytania z algebry odpowiadał dokładnie tak samo, też pytaniami, z tą samą intonacją. Przez cały pierwszy rok.

- A może... przejmuję się pani moją reakcją na tej samej zasadzie, na jakiej czasami martwi się pani o reakcję Sterlinga.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Załóżmy, że podjęła pani decyzję w obawie przed tym, by nikogo nie rozczarować, albo w trosce o to, żeby nikogo nie rozżłościć. Jeśli naprawdę zależy pani, żebym nie był zły, mogę tylko zgadywać, jak bardzo brałaby pani pod uwagę ewentualną reakcję Sterlinga, gdyby usłyszał z pani ust to samo, co ja usłyszałem, albo gdyby się dowiedział, że zamierza pani od niego odejść.

- Nie, chyba nie to jest najważniejsze - odparła.

Jak długo się nad tym zastanawiała? Niecałą sekundę. Nie było się co ludzi, że na tym etapie psychoterapii uda mi się przekazać jej jakiegokolwiek życiowe mądrości.

- A zatem zmieniła pani zdanie? - wróciłem do pierwotnego tematu rozmowy.

- Nie w sprawie całego tego morderstwa. Nic podobnego. Tylko w kwestii poczucia bezpieczeństwa we własnym domu. Tylko w tym zakresie zmieniłam zdanie.

Naprawdę powiedziała: „całego tego morderstwa”?

- Zatem nie obawia się już pani, że mąż będzie zły, gdy odda go pani w ręce policji z podejrzeniem o popełnienie morderstwa?

Na wydziale psychologii klinicznej prowadzone jest całoroczne seminarium na temat metod zadawania oczywistych i banalnych pytań z zachowaniem całkowitej powagi.

Zaliczyłem je celująco.

- Sterling naprawdę mnie kocha. Doszłam do wniosku, że wolałby, abym była przy nim, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Wyjaśni? A jak, pani zdaniem, ta sprawa może się wyjaśnić?

- Pewnie doprowadzi do jego aresztowania. Na jakiś czas rozwiąże to moje problemy.

Przynajmniej w kwestii całego tego morderstwa. A potem... Sama nie wiem. W dzisiejszych czasach, przy pomocy wytrawnego adwokata, wszystko jest możliwe.

Wywody Gibbs były z pozoru racjonalne, ale świadczyły o niewiarygodnej naiwności.

Dlatego, mimo że wiedziałem doskonale, jak powinienem zareagować, odczekałem parę sekund, nim zabrałem głos. Miałem nadzieję, że i do niej dotrze groźne echo jej własnych słów, ale tak się nie stało.

- Na początku dzisiejszej sesji powiedziała pani, że Sterling ją zabije. Teraz zaś chce pani mnie przekonać, że doszła do wniosku, iż we własnym domu, a więc przy nim, będzie pani całkiem bezpieczna, chociaż zamierza go wydać w ręce policji, oskarżając o zabójstwo wspólnej przyjaciółki?

Z niewyjaśnionych powodów rozpromieniła się nagle i wykrzyknęła:

- Czyż to nie wspomniała?! Chyba dokładnie tak samo zareagowałby doktor Phil!

- Słucham?



- Doktor Phil... No, wie pan, ten... Nie zna go pan? Tego telewizyjnego psychologa? - Na pewno spostrzegła, że jestem porażony, bo szybko dodała: - Proszę się nie martwić, nie ma dla mnie większego znaczenia, czy pan zna... - umilkła.

Prawdę mówiąc, miałem dość mętne pojęcie, kim jest doktor Phil. Poruszyło mnie jednak to, że nie zdołałem rozsądzić, czy to dobrze, czy źle, że zaczynam mówić jak człowiek zarządzający zbiorowe seanse psychoterapeutyczne przed kamerami telewizyjnymi.

Zanotowałem w pamięci, żeby zapytać Diane, do jakiego stopnia powinienem się czuć urażony tym porównaniem. Ona trzymała rękę na pulsie tego typu wydarzeń.

- Wczoraj bała się pani Sterlinga tak bardzo, że prosiła mnie o pomoc w znalezieniu miejsca w schronisku. Dziś natomiast utrzymuje pani, że zagrożenie nie jest realne. W którą wersję mam teraz wierzyć?

- Sterling na pewno mnie nie skrzywdzi.

Uznałem to za bardzo ciekawe. Może trochę zanadto z dziedziny pobożnych życzeń, ale i tak interesujące.

- Nie słyszy pani zakłopotania pobrzmiwającego w pani głosie? - zapytałem.

- Wcale nie jestem zakłopotana. Po prostu zmieniałam zdanie. Ludzie często tak robią.

Zwłaszcza wtedy, gdy zareagują na coś impulsywnie.

Postanowiłem ostrożnie wysondować grunt.

- Gibbs, czy pani przeświadczenie o tym, że Sterling pani nie skrzywdzi, kiedykolwiek powstrzymało go od krzywdzenia pani?

Westchnęła ciężko i uśmiechnęła się niepewnie. Uznałem to za dowód, że moje kolejne pytanie należało do repertuaru doktora Phila.

- Czy to, że krzywdzi mnie teraz, nie byłoby dowodem na to, co zrobił Louise? Nie, nie podjąłby takiego ryzyka. Sterling nie jest głupi.

- A pani jest gotowa na podjęcie ryzyka? Na pewno jest pani przekonana, że mimo wszelkich gróźb i wcześniejszych postępów, mimo że oskarża go pani o zamordowanie waszej przyjaciółki, nie zrobi pani żadnej krzywdy? - Miałem nadzieję, że w moim głosie można łatwo wyczuć skrajne niedowierzenie.

- Tak, jestem - odpowiedziała po chwili. - Na pewno. Nie chcę się ukrywać w schronisku.

Wolę wrócić do domu. Czy mógłby pan od razu skontaktować się z policją w Kalifornii? Już teraz? Mam ochotę jak najszybciej to zakończyć.

- Dlaczego właśnie ja? Czemu sama nie zadzwoni pani na policję?

- Nie mogę. Nie wystarczy, że panu ujawniłam swoje podejrzenia wobec Sterlinga? I to przyszło mi z wielkim trudem.

Nastąpiła cisza, podczas której błagałem ją w myślach, żeby powiedziała coś więcej. Nie odzywała się jednak. Co najmniej dwie minuty przesiedzieliśmy w milczeniu.

Wreszcie zapytałem:

- Lecz nadal godzi się pani współpracować z policją i jest gotowa złożyć wyczerpujące zeznania?

- Jeśli go aresztują? Tak, oczywiście, będę zeznawać. A gdyby policja chciała wcześniej ze mną porozmawiać, udzielę wszelkich wyjaśnień. Przecież już to mówiłam. Staram się postępować jak należy, doktorze Gregory.

Przypomniałem sobie ostrzeżenia Lauren dotyczące przywilejów małżeńskich i zaciękawilo mnie, czy Gibbs coś wiedziała na ten temat, czy zdawała sobie sprawę, że nie może zeznawać przeciwko mężowi w Kalifornii, co oznaczało, że na podstawie jej zeznań policja musiałaby znaleźć jakieś istotne dowody, żeby wznowić dochodzenie.

- A gdyby policjanci chcieli porozmawiać z panią już teraz, w trakcie naszej rozmowy telefonicznej?

- Nie. Teraz nie jestem jeszcze gotowa.

Zamyśliłem się, czy nie skorzystać z otwierającej się przede mną furtki. Gibbs nie zamierzała dotrzymać warunków umowy, jaką nieformalnie zawarliśmy poprzedniego ranka, to znaczy rezygnowała z opieki schroniska. Doszedłem do wniosku, że zmiana jej stanowiska zwalnia mnie z obowiązku dotrzymania moich warunków, do jakich należała telefoniczna rozmowa z policyjnym detektywem z Kalifornii.

Jednakże w głębi serca byłem przeświadczony, że i tak powinienem zadzwonić do Kalifornii, nie tylko dlatego, że jej to obiecałem, czy też z powodu jakiegoś idiotycznego poczucia obowiązku co do hipotetycznej nieformalnej umowy, jaką niby byliśmy związani. Byłem gotów powiadomić policję, ponieważ tak właśnie należało postąpić. Dlaczego? Bo sprawa dotyczyła morderstwa. To fakt, że mogłem poświęcić nawet cały okres terapii na próby przekonania jej, że powinna sama skontaktować się z policją, ale skoro chodziło o nierozwiązaną sprawę zabójstwa, wolałem bezzwłocznie zająć się tym sam.

W końcu uzyskałem informacje o nierozwiązanej zagadce morderstwa, znalazłem się więc w sytuacji, w której mogłem pomóc policji w wyjaśnieniu sprawy i aresztowaniu winnego. Z mego punktu widzenia była to sytuacja niemal podręcznikowa. A na dodatek niezwykła, gdyż niecodzienne okoliczności stwarzały mi wyjątkowe etyczne sanktuarium, dysponowałem już bowiem zgodą pacjentki na udostępnienie śledczym posiadanych przez mnie informacji.

Coś takiego bardzo rzadko przytrafia się w tej profesji. Nie mogłem sobie przypomnieć, abym już kiedyś znalazł się w podobnie komfortowej sytuacji.

Niemniej, siedząc naprzeciwko Gibbs, wcale nie czułem, że mam pełną swobodę działania. Odczuwałem przede wszystkim chęć utrzymania dystansu. Może powinienem był zwrócić baczniejszą uwagę na sygnały ostrzegawcze, które już wtedy do mnie docierały. Bo wszystkie zdawały się mówić to samo: Zastanów się dobrze.

Ale je zlekceważyłem. Wstałem zza biurka, podszedłem do stolika pod ścianą i podniosłem słuchawkę telefonu.

- Już podaję numer - odezwała się Gibbs. Odłożyłem słuchawkę.
- Rozmawiałoby mi się dużo swobodniej, gdyby nie planowała pani jednak powrotu do domu.

Przygarbiła się wyraźnie.

- Sterling jest jaki jest, niezależnie od tego, czy pan zadzwoni, czy nie.
- To prawda, ale obawiam się, że może panią skrzywdzić.
- Nie sądzę. Bardzo się o mnie troszczy. Nie twierdzą, doktorze Gregory, że to jakaś szczególna, niespotykana troskliwość, ale jak na niego to naprawę duży.
- Troskliwość?
- Właśnie. Jest bardzo opiekuńczy. No i zdecydowany. Bardzo zdecydowany. Ale tknął mnie tylko raz. I to w złości. Poza tym zdarzyło się to... wiele lat temu. Naprawdę dawno. Więc jak? Zadzwoni pan już teraz?
- Sam nie wiem. - Ani trochę nie kłamałem.

Gibbs usadowiła się wygodniej, odchyliła na oparcie fotela, znów założyła nogę na nogę i złączyła ręce na brzuchu, palcami jednej ręki obejmując łokieć drugiej.

- Pamięta pan, jak powiedziałam wczoraj, że nie chodzi tylko o Louise?
- Owszem. - Ciarki przeszły mi po plecach. Odwróciła głowę.
- Ale tego nie powie pan policji, dobrze? Zachowa pan dla siebie to, co teraz powiem.
- Mówiąc szczerze, to nie ja powinienem zadzwonić do Kalifornii, Gibbs, tylko pani. Więc to pani decyduje, jakie informacje zostaną ujawnione w tym pokoju.
- Wobec tego to, co od tej pory powiem, musi pozostać tylko między nami. Nie wolno panu rozmawiać o tym ani z doktor Estevez, ani z policją kalifornijską.
- Czy chce pani w takim razie pisemnie cofnąć udzieloną mi wcześniej zgodę?

Natychmiast zadałem sobie w myślach pytanie, dlaczego sformułowałem to w taki właśnie sposób. Chyba jeszcze nigdy nie podsuwałem żadnemu pacjentowi takiego pomysłu.

Spojrzała na mnie.

- Nie, to nie będzie konieczne. Ufam panu.

Dziwnym sposobem jej zapewnienie o zaufaniu w żadnym stopniu nie zmniejszyło moich obaw. Zresztą, nawet nie zareagowałem. Po prostu cierpliwie czekałem na to, co ma mi do powiedzenia.

Okazało się, że Gibbs nie potrzebuje wiele czasu, żeby pokonać wewnętrzne opory przed wyjawieniem kolejnej tajemnicy.

- Naprawdę nie chodzi tylko o Louise. Chciałabym, żeby sprawa dotyczyła tylko jej. I choć moim zdaniem od Louise wszystko się zaczęło, nie skończyło się na jednym zabójstwie. Mój mąż zamordował kilka kobiet. W różnych regionach kraju.

Z trudem maskując osłupienie, wyłożyłem na stół trzymane w ręku dwie słabiotkie pary, podczas gdy Gibbs z triumfalną miną ujawniła swego królewskiego pokera seryjnego mordercy.

12

"Dobra rada.

„Nie schodź z wyznaczonych ścieżek i szlaków". Tak radziła pierwsza tablica ostrzegawcza. Stała dobre sto metrów wcześniej, gdzie docierało jeszcze trochę światła z sali odwiedzin.

„Nie zbliżaj się do wody". Ten nakaz znajdował się przy szlaku dziesięć metrów dalej.

Zatem teraz łamała już wszelkie zasady. Nie znajdowała się na ścieżce i była nad wodą.

Wyczuwała pod bosymi stopami, że grząski błotnisty grunt zmienia się stopniowo w coś przypominającego ociekające wodą i gnijące siano. Smród stawał się nie do zniesienia. W ciemnościach zdawał się najsilniej działającym sygnałem ostrzegawczym.

Półpłynna maź przeciskała się między palcami u nóg.

Kapała się dwa razy dziennie. Każdego dnia rano i wieczorem. Brzydziła się brudem.

A tu w dodatku zetknęła się ze zgnilizną. Koszmar! Ciarki chodziły jej po plecach.

Noc była bezksiężycowa. Przed oczyma pojawiały się rozmazane smugi światła, które całkiem znikwały, ilekroć próbowała skupić na

nich wzrok. Nic nie widziała. Tylko ten smród i wrażenie gnijących części roślin

przeciskających się między palcami nóg świadczyły wyraźnie, że znalazła się na skraju bagna.

Była jeszcze jedna tablica z napisem: „Zabrania się rozpalania ognisk i wyrzucania śmieci".

Tej zasady nie złamała. No, może pięć minut wcześniej. Choć nie, upłynęły najwyżej dwie lub trzy minuty. W każdym razie złamała i tę zasadę, kiedy siedziała w samochodzie i paliła papierosa. Ale nie śmieciła. Tylko oddawała się fantazjom. Naprawdę wszystko zmieniło się aż tak bardzo w ciągu dwóch minut?

Tak. Wszystko uległo zmianie.

Wstrząsnął nią dreszcz. „A dlaczego jestem naga?"

„Ach, tak".

Sterling.

„Cholerny Sterling".

Pięć minut temu była jeszcze zachwycona. Bardzo jej się ten pomysł spodobał. Słuchawki, kaseta, muzyka, nagrany głos. W ogóle wszystko. Samo rozbieranie się w samochodzie. I czekanie na niego, już całkiem nago. Oczekiwanie na...

Próbowała się skoncentrować.

Szczerze? Bardziej przerażało ją to bagno niż widok pistoletu. Wychowywała się w Yirginii, w ciągłym kontakcie z bronią palną, nawet sama potrafiła nieźle strzelać. Co prawda, od tamtej pory nie miała broni w ręku. Tyle że ten pistolet był wymierzony w nią. A tego już nie mogła lekceważyć.

Tym bardziej nie mogła lekceważyć bliskości bagna.

Nienawidziła mokradeł i wszystkiego, co na nich żyło. Bała się węży. Bała się aligatorów.

Brzydziła się żabami. Brzydziła się nawet całkiem niegroźnymi ważkami. Kiedy miała trzynaście lat, na szkolnym boisku ważka wplątała jej się we włosy. Była wtedy tak przerażona jej bzykaniem, że omal nie wyrwała z gniazda rączki alarmu przeciwpożarowego, zanim ktoś przyszedł jej z pomocą.

Koledzy ze szkoły nigdy nie pozwolili jej o tym zapomnieć.

Musiała nakazywać sobie w myślach, żeby nie dać się ponieść panice. Na pewno było stąd bezpieczne wyjście. Trzeba je było tylko odnaleźć.

Głos nagrany na kasetcie kazał jej zakleić sobie usta szeroką laśmą samoprzylepną. „Czy to diabełstwo nie zaplątało jej się przypadkiem we włosy? Nie, to co innego”. Sądziła początkowo, że ma to być jakiś żart. Pomyliła się. Dlatego posłusznie zakleiła sobie usta. I teraz przez knebel wydostawały się jedynie stłumione jęki.

Ręce miała skrepowane przed sobą tą samą przekłętą, szarą laśmą. „Wtedy kolejne polecenia układały się przecież w logiczny ciąg”. Czyżby tylko sobie to wmówiła?

„O czym myślałam, do diabła?”.

Po chwili przyszły jej na myśl szare czaple. W końcu czaple lubią bagna. Obserwowała je z przyjemnością z pokładu łodzi w czasie wycieczki po parku Everglades. Polubiła wtedy czaple. I tylko ona im się nie spodobała. Inne ptaki działały jej na nerwy. Dlatego teraz wyobraziła sobie, że otacza ją całe stado szarych czapli. Czapli się nie bała.

Stała nagle.

Głos za jej plecami nakazał:

- Nie zatrzymuj się. - Padło to chrapliwym szeptem. Bez wątplenia był to ten sam głos, który rozlegał się w słuchawkach walkmana. - Nie odwracaj się.

Skoro głos kazał jej iść dalej, ruszyła.

W następnej chwili znalazła się po kostki w zimnej wodzie. Dwa kroki dalej woda sięgała jej już do kolan.

Przez cztery lata mieszkała w Augusta. I przez ten czas ani razu nie odwiedziła pobliskiego parku krajobrazowego Phinizy Swamp. Ani razu. Naprawdę nie znosiła bagien. Chociaż przyjaciółka powiedziała jej kiedyś, że można tam zobaczyć rysie.

Rysie? Znow wstrząsnął nią dreszcz.

Zdecydowanie wolała pola golfowe. W Augusta nie odczuwała potrzeby oglądania żadnych innych krajobrazów, i to najpóźniej do dziewiątej, skoro pola golfowe znajdowały się na drugim końcu

miasta. Zresztą bez trudu mogła sobie wyobrazić północ w okolicy trzynastego dołka. Do tego nie musiała być członkiem klubu. Tym bardziej że tamta noc była... idealna.

Teraz nie miała najmniejszego pojęcia, co znajduje się przed nią. Zwykle oczko wodne o podmokłych brzegach? Czy raczej mokradła o rozmiarach parku Everglades? Jak głębokie są bagna? Można w nich utonąć?

Przeraził ją cichy plusk. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że sama rozchlapała wodę. Jak daleko z tyłu został uzbrojony mężczyzna? Nie potrafiła ocenić, ale nie mogła już dłużej zwlekać. Musiała podjąć jakieś kroki. Zdecydowała się rzucić do ucieczki. Wyobraziła sobie wirującą w powietrzu monetę. Wypadł orzełek.

Zatem powinna uciekać w prawo.

Zanim zdążyła się skierować w bok, do jej uszu dotarł kolejny plusk. Tym razem była pewna, że to nie ona go spowodowała. Przerażliwy krzyk nie wydostał się poza knebel.

- Idź dalej. - Uzbrojony mężczyzna najwyraźniej był z tyłu. - Nie odwracaj się

Dzieliło go od niej zaledwie kilka metrów. Postanowiła wykorzystać tę szansę.

„Teraz!”.

Unosząc wysoko kolana, rzuciła się biegiem w prawo, mając nadzieję - błagając o to w myślach - żeby tych kilka następnych kroków ostatecznie wybawiło ją z opresji. Z pluskiem rozchlapała wodę. Ale przecież nie da się biec w wodzie głębokiej do kolan, nie rozchlapując jej.

„Tylko nie strzelaj, proszę, nie strzelaj”.

Odniosła wrażenie, że wyławia z ciemności niewyraźny zarys najbliższego drzewa. Mogłaby się za nim ukryć. A przynajmniej poszukać pod nim schronienia. Jak daleko stało?

Rozległo się głośniejsze pluskanie. Czy to jej dzieło? Nie umiała rozsądzić. Trafiła stopą na jakąś większą przeszkodę na dnie grząskiego terenu, straciła równowagę i poleciała w prawo. Rzadkie błoto w jednej chwili dostało jej się do nosa i uszu. Poczowała smak zgnilizny na języku. Po raz kolejny próbowała krzyknąć:

- Przepraszam, tatusiu!

Lecz pomimo taśmy, która zaklejała usta, tylko więcej półpłynnego blocka Phinizy Swamp wlało jej się do gardła.

„Musisz znów stanąć na nogi!”.

Próbowała stanąć znowu na dnie.

Nagle coś ją trąciło w biodro.

Dość mocno.

A po chwili gwałtownie wbiło jej się w ciało.

Wbrew sobie popłynęła do tyłu, ku głębszej wodzie. W ostatniej chwili przemknęło jej przez myśl:

„Nienawidzę aligatorów!”.

13

- Jest seryjnym mordercą?

- Nie chcę mówić nic ponad to, co już powiedziałam, doktorze Gregory. Chciałam tylko uświadomić panu, o jaką stawkę toczy się gra.

- Twierdzi pani, że Sterling mordował kobiety w całym kraju?

- Tak. Proszę zawiadomić policję. Powinien się znaleźć za kratkami. Nie możemy tego odwlekać.

„Nie możemy?”.

Z trudem przełknąłem implikacje tego oświadczenia.

- Czy ktoś jeszcze jest w niebezpieczeństwie? - Gdyby Gibbs potrafiła wskazać następną potencjalną ofiarę, znalazłbym się bardzo wysoko, w samej stratosferze, gdzie mogłoby się okazać konieczne naruszenie zasad tajemnicy zawodowej.

- Nie znam żadnych konkretów - odparła.

Odliczyłem w myślach do pięciu. A potem jeszcze przez parę sekund próbowałem zdecydować, czy powinienem jej wierzyć, czy nie.

14

Miałem zaledwie piętnaście minut, żeby przemyśleć to wszystko, czego się właśnie dowiedziałem.

W porze lunchu, zaraz po zakończeniu wtorkowej sesji z Gibbs, miałem spotkanie z przedstawicielem miejscowej palestry. Jim Zebid był nie tylko adwokatem w sprawach karnych, ale także oskarżycielem, a niekiedy występował również w sprawach z powództwa cywilnego, zwłaszcza związanych z błędami w sztuce lekarskiej. Do tego miał bardzo interesującą przeszłość, bo na studia prawnicze dostał się dzięki temu, że wcześniej przez parę lat służył prominentom miejscowego wymiaru sprawiedliwości jako prywatny detektyw.

Spotykaliśmy się regularnie od paru miesięcy w czasie wtorkowych przerw na lunch i nasze terapeutyczne relacje nadal mnie fascynowały. Czasami był gotów rzucić się na mnie z pięściami z powodu jakiegoś drobiazgu, kiedy indziej zadowoliliby się pewnie zgodą na to, żeby wzorem naszego pudła Anvila zwinąć się w kłębek i zasnąć na moich kolanach. Brak solidnego punktu zaczepienia w profilu psychologicznym pacjenta nie był dla mnie niczym nowym, ale Jima Zebida uznawałem za szczególnie interesującego człowieka, zbyt często wprawiającego mnie w zakłopotanie.

Od naszej pierwszej sesji pracowałem przy założeniu, że Jim wybrał mnie na swego psychoterapeutę tylko z tego powodu, że jestem mężem znanej mu prokuratorce. Co go skłoniło do podjęcia takiej decyzji? Tego nie byłem pewien, uważałem jednak, że już w najbliższym czasie ten temat wypłynie podczas naszych rozmów. Podejrzywałem, że ma to coś wspólnego z zawodową rywalizacją bądź z tajemnicami, albo też jakimś dziwnym przeniesieniem łączy się skręconą spiralnie serpentyną z postaciami jego matki i ojca. Nie wykluczałem, że w grę mogą wchodzić wszystkie te elementy.

Obecnie największym problemem Jima był ciągły niepokój, który przejawiał się dość typowo: zdenerwowaniem, poirytowaniem, bezsennością, wiecznym biciem się z myślami, a od czasu do czasu próbami kurowania się na własną rękę alkoholem i marihuaną. Z perspektywy czasu obecne symptomy nie były u niego niczym nowym. Choć miał dopiero trzydzieści jeden lat, ciągły niepokój doskwierał mu od czasu pierwszego roku studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim. Później, gdy te objawy jeszcze się nasiliły w trakcie dalszej nauki, doszedł do wniosku, że jest za nie odpowiedzialny silny stres. Kiedy jednak nie ustawały mimo ustąpienia stresu, Jim, całkiem niedawno, uzmysłowił sobie, że chyba jednak coś, co tkwi w nim dużo głębiej, kryje się za chronicznym przygnębieniem.

Dość szybko odesłałem go na konsultacje do psychiatry. Xanax, który przepisał mu lekarz, nie tylko skutecznie osłabił dokuczliwe objawy, ale w dodatku otworzył jego psychikę na ten rodzaj terapii, jaki chciałem mu zaaplikować. Niemniej, od czasu do czasu odnosiłem wrażenie, że dręczący go niepokój wciąż jest poważną przeszkodą dla psychoterapii, toteż nachodziły mnie wątpliwości co do rzeczywistych skutków działania xanaksu.

Przez kilka tygodni zastanawiałem się, czy jednak nie poprosić jego psychiatry o rozważenie zmiany leku na antyde-presant przedwiekowy.

Masza sesja, po mojej drugiej indywidualnej rozmowie z Gibbs, sprowokowała, że moje wątpliwości przerodziły się w całkowitą niewiarę w skuteczność terapii Jima Zebida.

Co prawda, muszę przyznać, że nie poświęcałem mu wystarczająco dużo uwagi. Zazwyczaj byłem dumny z łatwości, z jaką przestawiałem się z jednego pacjenta na drugiego, jakbym przełączał kanały pilotem od telewizora, jednakże rewelacje ujawnione przez Gibbs tego przedpołudnia wyraźnie przyćmiewały klarowność moich myśli. Musiałem czynić wysiłki, żeby się przebić

przez zamęt, jaki spowodowały jej oskarżenia męża o serię zabójstw, i poświęcić Jimowi wystarczająco dużo uwagi.

- W każdym razie mój klient utrzymuje, że sprzedał pół uncji towaru, by wydać męża sędzi Heller. Ale jest on oskarżony tylko o kwalifikowane włamanie, toteż nie wiem, czy należy komplikować jego sytuację przez ujawnienie udziału w handlu narkotykami, a tym samym nie mam pojęcia, co powinienem zrobić z ujawnioną przez niego informacją. Musi pan jednak przyznać, że to niezła sensacja. Aż żałuję, że tej rozprawy nie prowadzi sędzia Heller.

Jara Heller była najmłodszym sędzią tutejszego sądu okręgowego. Zналиśmy się ze spotkań towarzyskich, przynajmniej na tyle, żebym mógł bez obaw podejść do niej w zatłoczonej sali. Niestety, chyba nie mogłem powiedzieć tego samego o jej mężu, chociaż coś mi się zdawało, że w minionych latach poznałem go na jakiejś oficjalnej imprezie prawniczej czy zwykłym przyjęciu koktajlowym. Podejrzywałem, że moglibyśmy sobie tak samo współczuć czy też

wyrażać podobny żal z powodu konieczności wypełniania obowiązków małżeńskich w zakresie uczestnictwa w tego typu imprezach.

- Mimo wszystko... - dodał Jim, ewidentnie rozkoszując się uroczą wizją przewagi, jaką stworzyłaby mu wiedza o tym, iż mąż młodej sędzi używa kokainy i kupuje ją w takich ilościach, że zachodzi podejrzenie o dealing.

Jego błoga mina przypominała mi opowiadkę o chłopaku, który zauważył wypchany portfel mający lada chwila wypaść z otwartej damskiej torebki i nie spuszczać z niego oka, zaczął się zastanawiać, jak zwędzić z niego parę pięćdziesięciodolarów, zanim będzie musiał oddać go właścicielce.

W większości wypadków podczas sesji terapeutycznych nie stykam się z faktami, które miałyby jakieś znaczenie dla kogokolwiek poza moimi klientami, mną i wąskim gronem osób, takim czy innym zrzędzeniem losu uczestniczących razem z pacjentem w spisku przeciwko całemu wszechświatowi. Ten dzień jednak zaliczał się do wyjątkowych. Nie minęło jeszcze południe,

BO

a już zapoznałem się z sytuacją kobiety w wielkiej potrzebie, wysłuchałem relacji o mężu będącym potencjalnie seryjnym mordercą i dowiedziałem się o prawdopodobnym udziale męża sędzi w handlu kokainą.

15

Ujawnione przez Gibbs rewelacje na temat domniemanej odpowiedzialności jej męża nie tylko za jedno zabójstwo, ale za całą serię zabójstw, z mego punktu widzenia wiele odmieniły. Szokująca świadomość, że Sterling na swej drodze po kraju zostawia zwłoki niewinnych ofiar, nie tylko umocniły decyzję o konieczności powiadomienia policji w Kalifornii, lecz także wpłynęły na moją determinację. Kiedy po sesji z Jimem Zebidem jechałem przez miasto, by odwiedzić Sama, ściszyłem radio i zacząłem roztrząsać filozoficzne podwaliny całej tej sytuacji, aż doszedłem do wniosku, że John Donnę nie byłby zadowolony z odmiany w moim nastawieniu. Śmierć jednego człowieka powinna prowadzić do takich samych konsekwencji, jak śmierć wielu osób. Już ta jedna powinna jednak wystarczyć do podjęcia decyzji. Sam przedstawił jeszcze jeden argument:

- Powinieneś mnie o wszystkim powiadomić, gdy tylko się dowiedziałeś - rzekł stanowczo, gdy przedstawiłem mu podstawowe informacje dotyczące zabójstwa w Kalifornii.

Czuł się zdecydowanie lepiej. Co prawda, wciąż leżał na oddziale telemetrycznym, ale rano, na podstawie aktualnych wyników pomiarów, kardiolog diametralnie zmienił zdanie co do konieczności dalszego trzymania pacjenta w szpitalu.

- Miałeś ważniejsze sprawy na głowie - odparłem. Automatyczny przyrząd do pomiaru ciśnienia otaczający

szerszą elastyczną taśmą biceps Sama wybrał właśnie tę chwilę, żeby przystąpić do nadmuchiwania obejmującej uciskowej. Mój przyjaciel aż podskoczył.

- To cholerstwo przeraża mnie do tego stopnia, że ciśnienie chyba w jednej chwili skacze mi do niebotycznych wartości. Może udałoby ci się przekonać kardiologa, że moje zdrowie psychiczne wymaga natychmiastowego powrotu do domu?

- Niezły pomysł, Sam. Nie sądzę jednak, żebyś naprawdę chciał, bym dyskutował publicznie o twoim zdrowiu psychicznym.

- Masz rację.

Po tym, jak padły kolejne oskarżenia o zabójstwa, udało mi się wynegocjować jeszcze jeden punkt mojej umowy z Gibbs Storey. Miałem podjąć decyzję co do skontaktowania się z policją kalifornijską w sprawie zabójstwa Louise dopiero po konsultacjach z przyjacielem, który był śledczym w miejscowej komendzie policji, oraz z adwokatem, jeśli zajdzie taka

potrzeba. Obiecałem przy tym, że nie ujawnię żadnych konkretów, a jedynie same ogólności dotyczące jej oskarżeń pod adresem męża. Ostatecznie Gibbs przyjęła ten warunek bez zbędnych protestów.

- Już za parę dni cały świat pozna brudne sekrety mojej rodziny, doktorze Gregory. W jaki sposób może pogorszyć sytuację to, że wprowadzi pan swojego przyjaciela w tę sprawę? Jeśli tylko pomoże to panu lepiej zrozumieć prawne zawilości powstałej sytuacji, proszę się pozbyć skrupułów. Może pan także poradzić się z adwokatem. Nic mnie to nie obchodzi. Lecz na razie mówmy tylko o zabójstwie Louise. I nie chciałabym, żeby jakieś nazwiska pojawiły się w prasie.

Poprosiłem ją, by podpisała stosowne porozumienie.

Gdy wyjaśniłem Samowi w zarysach sprawę Louise/Sterlinga, poprosił o dosłowne powtórzenie oskarżeń Gibbs pod adresem jej męża, po czym rzekł:

- Więc kiedy zamierzasz się skontaktować z wydziałem kryminalnym policji w tym tajemniczym stanie? Pacjentka wyrwała ci słuchawkę z ręki czy co?

- Niemalże. W każdym razie sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny. Kiedy zadzwoniłem, nie zastałem żadnego oficera śledczego, z którym mógłbym porozmawiać. Zostawiłem tylko wiadomość. W końcu oddzwoniła detektyw Reynoso. Skończyliśmy nabijać rachunek telefoniczny nie dalej, jak godzinę temu.

- I co? Bajeczka twojej pacjentki ma coś wspólnego z rzeczywistością?

- Reynoso sprawiała wrażenie dość zainteresowanej tym, co miałem jej do powiedzenia, ale sama niewiele zdradziła. Wyglądało to mniej więcej tak, jakbym ja teraz chciał się dowiedzieć jakichś szczegółów od ciebie.

- Nie przesadzaj. Dopiero co przeszedłem zawał.

- Co się teraz stanie, Sam?

- Trudno powiedzieć, gdy nie wiemy, jak relacja twojej pacjentki pasuje do tego, co policja zdołała do tej pory ustalić.

- A jeśli pasuje, to co wtedy?

- Chcesz wiedzieć, jak ja bym zareagował po takim telefonie, gdyby chodziło o moją sprawę? Poszedłbym do przełożonego i wyjaśnił, dlaczego powinien mi wystawić delegację, abym mógł przesłuchać kobietę rzucającą tego rodzaju oskarżenia, a może nawet porozmawiać z jej mężem.

- Umówiłbyś się z nią na rozmowę czy po prostu objawiłbyś się jak grom z jasnego nieba?

- Jestem wielkim miłośnikiem gromów z jasnego nieba.

- Dlaczego?

- Bo w tym interesie jakiegokolwiek umawianie się na rozmowę niemal zawsze prowadzi do spotkania z adwokatami. Jak wiesz, twoją żonę bardzo podziwiam głównie za to, iż stanowi wyjątek wśród swoich kolegów po fachu. Ogólnie rzecz biorąc, staram się tak wszystko układać w życiu, by mieć jak najmniej do czynienia z prawnikami. To świetna strategia redukcji niepotrzebnych stresów, zwłaszcza biorąc pod uwagę stan mojego serca.

- Zatem zjawiłbyś się niespodzianie. Czy po przyjeździe do miasta nie musiałbyś się zameldować w tutejszej komendzie policji?

- Oczywiście. Podejrzewam, że któryś z moich kolegów już rozmawiał z tą kalifornijską śledczą... Jak ona się nazywa?

- Reynoso. Carmen Reynoso. Mógłbyś się dowiedzieć, kto z nią rozmawiał?

- Pytasz, czy mógłbym się dowiedzieć, czy że chciałbym cię o tym poinformować?

- Więc czy chciałbyś mnie poinformować?

- Nie.

- No właśnie. Więc ta detektyw Reynoso pewnie już kontaktowała się z kimś z twojego wydziału. A jak ty byś to przyjął?



- Wysłuchałbym jej uważnie, ocenił oczekiwania i dopiero wtedy podjął decyzję o ewentualnej współpracy. Można zakładać, że jej prośby będą z grubsza do przyjęcia. Zatem powinniśmy je przyjąć, może nawet zgodzić się na współudział w przesłuchaniach.
- Ile to wszystko mogłoby potrwać?
- To zależy, na ile sprawa jest pilna. Reynoso mogłaby jeszcze dziś wsiąść do samolotu, gdyby jej na tym zależało. Nie wiadomo jednak, do jakiego stopnia naciski polityczne spowolnią jej działania. Może to potrwać parę tygodni, a nawet więcej, żeby poustawić wszystkie figury na swoich miejscach na szachownicy.
- I przez cały ten czas morderca pozostawałby na wolności, ciesząc się całkowitą swobodą? Sam skrzywił się z pogardą.
- Przestępcy są jak żmije, Alan. Nigdy nie opuszczają swoich rewirów i kryją się w dziurach. Zawsze są w pobliżu, wiodąc swoje nędzne życie żmii. Te, które ostatecznie napędzają nam najwięcej strachu, zazwyczaj prześlizgują się przez nasze tylne podwórka w porze rozpalania grilla. A ta konkretna, to znaczy mąż twojej pacjentki, pojawiła się właśnie na twoim podwórku za domem. Ale prawda wygląda tak, że ona kryła się tam przez lata, zanim ostatecznie dała o sobie znać. I mogą minąć kolejne lata, zanim ktokolwiek zdecyduje się uczynić cokolwiek w tej sprawie. Zatem mamy do czynienia z kolejnym przypadkiem żmii. Gdybym siedział nad swoją pierwszą filiżanką kawy tego ranka, owo porównanie Sterlinga do nędznej żmii może by do mnie przemówiło. Ale teraz byłem w zupełnie innym nastroju. Wiedziałem, że jeśli Gibbs się nie myli co do swojego męża, nie da się go traktować jak zwyczajnej, choć jadowitej żmii. Przypominał raczej śmiertelnie groźną kobrę, której z zębów jadowych kapą kropelki krwi na razie bliżej nieznaną mi liczbę uśmierconych kobiet. Przypomniałem sobie, że nie mam pozwolenia pacjentki na omawianie z Samem ewentualnych przypadków innych ofiar jej męża, poza tą jedną, Louise.
- Niektórzy faceci są... bardziej groźni od pozostałych. Mam rację, Sam? - wydukałem, bo nic innego nie przychodziło mi na myśl.
- Masz na myśli konkretnie tego faceta? Trudno powiedzieć. Na podstawie tego, co od ciebie usłyszałem, skłaniałbym się ku opinii, że ewentualne morderstwo było wynikiem działania w afekcie. A jeśli chodzi ci o szansę na to, że nie skończył na jednej ofierze... No cóż, teoretycznie są wyższe niż w wypadku ciebie czy mnie... w każdym razie mnie na pewno, ale statystycznie i tak niewielkie. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, większość zabójców wcale się w tym nie rozsmakowuje. Oczywiście mam na myśli morderstwa z zimną krwią. Nawiasem mówiąc, czym on się zajmuje? Jak zarabia na życie? Zamyśliłem się nad tym, czy mogę powiedzieć Samowi prawdę, zważywszy, jak ograniczone pole manewru zostawiła mi Gibbs. W końcu zdecydowałem, że mogę.
- Jest producentem transmisji sportowych dla ogólnokrajowej sieci telewizji kablowej.
- Mówisz o ESPN? Robi transmisje meczów hokejowych?
- Nie zamierzam ci powiedzieć ani słowa ponad to, co usłyszałeś.
- Myślisz, że go znam?
- Wątpię. Może skojarzyłybyś nazwisko, gdybyś się wczytywał w listę realizatorów transmisji.
- Poniewczasie przemknęło mi przez myśl, że miałbym się z pyszna, gdyby Sam jakimś przypadkiem wczytywał się w te listy.
- Mam nadzieję, że nie mówimy o... Barrym Melrosie albo Donie Cherrym, prawda? Nie miałem pojęcia, kim są Barry Melrose oraz Don Cherry. Wydawało mi się, że to drugie nazwisko gdzieś słyszałem, ale i tak nic mi nie mówiło. Biorąc pod uwagę wcześniejszą wypowiedź Sama, musiałem zakładać, że obaj mężczyźni mieli coś wspólnego z transmisjami spotkań hokejowych i należeli do wąskiego grona osób, których nazwiska nie są wymieniane w spisach realizatorów.
- Mówiłem o produkcji transmisji, a nie ich prowadzeniu -odparłem.

- Cherry faktycznie jest porywczy. Strasznie impulsywny. Słyszałeś o tym?
- Czy to coś niezwykłego w środowisku zawodowych hokeistów? - zapytałem niemal odruchowo.
- To zależy.
- Nie przejmuj się, Sam. Nie chodzi o Dona Cherryego. Pociągnął przez słomkę odrobinę wody z kubeczka.
- Z tobą także powinna chcieć porozmawiać - mruknął.
- Kto?

Czknął i błyskawicznie przyłożył rękę do piersi.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie wezwać pielęgniarki.

- Reynoso. Nie licz na to, że umówi się z góry na spotkanie albo wyciągnie cię na rozmowę przy kawie ze śmietanką. Ale raczej na pewno zapuka do twoich drzwi, żeby zadać kilka pytań.

- Nie ma sprawy. Powiem jej dokładnie to samo, co powiedziałem tobie. Nie mam pozwolenia klientki na ujawnianie jakichkolwiek innych szczegółów.

Tak głęboko wetknął sobie palec do ucha, że aż naszły mnie obawy, czy na pewno nie brakuje mu jakichś zasadniczych części przewodu słuchowego.

- Nie jestem tylko pewien, czy jej to wystarczy. Nie wszyscy śledczy są tacy uprzejmi jak ja.
- Tylko nie próbuj mnie odstraszyć.
- Zatem wiesz coś więcej, prawda? Tyłko twoja klientka nie wyraziła zgody, żebyś to ze mną omawiał. Mam rację?
- Nie mogę na to odpowiedzieć, Sam. Obowiązuje mnie tajemnica. Przykro mi.

Pokiwał głową.

- Niewykluczone, że jeszcze dziś mnie wypiszą. Lekarz obiecał zajrzeć do mnie wieczorem. Powiedział, że nie wyklucza wypisania mnie i przeniesienia do programu rehabilitacji pacjentów kardiologicznych w domu. Wiesz, chodzi o przestrzeganie diety, odpowiednie ćwiczenia fizyczne, ograniczenie stresów.

- Bardzo się cieszę - odparłem. - Może Adrienne nauczy cię podstawowych elementów jogi. Dobrze by ci to zrobiło przy tak stresującej pracy.

- Żartujesz?

- Nawet hokeiści ćwiczą jogę.

- Zaraz przez ciebie dostanę drugiego zawału.

- Wypłuj te słowa, Sam. Co z twoją pracą?

- Zjrzał tu kapitan i wstawił drętą gadkę na temat mojego powrotu. Powiedział, że zamierzają mieć całkowitą pewność, iż w najwyższym możliwym stopniu odzyskałem sprawność fizyczną, zanim pozwolą mi wrócić do pracy. Z tysiąc lekarzy będzie musiało mnie przebadać. Powiedział też wprost, żebym sobie wybił z głowy powrót do służby jeszcze w tym roku.

- Sześćtygodniowy urlop dobrze ci zrobi. Zyskasz okazję wypracowania sobie nowego, zdrowego stylu życia.

- Sześć tygodni w domu w obecnej sytuacji nie jest najlepszym lekarstwem na uwolnienie się od stresu. Sherry już przebąkiwała, że w przyszłym tygodniu zamiast indyka będzie musiała upiec tofu. Na pewno nie ucieszy ją, że będę się kręcić po domu aż do Nowego Roku.

Nie miałem nawet zamiaru wypytywać Sama, co się dzieje z ich małżeństwem. Zresztą byłem prawie pewien, że i tak by mi nie odpowiedział. Postanowiłem zatem uznać, że wiem już wystarczająco dużo. Nie czułem się z tym najlepiej, ale na razie musiało tak zostać.

- Kiedyś świetnie się rozumiałeś z Simonem.

- Ale teraz on w tygodniu mieszka w akademiku, a w każdy weekend wyprawia się z przyjaciółmi autobusem w góry, żeby jeździć na snowboardzie. Program narciarskiego szkolenia młodzieży „Copper Choppers”. Słyszałeś o nim? Na pewno usłyszysz, jak Grace

trochę podrośnie. W każdym razie nie sądzę, żeby mój kardiolog pozwolił mi na korzystanie ze snowboardu jeszcze tej zimy. - Po krótkiej przerwie zapytał: - Dlaczego ona jest z nim tak długo? Chodzi mi o twoją klientkę. Przecież już od jakiegoś czasu podejrzewa go o popełnienie morderstwa. Więc dlaczego nadal z nim jest?

- Ze strachu. Z przywiązania. Wyparcia się prawdy. To bardzo trudne pytanie, Sam. Dlaczego kobiety z takim uporem trwają w nieudanych związkach? Obaj stykamy się z tym na każdym kroku.

Odwrócił głowę, jakby bał się zmierzyć z zadaniem przeze mnie pytaniem, i w zamyśleniu przesunął pudełko chusteczek higienicznych stojące na stoliku przy łóżku.

- Więc dlaczego teraz postanowiła go wydać?

- To następne bardzo trudne pytanie.

Chyba celowo wybrał właśnie tę chwilę, żeby poprawić sobie pościel. Ułożywszy w końcu poduszki, rzekł:

- Jeśli tak się stanie... to znaczy, zostanę jeszcze dziś zwolniony ze szpitala... nie zechciałbyś po mnie przyjechać i odwiedzić mnie do domu?

Już miałem na końcu języka pytanie: „A co z Sherry?” ale przemilczałem je i odparłem:

- Oczywiście.

16

- Wprawdzie niespecjalnie mi na tym zależy - zaczęła Gibbs -ale wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o seksie.

Omam nie wypaliłem, co o tym myślę. Uważałem bowiem, że powinniśmy raczej porozmawiać o serii morderstw. Temat seksu mógł swobodnie poczekać.

Ale zamiast tego tylko stłumiłem ziewnięcie.

Na moją prośbę Gibbs przyszła na zaplanowaną sesję w czwartek. Tego dnia mogłem ją przyjąć tylko o siódmej piętnaście. Całkiem niezła pora na rozmowę o seksie, prawda? Był pewien okres na początku mojej kariery, kiedy podobna uwaga jak ta, rzucona przez Gibbs, spowodowałaby, że natychmiast zastrzygłbym uszami, przynajmniej trochę. Z pewnością w jakimś stopniu mój nagły i niezdrowy wzrost zainteresowania można było kojarzyć z tendencjami do lubieżności czy podgła-dactwa, ale przede wszystkim wynikał z braku doświadczenia. Byłem wręcz gotów traktować tego rodzaju zapowiedź niemal jak obietnicę zapoznania się z podniecającym preludem do czegoś nowego, odmiennego, z samej natury rzeczy pociągającego.

Ale tak samo, jak pierwsza wizyta na plaży nudystów nauczyła mnie, że większość ludzi jest bardziej atrakcyjna, nawet zdecydowanie bardziej atrakcyjna w ubraniu, moje doświadczenie psychoterapeuty wpoilo mi, iż życie seksualne większości ludzi wcale nie jest szczególnie fascynujące, a im więcej poznawałem szczegółów, tym mniej fascynujące mi się wydawało.

W sprawach seksu niewielka dawka tajemniczości naprawdę jest zdolna czynić cuda.

Dziesięć lat praktyki klinicznej skutecznie nauczyło mnie wysłuchiwać wszelkich opowieści o podłożu erotycznym, także tych zawoalowanych, z równą obojętnością, z jaką odbierałem szczegóły małżeńskich umów co do robienia porządków bądź ustalania, czy lepiej mieć w banku jedno wspólne konto, czy raczej dwa oddzielne.

„To tylko woda na młyn - jak mawiał jeden z moich nestorów

o tematyce seksu w psychoterapii. - Nic więcej niż woda na młyn". Teraz mogłem tylko z politowaniem pokiwać głową nad tą maksymą, ale prawda przedstawiała się tak, że do dzisiaj nie miałem zielonego pojęcia, czym właściwie jest ta „woda na młyn".

I pewnie do końca miało to pozostać dla mnie tajemnicą.

Spostrzegłem, że coraz częściej wracam myślami do zawodowej drogi, jaką przebyłem w minionych latach. Może był to normalny przejaw starzenia się, a może nieuchronny wpływ coraz bardziej wydłużającej się listy rzeczy, które warto było wspominać. W szkole średniej miałem kolegę, który twierdził, że nigdy nie będzie się oglądał za siebie, w związku z czym w ogóle nie korzystał ze wstecznego lusterka podczas prowadzenia samochodu. „Wszystko, co chciałbym widzieć, znajduje się przede mną”, powtarzał.

A ja? Żyłem w przeświadczeniu, że jeśli cokolwiek pozostało niezauważone na mojej drodze życiowej, to po prostu nie było warte nawet przelotnego spojrzenia.

Ale jedną z rzeczy, które uparcie przewijały się w moim wstecznym lusterku tamtego czwartkowego ranka, na tydzień przed Świętem Dziękczynienia, było przekonanie Diane, że wskutek wcześniejszej wspólnej terapii małżeńskiej zapadłem na rodzaj kurzej ślepoty, a ta nie pozwalała mi dostrzec seksualnego żaru, jaki tlił się u podstaw relacji między Gibbs i Sterlingiem Storeyami. Dlatego zamierzałem uczynić wszystko, żeby nie popełnić drugi raz tego samego błędu.

Musiałem wysłuchać, co Gibbs ma do powiedzenia o seksie.

A dopiero potem o seryjnych morderstwach.

- W porządku - odparłem. A więc porozmawiajmy o seksie. Chodzi o częste zmiany partnerów, prawda? - Ale najpierw chciałbym poświęcić chwilę na sprawdzenie pani bezpieczeństwa. W domu wszystko w porządku, Gibbs?

- Tak.

Czekałem na dalszy ciąg.

- W porządku - powtórzyła z naciskiem.

- Nie rozmawiała pani ze Sterlingiem, prawda?

- Nie. I nie zamierzam z nim rozmawiać, dopóki nie będzie to konieczne.

- Nie kontaktował się z panią nikt z policji kalifornijskiej?

- Nie, jeszcze nie.

- A jeśli jakiś detektyw niespodzianie pojawi się przed waszymi drzwiami? I otworzy mu Sterling?

- To chyba sporo odmieni, prawda?

- Naprawdę jest pani aż tak niefrasobliwa?

- Chyba nie. Z całą powagą myślę o tym, co robię.

- W takim razie szczerze zalecam ponowne przemyślenie decyzji o skorzystaniu z pomocy schroniska dla kobiet.

- Rozumiem przyczyny, dla których tak bardzo troszczy się pan o mnie, lecz nadal nie sądzę, bym mogła swobodnie wyprowadzić się z domu. Muszę tam zostać. - Spuściła wzrok na swoje dłonie i dodała: - Czy teraz możemy już porozmawiać o seksie?

Była dopiero siódma dwadzieścia, a Gibbs wyglądała tak, jakby od dawna nie spała i poświęciła sporo czasu na przygotowania do herbatki z przyjaciółmi, którym chciała zaimponować swoim wyglądem. Włosy miała ułożone perfekcyjnie. Makijaż bez zarzutu. A strój? Może trochę za bardzo... wyzywający, jak z pewnością powiedziałyby Diane. Ale w gruncie rzeczy Gibbs wcale nie była ubrana wyzywająco, tylko o parę odcieni bardziej seksownie od setek kobiet wybierających się o tak wczesnej porze na rozmowę z psychoterapeutą o swoim życiu seksualnym.

- A więc seks - zaczęła niemal tak zmysłowo, jak gderliwa Peggy Lee - już nie służy wyłącznie celom prokreacyjnym.

A czy kiedykolwiek tak było? Ocknąłem się nagle z letargu. Nawet o tak wczesnej porze potrafiłem sobie uświadomić, że moja czujność nie stoi na najwyższym poziomie.

- Poznaliśmy się ze Sterlingiem w Saint Tropez. Czy kiedykolwiek wspominałam panu o tym?

Miałem wrażenie, że tak doniosły fakt zapamiętałbym z wcześniejszych sesji. Nie przypominałem sobie jednak, bym choć raz rozmawiał z Gibbs czy z jakimkolwiek pacjentem o tym niezwykłym kurorcie z południowej Francji, jak magnes przyciągającym wszystkich uprzywilejowanych. Tego typu rzeczy nie należały do rozpowszechnionych w psychoterapii prowadzonej w Boulder, w stanie Kolorado.

- Chyba nie - odparłem.

- Sterling zaciągnął się wtedy jako członek załogi na pokład jachtu pewnego bogatego chłopaka, a był to olbrzymi jacht, natomiast ja z koleżanką uczestniczyliśmy w letnim kursie francuskiego po ukończeniu pierwszej klasy college'u. Spotkaliśmy się wszyscy w piękny sobotni poranek na targu na rynku w Saint Tropez. Powinien go pan kiedyś odwiedzić, to naprawdę niezwykły targ. W każdym razie Sterling z przyjaciółmi zaprosili nas na przyjęcie, które miało się odbyć wieczorem na jachcie. Zaczęło się od wspólnej popołudniowej kąpieli w morzu. Kiedy zakotwiczyliśmy tak, że plażę ledwo było widać na horyzoncie, Sterling umocował na dziobie trampolinę. Był naprawdę wspaniały. Wykonywał najróżniejsze ekwilibrystyczne skoki z trampoliny, ściągając na siebie uwagę całego towarzystwa. Muszę przyznać, że nie mogłam oderwać od niego oczu. Już wtedy coś między nami zaiskrzyło, niemalże zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Ale na tym przyjęciu nasza krótką znajomość miała się zakończyć, bo nazajutrz jacht odpływał do Grecji, Jugosławii czy gdzieś tam. Więc kiedy z przyjaciółką późnym wieczorem... czy może raczej w środku nocy schodziłyśmy na ląd, powiedziałam Sterlingowi, gdzie może mnie znaleźć w Palos Verdes, jeśli będzie mu na tym zależało, chociaż wtedy nie sądziłam, że kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Takie wakacyjne miłości strasznie głęboko zapadają w serce, prawda? Przeżywał pan kiedyś coś podobnego, doktorze Gregory?

Odniosłem wrażenie, że zaczęła szybciej oddychać. Przywołanie tych wspomnień z młodości najwyraźniej ją rozluźniło. Zorientowałem się od razu, że wcale jej nie interesuje, czy przeżywałem kiedyś podobną wakacyjną miłość, czy nie, niemniej przez głowę przemknęły mi lubieżne reminiscencje z pewnego sierpniowego tygodnia spędzonego z Nancy Lind, kiedy jej i moi rodzice wspólnie...

- Był pan kiedyś w Saint Tropez? - zapytała Gibbs, nakierowując moje myśli z powrotem ku swojej wakacyjnej przygodzie.

W tym wypadku też nie zależało jej na uzyskaniu odpowiedzi. Chciała w ten sposób jedynie zaakcentować, że ona jednak była w Saint Tropez.

- Nie - odparłem.

- Jest inne, niż się powszechnie uważa. Przynajmniej jako miasto. W każdym razie do pewnego stopnia. Po prostu nie pasuje do stereotypu.

Zaciekawilo mnie, czemu dla niej jest aż tak ważne to, co ja myślę o Saint Tropez, o którym w zasadzie nie powinienem mieć żadnego wyrobionego zdania, a co dopiero przymierzać swoją wizję do jakiegoś stereotypu. Doszedłem jednak do wniosku, że zapytanie jej wprost, czemu uważa to za istotne, groziłoby wywarciem wpływu na kierunek tej wspomnieniowej wyprawy, o której w dalszym ciągu nie miałem jeszcze pojęcia.

Wiedziałem jedynie, że bezpośrednio lub pośrednio wiąże się to z seksem.

Nie czekała, aby się przekonać, jakież to mylne pojęcia o Saint Tropez może się narodzić w mojej głowie.

- Tamtego wieczoru nie uprawialiśmy jeszcze seksu - powiedziała. - Inni ludzie tak, robili to prawie wszyscy. To przyjęcie na jachcie z założenia miało służyć temu celowi. Ale ja ze Sterlingiem nie uczyniliśmy nic w tym kierunku.

„Seks. Już nie służy wyłącznie celom prokreacyjnym”.

Przyszło mi do głowy, że nigdy nie brałem udziału w tego rodzaju przyjęciu, kiedy to młodzi ludzie zbierają się na pokładzie bogatego chłopaka w Saint Tropez, żeby uprawiać seks pod rozgwieżdżonym niebem. Może była to jedna z rzeczy, jaką w młodości nieodwołalnie

zaprzepściłem. Ale nie mogłem sobie nawet przypomnieć, bym na swojej drodze życiowej trafił gdzieś na skrzyżowanie z drogowskazem: DO SEKSUALNEJ ROZPUSTY W SAINT TROPEZ TĘDY.

- Co prawda, chcieliśmy, w każdym razie ja chciałam. Uchodziłam za świętoszkę, ale bardzo tego pragnęłam, więc on chyba też. Ale dla mnie i tak był to najbardziej romantyczny wieczór w moim życiu. Zresztą nie tylko romantyczny, lecz także... erotyczny, zmysłowy. Może Śródziemne, jacht, wspaniałe niebo, muzyka, wino i cudowni ludzie z całego świata. Seks po prostu wisiał w powietrzu. Czuło się go z każdym oddechem. Wypełniał nozdrza jak intensywny zapach kwiatów z rana na targu. Czuło się go też w każdym łyku wina. Był wszędzie dookoła. Rozumie pan, o czym mówię?

Załóżmy. Nie powiedziałem tego jednak. Uznałem, że wystarczy jej własnego impetu do kontynuowania opowieści.

- Nigdy wcześniej nie byłam na takim przyjęciu. Z ludźmi tak bardzo pozbawionymi... zahamowań. A nawet bezwstydnymi. Zuchwałymi. I do tego całkowicie mi nieznanymi... mówiącymi tyloma językami... tak bardzo... - Zamilkła na dobre, jak gdyby rozkojarzona.

Przyznaję, że byłem bardzo ciekaw, jak chciała zakończyć to zdanie, lecz żadne słowa z mojej strony nie zdołałyby jej nawrócić na tamten tor myślenia. Czekałem więc cierpliwie.

Kiedy w końcu znów się odezwała, zabrzmiało to tak, jakby odpowiadała na pytanie, którego nie zadałem. Milczenie czasem doskonale spełnia swoją rolę.

- Jak się czułam tamtego wieczoru? Bardzo pragnęłam się zakochać. Chciałam znaleźć swoją miłość od pierwszego wejrzenia, a Sterling nie odstępował mnie na krok. Był przystojny. I czarujący. Prawdę mówiąc, nie odpowiadał mojemu wymarzonemu ideałowi chłopaka, bo zawsze pragnęłam kogoś wyższego, z ciemniejszymi włosami, ale... Tamtego wieczoru pozwolił mi zasmakować innego życia, ale nie dopuścił, żebym się w nim pograżała.

Pozwolił mi zanurzyć palce w ciepłej wodzie tamtego świata, ale nie rzucił mnie od razu na głębinę. Jak powiedziałam, nie odstępował mnie prawie na krok, podczas gdy ja próbowałam ustalić, jak dokładnie mogłabym się wpasować w tamten styl życia.

- To chyba niełatwe, kiedy ma się dziewiętnaście lat i uczestniczy w tego rodzaju przyjęciu na jachcie bogacza w Saint Tropez, prawda? Znalazła pani wówczas swoje miejsce?

Chyba wyczytała jakąś formę zachęty w mojej obojętnej minie, gdyż odparła z wyraźnym ożywieniem:

- Były przecież inne... Wie pan, mówię o dziewczętach na jachcie. Miał w czym wybierać. A większość z nich była ładniejsza ode mnie. I bardziej skora do przygody, to chyba oczywiste. Ale... on jednak... nie skusił się na żadną z nich. Został ze mną. Tańczyliśmy. Trochę się całowaliśmy. No nie, skłamałam, dużo się całowaliśmy. No i... wie pan... trochę podglądaliśmy inne pary. Ale sami nie... Więc pewnie dlatego uznałam, że to on jest tym jedynym...

Byłem w coraz większej rozterce. Mimo wczesnej pory i mojej awersji do tego rodzaju przygód erotycznych, opisywana przez Gibbs młodzieńcza eskapada zaczynała mnie bardzo wciągać. Aż musiałem mocniej wbić plecy w oparcie fotela, co było dla mnie znakiem, że należy pozostać o krok z tyłu. Chciałem sobie w ten sposób przypomnieć, że cokolwiek się dzieje w moim gabinecie, dotyczy wyłącznie Gibbs, a nie jej upojnego wieczoru spędzonego w Saint Tropez ze Sterlingiem.

Do moich zadań należało przymykanie oczu na kuszące fajerwerki, bym mógł się skoncentrować na wyglądzie nocnego nieba. W tym celu mogłem nawet skorzystać z noktowizora, byle tylko nie dać się oślepić.

- W każdym razie zadzwonił - ciągnęła Gibbs. - Ściślej rzecz biorąc, zadzwonił pod numer moich rodziców w wigilię Bożego Narodzenia. Wróciłam wtedy do domu na ferie świąteczne. Przyjechał po mnie i przesiedzieliśmy razem prawie całą noc, tylko rozmawiając.

Niemal odruchowo zacząłem się zastanawiać, co było dalej. Jeszcze nie seks, przemknęło mi przez myśl. Rozgrywał tę partię jak zawodowiec. Prawie tak, jak w Saint Tropez, tyle że bez jachtu i kąpieli w ciepłym Morzu Śródziemnym.

- Wtedy też jeszcze nie poszliśmy do łóżka. - Tylko rozmawialiśmy. Ale przez całą noc czułam się tak, jakbym znów była

razem z nim na tamtym jachcie. Wie pan, przez tę zmysłową, romantyczną atmosferę. A była naelektryzowana, przesycona zniecierpliwieniem, pełna wyczekiwania. Chyba nie byłam aż tak podniecona w żadną Wigilię od czasu, jak skończyłam osiem lat. Tyle że teraz była to całkiem inna podnieta. Serce biło mi dużo szybciej... I nadal bije szybciej na widok Sterlinga. Zanotowałam w pamięci: Nie tylko biło szybciej, lecz nadal bije.

Równia, na której znalazła się Gibbs, nagle zmieniła pochylenie. Wyczułem to wręcz fizycznie. Raptem straciła rozpęd, jakby zmalowało przyciąganie ziemskie. Objęła się rękoma, dość mocno dociskając łokcie do boków, przez co jej piersi zeszyły się razem, podkreślając dotąd ledwie widoczny rowek między nimi.

Czy był to efekt zamierzony? Uczyniła to świadomie? Postanowiłem się tego dowiedzieć. W końcu właśnie za to zgarniałem grubą forszę.

Nie miałem jednak pojęcia, jak to zrobić.

- Po raz pierwszy kochaliśmy się tydzień później, w sylwestra - ciągnęła. - Byliśmy na przyjęciu w apartamencie na jednym z ostatnich pięter wieżowca przy Wilshire Boulevard. Zna pan Los Angeles? Mieszkał tam jakiś jego przyjaciel. Doszło do tego na balkonie. Noc nie była dużo zimniejsza od tamtej w Saint Tropez. Przyjęcie też wyglądało podobnie, ludzie kochali się przy każdej sposobności. Kiedy robiliśmy to na balkonie, miałam przed oczyma okno i inną parę kochającą się w sypialni.

Zerknęła na mnie przelotnie. Gdyby mogła czytać w moich myślach, natychmiast by się przekonała, że rozważałem mętnie przyczyny, dla których ona i ja w młodości byliśmy zapraszani na diametralnie odmienne przyjęcia.

Na co liczyła? Że uznam tę opowieść za podniecającą? Skandaliczną? Przyziemną? Trudno powiedzieć. W każdym razie nie podobało mi się to, że trudno było powiedzieć.

- Wtedy po raz pierwszy usłyszałam z jego ust: „Złap mnie”.

- Złap mnie? - powtórzyłem zdziwiony.

- Tak, „Złap mnie”. Tak samo powiedział wczoraj wieczorem. Pewnie właśnie dlatego przypomniły mi się nasze pierwsze spotkania.

Zamknąłem się w wystudiowanym milczeniu, żeby zobaczyć, dokąd Gibbs zaprowadzi ta opowieść o młodzieńczych przygodach erotycznych. Nie ulegało wątpliwości, że chciała mi dać do zrozumienia, iż wczoraj wieczorem także kochała się z mężem.

Czyżby tylko na tym jej zależało? Nie chodziło o nic więcej?

I co miało oznaczać owo tajemnicze „Złap mnie”?

Ale Gibbs także milczała. Nastawiłem swoje czujniki na fale nieposłuszeństwa, lecz nie miałem pojęcia, jak zinterpretować to, co przez nie odbieram.

W czasie przedłużającej się ciszy opadła mi nagle pewna myśl, którą odebrałem jak dotkliwy policzek.

Moja przenikliwość pozwoliła mi - do diabła, nawet mi nakazała - ostatecznie zadać pytanie, które powinno było paść trzy dni wcześniej, jak tylko Gibbs po raz pierwszy wkroczyła do mego gabinetu i oświadczyła, że podejrzewa Sterlinga o popełnienie morderstwa.

- Dlaczego zgłosiła się pani do mnie na terapię, Gibbs?

- Nie rozumiem. Przecież byliśmy umówieni.

W założeniu miało to być pytanie podchwytliwe, ale odpowiedź padła równie twarda, jak betonowa nawierzchnia autostrady międzystanowej.

- Nie chodzi mi o dzisiejszy ranek. Ciekaw jestem, czemu w ogóle postanowiła pani zgłosić się na terapię.

Zamrugnęła szybko, a po chwili rozchyliła wargi. Tyle że nie padło spomiędzy nich żadne wyjaśnienie.

Uświadomiłem sobie, że wreszcie wiem coś pewnego. Terapia nagle przestała być tak bezpostaciowa, jak do tej pory.

Tylko co takiego pewnego wiedziałem?

Na pewno zadałem właściwe pytanie. Nie było szczególnie doniosłe, ale na tym etapie wydawało mi się diabelnie dobre.

Dlaczego więc zgłosiła się do mnie na terapię?

17

Upłynęło dwadzieścia długich sekund.

- Nie wiem, o co panu chodzi. Dlaczego postanowiłam się z panem zobaczyć? Bo potrzebna mi pomoc... w zależności wyjścia z sytuacji związanej ze Sterlingiem.

- Czyżby?

Jej zasłona okazała się nieszczelna i nieskuteczna, gdy spróbowała odeprzeć mój cios.

Poczułem dla niej litość. Tym jednym pytaniem zaakcentowałem wszystkie moje wątpliwości. Wcale nie było to takie trudne.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego spytała:

- A jaki inny miałabym powód? Po prostu nie mogę żyć ze świadomością tego, co zrobił.

Właśnie dlatego do pana przyszedłem.

Zaskoczyła mnie. Nie byłem przygotowany na taki obrót rozmowy.

Ale i ona nie była na to przygotowana.

Zadałem sobie w duchu kolejne trudne pytanie: No więc, doktoru, jeśli tu nie chodzi wyłącznie o seks i morderstwo, to o co?

O coś innego.

Instykt mi podpowiadał, że Gibbs Storey próbuje odwrócić moją uwagę od sedna sprawy.

Najpierw opowieścią o morderstwie. Potem wzmianką o całej serii zabójstw. I wreszcie erotycznymi wspomnieniami z Saint Tropez. Musiałem przyznać, że do realizacji swoich zamierzeń wybrała doskonale tematy. Z najwyższej półki. A mimo to dałem się złapać na tę przynętę tylko na trzy dni.

Całkiem nieźle. Przynajmniej dla mnie. Znane były przypadki, kiedy wprawni socjopaci całymi miesiącami wodzili mnie za nos swoimi dramatycznymi relacjami rodem z Broadwayu. Diane zwykła była mawiać, że gdyby jakiś socjopata zjadł mnie na lunch, wypłułby kości dopiero przed pójściem do łóżka.

Z diagnostycznego punktu widzenia nie mogłem zaliczyć Gibbs do socjopatów, niemniej amunicja użyta przez nią w celu odwrócenia mojej uwagi była najwyższej jakości spośród tego, z czym się ostatnio zetknąłem.

To, że nabrałem przekonania, iż Gibbs ukrywa coś przede mną za psychologicznym parawanem, nie oznaczało wcale, że przestałem wierzyć w jej podejrzenia, jakoby Sterling miał być mordercą. Nie oznaczało też, że uznałem jej opowieść o letniej przygodzie na jachcie w Saint Tropez za wyssaną z palca. Nie oznaczało wreszcie, że uznaję jej wysiłki zmierzające do ukrycia czegoś za całkiem świadome.

Nie byłem nawet do końca przekonany, że naprawdę wykonała psychologiczny zwód, jak można by to określić, posługując się ulubioną hokejową terminologią Sama. Z terapeutycznego punktu widzenia nie byłem przygotowany, by jej to wykazać czy to w formie interpretacyjnej, czy konfrontacyjnej. Miałem jednak swoją nową roboczą hipotezę: Gibbs mówiła o morderstwie i seksie po to, aby odwrócić moją uwagę - a być może również swoją - od czegoś, co od strony psychologicznej było dla niej jeszcze groźniejsze.



Cóż zatem mogło być groźniejsze od przedmałżeńskiego seksu i podejrzeń wobec męża o dokonanie zabójstwa?

Jej ostatnie słowa podczas tej sesji dodatkowo mnie zaskoczyły. Powiedziała bowiem:

- Czuję się tak, jakby pan czytał w moich myślach.

Pozostawiłem tę sugestię bez odpowiedzi. Prawda wyglądała tak, że nie potrafiłem czytać w niczyich myślach. Kiedy miałem dobry dzień, byłem w stanie dostrzec tylko niewielki odcinek drogi znikającej w ciemnościach, ale nic poza tym.

18

Oczywiście powinienem był to przewidzieć, lecz nawet mnie zaskoczyła wrażliwość Sama. Zawsze uważałem go za twardziela.

Ale tego dnia, pomijając kwestię jego gabarytów, sprawiał wrażenie słabowitego, przestraszonego dziecka.

Kilka godzin po spotkaniu z Gibbs wybraliśmy się razem na spacer sprzed jego domu niedaleko szpitala miejskiego do parku North Boulder. Czekał na mnie na ulicy. Był wyposażony w krokomierz, z którego nie umiał jeszcze korzystać i przy którym uparcie gmerał przez dobrych kilkaset metrów, zanim go w końcu sklął i wepchnął do kieszeni dresów. Nie ulegało wątpliwości, że jego wiara w skuteczność stosowania tego typu przyrządów da się mierzyć w skali średnicy tętnic w czasie niedawnego zawału.

W plastikowej torbie ze sklepu Peppercorn w śródmiejskim pasażu handlowym, gdzie niedawno kupowałem nowy toster, niosłem dla nas lunch. Lauren przygotowała kanapki z razowego chleba z pieczonymi jarzynami i sosem homusowym. Na deser mieliśmy pierwsze w tym sezonie klementynki. A do popicia bezteinową zieloną herbatę. Dla mnie zrobiony w domu posiłek stanowił nie lada gratkę, podejrzewałem jednak, że dla Sama będzie to kwintesencja wszystkiego złego, co może człowieka spotkać w Boulder.

Okrążyliśmy cały park, zanim wybraliśmy ławkę i usiedliśmy do lunchu. Trwało jeszcze bodaj najdłuższe babie lato, jakie mogłem sobie przypomnieć od czasu zamieszkania w tym mieście, i pogoda była po prostu wspaniała.

Sam wcale się nie rzucił do rozpakowywania kanapek. Zamiast tego zacisnął palce prawej ręki na lewym nadgarstku i zapatrzył się na sekundnik zegarka.

- Wydaje mi się, że wszystko w porządku - rzekł po chwili.

- Zabrzmiało to przekonująco.

Zachichotał krótko. Co ciekawsze, zaczął powoli przeżuwać pieczone jarzyny z sosem homusowym bez słowa protestu na brak choćby skrawka zwierzęcego białka w kanapce.

- Ta śledcza z Laguna Beach skontaktowała się z naszym wydziałem - rzekł między kęsami.

- Słucham?

- No, wiesz, ta Carmen... jakaś tam. Ta, z którą rozmawiałeś przez telefon. Skontaktowała się z nami.

- I co?

- Nic. Pytałem Lucy, który z chłopaków ma się zająć tą sprawą, ale nie wiedziała, odparła, że pewnie spadnie to na Dannyego. Nic więcej nie wiem. Nie zapominaj, że jakiś czas byłem poza obiegami.

Lucy była jego partnerką. Nie kojarzyłem śledczego o imieniu Danny.

- A więc nie znasz także planów detektyw Reynoso? Nie wiesz, czy się tu wybiera?

- Nic nie wiem. Powiedziałbym nawet, że mniej niż nic. -Odgryzł kolejny kęs kanapki. - Sam je robiłeś? Całkiem niezłe. Chyba nie ma w nich sera, prawda? Usiłuję całkiem zrezygnować z sera. Do tej pory byłem jego miłośnikiem. Francuzi jedzą mnóstwo sera, a wcale nie są grubi. Ja jem dużo sera i jestem gruby. Czegoś tu nie rozumiem. Jak sądzę, to jedna z

niezłębionych tajemnic życia. Tylko dlaczego tak wiele tych tajemnic wiąże się z Francuzami?

Nie miałem żadnego klucza do ułożenia tej francuskiej układanki.

- Będiesz mógł sam podziękować Lauren za lunch. I za to, że nie dała sera. Chcesz wiedzieć, z czym są kanapki? - Nie odpowiedział, ale mimo to zacząłem wyliczać: - Fasolka garbanzo, pasta tahini, dużo czosnku...

- Prosiłem cię o wyjaśnienia? Prosiłem? Nie chcę wiedzieć, co jest w kanapkach. Ważne, że mi smakują. Na razie nic więcej się dla mnie nie liczy. Jak słyszę o jakimś tahini... Jezu. Nie chce mi się wierzyć, że biorę do ust coś, co się tak nazywa.

- Powiem Lauren, że ci smakowało.

- Naprawdę jestem gotów wrócić do pracy - oświadczył.

- Czyżby?

- Do stycznia jeszcze kupa czasu. Ani chybi oszaleję. Wiesz, że ten idiotyczny program rehabilitacyjny potrwa aż do świąt?

A zajmie mi tylko po parę godzin trzy razy w tygodniu. Nie można skumulować tych zajęć, załatwić ich w ciągu trzech dni, żeby jak najszybciej mieć to z głowy? To byłoby nie tylko dużo wydajniejsze, ale i mniej stresujące. Bo przecież w końcu głównie o to chodzi, prawda? Żeby zredukować mój stres?

- Nie dostałeś żadnych broszurek na temat osobowości typu A? Jeśli dostałeś, mógłbyś poświęcić chociaż parę minut, żeby je przekartkować.

Mruknał pogardliwie.

- Odpowiednie nastawienie to połowa sukcesu - ciągnąłem. - Daj szansę specom od rehabilitacji. Poza tym masz okazję, żeby w tym roku dobrze przygotować święta. Spróbuj wymyślić coś zabawnego. Udekoruj dom. Naucz się kilku kołęd.

- Święta to przede wszystkim żarcie, szynka i boczek, placek z dynią i babka drożdżowa, całe mnóstwo rzeczy, których teraz nie pozwolono mi nawet spróbować. Nie wolno mi nawet zasiąść przed telewizorem z paczką chipsów, żeby w spokoju obejrzeć mecz.

- Są za to inne rzeczy, które ci wolno. - Skończyłem obierać mandarynkę i wyciągnąłem w jego kierunku.

Ale nie wziął.

- Opowiadasz takie same banały wszystkim, którzy przychodzą do ciebie na terapię, czy też oszczędzasz najbardziej wyswiechtane frazesy dla swoich przyjaciół?

Spojrzałem na zegarek.

- Muszę wracać do pracy. Chodź, odprowadzę cię do domu.

- Chyba zostanę tu jeszcze trochę. Wstałem z ławki i zapytałem:

- Twoje stosunki z Sherry są nadal napięte?

- Już nieraz to przerabialiśmy, jakoś przez to przebrniemy. - Zamilkł na dłużej, skubiąc w zamyśleniu żółtkę żdźbło trawy. Typowa dla Kolorado jesienna susza sprawiła, że niemal cała trawa była żółta. - Ona odczuwa... sam nie wiem... jakiś rodzaj niespełnienia. Wydaje mi się, że przynajmniej do pewnego stopnia ją rozumiem.

- A więc nie chodzi tylko o twój zawał?

- Naprawdę nie wiem, o co właściwie chodzi.

- A co ty myślisz? Jak oceniasz swoje małżeństwo z Sherry?

Nie odpowiedział. Powoli dźwignął się z ławki i ruszył w kierunku wyjścia z parku. Ale tym razem włókł się noga za nogą, aż musiałem zwolnić. Nie umiałem ocenić, czy to dosłownie zranione serce, czy też zranione w przenośni spowalnia jego kroki.

Droga powrotna upłynęła nam prawie w całkowitym milczeniu. Wszedłem z nim do środka, żeby skorzystać z łazienki przed krótkim dojazdem do mojego gabinetu.

Kiedy skończyłem myć ręce, zająłem do ciasnej kuchni, żeby się pożegnać. Sam stał nisko pochylony nad blatem przy zlewie i trzymał się rękoma za głowę.

- Co ci jest? Dobrze się czujesz?

Nawet na mnie nie spojrzął, tylko łokciem przesunął w moją stronę kartkę z papeterii w delikatny kwiatowy wzorek, pokrytą kilkoma linijkami drobnego starannego pisma.

- Wygląda na to, że Sherry ode mnie odeszła. Zabrała Simona, żeby go odwiedzić do dziadków.

- Na Święto Dziękczynienia? Do Minnesoty? Dopiero teraz podniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione.

- Chyba tak. Podejrzewam, że przez całe święta będę sam jak palec.

- Co tam napisała? Nie rozmawialiście o tym wcześniej?

- Rozmowy małżeńskie są zdecydowanie przereklamowane. Sądzę, że po prostu postanowiła ode mnie odpocząć.

- Myślisz, że chce odejść na dobre?

Zgarnął list z blatu, złożył go i schował do kieszeni.

- Nie wiem. Możliwe.

Szok miał chyba siłą wstrząsu sejsmicznego. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak podzielała na trudny proces powrotu Sama do zdrowia.

- Ona mnie kocha. Nie to jest powodem, Alan. Nie mogę powiedzieć niczego na sto procent, ale raczej nie o to chodzi.

- Sam, może...

- Wracaj do pracy. Wolałbym na jakiś czas zostać sam -burknął.

Stałem, jakbym miał podeszwy przyklejone do linoleum.

- No, spływaj - rzucił. - Muszę poćwiczyć.

Miał na myśli nie ćwiczenia fizyczne, ale życie w samotności.

19

W piątki zwykle nie pracuję. Nie oznacza to, że mam krótszy tydzień pracy. Nie dość, że w ciągu czterech dni roboczych wyrabiam sporo ponad czterdzieści godzin, to jeszcze purytańskie poczucie winy od czasu do czasu skutecznie zakłóca mi radość z tego jednego dnia pełnej swobody. A przecież piątki mam zarezerwowane przede wszystkim na to, żeby spędzić więcej czasu z Grace i skorzystać ze stosunkowo mało zatłoczonych tras rowerowych w okolicy.

Ale ten piątek nie zaliczał się, niestety, do tych dni, które tak bardzo sobie cenilem.

Spakowałem Grace wraz z niewiarygodną ilością niezbędnego jej oprzyrządowania - będąc jeszcze w college'u wybrałem się na miesięczną wyprawę po Europie z dużo mniejszym bagażem, niż teraz potrzebowałem, żeby się przedostać z małą na drugi koniec miasta - i kilka minut po dziewiątej wyszliśmy razem z domu. Mieliśmy do załatwienia parę spraw wykraczających poza codzienną rutynę. Byliśmy oboje zaprawionymi w bojach fachowcami od zakupów spożywczych i wizyt w pralni samoobsługowej. Wymiana kaset wideo i tankowanie samochodu nie przedstawiało dla nas żadnego problemu. Potrafiliśmy się znakomicie bawić, myszkujeć między regałami w sklepie gospodarstwa domowego McGuckina bądź podczas przymierzania miniaturowych tenisówek w salonie obuwniczym.

Ale w ten piątek czekały nas sprawy nietypowe, bo odkładane przeze mnie od wielu tygodni, a to z tej przyczyny, że wymagały odwiedzin w urzędach i instytucjach państwowych.

Jeśli załatwianie jakichkolwiek spraw przypomina drogę przez mękę, to załatwianie spraw urzędowych jest przedzieraniem się przez piekło.

Na pierwszy przystanek wyznaczaliśmy sobie wizytę w urzędzie zajmującym się wydawaniem praw jazdy z ramienia władz stanu Kolorado. Kończył mi się termin ważności.

Ani razu nie byłem zatrzymany przez policję za wykroczenia drogowe, zatem od strony

technicznej, zgodnie z przepisami, do przedłużenia ważności dokumentu musiałem tylko złożyć odcisk prawego palca wskazującego, dostarczyć aktualną fotografię cyfrową, odpowiedzieć na kilka pytań w kwestionariuszu oraz wnieść opłatę w wysokości piętnastu dolarów i sześćdziesięciu centów. Ile to wszystko mogło potrwać?

A ile trwało?

Sześćdziesiąt cztery minuty. Policzyłem co do sekundy.

Następnym przystankiem był Okręgowy Urząd Poczty Federalnej Stanów Zjednoczonych. Musiałem wysłać niewielką paczkę do Włoch. Po wypełnieniu druku odprawy celnej stanęliśmy razem z Grace w kolejce. Przed nami było ze dwadzieścia osób. Działały trzy okienka. Dokonałem w pamięci pobieżnych obliczeń i zakomunikowałem córce:

- Góra piętnaście minut, skarbie.

Chwilę później aż dwie pracownice jednocześnie ukradkiem zamknęły swoje okienka i zniknęły na zapleczu. Ktoś zapytał głośno:

- Jakie to sprawy zmuszają do zamknięcia stanowisk, kiedy czeka aż tylu klientów?

Nikt nie odważył się udzielić odpowiedzi. Należało uznać, że jest to pytanie nie tylko retoryczne, ale w dodatku nadzwyczaj cyniczne. My wszyscy, którzy daliśmy się schwytać w pułapkę nagłego wstrzymania aktywności Okręgowego Urzędu Poczty Federalnej Stanów Zjednoczonych, musieliśmy sobie uświadomić, że nie jesteśmy już w Kansas.

Tymczasem przed nami w kolejce stało jeszcze piętnaście osób. I co najmniej drugie tyle zdążyło się ustawić za nami. Nic więc dziwnego, że Grace zapytała, ile to jeszcze potrwa. Oczywiście zrobiła to po swojemu, głośnym kwileniem i ciągnięciem mnie za ucho.

- Tylko jakieś pół godziny, bąku - odparłem, ale nie powstrzymało jej to przed następnymi pytaniami.

I tak się pomyliłem. W sumie nadanie jednej małej paczki na pocztę zabrało nam siedemdziesiąt siedem minut.

Ruszyliśmy dalej do punktu obsługi tutejszego dystrybutora telewizji kablowej. Zepsuł nam się pilot od dekodera. Dlatego śmiało wyznaczyłem sobie prostą misję jego wymiany na egzemplarz działający. Jeszcze na parkingu oznajmiłem Grace:

- To nie jest firma państwowa. Tu się załatwia klienta błyskawicznie. Góra dziesięć minut.

Tyle że razy pięć. Pięćdziesiąt trzy minuty później miałem nowego pilota oraz dokuczliwy ból głowy. Ciepłiwosć Grace, chociaż nigdy nie była przykładowa, wyczerpała się do reszty. Mój zegarek wskazywał dziesięć po pierwszej. Viv - nasza cudowna, niezastąpiona fachowa pomoc do niemowlectwa - czekała na nas pod domem już od dwunastej trzydzieści.

Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, przekazałem Grace opiekunce, wlałem w siebie zawartość puszki napoju energetyzującego, popiłem go szklanką wody i poszedłem się przebrać w strój do jazdy na rowerze.

Zdażyłem się rozebrać do naga i otworzyć szafę, kiedy zaczął wibrować mój pager leżący na półce.

Spojrzałem na wyświetlacz.

Widniało na nim 911, a dalej nieznany mi numer telefonu w Boulder.

Nim zyskałem okazję, żeby odpowiedzieć, zadzwonił telefon. W kilku susach przeskoczyłem do sypialni i podniosłem słuchawkę. Ku memu zaskoczeniu rozległ się w niej głos Sama.

- Gównno wylądowało - rzucił krótko.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ma na myśli Sherry.

Przyszło mi do głowy, że odebrał właśnie pozew rozwodowy czy jakieś inne, równie obrzydliwe papiery.

- Boże, strasznie mi przykro, Sam. Co się stało?

- Właśnie w tej chwili prowadzone jest przeszukanie. Tylko pamiętaj, że o niczym nie słyszałeś ode mnie.

Z jakiego powodu ktoś miałby prowadzić rewizję w domu Sama? I od kogo innego mógłbym się o tym dowiedzieć?

- Po co? Kto przeszukuje twój dom?

- Nie mój, tępaku. Nie udawaj głupiego. Przecież wiesz, że mówię o domu twojej pacjentki. Zapomniałeś o tej detektyw z Kalifornii? O dawnym zabójstwie? Jeszcze nie kapujesz? Mam ci dalej tłumaczyć?

- Od razu przyleciała z nakazem rewizji? Przecież jeszcze nawet z nikim nie rozmawiała. W ogóle nie miałem pojęcia, że już tu jest.

- Przykro mi, że nie znalazłeś się na liście odbiorców kopii policyjnych raportów. Obiecuję, że każę komuś naprawić ten niewybaczalny błąd. Nawiasem mówiąc, Lucy powiedziała, że Reynoso przyjechała w towarzystwie innego śledczego, urządzili naradę z kierownictwem wydziału i już po kilkunastu minutach wydebili od sędzi Heller nakaz rewizji. Jak widzisz, nie marnują czasu na żadne wstępne rozpoznania. Lucy zaznaczyła, że niemal od progu wyłożyli karty na stół. To poważna sprawa, Alan. Muszę kończyć.

Odłożył słuchawkę.

Mój pager znów zaczął podskakiwać na półce. Wiadomość była ta sama, co poprzednio: 911 oraz nieznany mi miejscowy numer telefonu. Wybrałem go i zacząłem:

- Mówi doktor Gregory w odpowiedzi na wezwanie.

- Może pan tu przyjechać? - rzuciła błagalnym tonem Gibbs. - Proszę. Policja przeszukuje nasz dom. Przewracają wszystko do góry nogami. Zabrali nasze komputery. Spakowali nawet buty Sterlinga.

Słuchałem tego jak oniemiały. Zastanawiałem się mętnie, czemu Gibbs uważa zabranie przez policję butów męża za rodzaj zniewagi. Ale zarazem próbowałem gorączkowo wywnioskować coś z niezwyklej strategii, jaką detektyw Carmen Reynoso obrała w celu sprawdzenia oskarżeń kierowanych pod adresem Ster-linga Storeya. Żadnych rozmów, tylko działanie.

- Proszę - powtórzyła Gibbs.

- Niech mi pani podyktuje swój adres. Nie znam go na pamięć. - Wytłumaczyła mi, jak odnaleźć jej dom na nowym osiedlu, którego w ogóle nie znałem, na zachód od Broadwayu w północnej części miasta. - Zdążyła się już pani skontaktować z którymś z tutejszych adwokatów?

- Mniej więcej.

Załóżmy, że to oznacza tak, pomyślałem.

- W takim razie sugeruję, żeby pani do niego zadzwoniła. Postaram się dotrzeć do pani jak najszybciej, ale biorąc pod uwagę okoliczności, naprawdę nie wiem, co mógłbym dla pani zrobić.

Wkładając bokserki, obrzuciłem tęsknym wzrokiem elastyczny strój rowerowy, powiedziałem do siebie na głos:

- Nie mam pojęcia, po co tam jadę, ale jadę.

Sam wspomniał, że śledczy niemal od progu „wyłożyli karty na stół”, co miało świadczyć, że sprawa jest „poważna”. Natomiast dla mnie oznaczało to, że detektyw Carmen Reynoso dała mi wiarę jakimś szczegółom z opowieści Gibbs.

Nagle przypomniałem sobie ostrzeżenia Diane co do moich zachowań terapeuty, jej słowa niemalże eksplodowały w mojej głowie i popłynęły gwałtownym strumieniem jak woda z pękniętej rury.

„Tego, co robisz dla Gibbs, nie zrobiłbyś dla większości innych pacjentów”.

Zamarłem z jedną nogą wetkniętą w nogawkę spodni.

Miała absolutną rację.

W co też, do pioruna, zamierzałem się właśnie wpakować?

Gibbs i Sterling mieszkali w jednym z tych wielkich domów utrzymanych w stylu pseudowiktoriańskim, których setki pobudowano na północno-zachodnich i wschodnich obrzeżach Boulder w latach osiemdziesiątych, kiedy to inwestorzy ostatecznie uwierzyli w skuteczność prowadzonej przez władze miejskie polityki zmierzającej do zwiększenia przyrostu naturalnego. Nie wątpię, że zamiarem architektów było złożenie należnego hołdu oryginalnej wiktoriańskiej spuściźnie z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, ale w efekcie wyszło coś bardziej przypominającego Main Street w Disneylandzie niż Mapleton Hill w Boulder.

Trzypiętrowy dom Storeyów musiał mieć łącznie z pięćset metrów kwadratowych. Jak tylko wyjechałem zza rogu, od razu go namierzyłem, bo stało na wprost niego kilka wozów policyjnych, zarówno patrolowych, jak i nieoznakowanych. A gdy tylko obrzuciłem go spojrzeniem, pomyślałem, że Storeyowie na trzech piętrach mogli się bawić w chowanego, całymi tygodniami poszukując partnera.

Gibbs siedziała za kierownicą monstrualnego, polakiero-wanego na złoto wozu terenowego - jednego z tych, które napawały mnie strachem na drodze nie tylko wtedy, gdy jechałem za nimi czy obok nich, ale także przed nimi bądź w ogóle po tej samej szosie. Nie chodziło nawet o to, że najnowsze auta terenowe są aż tak wielkie, tylko o to, że ich kierowcy za takie je uważają. Miałem wrażenie, że wszyscy ich właściciele wydymają dumnie policzki i wypinają piersi. Kolos należący do Gibbs był cadillakiem. Wyglądała w nim jak pięciolatka z dumą próbująca objąć rękoma wielką kierownicę wozu strażackiego. Aż podskoczyła, kiedy zapukałem w szybę po prawej stronie, ale zaraz ruchem ręki dała mi znak, żebym chwilę zaczekał.

Tym razem nie tryskała radością.

- Dzięki, że pan przyjechał. Nawet sama nie wiem, czemu do pana zadzwoniłam.

Mógłbym śmiało potwierdzić, że ja także nie mam o tym pojęcia, ale gdybym to zrobił, musiałbym także głośno wyjawić powody, dla których tak błyskawicznie po jej telefonie przyjechałem na drugi koniec miasta, a do tego w żadnej mierze się nie paliłem.

- Co się dzieje?

- Nie tak dawno przyjechali, podetknęli mi pod nos jakieś papiery i zaczęli wszystko w domu przewracać do góry nogami. Bóg jeden wie, czego szukają. Jest ich pięcioro.

- I wszyscy z Kalifornii? Z tego wydziału, do którego dzwoniłem w pani imieniu? - Znałem już odpowiedź na to pytanie, ale nie dowiedziałbym się wiele o Gibbs, gdybym nie pozwolił jej mówić.

- No... tak, przynajmniej jedna czy dwie osoby są z Kalifornii. Kieruje nimi kobieta. Bardzo wysoka. Powiedziała mi, że jest z Laguna Beach i że to ona rozmawiała z panem przez telefon.

- Detektyw Reynoso? Wzruszyła ramionami.

- I nie towarzyszy jej nikt z tutejszej policji?

- Owszem.

- Nie wymienił swojego nazwiska?

- Zdążyłam je zapomnieć.

- A Sterling? Jest w domu?

- Wczoraj wyjechał na Florydę. Do klubu „Seminoles”, „Gators” czy „Hurricanes”. Tego też nie pamiętam. Wiem tylko, że szykuje jakąś transmisję z meczu, w którym klub z Florydy ma się zmierzyć z drużyną z innego stanu. Chyba z Georgii. A może z Alabamą? Z Auburn?

Gdzie leży Auburn? Przepraszam. Wiele razy próbowałam to sobie zapamiętać, ale nie potrafię odróżnić ani nazw klubów, ani miast. Wiem, że dla wielu osób to bardzo ważne, lecz gdyby nawet mieli mnie poćwiartować, nie zdołam tego zapamiętać.

Odniosłem wrażenie, że byłaby gotowa wybuchnąć płaczem, próbując sobie przypomnieć nazwę drużyny piłkarskiej ze swojego college'u. W bardziej konwencjonalnej psychoterapii doszedłbym zapewne do wniosku, że jej ignorancja w dziedzinie futbolu amerykańskiego i jej stosunek do tego sportu stanowią doniosły temat, który w trakcie naszych sesji należałoby poruszyć znacznie bardziej szczegółowo. Teraz jednak pora była nieodpowiednia.

- A do jakiego miasta tym razem wyjechał?

- Do Tallahassee.

- Próbowała się pani z nim skontaktować? - Zdawałem sobie sprawę, że zasypuję ją pytaniami, co nie jest typowe w psychoterapii i na pewno nie stanowi oznaki, że wszystko jest w porządku. Ale, niestety, moje doświadczenia z poufnych sesji terapeutycznych na przednich siedzeniach cadillaca escalade należały do bardzo ograniczonych.

Gibbs podniosła telefon komórkowy, który trzymała na kolanach.

- Nie odpowiada. Zawsze jest bardzo zajęty w trakcie przygotowań do transmisji. Wciąż poganiają go terminy. Zostawiłam mu wiadomość.

- A pani adwokat?

- Tak naprawdę to nie mam adwokata.

- I sugerowała pani, że jest inaczej, ponieważ... Pozwoliłem tej myśli zacząć się przy jej nodze jak niezbyt

przyjaźnie nastawiony pies, żeby nakłonić ją do odpowiedzi. Wydawało mi się, że na krótko przygryzła wargi, ale nie zauważyłem żadnej innej reakcji.

Postanowiłem więc dokończyć zdanie:

- ...ponieważ myślała pani, że będę zły albo rozczarowany, że nie znalazła pani sobie adwokata?

Przytaknęła ruchem głowy. Nawet na mnie nie spojrzała. Wpatrywała się w atletycznie zbudowaną policjantkę o tlenionych włosach, która wносиła właśnie z jej domu przenośny komputer.

- Ten iMac nawet nie jest Sterlinga, tylko mój. On nie cierpi Maców.

Policjantka ostrożnie ułożyła komputer na skrzyni szarego chevroleta suburbana.

- Więc jak? Nie chciała mnie pani rozzłościć?

Gibbs prychnęła z pogardą. Niby cicho, ale jednak prychnęła.

- Nie lubię żadnych oczekiwań w jakimkolwiek związku. Aha.

- I sądziła pani, że ja oczekuję tego, iż skontaktuje się pani z adwokatem?

Nozdrza jej się lekko rozszerzyły.

- Od samego początku oczekiwał pan ode mnie tego czy tamtego, według własnego widzimisię.

Musiałem sobie w duchu przypomnieć, że u podstaw mojej znajomości z nią leży psychoterapia, rodzaj interakcji międzyludzkiej mający często niezbyt wiele wspólnego z rzeczywistością.

- Mojego widzimisię? - powtórzyłem odruchowo, chociaż udało mi się to powiedzieć obojętnym tonem, jakby mnie tylko zaciekało, a nie oszłomiło. Niemniej, zdawałem sobie sprawę, że mógłbym się poczuć urażony. Na szczęście byłem także świadom tego, że do jakiegoś stopnia nawet chciałbym się tak poczuć.

Mogłem się jedynie domyślać, że według mojego widzimisię Gibbs powinna się teraz znaleźć w schronisku dla kobiet, a nie dzielić dalej małżeńskiego łóżka z mężczyzną, którego oskarżała o popełnienie morderstwa. Według mojego widzimisię to ona sama powinna się skontaktować z policją z Laguna Beach, nie mieszając mnie w całą tę historię. Według mojego widzimisię nie powinienem pod żadnym pozorem zasiać na przednim siedzeniu jej cadillaca escalade i przyglądać się, jak policja prowadzi przeszukanie jej domu.

Tyle że Gibbs nie odnosiła się do obiektywnej rzeczywistości, a do tej, której sama doświadczała. Do swojego własnego świata, a nie świata realnego. Odnosiła się zwłaszcza do roli mężczyzn w tym jej świecie. Do moich zadań należała pomoc w odnalezieniu sensu w doświadczeniach pochodzących z tego świata, a tym samym niejako pomoc w ustaleniu rozbieżności między jej realnym światem a rzeczywistością, w której pozostawała większość z nas, jakby na przekór nazywając ją światem realnym.

W tej samej chwili aż trzech stróżów prawa wyszło gęsiego z garażu sąsiadującego z jej domem. Każdy niósł dwie brązowe papierowe torby starannie złożone na górze, zaklejone taśmą samoprzylepną i opatrzone przywieszką z opisem.

- Ciekawe, co tam znaleźli - mruknęła Gibbs. - Mam nadzieję, że nic nie zginie, bo udało mi się zebrać trochę ładnych rzeczy.

Tak więc trwało testowanie tegoż jej realnego świata.

- Podejrzewam, że próbują tylko rozwikłać zagadkę niewyjaśnionego zabójstwa, Gibbs. Przecież zginęła pani przyjaciółka, Louise, prawda? I to pani ich tu wezwała, zgadza się? Właśnie dlatego prowadzą rewizję.

- Tak, wiem - odparła, ale w jej tonie było dużo więcej zniecierpliwienia niż współczucia.

- To ona - syknęła po chwili.

Carmen Reynoso rzeczywiście była wysoka. Nawet z tej odległości oszacowałem jej wzrost na sto osiemdziesiąt centymetrów. I jak większość przybyszów nie była w ogóle obeznana z kaprysmi pogody w Kolorado. Zapewne wyszła z założenia, że skoro jest listopad, muszą tutaj szaleć śnieżyce połączone z tęgimi mrozami, a pługi śnieżne nie nadążają z usuwaniem zasp, w związku z czym większość mieszkańców udaje się do pracy na nartach, dopóki gdzieś w maju nie nastaną roztopy.

Była więc ubrana w zgodzie z tym stereotypem. Na nogach miała ciężkie skórzane buty z wysokimi cholewkami, do tego ciepłe wełniane spodnie i gruby sweter z golfem, w którym już po paru sekundach zacząłbym pewnie błagać o możliwość przebrania się w coś lżejszego.

W dodatku niosła przerzuconą przez lewe ramię nieprzemakalną kurtkę marynarską.

W ciągu nocy o miasto zahaczył słaby zimny front, który

ściągnął powietrze znad szczytów pasma Front Range i temperatura spadła nieco poniżej 20 stopni Celsjusza. Słońce grzało mocno, chociaż musiało się przebijać przez cienką warstwę wysoko dryfujących chmur, i nawet mnie było za ciepło w sztruksowych spodniach i bawełnianym swetrze.

- Ładne buty - zauważyła Gibbs. - Chociaż ja bym ich nie włożyła do tej kurtki. Za nic.

Ładne buty?

Detektyw Reynoso pokonała dwa długie proste odcinki na początku wijącej się serpentyną, wyłożonej kostką alejki, ale zawołała ją ktoś z wnętrza domu, toteż zawróciła na pięcie i po chwili zniknęła w mroku zalegającym za otwartymi drzwiami.

- Detektyw Reynoso nie mówiła, kiedy będzie chciała panią przesłuchać? - zapytałem.

- Poprosiła, żebym zaczekała w samochodzie, dopóki nie skończą rewizji. Zakładam więc, że potem będzie chciała ze mną rozmawiać.

- Przy tej rozmowie powinien być obecny pani adwokat, Gibbs. W celu pani ochrony. - Moja żona wpoila mi skutecznie, żebym zawsze domagał się obecności adwokata, jeśli jacyś stróże prawa będą chcieli mnie przesłuchiwać. Przyznawała otwarcie, że istnieją pewne wyjątki od tej reguły, wołała jednak, żeby powiedział mi o nich właśnie wezwany adwokat, jeśli zajdzie taka konieczność.

Gibbs, ewidentnie poirytowana, burknęła:

- Przecież to ja ich powiadomiłam. Nie potrzebuję więc żadnej ochrony. Nie rozumie pan tego?

Głośno przełknąłem ślinę. Wolałem nie korygować jej stanowiska i nie tłumaczyć, że od strony czysto technicznej to ja dzwoniłem do Kalifornii.



- W każdym razie niepotrzebna mi pomoc ani pana, ani adwokata, ani schroniska dla kobiet, ani tym bardziej jej. - Szerokim gestem wskazała otwarte drzwi, za którymi zniknęła Carmen Reynoso. - Czy to jasne?

21

Zanim wysiadłem z samochodu i zostawiłem Gibbs samą sobie, umówiłem się z nią na kolejną sesję na poniedziałek rano. Wcześniej rano, bo o siódmej. Nie miałem już wolnego innego terminu.

Ruszyłem z powrotem ulicą Dziewiątą i wpadłem po drodze do biura, żeby zabrać materiały do raportu, który zamierzałem napisać przez weekend. W końcu postanowiłem załatwić jeszcze parę spraw w śródmieściu.

Często żałuję, że Centralny Śródmiejski Pasaż Handlowy nie jest już miejscem, gdzie można kupić na przykład mosiężne wkrety z łepkami Phillipsa czy bezpośrednio w aptece dostać drugą porcję przepisanych wcześniej przez lekarza pigułek. Zanim go zbudowano, na odcinku paru przecznic, zamieniając Main Street w uroczą, wyłożoną kostką i ocienioną drzewami promenadę, śródmieście Boulder było dokładnie takie samo, jak w tysiącach miast i miasteczek Wielkich Równin: wzdłuż szerokiej ulicy ciągnęły się bary i kawiarnie, sklepy ze sprzętem gospodarczym i odzieżą, pawilony spożywcze i apteki, był tu również pchli targ. Nasza dawna gospodyni - uroczą starsza kobieta, która przyjęła mnie pod swój dach, kiedy robiłem specjalizację po dyplomie, i w końcu sprzedała nam cały dom, w którym do dziś mieszkamy z Lauren - często zapraszała mnie na filiżankę jaśminowej herbatki i świeżo wyjęte z pieca kruszaki, a przy stole opowiadała zazwyczaj o tym Boulder, w którym się zakochała i które zaginęło bezpowrotnie po gruntownej modernizacji całego śródmieścia w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Lois przyjaźniła się z Fredem, właścicielem restauracji U Freda, oraz Virginią, matroną stojącą za ladą księgarni Printed Page. Nawet nie tyle żyła rozpamiętywaniem przeszłości, co pozwalała sobie od czasu do czasu zatęsknić za kawałkiem szarlotki z kuchni Freda czy egzemplarzem jakiejś mało znanej książki, którą poleciła jej Virginia. Odnosiłem wrażenie, że Lois nigdy się nie zawiodła ani na szarlotce, ani na rekomendacjach literackich. Mimo że lubiła spacerować po nowym pasażu handlowym aż do ostatnich dni przed powrotem do rodzinnej Skandynawii, nigdy ani na chwilę nie wyzbyła się podziwu dla tej części miasta, którą znała przez większą część minionego stulecia.

Restauracji U Freda już nie było. Samego Freda zresztą także. Printed Page została przeniesiona pod inny adres, a w nowym pasażu miejsce sklepów zajęły sklepiki i stragany. Najwięcej było chyba punktów z wyrobami rzemiosła artystycznego. Przynajmniej w tym zakresie ogólnokrajowe sieci supermarketów nie zdołały wyprzeć lokalnych handlarzy. Rozmyślałem o zachodzących przemianach, jadąc Pearl Street w poszukiwaniu płyty DVD, którą Lauren postanowiła kupić dla Grace. Moja córka rozbudziła w sobie niewytłumaczalną fascynację ciężarówkami i wyglądało na to, że na rynku jest mnóstwo filmów dokumentalnych o tej tematyce, przeznaczonych specjalnie dla niemowląt. Lauren przygotowała listę najciekawszych pozycji. Brakowało mi jedynie pewności co do tego, że w pasażu znajdę choćby jeden sklepik zajmujący się dystrybucją przeznaczonych dla małych dzieci płyt DVD z filmami o osiemnasto-kołowych ciągnikach, lawetach i naczepach.

Zbliżałem się do przejścia dla pieszych na Broadwayu, gdy usłyszałem za sobą:

- Mój Boże, zwolnij trochę! Kto wpadł na pomysł, żeby robić tu chodniki wykładane kostką? I kto wymyślił takie cienkie szpilki? Mówi się „cienkie” czy „wąskie”? Mniejsza z tym. I tak chciałabym wiedzieć, komu za nie podziękować.

Śmieszny cyfrowy wyświetlacz po drugiej stronie ulicy zdążył odliczyć od sześciu do zera, nim Diane się ze mną zrównała. Samochody jak na komendę ruszyły ze skrzyżowania, ledwie stanęła obok mnie.

- Pewnie znajdziesz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania w internecie - odparłem.
  - Wiesz, co ostatnio znalazłam w internecie? Spodoba ci się. Otóż wymyśliłam, że powinnam umieć powiedzieć do mojego męża „Mój Boże” w jego języku, żeby na przykład złożyć zdanie: „Mój Boże, Raoul, nie jesteś szczęśliwy, że się pobraliśmy?”. No i wpisałam w wyszukiwarce Google'a „Mój Boże” i „hiszpański”. Wiesz, co uzyskałam? Adres strony, na której było zdanie „O, mój Boże, mam wbić w głowę siekierę!” w stu dwóch językach.
  - Wśród nich także po hiszpańsku?
  - Oczywiście.
  - Więc znalazłaś to, czego szukałaś.
  - ;Dios mio, hay un hacha en mi cabeza!
  - Nie wątpię, że któregoś dnia ci się przyda. A w ogóle co u ciebie słyhać, Diane?
  - Wszystko w porządku. Pacjentów mi nie brakuje, bo wszyscy chyba uważają, że posiadam jakąś tajemną moc uzdrawiania, mam wspaniałego męża i pieniądze na koncie w banku. No i nie mam żadnej hacha w mojej cabeza. Czego chcesz więcej? Ach, już wiem, o co miałam zapytać. Co ty tu robisz w piątek o tej porze i czemu aż tak bardzo ci się spieszy?
  - Wyruszyłem na misję specjalną. - Wyjaśniłem jej sprawę DVD, nie wspomniałem jednak ani słowem o miejscu, z którego mogłem obserwować przebieg rewizji w domu Gibbs.
  - Nie masz nic przeciwko temu, że się przyłączę? Chciałam cię jeszcze zapytać o coś ważnego.
  - Przyda mi się towarzystwo. Co chcesz wiedzieć? Zapaliło się zielone światło, a cyfrowy wyświetlacz oznajmił, że mamy dwadzieścia sekund, żeby przejść na drugą stronę Broadwayu. Teoretycznie czasu było pod dostatkiem, ale bezduszny automat zaczął odliczać tak szybko, że ledwie się powstrzymałem przed przyspieszeniem kroku.
  - Byłeś bardzo popularny w szkole średniej? - zapytała Diane.
  - Słucham? - bąknąłem, choć nie uszła mojej uwagi ironia wyczuwalna w jej głosie. Skręciłem w stronę olbrzymiej witryny prawdziwej mekki odzieżowej dla dzieci i młodzieży, salonu Abercrombie & Fitch.
  - Do jakiej grupy należałeś w szkole średniej? Byłeś kujonem? Maniakiem komputerowym? A może zaliczano cię do mięśniaków? - Zachichotała, jakby rozbawiona myślą, że mógłbym być miłośnikiem sportu. - No, śmiało, do której grupy należałeś? Sprawdzam pewną teorię. Obiecuję, że nikomu nie powiem.
  - Jeśli chcesz wiedzieć, nie byłem rozchwytywany, nie zaliczałem się do popularnych chłopaków.
  - Aha! Założę się więc, że należałeś do klubu freudowskiego lub czegoś w tym rodzaju.
  - W twojej szkole działał klub freudowski?
  - Nieważne. Następne pytanie. I to ważne. Czy kiedykolwiek próbowałaś poderwać którąś z dziewcząt popularnych w szkole?
- Jasne. Zaczynałem dostrzegać cały obrazek tej układanki.
- Masz na myśli przereklamowane suki typu alfa?
  - Odpowiedz.
  - Do czego zmierzasz?
  - Usiłuję zrozumieć, dlaczego aż tak się cackasz z Gibbs. Jak mówiłam, mam pewną teorię.
  - I doszłaś do wniosku, że ma to coś wspólnego z wypaczeniem charakteru, które wyniosłem ze szkoły średniej?
  - Powiedz mi tylko, czy kiedykolwiek startowałaś do którejś z popularnych dziewcząt.
- Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. Właśnie te dziewczęta. Te, które zawsze siadają przy tym

stole podczas lunchu i które nigdy nie mówią niczego normalnym tonem, bo albo coś sobie szepczą wzajemnie na ucho, albo oznajmiają donośnie, żeby cały świat się od razu dowiedział, co myślą.

Przeszliśmy w milczeniu parę metrów, zanim powtórzyła:

- Na pewno znasz te dziewczęta, które mam na myśli.  
- Nie - odparłem, ale natychmiast na panoramicznym ekranie w moim umyśle pojawiła się twarz Teri Reginelli uchwyci-

conej w technicolorze na siedemdziesięciomilimetrowej taśmie. Wspaniałe ciemnoblonde loki, piwne oczy, no i ten uśmiech, który mógłby mnie zmiażdżyć do grubości powłoki teflonowej.

- Na pewno?

- Tak.

- Kłamiesz. Powiedz szczerze, o kim w tej chwili myślisz? Podaj nazwisko. No, już.

Westchnąłem ciężko.

- Teri Reginelli.

- Była cheerleaderką? Królową balu?

- Nic z tych rzeczy. Zwykłą klasową boginią.

- Pochodziła z wyższej warstwy społecznej niż ty?

- Rzekłbym raczej, że operowała w bardzo zatłoczonych rejonach.

Diane trąciła mnie pięścią w ramię i mruknęła:

- Zostało tak do dziś. - Po chwili dodała łagodniejszym tonem: - Czy to nie dziwne, że proces dorastania w zasadzie nigdy się nie kończy? Nie sądzisz? Opisz mi wystarczająco dokładnie psychotyczny okres z czyjejś nauki w szkole średniej, a ułożę dość szczegółową mapę przyszłego życia uczuciowego tej osoby.

Nie zamierzałem z nią dyskutować. Przed wszystkim dlatego, że świetnie wiedziałem, w jak dużym stopniu ma rację. Chcąc przenieść jej zainteresowanie na coś innego, zapytałem:

- A jak ty wspominasz naukę w szkole średniej?

- Byłam bez reszty pochłonięta wyszukiwaniem sposobów na wytepienie wszystkich Terich Reginellich tego świata. I w tym tkwi źródło mojego przeniesienia na „Tańczącą Królową” - odparła z dumą, jakby wieściła sukces własnej re-trospekcji.

- Teraz ja mam pytanie. Czy kiedykolwiek wpadłaś na pomysł, żeby wbić swoją hacha w cześć jednej czy drugiej Teri Reginelli w swojej szkole?

- Wtedy uczyłam się francuskiego. Mon dieu, ily a une hache dans ma tete! Gdyby było inaczej, zapewne nie obyłyby się bez

tej siekiery. W którym sklepie zamierzasz szukać płyty DVD z filmem o ciężarówkach dla swojej córeczki?

- Jeszcze nie wiem. - Całkiem wyleciał mi z głowy powód wizyty w śródmieściu. Teri Reginelli zawsze tak na mnie działała.

Przeszliśmy ulicę Trzynastą. Diane przytuliła się do mego ramienia, pochyliła mi nieco głowę i szepnęła prosto do ucha:

- To też się nazywa przeniesieniem, Alan. Wszyscy tego doświadczamy. Nie ignoruj tego tylko dlatego, że ja ci to wytknęłam.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, oderwała się ode mnie i skręciła w bok niczym F-18 odrywający się od formacji eskadry myśliwców. Zawróciła w stronę wejścia do banku na rogu ulicy Trzynastej, jednego ze swoich ulubionych miejsc w pasażu handlowym.

- Dios mio - rzuciła jeszcze przez ramię. - Adiós.

Przeniesienie: traktowanie kogoś w chwili obecnej, reagowanie na niego i żywienie doń takich uczuć, jakby miało się do czynienia z osobą odgrywającą dużą rolę w czyjejś przeszłości.

Teri Reginelli. Gibbs Storey. I ja. Pomocy!

Z zakupioną płytą DVD wróciłem do domu. Wstawiłem wóz do garażu, wysiadłem i poświęciłem chwilę, żeby popatrzeć z podziwem na mój granatowy, jeszcze nie taki stary rower górski. Wisiał zabezpieczony na hakach wbitych w ścianę garażu. Wyrzuciłem jeszcze na dwór, chociaż już się ściemniało. Nie było więc mowy o tym, żeby wyruszyć jeszcze na trasę, którą sobie zaplanowałem na to popołudnie.

Żona mnie pocałowała, Grace zakwiliła, a oba psy z wielką radością przyjęły mój powrót. Lauren natychmiast wzięła płytę DVD i ruszyła z małą do pokoju, ja tymczasem zostałem zmuszony do poprawienia parasolowatej osłony na łapie Emily. Znakomicie spełniała swoją rolę zabezpieczenia świeżej rany, ale wymagała niemal stałego nadzoru i obsługi. Już nie byłem taki pewny, czy perspektywa stałych i sutych dochodów po wizycie w urzędzie patentowym nadal jest realna.

Kiedy spotkaliśmy się ponownie w kuchni, Lauren usiadła przy stole naprzeciwko mnie i popatrzyła, jak przeglądam wyjątkowo mało inspirujący stosik korespondencji. Żadne z nas nie miało świeżych wiadomości o losach Sama i Sherry. Opowiedziałem jej o swoich rannych przygodach w firmie telewizji kablowej, na poczcie i w biurze wydającym prawa jazdy, lecz relacja o urzędniczej indolencji dziwnie nie zrobiła na niej wrażenia. Lauren wstała i przeszła do zlewu.

Ale gdy tylko znalazła się tyłem do mnie, zapytała:

- To bardzo ciekawe. A kim jest Teri Reginelli? Aż mnie zatkało.

W jednej chwili zrozumiałem, że wstała od stołu głównie po to, by ukryć przede mną szeroki uśmiech typu „spróbuj mi-teraz-podskoczyć”, jaki z pewnością rozlał się po jej miłej skądinąd facjacie.

- Boże - mruknąłem. - Mogę się założyć, że Diane zadzwoniła do ciebie, jeszcze zanim zdążyła wejść do banku. Mam rację? Widziałem, że się kierowała do drzwi.

- Poznałam tę historię ze szczegółami, kiedy stała w kolejce do bankomatu. Powiedziała, że gdy się rozstawaliście w pasażu, sprawiałeś wrażenie lekko otępiełego.

- Pewnie.

- A nie byłeś?

- Co?

- Otępiały?

- Większość kobiet w moim życiu potrafiła mnie wprawiać w otępienie. Jeśli chcesz wiedzieć, teraz też zacznym się tak czuć.

Pod tym względem Teri Reginelli nie była wyjątkiem. Możesz mi wierzyć.

- Więc co to za tajemnicza dziewczyna, o której nigdy dotąd nie słyszałam? Chodziliście razem do szkoły średniej, prawda? Mam się czym martwić?

To pytanie na dziewięćdziesiąt dziewięć procent aż ociekało kpina.

- Ty? Nie - odparłem. - Ale Diane tak.

- Nie ma niebezpieczeństwa, że ta historia zakończy się podobnie jak heca z Sawyer sprzed kilku lat? Teri Reginelli nie zjawi się przed naszym domem z walizką i ckliwym wyznaniem, że jej życie bez ciebie jest niespełnione? Boże, mam nadzieję, że nie. Tamta sprawa z Sawyer nie podobała mi się od samego początku.

Wspomniana „heca z Sawyer” rzeczywiście nie podobała jej się od samego początku.

- Przysięgam, że Teri Reginelli nawet z pistoletem przystawionym do głowy nie potrafiłaby powiedzieć, jak mam na imię. Szczerze mówiąc, Diane z łatwością dałaby się namówić na trzymanie tego pistoletu. Chyba że wolałaby haczę zawieszoną nad cabezą. Z przyjemnością skorzystałaby z takiej okazji.

- O czym ty mówisz? I w jakim języku?

- Nieważne.

- Ale Teri Reginelli jest ważna, przynajmniej dla mnie. Dlatego mów dalej, chcę znać szczegóły. Wyobraź sobie, że jesteś na sesji u swojego terapeuty.
- Teri Reginelli była klasową pięknoscią, w której się pod-kochiwałem. Ale ani razu nie byłem z nią choćby na randce. Ani razu.
- Więc dlaczego rozmawialiście akurat o niej?
- O to zapytaj Diane.
- Zapytałam. Powiedziała, że próbowałeś ją podrywać. Oczywiście mówię o tej Teri. I że nawet po tylu latach Teri dalej zmienia ci płyn w chłodnicy. Poradziła nawet, żebym tylko wymieniła jej imię i przyjrzała się uważnie, jak zaczynasz podrygiwać na palcach, jakbyś stąpał po rozżarzonych węglach.
- Tak powiedziała? Użyła określenia: „zmieniać płyn w chłodnicy”? Jak ją znam, to tak. Wiesz o tym, że Diane uważa mnie za pruderyjnego świętoszka. Ty też tak sądzisz? Według ciebie jestem pruderyjny?
- Nie zmieniaj tematu.
- Podejrzewam, że do pewnego stopnia ma rację. W tamtym okresie mego życia postrzegałem Teri jak żonę sąsiada, którą miałem ochotę zaciągnąć do łóżka. Lauren obejrzała się na mnie ze zdziwioną miną.
- Oczywiście w przenośni. W naszej szkole Teri Reginelli przewodziła sporej paczce dziewcząt. Na pewno dobrze znasz ten typ liderki ślicznotek, nazywany dzisiaj „superlaską”. Na ostatnim roku chodziła z chłopakiem, który od czasu do czasu zniżał się do poziomu mojego i moich przyjaciół.
- Był przystojniakiem?
- Zgadza się, Sean był przystojniakiem.
- I co?
- Traktował ją jak szmatę. Teri czasami wypytywała mnie o niego, chciała wiedzieć, jak się odnosi do innych dziewcząt i co o niej mówi. Sama wiesz najlepiej, jak reagują zakochane siedemnastolatki. Teri była ciekawa, dlaczego jest wobec niej taki szorstki. A że zaliczałem się do dobrych słuchaczy...
- Już wtedy?
- Owszem, już wtedy.
- I dlatego zacząłeś się w niej podkochać, choć nie miałeś śmiałości choćby dać jej to do zrozumienia. Zgadza się? Twoje uczucie pozostało nieodwzajemnione? Westchnąłem głośno. To, co dotąd było w moim pojęciu doniosłym wydarzeniem z mej młodości, nagle zostało zredukowane do rangi doniosłego banału.
- Zgadza się. Coś w tym rodzaju. Lauren najwyraźniej nie zamierzała popuścić. A ja? Błyskawicznie traciłem jakiegokolwiek zainteresowanie.
- Mogę się założyć, że po maturze podpisała ci się na klasowym zdjęciu: „Alan, jesteś najlepszy!” albo „Cudowny przyjaciel”. Mam rację? A te trzy krzyżyki, które jej w zamian nagryzmoliłeś, były dla ciebie najdalej idącym substytutem pocałunku, czy tak? Westchnąłem po raz kolejny.
- Tylko co to wszystko ma wspólnego z Diane? - dodała Lauren.
- Nie ma absolutnie nic wspólnego z Diane, która tylko drażniła się ze mną, mówiąc o pewnej parze, z którą kiedyś prowadziliśmy wspólną terapię. Od razu się domyśliłem, jakie wnioski może z tego wyciągnąć Lauren, oczywiście wszystkie błędne.
- Nie, nie prowadziliśmy terapii Teri Reginelli i jej męża. Nie wiem nawet, gdzie ona teraz mieszka. Nie mam pojęcia, z kim się na dobre związała. W naszej rozmowie Teri Reginelli stała się jedynie metaforą dla czynionej przez Diane sugestii w całkiem innej sprawie. Czy możemy wreszcie zmienić temat? Bardzo proszę.

- Jak sobie życzysz - odparła.

Pochyliła się nad kuchnią i zjrzała do garnka, w którym coś gotowała. Wciągnęłam powietrze głęboko w nozdrza, ale nie byłem w stanie niczego rozpoznać po zapachu. Zdaje się, że dusiła kurczaka, bo chyba zidentyfikowałem słabą woń octu balsamicznego do marynowania.

Jej szybka zgoda na zmianę tematu dała mi do myślenia. Nie musiałem długo czekać, aby się przekonać, że powody do niepokoju okazały się uzasadnione.

- Mieliliśmy dzisiaj w pracy ciekawy przypadek - powiedziała. - Mitchell został oddelegowany do nadzorowania przeszukania domu pewnego mieszkańca naszego miasta, który najwyraźniej stał się podejrzanym o popełnienie przed laty morderstwa w południowej Kalifornii. Przyleciało tu kilku śledczych z Laguna Beach i zażądało naszej współpracy. Kapitan wydziału zabójstw z Boulder doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jak ktoś z naszego biura weźmie udział w rewizji jako obserwator.

Nie wiem, czy rzeczywiście wymknęło mi się: „Cholera”. Jeśli tak, to bardziej w postaci nieartykułowanego pomruku. Miałem jednak nadzieję, że rozbrzmiało wyłącznie w moich myślach.

- Cała ta sprawa - ciągnęła Lauren - historia faceta podejrzanego o dokonanie zbrodni w innym stanie i jego kochającej żony, która udaje, że o niczym nie wie, przywiodła mi na myśl twoje pytania i naszą dyskusję z początku tygodnia. Pamiętasz? Interesowały cię wyjątki od przywilejów małżeńskich, zwłaszcza te stosowane w wypadku najcięższych przestępstw, oraz zakres ich obowiązywania w poszczególnych stanach. Miałeś wtedy na myśli Kalifornię?

- Owszem - przyznałem. - Pamiętam tamtą rozmowę.

Odwróciła się, podeszła, stanęła nade mną i żarliwie pocałowała mnie w usta, po czym przeciągnęła czubkiem języka po mojej dolnej wardze.

- Czasami uwielbiam na ciebie patrzeć, jak jesteś zakłopotany. Mitchell widział cię przed tym domem, w którym dzisiaj dokonywali przeszukania. Dlatego sądzę, że już wiem, o którego współmałżonka i o możliwość podważenia jakich zeznań chodzi, a tym samym wiem już, kto stał się teraz wcieleniem dawnej Teri Reginelli.

Pocałowała mnie po raz drugi, ale teraz już bez języka. Niekiedy zadawałem sobie pytanie, czy Boulder w stanie Kolorado można jeszcze zaliczyć do małych miasteczek.

Ale tego dnia nie miałem w tym zakresie żadnych wątpliwości.

23

Sobota wyrwała się z zagrody niczym dzień, który otrzymał misję ustanowienia nowego standardu na późny listopad. Poranek wstał po prostu cudowny. Powietrze było rześkie, czyste i suche, a wschodzące słońce rozświetlało horyzont na wschodzie setkami odcieni roztopionego złota.

Mogłem tak dokładnie opisać wschód, gdyż o tej porze, gdy słońce całkowicie wyłoniło się zza krawędzi Ziemi, jechałem właśnie na wschód, z dumnie podniesioną głową, w elastycznym stroju zapiętym pod samą grdykę, z mięśniami rozgrzanyymi ponad miarę, pośladkami solidnie zakotwiczonymi na siodełku, na rowerze wręcz niewyczuwalnym między nogami. Boczne drogi okręgu Boulder należały wyłącznie do mnie.

O dziewiątej, zostawiwszy za sobą dobre osiemdziesiąt kilometrów wąskich wstęg asfaltu, wracałem już bez pośpiechu do domu, pociągając sok z bidonu.

Nagle zadzwonił telefon.

- Byłeś już na dworze? - zapytał Sam.

- Mam już w nogach dobre osiemdziesiąt kilometrów.

- Ja też osiemdziesiąt - rzucił w pośpiechu. - Tyle że metrów. Wszedłem przed dom, żeby zabrać gazetę. Zresztą kogo ja oszukuję? Biorąc pod uwagę wielkość mojej posesji, pokonałem nie więcej niż czterdzieści metrów, co nie? Ale dzień jest po prostu niesamowity.
- Trudno sobie wymarzyć ładniejszy.
- Tyle że w najbliższym czasie spadnie na nas wichura. Taras przy saloniku mojego domu wychodził na góry.

I między moim domem a Wielkim Wododziałem Kontynentalnym, a przynajmniej jego odcinkiem od szczytu Pikea na południu do tej ostatniej bezimiennej góry widocznej za szczytem Longs w kierunku północnym, na niebie nie było ani jednej chmurki.

- Naprawdę? Dlaczego tak uważasz?
- Zawsze tak jest. Kiedy o tej porze roku jest nadspodziewanie ładnie, jak właśnie teraz, w końcu nadchodzi dzień... po prostu przepiękny, kiedy niespodziewanie, w ciągu zaledwie paru minut, wiatr zaczyna gwałtownie przybierać na sile i przeradza się w huragan, gotów porwać człowieka do Nebraski, a po dalszych paru minutach śnieg zaczyna ci mlaskać w sandałach. Miał rację, zazwyczaj tak właśnie nadchodziła zima. Ode-gnałem sprzed oczu obraz Sama brnącego w sandałach przez zaspy i po raz kolejny spojrzałem w stronę Wododziału. Wciąż na niebie nie było ani jednej chmurki. Zatem dziś raczej nie groziła nam wichura, mogła przyjść dopiero jutro.

- Jak ci się żyje, Sam? - zapytałem.

Nie odpowiedział. Zamiast tego mruknął:

- Muszę pilnie porozmawiać z kimś z Gold Hill. Nie zechciałbyś się wybrać ze mną? Mogę się założyć, że tam jest jeszcze ładniej.

Lauren wybrała się z Grace na cotygodniowe zajęcia z jogi czy czegoś tam, które Adrienne uznała za nieodzowne dla nich obu. Nadal mnie kusiło, żeby któregoś sobotniego ranka obejrzeć te zajęcia. Grace odznaczała się niezbyt szczupłą sylwetką aż za dobrze odżywionego, grubokościstego dziecka, tak więc moja córka mogła przybierać pozycje jogi równie łatwo, jak ja latać. Zostawiłem im w kuchni kartkę z wyjaśnieniami i pojechałem do Sama.

W zależności od pogody w czasie weekendu przed Świętem Dziękczynienia piętnastokilometrowa droga z jego domu u podnóża Front Rangę do Gold Hill mogła nam zająć od dwudziestu pięciu minut do... no cóż, nawet do nieskończoności. Droga prowadząca kanionem Sunshine w wysokie góry jest na długim odcinku brukowana kocimi łbami, a potem na jeszcze dłuższym odcinku ledwie trochę wyrównana i ubita. W wielu miejscach pokryta sypkim żwirem staje się wyjątkowo stroma i kręta, a zimą, gdy słońce przesuwają się nisko nad horyzontem, wiele fragmentów zboczy kanionu nie jest bezpośrednio oświetlanych jego promieniami przez długie miesiące. Toteż po obfitych opadach śniegu w czasie mrozów pokrywa się tam lodem równie twardym, jak spojrzenie gliniarza z drogówki.

Ostatnia część zjazdu w dolinę mieszczącą pionierskie osiedle górnicze o nazwie Gold Hill jest szczególnie widowiskowa. W ciągu niespełna minuty zjeżdża się dobre kilkadziesiąt metrów w dół, cofając się zarazem o dobre sto pięćdziesiąt lat w czasie, co nie pozostaje bez wpływu na ludzkie nastawienie do życia.

Niewiele miejscowości rozrzuconych pośród Gór Skalistych zdołało dotrzymać kroku naturalnemu postępowi, który rozdzielił miasteczka Starego Zachodu od widmowych starych miasteczek Zachodu. Te z nich, które jakimś cudem zdołały przetrwać pod kloszem stojącego w miejscu czasu, stały się wymuskanyymi ciekawostkami dla turystów, jak Telluride albo Georgetown, i tylko parę z tych niezwykle, wciąż tętniących dziewiętnastowiecznym życiem osad nie zostało jeszcze odkrytych przez zastępy corocznych gości paradujących z pękatymi przewodnikami w kieszeniach. Gold Hill należy właśnie do tej ostatniej grupy. Nie dość, że trudno się do niego dostać, to jeszcze stali mieszkańcy w liczbie około dwustu nie

rozwijają przed przyjezdnymi czerwonych chodników, a każda próba znalezienia dogodnej lokalizacji dla czegoś w rodzaju Golden Arches bądź Starbucks w promieniu trzech godzin pieszej wędrówki od miasta zakończyłaby się niechybnie konfrontacją ze wzburzonym tłumem tubylców uzbrojonych w pochodnie.

Gold Hill Inn, tamtejsza niezniszczalna karczma, jest otwarta jedynie w ciągu lata, jako że trudno liczyć, by mieszkańcy pasma Front Range chcieli się wspinać na wysokość tysiąca metrów po obowiązkowym wiosennym błocie albo karkołomnym jesiennym lodzie.

Natomiast zimą... no cóż, większość ludzi perspektywę wyprawy do Gold Hill nawet podczas umiarkowanie śnieżnej pory uważała za zbyt ryzykowną. Ponadto zawsze odnosiłem wrażenie, że cztery albo pięć miesięcy regularnych odwiedzin ciekawskich łazików z nizin z samej natury rzeczy jest już poważnym wyzwaniem dla cierpliwości mieszkańców osady.

Nie pytałem Sama, jakież to sprawy pchają go aż do Gold Hill. Górską enklawa leżała jeszcze w granicach okręgu Boulder, ale Sam był gliniarzem z komendy miejskiej, a nie zastępcą szeryfa, podejrzewałem więc, że chodzi o jego sprawy prywatne, a nie zawodowe. Z drugiej strony, na tyle dobrze go znałem, iż byłem pewien, że jeśli w trakcie prowadzonego śledztwa zechce porozmawiać z kimś przypadkiem mieszkającym kawałek poza granicami miasta, na pewno znajdzie sposób, by dopiąć swego.

Nieważne, czy stosował metody legalne co do litery prawa, czy też nielegalne pod każdym względem. Dla niego liczyło się tylko wykonanie zadania.

A to, że akurat przebywał na zwolnieniu lekarskim i nie prowadził żadnego dochodzenia z ramienia swojego wydziału, stanowiło równie mało znaczącą przeszkodę, jak każda z setek dziur w bitej drodze do Gold Hill, które musieliśmy ominąć. Podobnie jak, czego byłem pewien, zalecenie od kardiologa, aby tuż po zawale unikać prowadzenia samochodu.

Czy mu o tym przypomniałem? O zaleceniu unikania podróży? Nie. Jak tylko się spotkaliśmy pod jego domem, zaproponowałem, że ja poprowadzę, ale się nie zgodził. Co więcej mogłem zrobić? Wiedziałem z doświadczenia, że jedyną skuteczną metodą na Sama jest odwoływanie się do jego instynktu samozachowawczego. To jednak nie zadziałało, a wołałem nie przeciągać struny, wystawiając na ciężką próbę własny instynkt.

Zaparkowaliśmy na głównej ulicy Gold Hill, naprzeciwko Gold Hill Inn. Nie byłem pewien, czy ta ulica rzeczywiście nie nazywa się Główna, a nigdzie nie widziałem tabliczki z nazwą. Cieszyłem się wspaniałą pogodą, a jeszcze bardziej upajałem się świadomością, że jestem w sercu wysokich gór, w miasteczku jakby żywcem przeniesionym z epoki Dzikiego Zachodu, niebędącym jednak wytworem scenografów wytwórni Disneya. Jak tylko wysiadłem z samochodu i zagrzebałem się w sybkim pyłe na poboczu bitej drogi, uświadomiłem sobie, że mimo nadzwyczaj pięknej pogody, tutaj, na wysokości ponad tysiąca metrów nad dnem doliny, w której leży Boulder, ostre powietrze niesie już ze sobą zwiastuny zbliżającej się zimy.

To powinno być dla mnie wyraźnym sygnałem ostrzegawczym, ale tak się nie stało.

Sam poprowadził mnie na drugą stronę ulicy, do bardzo starego budynku, który z wyglądu zawsze kojarzył mi się z oryginalną siedzibą Lick Skillet Cafe. Razem z pierwszą żoną pod koniec lat osiemdziesiątych często wyruszaliśmy na rowerach między wzgórze i zatrzymywaliśmy się w Lick Skillet na niezapomniane posiłki, zanim w końcu Dave Query się spakował, żeby zademonstrować swą kulinarną wyobraźnię mieszkańcom Boulder i Denver.

W lokalu, do którego weszliśmy, pełno było tutejszych mieszkańców, z czego połowa rozpoznała w Samie policjanta, jeszcze zanim zdążył wtaszczyć swoje imponujące dupsko przez próg. Od drzwi wskazał mi wolny dwuosobowy stolik w najdalszym kącie sali. Ludzie siedzieli nad talerzami wypełnionymi po brzegi jajkami smażonymi na bekonie oraz ziemniakami albo naleśnikami wielkości felg samochodowych.



- Śniadanie to dla mnie najtrudniejsza do zniesienia pora -rzekł Sam. - Strasznie mi brakuje mięsa naszprycowanego saletą, że nie wspomnę już o serze, za którym najbardziej tęsknię. Parówki, bekon, salami...

Odniosłem wrażenie, że kelnerka, która ruszyła w naszą stronę, z wyraźnym ociąganiem podeszła do stolika. Sam nawet nie zajrzał do zaoferowanego menu, tylko zamówił omlet z samych białek, bez sera, za to z pomidorami, i do tego suche tosty z białego chleba. Poprosił dodatkowo, żeby kucharz usmażył omlet na jak najmniejszej ilości masła. Zatkło mnie tak, iż ledwie zdołałem z siebie wydusić, że proszę o to samo.

Byliśmy w pełni świadomi, że zachowaliśmy się tak, jakbyśmy w ekskluzywnej restauracji typu steak house zamówili brokuły z brązowym ryżem, ale kelnerka przyjęła nasze zamówienie z obojętną miną, jakby całe Gold Hill było chwilowo na diecie orkiszowej, a my chcielibyśmy jedynie skosztować specjalności dnia.

- Zaczekaj tu - rzucił Sam. - Muszę zajrzeć do kibelka. Zaraz wrócę.

Wstał i skierował się w stronę toalet. Nie byłem w tego typu lokalach od ponad dziesięciu lat, niemniej mogłem się założyć, że jest co najmniej pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo,

iż Sam trafi na coś innego od pomieszczenia wyłożonego glazurą z miedzianymi rurami i automatami spuszczacymi wodę.

Przyjrzałem się za to niemal choreograficznemu układowi odwracających się głów w ślad za wędrowną Samą przez salę. Kiedy większość gości pochyliła się znowu nad swoimi talerzami bądź kamionkowymi kubeczkami z kawą, kelnerka, która przyjmowała od nas zamówienie - młoda dziewczyna o miłych rysach twarzy, z osadzonymi blisko oczyma i opadającymi w lokach ciemnoblonde włosami - również pospiesznie zniknęła za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Obejrzała się jeszcze przez ramię, zanim je energicznie pchnęła i zniknęła.

Sam pierwszy wrócił na salę. Nie było go najwyżej półtorej minuty. Kelnerka pojawiła się jakieś dziesięć sekund później i szybko wśliznęła się za kontuar.

- Musiałem się odlać - rzekł, siadając z powrotem naprzeciwko mnie. - No i umyć ręce przed jedzeniem.

- Naturalnie. A także pogadać z kelnerką. Przytaknął ruchem głowy.

- Musiałem jej powtórzyć, że chcę zupełnie suchego tosta i omlet smażony na odrobinie masła. Przecież wiesz, że muszę się wystrzegać cholesterolu.

- Tak, wiem. Ale nie wmawiaj mi...

- Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Zjedliśmy śniadanie mdłe i bez smaku, ale w końcu sami takie zamówiliśmy. Sam bez słowa skargi grzebał w swojej porcji widelcem. Ja skorzystałem z pikantnego keczupu stojącego na stoliku, żeby choć trochę poprawić przydatność dania do spożycia.

- Pamiętasz, jak we wrześniu wybraliśmy się z dziećmi do Parku Narodowego Gór Skalistych? - zapytał Sam.

- Pewnie.

Na początku jesieni łosie odbywają gody i fantastyczne tańce godowe połączone z istnymi koncertami poprzedzającymi kopulację przyciągają całe hordy obserwatorów. A Park Narodowy Gór Skalistych, rozciągający się na północ od Boulder, oferuje najciekawsze stanowiska dla miłośników tych zwierząt. We wrześniu ubiegłego roku Sam, Sherry, Lauren i ja zabraliśmy dwójkę naszych dzieci Simona i Grace na mroźny piknik połączony z corocznym przedstawieniem godowym.

Tamtego wieczoru łosie dały prawdziwie symfoniczny koncert. I choć trudno było śledzić ze względu na wcześniej zapadający zmrok, poszczególne kroki majestatycznych byków otoczonych licznymi haremami łań, akustyka owego przedstawienia była naprawdę imponująca. Głosy byczych barytonów odbijały się zwielokrotnionym echem od stromych

granitowych ścian parku, a ich wydźwięk uciszał nawet najbardziej zajadłych samców nieokielznanego gatunku Homo sapiens tworzącego widownię.

- Właśnie wtedy dotarło do mnie, że Sherry nie jest szczęśliwa w naszym związku.

Zrozumiałem to tamtej nocy.

- Poważnie?

- Jak najbardziej.

Zdażył wyczyścić swój talerz i podniesieniem kubka poprosił kelnerkę o dolewkę kawy, nim uświadomiłem sobie, że powiedział już wszystko, co chciał powiedzieć na temat tamtej nocy. A ja? Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że warto by przedyskutować jeszcze parę spraw.

Kelnerka napełniła mu kubek aż po brzegi.

- Po zawale obowiązują człowieka ściśle zasady - rzekł. - Między innymi należy unikać kofeiny. Tak więc na razie trudno mi rozsądzić, czego bardziej mi brak, kofeiny czy saletry.

- A co z seksem?

- Mam nadzieję, że nie jest to konkretna propozycja, bo jeśli jest, to możesz już sobie kopać grób.

Uśmiechnąłem się smutno. Gdybym rozmawiał z pacjentem, zasady kliniczne nakazywałyby mi zachować cierpliwość i milczenie, żeby Sam z własnej inicjatywy podjął temat swojego małżeńskiego kryzysu. Ale z nim nie musiałem zważać na żadne zasady. Dlatego zapytałem:

- To wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia o Sherry poza tym, że przeczuwałeś, iż nie jest z tobą szczęśliwa?

- Okazywała mi to nieraz, tyle że wołałem tego nie zauważać. Co więcej miałbym powiedzieć?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- A ty niczego nie zauważyłeś? - zaciekał się.

- Tamtej nocy? Niczego.

Sam złowił uważne spojrzenie kelnerki i dał jej na migi znać, że prosi o rachunek.

- Sherry powiedziała wówczas, że zaczyna się niecierpliwic. Użyła dokładnie tego słowa.

Zastanawiała się, czy nie sprzedać kwaciarni i nie wrócić do szkoły.

- Nie przypominam sobie.

- Bo rozmawiała o tym chyba tylko ze mną, tobie się nie zwierzała. Zresztą, jechaliście wtedy z Lauren i dziećmi daleko w przodzie.

- I uznałeś owo „zniecierpliwienie” za oznakę, że nie jest z tobą szczęśliwa?

- Wiesz, człowiek zawsze szuka najbliższych skojarzeń. W każdym razie ja mam to we krwi.

Dlatego zacząłem się zastanawiać, co mi umknęło, czy nie powinienem być w paru kluczowych momentach podjąć innej decyzji.

- O jakich momentach mówisz?

- Sam nie wiem. O tych najważniejszych. Może zostawiłem sprawy własnemu biegowi tam, gdzie powinienem je mocniej przytrzymać? W każdym razie to był jeden z głównych powodów, co do których mogłem obarczać winą siebie. W pozostałych wina leżała po jej stronie. Teraz ciągle wracam myślami do tamtych zdarzeń. Mam za dużo wolnego czasu na rozmyślanie.

- A co tamtej nocy powiedziałeś Sherry?

- Raczej nie to, co należało. Upiłem trochę wody.

- Dlaczego? I co właściwie powiedziałeś?

Kelnerka przyniosła rachunek i wsunęła go pod pusty talerzyk dokładnie w połowie odległości między mną a Samem. Pospiesznie zebrała puste talerze i kubki, wprawnie gromadząc

na jednej ręce okazały stos naczyń. Przyglądałem się uważnie, lecz nawet jednym spojrzeniem nie dała po sobie poznać, że łączy ją z Samem bliższa znajomość.

- Nie pamiętam dokładnie - odparł. - Ale jestem pewien, że nie to, co chciała wtedy usłyszeć.

Wyciągnąłem rachunek spod talerzyka. Sam rzucił na stół banknot dziesięciodolarowy.

- Ty płacisz. To tylko napiwek.
- A co z tobą, Sam? Jesteś szczęśliwy?

Na odpowiedź mogłem czekać równie długo, jak poszukiwać w Gold Hill baru Starbucksa. Byliśmy już niemal w połowie drogi powrotnej do Boulder, gdy zapytałem:

- Co cię łączy z tą kelnerką? O czym rozmawialiście na zapleczu?

Poświęcił jeszcze z pół kilometra na kontemplację, nim ostatecznie doszedł do wniosku, że może mnie wtajemniczyć.

- Cztery tygodnie temu spotkałem ją z koleżanką w śródmiejskim nocnym klubie przy Walnut, niedaleko twojego gabinetu. Nie powiem ci dokładnie gdzie, choć pewnie i tak się domyślisz. Ostro się reklamuje w „Camerze”. W każdym razie była na moim terenie, do tego całkiem pijana, co zresztą sama przyznaje. Poznała jakichś facetów, do czego też się przyznaje, i zgodziła się pójść z nimi na poprawiny do jakiejś nory na przedmieściach. Zgodziła się nawet pojechać ich samochodem, co podkreśliła w zeznaniach. Jest w pełni świadoma tego, że podjęła kilka błędnych decyzji jedna po drugiej. Zdjął lewą rękę z kierownicy i przyłożył ją do brzucha, naciskając kciukiem miejsce u nasady mostka.

- I w drodze na te poprawiny padła ofiarą molestowania seksualnego na tylnym siedzeniu furgonetki chevroleta.

- Zgwałcili ją?

- Padła ofiarą molestowania seksualnego.

Różnica była aż nadto oczywista. Zaciekawili mnie pobudki. Nie chciało mi się wierzyć, że ktoś mógł to zrobić z nagłej lubieżnej zachcianki. Raczej pod wpływem alkoholu postanowił zaspokoić swą ciekawość podglądacza. Wolałem się jednak nie dopytywać o szczegóły. Sam i tak nie był skory do wyjawiania prawdy o przerażającej przygodzie kelnerki. Między innymi to mi się w nim bardzo podobało.

- I co?

- Okazało się, że spośród wszystkich ludzi, którym musiała opowiadać o swoich przeżyciach, akurat mnie obdarzyła największym zaufaniem. Nie wiem dlaczego.

Znowu urwał. Chyba chciał mi dać okazję do popełnienia błędu i zrobienia jakiejś kąśliwej uwagi. Nie dałem się nabrać.

- Od tamtej pory muszę dbać o to, żeby w miarę zbliżania się terminu rozprawy nie uległa wstydu i nie wycofała oskarżeń. Z powodu obowiązujących przepisów prawa my wszyscy, tak w policji, jak i w prokuraturze okręgowej, mamy twarde orzechy do zgryzienia z ofiarami przestępstw na tle seksualnym. Dlatego chciałem osobiście zapewnić dziewczynę, że z powodu zawału przez jakiś czas nie będzie mnie w pracy, ale jak tylko wrócę do służby, bezwzględnie pomogę jej w przygotowaniach do wystąpienia przed sądem.

Ani trochę nie byłem zaskoczony, że kierowało nim poczucie obowiązku, chociaż zdumiewał mnie czasami jego poziom wrażliwości.

W tej samej chwili uderzył w nas gwałtowny podmuch zachodniego wiatru, który pchnął samochód do przodu. Ciężki wóz aż przysiadł na resorach i jakby zawisł na chwilę w powietrzu, niczym wagonik kolejki górskiej w wesołym miasteczku ospale przymierzający się do karkołomnego zjazdu z namiastki wzniesienia. Ale widok trzydziestometrowej przepaści, która nagle rozwarła się niespełna dwa metry od drzwi po mojej stronie, uzmysłowił mi aż nazbyt dobitnie, że nie jest to żadna namiastka urwistych górskich zboczy.

Wykręciłem szyję i spojrzałem do tyłu, na gruby wał ciemnych chmur wyłaniający się zza najwyższych szczytów Wododziału.

Sam nawet się nie obejrzał, tylko mruknął:

- Przecież ostrzegałem, że w najbliższym czasie spadnie na nas wichura. Zwariowana pogoda.

Zjazd w dolinę pozwolił nam uciec przed nadciągającym frontem burzowym, ale nie na długo. Z posterunku na chodniku przed domem Sama, przy którym zaparkował swojego dzipa cherokee, widać było, jak armia chmur pokonujących Wododział posuwa się z determinacją wojsk sprzymierzonych lądujących w Normandii.

Rzeczywiście nadciągała wichura.

- Masz dzisiaj zajęcia rehabilitacyjne? - zapytałem.

- Nie, dopiero w poniedziałek. Wiesz, co oni tam robią, te dzieciaki w śmiesznych elastycznych strojach sportowych? Najpierw podłączają mnie do aparatury pomiarowej i każą ćwiczyć rytmikę w grupie starszuchów. Potem robią mi spacer na automatycznej bieżni i wreszcie... wybałuszają gały ze zdziwienia, gdy opowiadam, co jadłem poprzedniego dnia. I to już całe zajęcia rehabilitacyjne. Nie rozumiem, jak to może wpłynąć na stan mojego serca, chyba że chcą mnie wkurzyć do reszty i doprowadzić do drugiego zawału.

- Mam jednak nadzieję, że się nie poddasz i nie zrezygnujesz. Olbrzymią rolę w rehabilitacji odgrywa właściwe nastawienie.

- Tylko nie rób mi kazań o właściwym nastawieniu. Z dnia na dzień czuję się coraz lepiej. Mam wrażenie, że leki mi pomagają. Głównie beta-blokery. Wyraźnie łagodnieją. Nie zauważyłeś? W każdym razie jestem dobrej myśli.

Zwróciłem uwagę, że nie odpowiedział wprost na moją wzmiankę o wadze zajęć rehabilitacyjnych, z których nie powinien rezygnować.

- Bardzo się cieszę - odparłem.

Po raz kolejny szybko zmienił temat.

- Słyszałem, że pojawiłeś się wczoraj bez zaproszenia na miejscu przeszukania domu podejrzanego. - Jakby dla zaakcentowania gwałtownym szarpnięciem przestawił dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycję parkingową. Już wcześniej mnie zaskoczyło, że nie obchodzi się zbyt delikatnie ze swoim autem.

- Naprawdę niczego nie da się ukryć w tym mieście? Jezu... Powinienem się chyba zdziwić, że nie zamieścili jeszcze mojego zdjęcia w dzisiejszym wydaniu „Camery”.

Zaśmiał się gardłowo, po raz pierwszy tego dnia. Bardzo lubiłem ten jego rubaszny rechot, nawet jeśli był odpowiedzią na drwinę ze mnie.

- Zostałem o to specjalnie poproszony przez lokatorkę przeszukiwanego domu, Sam. Nikt nie wie, że zaprzyjaźniony ze mną gliniarz wcześniej uprzedził mnie o planowanej rewizji. Nie wiesz, czy znaleźli to, czego szukali?

Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem znad krawędzi ciemnych okularów.

- Naprawdę myślisz, że i tego dowiesz się ode mnie?

- Widzę, że się nie dowiem. A jest jakaś szansa, że dotrze do ciebie informacja, czy ta śledcza... no, wiesz...

- Czy weźmie ciebie pod lupę? Raczej nie dotrze. Ale ona zrobi to na pewno.

- Mam nadzieję, że nie. Powiedziałem jej już wszystko, co wiem.

- Nieprawda. Powiedziałeś jej tylko to, co uznałeś za nadające się do powiedzenia. Jeśli Reynoso zna się na tej robocie, doskonale zdaje sobie sprawę, że wiesz dużo więcej. I z pewnością będzie chciała to z ciebie wyciągnąć.

- Co jeszcze o niej słyszałeś?

Nie odpowiedział, za to udzielił wyjaśnień na moje wcześniejsze pytanie.

- Rewizja nie dała żadnych spektakularnych rezultatów. Wciąż jest jeszcze wiele do sprawdzenia, kilka komputerów i całe sterty dokumentów, ale nie wierzę, żeby natrafili na jakieś mocne dowody zbrodni. Zresztą wcale nie powinno to dziwić po tylu latach, prawda?

- A co z nią, tą detektyw? Dowiedziałeś się czegoś więcej? Jest bardzo ostra?

- Zapomniałeś, że jestem na zwolnieniu i nie pracuję? Chwilowo całkowicie wypadłem z obiegu. Staram się przede wszystkim unikać jakiegokolwiek stresu.
  - W porządku, powiedz mi w takim razie, czego się dowiedziałeś od Sherry.
  - Simon za często ostatnio chodził na wagary. A właśnie jego najbardziej mi teraz brakuje. To tyle.
  - Daj spokój, Sam. Jedno z dwojga. Carmen Reynoso albo Sherry. Powiedz mi coś więcej o którejś z nich.
  - Dobra. Chodzą plotki, że Reynoso jest przewrażliwiona. Przed kilkoma laty doszło do jakiegoś wypadku w San Jose, po którym musiała zrezygnować z pracy w wydziale przed zakończeniem piętnastu lat służby. Więc teraz z taką samą przyjemnością legitymuje turystów w Laguna Beach, z jaką i ja bym ich kontrolował w okolicach Aspen.
- Czyli nie była zadowolona ze swojej pracy.
- Co to był za wypadek w San Jose?
  - Tego ci nie powiem.
  - Nie możesz?
  - Nie powiem i już.
  - Bo pewnie nic więcej nie wiesz.
  - Nie wiem, ale nawet, gdyby było inaczej, i tak bym ci nic nie powiedział.

24

Zanim detektyw Carmen Reynoso mnie wytropiła i zaprosiła na rozmowę, jej wełniane stroje ozdobione piórami okazały się idealnie dopasowane do pogody.

Silny front, który przeniósł nad górami wilgotne powietrze znad Pacyfiku, stał je z masą mroźnego powietrza spychanego na południe aż znad Saskatchewan, przez co nad pasmem Front Range w Kolorado wytworzyła się nadzwyczaj wydajna maszyna do produkcji śniegu.

Wspaniałe, ciepłe i słoneczne interludium

babiego lata na dobre przeszło do historii, nim ktokolwiek choćby zyskał szansę się z nim pożegnać. Zdażyłem pokonać zaledwie pół drogi powrotnej spod domu Sama, kiedy wiatr przybrał siłę umiarkowanego huraganu, a śnieg zaczął sypać wielkimi płatkami, po których na przedniej szybie auta zostawały nieregularne plamy podobne do wykwitów czerniaka na skórze.

Było wpół do pierwszej.

Spojrzałem na niebo.

Nadciągnęła zima.

O dziewiątej rano panował jeszcze tak piękny słoneczny dzień, jakiego nie pamiętałem w listopadzie. A teraz z minuty na minutę śnieżycy przybierała na sile.

Pogoda się załamała.

Carmen Reynoso zatrzymała wóz przy krawężniku dokładnie w tym miejscu, gdzie kończył się asfalt, a zaczynała bita gruntowa droga, która zakosami prowadziła w górę zbocza ku mojemu domowi. Siedziała za kierownicą wypożyczonego GM coupe i gapiła się na mapę drogową firmy Avis. Nie bez satysfakcji uświadomiłem sobie, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa owa bita droga kończąca się przed gankiem mojego domu nie jest zaznaczona na mapie, w którą tak intensywnie się wpatrywała.

Zresztą na początku wcale nie byłem pewien, że to ona siedzi za kierownicą auta, dopóki nie podjechałem bliżej i nie zatrzymałem się przy nim. A wtedy opuściłem szybę od strony pasażera, wychyliłem się i zapytałem:

- Detektyw Reynoso?
- Doktor Gregory? Czyżby spodziewał się pan mojej wizyty?

Wzruszyłem ramionami.

- Ciekawą macie tu pogodę. U nas, w Laguna Beach, trudno doświadczyć choćby ułamka takich zmian.

Jak by na to zareagował przewodnik turystyczny?

- No cóż, mam nadzieję, że dla pani to miła odmiana. W każdym razie śnieżycy bardzo ucieszyła kierowników ośrodków narciarskich. Uwielbiają, kiedy spadnie sporo śniegu jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. - Rzeczywistość meteorologiczna wyglądała tak, że silne śnieżycy ściągane przez Front Rangę sprawiały, iż wielkie słynne ośrodki narciarskie po zachodniej stronie Wododziału Kontynentalnego musiały się pławić w palącym słońcu.

- Możemy porozmawiać? Na pewno domyśla się pan, w jakiej sprawie. - Tylko jej słowa stanowiły zaproszenie do rozmowy, bo oczy zdawały się mówić coś zupełnie innego. Dobrze wiedziałem, że mogę odmówić. Tylko czemu miałyby to służyć? Chciałem, by Reynoso dowiedziała się o wszystkim, co wiem. Nie chciałem natomiast toczyć z nią walki co do rzeczy, o których nie mogłem jej powiedzieć, choć odnosiłem wrażenie, że właśnie na to poświęcimy większość czasu spędzonego razem.

- Oczywiście - odparłem. - Wybrała już pani jakieś dogodne miejsce? - Za nic nie chciałem rozmawiać z nią we własnym domu.

- Mogliśmy porozmawiać już wczoraj, w domu pańskiej pacjentki, zaraz po zakończeniu rewizji. Słyszałam jednak, że wytrzymał pan tylko do końca pierwszego aktu. To miał być dowcip? Założmy. Płatek śniegu wielkości dużej ćmy wpadł przez otwarte okno i osiadł mi na czubku nosa. Stopniał błyskawicznie, więc zgarnąłem palcami powstałą kropelkę wody.

- Jak posiedzę nad tym jeszcze z pięć minut - uniosła trzymaną w rękach mapę - to pewnie odnajdę drogę powrotną do komendy głównej policji w Boulder, która jest przy... no, właśnie... Przy Trzydziestej Pierwszej? Na rogu Arapahoe? Zgadza się? Tam na pewno znajdują jakiś pokój, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Wszyscy są dla mnie bardzo mili.

Miałem już okazję widzieć pokoje przesłuchań w Gmachu

Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Trzydziestej Trzeciej. Moim zdaniem, w żadnej mierze nie zachęcały, aby spędzić w którymś sobotnie popołudnie, nawet podczas zawiei.

- A nie wolałaby się pani napić gdzieś kawy? - zapytałem, myśląc o tym, żeby skierować ją na wschód, do Louisville, i wskazać przytulny lokal w rodzaju Village Inn. Bo w Louisville byłem zdecydowanie mniej znany niż w Boulder.

Przeszyła mnie ostrym spojrzeniem, na przedłużeniu linii nosa pojawiła się głęboka bruzda, jakby poczuła nagle odrażający fetor albo jaskrawe słońce zaświeciło jej prosto w oczy. Po chwili, wystarczająco dłużej, aby dać mi do zrozumienia, że mój pomysł nie przypadł jej do gustu, zaproponowała:

- To może jednak porozmawiamy w pańskim domu. To chyba niedaleko stąd, prawda? -

Znowu uniosła mapę. - Mogę się założyć, że trafiłabym sama.

Śnieg sypał coraz mocniej. Dotychczasowe wielkie płatki, które opadały leniwie, nagle znalazły wsparcie milionów poruszających się dużo szybciej drobniejszych śnieżynek. Kilka z nich, wyraźnie mocniej zmrożonych, zdążyło się przykleić do mojej przedniej szyby.

Miałem na sobie tylko cienkie bawełniane spodnie i lekki sweter. Perspektywa ciepłego domu była bardzo kusząca.

- Niech będzie - odparłem. - Proszę jechać za mną. Doprowadziłem Reynoso pod sam dom i wpuściłem ją do środka.

Na kuchennym stole leżała ta sama kartka, na której rano zostawiłem wiadomość o wyjeździe do Sama, tyle że Lauren dopisała pod spodem kilka słów. Wróciła z Grace z zajęć jogi, po czym wyruszyły razem do Lafayette na przyjęcie urodzinowe jednej z „koleżanek” małej. Użyłem słowa koleżanka w cudzysłowie, ponieważ jednoroczne dzieci jeszcze nic nie wiedzą

o koleżeństwie, po prostu bawią się z rówieśnikami, których rodzice przyjaźnią się z ich rodzicami.

Zamknąłem oczy i zakląłem pod nosem. Wyprawa z Grace na to przyjęcie była moim obowiązkiem, to ja miałem ją nakarmić w porze lunchu, zawieźć do znajomych na urodziny, a następnie przywieźć z powrotem.

Dwa wyjścia jedno po drugim musiały poważnie naruszyć rezerwy energetyczne Lauren, i tak nadwątlone przez jej chorobę, co oznaczało, że za moje przeoczenie wszystkim nam przyjdzie zapłacić pod koniec dnia, nie tylko z powodu jej przemęczenia.

Jasna cholera!

Przez cały czas, kiedy robiłem sobie w myślach wymówki, Reynoso czekała w milczeniu na progu saloniku. W końcu przypomniałem sobie o dobrych manierach.

- Pozwoli pani, że wezmę jej palto?
- Oczywiście. Ładnie się pan tu urządził.
- Dziękuję.

Najwyraźniej chcąc mnie rozluźnić, dodała:

- Wie pan, że Baseline Road biegnie dokładnie wzdłuż czterdziestego równoleżnika?

Wyczytałem to na stronie internetowej waszego miasta.

- Nie wiedziałem. Naprawdę biegnie dokładnie wzdłuż równoleżnika? Co do minuty i sekundy?

- Dokładnie. Tak przynajmniej chwala się władze Boulder. Ulica leży precyzyjnie na czterdziestym stopniu szerokości północnej.

- No cóż - mruknąłem, wprowadzając ją w głąb saloniku. Podkreśliłem termostat, żeby było nam ciepło. Rozciągający się zwykle za panoramicznym zachodnim oknem malowniczy widok Gór Skalistych ginał całkowicie za kłębiącą się masą białych punkcików. - Zazwyczaj jest stąd wspaniały widok, obejmujący także wspomniany przez panią czterdziesty równoleżnik.

- Pańska żona jest prokuratorem - zauważyła Reynoso z poważną miną.

Dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że skończyliśmy już czerzą gadkę o szerokościach i długościach geograficznych. Tyle że nie miałem większej ochoty rozmawiać o swojej rodzinie, toteż skwitowałem tę uwagę milczeniem.

Dało jej to chyba do myślenia.

- Chętnie zrezygnuję z oferowanej kawy - powiedziała - na rzecz herbaty, jeśli to możliwe.

Nie ufałem jej i nie chciałem zostawiać w pokoju samej. Czego się obawiałem? Niczego konkretnego, tyle że w zaistniałej sytuacji wolałem, by nawet nie czytała tytułów na grzbietach książek stojących na półce.

- Oczywiście. Zapraszam w takim razie do kuchni, abym mógł zaparzyć herbatę. - Ugryzłem się w język i nie powiedziałem tego, co mi chodziło po głowie: Jeśli ciekawia panią książki na półce, proponuję raczej książki kucharskie.

Zaparzyłem w małym dzbanuszkowi herbatę „Tension Tamer” firmy Celestial Seasonings, która wydała mi się najbardziej odpowiednia na tę okazję. Reynoso przycupnęła na brzegu taboretu i uważnie obserwowała moje poczynania. Byłem pewien, że czerpie z tego spotkania dużo więcej radości ode mnie.

Kiedy herbata była gotowa - poprosiła o mleczko, ale nie chciała cukru - ruszyłem z dwoma kubeczkami z powrotem do saloniku. Reynoso usiadła na kanapie, objęła kubek oburącz i pochyliła się nad nim, jakby chciała rozgrzać przemarznięte policzki (bo raczej nie napawała się ledwie uchwytnym aromatem herbaty), w końcu pociągnęła maleńki łyzeczek. Po chwili z lubością zamknęła oczy i powiedziała cicho:

- Bardzo dziękuję.

Pozwoliło mi to zająć pewne i dobrze znane stanowisko psychoterapeuty. Pewnie dlatego nie odpowiedziałem: „Proszę bardzo”.

Oceeniłem, że Reynoso musi być kilka lat starsza ode mnie. Miała sporo zmarszczek na twarzy, a głęboka bruzda między brwiami nie zniknęła i nadawała jej groźny wygląd. Najbardziej zdumiała mnie jednak cera, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie równie delikatnej, jak u mojej rocznej córeczki.

- Wracając do naszej rozmowy telefonicznej, chyba nie byłam zbyt uprzejma wobec pana, doktorze Gregory. Dlatego chciałabym zacząć od przeprosin. Cała ta sprawa spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Pewnie dlatego byłam wobec pana szorstka.

- Przeprosiny przyjęte. - Moje anteny były nastrojone na cynizm, toteż natychmiast zacząłem się zastanawiać, czy chce mnie w ten sposób rozbroić, czy raczej udobruchać. - Pewnie pani myślała, że ma do czynienia ze świrem.

- Czasami dzwonią do nas ludzie z różnymi zwariowanymi teoriami. Czy ma pan dziecko?

- Tak, córkę. - Nadal nie miałem ochoty rozmawiać o swojej rodzinie.

- To wcale nie musi być dla pana trudne - oznajmiła.

- Przyznam, że choć nie jest to dla mnie przyjemny temat do rozmowy, to rzeczywiście nie musi być trudny, pani detektyw. Z ochotą odpowiem na każde pytanie, ale tylko w tym zakresie, w jakim mam zgodę pacjentki na udzielanie wyjaśnień.

- Aha - mruknęła, znów skupiając uwagę na parującym kubeczku z herbatą. - I w tym cały szkopał, prawda?

- Szkopał?

- To pan decyduje, co może mi powiedzieć, a czego nie. Więc jest to dla nas obojga poważna komplikacja, prawda?

- W pani zawodzie obowiązują pewne żelazne zasady, w moim także. Nie wątpię, że możemy wzajemnie respektować swoje stanowiska.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem taki pewien, że chodzi tu o wzajemne poszanowanie stanowisk, ale tak mi się jakoś powiedziało, głównie dlatego, iż próbowałem być uprzejmy, a najwyraźniej oboje staraliśmy się przede wszystkim zachować uprzejmość.

Niemniej, jak przy stole do ruletki w Las Vegas, oceniałem szansę na skuteczność tych starań jak jeden do stu.

- Żelazne zasady mojego zawodu są nakierowane na ujawnienie prawdy - powiedziała Reynoso. - Nic poza tym.

Wolałem się z nią nie spierać. Ale nie miałem innego wyjścia, skoro już do tego doszło.

- Mojego nie - odparłem.

- Poważnie?

- Jak najbardziej.

- Czy celem pańskiej działalności nie jest udzielanie pacjentom pomocy w... dojściu do prawdy na temat ich życia?

Uznałem to pytanie za podchwytliwe.

- Od strony psychologicznej tak. Ale nie od strony formalnej.

- Kiedyś brałam udział w terapii.

Co radziliby mi w takiej sytuacji powiedzieć działacze Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego?

- Mam nadzieję, że okazała się pomocna.

- Nawet bardzo.

- Doskonale.

- Nie mam szczególnych możliwości wywierania nacisku na pana - zauważyła, nie patrząc na mnie, gdyż sięgnęła do swojej torebki.

I bardzo dobrze, pomyślałem. Szczerze mówiąc, podejrzewałem, że nie ma żadnych możliwości wywierania nacisku. Chcąc jednak zachować jak najdalej idącą uprzejmość, powiedziałem:



- Nie będzie potrzebny żaden nacisk, pani detektyw. Naprawdę z przyjemnością zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, aby pomóc pani w rozwiązaniu zagadki tego morderstwa. Wyjęła z torebki notes i długopis, jak również miniaturowy dyktafon kasetowy oraz fiolkę tylenolu. Ustawiła dyktafon na stoliku między nami, wrzuciła do ust kilka tabletek środka przeciwbólowego, popiła je łykiem herbaty, a następnie uruchomiła dyktafon. Wskazała mi świecąca czerwoną diodę, wymieniła głośno datę i godzinę, wreszcie wcisnęła klawisz pauzy.

- Gdzie jesteśmy? Pod jakim adresem? Podyktowałem jej adres i zapytałem:

- Dobrze się pani czuje? Dotknęła palcem skroni.

- Od przyjazdu do Boulder stale dokucza mi ból głowy.

- To prawdopodobnie choroba wysokościowa. Wielu ludzi na nią cierpi. Może pomóc zwiększenie ilości wypijanych płynów.

- Choroba wysokościowa? Przytaknąłem ruchem głowy.

- Panu też bez przerwy dokucza ból głowy? - zdziwiła się.

- Nie, po pewnym czasie organizm się przystosowuje.

- Rozumiem. - Popatrzyła na dyktafon, zdjęła palec z klawisza i powtórzyła na głos mój adres, po czym określiła przyczynę tego przesłuchania, przedstawiła się, podała moje personalia, w końcu zapytała, czy rozmawiam z nią dobrowolnie.

Musiałem się zastanowić nad odpowiedzią. Po chwili odparłem, że tak.

- Kiedy spotkał pan po raz pierwszy Gibbs i Sterlinga Storeyów?

I tym razem zamyśliłem się na dłużej.

- Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Nie ulegało wątpliwości, że detektyw Reynoso nie spodziewała się takiej reakcji. Miała chyba wrażenie, że zaserwowała w moim kierunku lekką i łatwą piłkę.

- Słucham?

- Okoliczności, w jakich poznałem państwa Storeyów... jeśli w ogóle można mówić, że ich poznałem... są integralną częścią łączącej nas relacji terapeutycznej, a jakiegokolwiek szczegóły takiej relacji, włączając w to również kwestię, czy rzeczywiście jest to relacja terapeutyczna, a jeśli tak, to od którego momentu się rozpoczęła, należą do tych faktów, których w świetle prawa obowiązującego w Kolorado nie wolno mi ujawniać.

- Słucham?

To drugie „słucham” wynikało już wyłącznie z niedowierzania.

- Doktorze Gregory, przecież już wiem, że pan ją zna. Powiedział pan, że prowadzi z nią terapię. Proszę więc nie utrudniać mi zadania z samej chęci jego utrudnienia.

- Nie pytała mnie pani, czy znam Gibbs Storey. Jeśli to chce pani wiedzieć, to odpowiem, że tak, znam Gibbs Storey. Jeśli będzie pani chciała wiedzieć, kiedy wszedłem w posiadanie informacji, które sprowadziły panią do Kolorado, na to również odpowiem, a mianowicie w ubiegły poniedziałek. Pani zapytała mnie jednak, kiedy poznałem Gibbs i Sterlinga Storeyów. A na to pytanie nie mogę pani odpowiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo mogę odpowiadać tylko na te pytania, które wchodzą w zakres posiadanej przeze mnie zgody na ujawnienie informacji. Gibbs Storey udzieliła mi tej zgody w ograniczonym zakresie. Nie mam natomiast podobnej zgody Sterlinga Storeya.

Reynoso westchnęła głośno.

- Czy kiedykolwiek spotkał pan Sterlinga Storeya?

- Proszę o następne pytanie.

- Mam rację, zakładając, że gdyby go pan nigdy nie spotkał, miałby pan pełną swobodę udzielenia mi tej informacji?

Nie odpowiedziałem. Wcale nie wydawało mi się to zabawne.

- Zakładam więc, że tak.

- Proszę sobie zakładać, co się pani podoba. To, czy ktoś korzysta z terapii, a więc czy znam go z mojej działalności zawodowej, jest informacją zastrzeżoną. Nie mogę jej ujawnić, nie mając zgody zainteresowanej osoby. Przesłuchanie poszłoby o wiele prościej i szybciej, gdyby ograniczyła się pani do pytań, na które mogę odpowiedzieć.

Powiedziałem to z wyraźną frustracją w głosie, gdyż spodziewałem się, że detektyw Reynoso zna obowiązujące przepisy równie dobrze, jak ja. Jeśli znała, próbowała celowo je złamać, zatem próbę doprowadzenia mnie do frustracji musiałem uznać za celową.

Zresztą nadzwyczaj jej się udało.

- Zatem może pan udzielać odpowiedzi na pytania... Z trudem przełknąłem ślinę.

- Mogę odpowiadać na pytania dotyczące oskarżeń Gibbs Storey kierowanych pod adresem jej męża Sterlinga i obarczających go odpowiedzialnością za zamordowanie niejakiej Louise Lakę w Laguna Beach w Kalifornii, do czego doszło w roku

tysiąc dziewięćset... - Zapomniałem, kiedy to było. - Mniejsza z tym.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Jaką postawił pan diagnozę w sprawie dolegliwości Gibbs Storey, doktorze?

- Tego też nie mogę powiedzieć, pani detektyw. Przykro mi, ale zgoda pacjentki nie sięga aż tak daleko.

- Aż tak szczegółowo określiła warunki?

- Owszem, pani Storey dosyć dokładnie wyszczególniła, co powinienem pani wyjawić, a co utrzymać w tajemnicy.

Carmen Reynoso odchyliła się na oparcie kanapy, założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się tak szeroko, że mimowolnie odpowiedziałem podobnym uśmiechem.

- Zabawa z panem w dwadzieścia pytań nie byłaby ani trochę zabawna - powiedziała. - A co pan na to, by z własnej woli powiedział mi pan od razu wszystko, co może pan ujawnić?

Tak też uczyniłem.

25

Wiedziałem tylko tyle, ile Gibbs zechciała mi powiedzieć.

Louise Lakę była brytyjską stewardesą, która wraz z dwiema koleżankami mieszkała na zmianę w dwóch miejscach. Pierwszym była zaniedbana dwupokojowa kwatera pokojówki przyklejona do chylącego się ku ruinie, krytego gontem dworku z początków dwudziestego wieku, stojącego na wysokim skalistym klifie nad Crescent Bay w Laguna Beach, na południowym krańcu zespołu miejskiego Los Angeles. Stewardesy wynajęły to skromne lokum od właścicielki dworku, starszej Australijki, spędzającej większość czasu w Sydney. Ponadto trzy przyjaciółki miały do dyspozycji niewielką ka-walerkę w eleganckiej dzielnicy Londynu, w pobliżu Hyde Parku,

należącą wspólnie do Louise i drugiej stewardesy o imieniu Helena. Trzecia, Paulie, płaciła im dość słono za możliwość okazynego skorzystania z jednego bądź drugiego lokalu, nie skarżyła się nawet, gdy musiała spać na kanapie w dużym pokoju, jeśli akurat tak się ułożyło, że wszystkie trzy przebywały w Londynie.

Przyjaciółki pracowały w liniach British Airways i głównie obsługiwały popularne połączenie między Londynem a Los Angeles.

Sterling poznał Louise w przedziale pierwszej klasy podczas długiej podróży powrotnej z obsługi turnieju golfowego British Open latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. W czasie rozmowy zdradziła mu, że nie może się już doczekać bliskiego dwutygodniowego urlopu, który zamierzała spędzić w swojej ustronnej kryjówce w Laguna Beach. Sterling odparł, że są prawie sąsiadami, bo już za parę tygodni miał się sprowadzić z żoną do odnowionego farmerskiego domu w Corona Del Mar, a więc zaledwie kilka kilometrów od Cre-scent Bay.

W tamtym okresie Louise spotykała się z pewnym mężczyzną z Los Angeles. Miał na imię Scott i był osobistym asystentem młodego reżysera filmowego, pupilka Stevena Spielberga i Davida Geffena. Louise czuła się przy nim lekko zażenowana, gdy demonstracyjnie układał na stoliku telefon komórkowy, przywoływał i krótkofalówkę, niczym zuch prezentujący plakietki zdobytych sprawności. Otwarcie wyznała Sterlingowi, że wcześniej uważała Scotta za interesującego i zabawnego przystojniaka, ale teraz dochodzi do wniosku, że to tylko „nadęty i próżny kamerdyner”.

Pod koniec lotu Sterling zaprosił Louise ze Scottem na kolację. Przyjęła zaproszenie. Spotkali się w ulubionej przez Storeyów francuskiej restauracji na Balboa Island i w miłej atmosferze zjedli kolację. Scott rzeczywiście okazał się nadętym próżniakiem pozbawionym szczytniejszych ideałów, jak to podejrzewała Louise. W ciągu paru kolejnych miesięcy, gdy zacieśniały się więzi między Gibbs, Louise i Sterlingiem, Scott na dobre zniknął ze sceny. Wyjechał do Europy ze swoim szefem, który postanowił poświęcić późne lato na zaloty do poznanej w Brukseli francuskiej aktoreczki, pozornie szukając ciekawych plenerów do filmu, do którego zdjęcia miał wkrótce rozpocząć w Budapeszcie i Pradze.

- Jaki charakter miały te zacieśniające się więzi? To bardzo ważne - wtrąciła Carmen Reynoso. - Jeśli może pan to powiedzieć, rzecz jasna.

Louise była kobietą pracującą, która mieszkała głównie w Wielkiej Brytanii. Kiedy wyjeżdżała z Londynu, zazwyczaj podróżowała służbowo nad północnym Atlantykiem, przez co nie mogła dotrzymać Gibbs towarzystwa w jej częstych wypadach do ulubionych salonów mody „Fashion Island” bądź „South Coast Plaza”. Ale jej niespecjalnie to przeszkadzało, jako że niemal od pierwszej chwili bardzo polubiła Louise i zaliczyła ją do grona swoich najlepszych przyjaciółek. Uwielbiała zwłaszcza kosmopolityczne maniery stewardesy i jej silny londyński akcent. Co prawda, nie powiedziała tego wprost, ale nie ulegało wątpliwości, że według jej kryteriów lepiej było się pokazywać w społeczności South Bay w towarzystwie Louise niż Kate Spade czy Manola Blahnika.

- Louise Lake była bardzo piękną kobietą. Jak to pasuje do tej relacji? Zwróciłem uwagę, że wraz z tym pytaniem na nowo pojawiła się głęboka bruzda między brwiami Reynoso. Przede wszystkim chciała poznać szczegóły romansu między Sterlingiem a Louise i już samo wspomnienie tego, co ich połączyło, przyprawiało ją o marsową minę.

Gibbs nie podejrzewała, że coś jest między jej mężem a stewardesą aż do przyjęcia w święto Halloween, które zaplanowała dużo wcześniej na cześć zakończenia renowacji domu w Corona Del Mar. Początkowo Louise miała być nieobecna na tym przyjęciu - za co przeprosiła już parę tygodni wcześniej - gdyż miała obsługiwać nocny lot z Los Angeles na Heathrow trzydziestego pierwszego października. Jednakże zbieg okoliczności - zdaniem Gibbs jakiejś technicznej kłopoty z maszyną bądź formalne zastrzeżenia co do sumarycznej liczby godzin spędzonych za sterami przez pilotów - sprawił, że Louise została w Los Angeles do następnego dnia.

Zjawiła się na przyjęciu Storeyów już po północy, mając jeszcze na sobie uniform British Airways. Zabawa była już w końcowej fazie zamierania, a nieliczni goście znajdujący się jeszcze na patio byli w stanie takiego upojenia alkoholowego, że zrobili jej niemal owację za nadzwyczaj oryginalne przebranie.

Gibbs była ucharakteryzowana na Grace Kelly i według jej własnej oceny nawet przypominała dawną gwiazdę. Natomiast Sterling przebrał się za Joego DiMaggio, co przyprawiało jego żonę sporo zmartwień z powodu tej podjętej w ostatniej chwili decyzji. Liczyła bowiem na to, że zgodnie z jej sugestiami wystąpi jako księżę Rainier albo James Bond. Gdyby wiedziała, że wzorem „Podskakującego Joego” wybierze pasiastą flanelową koszulę, z pewnością próbowałyby mu to wybić z głowy. Poza tym, gdyby dowiedziała się wcześniej, równie łatwo jak na Grace mogłaby się ucharakteryzować na Marilyn.

Mógł ją zawczasu uprzedzić. Nie żądała przecież wiele.

Louise także jako jedna z ostatnich wyszła z przyjęcia około trzeciej nad ranem, pozwalając im ostatecznie zamknąć nowo urządzonego bar w kącie salonu. Gibbs nakłoniła Sterlinga, który jako gospodarz przyjęcia w ogóle nie brał do ust alkoholu, żeby odwiózł ją nadmorską drogą do jej domu w Laguna. Po krótkich protestach stewardesa zgodziła się zostawić swój wóz pod ich domem i skorzystać z propozycji.

Sterling wyprowadził samochód z garażu w Corona o trzeciej piętnaście.

Wrócił do domu dopiero za dnia, kiedy słońce oświetlało już pasma wzgórz obrzeżających South Bay.

- To było jeszcze w październiku. A co zdarzyło się w listopadzie? Możemy od razu do tego przejść? - zapytała Carmen Reynoso.

Podejrzywałem, że w odróżnieniu od psychoterapeutów nie darzy specjalnym szacunkiem właściwego rozpoznania, ale nie skomentowałem tego ani jednym słowem. Mogliśmy o tym porozmawiać kiedy indziej.

Sterling całkowicie zlekceważył zaniepokojenie Gibbs jego nieobecnością w domu we wczesnych godzinach rannych. Zbył ją, mówiąc, że trochę się zagadali z Louise. Nic poza tym.

Jednakże Gibbs nie ufała Sterlingowi, zwłaszcza co do wierności małżeńskiej. Już wcześniej parę razy podejrzewała go o romanse, widząc, jak zbyt gorliwie nadszkakiwał niektórym kobietom. Nie chciała jednak wszczynać awantury. Postanowiła zwrócić baczniejszą uwagę na przejawy zdrady. W tym zakresie miała już pewne doświadczenie.

Przez pierwsze trzy tygodnie listopada Louise rzadko pojawiała się w Laguna, bo choć wielokrotnie kontaktowała się z Gibbs telefonicznie, to przez cały ten czas nie spotkały się ani razu. Wystąpiła o zmianę przydziału na miesiąc i uzyskawszy zgodę przełożonych, obsługiwała teraz rejsy między lotniskiem De Gaulle'a a JFK, ponieważ, jak twierdziła, w okresie przedświątecznym uwielbiała zarówno Paryż, jak i Nowy Jork. Tylko Święta Dziękczynienia nie chciała spędzać w żadnym z tych miast. Na tydzień przed świętami dostała czterodniowy urlop, od wtorku do piątku, i postanowiła go spędzić w samotności w Laguna. Helena obsługiwała inne rejsy, a Paulie była ze swoim nowym narzeczonym na Ibizie.

Zadzwoiła do Gibbs zza kierownicy wypożyczonego samochodu we wtorek po południu, żeby pożalić się na korki na szosie 405 i poplotkować o australijskim tenisiście, którego poznała w holu restauracji Les Deux Magots w lewobrzeżnym Paryżu, kiedy towarzyszący jej amerykański prawnik poszedł do toalety. Na zakończenie obiecała po raz kolejny, że w czwartek przyjedzie do nich na świąteczny obiad. Gibbs przypomniała jej tylko, że będą podawać obiad nieco wcześniej i chcą rozkroić pieczonego indyka już o piątej.

Louise przypomniała jej natomiast, że w ogóle nie jada indyka i tylko dwie drobnostki stoją na przeszkodzie, by została prawdziwą wegetarianką.

Gibbs zapytała, co to za przeszkody.

Louise odparła:

- Paryż i mięso.

- To było we wtorek? - zapytała Carmen Reynoso. - Na dwa dni przed Świętem Dziękczynienia?

- Tak - odparłem, uświadamiając sobie nagle, że w tym roku święta wypadają prawie dokładnie w te same dni tygodnia. Po chwili dodałem: - Gibbs zaznaczyła, że Louise zginęła właśnie tej nocy, a nie dopiero nazajutrz, jak doniosły gazety.

- Proszę mówić dalej.

- Niech pani pamięta, że to nie jest moja relacja, lecz opowieść Gibbs. Ja powtarzam tylko to, co od niej usłyszałem. Niemniej, chciałbym prosić o potwierdzenie jednej rzeczy. Czy Gibbs się nie myli co do pory zabójstwa? Wasze dochodzenie to potwierdza?

- Jeszcze do tego dojdziemy - odparła Reynoso. - Jeszcze dojdziemy.

Kiedy w grę wchodziła moja ignorancja, a nie jej, stawała się nagle bardzo cierpliwą i wyrozumiałą słuchaczką. Z niewiadomych powodów pomyślałem o Samie. Strzelił wyłącznik dyktafonu i pani detektyw zaczęła grzebać

w torebce w poszukiwaniu zapasowej kasety. Znalazła ją w końcu i zmieniła, po czym oznajmiła głośno: - Proszę mówić dalej.

Sterling miał wrócić z Nowego Orleanu dopiero w środę wieczorem, toteż Gibbs zrobiła świąteczne zakupy, przypilnowała gruntownego sprzątnięcia domu i poczyniła w kuchni niezbędne przygotowania do czwartkowego świątecznego obiadu. Miała do dyspozycji Meksykankę, której imienia nie mogła sobie przypomnieć, a która powinna zająć się większością uciążliwych obowiązków kuchennych w czwartkowe przedpołudnie.

Nic więc dziwnego, że we wtorek wieczorem Gibbs zaczęła się nudzić. Dlatego postanowiła zrobić Louise niespodziankę i wyciągnąć ją z domu na kolację w którymś z lokali w Laguna. Ale jakieś kilkaset metrów przed Crescent Bay zauważyła na ulicy samochód Sterlinga.

Niewiele brakowało, żeby go minęła. Jej uwagę przykuła leżąca za tylną szybą charakterystyczna ja-skrawoczerwona czapeczka z emblematem sieci telewizji kablowej, dla której pracował.

- Kilkaset metrów od miasta?

- Mniej więcej kilkaset metrów.

- Nie powiedziała, gdzie dokładnie stał jego samochód?

- Nie znam Laguna Beach, pani detektyw. Jakikolwiek punkty orientacyjne nic by mi nie powiedziały. Nie wątpię jednak, że Gibbs sama zechce udzielić w tej sprawie szczegółowych wyjaśnień.

- Nie powiedziała, jaki to był samochód?

- Chyba nie. Ale nie jestem pewien. Jeśli powiedziała, wyleciało mi to z pamięci.

- Wyleciało panu z pamięci? Co jeszcze mógł pan zapomnieć, doktorze?

Gibbs zatrzymała samochód kilkaset metrów od domu Louise i zadzwoniła pod numer biura Sterlinga. Jego sekretarka oznajmiła, że jeszcze nie wrócił z Nowego Orleanu, i zaproponowała, aby Gibbs spróbowała skontaktować się z mężem przez telefon komórkowy.

Do domu, w którym Louise wynajmowała służbówkę, najłatwiej było dotrzeć ścieżką spacerową biegnącą wzdłuż plaży, a następnie starymi schodami ułożonymi z wielkich kamiennych płyt, które prowadziły pod samą werandę starego dworku. Gibbs wróciła więc do Crescent Bay i zaparkowała u wylotu spacerowej ścieżki nad plażą, ale po przejściu zaledwie kilkudziesięciu metrów zatrzymała się i nadstawiła ucha.

Złowiła głosy Sterlinga i Louise, którzy się kłócili. Nie umiała powiedzieć, o co im poszło, lecz w pewnej chwili wyłowiła swoje imię.

Sterling wykrzyknął:

- Gównu mnie obchodzi Gibbs!

Ze łzami w oczach zawróciła ścieżką spacerową. Była już przy swoim samochodzie, kiedy doleciał ją piskliwy krzyk. Nie potrafiła rozpoznać, czy to krzyczała Louise. W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że to wykluczone. Bo i czemu Louise miałyby krzyczeć? Ale gdy później, wieczorem w Święto Dziękczynienia, dotarły do niej elektryzujące wiadomości, nie była już taka pewna, co rzeczywiście słyszała.

Gdy tylko wsiadła z powrotem do samochodu, chwyciła telefon i wybrała numer aparatu komórkowego Sterlinga. Charakterystyczny sygnał telefonu jej męża dotarł nad plażą aż do miejsca, w którym się znajdowała.

Błyskawicznie przerwała połączenie.

- Resztę chyba już pani zna - powiedziałem.

- Wolałabym jednak dowiedzieć się od pana o jego reakcji na wieść o odnalezieniu zwłok.

Mozemy o tym porozmawiać?

- Tak, oczywiście.

Sterling, zgodnie z planem, wrócił do domu w środę wieczorem. Gibbs ani słowem nie wspomniała o tym, czego była świadkiem poprzedniego popołudnia.

W Święto Dziękczynienia, jak zwykle, poustawił wszystkie telewizory w domu na transmisje rozgrywek futbolu amerykańskiego. W rzeczywistości jednak nie oglądał meczów, tylko na własny użytek oceniał pracę konkurencji, czyli realizację transmisji. O wpół do czwartej w dzienniku lokalnej stacji podano wiadomość o odkryciu zwłok niezidentyfikowanej kobiety spoczywającej głową w dół w jednym z jeziorzek przypiływowych na skałach Emerald Bay w Laguna Beach. Została jednak podana migawkowo, między reklamami podczas przerwy w meczu.

Gibbs nie zwróciła wtedy na nią uwagi. Sterling wpatrywał się z uwagą w ekran, stojąc zaledwie metr przed telewizorem.

Po kilku minutach zapytał Gibbs, o której Louise miała przyjechać na świąteczny obiad. Ta odparła, że powinna być lada chwila.

Mruknął wtedy, że ma nadzieję, iż Louise nic się nie stało.

- Naprawdę tak powiedział? - zdziwiła się Reynoso, marszcząc brwi.

- Tak to wyglądało według relacji Gibbs - wyjaśniłem.

Elektryzujące wiadomości z Laguna Beach zostały powtórzone w serwisie informacyjnym pół godziny później. Tym razem uzupełniono je komentarzem i zdjęciami ekipy, która dotarła na miejsce zbrodni i zdołała z daleka sfilmować zabitą kobietę leżącą na skałach w północnej części półkolistej zatoki Crescent Bay. Znow nadciągał przypyływ i wiatr porывał płaty zbitej piany z grzyw fal rozbijających się o skały. Sprostowano wcześniejsze doniesienia, jakoby zwłoki zostały znalezione w Emerald Bay.

W telewizyjnym przekazie zwłoki spoczywające na brzegu jeziorka były zakryte pasiastą tkaniną w pastelowych barwach.

- Jadę tam - oznajmił Sterling.

- Po co?

- Mam złe przeczucia co do Louise.

- Złe przeczucia?

- Nie inaczej.

- Aha.

Gdy Sterling wrócił do domu, świąteczny obiad był już zimny. Jedząc porcję zimnej pieczeni z chlebem i żurawiną obficie doprawioną czarnym pieprzem, powiedział Gibbs, że jego zdaniem Louise została uduszona.

- Uduszona?

- Zgadza się.

- Dokładnie tak powiedział?

- Według relacji Gibbs.

- Kiedy to powiedział? O szóstej, siódmej wieczorem?

- O to proszę lepiej zapytać Gibbs.

- Coś jeszcze?

- Sterling powiedział też, że według niego ktoś musiał się włamać do mieszkania wynajmowanego przez Louise. Gotów był przysiąc, że włamywacz wybił szybę, odsunął od środka zasuwkę i wszedł do służbówki tymi rozchwierutanymi kuchennymi drzwiami.

Carmen Reynoso ponownie odchyliła się na oparcie kanapy i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Dlaczego to pan do mnie zadzwonił? Czemu Gibbs nie zrobiła tego sama?

- Co do tego nie mam całkowitej pewności. Zdaje się, że ma to coś wspólnego z charakterem zdrady, której we własnym mniemaniu się dopuściła. Otóż wyjawienie podejrzeń wobec męża to jedna rzecz, ale zawiadomienie o nich policji to zupełnie co innego.

- Zatem sądzi pan, że ma to podłoże psychologiczne?

- Jak wszystko.

- Nieprawda. Niektóre postęпки mają podłoże czysto kryminalne.

Rozróżnienie między tymi dwoma motywacjami było dla niej dużo bardziej oczywiste niż dla mnie.

- To już wszystko? - zapytałem. Byłem zmęczony, a zegar podpowiadał, że moje dziewczęta lada chwila wrócą do domu. Naprawdę nie chciałem, by detektyw Reynoso jeszcze tu siedziała, kiedy staną w progu.

Wstała.

- Pozostaje tylko kwestia terminu śmierci ofiary. Pamięta pan?

- Nie sądziłem, że jednak odpowie pani na moje pytanie. Śnieg sypał wielkimi falami. Za oknem przez kilka minut

rozpościerała się biała zasłona, na tyle gęsta, żeby skutecznie przesłonić widok na dolinę, a zaraz potem rzedła, odsłaniając mroczną geometrię parkanów i błotnistych polnych dróg przecinających szeroki pas zieleni za naszym domem. Po krótkim interludium względnej widzialności kurtyna znów opadała, ponownie przesłaniając kanciastość krajobrazu i zatapiając cały świat w bezkresnej bieli.

Na trawie i obszarach osłoniętych od wiatru zdążyła się już zebrać kilkucentymetrowa warstwa śniegu.

Carmen Reynoso zapatrzyła się na ten zimowy spektakl z otwartymi ustami.

- Do tej pory zaledwie kilka razy w życiu widziałam śnieg. Pochodzę z Oakland i tylko sporadycznie wyprawiałam się dalej na północ od jeziora Tahoe. Dlatego jestem tak zafascynowana.

Ta ironiczna uwaga co do wyjątkowego położenia jeziora Tahoe wydała mi się dziwnie urocza.

- Podczas każdej śnieżycy jest taka chwila, która urzeka mnie swoim pięknem. Ale są też liczniejsze chwile, przychodzące zwykle później, kiedy górę nad wszelkimi wrażeniami bierze znudzenie.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie ze zdziwioną miną, wyjaśniłem więc:

- Gołoledź na szosach, odśnieżanie chodników, brodenie w zwałach błota podczas roztopów. Takie rzeczy szybko się nudzą.

Po chwili to ona mnie zaskoczyła.

- Nie jest pan romantykiem, prawda? A ja myślałam, że tak, że zalicza się pan do rycerzy w błyszczących zbrojach.

- To chyba błąd w rozumowaniu. Jestem romantykiem. Będę się rozmarzał na temat śnieżycy przez cały wieczór i całą noc. Ale jutro rano, gdzieś koło piątej, nasza sąsiadka odpali swojego małego zielonego ryczącego potwora i zacznie odśnieżać drogę dojazdową. Wtedy wszelki romantyzm pryśnie jak bańka mydlana, zwłaszcza gdy sąsiadka do wtóru dieslowskiego spalinowego pługa śnieżnego zacznie na cały głos śpiewać kolędy.

- I co w tym takiego złego?

- Powinna pani choć raz posłuchać Adrienne. Nie dość, że ciągle mylą jej się słowa kolęd, to śpiewaniem nie zarobiłaby jednego centa, nawet gdyby zależało od tego jej życie.

Reynoso odeszła wreszcie od panoramicznego okna.

- Ale przynajmniej będzie pan miał odśnieżoną drogę dojazdową.

- Jest w pani coś z małej Pollyanny, prawda, pani detektyw?

- Raczej bardzo mało, doktorze. Jutro jest niedziela. Może pańska sąsiadka zechce uszanować Boże święto.

- Możliwe - przyznałem. - To byłoby miłe z jej strony.

Nie chciało mi się wyjaśniać, że nawet gdyby Adrienne była

choć trochę religijna, to jest Żydówką, więc prędzej uszanowałaby sobotni szabas niż niedzielę.

- Dokładny czas śmierci Louise Lake nigdy nie został podany do opinii publicznej - powiedziała Reynoso, gwałtownie zmieniając temat. Sam też czasem to robił, zaczynałem więc podejrzewać, że wszyscy gliniarze z natury odznaczają się brakiem szacunku dla ciągłości i płynności konwersacji. - Prasa doniosła, że do morderstwa doszło w środę, a my ani razu nie sprostowaliśmy tej informacji w żadnym oficjalnym oświadczeniu. Dlatego właśnie twierdzenie Gibbs, że zabójstwo miało miejsce we wtorek, a nie w środę, przykuło naszą uwagę... a w każdym razie moją. Nabrałam przekonania, że jej relacja może być... prawdziwa. Według opinii koronera śmierć Louise Lake nastąpiła wczesnym wieczorem we wtorek, a nie w środowe popołudnie.

Staralem się zachować obojętną minę.

- A jeszcze bardziej przykuło moją uwagę coś, czego Gibbs nie powiedziała, a jedynie zasugerowała. W naszym komunikacie daliśmy opinii publicznej do zrozumienia, że Louise została zamordowana na plaży, a dopiero potem zabójca wciągnął jej zwłoki do wody. Wielu jej sąsiadów twierdziło, że gdy tylko była w mieście, spacerowała po skałach między jeziorkami zalewowymi co najmniej dwa razy dziennie, często także po zmroku lub o świcie. Tak więc w powszechnym mniemaniu ktoś poszedł za nią na plażę bądź też czekał w zatoczce, gdzie ją napadł i zamordował. Równie dobrze mogło to być zabójstwo przypadkowe, jak i celowe.

- Ale ona nie zginęła na plaży?

- Nie, na skałach. Na całym ciele miała liczne zadrapania od ostrych krawędzi skał. Ponadto opinia publiczna nie wiedziała też o wybitej szybie w kuchennych drzwiach mieszkania ofiary. Świadczy to wyraźnie, że Sterling wiedział coś, o czym nie powinien wiedzieć.

- Dlaczego ta szyba została wybita? Znaleźliście jakieś dowody na to, że w mieszkaniu doszło do bójki lub szamotaniny?

- Bez komentarza.

- Nie rozmawiała pani jeszcze ze Sterlingiem?

- Nie. Jest na Florydzie. Coś mi podpowiada, że tak czy inaczej będzie musiał nająć adwokata. Ale na razie postępuję tak, jakbym w ogóle nie zamierzała go przesłuchać.

- Macie wystarczające dowody na to, żeby go aresztować?

- Gdybyśmy je mieli, już byłby za kratkami. Postanowiłem i ja spróbować naglej zmiany tematu.

- A co z tym jeziorkiem napyłowym? Przecież morderca musiał zdawać sobie sprawę, że podczas odpływu zwłoki zostaną szybko odnalezione.

- Ciało Louise Lake nie zostało wrzucone do jeziora, lecz w fale Pacyfiku. Podejrzewamy, że uwięzło między głazami na dnie i przebywało w wodzie prawie trzydzieści sześć godzin, zanim wypłynęło na powierzchnię, a przyływ wepchnął je do jeziora.

Wyszliśmy do holu. Pomogłem jej włożyć płaszcz.

- Nie wolno panu nikomu powtarzać tego, o czym mówiliśmy - ostrzegła.

- Oczywiście.

Od razu zacząłem się zastanawiać, z jakiego powodu wtajemniczyła mnie w pewne szczegóły zbrodni. Bez namysłu odrzuciłem możliwość, że jej wylewność co do zabójstwa Louise jest wynikiem niedyskrecji. Musiałem więc zakładać, że Reynoso kierowała się zupełnie innymi motywami, rozmawiając ze mną szczerze. Tylko jakimi? Najwyraźniej byłem za mało przebiegły, żeby się ich domyślić.

- Słyszałam od kilku miejscowych gliniarzy - odezwała się jeszcze - że w ciągu minionych lat wykazał się pan kilkakrotnie świetną intuicją w zakresie medycyny sądowej... rzecz jasna, z psychologicznego punktu widzenia. Zatem pozwolę sobie zadać panu jeszcze jedno pytanie. Czy z tego, co pan o nim wie... oczywiście chodzi mi o Sterlinga Storeya... uznałby go pan za zdolnego do popełnienia takiej zbrodni? Czy Sterling mógł zabić Louise Lake?



Pospiesznie rozważyłem pochlebstwo pełniące rolę łyżeczki cukru oraz pytanie będące gorzką pigułką, które według niej powinienem połknąć jednocześnie. Odparłem:

- Przykro mi, ale odpowiedź na to pytanie zaprowadziłaby mnie w rejony, na które wstępu broni mi zasada poufności. Chciałbym móc na nie odpowiedzieć, obawiam się jednak, że moja opinia nie miałaby zbyt wielkiej wartości. Zresztą byłaby to tylko opinia, nic więcej. Powyżej linii nosa znów pojawiła się głęboka bruzda na jej czole.

- Chyba lepiej potraktuję tę odpowiedź jako twierdzącą -odparła.

Gwałtowna zmiana tematu wydawała mi się coraz lepszym pomysłem.

- Nie boi się pani wracać sama? W taką śnieżycę?

- Skąd miałabym wiedzieć, jak się prowadzi w taką pogodę?

- Skoro pani tego nie wie, to znaczy, że się pani boi.

- Jakies wskazówki dla nowicjuszek?

- Proszę jechać powoli, najlepiej tylko na drugim biegu. I nie zwracać uwagi na kretynów, którzy będą panią wyprzedzali w swoich terenówkach i półciężarówkach.

- A jeśli wpadnę w poślizg?

- Nie wpadnie pani. W każdym razie byłoby dużo lepiej, gdyby pani nie wpadła.

- Dzięki. Postaram się o tym pamiętać.

27

Lauren i Grace wróciły do domu najdalej dziesięć minut po odjeździe detektyw Reynoso.

Aż strach było na nie patrzeć. Wyjechały ubrane stosownie do ciepłej słonecznej pogody, toteż obie były przemoczone i przemarznięte do szpiku kości. Fioletowawe źrenice Lauren miały szarawy odcień skrajnego przemęczenia, co oznaczało, że wszystko, czym zajmowała się z Grace od chwili mojego wyjazdu na poranne spotkanie z Samem, wycieńczyło ją ponad wszelkie rezerwy, jakie jej organizm zgromadził na ten dzień.

Według jakiej skali miałem liczyć swoje poczucie winy?

Z Grace w ramionach podkręciłem kaloryfer w naszej sypialni i pobiegłem szykować gorącą kąpiel dla żony. Później poszedłem z małą do jej pokoju, wytarłem ją do sucha i przebrałem w czyste ciepłe ubranka. Na szczęście moja córka, która czasami nie pozwalała nam obojgu nawet na chwilę zmrzyć oka, zapadła w głęboki sen, gdy tylko ułożyłem ją na materacyku w kołysce i opatuliłem kocykiem. Obiecałem jej w duchu, że ze względu na jej uległość w najbardziej kluczowych chwilach naszego życia przymknę oko na jeden umiarkowany bądź lekko groźny wybryk w okresie jej dojrzewania. Odniosłem wrażenie, że mimo głębokiego snu przyjęła to z uśmiechem, jakby już teraz zaczęła planować ów wybryk, który będę musiał wybaczyć.

Aż przeszył mnie dreszcz na tę myśl.

Kiedy wróciłem do łazienki z kubkiem parującej herbaty, Lauren leżała w wannie wypełnionej gorącą wodą.

- Bez kofeiny? - zapytała.

- Miętowa. Bez kofeiny. Przepraszam, że cię dzisiaj zawiodłem.

- Wiem, że jest ci przykro.

- Sam...

Pokręciła lekko głową i zapytała:

- Dobrze się czuje?

Przytaknąłem ruchem głowy. Odpowiedziała nieco wymuszonym uśmiechem.

- Nie wyglądałaś najlepiej, kiedy przyjechałyście. Osunęła się trochę głębiej w wodę pokrytą gęstą pianą,

w której zniknęła aż po brodę. Za to w drugim końcu wanny wysunęła spod wody palce stóp z paznokciami pomalowanymi na koralowo, zapewne zgodnie z wyborem dokonany przez Grace.

- Coś się szykuje, Alan. W głowie mam straszną sieczkę i czuję się bardziej zmęczona, niż Bili Gates jest bogaty. Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, obie powieki nie zamykają mi się równocześnie.

Usilnie starałem się patrzeć jej prosto w oczy, ale nie na powieki.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Daj mi parę godzin. Zobaczymy, co się z tego wykluje. Mam jednak wrażenie, że granat został odbezpieczony. Nie wiem tylko, jakich spustoszeń dokona wybuch.

- Może to niewypał. Przygotować ci coś do jedzenia?

- Nie, nie jestem głodna. Zapewnij mi tylko spokój, dobrze? Zabierz psy i nie pozwól mi spać dłużej niż do piątej. Kocham cię.

Łacińską nazwę stwardnienia rozsianego tłumaczy się dosłownie na „liczne urazy”.

Kiedy powstaje nowa rana w powłoce ochronnej nerwu w mózgu bądź rdzeniu kręgowym - co prawdopodobnie jest skutkiem błędnego rozpoznania jej przez organizm jako tajemniczego wroga - objawia się nowy symptom choroby. Jakiego jest charakteru? To zależy, który nerw ucierpiał. Kiedy rana się goi i tkanka łączna, zastępuje ubytek naturalnej mieliny, symptomy albo całkowicie zanikają, albo - co bardziej prawdopodobne - pozostają na zawsze, ponieważ coś innego wydarzyło się w tym czasie.

To jedna wielka loteria.

Oboje z Lauren unikaliśmy słowa „pogorszenie”, bo jego wydźwięk miał charakter bluźnierstwa. Kiedy ją zostawiłem, gdy wycierała się po wyjściu z krótkiej kąpieli - a nie chciałem tego robić wcześniej z obawy, że nagle zaśnie w wannie pełnej wody - oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nastąpiło pogorszenie, że wytworzyła się jakaś nowa rana na osłonce nietkniętego dotąd nerwu, co wcześniej czy później musiało się wydarzyć.

Czy rzeczywiście tak się stało? Wolałem o tym nie myśleć.

Wiedziałem jednak, że lista potencjalnych następstw jest równie długa, jak lista wręcz cudownych możliwości ludzkiego organizmu. Figurowały na niej niedowład mięśni, ślepotą, paraliż, ogólne osłabienie, kłopoty z nerkami, kłopoty z układem trawiennym...

Powstrzymałem się w myślach od dalszego wyliczania. Ta lista zdawała się nie mieć końca. Bo przecież ciągle powtarzanie litanii potencjalnych zagrożeń nie mogło nam w niczym pomóc.

Czy to ja byłem odpowiedzialny za pogorszenie się stanu mojej żony przez to, że nie zabrałem córki na przyjęcie urodzinowe jej koleżanki?

Nie. Oczywiście, że nie.

Ani trochę. Naprawdę.

W najmniejszym stopniu.

Miedziela przyniosła nam sporo niespodzianek. Niestety, żadnej dobrej.

Lauren ani razu nie obudziła się na dobre z sobotniej „drzemki”. Od czasu do czasu otwierała oczy, ale zachodzące w niej procesy neurologiczne oraz immunologiczne kosztowały ją tyle energii, że wstawała jedynie do łazienki.

Nie chciała nawet obiadu, toteż zjedliśmy go z Grace w samotności.

Jak zwykle w niedzielny poranek ja wstałem pierwszy. Lecz zamiast wskoczyć w strój sportowy i wyprowadzić rower z garażu, bo śnieżycą całkowicie uniemożliwiła mi poranną wycieczkę, włożyłem gruby dres oraz ciepłe skarpety i z kawą usiadłem w saloniku nad gazetą.

Niebo nad pasmem Front Range i resztą Gór Skalistych miało odcień lazuru tropikalnej zatoki morskiej. Odstraszające granitowe turnie szczytów Flatirons ginęły pod śnieżnymi czapami. Jak okiem sięgnąć, wszystko dokoła pokrywała biała pierzyna.

Panorama wyglądała po prostu urzekająco. Miałem nadzieję, że Carmen Reynoso jest teraz w takim miejscu, z którego może podziwiać ten widok.

Nastawiłem ucha, próbując wyłowić śpiewane przez Adrienne kolędy i warkot jej pługa śnieżnego, ale panowała cisza. Lauren zostawiła w odtwarzaczu płytę Debussyego.

Włączyłem odtwarzanie, ściszyłem wieżę i ułożyłem na kolanach grube niedzielne wydanie lokalnej gazety, licząc na to, że historia Sterlinga i Gibbs Storeyów zdołała się wreszcie jakoś przedostać z komendy policji do redakcji.

Ale na dole pierwszej strony moją uwagę przykuł całkiem inny nagłówek umieszczony tłustym drukiem. Notatka nie miała nic wspólnego ze sprawą Storeyów i była zatytułowana: MAŻ SĘDZI ARESZTOWANY ZA POSIADANIE KOKAINY.

Aha, przemknęło mi przez myśl, o tym też już słyszałem.

Mówił mi o tym Jim Zebid podczas sesji terapeutycznej w ubiegły wtorek. Wtedy nawet nie dopuszczałem do siebie myśli, że mąż Jary Heller faktycznie może być zamieszany w działalność przestępczą.

Jak on miał na imię?

Zacząłem czytać artykuł. Okazało się, że mąż sędzi Jary Heller nazywa się Penn Heller.

Pozwoliłem sobie odbiec myślami od tematu i podjąć próbę odgadnięcia, od czego pochodzi imię Penn. Od Penningtona? Pensylwanii? Penncrofta? Trudno powiedzieć. Na szczęście nie przypominałem sobie też żadnego przyjęcia w gronie miejscowych prawników, na którym zamieniłbym przynajmniej kilka słów z kimś o imieniu Penn.

Artykuł nie grzeszył nadmiarem informacji. Policja, działając na podstawie anonimowego zgłoszenia, w sobotni wieczór w pewnej śródmiejskiej piwiarni aresztowała pana Hellera, bankiera inwestycyjnego prowadzącego własną firmę, o której nigdy dotąd nie słyszałem, znalazłszy przy nim „znaczące ilości” białego proszku oraz niesprecyzowaną bliżej sumę pieniędzy. Reporter ewidentnie próbował się skontaktować z sędzią Heller, aby po prosić ją o komentarz, lecz ta okazała się nieuchwytna do chwili oddania numeru do druku.

Aha.

Zrobiło mi się żal Jary Heller. Miała solidną reputację w tutejszym świecie prawniczym i słynęła z nieugiętości oraz bezstronności osoby znającej na wylot przepisy prawa. Od początku uważałem ją za kobietę ujmującą, która znacznie lepiej od swoich kolegów potrafi skrywać własne ambicje. Miałem nadzieję, że niezależnie od tego, w co wplątał się mąż, jej reputacja specjalnie na tym nie ucierpi. Nie znałem na tyle środowiska, by móc przewidzieć, jak wpłynie to na jej dalszą karierę w lokalnym wymiarze sprawiedliwości. Postanowiłem zapytać o to Lauren, gdy w końcu się obudzi.

Stłumiony warkot przerwał nagle moje rozważania o Hel-lerach. Chwilę później tenże stłumiony warkot przerodził się w donośne dudnienie silnika spalinowego. Adrienne na razie jeszcze nie śpiewała, ale uruchomiła swój pług śnieżny i szykowałą się do oczyszczenia drogi dojazdowej. Tak bardzo uwielbiała swój traktorek, że piątek, świątek czy niedziela nie mogła dopuścić, by umiarkowanej grubości warstwa śniegu stopniała we własnym zakresie.

Energia słoneczna była jej zapiekłym wrogiem.

Oczywiście ryk pługa obudził Grace i zostałem wezwany do dziecięcego pokoju zadziwiająco dorosłą siłą jej małych płucek.

Zaczęło się więc od zmiany pieluch. Potem wyprowadziłem psy i nakarmiłem je. Wreszcie przystąpiłem do smażenia gofrów. Tak się utarło, że w niedzielne poranki zawsze smażyliśmy gofry, umilając sobie czas radosnym gaworzeniem. Skończył się De-bussy i z podajnika weszła do odtwarzacza następna płyta. Tony Bennett i K.D. Lang w utworach Louisa Armstronga. Wspaniałe nagrania.

Niedzielne domowe zajęcia wydawały mi się zawsze nieco surrealistyczne. Po śniadaniu Grace bawiła się w swoim foteliku, mogłem zatem wrócić do przerwanej lektury gazety. Ale pod

powierzchnią pozornego spokoju czaił się już ten potwór, który mieszkał z nami gdzieś przy dnie: niepewny stan zdrowia mojej żony pozostającej za zamkniętymi drzwiami sypialni. Nasłuchiwałem odgłosu spuszczonej wody w toalecie czy też szumu prysznic, czegokolwiek, co pozwoliłoby mi sądzić, że Lauren rozpoczęła dzień mniej więcej tak jak zawsze. Minęła jednak ósma, a ja wciąż nie miałem żadnych oznak, na podstawie których mógłbym ocenić jej stan.

Telefon zadzwonił pięć po ósmej.

Rzuciłem się do aparatu.

- To ja - powiedział Sam.

- Planujesz kolejną wycieczkę w teren? - zapytałem. - Obawiam się, że dziś nie będę mógł ci towarzyszyć.

- Dzwonię z budki przed piekarnią Moe. Mimo śnieżyicy w środku ustawiła się długa kolejka. Piekarnia Moes Bagels znajdowała się w niewielkim pawilonie handlowym przy North Broadway, niedaleko domu Sama. Założyłem pośpiesznie, że wyszedł na swój obowiązkowy poranny spacer rehabilitacyjny i oczekiwał ode mnie duchowego wsparcia, jak alkoholik oczekujący argumentów, żeby nie wchodzić do knajpy.

- W porządku, Sam. Tylko weź coś pełnoziarnistego. Ewentualnie z chudym serem topionym. To nie najlepsze jedzenie dla ciebie, ale możesz na przykład zaryzykować z wędzonym łososiem. Zawiera nienasycone tłuszcze z grupy Omega-trzy.

- Nie proszę cię o pomoc w doborze jadłospisu. Dzwonię z budki sprzed piekarni, żeby na twoich billingach telefonicznych nie znalazło się czarno na białym, że rozmawialiśmy o ósmej rano w niedzielę - wyjaśnił szorstko.

Usiadłem.

- Rozumiem. O co chodzi?

- Sterling Storey nie żyje. Dlatego wolałbym, aby nikt się nie dowiedział, że to ja cię o tym zawiadomiłem. Na wypadek, gdyby miało się to okazać istotne.

- Co takiego? - Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia wiadomością o śmierci Sterlinga. Ale równocześnie w głowie pojawiło się pytanie, czemu miałyby to być aż tak istotne, od kogo się o tym dowiedziałem. Paranoja nie należała do cech charakterystycznych mojego przyjaciela, musiałem więc zakładać, że Sam wyprzedza mnie myślami o krok czy nawet dwa. Dla mnie rozstaw figur na szachownicy w najmniejszym stopniu nie był jeszcze oczywisty, on jednak najwyraźniej nie miał żadnych kłopotów z planowaniem kilku posunięć naprzód.

- Wczoraj wieczorem, dosyć późnym, wpadła do mnie w odwiedziny Lucy. Wiesz, chciała sprawdzić, jak się czuję. I powiedziała mi o wszystkim.

- Dlaczego Lucy aż tak się o ciebie troszczy?

- Także nie w tej sprawie do ciebie dzwonię, Alan. Skup się. Przemknęło mi przez myśl, żeby zapytać wprost. W końcu to

on zostawiał niedomówienia. Ugryzłem się jednak w język.

- Dobra. Więc co się przydarzyło Sterlingowi?

- Nie mam pojęcia, co mu się przydarzyło. Wiem tylko tyle, ile usłyszałem.

Miałem do czynienia z kolejnym subtelnym rozróżnieniem, znaczącym chyba tylko dla Sama. Zapytałem więc:

- No to co usłyszałeś na temat Storeya?

- Zaczekaj chwilę - rzucił ostrzejszym tonem, nieco głośniejszym, wyraźnie zniecierpliwiony. -

Czekam właśnie, aż przestanie się na mnie gapić kobieta, która chyba uważa, że natychmiast skończę rozmowę, jeśli będzie dostatecznie bezczelna. Nie znoszę takich zachowań. A ty?

Baba stoi nie dalej niż dwa metry ode mnie i gapi się jak ciele na malowane wrota. A ja gapię się na nią... Hej, paniusiu, to jeszcze trochę potrwa. Pozwoli pani, że dokończę w spokoju?

- I co? Odeszła?

- Jest koło sześćdziesiątki i wygląda dokładnie jak moja ciotka Esther... Oho, właśnie skwitowała moje uwagi obscenicznym gestem, odwróciła się i odeszła. Skąd to się bierze? Nie mam ochoty żyć w społeczeństwie, w którym ludzie na starość będą bez wyjątku takimi fiutami...
  - To wyjątek, Sam. Lepiej wróć do sprawy Sterlinga.
  - Pamiętasz, że był na Florydzie, obsługiwał transmisję jakiegoś meczu futbolowego? No tak, musisz pamiętać. Wczoraj, po zakończeniu meczu, wyruszył z Tallahassee, żeby odwiedzić starego przyjaciela w Albany, w Georgii. Wiesz, gdzie to jest? Ja też nie. Osobiście uważam, że chciał uniknąć powrotu do domu, bo tu musiałby stanąć oko w oko z konsekwencjami swoich czynów, ale przecież żyjemy w wolnym kraju, co nie? Dopóki nikt nie zakuje rąk w kajdanki, można robić, co się komu podoba. Tu zaś mnóstwo ludzi chciało z nim porozmawiać, choć, co prawda, nikt się nie spieszył, żeby go aresztować. W każdym razie wczoraj wieczorem trafił na gwałtowną burzę szalejącą w całej południowej Georgii. Wichury, powódzie... Prawie jak biblijny potop. Świadkowie mówią, że widzieli samochód, który zjechał z autostrady, wpadł w poślizg i zawisł na krawędzi skarpy na brzegu rzeki Ochlockonee. Zasługuję na wysoką nagrodę, jeśli nie pomyliłem nazwy. Myślałem, że tylko w Minnesocie wszystkie nazwy są takie pokręcone. Zupełnie, jakby urządzili konkurs na najbardziej cudaczne nazwy, a później postanowili rozdzielić nagrodę między tysiąc zwycięzców. Nie, prędzej dziesięć tysięcy... W każdym razie Sterling, powszechnie znany z miękkości serca i szaleńczej odwagi, zatrzymał swój wypożyczony samochód, żeby przyjść z pomocą kobiecie uwięzionej w aucie na krawędzi skarpy. Niestety, pośliznął się na śliskim zboczu, wpadł do wody i natychmiast poszedł na dno, ani razu nie wypłynął. Zwłok do tej pory nie odnaleziono.
  - Rety...
  - Tylko tyle? „Rety“?
  - Sam, facet miał właśnie składać wyjaśnienia w sprawie morderstwa, tymczasem zginął bohaterską śmiercią podczas próby ratowania kobiety uwięzionej w samochodzie? Nie sądzisz, że to czysta ironia losu?
  - Działa na wyobraźnię, co nie? Jest troje naocznych świadków zdarzenia, a jeden z nich to jakiś cholerny kaznodzieja. Dwie pozostałe to siostry bliźniaczki, pracownica służb socjalnych i lekarka pediatra.
  - Coś mi się zdaje, że nie wierzysz w tę historię. Sam należał do najbardziej zatwardziałyłch niedowiarków. Nie była to nawet skaza jego charakteru, raczej jedna z cech, dzięki którym był świetnym detektywem.
  - Jak mówią prawnicy? Okażcie zwłoki? Niczego nie pomyliłem? Zatem niech mi okażą zwłoki, wtedy uwierzę. Z mojego punktu widzenia do wypadku doszło w nazbyt dogodnej chwili dla podejrzanego.
  - Myślisz, że można podrobić gwałtowną burzę przypominającą biblijną powódź? Sterling Storey to nie Mojżesz.
  - Mojżesz? Czyżbyś miał inną Biblię niż ja? W tej, do której ja zaglądam, nie ma ani słowa o sprowadzeniu na ziemię potopu przez Mojżesza. Zresztą zapomnij o tym pytaniu. Nawet nie chcę wiedzieć, co wyczytałeś w Biblii. Chodzi mi tylko o to, że być może Sterling Storey... postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję, to wszystko.
  - Zakładam, że policja z Georgii nadal szuka zwłok.
  - Owszem, ale rzeka, do której wpadł... że nie ośmielę się po raz drugi powtórzyć jej nazwy... najwyraźniej mocno wezbrała i wystąpiła z brzegów. Zalane są spore tereny, pod wodą znalazły się zabudowania, drzewa i mnóstwo rzeczy, ciało topielca mogło się o coś zaczepić.
  - Dlaczego aż tak bardzo zainteresowałaś się tą sprawą, Sam? Ostatecznie masz sporo innych zmartwień na głowie.
- Milczał przez dobre dziesięć sekund, zanim odpowiedział:

- Sam nie wiem. Chyba powinienem już wracać do domu.
- Zaczekaj, nie rozłączaj się. Wiesz coś więcej na temat męża Jary Heller? Mówię o sędzi Heller.
- Czytałem artykuł w gazecie. Nie wiem nic więcej.
- Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Zechciałbyś sprawdzić, jak policja wpadła na jego trop? Skąd pochodziły przecieki, że handluje narkotykami?
- Czemu cię to interesuje?
- To ważne.
- Ktoś go wsypał, tego możesz być pewien. Niewykluczone, że dał się nabrać na policyjną prowokację, ale stawiałbym raczej na to, że ktoś go sypnął. Gdybyś miał trochę do czynienia z ludźmi powiązаныmi za światkiem narkotyków, a zwłaszcza z handlarzami, szybko byś się przekonał, że nie jest to ta część naszego społeczeństwa, która przestrzegałaby jakichkolwiek kodeksów honorowych.
- Ale sprawdź to, jeśli możesz. Bardzo chciałbym wiedzieć, kto go sypnął. Obiecuję, że nie będę o to rozpytywał.
- Dajesz słowo honoru?
- Słowo, Sam.
- To znaczy, że już wiesz, kto to zrobił. Chcesz tylko, żebym potwierdził te informacje. Zgadza się?

Oślupiałem.

- Powinieneś się zatroszczyć o klientelę trochę wyższej jakości - dodał. - Za dużo czasu spędzasz z szumowinami.

Przerwał połączenie.

Obejrzałem się błyskawicznie. Dzięki Bogu, Grace spokojnie zajmowała się sobą, była całkowicie pochłonięta szczegółowym badaniem uchwytu łyżeczki.

Zadzwoiłem do swojego gabinetu, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych wiadomości od Gibbs. Ciekaw byłem, czy już wie, co spotkało jej męża wczorajszego wieczoru, czy ktoś ją zawiadomił o jego śmierci.

Ale wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce pochodziły od innych pacjentów. Jeden odwoływał zaplanowaną wizytę, drugi prosił o wyznaczenie dodatkowej sesji. Autorem ostatniej wiadomości był niejaki Craig Adamson, facet cierpiący na obsesję maniacką, fak zawsze domagał się potwierdzenia, że nie zapomniałem o następnym spotkaniu. I jak zawsze wiadomość od niego odebrałem ze smutkiem.

W każdym razie wszelkie wiadomości nagrane na mojej automatycznej sekretarce nie miały nic wspólnego ze sprawą zabójstwa. Gibbs Storey nie próbowała się ze mną skontaktować.

Usiłowałem rozszyfrować znaczenie tego faktu, gdy za moimi plecami rozległ się głos

Lauren.

- Kto dzwonił?

Na buzi Grace natychmiast rozlał się szeroki uśmiech.

- Mama! Mama! Odwróciłem się na pięcie.

Sam

:jatrywałem się w plecy odchodzącej staruchy, dopóki nie znalazła się na wysokości wejścia do winiarni. Chciałem ją uwolnić od złudzeń, że przerwę rozmowę z litości nad nią.

Odwiesiłem słuchawkę dopiero wtedy, gdy skrzyła na chodnik prowadzący w kierunku Ideal Market.

Sherry na pewno by uznała, że jestem małostkowy. Może i jestem. Na pewno czasami taki bywam. Zwłaszcza wobec ludzi, którzy odpowiadają mi wulgarnymi gestami, gdy nie robię nic ponad to, że rozmawiam przez telefon.

Poczułem, jak spory bąbel gazów oderwał się gdzieś od ścianki moich jelit i podjął mozolną wędrówkę na północ, w kierunku żołądka. Czulem też, jak szybko się powiększa. Kiedy

dotarł na wysokość mojego mostka będącego od niedawna wyłączną domeną serca, odruchowo przycisnąłem dłoń do piersi. Lekko docisnąłem nawet mostek knykciami zaciśniętej pięści. Od tej chwili najwyżej sekundę zajęło owemu bąbłowi gazów dotarcie do mojej krtani.

Beknąłem, nawet dosyć głośno. I odruchowo przesunąłem lewą dłoń nieco niżej i w bok, na żebra, przyjmując pozycję mojego ojca wiecznie cierpiącego na wzdęcia, czego obiecywałem sobie nigdy nie robić.

Przenigdy.

I oto teraz sam cierpiałem na wzdęcia.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i wypuściłem je powoli. W mojej piersi nie pojawił się żaden ból. Zatem mogłem opuścić rękę i ruszyć się wreszcie z miejsca.

Odwróciłem się tyłem do budki telefonicznej i skierowałem krętym chodnikiem w stronę wejścia do piekarni Moego. Co miałem kupić, zdaniem Alana? Pieczywo pełnoziarniste? Z chudym serem? I wędzonym łososiem?

Jasna cholera.

Miałem nie tylko wzdęcia, ale jeszcze tętnicę, która przypominała zatkaną szlamem i byle jak polataną rurę, żonę, która nie uśmiechała się nawet mniej więcej w moim kierunku od ostatniej pory monsunowej, i ukochanego syna, którego nie mogłem uściskać, bo mieszkał tysiące kilometrów stąd.

O co Alan mnie pytał?

Dlaczego aż tak bardzo zainteresowałeś się tą sprawą, Sam?

Baba przede mną zamawiała chyba sto rztay naraz i to na sto różnych sposobów. Chciała bagietkę „ze wszystkim”, ale bez ziarna sezamowego. Do tego jalapeno, ale bez białego mięsa z indyka.

- Chce pan powiedzieć, że nie macie sałatki jarzynowej z serem bez tego pomarańczowego świństwa na wierzchu?... Aha, więc to jest marchewka? I czerwone cebulki? Nie macie białych? Są zbyt pikantne?

W końcu poprosiła o czystą bagietkę. A pozostałe to co, brudne?

Obsługująca ją dziewczyna miała w prawej brwi wklute błyszczące kółko wielkości zaczepu do holowania pojazdów. Najwyraźniej miała gdzieś ironiczne uwagi i pytania wybrednej klientki. Siedząca przy kasie kierownicza popatrzyła w jej kierunku z surową miną i zaciśniętymi wargami. Dziewczyna za tę godzinę pracy miała dostać najniższą możliwą stawkę, bez względu na to, czego kolejni idioci po tej stronie lady oczekiwaliby od niej.

Dobrze znałem takie sytuacje.

Tymczasem dziewczyna nawet ruchem głowy nie odpowiedziała na sypiące się pytania baby przede mną.

Mogłem się tylko cieszyć, że Moe nie zabierała głosu. Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby wtrąciła się do sprzeczki.

Dlaczego aż tak bardzo zainteresowałeś się tą sprawą, Sam?

Uświadomiłem sobie mimo woli, że w lewym ręku wciśniętym w głąb kieszeni kurtki obracam coś okrągłego.

Fiolkę z tabletkami nitrogliceryny.

Dlaczego aż tak bardzo zainteresowałeś się tą sprawą, Sam?

W całym swoim życiu poznałem najwyżej pięćoro ludzi, których uwagi dawały mi do myślenia. Alan Gregory jest jednym z nich. Nauczyłem się cenić jego zdolność do naprowadzania mnie na właściwą drogę, choć jednocześnie zyskałem nieprzyjemną świadomość, że nie czuję się najlepiej z tego powodu. Mam na myśli introspekcje. Nie przepadam za wyścigami typu Indy, za to lubię wyścigi NASCAR. Dlaczego? Samochody jak samochody, ale w NASCAR prawie cały czas skręca się w lewo. Wystarczy wciskać gaz do dechy, oczywiście kontrolując prędkość, pokonywać kolejne zakręty i uważać na rywali. Nie

trzeba się obawiać żadnych podwójnych pętli, nie trzeba gwałtownie hamować, aż dym idzie z opon.

Natomiast Alan jako przyjaciel to coś w rodzaju uczestnictwa w przeklętym Grand Prix. Skręt w lewo, a zaraz wiraż w prawo. Hamowanie, zmiana biegów, gaz, gwałtowne hamowanie.

Nie zawsze jest to zabawne. Czasami wolałbym się znaleźć na autostradzie I-80 przecinającej Nebraskę. Droga biegnie prościutko, samochód jedzie prościutko. A ja?

Też podążam prościutko. Co do tego nie mam złudzeń, moje życie jest o wiele lepsze, gdy zdążam prosto przed siebie.

Dlaczego aż tak bardzo zainteresowałem się tą sprawą?

Bo ona aż tak bardzo kochała tego dupka, tylko dlatego. Gibbs Storey dobrze wiedziała, że mąż zamordował jej przyjaciółkę, a mimo to spędziła z nim tyle lat, mieszkała z nim pod jednym dachem, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedyś przyjdzie po niego policja i znajdzie się za kratkami.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tej niezwyklej miłości. Chciałem poznać szczegóły ich małżeństwa. Chciałem wie

dzieć wszystko o tego rodzaju kobiecie. To z jego powodu czy też z własnej woli obróciła się w końcu przeciwko niemu? Czy to przejaw jej siły, czy słabości? Wyraz pewności siebie czy raczej desperacji? Na razie mogłem się jedynie domyślać tego wszystkiego, a zapragnąłem to wiedzieć.

Moja Sherry? Chyba nie mogła się doczekać, aż wyjdę ze szpitala, żeby na dobre dać nogę z domu. I z miasta. Olać Święto Dziękczynienia, olać moją rehabilitację, olać wpływ, jaki jej decyzja wyrzuci na życie Simona. Olać nasze małżeństwo.

Olać mnie.

Nie rozumiałem, czym się kierowała. Miałem więc nadzieję, że nauczy mnie czegoś historia Gibbs i Sterlina Storeyów.

Doszedłem w końcu do lady w piekarni. Dziewczyna z błyskotką nad okiem popatrzyła na mnie, unosząc brwi, aż metalowe kółko groźnie podskoczyło. Bez słów dawała mi do zrozumienia, że teraz moja kolej. Zapewne nie chciała tracić cennej energii na otwieranie ust.

- Poproszę kanapkę z ciemnego pełnoziarnistego chleba z chudym serem topionym, wędzonym łososiem i wszystkimi dodatkami surówkowymi, w podwójnej ilości.

Nawet nie mrugnęła okiem. I nie uśmiechnęła się. Pospiesznie przygotowała mi kanapkę, zawinęła ją w biały papier i wrzuciła do brązowej papierowej torby gestem człowieka, który powtarzał te czynności już setki tysięcy razy. Rzuciła torbę na ladę i popatrzyła na klienta stojącego za mną w kolejce.

Chleb z makiem smarowany masłem czy też placek orkiszowy ze szprotkami, keczupem i musztardą, jej nie robiło to najmniejszej różnicy.

Rzuciwszy po raz ostatni okiem na dziewczynę z ciężkim metalowym kółkiem w brwi, zapłaciłem za swoją kanapkę, a drobnicę z reszty wsypałem do słoja z napiwkami. Przyszło mi na myśl, że dziewczyna nieświadomie wzięła udział w castingu do roli czyjejś żony po szesnastu latach małżeństwa.

Kupiłem jeszcze parę drobiazgów w Idealu, wstąpiłem na małą kawę bezkofeinową do Vica i ruszyłem w drogę powrotną. Nie byłem jeszcze gotów, żeby wracać do domu, ale nie przychodziło mi do głowy, jak mógłbym tego uniknąć. W to niedzielne przedpołudnie odwiedziłem bodaj wszystkie otwarte sklepy, pomijając salon z zabawkami. No i kościół. Na to wciąż nie umiałem się zdobyć. Nie potrafiłbym ścierpieć aż godzinnej dawki pociechy podczas nabożeństwa. Nie zniósłbym widoku tyłu znajomych osób, z których każda czułaby się w obowiązku zapytać: „Jak się czujesz?” albo „Gdzie twoja rodzina?” A przede wszystkim nie miałem ochoty wysłuchiwać historii o podobnych zawałach czyichś krewnych lub znajomych, którzy zmarli tydzień po wyjściu ze szpitala.

Nie chciałem też słyszeć, jakim jestem szczęściarzem.



Bo ani trochę nie czułem się jak szczęściarz.

Nie miałem dużo do przejścia, zaledwie kilkaset metrów dzieliło North Broadway od tych stu metrów kwadratowych zamkniętych w obłożonym od zewnątrz deskami murowanym klocku, który dotąd nazywałem swoim domem. Ale przy każdym kroku wiodącą lekko pod górę ulicą czułem nieco narastający i zaraz ustępujący ucisk w piersi. Na szczęście nie był to ból, nie było to dotkliwe klucie za mostkiem. W rzeczywistości nie przypominało nawet ucisku. Było to tylko dziwne wrażenie spowodowane kołysaniem się grubej warstwy tłuszczu pod luźną skórą na brzuchu.

Mojej odmiany wzdęcia.

Za skrzyżowaniem zatrzymałem się na chwilę, żeby popatrzeć na nastolatkę zamiatającą chodnik prowadzący do wejścia domu. Była tak ubrana, jakby wybierała się na wczesnoletni piknik nad Boulder Reservoir, chociaż nastał pierwszy dzień kalendarzowej zimy - szorty i bawełniana koszulka z krótkimi rękawami i jakimś napisem na piersi, którego nie mogłem odczytać z odległości trzydziestu metrów.

Co mnie tak zastanawiało w kwestii nastolatków i ich ubrań? Nie pamiętałem, a przecież powinienem był pamiętać. Simon

miał przyjechać na święta do domu. Musiałem to rozgryźć przed jego przyjazdem.

Zdecydowałem się poświęcić przymusowe zwolnienie lekarskie na dwie rzeczy. Musiałem się uwolnić w dużym stopniu od tej mojej indywidualnej odmiany wzdęcia i chciałem wziąć pod lupę życie Sterlinga Storeya.

Zatrzymałem się po raz kolejny, żeby skontrolować tętno.

Osiemdziesiąt cztery. W normie. Wziąwszy pod uwagę, że utrzymywało się na tym poziomie w czasie marszu pod górę, był to naprawdę dobry wynik. Mój kardiolog powinien być zadowolony. Powinni też być zadowoleni ci wymuskani gogusie prowadzący zajęcia rehabilitacyjne.

A może ich to wcale nie obchodziło? Może ich mantra brzmiała tylko: „Uważamy, że nie spisałeś się najlepiej, Sam”. Miałem przeczucie, że gdyby im zakomunikować, iż właśnie wygrali w totka, od razu zaczęliby narzekać, że kumulacja była za mała i zebrało się tylko trzydzieści milionów.

Sherry na pewno znalazłaby z nimi wspólny język. Ona też uważała, że nie spisałem się najlepiej.

Jak się wyraził Alan?

Ostatecznie masz sporo innych zmartwień na głowie.

Miał rację. Dlatego też poszukiwanie Sterlinga Storeya wydało mi się najlepszym sposobem na to, żeby o nich nie myśleć.

A moje wzdęcia? Nigdy nie widziałem faceta na oczy, mogłem się jednak założyć, że jemu takie rzeczy były zupełnie obce.

33

Alan

- Mam pewne kłopoty z nogą - powiedziała Lauren.

Wcześniej sam się tego domyśliłem. Laska, na której silnie zaciskała prawą dłoń, była tego wymownym dowodem. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wyciągała ją z szafy,

ale nie pamiętałem. Od tamtej pory musiał minąć co najmniej rok. Kupiłem jej tę laskę w sklepie ze sprzętem wspinaczkowym w Ouray, po drugiej stronie pasma, podczas jej wcześniejszego kryzysu zdrowotnego. A może było to w Telluride? Nawet tego nie mogłem sobie przypomnieć.

Pamiętałem jednak, że wówczas podobne okoliczności podsuwały mi same czarne myśli. Wyglądało więc na to, że nagle pogorszenie stanu jej zdrowia następuje zawsze po całej serii znaków ostrzegawczych.

- Chodź, usiądź - odparłem, biorąc ją pod rękę. Przy stole posadziłem ją na krześle obok fotelika Grace.

- Mam wrażenie, jakby ważyła kilka ton. Mogę ją tylko ciągać za sobą - rzekła, spoglądając na swoją nogę.

- Rozumiem.

Wyciągnęła szyję i pochyliła głowę w kierunku małej, a już po chwili wydawała się bez reszty pochłonięta rozmową w tym specyficznym dziecięcym dialekcie pozwalającym jej nawiązać bliski kontakt z córką i zapomnieć o zmianach, jakie zachodzą w mieli-nowych osłonkach jej układu nerwowego. Grace, mimo że całkiem niewrażliwa na chorobę matki, natychmiast okazała wielkie zainteresowanie laską. Gdyby w ogóle była w stanie przejść o własnych siłach kilka kroków, nie wypuszczając zarazem cennej podpory z rączki, pewnie jeszcze przed zachodem słońca wyposażyłbym ją w jakąś pomniejszoną wersję nieocenionego przyrządu.

Obserwowałem uważnie Lauren, wypatrując innych zewnętrznych objawów neuropatii.

Mięśnie jej twarzy nadal nie były w stanie odpowiednio skoordynować ruchów powiek, ale poza tym moje niewprawne oko nie wyłowiło niczego nienormalnego.

- Niczego więcej nie zauważyłaś? - spytałem, chcąc jeszcze raz usłyszeć jej mowę, gdyż i w niej mogły wystąpić jakieś zaburzenia.

Pokręciła głową.

- To ta sama noga, co poprzednio? Pamiętasz, jak wybraliśmy się do Utah, żeby pomóc Teresie?

- Nie, druga - odparła. Mówiła normalnie.

- Chcesz, żebym zadzwonił do neurologa? - Jej lekarz Larry Arbuthnot był zwolennikiem intensywnej kuracji sterydowej w wypadku takiego nagłego pogorszenia stanu zdrowia, które groziło poważnymi konsekwencjami.

- Nie chcę jeszcze zaczynać kuracji sterydowej - odparła. Aha, w porządku.

- Wiem o tym.

Zdobyła się nawet na lekki uśmiech.

- Powinnam dzisiaj przyjąć interferon. Wezmę go i zaczekamy na rozwój wydarzeń.

No tak, interferon.

Cotygodniowe zastrzyki z interferonu były tylko środkiem zapobiegawczym, mającym uchronić ją przed takimi niespodziankami jak dzisiejsza. W żadnym stopniu zastrzyk, który sama sobie robiła w udo, nie mógł być traktowany jak skuteczny lek, kiedy doszło już do takich niespodzianek jak dzisiejsza. Interferon był toksycznym środkiem profilaktycznym, przypominającym, jak czasem żartowałem, szczególnie trujące kadzidło używane do odstraszenia słoni sprzed wejścia do pokoju.

W wypadku interferonu zapalenie tego kadzidła wydawało się przynosić pewien skutek, tyle że z natury niedający się ocenić. Kiedy sprawdzałem po raz ostatni, w naszym pokoju nie było żadnych słoni. Prawdę mówiąc, ani razu ich tam jeszcze nie widziałem.

Właśnie z powodu trującego kadzidła?

Sęk w tym, że na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

Nie zmieniało to faktu, że interferon nie był przeznaczony do zwalczania tych słoni, które łajdackim sposobem zdołałyby się już zakraść do pokoju. A chyba z czymś takim mieliśmy właśnie do czynienia, z wrogo nastawionym słoniem buszującym w pokoju.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytałem, starając się uniknąć tonu, który by dał jej wyraźnie do zrozumienia,

że według mnie nie jest to dobry pomysł. Chyba mi się nie udało.

Przez jakiś czas Lauren była pochłonięta przekomarzaniem się z Grace. Gdyby nie laska, którą trzymała między kolanami, z łatwością mógłbym sobie wmówić, że to zwykły niedzielny poranek, jak wiele poprzednich.

W końcu odpowiedziała:

- Nie, niczego nie jestem pewna. Ani trochę. Czy mógłbyś mi podać pół filiżanki kawy?

Chętnie napiłabym się też soku.

Miałem ochotę wrzasnąć ile sił w płucach, złapać tę jej przeklętą chorobę za gardło i dusić tak długo, aż przestanie zapać.

- Lauren, w grę wchodzi hospitalizacja. To duże ryzyko...

- Myślisz, że nie wiem? - syknęła ze złością. - Ale nie znoszę sterydów. Chcę zaczekać tylko parę godzin na skutki działania interferonu, dobra?

Postawiłem przed nią filiżankę z kawą i szklanek soku. Prośba o kilkugodzinną zwłokę była do przyjęcia. Podobnie jak mój nasilający się niepokój.

Po chwili odezwała się nieporównanie łagodniejszym tonem:

- To był Sam? To on dzwonił?

- Tak. Sporo się wydarzyło - pospiesznie zrelacjonowałem jej to, do czego doszło w okolicach Albany w Georgii, a co zakończyło się, jak na ironię, bohaterską śmiercią Sterlinga Storeya w nurtach rzeki Ochlockonee.

- Interesujący zbieg okoliczności - zauważyła rzeczowym tonem, na który z pewnością wpłynęło to, że chodziło o śmierć obcego człowieka, która w dodatku wydarzyła się daleko stąd.

- Sam też tak uważa. Powiedział, że nie uwierzy, dopóki policja nie obnaży zwłok.

Lauren zaśmiała się krótko.

- Miałeś chyba na myśli okazanie zwłok. Obnażanie kojarzy mi się w tym kontekście z ćwiartowaniem ciała, a w każdym razie z czymś, co bardziej pasuje do patroszonego kurczaka niż ludzkiego ciała. A jak się czuje Sam?

Nawet ten jej krótki śmiech od razu poprawił mi nastrój.

- Robi, co w jego mocy, ale jest wytracony z równowagi. Nie dość, że przeszedł zawał, to jeszcze został sam, bez rodziny. Nie sądzę, by naprawdę wierzył, że Sherry zabrała Simona i wyjechała z nim tuż przed świętami.

Grace wybrała ten właśnie moment, by pchnąć trzymaną w rączce łyżeczkę przez całą długość stołu. Zdażyłem ją złapać, nim spadła na podłogę. Bez wątplenia uznała ten incydent za szczególnie zabawny. Gdybym oddał jej łyżeczkę, na pewno zaraz musiałbym ją łapać po raz drugi. Autorzy podręczników o wychowaniu dzieci zawsze radzą w takiej sytuacji oddać łyżeczkę. Ja tego nie zrobiłem.

- Ja też w to nie wierzę - powiedziała Lauren.

W jej fioletowawych oczach dostrzegłem skrę przerażenia, która pojawiła się niczym poblask odległej błyskawicy w okiennej szybie o północy.

- Ani ja - odparłem. - Nie potrafiłem ocenić, czy żona chce w takim momencie usłyszeć, że ja jej nigdy nie opuszczę, że najnowsza permutacja objawów jej choroby w najmniejszym stopniu nie zmaciła powierzchni mojego serca, obawiałem się jednak, że samo wspomnienie o jej stanie zdrowia aż nazbyt brutalnie sprowadzi ją na ziemię. Dlatego dodałem tylko: - W ogóle nie mogę uwierzyć, że aż tak się między nimi popsulo.

Pchnąłem w jej stronę gazetę i wskazałem artykuł opisujący aresztowanie Penna Hellera za posiadanie kokainy.

Przeczytała tylko nagłówek, spojrzała na mnie i bąknęła:

- Niemożliwe.

Mogłem ją okłamać i powiedzieć: Nie wiem o tej sprawie nic ponad to, co napisali w gazecie. Ale zamiast tego odparłem:

- A jednak.

Pospiesznie przebiegła wzrokiem cały artykuł.

- Wygląda na to, jakby go mieli oskarżyć o handel narkotykami. To bardzo niedobrze.
- Jak to wpłynie na pozycję jego żony w tutejszym wymiarze sprawiedliwości? Ile to będzie ją kosztowało?

Wzruszyła ramionami.

- Znasz jej męża? - zapytałem.
- Przelotnie. Właściwie tylko z widzenia.

Uznałem to za dowód, że nie ma ochoty rozmawiać o sędzi Jarze Heller i jej mężu.

Kilka minut później Lauren pokuśtykała z powrotem do sypialni, prawą ręką wspierając się na lasce, a w lewej trzymając wszelkie drobiazgi niezbędne do tego, żeby zaaplikować sobie w udo jeden mililitr interferonu. Spojrzałem na zegar i dodałem dwie godziny. O tej porze powinna zacząć odczuwać nudności po dawce toksycznego środka. Dodałem jeszcze dwadzieścia cztery godziny, żeby się przekonać, kiedy miną sensacje po interferonie. Co tydzień miała jeden dzień wyrwany z życia, przeznaczony na bohaterskie próby wypędzenia podstępnych słoń.

Odczekałem, aż zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy odwróciłem się do Grace.

- Obawiam się, że tym razem jest trochę za późno, Grace - powiedziałem. - Słonie przekradły się już do pokoju.

Mała podjęła próbę powtórzenia wyrazu „słonie”. W każdym razie wydawało mi się, że chodzi właśnie o to słowo.

Wreszcie wskazała psy.

A przynajmniej wyciągnęła rączkę w ich kierunku.

Uzmysłowiłem sobie, że muszę poprawić parasolową osłonę na łapie Emily.

Sam

Lista osób, które musiały być na mnie wściekłe, wydawała się dłuższa niż zazwyczaj.

Alan? Z pewnością. Na pierwszym miejscu. Kapitan? Pewnie

by mnie zabił, gdyby nadarzyła się okazja, przez co zaoszczędziłby towarzystwu ubezpieczeniowemu kupę forsy, a mojemu lekarzowi sporo pracy. Kardiolog? Odniosłem wrażenie, że dzielnie mierzy się ze świadomością, iż nie należę do typowych przypadków rehabilitacji pozawałowej. Niemniej i on nie mógł być zadowolony z moich nadprogramowych poczynań. Nie miałem co do tego żadnych złudzeń. A Carmen Reynoso? Co ona mogła mnie obchodzić? Przecież zamierzałem tylko dać jej kolejny powód do pogardzania nami, gliniarzami z gór.

Kto jeszcze?

Zaciekawilo mnie, co pomyślałaby Sherry, ale po chwili doszedłem do wniosku, że nie mam najmniejszych szans, by to odgadnąć. Przecież do głowy by mi nie przyszło, że należy do kobiet, które niespełna tydzień po tym, jak wyląduję w szpitalu z zawałem serca, zabiorą mojego chłopaka i wyjadą bez pożegnania.

Zresztą, kogo próbowałem oszukiwać? Sherry ani trochę by się nie zdziwiła. Gdyby usłyszała, co zamierzam, pewnie prychnęłaby głośno z pogardą, czego tak bardzo nienawidziłem, ale z pewnością nie byłaby zdziwiona.

Owo pogardliwe prychnięcie w jej wykonaniu było zamien-nikiem uwagi: „A nie mówiłam, że jesteś skończonym idiotą?”

Albo co najmniej: „No i co ja mam z tobą pocać?”

Tyle że teraz nie usłyszałem prychnięcia.

Niemniej dochodziłem do wniosku, że zwolnienie lekarskie i przerwa w obowiązkach służbowych wcale nie są takie złe. Pensja nadal wpływała na moje konto, miałem więc z czego spłacać kredyt hipoteczny. Zaczynałem się nawet cieszyć, że nie muszę chwilowo nosić odznaki. A co się tyczy ciężkiego pistoletu w kaburze przy pasie czy pod pachą... Tego też mi nie brakowało, przynajmniej na razie.

Wystarczyły dwa telefony, żeby zdobyć jej adres. Gdybym był sprytniejszy, domyśliłbym się już po pierwszej rozmowie, ale spożytkowałem ją głównie na to, by uzyskać odpowiedź na pytanie Alana co do źródła przecieku w sprawie kokainowych problemów męża sędzi Jary Heller. Przyznaję, że zmitrężyłem parę minut, próbując odgadnąć, dlaczego Alan tak bardzo chce to wiedzieć.

Gibbs Storey mieszkała niezbyt daleko ode mnie, przynajmniej według kryteriów czysto geograficznych. Nasze domy dzieliło jakieś dziesięć, najwyżej dwanaście kwartałów. Mógłbym bez trudu dostać się tam na piechotę, lecz nie chciałem się forsować. Na chodnikach zalegało zbyt dużo błota pośniegowego, a ja nie miałem wystarczającej motywacji, żeby się przez nie przedzierać. Dlatego pojechałem swoim cherokee i zaparkowałem kilkadziesiąt metrów od wskazanego adresu. Dlaczego nie przed samym domem?

Chciałem po drodze rozejrzeć się, czy nie ma dziennikarzy, a zwłaszcza reporterów telewizyjnych.

Najwyraźniej związek między Sterlingiem i Gibbs Storeyami mieszkającymi obecnie w Boulder a dawnym morderstwem popełnionym w Laguna Beach nie wpadł jeszcze dziennikarzom w oczy. Niewiele jednak brakowało, powinni go spostrzec lada dzień. A zniknięcie Sterlinga w Georgii?

Stało się tematem numer jeden, prawdziwym lukrem na cia-steczku. Jak tylko nowina się rozeszła, w sieciach kablowych rozgorzały zaciekle dyskusje „specjalistów”, a w serwisach zaczęły dominować ujęcia reporterów z południowej Georgii filmowanych na tle raczej odpychającego mostu nad rzeką Ochlo-ckonee. Aż się dziwiłem, jak mało jest ujęć grup poszukiwawczych z psami tropiącymi na długich smyczach albo ekip ratowniczych do łez wpatrujących się w każde zawirowanie w nurcie. Rzecz jasna, dominowały wystąpienia policyjnych oficerów, co najmniej tak grubych jak ja, z których każdy tłumaczył, że jego ludzie robią, co tylko w ich mocy, analizują każdy ślad odnaleziony na brzegu rzeki i sprawdzają wszelkie ewentualności.

Z tego powodu skrupulatnie sprawdziłem ulicę przed obserwowanym domem, bo nie chciałem wpaść w pułapkę zastawioną przez jakiegoś sprytnego dziennikarza.

Jeszcze nie teraz.

Gibbs Storey była w domu. Ku memu zaskoczeniu, otworzyła drzwi, gdy zadzwoniłem. Jeszcze większym zaskoczeniem było dla mnie zaproszenie do środka, jak tylko nadmieniłem, że jestem przyjacielem jej psychoterapeuty. Dostałem się do jej domu wyłącznie dzięki Alanowi. Mniejsza z tym. I tak byłem wdzięczny, że nie musimy rozmawiać przed drzwiami, bo gdy stałem na ganku, czułem się wyłowiony z ciemności przez snop światła z jupitera niczym jakiś świadek Jehowy czy bezdomny handlujący starzyzną.

Cały hol domu Storeyów wyłożono białą glazurą z rysunkiem różyczki. Z miejsca, w którym się znalazłem, nie widać było niczego, co by świadczyło o nieporządku. Nigdzie ani śladu kurzu, nie walały się dziecięce buty, piłki tenisowe służące psu do zabawy. Gdyby moja zwariowana babcia miała kupę forsy i całkowicie odmienne pojęcie o tym, co jest gustowne - bo, prawdę mówiąc, kochana staruszka miała zupełnie wypaczone poczucie dobrego smaku - jej dom mógłby wyglądać bardzo podobnie.

- To pan jest tym detektywem, najbliższym przyjacielem doktora Gregoryego, prawda? Tym, z którym tak bardzo chciał porozmawiać o mojej... sytuacji?

Ta wstępna część nie mogłaby wyglądać lepiej, nawet gdybym sam napisał do niej scenariusz. Nie musiałem się przedstawiać jako policjant - a od strony technicznej nie miałem do tego nawet prawa, będąc na zwolnieniu lekarskim - niemniej gospodyni sama domyśliła się prawdy i zaszczyliła mnie tytułem detektywa. Alan tłumaczył mi kiedyś, że status człowieka jest rzeczą niezmiernie prostą z psychologicznego punktu widzenia. Jeśli ktoś pogodzi się z takim, a nie innym statusem drugiego człowieka, już zawsze będzie go odpowiednio

traktował. A do tego niewiele trzeba. Tak więc Gibbs uznała mnie za detektywa z brygady śledczej. A ja?

Nie zaoponowałem. Mój status w jej pojęciu został więc ustalony.

- Zgadza się, jestem przyjacielem doktora Gregoryego. To ze mną rozmawiał w pani sprawie - odparłem.

- Jak pan mnie znalazł? Doktor przysięgał, że nie wymienił mojego nazwiska.

- Nie wymienił. W tej kwestii zawsze można na niego liczyć. Ale musi pani wiedzieć, że równocześnie wydarzyło się sporo innych rzeczy, takich, o których się dowiedziałem bez jego udziału. Weźmy chociażby rewizję, do której doszło przedwczoraj. Albo przylot ekipy śledczej z Kalifornii. Naprawdę nie było trudno odczytać numery na koszulkach poszczególnych zawodników, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Wystarczyło tylko dodać dwa do dwóch, żeby otrzymać właściwy rezultat.

Przez chwilę zapatrzyła się na mnie, jakbym rzeczywiście był jakimś matematycznym geniuszem, a wykonany przeze mnie rachunkowy łamaniec przyprawił ją o zawrót głowy. Zaszczyciłem ją szerokim uśmiechem pluszowego misia. Wielkiego misia cierpiącego na wzdęcia.

Miałem na sobie nylonową kurtkę podbitą sztucznym futrem, kiedyś na tyle grubym, że nie bałem się w niej wychodzić nawet podczas mrozów. Przez tę kurtkę zapewne nie mogła ocenić efektów mojego indywidualnego rozdęcia. Zresztą nie miało to większego znaczenia. I tak nie zamierzałem się przy niej rozbierać.

Dlaczego? Po prostu nie zamierzałem i tyle.

To prawda, że Gibbs Storey była oszałamiająco piękna. Na tyle piękna, że zachowywałem się nerwowo, przestępowałem z nogi na nogę i unikałem jej spojrzenia. Należała do tej klasy piękności, z której dziewczęta nigdy nie rozmawiają z chłopakami takimi jak ja.

Właściwie nie była nawet piękna.

Odnaczała się cudowną urodą gwiazdy filmowej.

Gdyby nie była aż tak ładna, albo gdybym ja był choć trochę bardziej przystosowany do przebywania w towarzystwie takich piękności, pewnie nigdy bym nie wydukał tego, co wydukałem. Niemniej wyrwało mi się:

- Oczywiście słyszałem też o pani mężu. Właśnie dlatego tu jestem. Prawdę mówiąc, tylko dlatego tu jestem.

Jej mina rozsypała się nagle na tysiące łez. Przez chwilę miałem wrażenie, że rzuci mi się w ramiona. Fantazjowałem? Możliwe. W każdym razie nic takiego się nie stało. Gibbs odwróciła się na pięcie i pobięła w głąb korytarza.

Uznałem jej nagłe zniknięcie za namiastkę zaproszenia, toteż ruszyłem za nią.

Mniej więcej po pięciu minutach na nowo zapanował spokój.

Usiedliśmy w długim pokoju, którego okna wychodziły na szeroki pas zieleni biegnący wzdłuż zachodnich granic miasta. Dokładnie tam, gdzie kończył się wypielegnowany trawnik na tyłach posesji Storeyów, zaczynał się pas zdziczałych łąk porośniętych krzakami.

Poprzedni właściciele tego domu musieli przeżyć koszmarną noc w lipcu 2002 roku, kiedy to stanęły w ogniu szuwały wokół jeziora Wonderland, a płomienie strzelały tak wysoko, jakby chciały zamienić całą tę część miasta w olbrzymie pogorzelsko.

Kilka prostych obliczeń uświadomiło mi, że tylko ten jeden pokój ma powierzchnię w przybliżeniu równą powierzchni mojego domu. Ten pokój dzienny połączony z jadalnią i kuchnią wyglądał równie idealnie czysto i schludnie, jak hol, tyle że tutaj nie było na ścianach marmurów. Jego wykończenie przywodziło na myśl luksusowy apartament hotelowy w kurorcie narciarskim - lakierowane deski podłogowe, ciemna boazeria, drewniane belki pod sufitem, kanapa i fotele jakby żywcem przeniesione z dawnego wiejskiego dworku, żyrandol zrobiony z bardzo wielu jelenich poroży. Kominiek omszałymi kamieniami dzielił równo na pół malowniczy widok rozciągających się na zachodzie strzelistych gór. Jeśli kiedykolwiek

rozpalano w nim ogień, jego czyszczeniem musiał się później zająć ktoś cierpiący nie tylko na awersję, ale wręcz fobię na tle popiołu.

Przemknęło mi przez myśl, że może właśnie z tego powodu

Gibbs Storey uczęszcza na sesje z Alanem. Ewidentnie miała patologiczną obsesję na punkcie czystości, choć zapewne wynikała ona z chęci zajęcia się czymś, a nie lęku przed każdą drobiną kurzu.

Tylko jakie miałem prawo oceniać, które zachowanie jest jeszcze normalne, a które już nie? Cały czas próbując powstrzymać potok łez gospodyni - w czym jestem nawet niezły, skoro od lat na co dzień mam do czynienia z podobnymi sytuacjami - rozmyślałem równocześnie, że gdyby czarodziejskim sposobem zlikwidowano resztę domu, zostawiając nietknięty tylko ten jeden pokój, mnie z Sherry pewnie i tak nie byłoby stać, żeby w nim zamieszkać.

A w ogóle dlaczego aż tak uparcie trzymaliśmy się Boulder? Po co? Oboje zarzynaliśmy się w pracy, żeby uciuć trochę oszczędności, w każdym razie tyle, że w innej sytuacji byłoby się z czego cieszyć, i co z tego mieliśmy? Ledwie jako tako ocieplony klocek z prefabrykatów, byle jak umeblowany, zakryty dwudziestoletnim dachem, z podłogami całkowicie krytymi wykładzinami, które śmierdziały tak, jakby przez parę lat koczowało na nich stado piesków preriowych. Kiedy jest się gliniarzem, nauczycielem czy też kwiaciarką prowadzącą małe sklepienie w śródmiejskim pasażu handlowym, tylko tyle można mieć za swoją ciężką harówkę, jeśli, rzecz jasna, pragnie się korzystać z przywileju mieszkania zaledwie kilkanaście przecznic od Gibbs i Sterlinga Storeyów w pięknej, naprawdę przepięknej dzielnicy Boulder.

To wszystko jest gównem warte.

Chyba Sherry miała rację. Była najwyższa pora na gruntowną odmianę. Na powrót do Minnesoty? Może niekoniecznie.

Gibbs skuliła się w kącie wielkiej kanapy. Ja usiadłem naprzeciwko w fotelu zrobionym z konarów oraz gałęzi i zasłuchałem się w jej cichnący powoli szloch. Wreszcie wyszeptała: - Bardzo cenię swoją prywatność. Tymczasem wkrótce wszyscy się o wszystkim dowiedzą, prawda?

Zawahałem się. Byłem przeświadczony, że pogrążoną w żałobie wdowę mam już w ręku, wystarczy kilka słów pocieszenia i parę chusteczek papierowych, aby wyciągnąć z niej wszystkie informacje, na których mi zależało. A tymczasem musiałem się zastanowić, czy jej smutek nie wynika stąd, że według wszelkiego prawdopodobieństwa rodzinne tajemnice już niezbyt długo miały pozostać tajemnicami.

To przecież diametralnie odmieniało stan rzeczy.

- Na pewno wszystko jest tak, jak być powinno, proszę pani?

Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby to pytanie zabrzmiało niewinnie. W każdym razie bardzo na to liczyłem, bo gdyby Gibbs złowiła w moim głosie coś w rodzaju echa swoich własnych słów - zakładając, że jest choćby w jednej dziesiątej tak inteligentna, jak piękna - istniałyby poważne obawy, że szybkość moich postępów ulegnie gwałtownemu zahamowaniu.

Głośno przełknęła ślinę, otworzyła nieco szerzej oczy i westchnęła przeciągle. Nie ulegało wątpliwości, że jednak złowiła to echo.

- W jakim celu pan tu przyjechał, detektywie?

- Proszę mówić mi po imieniu. Nazywam się Sam Purdy. Osuszyła kąciuki oczu jedną z chusteczek, które jej podałem -

nie zgniecioną w garści, tylko starannie złożoną. Do osuszania oczu najwyraźniej przeznaczony był tylko jeden róg złożonej chusteczki.

- Ale jest pan tym detektywem zaprzyjaźnionym z doktorem Gregorym, prawda? Pracuje pan w komendzie głównej policji w Boulder?

Podchwytliwe pytanie.

- Zgadza się, proszę pani. Właśnie tak zarabiam na życie.

- Co pana tu sprowadza? Po co przyjechał pan do mnie z samego rana?
- Pewna rzecz nie daje mi spokoju, powiedziałbym nawet, że spędza mi sen z powiek, a dotyczy... pani sytuacji, dlatego też liczę, że pomoże mi pani przynajmniej częściowo uwolnić się od tej dręczącej kwestii.

Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?
- Minęło sporo czasu od chwili, kiedy nabrała pani przekonania, że mąż zamordował przyjaciółkę, prawda?
- Tak.

Powiedziała to z wyraźnym ociąganiem. Nie wynikało ono stąd, że musiała w myślach zweryfikować moje twierdzenie, ale brało się z poczucia zagrożenia, jakie przeczuwała w razie wyrażenia zgody na moje warunki rozmowy.

- Więc chciałbym wiedzieć, jak zdołała pani wytrzymać przy nim tak długo. To bardzo ważne. Dla mnie o wiele ważniejsze, niż można by sądzić. Po prostu nie potrafię zrozumieć, jak w takiej sytuacji mogła pani dalej wykonywać... no, powiedzmy, swoje codzienne małżeńskie obowiązki.

- Przecież mówimy o moim mężu, detektywie.

No, tak, jasne. Zwróciłem jednak uwagę na użyty przez nią czas teraźniejszy. Nie chciała mówić o swoim mężu w czasie przeszłym.

- W podobnych sytuacjach kobiety zazwyczaj odchodzą od mężów, proszę pani. Są na to liczne dowody. Porzucają mężów z powodu znacznie bliższych rzeczy niż perspektywa tragicznych konsekwencji popełnionego morderstwa. Z powodu pieniędzy, alkoholu, romansów z innymi kobietami czy nawet chrapania, cuchnącego oddechu, nieudanego seksu, którego jest albo za mało, albo za dużo. Pani jednak nie odeszła od męża, a ja chciałbym zrozumieć, co panią kierowało.

W rzeczywistości chciałem powiedzieć: „Na Boga, kobieto, możliwości masz bez liku. Znam co najmniej dwudziestu porządnych mężczyzn gotowych czołgać się u twych stóp i zlizywać do czysta ziemię, po której stąpasz”.

- Po prostu kocham Sterlinga.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie przytknąć dłoni do piersi i nie docisnąć mostka co najmniej trzema palcami, żeby się przekonać, czy lekkie ściskanie w mojej piersi bierze się od serca, czy też raczej z serca. Bałem się jednak, że ją wystraszę tym ewidentnym dowodem nadmiernej troski o siebie. Zamiast tego sięgnąłem do kieszeni płaszcza i zacisnąłem w garści fiolkę z nitrogliceryną, jakbym ścisnął na szczęście miękką króliczą łapkę, z którą nie rozstawałem się w dzieciństwie.

- I pani to wystarczy? - zapytałem.

- Przecież zrobił to dla mnie - wyjaśniła. Teraz już w czasie przeszłym.

Skorzystałem z okazji, żeby na krótko odwrócić głowę, wykorzystując ten czas na wytłumaczenie w myślach kilku rzeczy. Przede wszystkim nakazałem sobie, aby patrzeć jej prosto w oczy i nie czuć się skępowanym oszalełymi urodą, licząc na to, że moja silna wola nie stopnieje w zetknięciu z jej urokiem.

Kiedy podniosłem na nią spojrzenie, od razu pojąłem, że się myliłem.

- Mogę się przyznać, co mnie jeszcze zastanawia? Z niezwykłą prostotą zapędziła mnie w kozi róg:

- Proszę bardzo.

- Otóż długo rozmyślałem o tym, czy mąż pani groził. Albo może nie dawała pani spokoju perspektywa wyraźnego pogorszenia warunków życiowych w razie wydania męża w ręce policji. Z tego właśnie powodu zwlekała pani z powiadomieniem nas?

Moja matka kolekcjonuje aniołki Lladro. Uśmiech, którym teraz zaszczyciła mnie Gibbs, przypomni mi właśnie buźkę jednego z tych aniołków, tyle że był jeszcze piękniejszy.



- Jest pan w błędzie, detektywie. Już omawiałam to szczegółowo z tą śledczą z Kalifornii, panną Reynoso.

Machnąłem lekceważąco ręką.

- Niewiele mamy ze sobą wspólnego. Tam Kalifornia, tu Kolorado. Jak w znanym powiedzeniu o lewicy i prawicy. Nie chcę się narzucać i zmuszać pani do powtarzania złożonych już zeznań, ale w tym zawodzie naprawdę trzeba usłyszeć pewne rzeczy na własne uszy. - Jeszcze raz na krótko odwróciłem głowę, ale zaraz znów na nią spojrzałem. Gibbs Storey wciąż była olśniewająco piękna, pod tym względem nic się nie zmieniło. - Zrozumiem każdą pani pobudkę, zwłaszcza wynikającą z obawy. Jeśli właśnie z tego powodu zwlekała pani tak długo...

- Ale nie może pan zrozumieć, że ja go naprawdę kocham? Że tylko ta miłość utrudnia mi podjęcie jakiegokolwiek decyzji i komplikuje... każde rozwiązanie?

Tak właśnie objawia się prawdziwa miłość? Czy Sherry powiedziała by coś podobnego? Nie miałem pojęcia, a z przyjemnością bym ją o to zapytał.

Ale nawet gdybym miał okazję, pewnie i tak bym się nie zdobył na odwagę.

- Przyznaję, że ze zrozumieniem tego mam drobne kłopoty.

Gibbs wstała i podeszła do fotela, pochyliła się nade mną, opierając dłonie na kolanach, aż jej twarz o nieskazitelnie gładkiej cerze znalazła się zaledwie parę centymetrów od moich oczu.

- Napije się pan czegoś, detektywie? Może kawy? Zrobienie jej zajmie najwyżej minutę.

Zaparzyła mi kawę bezkofeinową w małym szklanym dzbanuszkę z umieszczonym w środku filtrem dociskanym sprężynowym tłoczkiem. Wyglądało to trochę jak pomoc naukowa ze szkolnej pracowni chemicznej, lecz doskonale spełniało swoje zadanie. Przyszło mi do głowy, że Alan chyba też ma już taki dzbanuszek. Pewnie większość ludzi w Boulder zdążyła się zaopatrzyć w coś takiego, tylko ja z Sherry zostaliśmy na szarym końcu. Było ze wszech miar prawdopodobne, że wszyscy przestawią się już na nowy typ dzbanków do zaparzania, zanim my zdobędziemy taki z filtrem pod sprężynowym tłoczkiem.

Najpewniej znajdziemy go u handlarzy starzyzną na pchlim targu.

Do kawy podała delikatne porcelanowe filiżanki z podstawkami oraz talerzyk herbatników.

Często gdy odwiedzam służbowo różnych ludzi, żeby z nimi porozmawiać, proponują mi kawę, coca-colę czy nawet piwo, choć doskonale wiem, że

nie jest to wyraz uprzejmości, a tylko silenie się na uprzejmość. Szukają każdego sposobu, żeby umniejszyć moją przewagę wynikającą z policyjnego munduru, a najchętniej wyrzuciliby mnie za drzwi. Niczego takiego nie doświadczałem w rozmowie z Gibbs.

Zaproponowała mi kawę i herbatniki ze szczerego serca.

- Co się tyczy zniknięcia pani męża... Czuje się pani na siłach mówić o tym? Nie wątpię, że to dla pani bolesny temat. Ale bardzo chciałbym usłyszeć pani opinię o tym, co się stało.

Jej oczy znów zaszyły łzami. Z rozpacz? Jeśli nie, to z czegoś bardzo zbliżonego do rozpacz.

- Wczoraj wieczorem, gdy kładłam się już spać, odebrałam telefon. Koło jedenastej. Dzwonił ktoś z Georgii, z policji, jak sądzę. Może ze straży pożarnej. Nie pamiętam dokładnie. Pewnie wie pan, że nadal go szukają. Cały czas nie tracę nadziei.

- Tak, wiem. Właśnie dlatego powiedziałem o jego zniknięciu. Nie wątpię, że odpowiednie służby robią wszystko, by odnaleźć pani męża.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Czy to było w jego stylu? Czy pani mąż tak właśnie się zachowywał? W każdej chwili był gotów wyskoczyć z samochodu, żeby pomóc innym? W końcu taki czyn wymagał nie lada odwagi, podczas gdy większość z nas myśli głównie o sobie. To był prawdziwy akt bohaterstwa.

- Do czego pan zmierza?

- Może wynika to z mojej pracy, a może jest efektem wrodzonego cynizmu, bo nie jestem wolny od tej wady, ale lata doświadczeń wyrobiły moje przekonanie, że niektórzy z nas rodzą

się z większą dawką genów Dobrych Samarytan, a inni z mniejszą. Ciekaw jestem, czy Sterlinga można zaliczyć do tej pierwszej grupy.

Zamyśliła się na chwilę.

- Nie, to nie było w jego stylu. Aż trudno mi sobie wyobrazić, że naprawdę zatrzymał wóz, żeby komuś pomóc. Zwykle dba przede wszystkim o własny interes. Pod tym względem daleko mu do ideału. Ale przecież miłość nie wymaga perfekcji, prawda? - Utkwiła wzrok w stojącym przede mną talerzyku. - Nie lubi pan herbatników? To może podać jakieś owoce. Jeśli się nie mylę, mam winogrona.

Wciąż zastanawiałem się nad jej pytaniem. Oczywiście nie tym dotyczącym herbatników i owoców, ale wcześniejszym, o perfekcji i miłości. Sherry nie odeszła ode mnie dlatego, że nie byłem perfekcyjny. Na pewno nie to było powodem. Pod tym względem miała więc rację. Już tego dnia, kiedy przysięgałem przed ołtarzem, wiedziałem dobrze, że daleko mi do ideału. Każdego dnia kładłem się do łóżka z tą świadomością. Po prostu to wiedziałem i tyle, mniej więcej na tej samej zasadzie, na jakiej wiedziałem, że pod stopami Boga gwiazdy spadają jak płatki śniegu. Takie rzeczy się wie.

I ona też to wiedziała. Sherry zostawiła mnie z zupełnie innego powodu, dla niej ważniejszego.

A może nie?

- Nie, dziękuję bardzo. To znaczy... dziękuję za owoce i nie, miłość nie wymaga perfekcji. Ma pani rację. Więc co się naprawdę stało wczoraj wieczorem nad rzeką Ochlockonee? - Jakimś magicznym sposobem cudaczna nazwa nie sprawiała mi najmniejszych trudności. - Zatrzymał jednak samochód, żeby przyjąć komuś z pomocą. Mieliśmy zatem do czynienia z wyjątkiem, z anomalią jego zachowań?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Próbowалам pocieszać się myślą, że był to z jego strony akt... no, wie pan... skruchy? Pokuty?

- Dlatego, że się dowiedział o wszczętym przeciwko niemu dochodzeniu? Sądzi pani, że chciał w ten sposób wynagrodzić krzywdę, jaką kiedyś zrobił?

- Owszem, tak właśnie podejrzewałam. Informowałam go na bieżąco o wszystkim, co się tutaj dzieje, przynajmniej w kwestii prawnej. Sterling doskonale wiedział, w jak poważnych znalazł się kłopotach.

Spuściłem wzrok i postarałem się o to, by przybrać jeszcze łagodniejszy wyraz twarzy, nim znów na nią spojrziałem.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, w chwili... owej tragedii, był w drodze do przyjaciela, prawda?

- Tak, chciał odwiedzić dawnego znajomego z college'u, niejakiego Briana Milesa, który mieszka niedaleko Albany w Georgii. Jest technikiem, podobno prawdziwym elektronicznym geniuszem. Nie znam go za dobrze. W szkole średniej on i Sterling razem uganiali się za dziewczętami, taka to była ich przyjaźń. Przez cały czas pozostawali w kontakcie, chociaż rzadko się widywaliśmy. Zawsze uważałam, że Brian jest... gejem, choć Sterling twierdził co innego.

Bliższy związek? A niech mnie. Tego nie brałem pod uwagę.

- Więc ta wizyta... Czy pani mąż miał w zwyczaju odwiedzać starych znajomych w czasie swych podróży służbowych?

- Nie. W każdym razie nie kolegów, ich raczej unikał. Sterling lubi prawie wyłącznie towarzystwo kobiet. Zdecydowanie woli się obracać wśród kobiet. Zawsze tak było. I tak już zostanie.

Zdobyła się na to, by oznajmić o tym jak o rzeczy oczywistej, na przykład o tym, że woli Hiltona od Hyatta albo pepsi od coli. Nie miałem jednak złudzeń, musiało się za tym kryć coś więcej. Trzeba zwracać uwagę na niespodziewane zachowania ludzi w niespodziewanych momentach.

- Czy nie było to przyczyną żadnych zatargów małżeńskich? Mam na myśli tę skłonność Sterlinga do przebywania w towarzystwie kobiet.

Spojrzała mi prosto w twarz. Odznaczała się naprawdę bogatym repertuarem podobnych spojrzeń. To jednak zdawało się mówić: „Nie pański interes”.

- W każdym małżeństwie są jakieś sprawy sporne, detektywie. My też mieliśmy swoje. - Przeniosła wzrok na moją pulchną prawą dłoń, jakby dopiero teraz spostrzegła złotą obrączkę wrzynającą się głęboko w palec serdeczny. - Jest pan żonaty, prawda?

Zaprzagnąłem nagle wyznać jej wszystko, opowiedzieć o odejściu Sherry, o Simonie i o tym, że miałem spędzić święta

w samotności. Nie przywykłem jednak do zwierzeń wobec nieznanym. Zwłaszcza zamieszanych w sprawę morderstwa, jak Gibbs Storey. Nie powiedziałem więc ani słowa o własnych kłopotach, choć byłem tego bardzo bliski.

Chyba głównie dlatego, że miałem przed sobą aż tak piękną kobietę.

To było jak brutalne zderzenie z rzeczywistością.

Szybko przesunąłem prawą rękę, żeby nie musiała się wpatrywać w złotą obrączkę na moim palcu, ale równocześnie zapomniałem, o co jeszcze chciałem zapytać. W gruncie rzeczy pragnąłem wiedzieć tylko jedno: dlaczego jakkolwiek mężczyzna chciałby się spotykać z innymi kobietami, mając za żonę taką piękność, jaka siedziała teraz naprzeciwko mnie.

Otworzyłem już usta, żeby o to zapytać, lecz znowu stchórzyłem. To pytanie nawet tylko powtarzane w myślach wydawało mi się niewłaściwe.

Dlatego też zadałem dużo bezpieczniejsze pytanie:

- Mam więc rozumieć, że cała ta podróż wynajętym samochodem z Tallahassee była czymś niezwykłym? Że niezwykły był sam pomysł odwiedzin starego przyjaciela, nie mówiąc już o zatrzymaniu auta w czasie burzy, by podążyć z pomocą nieznanym kobiecie? Czy wiedziała pani wcześniej, że w drodze powrotnej Sterling zechce odwiedzić pana Milesa?

- Tak, oczywiście. Zadzwoił do mnie jeszcze w czasie trwania meczu w Tallahassee.

Wiedział już o rewizji przeprowadzonej w naszym domu i o tym, że czeka go tu spotkanie ze śledczą z Laguna Beach. Wiedział, o co może zostać oskarżony.

I miałam wrażenie, że naprawdę chciał się przed kimś wygadać, przedyskutować sytuację, w jakiej się znalazł. Sterling nie ma zbyt wielu kolegów, Brian należy do wąskiego grona jego zaufanych przyjaciół. Chociaż i jemu ufa w ograniczonym zakresie.

- Chodzi pani o pana Milesa?

- Tak.

- Tego, z którym w szkole średniej uganiał się za spódniczkami?

- Zgadza się.

- Czy Sterling nie był zły z powodu roli, jaką odegrała pani w ujawnieniu policji dowodów świadczących przeciwko niemu?

Niemal natychmiast odzyskała równowagę i dostosowała się do mojego toku myślenia z taką łatwością, z jaką musiała znosić nieporadność kiepskich tancerzy.

- I tak, i nie. Byłam rozdarta, musiałam wybierać między poczuciem sprawiedliwości a miłością do niego, czyli dokonać niemożliwego wyboru. On doskonale rozumie, w jak trudnej znalazłam się sytuacji.

- Ale sama się pani w niej postawiła. - W tym jednym twierdzeniu kryły się co najmniej dwa albo i trzy zarzuty pod jej adresem, lecz zależało mi, by wyłowiła przynajmniej ten jeden.

Chyba ponownie znalazła się na dole huśtawki uczuć, bo znów zaczęła szlochać.

Mój proces decyzyjny włączył się natychmiast, wręcz instynktownie. Nawet przez chwilę nie planowałem tego, co padło z moich ust. Można by rzec, że mi się wyrwało:

- Zostałem zmuszony do wzięcia urlopu, w celu uporządkowania spraw osobistych.

Chciałbym go wykorzystać na to, by pomóc pani odnaleźć męża, poznać całą prawdę o tym,

co się stało wczoraj wieczorem. W każdym razie chcę się... wybrać do Georgii i zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby... - Zabrakło mi nagle pomysłu na dokończenie tego zdania. Ale Gibbs świetnie mnie rozumiała, gdyż wtrąciła:

- Odnaleźć go?

- Owszem.

Znów rozpłynąłem się w jej spojrzeniu.

- Będę bardzo wdzięczna. Zajmie się pan tym? Spróbuje go pan odnaleźć?

Tym razem jednak nie miałem pojęcia, jak zinterpretować jej kolejne spojrzenie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Gibbs Storey wrzuciła trzeci bieg i pewnie zdążyła do mety.

Chwilę później zdałem sobie sprawę, że obejmuję ją, a ona

tuli się do mojej indywidualnej odmiany wzdęcia. Ciekawi was, co wtedy poczułem? Gdy utonęła w moich objęciach, tuląc swoją niezwykle urodę do mojego wałka tłuszczu?

Pociechę. Ulgę.

Poświęcenie i oddanie.

Poczułem się jak cholerny Shrek po odnalezieniu śpiącej królowej.

Jakbym już był w niebie.

I to mnie właśnie zaniepokoiło. Możecie być pewni.

Zresztą, żadnym sposobem nie wyjaśniało to, dlaczego Sterling musiał szukać ukojenia w łóżku innej kobiety. Ani tego, czemu z własnej i nieprzymuszonej woli postanowiłem wszcząć prywatne śledztwo w jego sprawie.

Tyle że żadne z tych pytań nie zostało sformułowane otwarcie.

Alan

Śnieżyca ucichła, a równiny Kolorado znów zatopiły się w jaskrawym słońcu, co było typowe dla tych rejonów po każdej burzy nadciągającej zza pasma Front Range. Niemniej temperatury przekraczające dwadzieścia stopni, jak w sobotę, odeszły w niepamięć, można już było liczyć najwyżej na takie roz pogodzenia z temperaturą kilku stopni powyżej zera.

Mimo to w ciągu jednej doby nastąpiła jak gdyby zupełnie inna pora roku.

Lauren przespała niemal całą niedzielę, co nie wróżyło dobrze. Razem z Grace zajęliśmy się domowymi obowiązkami, jakby to była dziecięca gra o regułach niezbyt jasnych dla żadnej ze stron. Ze śniegu o konsystencji rzadkiego budyniu ulepiłem bałwana, przy czym przez cały czas udawałem, że do drzwi naszego domu zakrada się zły wilk, który spróbuje zniszczyć naszą beztroską sielankę. A kiedy w końcu koło południa udało mi się uśpić małą w jej kołysce, sprawdziłem wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce w swoim gabinecie. Spodziewałem się, że zadzwoni Gibbs, szukając pociechy po zaginięciu męża w Georgii. Ale odebrałem tylko jedną wiadomość, wcale nie od Gibbs, tylko od Jima Zebida.

- Cześć, Alan. Mówi Jim. Zakładam, że widziałeś dzisiejsze poranne wydanie „Camery”.

Muszę przyznać, że jestem trochę zaniepokojony z tego powodu, że... no, wiesz, mój chłopak... na pewno pamiętasz, o kim ci opowiadałem... zarzeka się, co prawda, że nikomu nie mówił, wiesz, o swoich skłonnościach do mężczyzn, a mimo to został opisany w gazecie. Zresztą ja również nikomu o tym nie mówiłem. A teraz gliniarze najwyraźniej o nas wiedzą, skoro trafiło to do prasy. Zatem jest się czym martwić, co nie? Dlatego zastanawiam się, czy ty, powiedzmy, byłeś trochę niedyskretny po naszej ostatniej sesji z ubiegłego tygodnia.

Mimo wszystko w jego głosie nie było nawet cienia agresji, nie mówiąc już o nienawiści.

- Niczego ci nie zarzucam, możesz mi wierzyć, ale mój chłopak znalazł się teraz w sytuacji szczególnie niebezpiecznej. Chodzi o to, że jeśli jej mąż zacznie sypać, wiesz o czym, sytuacja mojego chłopaka stanie się naprawdę kiepska. W każdym razie, jeśli zastanawiałeś się nad tym choć trochę, chętnie zapoznam się z wynikami twoich przemyśleń. Wiesz, że zawsze noszę przy sobie komórkę. I chyba masz mój numer.

Niczego mi nie zarzucał? A jak inaczej można było określić całą tę wiadomość?

Wybrałem numer jego telefonu komórkowego. Odebrał po trzecim sygnale.

- Słucham.

- Jim? Tu Alan Gregory.

- Zaczekaj chwilę, Alan. Muszę pójść gdzieś, gdzie będę mógł swobodnie rozmawiać. Trochę to potrwa, bo jestem w centrum. -Doleciał mnie stłumiony żalony dźwięk saksofonu. Zatem wiedziałem już, w której części pasażu jest Jim: blisko skrzyżowania ulicy Pearl z Trzynastą. Nawet gwałtowne ochłodzenie nie było w stanie wpłynąć na życie w śródmiejskim pasażu, zwłaszcza teraz, gdy liczba dni dzielących nas od Bożego Narodzenia błyskawicznie malała niczym stosik herbatników na skautowskiej aukcji dobroczynnej w remizie strażackiej.

- W porządku, teraz lepiej. Dzięki, że zaczekałeś. Więc co myślisz o tym, o czym ci wcześniej mówiłem?

- Co myślę? - W rzeczywistości nie byłem jeszcze gotów na rozmowę z nim, wołałem więc, żeby to on zaczął.

- O tym artykule - podsunął.

- Tak?

- No więc... czy nie byłeś trochę... niedyskretny?

- Nie, Jim. Ani trochę. Powiem szczerze, że nawet nie pamiętałem o naszej rozmowie, dopóki nie przeczytałem tego artykułu dziś rano. Może nie świadczy to o mnie najlepiej, ale po twoim wyjściu z gabinetu natychmiast zapomniałem o tym, co spotkało twojego klienta.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Pragnąłem, żeby zabrzmiało to naturalnie, ale jak zwykle przedobrzyłem i wyszło po prostu bezdusznie.

Jim nie odzywał się przez jakiś czas. Po zmianach zachodzących w tle domyśliłem się, że minął róg, przy którym stary Murzyn w każdy weekend grał na saksofonie, i skręcił w Trzynastą.

- W każdym razie mój chłopak nie miał żadnego powodu, żeby puścić parę z ust - odezwał się w końcu. - Zapewnił mnie zresztą, że z nikim nie rozmawiał o tym, co się stało.

- Policja zawsze znajdzie jakieś źródło informacji, Jim. Zapewniam cię, że ode mnie również nikt się nie dowiedział o tej sprawie. Ani bezpośrednio, ani pośrednio.

- To może ktoś się dobrał do twoich notatek?

- Takich rzeczy nigdy nie zapisuję. W żadnym wypadku. -Mogłem sobie darować wszelkie próby zachowania obojętnego tonu. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć mu, że w ogóle nie robiłem żadnych notatek w czasie naszej sesji. Uznałem jednak, że w ten sposób niczego bym nie zyskał. - Coś mi się zdaje, Jim, że jeszcze ktoś inny jest w to wtajemniczony.

- Bardzo mi zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, bo później będę się jeszcze raz widział z moim chłopakiem.

- Mam wrażenie, że jest coś, o czym koniecznie będziemy musieli porozmawiać podczas wtorkowej sesji.

- Nie mogę czekać do wtorku. Przyjmie mnie pan w poniedziałek?

- Mam wolny termin o jedenastej piętnaście. Odpowiada ci?

- Jak najbardziej.

- Jim, podejrzewam, że ma to więcej wspólnego z łączącymi nas relacjami, a więc zakresem spraw poruszanych na sesji i szczególnie istotną kwestią naszego wzajemnego zaufania, niż z tym, co mi powiedziałeś w czasie ostatniego spotkania.

- Pan chyba żartuje.

- Ani trochę.

- Jezu...

Przerwał połączenie. A może stracił zasięg? W każdym razie głośny szum, jaki wypełnił moje lewe ucho stał się dowodem, że rozmowa została zakończona.

W sypialni panował półmrok, słońce chylące się ku zachodowi ledwie przesączało się przez zamknięte żaluzje. W pokoju panowała duszna i nieprzyjemna atmosfera sali szpitalnej.

Lauren nawet nie podniosła głowy z poduszki, kiedy wszedłem. Odezwała się jednak:

- Witaj, kochanie. Co z Grace?

- Wszystko w porządku. Zasnęła. Bardzo ładnie zjadła lunch.

Przez chwilę wsłuchiwałem się w szmer jej oddechu, spoglądając na miarowe unoszenie się i opadanie kołdry na wysokości piersi.

- Czy mógłbyś zadzwonić do mojego neurologa? - zapytała. - Trzeba ustalić szczegóły kuracji sterydowej. Jestem gotowa do niej przystąpić.

- Na pewno?

- Tak.

- Tu czy w szpitalu?

- Tutaj.

- Pewnie będzie chciał cię zbadać. Nie masz nic przeciwko temu?

- Skądże. I zadzwoń też do mojej pracy. Powiedz, że nie będzie mnie przez... Boże, sama nie wiem... przez kilka dni.

- Jasne. Mam rozmawiać z Elliotem? - Wiedziałem, że to jej najbardziej zaufany przyjaciel w prokuraturze.

- Tak, najlepiej z nim.

Położyłem dłoń na jej ręce wyciągniętej pod kołdrą wzdłuż ciała.

- Kocham cię. Wiesz o tym?

- Pewnie. Ja też cię kocham. I jest mi strasznie przykro. Usiadłem na brzegu łóżka i przytknąłem dłoń do jej policzka.

- Nie ma powodu, żeby było ci przykro.

- Ale jest.

Pielęgniarka domowa przysłana przez neurologa zjawiała się w porze obiadowej. Była to młoda kobieta o imieniu Petra. Próbowałem wciągnąć ją w rozmowę, kiedy szykowała sprzęt, ale nic z tego nie wyszło. Moje zawodowe czujniki podpowiedziały mi, że cierpi na chroniczną depresję. Domyśliłem się ponadto -w czym pomógł mi ledwie zauważalny bolesny grymas, jaki przemknął po jej twarzy, gdy się dowiedziała, kim jestem - że dotychczasowe kontakty z psychoterapeutami przysporzyły jej tylko cierpienie, gdyż dołączyła do grupy nieszczęśliwych ofiar rozlicznych środków antydepresyjnych, co najmniej kilku tricyklidów, paru inhibitorów wychwyty zwrotnego serotoniny, może nawet jakichś inhibitorów oksydazy monoaminowej.

Dobrą wiadomością było to, że wszelkie braki w towarzyskości Petra nadrabiała zawodową wydajnością. Płyn z kroplówki popłynął do żyły Lauren najwyżej dziesięć minut po tym, jak pielęgniarka zapukała do drzwi. Chwilę później napełniła grubą strzykawkę pierwszym gramem solumedrolu i wbiwszy igłę w zaworek kroplówki, zaczęła wtłaczać lek sterydowy do zbiorniczka.

Ile to jest gram sterydów? Jeśli zdrowy człowiek w sile wieku nabawi się urazu barku albo stawu biodrowego i lekarz uzna, że niezbędne jest zastosowanie tego środka przeciwzapalnego, przepisze go zapewne w tabletkach, a podczas pięciodniowej kuracji początkowa dawka sięgająca najwyżej trzydziestu miligramów zostanie stopniowo zredukowana do zera.

Lauren już pierwszego dnia musiała przyjąć dawkę trzydziestokrotnie większą od tamtej, w dodatku zaaplikowaną jej w krótkim czasie bezpośrednio do krwiobiegu. Ta sama procedura z równie końskimi dawkami sterydu miała być powtarzana przez trzy najbliższe dni.

Kiedy obserwowałem, jak opaska uciskowa ciśnieniomierza szybko nadyma się wokół jej przedramienia, Lauren zdobyła się na słaby uśmiech. Wiedziałem, że zrobiła to specjalnie dla mnie. Ostatnie krople środka sterydowego spływały właśnie ze strzykawki do zbiorniczka kroplówki. Powiedziała cicho:

- Pamiętasz chyba, że pierwsza doba nie jest jeszcze taka zła.

Musnąłem palcami jej włosy. A następna? - przemknęło mi przez myśl. W końcu po pierwszej dobie musiał nastać dzień drugi, kiedy to następny gram sterydu wniknie do jej organizmu śladem pierwszego, a potem pójdzie kolejny i kolejny...

A gdy to wszystko się skończy, będziemy mogli wreszcie skoczyć z tego mostu, o ile do niego dojdziemy, prawda?

Krótko po wyjściu Petry, która zabezpieczyła gumowym kapturkiem końcówkę igły od kroplówki tkwiącą w przedramieniu

Lauren, uzmysłowiłem sobie, że Gibbs nie zadzwoniła do mnie w sprawie zniknięcia Sterlinga i jego prawdopodobnej śmierci w wypadku w Georgii.

Nie mam zwyczaju tracić choćby jednej kalorii na troskę o pacjentów, którzy nie wydzwanają do mnie po godzinach pracy. A jako terapeuta bez przerwy daję im do zrozumienia, że powinni radzić sobie ze swoimi życiowymi kłopotami bez mojego ciągłego udziału. No i z pewnością nie powinni do mnie dzwonić po godzinach pracy.

Zdarzają się jednak nagle i nieprzewidziane wypadki. Do takich bez wątpienia należy zaginiony mąż, który prawdopodobnie utonął w wezbranych wodach rzeki.

Kiedy szykowałem obiad dla Grace, nie mogłem się uwolnić od myśli, że Gibbs powinna jednak do mnie zadzwonić. Ostatni raz widzieliśmy się w piątek pod jej domem, kiedy trwało policyjne przeszukanie, od tamtej pory zapewne miała już za sobą nieprzyjemną rozmowę z Carmen Reynoso. W dodatku jej mąż zniknął teraz bez śladu i zachodziła obawa, że utonął w nurcie jakiejś mało znanej rzeki w Georgii. Mogło ją to przyprawić o skrajny stres.

Dlatego zastanawiałem się bez przerwy, czemu dotąd nie zadzwoniła.

Zastanawiałem się nawet, czy nie zadzwonić do niej pod pozorem kontroli jej nastroju.

Całkiem poważnie brałem to pod rozwagę. Ale sam fakt, że o tym myślałem, był do tego stopnia niezwykły, iż od razu przyszyły mi na myśl uwagi Diane dotyczące tego, że traktuję Gibbs inaczej niż pozostałych pacjentów, a te z kolei wywołały denerwujące skojarzenia z Teri Reginelli oraz *hachas en cabezas*.

Byłem umówiony na spotkanie z Gibbs w poniedziałek z samego rana. Jeśli ona mogła zaczekać aż do wyznaczonej sesji, tym bardziej mogłem zaczekać i ja.

33

Według moich przypuszczeń Lauren wyskoczyła z łóżka zaledwie po paru godzinach niespokojnego snu koło trzeciej w nocy. Głównym krótkotrwałym efektem ubocznym intensywnej kuracji sterydowej jest niezwykle ożywienie i ona była niezwykle ożywiona.

Nawet nie tyle pobudzona, co właśnie ożywiona. Zszedłem za nią do salonu, ale nie spojrzałem na zegar. Tymczasem ona włączyła telewizor, rozsiadła się na kanapie i z pilotem w dłoni kazała mi wracać do łóżka. Zasnąłem jeszcze? Sam nie wiem. Pewien jestem tylko tego, że za kwadrans szósta zadzwonił budzik.

Grace zaczęła kwilić dwie minuty później. Była jak godna zaufania rezerwa budzika.

Viv, nasza niania, zjawiała się o szóstej trzydzieści pięć. Wprowadziłem ją pokrótce w sytuację, zanim ucałowałem Lauren oraz Grace i pognałem pędem do samochodu.

Parasolowata osłona na łapie Emily zastukała o posadzkę, gdy suczka ruszyła za mną biegiem do drzwi. Przeprosiłem ją w myślach, że nie mam teraz czasu, by naprawić osłonę.

Gibbs czekała już na naszą sesję o siódmej i wyglądała na dużo lepiej przygotowaną do niej ode mnie. Poranek był dość chłodny, postanowiła zatem przewietrzyć swoje jesienne ubrania.

Jeszcze przed spotkaniem mógłbym powiedzieć, że prognoza pogody aż się prosiła o czarne elastyczne dzinsy i obcisłe sweterki urozmaicone srebrną i złotą biżuterią. Wcale mnie nie zaskoczyło, że Gibbs była dokładnie tak ubrana.

Tego dnia przywoziłem kawę z domu. Ona zaś wstąpiła po drodze do lokalu Starbucks. Ilekroć pociągała drobny łyżeczek płynu, ślad jej szminki wokół wylotu plastikowej pokrywki na papierowym kubeczku stawał się coraz bardziej czerwony.

- Rety, cóż za interesujący weekend - zauważyła od progu.

No myślę. Próbowałem wyczytać z jej twarzy rządzące nią odczucia, ale jakoś niewiele mi z tego wyszło.

Niemniej, zdołałem z obszernej listy możliwości wykreślić „cierpienie”.

- Domyślam się - odparłem, choć równie dobrze mogłem zagadnąć: „czyżby?” lub „naprawdę?”. Zaraz dodałem jednak: - Wolę jednak usłyszeć o tym od pani.

- Rozmawiałam w końcu z tą śledczą z Kalifornii. Uniosła kubeczek i pociągnęła drobny łyżeczek kawy latte.

Miałem nadzieję, że z własnej woli przystąpi do relacjonowania przebiegu rozmowy z Reynoso, ale niespodziewanie odstawiała kubeczek na rozdzielający nas mały stolik i popatrzyła na mnie wyczekująco.

Jeszcze przez chwilę siedziałem bez ruchu, trzymając oburącz swój kubek tuż pod brodą. Gibbs najwyraźniej doszła do wniosku, że dzisiejsza sesja musi bardziej przypominać wizytę u dentysty niż u psychiatry, więc do mnie należy usunięcie jej bolącego zęba. Za to ja uznałem, że nie pasuje mi taka rola. W psychoterapii, w której wszystko toczy się zgodnie z planem, to pacjent narzuca tryb rozmowy.

Zatem w dobre dni, siedząc na fotelu terapeuty, mogłem po prostu odliczać mijające godziny. A coś mi podpowiadało, że to będzie mój dobry dzień.

Bardzo go potrzebowałem.

Po dwóch, może nawet trzech minutach Gibbs zatrzepotała rzęsami.

- Ach, i spotkałam się z tym pańskim przyjacielem. Jak on się nazywa? Detektyw Purdy? Złożył mi wczoraj wizytę. Był bardzo miły. Nie sądzi pan, że jest po prostu przemiły jak na policjanta?

Chyba żartujesz? - przemknęło mi przez głowę. Zachowałem jednak obojętną minę i odparłem:

- Wolę dowiedzieć się o tym od pani.

Para unosząca się nad kubkiem łaskotała mnie w brodę. Nie przerywałem jej opowieści. Ale w pewnym momencie

chyba sama wyczuła, że jej słowa wprawiają mnie w zakłopotanie, choć najwyraźniej nie rozumiała, dlaczego przyprawiają mnie nieomal o katapleksję.

Jeśli można było jej wierzyć - a sam przed sobą musiałem wyznać szczerze, iż co najmniej kilkakrotnie opadły mnie poważne wątpliwości co do autentyzmu jej relacji - Sam znajdował się teraz gdzieś w połowie drogi do Georgii. Parę razy towarzyszyłem mu w dłuższych trasach, toteż natychmiast stanął mi przed oczyma widok przyjaciela zgarbionego za kierownicą dzipa cherokee, słuchającego muzyki równie żalostnej, jak jego obecne życie. Na pewno był głodny, a co za tym idzie zły. Na prawym siedzeniu auta walały się porozkładane mapy samochodowe. Nie mogłem wykluczyć, że tworzyły także stertę na podłodze. Miał w zwyczaju zaznaczać najlepszą trasę podróży czerwonym fluorescencyjnym markerem, żółtym zaś drogę alternatywną. I będąc z nim, co do jednego można było mieć pewność: że przy każdym postoju na stacji benzynowej, który nieodmiennie wykorzystywał, by rzucić okiem na mapę, zacznie narzekać, iż lepiej było wybrać inną trasę ostatniego etapu, zakończonego na tejże stacji.

Jeśli mijała więcej niż godzina od ostatniego pobytu na stacji, zaczynał się rozglądać za publiczną toaletą, nie skręcał jednak na najbliższą stację, skoro nie musiał tankować auta.



Jego zdaniem parkingi przy autostradzie były wyłącznie dla palantów, bo Sam jeździł przede wszystkim szybko, choć niekoniecznie wygodnie. Dlatego lekceważył potrzeby fizjologiczne na rzecz jak najszybszego dotarcia do celu.

Uwzględniwszy, ile godzin minęło, ocenilem, że musi być teraz gdzieś na południu Arkansas, najwyżej tuż za granicą Luizjany, jeśli dotychczasowa podróż minęła bez żadnych kłopotów. Pożałowałem nagle, że nie mogę siedzieć na prawym fotelu jego auta, ze strzelbą na kolanach. Sam w dłuższych trasach robił się sentymentalny. Monotonia jazdy autostradą czy też bezmiar nieba ponad głową albo liczba przebytych kilometrów skłaniały go do otwierania tych okien duszy, które zwykle pozostawały zabite gwoździami na głucho i ukryte za czarnymi kotarami.

W takiej sytuacji na pewno wywiązałyby się między nami dyskusja na różne tematy: Sherry, Simona, jego zawału, ćwiczeń rehabilitacyjnych, pracy gliniarza, nawrotu choroby Lauren, przeszłości.

Boże, przyszłości...

Jak również, co oczywiste, Gibbs i Sterlinga Storeyów.

Ale prawdziwym powodem, dla którego aż tak się rozmarzyłem, żeby siedzieć teraz obok niego w dziupie, była chęć przeistoczenia się w muchę na ścianie, odegrania roli biernego obserwatora nieuchronnego starcia krnąbrnego nieugiętego strażnika prawa ze swojskim ziomkiem ze starego dobrego Południa. Strasznie chciałem zobaczyć, jak północna Minnesota w osobie Sama ściera się z południową Georgią uosabianą przez bliżej niesprecyzowaną liczbę Bogu ducha winnych ochotników. Zapłaciłbym każdą cenę, żeby zyskać szansę ujrzania na własne oczy, jak Sam Purdy będzie robił rekonesans wśród Dixie.

Aż zamrugalem szybko, przywołując się do rzeczywistości. Gibbs mówiła dalej, wyraźnie nieświadoma dłuższych wakacji, z których dopiero co wróciła moja uwaga.

- Obiecał, że zadzwoni, jak dotrze do Albany, chociaż podejrzewam, że znajdzie się tam dopiero późnym wieczorem. To przecież co najmniej trzydzieści godzin jazdy samochodem.

- Późnym wieczorem - powtórzyłem w zamyśleniu, tylko po to, żeby jeszcze bardziej się otrzeźwić. Nie chciałem jej wyjaśniać, że Sam ma zwyczaj podróżować bez przerwy, nie chce nawet słyszeć o odpoczynku w motelu, dopóki nie dotrze na miejsce. Nie wiedziałem, jak daleko jest do Albany, mogłem jednak śmiało zakładać, że przyjętą przez Gibbs średnią prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę należy skorygować do co najmniej stu dwudziestu.

- Myśli pan, że dojedzie szybciej? W końcu zna go pan lepiej

niż ja. Poza tym policjanci nie muszą przestrzegać ograniczeń szybkości, prawda? Kolegom z drogówki mogą pewnie tylko machnąć przed nosem swoją odznaką.

Umilkła niespodziewanie.

Wykorzystałem chwilową ciszę, by podsumować to, co oczywiste. Co Sam spodziewał się dziać w Georgii? Znałem go na tyle dobrze, by śmiało podejrzewać, że prawdziwy powód jego wyprawy nie ma nic wspólnego z tym, co powiedział Gibbs: że chce odnaleźć jej męża gdzieś nad brzegami rzeki Ochlo-ckonee.

W normalnych okolicznościach Sam nie wybrałby się nawet do Denver, żeby szukać Sterlinga Storeya.

Czym więc się kierował?

Zapadłe milczenie było jak oczko wypełnione mętną i cuchnącą wodą. Siedzieliśmy na przeciwległych jego brzegach.

- Często podejrzewał, że się stacza - powiedziała w końcu Gibbs. - Oczywiście mówię o Sterlingu. Mawiał wtedy: „Złap mnie”. Nie sądzi pan, że to ironia losu? Bo przecież... sam zniknął bez śladu, próbując chronić przed upadkiem kogoś innego. Naprawdę się stoczył ze skarpy, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go złapać.

Nagła zmiana kierunku po raz kolejny wytrąciła mnie z równowagi. Niewidzialne i tajemnicze związki, które pozwalały Gibbs dowolnie przemieszczać się między domniemaną porą przybycia Sama do Albany w Georgii a szukaniem przez jej męża pomocnej dłoni w chwilach urojonych upadków, wprawiły mnie w zakłopotanie i frustrację.

Złap mnie. Tak. Już raz wspominała kiedyś o tej ulubionej frazie Sterlinga.

Tylko przy jakiej okazji?

Chodziło o seks? Niewykluczone. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Mój mózg sygnalizował przeciążenie. Czułem się tak, jakbym miał un bacha en mi cabeza.

Chyba jednak padło to przy okazji rozmowy o seksie. Jakoś strasznie dużo jej uwag ostatecznie wiązało się z seksem. Może

Diane miała rację i po prostu nie byłem w stanie odpowiednio odebrać słów Gibbs.

- Mówi pani o rzeczywistym stoczeniu się męża ze skarpy, czy w przenośni?

- Rety, to naprawdę ciekawe pytanie - odparła. - Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zawsze sądziłam, że ten upadek, do którego nawiązuje, należy traktować dosłownie, jak ten jego pierwszy upadek z balkonu. Pamięta pan?

Czy pamiętam? Niby co miałbym pamiętać?

- Opierał się wtedy o boczną poręcz balkonu, a ja stałam przed nim... no, wie pan... byłam w koszuli, tylko nie miałam na sobie...

Urwała i zarumieniła się lekko. Automatycznie dopowiedziałem w myślach ostatnie słowo jej zdania: „...bielizny”.

Diane z pewnością natychmiast by mnie poprawiła. Zapewne doszłaby do wniosku, że przemilczane przez Gibbs słowo powinno brzmieć: „...majtek”.

- Cóż, chyba nie muszę naświetlać panu całej tamtej sytuacji, prawda? - zapytała.

Nie potrafiłem ocenić, czy to pytanie ma charakter kokieterijny, czy też uwodzicielski. Tak czy inaczej, konkluzja, do której prowadziło, pozostawała poza moim zasięgiem. To jednak nie był mój najlepszy dzień. Mogłem za to winić wczesną porę, lecz prawdziwa przyczyna leżała gdzie indziej.

Nie, oczywiście, że nie, odparłem w myślach, w żadnym razie nie musisz mi nakreślać całej tamtej sytuacji. Już ją poznałem: przyjęcie sylwestrowe przy Wilshire Boulevard; balkon mieszkania przyjaciela; po raz pierwszy kochałaś się wtedy ze Sterlingiem; to dlatego nie miałaś na sobie...

- Wtedy po raz pierwszy usłyszała pani od Sterlinga: „Złap mnie” - powiedziałem, lecz zabrzmiało to fałszywie, nawet dla mnie. Powiedziałem to tylko dlatego, by jej udowodnić, że pamiętam, co mi mówiła podczas wcześniejszych sesji.

- Zgadza się - mruknęła, ale wyraźnie myślała o czymś innym, może o mojej nieszczerości.

- A ostatni raz powiedział to w ubiegłym tygodniu - dodałem z naciskiem.

Pokiwała głową.

- Tak. Gdy byliśmy...

Znowu urwała, jakby w poszukiwaniu odpowiedniego słowa. Tę specyficzną aktywność określano bowiem na wiele sposobów.

I nagle sobie przypomniałem. Mówiła mi też, że tamtego wieczoru mogła obserwować inną parę w sypialni, która... zajęta była tą samą aktywnością.

- Ale była tam również inna para - przypomniałem jej. - Tamtego wieczoru w Los Angeles, w sąsiedniej sypialni.

- Owszem. Była.

Najwyraźniej zaskoczyło ją, że o tym wiem. Czyżby zapomniała, że sama mi o tym mówiła?

- Sterling bardzo się bał, że straci panowanie nad sobą, straci równowagę. Że tak czy inaczej się stoczy. Wtedy byliśmy co najmniej na dziesiątym piętrze. Pewnie dlatego powiedział: „Złap mnie”. Jak gdyby rozumiał to dosłownie.

W wyobraźni przerabiałem geometrię, anatomię i fizykę równocześnie, próbując określić możliwe erotyczne akrobacje. Nie potrafiłem jednak zrozumieć, jakim cudem Sterling mógłby się aż tak daleko wychylić za poręcz - w końcu nie był aż tak wysoki, a Gibbs w porównaniu z nim odznaczała się wagą motylka - chociaż w tym zakresie odczuwałem wyraźny brak własnych doświadczeń. Diane z pewnością natychmiast by to wyjaśniła: „Musiała zachowywać się jak dzieciak siedzący w klasie w ostatniej ławce, który energicznie podnosi rękę i zaczyna wołać: Ja wiem! Ja wiem!”.

- Poważnie? - zapytałem. - To możliwe, żeby faktycznie bał się wypaść za balkon? A może chodziło raczej o coś zupełnie innego?

- Tamtego dnia chyba tak. Później chodziło mu raczej o coś innego. Bał się upadku tylko w przenośni. Mawiał: „Złap mnie”, kiedy był przygnębiony. Zagubiony. Kiedy szukał u mnie wsparcia. Jak sądzę, chciał, żebym go ratowała.

- Czy to zawsze miało podtekst seksualny? - zapytałem. I natychmiast uświadomiłem sobie, że to złe pytanie. Wskoczyłem z nim, kiedy powinienem był milczeć jak posąg Buddy.

- Co czy miało? - odpowiedziała pytaniem. Próbowałem się błyskawicznie pozbierać.

- Chodzi mi o lęk Sterlinga przed upadkiem. Czy mówił „złap mnie” tylko w sytuacjach wiążących się z seksem?

Podniosła firmowy kubeczek Starbucks, zdjęła plastikowe wieczko i dopiła ostatnie krople kawy. Beżowa pianka, która osiadła na jej górnej wardze, przypominała szron na granicy fal i czerwonego brzegu. Zlizala ją czubkiem języka, powoli i systematycznie, najpierw spod nosa, potem z jednej i drugiej strony.

To też miało być uwodzicielskie? Trudno powiedzieć. Z przyjemnością obejrzałbym powtórkę. Czasami koniecznie trzeba zobaczyć coś po raz drugi i trzeci.

- Zatem wróciliśmy do punktu wyjścia? - odezwała się.

- Jakiego punktu wyjścia?

- Powiedziała panu kiedyś, że musimy porozmawiać o seksie, prawda?

To pamiętałem.

- Tak, zgadza się.

- No więc - zaczęła niepewnie - jeśli mam być szczerą, bardzo mi się to spodobało.

- Nie rozumiem.

- Spodobało mi się. Podnieciło mnie.

Nasza rozmowa o seksie podziałała na nią podniecająco? Możliwe, że było zdecydowanie za wcześnie na poruszanie tego tematu.

- I tak samo działało na mnie od czasu tamtego pierwszego razu na balkonie - dodała.

Byłem jej wdzięczny za to wyjaśnienie. Niemniej wyczułem w jej głosie lekki sprzeciw, może nawet prowokację. Czy różnica między nimi mogła mieć różny wydźwięk?

- Dobrze rozumiem, że gdy Sterling mówił „złap mnie”, kiedy uprawialiście seks, jeszcze bardziej to panią podniecało?

Pokręciła głową. Cholera.

- Nie, skądże, na Boga. Podnieciło mnie, gdy patrzyłam owego wieczoru na tamtą drugą parę w sypialni. Nawet bardzo mnie to podnieciło. Chyba opowiadałam już panu o nocy, jaką spędziłam na pokładzie jachtu w Saint Tropez? Kiedy się poznaliśmy?

- Tak. - Doskonale wiedziała, że już o tym rozmawialiśmy.

- Wtedy po raz pierwszy widziałam na własne oczy, jak... robią to inni. - Zaśmiała się. - Prawdę mówiąc, wtedy robili to wszyscy. Aż trudno mi opisać, co wtedy naprawdę czułam. Byłam tak zaskoczona... A potem wydarzył się ten sylwester, gdy z balkonu widzieliśmy tamtą parę w sypialni. Ja... obserwowałam jego, a on przyglądał się mnie i...

Słowa jak gdyby uwieźły jej w gardle. Zaczęła oddychać szybciej, łapiąc powietrze szeroko rozwartymi ustami, a pierś unosiła się i opadała dużo bardziej gwałtownie.

Kawa w moim kubku całkiem wystygła. Ranny półmrok w pokoju ustąpił miejsca światłu dnia, a po podłodze zaczęły tańcować żylaste cienie nagich, bezlistnych gałęzi drzew za oknem. W powietrzu unosił się intensywny zapach perfum Gibbs.

Czy nie zaczęliśmy tej rozmowy od Sama? - przemknęło mi przez myśl. Jestem pewien, że pierwszym tematem dzisiejszej sesji była wyprawa Sama.

- Tak, proszę mówić dalej - powiedziałem. Chwilę później, tuż przed tym, jak zareagowała, moje myśli wskoczyły wreszcie na właściwy tor i ruszyły do przodu pełnym gazem, toteż dodałem: - Gibbs? Powiedziała pani, że Sterling oczekiwał od pani ratunku, kiedy mówił „Złap mnie”. Przed czym miała go pani ratować?

- Wydaje mi się, że chciał, bym mu pomogła skończyć z zabijaniem kobiet. Ach, tak. Więc o to chodzi.

34

Może brzmiało to dziwnie, lecz fakt, że Gibbs była przekonana, iż jej mąż zamordował większą liczbę kobiet, musiał pozostać naszą wspólną tajemnicą.

Od strony formalnej nie tylko nie ponosiłem żadnej odpowiedzialności za to, że nie powiadomiłem nikogo, na przykład policji, o podejrzeniach mojej pacjentki, ale wręcz nie miałem prawa tego robić. Gdyby Gibbs powiadomiła mnie, że Sterling zamierza właśnie pozbawić życia swoją kolejną ofiarę, znalazłbym się pod pełnymi żaglami na zdradliwych wodach. Bo nawet w takich okolicznościach pewnie wolałbym nie nadużywać zaufania pacjentki, nie mając na to jej zgody.

Tak to wygląda. Jedyna sytuacja, w której dysponowałbym pełną swobodą dzielenia się zdobytą wiedzą na temat wcześniejszych zabójstw, powstałaby dopiero wtedy, gdyby Sterling osobiście stawiał się w moim gabinecie i wyznał otwarcie, że zamierza popełnić kolejne morderstwo, przy czym dobrowolnie wymieniłby jeszcze personalia przyszłej ofiary.

Wziąwszy pod uwagę to, co w sobotni wieczór stało się nad rzeką Ochlockonee, prawdopodobieństwo wystąpienia takiej sytuacji było bliskie zera.

A od strony moralnej?

W zakresie zdrowia psychicznego etyka i morale są jak stare dobre małżeństwo. Mimo dzielących je różnic prawie nigdy się nie rozstają. Oczywiście czasami dochodzi między nimi do konfliktów, lecz wszelkie kontrowersje są szybko wyjaśniane, gdyż cele przyświecające obojgu są niemal identyczne. Niekiedy jednak, w dość specyficznych okolicznościach, między etyką i moralnością powstaje przepaść o rozmiarach Rowu Mariańskiego.

Teraz zaszły takie właśnie okoliczności.

Morale podpowiadało mi, że powinienem kogoś zawiadomić o całej serii zabójstw popełnionych przez Sterlinga na kobietach.

Za to etyka zakazywała mi tego zrobić.

Zajrzyjcie do słownika i znajdźcie słowo „dylemat”. Może na marginesie obok opisu będzie już rysunek przedstawiający mnie naprzeciwko Gibbs Storey, zachodzącego w głowę, jak wyjść z tej sytuacji.

35

Sam

Z parkingu dla ciężarówek na obrzeżach Montgomery zadzwoniłem ze swojej komórki do Simona. Rozmawiając z synem, szedłem powoli skrajem placu, przydeptując chwasty, które pierwszy raz widziałem na oczy, i oganiając się od natrętnych owadów, o których istnieniu nie miałem dotąd najmniejszego pojęcia. Nie powiedziałem Simonowi, że dzwonię z dalekiego Południa. Oczywiście nie zamierzałem przed nim ukrywać, że jestem w Alabamie -

przy swoim ograniczonym światopoglądzie pewnie doszedłby do wniosku, że postanowiłem zobaczyć na żywo jakiś mecz piłkarski, ewentualnie dorzucił pozornie ironiczną uwagę na temat Karmazynowego przypiływu - nie chciałem jednak, by pomyślał, że wciągam go w jakąś konspirację wobec matki. Dlatego zachowałem wiadomość o podróży w tajemnicy. Sherry w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Jej ojciec - przemiły rubaszny olbrzym, którego zawsze bardzo lubiłem - przekazał mi z wyraźnym ociąganiem, że ona nie chce ze mną mówić. Angus był zresztą bardzo dumny ze mnie po tym, jak przed laty uruchomiłem wszelkie swoje kontakty, by poza kolejnością załatwić córce szwagierki, a więc jego wnuczce, długo wyczekiwane miejsce w szpitalu, uznał, że sam Bóg zesłał mu takiego zięcia. I od tamtej pory robiłem wszystko, żeby go nie rozczarować.

- Nadal jest strasznie wściekła, Sam. Co więcej, mogę ci powiedzieć? - rzucił do słuchawki, przedstawiając lakonicznie

własną ocenę zaistniałej sytuacji. Angus nie miał zwyczaju brać w niesłuszną obronę swoich dzieci. Gdy któraś z córek postąpiła po bohatersku, otwarcie nazywał ją bohaterką. Ale gdy druga zachowała się jak suka, nie wahał się użyć wobec niej tego określenia. Wiele można się było od niego nauczyć co do roli ojca w wychowywaniu dzieci.

- Co byś powiedział na to, Angus, żebyśmy wspólnie poluzowali jej nieco postronka? Co o tym myślisz? Niech sama sobie to wszystko uporządkuje. - Mieliliśmy z Sherry pewne problemy, ale szukanie u jej ojca pomocy w ich rozwiązaniu było dla mnie nie do przyjęcia. Odchrząknął ostentacyjnie.

- A co z tobą? Dobrze się czujesz? Jak twoja pikawka?

- Pika jak zwykle. Ściśle przestrzegam zaleceń, więc stałem się pupilkiem kardiologa. A sądząc po wypowiedziach Simona, jemu też nie dzieje się krzywda.

Nie lubiłem okłamywać Angusa, ale to mi jakoś samo wyszło. Nie to, co dotyczyło Simona albo przestrzegania przeze mnie zaleceń lekarzy. Ale ta część wydrukowana drobnym druczkiem na samym dole którejś strony, mówiąca o konieczności unikania tak długich podróży samochodem, zwłaszcza do rejonu wszechobecnej smażeniny.

Tak, było to chyba nawet kategorycznie zabronione. A więc tę jedną zasadę złamałem. Może nawet nie tylko tę jedną.

- Wiem, że Simonowi nic nie jest. To wspaniały dzieciak. Może trochę nieokiełzany, ale wspaniały. Tyle że powinien już być z powrotem w szkole. Obaj doskonale o tym wiemy.

- Cierpliwości, Angus. Wszystko się jakoś ułoży.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to czysta głupota. Oboje powinni być teraz w Boulder, przy tobie. Ale mnie już nikt o nic nie pyta. Jak się ma siedemdziesiąt pięć lat, wszyscy uważają człowieka za durnia. Sam się przekonasz, jak będziesz miał moje lata.

- Wiesz, że i tak się z tobą w pełni zgadzam - odparłem. -I wcale nie uważam cię za durnia.

- Za to próbujesz mi się podlizywać. - Zachichotał. -Chciałem cię o coś zapytać, Sammy.

- Słucham.

Zaśmiał się jeszcze raz, krótko, gardłowo.

- Czy ci twoi Avalanche są w ogóle w stanie strzelić w meczu więcej niż jedną bramkę?

Udało im się to kiedyś? W końcu chyba o to chodzi w tej grze, żeby umieścić piłkę w siatce, co nie? - zarechotał na cały głos.

Ja zaś potrafiłem tylko wydusić z siebie:

- Zobaczymy, czyja drużyna będzie się jeszcze liczyć w rozgrywkach w czerwcu. Co ty na to, Angus?

Rechotał tak głośno, że chyba nie usłyszał ani jednego mojego słowa.

W toaletach na parkingu ciężarówek było zdumiewająco czysto. W barze pracowały chyba same kobiety w wieku mojej matki -dwie czarne i dwie białe - które popatrzyły podejrzliwie, skoro facet tej postury zamówił jajecznicę z samych białek, grejpfruta i kawę bezkofeinową.

Kelnerka złożyła, zamówienie w kuchni, po czym podeszła do mnie z powrotem, żeby zapytać:

- Skąd jesteś, skarbie?

Kiedy odparłem, że z Kolorado, litościwie pokiwała głową.

Nie musiałem nawet precyzować, że z Boulder.

Najwyraźniej widywała już tutaj ludzi z tamtych stron.

Niemniej od tej chwili matrony otoczyły mnie troskliwą opieką. Tylko czekały, aż przywołam którąś do stolika, żeby zamówić tofu, galaretkę z kiwi albo nawet „grandę cappuccino”.

Mimo pewnej podejrzliwości były jednak przemile. Przyniosły nawet placek z płatków owsianych, którego nie zamawiałem. Na środku żółciło się połyskliwe oczko roztopionego masła podobne do tarczy zachodzącego słońca. Objadłem chrupiący placek dookoła i zostawiłem na talerzyku coś, co przypominało karykaturę sadzonego jajka, narysowaną przez kilkuletnie dziecko.

Zostawiłem na stoliku tyle drobnych, żeby napiwek był co najmniej równy cenie posiłku, następnie zatankowałem samochód, sprawdziłem na mapie następny odcinek trasy i ruszyłem dalej w kierunku Georgii.

Ani razu nie wpatrywałem się we wsteczne lusterko od czasu, gdy minąłem Denver i wjechałem na autostradę I-70 prowadzącą na wschód. Tak samo nie patrzyłem w lusterko, gdy wyjeżdżałem z tego parkingu dla ciężarówek w Alabamie. Nie zadałem sobie nawet trudu, by uniesieniem ręki pożegnać matrony, które ugościły mnie tak przyjaźnie.

Wmawiałem sobie od początku tej podróży, że o ostatecznym opuszczeniu jakiegoś rejonu zadecyduję dopiero wtedy, gdy wyczytam z przydrożnych tablic, że dotarłem do celu kolejnego etapu. Na swój sposób miało to odniesienie do mojego obecnego życia, dlatego tak samo chciałem potraktować tę wyprawę.

Według mego obecnego planu, zawsze gotowego do rewizji, zamierzałem przekroczyć granicę Georgii tam, gdzie jedne tablice przy autostradzie żegnają w imieniu Phenix City z Alabamy, a już następne witają w Columbus, w stanie Georgia. Następnie zamierzałem skrócić bardziej na południowy wschód, w kierunku Albany. Jeśli wierzyć przewodnikowi wydawnictwa Rand McNally, dopiero tak daleko na południu można było ujrzeć legendarne równiny rzeki Ochlockonee.

Kiedy dotrę na miejsce wypadku?

Przyznaję, że dotąd nie zaprzątałem sobie tym głowy. Co więcej, przez ponad dwa tysiące kilometrów starałem się o tym w ogóle nie myśleć. Instykt rzadko mnie zawodził w dotychczasowym życiu, toteż liczyłem, że i tym razem dobra wróżka mojego instyktu da o sobie znać dopiero za granicą Georgii.

Krótką dojazdówką łączącą parking z autostradą prowadziła przez tory kolejowe, które dość wysoko wystawały ponad asfalt. Kiedy wóz na nich podskoczył, coś zakłuło mnie gwałtownie na

wysokości mostka, a tętno skoczyło natychmiast co najmniej o dwadzieścia procent.

Od czasu wyjścia ze szpitala niemal wszystko, co się działo z moim organizmem, odczuwałem dokładnie pośrodku klatki piersiowej. Mogłoby się wydawać, że każda fizyczna sensacja, odpowiednio wzmocniona, jest odbierana przeze mnie na wysokości najniższych żeber, kilka centymetrów poniżej miejsca, gdzie pod mostkiem uwypuklało się wyraźnie moje indywidualne rozdęcie.

Odbiło mi się, czy mam kolejny zawał?

To niestrawność czy kolejny zawał?

Coś mnie uwiera w bok czy to kolejny zawał?

Wiedziałem doskonale, że gdy stłukę sobie duży palec u nogi, odruchowo zacisnę w kieszeni palce na tej cholernej brązowej fiołce z nitrogliceryną.

Rozmyślałem dalej o moim chorym sercu, teraz w dodatku jeszcze złamanym, dopóki nie ujrzałem tablicy z napisem Phenix City. Przyszło mi wtedy do głowy, że albo jedna, albo druga sercowa dolegliwość wkrótce mnie zabije.

Zaraz przetłumaczyłem sobie jednak, że może mimo wszystko jakoś wyjdę z tego cało.

36

Alan

Mie wiedziałem, gdzie Gibbs dorastała. Nie miałem pojęcia, z jakiej rodziny się wywodziła.

Czy miała bliższych krewnych? Lubiła psy? Koty?

Na żadne z tych pytań nie umiałem odpowiedzieć.

Czy jej rodzice się kochali? Czym zajmował się ojciec? Czy matka pracowała? Jak jej szło w szkole? Czy nosiła aparat ortodontyczny? Mieszkała w jednym domu przez całe życie, czy też przeprowadzała się z miejsca na miejsce dziesiątki razy? Grała na pianinie czy wolała uprawiać jakiś sport?

Czy tęskniła za dziećmi?

Albo za karierą zawodową?

Miała złamane serce? Odczuwała nieodżałowaną stratę?

Nie miałem pojęcia.

Normalnie po kilku wspólnych sesjach małżeńskich i kilku dalszych spotkaniach indywidualnych powinienem już stworzyć dość rzetelny wizerunek socjologiczny każdego pacjenta. Ale z Gibbs było inaczej.

Wiedziałem o niej naprawdę niewiele poza tym, co wiązało się z nocnym przyjęciem na jachcie w Saint Tropez oraz na balkonie mieszkania przy Wilshire Boulevard.

Zamyśliłem się nad tym stanem rzeczy.

Co wiedziałem na pewno?

Znałem szczegóły dawnego morderstwa, w które jakoby miał być zamieszany jej mąż, jak również to, że podnieca ją widok kochających się par. Wiedziałem, że jej mąż czasem mówi w łóżku „złap mnie”, a wspomnienia z Saint Tropez mają dla niej magiczne znaczenie.

No tak, wiedziałem jeszcze o Louise Lakę i pozostałych zabitych kobietach. Gibbs ciągle mi o nich przypominała.

Czy naprawdę zapomniałem o zbrodniach między kolejnymi jej przypomnieniami? Skądże.

Wmawiałem sobie tylko, że gdy chaos trochę przycichnie, oboje wrócimy do tego tematu.

Chaos? Jasne.

Morderstwo, seks, seria morderstw, seks, nakaz rewizji, seks, kawa z moim przyjacielem detektywem, seks.

W psychoterapii tego rodzaju ciąg oznaczał właśnie chaos.

A teraz znów mieliśmy wrócić do tematu serii zabójstw.

Niech to cholera.

Szósta zasada psychoterapii: Jeśli chcesz poznać motywację popychającą do jakiegoś działania, najpierw zbadaj jego konsekwencje.

Więc jakie były konsekwencje zamiłowania Gibbs do tworzenia chaosu? Jej terapeuta, czyli ja, niechybnie stracił równowagę, próbując ogarnąć spojrzeniem całość obrazu, gdyż taki był ogromny.

Zgodnie z jej intencjami?

Tego też nie wiedziałem.

Podejrzywałem jednak, że rozległe luki w mojej wiedzy z pewnością są zgodne z jej intencjami.

- Gibbs? - Zaczekałem, aż podniesie na mnie wzrok.

- Tak? - odezwała się łagodnym tonem.

- Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć o pozostałych morderstwach?

W zamyśleniu obróciła na palcu obrączkę.

- Szczerze? Ciekawe pytanie.

- Jak najbardziej.

- Jakże to ma teraz znaczenie? Jeśli Sterling naprawdę odszedł, kogo mogą jeszcze obchodzić tamte sprawy?

- Mógłbym ci to wyjaśnić, lecz, moim zdaniem, będzie dużo lepiej, jeśli sama sobie odpowiesz na to pytanie. Co jakiś czas wspominasz o tych innych kobietach, które jakoby też miały paść ofiarami Sterlinga. Teraz też nawiązałaś do tego tematu. Najwyraźniej dla ciebie samej ma znaczenie, czy twój mąż rzeczywiście zamordował więcej niż jedną kobietę. Zatem jest jednak ktoś, kogo to obchodzi.

Jedenasta zasada psychoterapii: Podążaj za pacjentem, nigdy go nie prowadź.

Czyżbym ją właśnie złamał?

- Sprawa dotyczy wyłącznie kobiet, z którymi był związany w tym czy innym okresie. Tak mi przynajmniej sam powiedział. Ale jaką mogę mieć pewność, że powinnam mu wierzyć. Czekałem cierpliwie. Nie mogłem ciągnąć dalej tego tematu, gdyby ona zamilkła na dobre już w tym miejscu.

- Co takiego wydaje ci się niewiarygodne? To, że był związany z tymi kobietami?

- Sama nie wiem. Sterling często kłamie... Wiele razy mnie zdradzał. Wiedział pan o tym?

- Nie, nie wiedziałem. Prawdę mówiąc, nie wiem nic ponad to, czego sama mi pani nie powie, Gibbs. Nie rozumiem jednak, czemu miałby się przyznawać do romansów, których w rzeczywistości nie miał?

- Romanse raczej miał. - Spuściła wzrok na swoje palce i dodała po chwili: - Pierwsza, o której mi opowiedział, pochodziła z Augusta.

- Z Augusta w stanie Georgia?

- Tak. Poznał ją na turnieju Masters.

Odczekałem chwilę w nadziei, że się dowiem, czemu to takie istotne, że poznał ją na turnieju Masters.

- I to ona była... jego pierwszą ofiarą?

- Była pierwszą, o której mi powiedział. Potem przytrafiła mu się następna, w West Point.

- W akademii wojskowej?

- Była tam hostessą. Poznał ją podczas meczu reprezentacji wojsk lądowych z drużyną marynarki.

Nadal podążałem tropem jej myśli, lecz coraz częściej czułem się tak, jakbym musiał stawać na palcach, żeby sprawdzić ponad jej ramieniem, dokąd zmierza.

- A potem było Indianapolis.

Wydawało mi się, że chwytam istotę rzeczy- Sterling nawiązywał romanse, realizując transmisje z różnych wydarzeń sportowych.

- Chodzi o wyścigi samochodowe Indianapolis 500? Pokręciła głową.

- Nie, o finał rozgrywek College Combine, bodajże w ramach ligi NFL. Ona zajmowała się obsługą techniczną drużyn.

Musiałem się cofnąć o parę kroków, żeby mogła dalej swobodnie prowadzić.

- Więc dlaczego chce pani, aby zachować to w tajemnicy?

Czemu nie poinformować o tym wszystkim odpowiednich władz?

- Nie chciałam, żeby ludzie myśleli, że był aż takim potworem.

- Nawet jeśli nim był? Uśmiechnęła się smutno.

- Miał swoje demony, doktorze Gregory. Kobiety często doprowadzały go do szaleństwa.

Naprawdę. Walczył z tym przez całe życie. Bardzo się starał. Nie sądzę, by ludzie to zrozumieli.

To był argument nie do zbiccia. Miała absolutną rację, ludzie by tego nie zrozumieli.



- Kobiety doprowadzały go do szaleństwa? - zapytałem, choć w gruncie rzeczy nie było to pytanie. Równie dobrze mógłbym powiedzieć: „Tym razem rezygnuję ze swego prawa do głosu, proszę mówić dalej”. Ale zamiast tego powtórzyłem: -Do szaleństwa?

- Bał się, że mu nie popuszczą, że zrujną wszystko, co do tej pory osiągnął. W końcu cieszył się pewną renomą... - zawiesił głos.

Owa renoma dała mi do myślenia. Zapytałem szybko:

- Ma pani na myśli karierę zawodową?

- Tak, tylko że... Nie, chodzi mi o to, co osiągnął w naszym małżeństwie.

- Zatem utrzymuje pani, że zabijał inne kobiety z tego powodu, że... stanowiły zagrożenie dla waszego małżeństwa? Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

- Niewiele wiem o tych przypadkach. - Zmarszczyła nos i zaczęła nerwowo skubać brzeg rękawa, a kiedy wreszcie popatrzyła znowu na mnie, miała taki wzrok, jakby przeglądała się w lustrze, żeby sprawdzić, czy dobrze wygląda. - Ostatecznie nie rozmawialiśmy o nich zbyt często.

Na język cisnęły mi się setki pytań, z których żadnego nie mogłem teraz zadać.

Po chwili podjęła wyraźnie spiętym głosem:

- Tylko raz. Rozmawialiśmy o tym wszystkim tylko raz. Tuż

przed naszym powrotem do Boulder. Przyznał się wtedy do romansów z tymi wszystkimi kobietami, choć było ich więcej, dużo więcej. Nie znam szczegółów. Oczywiście nie wszystkie zabijał. Względem niektórych nawet nie czuł takiej potrzeby... Na przykład była taka w South Bend, pracownica działu informacji sportowej... - Przeszył ją wyraźny dreszcz. - Albo ta dziewczyna z Flushing Meadows. Jeśli się nie mylę, z działu kontaktów z dziennikarzami podczas turnieju kobiet. I pewnie ta z Daytona Beach. Całkiem o niej zapomniałam. O wszystkich próbowałam zapomnieć.

Nazwa South Bend kojarzyła mi się z Uniwersytetem Notre Dame, chodziło więc zapewne o rozgrywki futbolowe. Za to Flushing Meadows był turniejem tenisowym należącym do cyklu US Open. Daytona Beach oznaczała chyba wyścigi samochodowe typu NASCAR, lecz mało o tym wiedziałem. To była działka Sama.

Gibbs westchnęła głośno.

- Wcale nie byłam zaskoczona. Mówię o jego romansach. Od początku wiedziałam, że... spotyka się z innymi kobietami. Podejrzywałam to, choćby ze względu na jego zawód. Obiecywał mi jednak, że kończy z przelotnymi romansami. Mówił, że się zmienił, że przeprowadzka powrotna do Boulder będzie oznaczała dla nas obojga nowy początek. Powtarzał, że zańadto ceni sobie nasze małżeństwo, by nadal wdawać się w jakiegokolwiek romanse.

Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku może centymetr w dół, zatrzymała się, po czym skręciła w kierunku nosa. Gibbs szybko ściągnęła ją czubkiem palca, lecz chwilę później w ślady tamtej pobiegła następna. Tymczasem jej pierś uniosła się zdecydowanie wyżej w głębszym oddechu.

- Mamy dużo czasu - powiedziałem.

- Powiedział, że chce udowodnić, jak bardzo mnie kocha, składając swoje życie w moje ręce. Właśnie w tym kontekście nadmienił o zniknięciu tamtych pozostałych kobiet. Tych, które stanowiły największe zagrożenie... dla nas.

- O zniknięciu?

- Zapytałam dokładnie tak samo, gdy oznajmił, że już nigdy więcej nic nam nie będzie groziło z ich strony. Zapytałam wtedy, jak mam to rozumieć.

Łzy spływające coraz szybciej zostawiały błyszczące jedwabiste ślady na jej upudrowanej skórze policzków.

- „Louise będzie już spokojna, podobnie jak tamte”. Tyle mi powiedział. Dokładnie tymi słowami. Jak pan sądzi, co miał na myśli? - zapytała, mimowolnie zaciskając pięści.

Popchnąłem w jej kierunku pudełko papierowych chusteczek, lecz chyba nawet tego nie zauważyła.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, co Sterling chciał w ten sposób dać do zrozumienia.

Niemniej każda z ewentualności budziła we mnie dreszcz grozy.

- Kochaliśmy się tamtego wieczoru - podjęła Gibbs. -I wtedy też powiedział: „Złap mnie”.

Skoro powierzył mi swoje tajemnice, błagał mnie w ten sposób, bym go uratowała przed upadkiem. - Zamilkła na dobrą minutę, po czym dokończyła: -Jego życie spoczywało w moich rękach przez wiele tygodni. Bo dokładnie tyle zajęło mi podjęcie decyzji o tym, że muszę go zdradzić.

37

Sam

Most nad rzeką, w której nurcie zniknął Sterling Storey, wcale nie wyglądał imponująco. Do tej pory zakładałem, że chodzi o ważny most na bocznej wstędze autostrady I-19 łączącej Thomasville z Albany, ale byłem w błędzie. Z niewiadomych powodów Sterling zjechał z głównej drogi stanowej prowadzącej do Tallahassee, oznakowanej numerem 319, i pojechał boczną, chyba okręgową, zaznaczoną na mapie jako Georgia 3, prowadzącą na północny zachód, mniej

więcej równoległe do autostrady I-19. Nic więc dziwnego, że most na tej bocznej drodze był zwykłą konstrukcją z betonowych prefabrykatów, mającą za zadanie wytrzymać wiele lat, choć minęło ich chyba za dużo nawet jak na niego. Miejscowi gliniarze tłumaczyli, że w czasie nawalnicy Sterling musiał pomylić drogę, źle skręcił przy wyjeździe z Thomasville i dlatego znalazł się na dwupasmowej drodze okręgowej, zamiast na autostradzie I-19.

Brzmiało to logicznie, lecz nawet tak logiczne przypuszczenia zawsze budziły moje wątpliwości.

Szczegóły wypadku nie zgadzały się z moimi założeniami. Mi-nivan, który zjechał z szosy i zatrzymał się na krawędzi zbocza, co w każdej chwili groziło, że może się stoczyć w nurt wezbranej rzeki, wcale nie jechał na północny wschód, tylko w kierunku przeciwnym, zanim wpadł w poślizg. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak Sterling zdołał go dostrzec w tamtym miejscu, nie tylko po przeciwnej stronie drogi, ale także po przeciwnej stronie nasypu przed wjazdem na most.

Nie tylko to wymykało się mojej wyobraźni. Jako wychowanek podgórskich równin wciąż nie mogłem się nadziwić, że roślinność południowej Georgii pleni się aż tak obficie, nawet na tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Wziąwszy pod uwagę, że do wypadku doszło prawie o ósmej wieczorem, w miejscu, gdzie korony drzew i bujnie rozrośnięte chwasty przesłaniały niemal wszystko, i jeszcze podczas tropikalnej ulewy, naprawdę nie potrafiłem zrozumieć, jak Sterling zdołał cokolwiek dostrzec po drugiej stronie drogi przez chlastaną deszczem przednią szybę wynajętej toyoty camry.

Stałem na wysokości filaru mostu i zapatrzyłem się w nurt rzeki przepływającej pod moimi stopami. Wody Ochlockonee były bardziej żółte niż szare, a w dobie globalnego ocieplenia chyba znaczna część lodowców posuwała się szybciej od jej nurtu. Musiałem nieźle wyteńczyć wyobraźnię, by oczyma duszy ujrzeć niemal biblijny potop, jaki ostatnio wypchnął te wody poza koryto rzeki.

Zanim stamtąd odjechałem, przeczytałem jeszcze policyjny raport, jaki wykradła dla mnie moja partnerka Lucy. Nie zostawiał żadnych wątpliwości, był znacznie lepszy od wielu innych, jakie miałem okazję czytać. Napisany prostym językiem, chronologicznie, z precyzją i dbałością o szczegóły. W większości wypadków mogłby zostać uznany za wzór do naśladowania. Jednakże mieliśmy do czynienia z przypadkiem szczególnym, toteż stojąc na moście, szybko sporządziłem w myślach listę rzeczy, które nie zostały w nim opisane.

Kto pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia? Pastor kościoła baptystów, dwie bliźniaczki, czy Sterling Storey?

Jeśli wierzyć raportowi, duchownym, który na własne oczy widział zniknięcie Sterlinga w nurcie rzeki, był wielebny Nathaniel Prior służący wiernym z parafii w Meigs, małym miasteczku na północny wschód od trasy Georgia 3, niedaleko miejsca zdarzenia.

Od pastora postanowiłem zacząć.

Droga znad rzeki do Meigs prowadziła przez gęste lasy poprzedzielane pustymi polami do uprawy, jak się domyślałem, bawełny. Nie dostrzegłem żadnych budowli mogących wspierać tutejszą gospodarke, doszedłem więc do wniosku, że to biedny rejon.

Zajechałem przed świeżo odmalowany na biało kościół i zapytałem młodego mężczyznę grabiącego suche liście na łysawym trawniku, gdzie znajdę Nathaniela Priora.

- Już go pan znalazł. Nathaniel Prior to ja - odparł. - Cieszę się, że mogę pana poznać.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Był o kilka centymetrów niższy ode mnie, ale pod względem wagi nie ustępował mi nawet o kilogram, raczej o kilka przewyższał. Odznaczał się głębokim dźwięcznym głosem, który rezonował jak odgłos dieslowskiego silnika w tunelu.

Sterna zgrabionych liści sięgała mu już do połowy łydek.

No i miał duże odstające uszy.

Ściagnął płócienną roboczą rękawicę i uściśliśmy sobie dłonie.

- Sam Purdy - przedstawiłem się. - Czy mam się do pana zwracać: wielebny?

- Może być. Ale może być też po imieniu, Nate. Czasami wydaje mi się, że za moimi plecami ludzie nazywają mnie dużo gorzej, ale pan nie zdążył mnie jeszcze poznać, nie ma więc powodów, by mnie obrażać, prawda? Czym mogę panu służyć tego pięknego dnia?

Rzeczywiście, dzień był piękny. Popołudniowe słońce nie grzało tak mocno, a powietrze przesycone wilgocią typową dla południowego klimatu tylko przyjemnie rozmiękczało stwardniałe skórki przy paznokciach i nawilżało śluzówkę w nosie. Właśnie te części jako pierwsze wysychały na pieprz w wyżynnym i pustynnym klimacie Kolorado.

- Ma pan minutę, żeby odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących ostatniej soboty? Chodzi mi o ten wypadek przy moście.

Prior spojrział ponad moim ramieniem na dżipa cherokee i zaproponował:

- Panie Purdy, jeśli dobrze zapamiętałem, czemu nie mielibyśmy wygodnie usiąść przy herbacie? Coś mi mówi, że przebył pan szmat drogi, by zadać mi te pytania, a suche liście z pewnością będą wołały jeszcze trochę poleżeć na trawniku niż gnieść się w plastikowych workach.

- Mam na imię Sam - odparłem - i z przyjemnością napiję się herbaty.

Rozsiadłem się na drewnianej werandzie przed wejściem do kościoła, podczas gdy wielebny wszedł do środka, żeby przygotować herbatę. Co najmniej trzy osoby przechodzące pustą boczną uliczką pomachały mi ręką na powitanie w czasie, gdy go nie było. Za każdym razem odpowiadałem takim samym pozdrowieniem.

Herbata była słodka i pachnąca miętą, a została podana w malowanych ręcznie szklankach, tak dużych, że można by w nich serwować coca-colę w barach McDonalda.

- Dzięki - mruknąłem, pociągnąwszy spory łyk.

- A więc jest pan z Kolorado? Jeździ pan na nartach?

- Nie, na snowboardzie, jeśli wielebny da temu wiarę. Mam chłopaka, z którym staram się spędzać tyle czasu na wolnym powietrzu, ile tylko mogę. To on mnie przestawił na snowboard, twierdząc, że narty są idiotyczne. I dla jego dobra staram się nie wychodzić na większego idiotę niż to naturalnie konieczne.

- Gdzie pan jeździ? W Copper? Winter Park?

Nie spodziewałem się, że ktoś z Meigs w stanie Georgia będzie mnie wypytywał o kurorty narciarskie w Kolorado, do tego w naszym paśmie Front Range.

- Głównie w Winter Park i Breck. Zna wielebny...

- Spędziłem jeden semestr w Denver, w tamtejszym seminarium. Wyjeżdżaliśmy na narty, gdy tylko było to możliwe, niestety, niezbyt często. Całą grupą przecieraliśmy najtańsze szlaki dla początkujących w Copper. W dodatku była wtedy piękna zima. Już miałem na końcu języka mocniejsze słowo, ale się powstrzymałem. W końcu siedzieliśmy pod przybytkiem bożym.

- Od dawna jest pan w Meigs?

- Kilka lat. Spodobało mi się tutaj. Mam wspaniałych parafian. Poza tym niedaleko stąd do rodziny w Atlancie. No i robię to, o czym zawsze marzyłem. Życie tutaj jest tak słodkie jak ta herbata. - Postawił swoją szklanę na deskach między stopami. - Co sprawiło, że wyruszył pan w tak daleką podróż, by zadać mi kilka pytań związanych z wypadkiem przy moście?

- Mężczyzna, który zaginął. Współpracuję z jego żoną. Obiecałem jej, że spróbuję na miejscu ustalić, co dokładnie z nim się stało.

- Więc jest pan prywatnym detektywem?

Przemknęło mi przez myśl, że nie muszę mówić prawdy, ale jakoś nie wypadało okłamywać pastora. Nawet nie umiałem

sprecyzować dlaczego. W innych okolicznościach gotów byłbym nakłamać samemu papieżowi, byle tylko poznać jakieś fakty dla prowadzonego dochodzenia.

- Owszem, tyle że nie prywatnym. Jestem śledczym z wydziału dochodzeniowego komendy policji w Boulder. Przeszedłem ostatnio zawał serca i jestem teraz na zwolnieniu lekarskim. Zatem od strony formalnej, przynajmniej na razie, jestem tylko osobą prywatną. Na własną rękę próbuję pomóc przyjaciółce.

W rozmowach z nieznanymi zawsze nadchodzi ten moment, gdy dowiadują się, że jestem detektywem z Boulder, i zadają nieuchronne pytanie, czy pracowałem nad głośną sprawą Jona Beneta. Byłem już gotów z góry na nie odpowiedzieć.

- Nie wygląda pan na gliniarza z Boulder. Uśmiechnąłem się do niego szeroko, wdzięczny, że za jednym

zamachem przeskoczyliśmy również sprawę Ramseyów.

- A pan nie wygląda na pastora z Meigs - odparłem.

- Otóż to - rzucił rozbawiony. - Zatem słucham. Co chce pan wiedzieć?

Wyciągnąłem z kieszeni swój powycierany notes, otworzyłem na pierwszej czystej stronie i pstryknąłem długopisem.

- Kiedy pan się zjawiał na miejscu wypadku?

- Zatrzymałem samochód jako ostatni przed tym, nim pan Storey zniknął pod wodą. Kiedy podjechałem, on już tam był. Były także siostry z Ochlockonee, no i oczywiście minivan pani Turnbull, stojący na samej krawędzi zbocza.

- Ciemno było tamtej nocy?

- Jak w sercu szatana.

- Padało?

- Lało jak z cebra.

- I widział wielebny na własne oczy, jak pan Storey ześliznął się do rzeki?

- Tak ustawiłem wóz na poboczu, żeby światła reflektorów padały na minivana pani Turnbull, więc nawet mimo rzęsistego deszczu coś było widać z tego, co się dzieje na skarpie. Jednakże

oświetlona była głównie górna część minivana. Kobieta trzymała się oburącz grubego konara drzewa rosnącego nad brzegiem, a jej samochód na moje oko był pochylony pod kątem trzydziestu, może nawet czterdziestu stopni ku brzegowi rzeki...

- Ja też bym tak ocenił. Byłem dziś rano na miejscu wypadku. Brzeg rzeki przy moście rzeczywiście przypomina błotnistą ślizgawkę. Ale już parę metrów dalej, za wspomnianym przez wielebnego drzewem, jest zdecydowanie więcej roślinności.

- Zgadza się. Tak więc gdy ujrzałem po raz pierwszy pana Storeya, próbował już po śliskim zboczu dostać się do otwartych drzwi samochodu pani Turnbull. Już tylko parę metrów dzieliło go od celu, gdy nagle stracił grunt pod nogami i zjechał po zboczu do wody.

- Widział pan to?

- Oczywiście. Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu. Ale nie widziałem dokładnie, jak poszedł pod wodę. Najniższa część stromego brzegu nie była oświetlona.

- Ale że pośliznął się i zjechał po zboczu do rzeki, nie ma wielebny żadnych wątpliwości.

- Absolutnie żadnych.

- Znajdował się po tej stronie minivana, którą widać było spod mostu, a nie po przeciwnej, bliżej drzewa?

- Zgadza się.

- Czy wołał o pomoc?

- Nie słyszałem. My... to znaczy siostry Wolf i ja, doszliśmy do wniosku, że znalazł się pod wodą, zanim zdążył sobie uświadomić, co się dzieje. Jeśli porwał go wzburzony nurt, mógł się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza dobre sto metrów poniżej mostu. Jeżeli się wynurzył. W tak wezbranej i wzburzonej wodzie łatwo uderzyć o coś głową i stracić przytomność.

- Zatem sądzi wielebny, że on zginął?

- Szczerze? Właśnie tak uważam. Modliłem się za pokój jego duszy jeszcze tamtego wieczoru, gdy tylko wróciłem znad rzeki. I kiedy się modliłem, czułem przy sobie wyraźne tchnienie śmierci. - Zazgrzytał zębami, jakby niechcący wziął do ust nierozpuszczoną kostkę lodu z drinka i ta utknęła mu w gardle. - Ale pan w to nie wierzy, prawda? Nie jest pan przekonany, że on zginął?

- Nie, nie jestem przekonany. - Wołałem już nie wspominać, że gdyby Sterling Storey rzeczywiście zginął w nurtach rzeki, tylko straciłbym niepotrzebnie czas na całą tę wyprawę do Georgii. W końcu nie szukałem tutaj sprawiedliwości, przyjechałem na Południe, by coś zrozumieć. Sterling nieświadomie miał mnie czegoś nauczyć.

Odstawiłem pustą szklankę po herbacie jak najdalej od mojego tłustego dupska.

- To wszystko? - zapytałem.

- Od tamtej pory codziennie modłę się za pana Storeya. Proszę powiedzieć to jego żonie. Jej mąż poświęcił życie w akcie chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Nie omieszka, to z pewnością poprawi jej nastrój.

- Dziękuję.

Nie miałem złudzeń co do tego, że nie uwierzył w poprawę nastroju Gibbs przedstawionymi przez niego faktami. Toteż przez następną minutę nie przerywałem milczenia, konfrontując w myślach moje dalsze pytania z jego ewentualnymi dalszymi odpowiedziami i szukając ewidentnych luk. Ale ich nie znalazłem.

- Gdyby w pańskiej parafii była jakaś toaleta, chętnie bym z niej skorzystał przed wyruszeniem w dalszą drogę - powiedziałem. - I tak jestem wdzięczny za okazaną pomoc. I za wspaniałą herbatę. Meigs zrobiło na mnie bardzo dobre wrażenie, a tutejsi mieszkańcy są bardzo przyjaźnie nastawieni.

- To prawda, pod każdym względem. Jak się domyślam, będzie chciał pan jeszcze porozmawiać z bliźniaczkami Wolf, prawda?

- Rzeczywiście. Chciałbym poznać relacje wszystkich naocznych świadków zdarzenia.

- Zastanie je pan w domu dopiero w porze kolacji. Wcześniej nie ma tam czego szukać. Nie wątpię jednak, że odpowiedzą na każde pytanie. Pański wysiłek zostanie więc nagrodzony.

- Bardzo dziękuję za tę radę.

- Czy jest pan chrześcijaninem, panie Purdy?

- Tak.

- I wypełnia pan chrześcijańskie powinności?

- Staram się.

- Nasz Pan o nic więcej nie prosi.
- Czyżby?

Moja wiara w Boga okazywała się zazwyczaj na tyle silna, że bym nie musiał się zmagać z tego rodzaju uwagami. Ale w Georgii działałem na oślep, nic więc dziwnego, że podobne pytanie wydobyło się z moich ust wręcz nieświadomie, nim zdążyłem się ugryźć w język. Wielebny popatrzył na mnie w sposób typowy dla kaznodziei, który wyczytał w moim spojrzeniu wątpliwości, toteż błyskawicznie doszedł do wniosku, że może ucierpieć na tym moja wiara.

Nie zapytałem go o powody takiej reakcji, bo przecież gdybym ściśle przestrzegał boskich nauk, nie przeszedłbym zawału serca, a moja żona nie odeszłaby ode mnie, zabierając syna na tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Więc czemu nie zapytałem o to wielebnego? Pewnie dlatego, że nie chciałem usłyszeć od niego frazesów na temat niezbadanych ścieżek, którymi podąża wola boska. Stąd też nie potrafiłem określić, czy powinienem się czuć lepiej, czy wręcz przeciwnie, gorzej, po zakończeniu naszej rozmowy.

Niemniej i bez tego moja wiara była poważnie nadwątlona i budziła we mnie chyba same podejrzenia.

Wielebny Prior musiał jednak wyczuć, że takie obawy przesłaniają mi widzenie świata, gdyż dodał szybko:

- Tylko proszę nie mierzyć błędnie Bożego miłosierdzia miarką pasującą wyłącznie do pańskiego życia, panie Purdy.

- A jak inaczej miałbym ją oceniać? - zapytałem.

Zaczął z powrotem wciągać płócienne robocze rękawice. Robił to z takim namaszczeniem, że naszły mnie wątpliwości, czy w ogóle zechce odpowiedzieć.

- Jeśli podaje pan w wątpliwość boski plan za każdym razem, gdy życie napluje panu w twarz, powinien pan być zaakceptować bez zastrzeżeń jego wolę, gdy obdarzył pana synem, który jeździ na snowboardzie i nie chce robić z ojca idioty. - Prior schylił się i podniósł grabie. - Proszę przyjechać na niedzielne nabożeństwo, jeśli będzie pan jeszcze w tej okolicy, panie Purdy. W tym kościele na pewno znajdzie pan bezwarunkową miłość.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Łazienka jest tam.

38

Julie Franconia zwykle nie potrafiła ustawić sobie tych rzeczy dokładnie tak, jak chciała. Wręcz przeciwnie. Nie miała wielkiego doświadczenia, ale w tych kilku wypadkach, kiedy próbowała podobnych rzeczy, wychodziło na to, że jej pragnienia ani trochę się nie liczą w świecie zdominowanym przez pragnienia mężczyźni. Pierwsze spotkanie z nim także było naznaczone tego rodzaju de-terminizmem.

Niemniej tym razem dał do zrozumienia, że to ona powinna wybrać czas i miejsce oraz wszystko zorganizować. On pragnął jedynie „kontrolować nastrój”. Ostatnie spotkanie z nim było najwspanialsze w jej dotychczasowym życiu. Niemalże zabrał ją na księżyc. Co więc znaczył nastrój? Mógł go sobie kontrolować do woli.

Ale mógł też o wiele więcej. Od chwili, gdy przykuł jej uwagę pod kopułą RCA, marzyła bez przerwy, by zdobyć go dla siebie. I w końcu wyszło dużo lepiej, niż mogłaby się spodziewać. Poprawiła słuchawki na głowie i załadowała kasetę do walkmana.

Beethoven.

Niebiański głos zapowiedział:

- Masz dwadzieścia minut na dojście do obozowiska. Na razie to wszystko. Ruszaj, dziecko. Serce jej się kurczyło. Z niecierpliwości. Wyłącznie z niecierpliwości.

Pod bawełnianym strojem sportowym miała na sobie tylko jedwab. Bez żadnych wyjątków.

Czysty jedwab.

Znała to miejsce, sama dobrała je starannie. Stanowy Park Krajobrazowy Morgana Monroe na północ od Bloomington. Ulubiona trasa. Julia nie powinna napotkać żadnych kłopotów nawet po zmroku. A rozstawienie namiotu? Zajmie jej nie więcej niż trzy minuty.

Koncert fortepianowy dobiegł końca, ustępując miejsca jakiemuś współczesnemu utworowi. Grali chyba The Animals, lecz nie była tego pewna. Nie była to muzyka jej pokolenia.

I jego też nie.

- W porządku, dziecino, rozstawiaj namiot. Tylko szybko. Nie mogę się doczekać. Jestem niedaleko. Wyczuwasz już moją obecność? Cały czas cię obserwuję.

Błyskawicznie złożyła fiberglasowe tyczki. Jedna, druga, trzecia... Chwilę później namiot był rozstawiony.

- Teraz idź w stronę lasu, na zachód, najwyżej dziesięć metrów. No, już, ruszaj.

Buty zapadały się na centymetr w grząskim gruncie. Uśmiechnęła się szeroko, dostrzegłszy koszyk piknikowy.

- Zabierz wszystko do namiotu. Wszystko. Tak też uczyniła.

Wypakowała wino i czekoladę. Dwa pojemniki bitej śmietany w aerozolu. Jednorazowy aparat fotograficzny. Niewiele czasu potrzebowała, aby wszystko przygotować.

Muzyka w słuchawkach znów się zmieniła. Tym razem był to zespół The Doors.

Jim Morrison zaśpiewał: „To już koniec, przyjacielu, to już koniec”.

I tak też było.

Kiedy policja odnalazła zwłoki Julie, doszła do wniosku, że to turystka, którą upatrzył sobie i zabił jakiś szaleniec.

Jej ciało wcale nie znajdowało się w namiocie.

W pobliżu nie było butelki szampana ani słodczy przywożonych zazwyczaj w koszach piknikowych.

39

Sam

Bliźniaczki.

Na oko zupełnie identyczne i mieszkały w niewielkim miasteczku Ochlockonee. Jedna chodziła po domu w butach marki Acorn, tak wiekowych, że ze skórzanych cholewek zeszły ostatnie płyty lakieru, natomiast druga miała na sobie równie znoszone reeboki.

Prawdopodobnie dobór obuwia miał służyć dodatkowemu utrudnieniu w rozpoznaniu różniących się nieco wzrostem sióstr, niemniej ta w acornach spojrzała mi prosto w oczy, otworzywszy drzwi. Była wysoka. Naprawdę wysoka. Obie odznaczały się leciutko zaznaczonym odcieniem skóry Afroamerykanek, równie identycznymi siwymi kosmykami włosów nad lewym uchem, obie ubrane były w workowate dzinsy oraz luźne swetry zrobione na drutach z takiej samej wełny. Obie były tak samo przeraźliwie chude, odnosiłem wrażenie, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziałem kobiet do tego stopnia pozbawionych wszelkich krągłości.

Okazały się jednak bardzo miłe, sympatyczne i otwarte, przez co przypomniały mi moją ciotkę Josie. Nie minęły nawet dwie minuty od chwili, gdy znalazłem się w ich domu, a już siedziałem w najlepszym fotelu w saloniku i chrupałem cienkie plasterki marchewki. Podały je mocno schłodzone, z plasterkami limonki i taką ilością soli, która pewnie wzburzyłaby mojego kardiologa, niemniej przekąska okazała się soczysta i odświeżająca, bardzo szybko przypadła mi do gustu.

Ta w reebokach powiedziała:

- Podejrzałyśmy ten sposób serwowania marchewki kilka lat temu w pewnym barze w Jalisco. Prosty a skuteczny.

Musiałem zakładać, że nie chodzi o falisco leżące na przedmieściach Thomasville czy Valdosta. Alan pewnie by wiedział, o czym one mówią, chociaż to, że wiedział tak dużo, nie zawsze mi odpowiadało. Z drugiej strony podobało mi się, że nigdy nie przechwalał się tą swoją wiedzą, a już na pewno nie wykorzystywał jej do tego, by kogoś poniżyć.

Na moje niewprawne oko Ochlockonee było mniejsze od Meigs, choć jeszcze niedawno wydawało mi się to niemożliwe. I było także biedniejsze. Niemniej dom sióstr Wolf nie należał do najskromniejszych, zwłaszcza pod kątem wyposażenia.

Z ulicy wyglądał bardzo podobnie do kilku innych stojących w najbliższym sąsiedztwie, porożychane deski na ścianach wymagały nałożenia tak dużej ilości farby, że można by na tym zbankrutować, w środku był jednak bardzo ciekawy, głównie za sprawą licznych bibelotów, które bliźniaczki najwyraźniej przywoziły z licznych wojaży za granicę. Na ich podstawie łatwo się domyśliłem, że najczęściej jeździły na wakacje do Afryki, Ameryki Środkowej, do Meksyku i na wyspy południowego Pacyfiku. Stojący za mną regał wypełniały książki kucharskie z kuchni tak egzotycznych, że nawet nie byłem w stanie ich umiejscowić, a na dolnych półkach tłoczyły się przewodniki turystyczne z całego globu oraz dzieła takich autorów jak Naipaul, Forster, Theroux czy Darwin. Bez wątplenia dom należał do kobiet bywałych w świecie.

Gdzieś z głębi dolatywały stłumione głosy włączonych wiadomości CNN, nie potrafiłem jednak określić, w którym pokoju stoi telewizor.

Kiedy w mojej dłoni znalazła się lampka czerwonego wytrawnego wina, doszedłem do wniosku, że ta w skórzanych acornach to Mary Ellen Wolf, tutejszy pediatra, a jej siostra, Mary Pat Wolf pracująca w opiece społecznej, nosi reeboki. Odmówiłem w duchu krótką modlitwę, by nie przyszło im do głowy zamienić się obuwiami w czasie mojej wizyty.

Wino podała właśnie Mary Ellen, napomykając przy tym, że pochodzi ono z Chile, i popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby oczekiwała mego zaskoczenia. W żadnych okolicznościach nie odróżniłbym wina chilijskiego od francuskiego ani nawet od koszerne go manischewitza, ale mieszkałem w Boulder, toteż nie można mnie było zaskoczyć żadnym rodzajem pożywienia. W końcu co najmniej połowa mieszkańców mojego miasta żywiła się potrawami, o których nic nie wiedziałem.

Prawdę mówiąc, ja też chyba żywiłem się czymś, o czym połowa mieszkańców Boulder nie miała pojęcia. W każdym razie przywykłem do takiego żarcia, zanim dopadł mnie zawał.

- Naprawdę? - zapytałem. - Z Chile?

Pewnie się domyśliła, że robię to z czystej uprzejmości, ale nie zareagowała. Przynajmniej ta reakcja była zupełnie inna niż w Boulder.

Mary Pat zaprowadziła mnie do jadalni, usadowiła przy stole i postawiła na nim talerz z kanapką z opiekanego chleba z siekanymi pomidorami, jakimiś ciemnymi i łykowatymi grzybami, które chyba nie rosły w moich rodzinnych stronach, oraz drobną odmianą białej fasolki, jakiej nigdy dotąd jeszcze nie widziałem. Podała mi serwetkę i powiedziała:

- To z bambusa.

- Kanapka? Poważnie? - Do tej pory sądziłem, że tylko pandy żywią się pędami bambusa. A może chodziło o misie koala i liście eukaliptusa? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Coraz bardziej się obawiałem, że zawał dotknął także moją inteligencję, a w każdym razie sprawił, że jestem głupszy, niż byłem. Ostatnio w ogóle nachodziły mnie poważne obawy co do zakresu szkód poczynionych przez zawał. Tych, które już wystąpiły, jak i tych przyszłych.

- Nie, głuptasie. Mówię o zastawie.

Z jej tonu wywnioskowałem, że uznała moją gafę za celowy żart. Przemknęło mi przez głowę, że coś takiego niewiele kosztuje,

a może być bardzo potrzebne w danej chwili. Sherry nigdy nie byłoby stać na taką reakcję. W ogóle mało kto z Boulder byłby gotów się na nią zdobyć.



- Zawsze trzymacie w pogotowiu tego rodzaju przekąski, żeby uraczyć nimi niespodziewanych gości? - zapytałem.

Uśmiechnęły się równocześnie i dokładnie tak samo. Zaczynało mi to działać na nerwy.

- Wielebny Prior zapowiedział przez telefon, że możemy się spodziewać pańskiej wizyty - odparła Mary Ellen. - Wyjaśnił też pańską rolę w dochodzeniu pani Storey do prawdy. Zatem w czym możemy pomóc, panie Purdy? Proszę mówić śmiało.

- Mam tylko kilka pytań. - Zawsze mówiłem to samo, sięgając po notes i długopis. Na szczęście mogłem robić notatki bez okularów, bo te były mi niezbędne tylko do ich odczytania.

- To proszę pytać. - Obie siedziały naprzeciwko mnie przy stole, nie mogłem więc widzieć ich stóp, toteż nie byłem na sto procent pewien, która z nich to powiedziała. Chyba ta po prawej.

- Chodzi mi o sobotni wieczór i wypadek nad rzeką.

- To zrozumiałe. - Teraz na pewno odezwała się ta z lewej. I to ona miała odpowiadać na następne pytania.

- Podróżowały panie razem?

- Tak.

- W którym kierunku?

- Wracałyśmy do domu po obejrzeniu filmu w Thomasville. Byłyśmy na nowym filmie Denzela. Widział go pan? Oddałabym każde pieniądze, żeby zobaczyć na własne oczy, jak on modeluje postaci z winorośli kudzu.

- Nie przepadam za filmami - odparłem. - Czasem wypożyczam wideo. Przyznam jednak, że Denzel to rzeczywiście niezwykle aktor.

- Obie pracujemy w Thomasville. W Ochlockonee nie miałybyśmy co robić.

Nie miałem pojęcia, co na to odpowiedzieć, by nie zostało

to uznane za zniewagę ich rodzinnego miasteczka, skierowałem więc ponownie ich uwagę na Storeyów:

- Panie jako pierwsze zatrzymały się przy moście, prawda?

- No cóż, pierwsza zatrzymała się biedna pani Turnbull, jeśli już mamy się trzymać faktów.

Bo coś mi mówi, że panu zależy wyłącznie na faktach, prawda, panie Purdy? Choć, swoją drogą, trudno powiedzieć, że się zatrzymała, w każdym razie nie zrobiła tego z własnej woli. Jej siostra dodała:

- Widziałyśmy, jak jej samochód zsuwa się z drogi. Światła reflektorów gwałtownie ześliznęły się w bok.

- Oczywiście i my natychmiast się zatrzymałyśmy - wyjaśniła pierwsza.

- Ma się rozumieć. A pan Storey stanął zaraz za nami.

- Tuż za nami. Jechał zdecydowanie za blisko, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Zwłaszcza w taką ulewę, na mokrej szosie, przy ograniczonej widoczności. Jego zachowanie za kierownicą pozostawiało wiele do życzenia.

Nie przyjechałem tu, żeby wypisywać Sterlingowi Storeyowi mandat.

- Ale się zatrzymał, prawda? Tuż za waszym autem?

Ta siedząca z prawej wstała i poszła do kuchni po butelkę z winem. Zyskałem sposobność, żeby zerknąć na jej stopy. Była w reebokach. Zanotowałem w myślach: po prawej reeboki, po lewej acorny. Powtórzyłem to kilka razy jak mantrę, aby dobrze mi się wryła w pamięć.

Mimo to, na wszelki wypadek, w rogu notesu zapisałem wielkimi drukowanymi literami: „P-R, L-A”.

Mary Ellen, czyli ta po lewej, chodząca w acornach, odparła:

- No, niezupełnie. Na początku minął nasz wóz i pojechał dalej.

- Naprawdę?

- Jest pan zaskoczony?

- Owszem, jestem - przyznałem szczerze. Miałem uczucie, że nie mógłbym okłamać bliźniaczkę, nawet gdyby mi bardzo na tym zależało. Na szczęście nie musiałem tego robić. - Nie znalazłem tego w żadnym z policyjnych raportów, które czytałem.

- Przejechał jeszcze co najmniej sto metrów...

- Co najmniej - przyznała z naciskiem Mary Pat.

- ...zanim się zatrzymał, szybko zawrócił, podjechał i ustawił samochód za naszym.

- Czyli zachował się tak, jakby podjął decyzję dopiero po krótkim namyśle. Zgadza się?

- Pomyślałyśmy dokładnie to samo. Na tych stu metrach szosy musiał odnaleźć w sercu jakieś resztki wspaniałomyślności. W każdym razie to wytłumaczenie bardzo mi pasuje.

- I co było później?

Doktor Wolf - to znaczy Mary Ellen, ta w acornach - powiedziała:

- Ja już wtedy dzwoniłam z komórki pod numer dziewięćset jedenaście, żeby wezwać pomoc. Byłyśmy przerażone. Minivan w każdej chwili mógł się stoczyć po stromym brzegu i wpaść do rzeki.

- Ja wyskoczyłam i pobiegłam na brzeg - dodała Mary Pat. - Ale nic nie widziałam, zupełnie nic. Wypadek spowodował awarię świateł w wozie pani Turnbull i na skarpie było całkiem ciemno. Na dodatek się oddaliłam na trzy kroki od samochodu, poczułam się tak, jakbym w ubraniu wskoczyła do basenu kąpielowego. Deszcz przemoczył mnie do suchej nitki. Po powrocie do domu musiałam wyrzucić buty. Nie dało się ich już uratować. W każdym razie pan Storey także przybiegł na brzeg skarpy. Zawołał: „Widziała to pani? Czy w tym miejscu wpadli do rzeki?”. Odparłam, że chyba tak. Ale właśnie wtedy pani Turnbull zaczęła krzyczeć, żebyśmy pomogli jej dziecku.

- I co się stało? - zapytałem.

- Staliśmy tam jeszcze... - Urwała i spojrzała na siostrę -...ile, według ciebie? Minutę? Bo chyba nie dłużej? - Siostra przytaknęła ruchem głowy. - No więc staliśmy, zastanawiając się, co

robić. Było bardzo ciemno i lało, a nie mieliśmy liny, wiedzieliśmy jednak, że ekipa ratunkowa straży pożarnej może przyjechać za późno. W końcu pan Storey odwrócił się do mnie i powiedział, że schodzi na dół.

- Dokładnie tak powiedział? Że „schodzi na dół”? Uśmiechnęła się szeroko.

- Wiedziała, panie Purdy, że należy pan do tych, którzy uwielbiają dzielić włos na czworo. Wiedziała. Nie mogę jednak przysiąc, czy użył dokładnie tych słów. Ale sens jego wypowiedzi był mniej więcej taki: „Schodzę na dół!”.

- I co dalej?

- Zrobił to. Zaczął schodzić.

- Nie pomyślał, żeby spróbować z drugiej strony auta, pod drzewem, gdzie jest więcej krzaków?

- Nie, ruszył prosto w dół. I wtedy właśnie nadjechał wielebny Prior. Ustawił samochód tak, żeby światła reflektorów trochę rozjaśniły brzeg skarpy.

Poświęciłem minutkę na to, żeby zapisać najważniejsze fakty. Kiedy podniosłem wzrok znad notesu, czekałem jeszcze, aż obie siostry spojrzą na mnie, i dopiero wtedy zapytałem:

- Widziały panie, jak pan Storey wpadł do rzeki?

- Nie - odparła Mary Pat. - Widziałam tylko, jak zniknął w ciemności. Wzburzony nurt był nieodłączną częścią tej ciemności.

Mary Ellen uśmiechnęła się z aprobatą, słysząc ten opis.

- Moja siostra świetnie to ujęła, panie Purdy. Widziałyśmy tylko, jak znika w ciemności. Był pan tam, nad rzeką? Oglądał pan miejsce zdarzenia?

- Oglądałem.

- Więc musi pan wiedzieć, że z miejsca, gdzie pan Storey się pośliznął i przewrócił, można tylko wpaść do wody. A tamtego wieczoru Ochlockonee była wezbrana i wzburzona. Poziom wody sięgał...

- Bardzo, bardzo wysoko, jak mawiają dzieci - wyręczyła ją

Mary Pat pracująca w pomocy społecznej. - Kiedy się przewrócił na tamtym stromym zboczu, mógł tylko jak na zjeżdżalni nad basenem ześliznąć się prosto do rzeki.

- Zatem są panie przekonane, że tak się właśnie stało, że pośliznął się, stracił równowagę i wpadł do rzeki?

Popatrzyły na siebie i pokiwały głowami, a po chwili odparły równocześnie:

- Tak, jesteśmy.

- Ale nie widziały panie, jak zniknął pod wodą?

Tym razem, gdy znów spojrzały na siebie, dużo wolniej pokręciły głowami i nie odezwały się ani słowem. Wreszcie Mary Ellen się zaciękała:

- Nie wierzy pan, że utonął? To chce pan powiedzieć? Podejrzewa pan, że wcale nie wpadł do rzeki?

- Cóż, wszystko wskazuje na to, że ześliznął się i wpadł do wody, dokładnie tak, jak panie to przedstawiają. Ale jak dotąd nie natrafiłem na nikogo, kto widziałby to na własne oczy.

Dlatego podejrzewam, że wcale nie musiało się tak stać. A już jego żona z pewnością wciąż liczy na to, że mąż nie utonął.

- To gdzie jest? Ekipa ratownicza straży pożarnej zjawiała się przy moście najdalej dziesięć minut po tym, jak zniknął nam z oczu na stromym i śliskim brzegu. Ani razu nie wezwał pomocy. W ogóle go nie słyszałyśmy. Ratownicy mieli silne reflektory i łodzie, szukali go wszędzie. Z psami przeczesali oba brzegi na wiele kilometrów w dół rzeki. Następnego ranka, kiedy burza przycichła, sprowadzili nawet pletwonurków - relacjonowała Mary Pat konspiracyjnym szeptem.

- I niczego nie znaleźli, prawda? Żadnego śladu?

- Niczego - przyznała Mary Ellen.

- Wiem z doświadczenia, że niektórzy ludzie mają czasami bardzo ważne powody, by zniknąć.

Mary Ellen zapytała jeszcze bardziej gardłowo:

- Mam rozumieć, że pan Storey należał do tego właśnie grona? Dlaczego, na Boga, ktoś taki miałby chcieć zniknąć bez śladu? Miał przecież odpowiedzialną i dobrze płatną pracę, żonę troszczącą się o niego tak bardzo, że przysłała na miejsce wypadku kogoś takiego jak pan...

- Mam mówić całkowicie szczerze? - A gdy energicznie pokiwały głowami, wyjaśniłem: - Pan Storey jest poszukiwany w celu złożenia zeznań w sprawie pewnego zabójstwa.

- O rety... - jęknęła Mary Pat.

- Więc sądzi pan...? - zaczęła jej siostra.

- Naprawdę mógł...? - wpadła jej w słowo Mary Pat.

- W każdym razie daje to wiele do myślenia.

I oczywiście należało się dobrze zastanowić nad tym tajemniczym wypadkiem.

40

Alan

Viv, nasza niania pochodząca z Hmongów, pracowała tylko na część etatu, dzieląc opiekę nad naszą córeczką i nami z wieloma innymi obowiązkami szkolnymi. W normalnych warunkach skutecznie ratowała nasze rodzicielskie tyłki. W czasach kryzysowych, a teraz niewątpliwie nastąpiły czasy kryzysowe, jej obecność w naszym domu była po prostu darem bóstw małżeńskich.

To właśnie Viv odebrała telefon, kiedy zadzwoniłem do domu po zakończeniu sesji z Gibbs. Lauren była zajęta robieniem porządków w łazience. Od razu wyobraziłem sobie, jak jedną ręką wspiera się ciężko na lasce, podczas gdy w drugiej, osłoniętej gumową rękawiczką, trzyma ścierkę. Miała zwyczaj upartego szorowania także tych powierzchni, które nawet obsesyjny mikrobiolog musiałby uznać za sterylne. Domyślałem się też, że pod koniec dnia silnik elektryczny odkurzacza będzie potrzebował nowych łożysk, domowe zapasy środków czyszczących ulegną poważnej redukcji, a niemal każdy centymetr kwadratowy powierzchni stanie się dowodem całkiem nowej jakości w zakresie domowych porządków.

Byłem świadkiem tego wszystkiego w przededniu poprzedniego nawrotu choroby. Nawet ukulem specjalną nazwę: porządki sterydowe.

Sterydy nie zapewniają jednak przyływu energii, nie są żadną superkofeiną. Wręcz przeciwnie. Zwłaszcza podawane w tak końskich dawkach jedynie pobudzają człowieka, a owo pobudzenie należy rozumieć ze wszystkimi jego negatywnymi skutkami.

Zniecierpliwienie? Na ostrzu noża. Poirytowanie? Boże, i to jakie. Sterydy są jak czyste paliwo do silników rakietowych. Wiedziałem z doświadczenia, że ujście, jakie Lauren znajdowała dla tych dodatkowych koni mechanicznych krążących jej w żyłach, będzie stosunkowo znośne przez pierwszą dobę - stąd te sterydowe porządki - ale gdy narastające podniecenie i brak snu przekroczą poziom jej zdolności adaptacyjnych, upodobni się do któregoś z siedmiu krasnoludków działających pod wpływem amfetaminy.

Zazwyczaj najbliższy jej charakterem był Gburek na Koksie. Dominował w niej prawie cały czas, tylko okazyjnie ustępując miejsca Śpioszkowi na Koksie ewentualnie Gapciowi na Koksie. Jeśli w ogóle pojawiał się Apsik na Koksie, wkraczaliśmy wszyscy w całkiem inny zakres kłopotów. W czasie poprzedniej kuracji sterydowej jego przybycie poskutkowało tym, że moja biedna żona kichnęła ze trzydzieści siedem razy z rzędu, nie mając nawet okazji, by między kichnięciami zaczerpnąć powietrza. Nasze psy, zarówno Emily, jak i Bouvier, nie znosiły ludzkiego kichania, toteż czekały głośno do wtóru swojej pani co najmniej przez ostatnich piętnaście kichnięć. Był to naprawdę niezwykle tercet.

Smutne, że najrzadziej objawiał się Wesolek na Koksie. Jeśli historia czegokolwiek mogła nauczyć, należało oczekiwać jego przybycia podczas krótkiego antraktu w pierwszym akcie. Przez chwilę żal ścisnął mnie za serce, gdy uświadomiłem sobie, że przez kilka najbliższych tygodni będę mężem najbardziej odpychającej parodii Siedmiu Krasnoludków na metamfetaminie. Na szczęście mój rdzewiejący żal nad samym sobą szybko stopniał w rozpuszczalniku współczucia: Lauren nie tylko musiała przez te dwa tygodnie żyć ze wszystkimi zaćpanymi krasnoludkami, ale miała jeszcze to nieszczęście, że używała im samej siebie.

Oderwała się od zwalczania łazienkowych zarazków tylko na tyle, by zakomunikować mi, o której ma popołudniową wizytę u neurologa, po czym natychmiast oddała słuchawkę Viv, która przekazała, że po przeziębieniu Grace prawie nie zostało już śladu, a jej udało się taśmą samoprzylepną skleić parasolową osłonę na łapie Emily do tego stopnia, by stukanie plastikowych pasków o podłogę nie doprowadzało Lauren do szału.

Oczywiście powiedziała też, żebym się nie martwił, bo jak zwykle dobrze się zatroszczy o całą naszą rodzinę.

Odparłem, że będę jej bardzo wdzięczny, i od razu zacząłem się zastanawiać nad sposobem właściwego wyrażenia tej wdzięczności.

Z samego rana widziałem się z Gibbs, toteż Sharon Lewis była już moją drugą pacjentką w tym tygodniu, a nie pierwszą. Nadal prześladowały ją koszmary pobudzone przez prasę, w której odżywała jeszcze sprawa naruszenia zasad bezpieczeństwa na lotnisku w Denver. I nadal istniała groźba natychmiastowego aresztowania przez policję.

- Czy naprawdę jestem najbardziej egoistyczną osobą w całej Ameryce? - zapytała z naciskiem.

Nie muszę chyba wyjaśniać, dlaczego wolałem uchylić się od odpowiedzi.

Sharon miała skłonności do obsesji, toteż w nią popadała. Czy powinna się zgłosić na policję? Czy ma wynająć adwokata? Czy naprawdę postąpiła aż tak źle? Aż tak? Czy inni ludzie na jej miejscu nie zrobiliby podobnie? Na pewno by nie zrobili?

A ja?

Na to pytanie także nie odpowiedziałem.

Kiedy uporaliśmy się już z prawną stroną tego kryzysu, niezależnie od tego, w jaki sposób miała ona zostać rozwiązana, uzmysłowiłem Sharon, jak długa i ciężka czeka ją terapia. Ja byłem za nią odpowiedzialny jedynie tymczasowo, czułem się więc w obowiązku przygotować ją na to, co może jej przynieść nawet nieodległa przyszłość.

Jim Zebid spóźnił się na swoją przełożoną wizytę. Zjawił się dopiero wtedy, gdy połowa czasu przeznaczanego na sesję rozplynęła się w terapeutycznym niebycie.

- Cholerni prokuratorzy - syknął od progu. - Mógłbym przysiąc, że podejmują dyskusję w pewnych sprawach tylko po to, żeby marnować mój czas.

Starałem się w najmniejszym stopniu nie pokazać po sobie, co o tym myślę. W końcu moja żona też należała do tych „cholernych prokuratorów”. Doskonale o tym wiedział.

Po tym preludium śmiało dał nura prosto w główny temat dnia.

- Muszę panu powiedzieć, że nie potrafię uwierzyć, iż to nie pan nie zdołał dochować tajemnicy w sprawie tej ciekawostki, o której rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu. Mój chłopak potwierdza, że nikomu nie mówił o sprzedaży towaru mężusiowi sędzi. Nie mam podstaw, aby mu nie wierzyć. Nie ma żadnego powodu, by miał o tym kłapać dziobem na lewo i prawo. Ja też nikomu nie mówiłem, tylko panu. Zatem to pan musiał być niedyskretny. Należało z tego wnioskować, że ja miałem ważny powód, by kłapać dziobem: musiałem przekazać gorącą plotkę żonie.

- Chcesz mnie o coś zapytać, Jim? Czy mam to traktować jak oskarżenie?

Wzruszył ramionami.

Odnutowałem z pewnym zaskoczeniem, że nie wydawał się szczególnie rozzłoszczony. Co prawda mówił dość ostrymi słowami, ale robił to takim tonem, jakby zamawiał danie na wynos w chińskiej restauracji.

Jak postąpiłem w tej sytuacji? Wziąłem przynętę.

- Powtórzę moje wcześniejsze zapewnienie. Nie mówiłem nikomu, absolutnie nikomu, o czym rozmawialiśmy podczas ostatniej sesji. I wróć też do moich wcześniejszych podejrzeń, Jim, że twoje oskarżenie w sprawie tego wypadku ma coś wspólnego z naszymi relacjami, z przebiegiem twojej terapii.

- Niby co? - rzucił pospiesznie, skrajnie lekceważącym tonem. Wiem z doświadczenia, że prywatni oskarżyciele to najbardziej wyćwiczeni w lekceważeniu ludzie na tym świecie. Potrafią przesycić swoje lekceważenie tyloma pokładami niuansów, że większość z nas mogłaby o tym jedynie pomarzyć. Wydaje mi się, że uczą ich takich sztuczek na studiach prawniczych.

- Na przykład zaufanie? - Starałem się ze swej strony całkowicie wyprać głos ze śladów ironii, ale nie do końca mi się to udało.

- Zaufanie? - Odchylił się na oparcie fotela i skrzyżował wyciągnięte daleko przed siebie nogi. Nosił skórzane pantofle w rozmiarze kajaka.

Milczałem.

- No cóż... Chodzi o takie zaufanie, jakim powinni mnie obdarzać klienci? Jasne, możemy porozmawiać na temat zaufania, Alan... jeśli tylko zdołasz mnie wcześniej przekonać, że nie robisz tego w celu ochrony własnego tyłka. Co ty na to?

Reszta poniedziałku upłynęła mi mniej lub bardziej rutynowo, przynajmniej z punktu widzenia pacjentów.

Wczesnym popołudniem znowu zadzwoniłem do Lauren. Jej neurolog wyraził nadzieję, że sterydy powstrzymają nawrót choroby, i był przekonany, że pozytywne efekty analogicznych kuracji podczas wcześniejszych nawrotów dobrze rokują i tym razem. Chcąc jeszcze bardziej zaostrić profilaktykę, przepisał jej też statynę, środek, o którego zastosowaniu rozmawiali już od pewnego czasu, i dał kilka bezpłatnych próbek ambienu mającego przynieść jej choć trochę snu, kiedy jej psychika wyzwoli się z żelaznego uścisku solumedrolu.

- Mam nadzieję, że zadziała - wyrzuciła z siebie jednym tchem.
- Co? Ambien?
- Wszystko. Sterydy, statyna... Wszystko.
- Boisz się, skarbie?
- Tak. Boję się głównie tego, że znudzi cię cała ta szopka.
- O to niech cię głowa nie boli. Martw się lepiej, by jak najszybciej wydobrzeć.
- Sam też się nie martwił.
- Nie porównuj mnie z Sherry, dobrze?
- Powinieneś był się lepiej zastanowić, zanim się ze mną ożeniłeś. Wszystko ma swoje granice.

Czułem, jak moje tętno przyspiesza. Miałem ochotę wrzasnąć: „Oczywiście, że wszystko ma swoje granice. Oczywiście, że tego nie cierpię. Oczywiście, że jest mi diabelnie żal samego siebie”.

Nie zrobiłem tego.

- Powiedz szczerze - dodała błagalnym tonem. ¡Dios mio. Hay un hacha en mi cabeza!
- Lauren wcale nie zależało na mojej szczerości. Oczekiwała jedynie słów otuchy. W mojej praktyce terapii małżeńskich wiele razy mogłem się przekonać, że szczerość działa bardziej jak hacha niż jak pieszczota. Przez pewien czas w latach osiemdziesiątych wszyscy wielcy guru prasy kobiecej powtarzali jak mantrę: „Tylko szczerość, od początku do końca”. Aż trudno ocenić, jak olbrzymie straty przyniosła ta chybiona rada. Od tamtej pory, ilekroć słyszałem w moim gabinecie kierowane do życiowego partnera prośby o bezgraniczną szczerość, natychmiast przestawiałem swoje czujniki na dwa elementy. W pierwszym rzędzie nadstawiałem ucha, czy nie złowię tonu niepewności dopraszającej się o słowa otuchy. W przeciwnym razie powstawała obawa, że mam do czynienia z chorobliwą tęsknotą za cierpieniem czy równie chorobliwym pragnieniem uzyskania licencji na zadawanie cierpienia. Usłyszawszy jej „powiedz szczerze”, zdecydowałem, że kierowała nią ta pierwsza pobudka, a nie druga, i nawet pomodliłem się przez chwilę, żeby tak było.

Bardzo żałowałem, że nie mogę jej teraz przytulić albo pocałować w czubek nosa. Niestety. Dlatego powiedziałem:

- Jest jeszcze bardzo daleko do granicy mojej wytrzymałości.

Nie odparłem: „Mam poważne obiekcje” ani „Szkoda, że nie jestem tak dobry i szlachetny, jak chciałbym być”. Nie powiedziałem: „Nie znam dokładnie granic swojej wytrzymałości, ale zdaje się, że mam ją w zasięgu wzroku”. Nie zrobiłem tego.

Tylko dodałem jej otuchy. Czemu? Bo w tej chwili otucha była co najmniej tak samo prawdziwa, jak moje wątpliwości, a na pewno o wiele prawdziwsza od moich obaw.

W odpowiedzi tylko cicho mruknęła. Czy to wyraz rozczarowania? Ulgi? A może wyrzut? Nie potrafiłem ocenić.

Śmietanka otuchy, którą w nią właśnie chlusnąłem, miała już zeschnięte ostre krawędzie.

Postanowiłem więc dodać trochę cukru, żeby była smaczniejsza.

- Donikąd się nie wybieram, skarbie. Kocham cię.

To było prawdą. Może znaczyło mniej od całkowitej szczerości, ale tylko trochę. Powiedzmy, że stanowiło niedoskonałą szczerość w niedoskonałym świecie. Nikt, a już najmniej Lauren, nie powinien poświęcać całego dnia na wyciąganie jakichś hachas ze swojej cabeza.

Niemniej telefon był koszmarnym przyrządem do oceny skuteczności pocieszenia, miałem więc obawy, że moje słowa spełniły tylko rolę taniego środka łagodzącego ból. Zbierałem się już do wyjścia, kiedy poczułem na udzie wibracje pagera. Nie było żadnej wiadomości, ale rozpoznałem numer. Rzuciłem teczkę oraz marynarkę na biurko i wybrałem go powoli, dając sobie czas na zebranie myśli.

Zaciekawilo mnie, czy Georgia znajduje się w centralnej, czy już we wschodniej strefie czasowej. Chyba to drugie. Niemal całą minutę zajęło mi znalezienie miejsca, gdzie mógłbym zrównoważyć obecną irytację dotychczasowym współczuciem i przywiązaniem.

W słuchawce rozległ się głos Sama:

- Cześć, Alan. Odparłem:
- Cześć, Sam. Co się dzieje?
- Jestem w Georgii.
- Aha. - Chciałem już powiedzieć, że wiem, ale zadziałał odruch wynikający z konieczności zachowania tajemnicy zawodowej. - Która tam jest teraz godzina?
- Parę minut po ósmej. Bardzo jesteś wściekły?
- Lauren znowu choruje. Nie mam tyle energii, by marnować jej choć odrobinę na wściekanie się na ciebie.
- A co jej dolega?

Wyjaśniłem mu trudne położenie Lauren z cierpliwością, jaką należało zachować w rozmowie z przyjacielem, po czym usłyszałem należne słowa otuchy. Od razu poczułem się lepiej.

- A co z tobą? - zapytałem. - Jak się czujesz?
- Ta... wyprawa samochodem tylko mi wyszła na dobre, jak sądzę. Pozwoliła zapomnieć o wielu sprawach. W każdym razie nie odczuwam żadnego bólu w piersi. Przestrzegam ściśle diety i regularnie łykam wszelkie pigułki.
- A ćwiczysz?
- Spaceruję, kiedy tylko mogę.
- To bardzo ważne, Sam.
- Wiem.

To jego „wiem” było wyraźną wskazówką, że najwyższa pora przejść do sedna rzeczy.

- Nie masz żadnych wiadomości od Sherry?
- Nie. Wiem tylko, że z Simonem wszystko w porządku. Rozmawiałem z Angusem. - Zawiesił głos, dając mi czas na reakcję, a gdy milczałem, dodał: - Ona mnie nadal kocha. I ja ją kocham.
- Ale martwisz się wciąż, że to za mało?
- Nic nie jest proste, co nie? Życie, małżeństwo, wzajemne relacje... to skomplikowane sprawy. Posłuchaj, uznałem, że powinieneś wiedzieć, iż moim zdaniem on żyje. Mówię o Sterlingu.
- Poważnie?
- Cały ten wypadek z próbą ratowania kobiety uwięzionej w samochodzie był tak idiotyczny, że szkoda gadać. Z rozmów ze świadkami nie wynikło nic, co dałoby mi choć cień przekonania, że naprawdę skoczył kobiecie na pomoc, pośliznął się, wpadł do rzeki i utonął we wzburzonej wodzie.
- To czego się dowiedziałeś?
- Opowiem ci później, jak będę miał więcej czasu. Ale na przykład... po jednej stronie auta stojącego na krawędzi skarpy było drzewo i sporo krzaków, miałby się więc czego złapać, a po drugiej tylko goły błotnisty grunt, opadający naprawdę stromo. Jak sądzisz, z której strony próbował podejść?
- Po błocie.

- Zgadza się. Jak powiedziałem, czysty idiotyzm. Według mnie każdy, kto ma iloraz inteligencji co najmniej równy punktacji swojej partii golfa, wybrałby podejście od strony drzewa i krzaków. Wciąż próbuję znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie, ale bez rezultatu.
- Myślisz, że zaplanował swoje zniknięcie i dlatego zniknął pod wodą? Czy też wpadł do rzeki i już w nurcie postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję?
- Dobre pytanie, Alan. Jestem pod wrażeniem. Okazuje się, że przystanął na skraju stromizny na tyle długo, żeby wszystko sobie dobrze przemyśleć. Zresztą wcześniej minął miejsce wypadku, dopiero później zawrócił i podjechał. Rozumiesz więc, dlaczego sędzę, że zniknął z premedytacją? Poprosiłem już Lucy, żeby sprawdziła, czy był dobrym pływakiem.
- Mogę się założyć, że nawet bardzo dobrym. - Przecież ktoś, kto zatrudnił się na pokładzie wielkiego jachtu i urządził pokazowe nurkowania, musiał się czuć w wodzie bardzo swobodnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaciekał się Sam. Uświadomiłem sobie, jak bliski byłem ujawnienia tajemnicy.

- Nic szczególnego. Po prostu jestem przekonany, że Lucy znajdzie coś ciekawego.
- Mógłbyś zaoszczędzić jej trudu.
- Mógłbym, ale tego nie zrobię. Puścił tę uwagę mimo uszu.
- Jeśli cię to interesuje, chcę zachować swoje podejrzenia tylko dla siebie do czasu, aż zdobędę jakieś dowody.

Dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza informować Gibbs o tym, że Sterling prawdopodobnie żyje.

- Czy to oznacza, że niedługo wracasz?
- Nie, jeszcze tu nie skończyłem.

Na kilka sekund dopuściłem na pierwszy plan szum połączenia telefonicznego, nim zapytałem:

- Dlaczego, Sam? Po co zajmujesz się tą sprawą?
- Może zabrzmiało idiotycznie, ale wykombinowałem, że mógłbym się nauczyć od Sterlinga paru rzeczy dotyczących małżeństwa. Prawdę mówiąc, nie tylko od Sterlinga, ale i od Gibbs.
- O czym ty mówisz? - zapytałem z jawnym niedowierzaniem.
- Dobrze słyszałeś.

Zatem traktował to poważnie. Całkiem serio.

- To chyba najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. A biorąc pod uwagę to, jak zarabiam na życie, należałoby uznać, że to szczyt głupoty.
- Może i tak - odparł. - Ale mnie jest dobrze z takim wytłumaczeniem.
- Sam, a jeśli się nie mylisz co do Sterlinga? Jeśli on nie zginął? Może teraz zapragnąć się na niej zemścić?
- Na Gibbs?
- Tak.
- O tym nie pomyślałem. - Zamilkł na krótko. - Nie, to chyba mało prawdopodobne.
- A ja sędzę, że tak.
- Czemu tak uważasz?
- On ma swoje powody.
- Coś, o czym nie wiem?
- Nie mam pojęcia, co wiesz, a czego nie.
- Na pewno świetnie wiesz, co przede mną ukrywasz. Więc może lepiej powiedz mi wprost, czy naprawdę ma ważne powody.
- Tak, naprawdę ma ważne powody. - Szybko powtórzyłem w myślach imiona zabitych kobiet, odliczając na palcach prawej ręki. Ma co najmniej cztery ważne powody, dodałem w duchu.



- W takim razie zadzwonię do niej i powiem, że wcale nie jestem przekonany o jego śmierci. I że powinna bardzo uważać. Nie znalazłbyś dla niej jakiejś bezpiecznej kryjówki?

- Powiedzmy, że ta oferta już od dawna leży na stole. Znow na parę sekund zapadło milczenie, wreszcie Sam rzekł:

- Nienawidzę takich sytuacji. Nie cierpię ich. Ta sama kobieta, która nie wypuści z domu dzieciaka, żeby pojeździł po podwórzu na rowerku, jeśli nie włoży wcześniej kasku na głowę, nie chce podjąć żadnych, ale to absolutnie żadnych kroków, żeby ratować własną czaszkę, by nie rozwalił jej łobuz, który według niej bardzo ją kocha. Naprawdę nienawidzę takich sytuacji.

- Tak, rozumiem. - Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Bezwiednie w skrytości ducha mój umysł pieczołowicie przetłumaczył „ratować własną czaszkę, by nie rozwalił jej” na kolokwialną hiszpańską wersję zawierającą cabezas oraz hachas. I również w skrytości ducha przekląłem Diane.

- Aha, byłbym zapomniiał - dorzucił na koniec Sam. - Pytałeś o ten anonimowy cynk, który policja dostała na temat męża sędzi handlującego kokainą. Otóż pochodził z biura prokuratora okręgowego. Tylko tyle udało mi się dowiedzieć. Mam nadzieję, że to ci wystarczy. Miało mi wystarczyć? Niezupełnie. Oznaczało bowiem, że jeśli Jim Zebid dowie się o tym, co właśnie usłyszałem od Sama -a było to raczej nieuniknione - będzie miał kolejny powód, aby wierzyć, że to ja wygadałem się przed żoną z poufnej informacji o kokainowym problemie męża sędzi Jary Heller, a Lauren przekazała ją policji, wykorzystując któregoś kolegę z biura prokuratora okręgowego.

Cudownie.

Moja druga próba wyjścia z gabinetu zakończyła się prawie tak samo jak pierwsza. Wibrujący pager zatrzymał mnie przed drzwiami. Po raz kolejny rzuciłem teczkę na biurko. I tak jak poprzednio od razu rozpoznałem numer, który pojawił się na wyświetlaczu.

Gibbs ledwie mogła złapać oddech. Poderwała słuchawkę jeszcze zanim dotarł do mnie pierwszy sygnał wywołania.

- Właśnie stąd wyszła. Przed chwilą! Najdalej dwie minuty temu! Jak mogłeś?! Kto ci na to pozwolił?! A ja ci ufałam!

- Gibbs - odezwałem się błagalnym tonem. - Uspokój się, proszę. Nie wiem, o czym mówisz.

- Przed chwilą stąd wyszła. Nie mogę uwierzyć, że wszystko jej powiedziałeś!

- O kim mówisz?

- O Reynoso. Tej... tej...

- Uważasz, że coś jej powiedziałeś? Nie rozmawiałem z nią od soboty. Nie wiedziałem nawet, że jeszcze tu jest. - Mój de-fensywny ton był nazbyt refleksyjny. Zaczynała mnie ogarniać frustracja z powodu powtarzających się oskarżeń pacjentów o niedyskrecję co do powierzonych mi przez nich tajemnic. Nie potrafiłem tego ukryć.

Minęło parę sekund milczenia. Czyżby się wahała? A może tylko zbierała siły do następnego ataku? Nie byłem pewien. Kiedy jednak odezwała się ponownie, furii w jej głosie było odrobinę mniej.

- Twierdzisz, że nic jej nie mówiłeś o tych pozostałych kobietach? Nie powtórzyłeś jej tego, o czym rozmawialiśmy dziś rano?

Jej ton świadczył wyraźnie, że nie była specjalnie przygotowana, aby uwierzyć, iż naprawdę nie puściłem pary z ust.

Ale ja też się zawahałem. Termin „pozostałe kobiety” równie dobrze mógł dotyczyć tych, z którymi, według relacji Gibbs, Sterling miał jakoby sypiać już w czasie trwania ich małżeństwa, jak również tych, które miał zabić. Nie musiałem się jednak dłużej zastanawiać, by dojść do wniosku, że nie mówiłem Carmen Reynoso o żadnej z tych dwóch grup.

Odtworzyłem w pamięci przebieg wydarzeń na tyle dokładnie, aby przekonać samego siebie, że przed dzisiejszą poranną sesją z Gibbs nic nie wiedziałem o żadnej z obu tych grup kobiet. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że nie jest to do końca prawdą. Wiedziałem o podejrzeniach pacjentki co do innych ofiar mordercy niemal od początku ubiegłego tygodnia. Nie znałem tylko żadnych szczegółów. Niemniej, naprawdę nikomu nie wspominałem o podejrzeniach Gibbs. W tym zakresie miałem absolutną pewność.

- Nie, ani słowa - odparłem.

- Na pewno nie rozmawiałeś z nią dzisiaj?

- Nie, Gibbs. Nawet nie ruszałem się z gabinetu od zakończenia naszej porannej sesji. Nie mogłem z nikim podzielić się uzyskanymi od ciebie informacjami. Chciałbym, żebyś pozwoliła je ujawnić, ale dopóki tego nie zrobisz, z nikim nie będę na ten temat rozmawiał.

- No cóż, ja także nie mówiłam o tych pozostałych kobietach nikomu oprócz ciebie. Więc jak ona się o nich dowiedziała?

To bardzo ważne pytanie.

Cholernie ważne.

Gibbs pożegnała się, poprosiwszy jeszcze o przełożenie jej regularnych wizyt na wtorki.

Mogłem jej zaproponować tylko środowy termin, który właśnie się zwolnił.

Położyłem swoje rzeczy na biurku i zacząłem się przechadzać po gabinecie.

Nie był to mały pokój, ale też nieszczęśliwie okazały. Jakieś pięć na siedem metrów.

Wystarczyło miejsca na moje masywne biurko, regał z papierami, przestrzeń do rozmów z pacjentami i kilka półek na książki. Przez trzy okna i wąskie drzwi balkonowe wpadało wystarczająco dużo światła. Podwójne drzwi, z których jedne otwierały się do środka, a drugie na zewnątrz, zapewniały bezpieczeństwo i dźwiękoszczelność, a wychodziły na ciasny korytarzyk biegnący na tyłach lokalu, jaki wynajmowaliśmy wspólnie z Diane. Wydaliśmy sporo forsy na generalny remont i przesunięcie ścianek działowych, fundując sobie nawet specjalne dźwiękochłonne przegrody w przewodach wentylacyjnych, a wszystko po to, by żadne dźwięki nie wydostawały się z gabinetów na korytarz i z pokoju do pokoju. Korytarzyk był oddzielony od poczekalni kolejnymi ciężkimi drzwiami zamykanymi na gruby rygiel. A po włamaniu, do którego doszło przed laty, mąż Diane zainstalował dodatkowo jakiś nowoczesny system alarmowy obejmujący cały budynek.

Upewniałem się w duchu, że przecież nikt nie mógł podsłuchać, o czym rozmawiałem z pacjentami podczas sesji psychoterapeutycznych w moim gabinecie.

A co z gabinetem Diane? Czy stamtąd nie dałoby się niczego podsłuchać? Nie, to także niemożliwe. Podczas naszych codziennych rutynowych zajęć jedynymi dźwiękami, jakie sporadycznie dolatywały przez ścianę rozdzielającą oba gabinety, były krótkie wybuchy gromkiego gardłowego śmiechu Diane. Nie mogłem sobie przypomnieć, aby choć raz były to słowa kogoś z jej pacjentów. Odgłosy zwykłych rozmów po prostu nie przedostawały się przez grubą ścianę.

Ciężko klapnąłem na kanapę, żeby jeszcze raz odtworzyć w pamięci przebieg dnia.

Niezależnie od tego, pod jakim kątem go rozpatrywałem, nie mogłem sobie przypomnieć nawet najdrobniejszej niedyskrecji, jaką mógłbym popełnić co do wyznań Gibbs. Podczas sesji z nią

nie zapisałem w notatniku ani jednego zdania. I z nikim nie rozmawiałem o jej przypadku.

Nawet z Samem? Zgadza się, nawet z Samem.

A to mogło oznaczać tylko jedno. Policja we własnym zakresie zdobyła te same informacje.

Czy w grę mogło wchodzić jakiekolwiek inne wyjaśnienie?

Jak miało się wkrótce okazać, niestety, i na to pytanie znalazła się odpowiedź.

Sam

Zanim wyszedłem z domu sióstr Wolf, otrzymałem zaproszenie na świąteczną kolację za kilka dni. Bliźniaczki wyjaśniły, że zwykle przygotowywały dużego, tradycyjnie smażonego w oleju indyka dla licznej gromadki krewnych i znajomych zbierających się w ich domu, ale w tym roku postanowiły po raz pierwszy przyrządzić danie specjalne zwane „turducken”, będące pieczonym filetem z indyka nadziewanym mięsem kurczęcia i kaczki. Nie wiedząc czemu uznały, że w tej sytuacji będę świetnym uzupełnieniem grona zasiadającego przy ich świątecznym stole.

- Smażyłście całego indyka w oleju? - zapytałem zdziwiony, gdyż nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto przyrządzałby pieczeń w ten sposób, i choć o nim słyszałem, uważałem, że to zwykła bujda, jak wymyślone przez kowbojów „szakalopy”, czyli dzikie rogacie króliki. Dopiero gdy któregoś roku straż pożarna w Boulder została wezwana do palącego się kotła z indyczą pieczenia w oleju, musiałem wyciągnąć tę metodę spośród legend, choć nadal nie mogłem pojąć, co ludzie potem robią z taką ilością wysmażonego oleju.

- Przecież to najlepszy sposób na indyka - odparła Mary Ellen. - Otrzymuje się wspaniale soczyste mięso, panie Purdy. Ale w tym roku zdecydowałyśmy się odejść od tradycji i wypróbować coś nowego, a nasz wybór padł na „turducken”. Pan Prudhomme, mistrz kucharski z Nowego Orleanu... - Zarówno nazwisko, jak i nazwa stolicy Luizjany zostały wypowiedziane z szacunkiem, zwykle zarezerwowanym dla bohaterów narodowych albo świętych - ...zaleca piec tę potrawę na bardzo małym ogniu, więc pewnie będziemy musiały ją wsadzić do pieca jeszcze w środę wieczorem. A w czwartek rano cały dom będzie pachniał jak kuchnia babci samego pana Boga.

Mary Pat widocznie dostrzegła niedowierzanie w moich oczach, gdyż szybko dodała:

- „Turducken” to kajuńska pieczeń, panie Purdy. Mięso kurczaka z kawałkami surowej kiełbasy andouille marynuje się w sosie ostrygowym z przyprawami, po czym nadziewa się nim filet z kaczki, a całość układa się w filecie z indyka. Poszczególne warstwy mięs rozdziela się jeszcze różnymi sosami i przyprawami. W ten sposób robi się pieczeń bez kości. Jest przepyszna.

Próbowałem sobie wyobrazić całą tę feerię aromatów z opisanych przez Mary Pat składników, ale już na samym początku zawiodła mnie wyobraźnia. Niepostrzeżenie przesunąłem dłoń po górnej części mego brzucha, aż trafiłem kciukiem na dolną krawędź mostka. Ręka zakotwiczona w tym miejscu zaczynała być dla mnie swoistym pomnikiem ambiwalencji: wewnętrzna część dłoni spoczywająca na krągłości brzucha składała hołd memu imponującemu dotąd apetytowi, natomiast kciuk lekko dociskający mostek był wyrazem wierności zaleceniom kardiologa.

- I wszystko to... jak długo się piecze? - zapytałem. - Przecież mięsa musi być w sumie z dziesięć kilogramów.

- To rzeczywiście duża pieczeń. Jakieś czternaście godzin na wolnym ogniu powinno ją doprowadzić do perfekcji. Ale potem będzie musiała jeszcze trochę poleżakować w ciepłe, żeby wszystkie zapachy się przegryzły, zanim podamy ją na stół.

Z uśmiechem równie apetycznym, jak najlepsza szarlotka, Mary Pat dodała:

- A pan z pewnością nie jadł ani razu prawdziwej świątecznej kolacji, jeśli nie próbował pan sosu pieczeniowego mojej siostry albo jej placka kukurydzianego.

Mary Ellen z wyraźną dumą przyjęła ten komplement.

- Słodka papryka - wyjaśniła. - To sekret naszej matki. Duża ilość słodkiej papryki.

- Czy mogę później odpowiedzieć na to zaproszenie? - zapytałem. - Moje plany na czwartek są jeszcze zawieszony w próżni.

- Nie musi pan dzwonić. Proszę po prostu wpaść, jeśli będzie pan mógł. Zostawimy przy stole miejsce dla pana, a może być pan pewien, że z Bożą pomocą nie zabraknie pożywienia pod tym dachem w Święto Dziękczynienia. Mary Ellen zacznie kroić pieczeń punktualnie o drugiej.

Mie dalej niż kilometr od domu bliźniaczek zatrzymałem samochód na poboczu szerokiego pasa gołej ziemi, który uważałem za oczyszczone pole bawełny, i zadzwoniłem do Alana Gregoryego, żeby powiadomić go o swoich odkryciach w Georgii, a następnie do Gibbs Storey, by powiedzieć jej, że moim zdaniem przedwcześnie uważa się jej męża za zmarłego.

- Więc on żyje? - odparła zdumiona. W końcu jak inaczej miałyby zareagować.

Podkreśliłem jednak z naciskiem, że i ten wniosek byłby na razie zdecydowanie przedwczesny. Zaapelowałem do jej rozsądku i zasugerowałem, by na jakiś czas przeniosła się gdzieś, gdzie jej mąż nie znajdzie ją zbyt łatwo.

- Sterling nie zrobiłby mi krzywdy - wycedziła.

- Gdybym zakładał się tylko o dolara, ilekroć w ciągu moich dwudziestu lat służby słyszałem podobne zdanie od różnych kobiet, jeździłbym dzisiaj luksusowym lincolnem.

Westchnęła głośno i obiecała, że się zastanowi.

- Niech mi pani zaufa, Gibbs. Po tym wszystkim, co pani przeszła, najwyraźniej nie myśli pani logicznie...

- Nic mi nie jest.

Mogłem się tego spodziewać. Ale zrobiłem, co mogłem. Schowałem telefon, uruchomiłem silnik i ruszyłem.

Godzinę później byłem na przedmieściach Albany w Georgii i próbowałem w ciemno wybrać na nocleg jeden z dwóch sąsiadujących ze sobą moteli, kiedy odebrałem wysłaną przez Lucy na mój pager wiadomość, informującą tylko nam znanym kodem o pilnej sprawie. Musiałem wyciągnąć rękę na całą długość, by odczytać widniejący na wyświetlaczu numer 911 i następujący po nim numer telefonu. Jasne, że nie był to żaden wymyślny kod, ale świetnie spełniał swoje zadanie.

Wybrałem motel, który nie należał do ogólnokrajowej sieci, i zameldowałem się, zanim z telefonu komórkowego odpowiedziałem na wezwanie partnerki. Mroczny pokój motelowy był pełen obióc pochodzących z epoki mojej babki, w powietrzu dominował intensywny zapach kurzu, a w jego tle smród tytoniu mieszał się ze stęchlizną ustawicznej wilgoci, co dawało melanż tak bardzo mi obcy, jak silny akcent wszystkich mieszkańców Georgii, z którymi dotąd rozmawiałem.

Lucy przesłała mi numer swojej komórki, a nie służbowego telefonu na komendzie.

Doszedłem więc do wniosku, że ma bardzo ważną sprawę.

- Cześć - zacząłem. - To ja.

- Cześć, Sammy. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęsknię. Dobrze się czujesz?

- O tym później. Co się dzieje? - Nie wysyłała mi przecież kodu 911, żeby dopytywać się o zdrowie.

- Posłuchaj, pewnie w to nie uwierzysz, ale chłopcy z prewencji... tak, nie przesłyszałeś się, z prewencji... dostali cynk, oczywiście anonimowy, że Sterling Storey może być odpowiedzialny nawet za cztery morderstwa. Ich ofiarami padały wyłącznie kobiety, i zawsze w tych miastach, w których kiedyś pracował. Wiesz, że bardzo dużo podróżuje, zajmując się produkcją transmisji telewizyjnych dla sieci kablowej.

- Tak, wiem. Czy ta poszlaka znalazła jakieś potwierdzenie?

- Co najmniej jeden przypadek bardzo pasuje. Pewna kobieta z Indianapolis zaginęła dokładnie w takich okolicznościach, o jakich była mowa w donosie. Z opisu bardzo podobna do Louise Lake, samotna, atrakcyjna, przed trzydziestką, pracowała tam, gdzie odesłał nas anonimowy informator. Razem z Donaldem zbieramy fakty dotyczące tej sprawy. Inne

zespoły zajmują się przypadkami innych zabitych kobiet, ale nie umiem powiedzieć nic na temat ich postępów.

- Możesz mi podać nazwisko tej kobiety?

- Julie Franconia. Pracowała w dziale marketingu bądź w biurze rzecznika prasowego Indiana Dome...

- Teraz to chyba RCA Dome, jak mi się zdaje. Gra tam drużyna Coltów. Między innymi Peyton Manning. Świetny chłopak.

- Mniejsza z tym. Zaginęła w dwutysięcznym roku, pod koniec marca, jeśli się nie mylę. Zaczekaj chwilę... Tak, dwudziestego trzeciego marca dwutysięcznego roku.

- Znalaziono jej szczątki?

- Dopiero rozpoczęliśmy gromadzenie materiałów.

- W jakich okolicznościach zaginęła?

- Powiedziała koleżankom, że umówiła się z jakimiś znajomymi dziewczętami na drinka po pracy. Nikt jej więcej nie widział.

- Na pewno nikt?

- Właśnie to próbujemy potwierdzić. Stary kazał nam traktować tę sprawę jak zaginięcie bez śladu, ale miejscowy gliniarz już mi powiedział, że nie rozumie, po co się robi wokół tego tyle zamieszania, skoro według ich ustaleń było to niewątpliwe zabójstwo. Czekamy na telefon od śledczego, który zajmował się dochodzeniem. Wiesz, jak trudno się z niektórymi skontaktować w okresie przedświątecznym.

- Prasa już zwietrzyła sensację?

- Do mnie jeszcze nikt nie dzwonił, ale coś mi się zdaje, że tak.

- Cztery? Mówiłaś o czterech zabójstwach?

- Tak, czterech, włączając w to znane ci morderstwo w Kalifornii.

- A gdzie doszło do dwóch pozostałych?

- Jedno wydarzyło się w Augusta w Georgii, a drugie w West Point w stanie Nowy Jork.

- Więc chodziłoby o mecze Mastersów i... sam nie wiem, rozgrywki piechoty z marynarką wojenną?

- Brzmi prawdopodobnie - mruknęła Lucy, która poza okazijnymi wizytami na meczach lokalnej drużyny Broncos nie interesowała się sportem, nie znała podstawowych faktów z tego zakresu i wcale się tego nie wstydziła.

- Wiesz coś o postępach poszukiwań topielca w dole rzeki? -zapytałem. - Czy ciało Storeya nie wypłynęło? Lepiej mi powiedz, że tak. Jeśli potwierdzisz, może wrócę niedługo do domu.

- Chciałabym mieć dla ciebie dobre wieści, Sam. Poszukiwania jeszcze trwają, ale nikt już chyba nie liczy na odnalezienie zwłok. W każdym razie odwoływane są kolejne zespoły. Aha, gdyby cię to interesowało, miałeś rację co do Storeya. Jest, a może raczej był świetnym pływakiem, gwiazdą szkolnej drużyny piłki wodnej.

- Piłki wodnej? Rzadko kto w to grywał, kiedy ja chodziłem do szkoły średniej w Minnesocie.

Lucy znała mnie na tyle dobrze, by nie reagować na podobne przejawy ironii. Zapytała:

- Nie kontaktowałeś się z przedstawicielami tamtejszych władz lokalnych, prawda?

- Przeprowadziłem krótką kurtuazyjną rozmowę, gdy dotarłem na miejsce. Ale oni szukają topielca, a ja czegoś zupełnie innego.

- Poważnie sądzisz, że on żyje?

- Nie jestem jeszcze gotów, by w tej kwestii myśleć na głos. Zakładam jednak, że ktoś rozmawiał z tym przyjacielem Ster-linga Brianem Milesem.

- Owszem, przesłuchiwała go policja stanowa z Georgii. Powiedział, że Sterling dzwonił do niego z Tallahassee z zapowiedzią wizyty, ale się nie pokazał. Jak należało się spodziewać. W tle usłyszałem jakąś stłumioną zapowiedź podawaną przez megafony, toteż zapytałem:

- Gdzie teraz jesteś, Luce?

- W Whole Foods, żeby kupić sobie coś na obiad. Czemu pytasz?
  - Wracasz jeszcze na komendę?
  - Jak zwykle zjem przy swoim biurku. Na razie prowadzę tę sprawę, korzystając wyłącznie z telefonu i komputera.
  - Będę trzymał włączony pager. Smacznego.
  - Na pewno dobrze się czujesz?
  - Spotkałem tu przemyłych, bardzo życzliwych ludzi. Wiesz co, Luce? Poproś chłopców z patrolu, żeby mieli na oku dom Gibbs Storey. Możesz to zrobić?
  - Jasne. Zatem poważnie myślisz, że on żyje.
  - Byłbym zapomniał. Jeszcze jedno. Reynoso jest ciągle w Boulder, czy już wróciła do Kalifornii?
  - Ona? Ani jedno, ani drugie. Słyszałam, że wybiera się do Georgii, żeby poszukać Sterlinga. Nie natknąłeś się jeszcze na nią?
  - Pewnie bym zapamiętał, gdyby tak się stało. Zaśmiała się krótko.
  - Podejrzewam, że najpierw zechce odszukać ciebie.
  - W takim razie sprawdzimy, czy jest dobrym detektywem. Dzięki, Luce. Odezwę się.
- Odchyliłem się na poduszki i oparłem głowę o wezglowie łóżka. Mój ciężar sprawił, że z hukiem walnęło w ścianę, wyobraziłem sobie więc, jakiego łoskotu narobiłaby pełna energii młoda para kochająca się na tym łóżku. Ta myśl zmroziła mnie na dobre i zacząłem się zastanawiać, kiedy po raz ostatni z Sherry przetestowaliśmy nasze łóżko, kiedy zdrowo je rozkołysaliśmy.
- Nie mogłem sobie przypomnieć.
- Lucy powiedziała, że Sterling Storey mógł za sobą zostawić kolejne ofiary w Augusta oraz Indianapolis.
- Augusta była bliżej, ale tam musiałbym się poruszać całkowicie po omacku. Do Indianapolis było dalej, za to mogłem od Lucy wyciągnąć pewne dane, które bardzo by mi pomogły. Tylko czego miałbym tam szukać?
- Nie wiedziałem. Pozostawało mi tylko liczyć, że na coś się natknę.
- Chłopak w recepcji nie tyle poruszał się na wózku inwalidzkim, co był do niego przykuty. Wręcz trudno go było sobie wyobrazić w innej pozycji niż z grubą zardzewiałą rurą wciskającą jego otłuszczone biodra w skajowe obicie fotelika, gdyż tylko w ten sposób mógł się przemieszczać za kontuarem. Na kawałku nylonowej linki miał zawieszony na piersi, odwrócony do góry nogami miniaturowy kolorowy telewizorek o przekątnej ekranu nie większej niż trzy cale. Oglądał chyba jakiś teleturniej i od czasu do czasu unosił telewizorek w górę, kierując wzrok mniej więcej na swój pepek.
- Koło Fortuny? Nie byłem pewien.
- Dałem mu dziesięć dolarów za to, żeby pozwolił mi się wymeldować bez opłaty za tych kilka minut, jakie spędziłem w pokoju.
- Z mojego punktu widzenia to nie jest wymeldowanie, tylko anulowanie zameldowania - powiedział. - Dokąd to aż tak bardzo panu spieszo?
  - Do Indianapolis, jak sądzę. Odebrałem telefonicznie pilne wezwanie i muszę wyjechać.
  - Nigdy tam nie byłem.
  - Ja też. Odwróciłem się już do wyjścia, ale po krótkim namyśle zapytałem go jeszcze: - Jadł pan kiedyś „turducken”?
  - Jasne. Pewnie. - Uśmiechnął się szeroko i tak gwałtownie, że aż policzki mu się zatrzęsły, a pod dolną szczęką pojawiły się trzy podbródki. - Oczywiście, że jadłem. Trzy lata temu podczas kolacji na Święto Dziękczynienia. U ciotki Totsy, młodszej siostry mojego taty, która mieszka w samej Delcie. To coś, czego koniecznie trzeba spróbować. Koniecznie.
  - Ta podróż na północ, w którą muszę już teraz wyruszyć,

zapewne pozbawi mnie jedynej w życiu okazji do spróbowania „turducken”. A teraz w dodatku zaczynam to uważać za prawdziwą tragedię. No cóż, w każdym razie życzę panu wesołych świąt.

- Będę tutaj - rzekł grobowym głosem, dając mi do zrozumienia, że jego tegoroczne święta nie zapowiadają się ani trochę wesoło i że nie będzie miał okazji do skosztowania „turducken” w rodzinnym gronie w domu ciotki Totsy w delcie Missisipi. A kładąc nacisk na słowie „tutaj”, wcale nie wskazał na motelową recepcję ani swój wózek inwalidzki. Postukał palcem w ekranik telewizorka zawieszonoego na szyi.

Wystarczyło parę minut bliższego kontaktu z wydawnictwami Rand McNally, bym nabrał przeświadczenia, że powinienem się dostać do Indianapolis po dziesięciu, najwyżej dwunastu godzinach jazdy. Postanowiłem zatem jechać sześć godzin, następne sześć przespać, potem znów na sześć usiąść za kierownicą, żeby poszukać sobie jakiegoś miejsca na dobry lunch w sąsiedztwie kompleksu sportowego RCA Dome.

Do tego czasu Lucy powinna już wiedzieć coś konkretnego.

Miałem więc szansę na wskazówki, czego właściwie należy szukać.

42

Alan

Wtorkowy ranek zastał Lauren w nastroju nadzwyczaj pobudzonego zombie, skrzyżowanie zajęczka Energizera z bohaterami Nocy żywych trupów.

Stan jej porażonej nogi się nie pogorszył, może nawet odrobinę poprawił. I nie była już tak osłabiona. Ale na tym kończyły się dobre wieści.

Było ich zdecydowanie za mało. Troska o żonę i przyszłość -jej, Grace, naszą wspólną - wciąż nie dawała mi spokoju, ale nie rozmawialiśmy na ten temat w czasie trwania silnego sterydowego zamglenia. Żadne z nas nie chciało wspominać bezczelnego słonia, który rozbił sobie namiot pośrodku naszego salonu.

Jakoś przetrwaliśmy noc - w czasie której prawie nie zmrużyłem oka, a ona tym bardziej - i dzięki temu, że Viv od samego rana zajęła się Grace, zdołałem dotrzeć do gabinetu w samą porę, przed pierwszą umówioną sesją.

Wtorkowy dzień pracy okazał się wyjątkowy przez swoją normalność. Poświęciłem go bez reszty pacjentom, mając nawet poczucie względnej skuteczności działania. Kiedy wracałem wieczorem do domu, doszedłem do wniosku, że przede mną jeszcze bardziej tytaniczne zadanie, za jakie uznałem próbę bycia równie skutecznym mężem i ojcem w domu, który aż trząsał się w posadach od reperkusji nawrotu choroby i jej intensywnej kuracji.

Wszyscy razem - to znaczy Grace, Lauren i ja, przy wszechstronnej pomocy Viv oraz obu psów - dociągnęliśmy do mety. Czyli do środowego poranka. Już tylko jeden dzień roboczy dzielił nas od przedłużonego czterodniowego świątecznego weekendu.

Czy zapowiadał się na ciężki?

Lokalne media coraz śmieiej używały sobie na kłopotach państwa Storeyów. W porannych wiadomościach telewizyjnych, podobnie jak w gazetach wychodzących w Boulder i Denver, gdzie dość szczegółowo opisano już związek Gibbs i Sterlinga z zabitą Louise Lake, redaktorzy koncentrowali się teraz na najbardziej sensacyjnych elementach tej historii, włączając w to szczegóły bezowocnych poszukiwań topielca nad brzegami rzeki Ochlockonee oraz podejrzenia policji co do odpowiedzialności Sterlinga Storeya za śmierć trzech innych kobiet.

Podejrzewałem, że Gibbs będzie przytłoczona tymi medialnymi rewelacjami. Pewnie najchętniej zapadłaby natychmiast w długi sen zimowy, dlatego też wcale nie byłem pewien, czy pojawi się na dzisiejszej porannej sesji.

Jednak przyjechała.

- Nie chcę słyszeć o żadnych schroniskach. Za nic nie wyprowadzę się z domu. Po prostu uważam, że nie znalazłabym sobie miejsca poza nim.

Było to coś w rodzaju wyjściowego gambitu, bo tak brzmiały jej pierwsze słowa po obowiązkowym „dzień dobry”.

Czy spodziewałem się tego? Niezupełnie. Zaskoczyła mnie? Ani trochę. Podstępny charakter zjawiska określanego mianem przemocy w rodzinie bardzo często objawiał się tym, że wahadło nadziei błyskawicznie wędrowało od rzeczywistości do zaprzeczenia i z powrotem. Tak więc Gibbs znalazła się w fazie zaprzeczenia. Ten wstęp dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nie była w stanie ułożyć sobie zawczasu właściwego przebiegu naszej rozmowy, toteż zostawiała mi wolną rękę, mając nadzieję, że z własnej woli obnażę przed nią swoje kłamstwa. Ja natomiast najchętniej dałbym jej wolną rękę w kontynuowaniu swobodnej relacji bez mojego udziału, gdyby tylko była do tego skłonna.

- Jechali za mną. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Czekali na ulicy przed domem. Zauważyłam ich, jak otwierałam garaż.

- Jacy oni?

- Dziennikarze.

Pokiwałem głową. Mogłem ją zachęcić, by dalej uzewnętrzniała swą niechęć do dziennikarzy, wolałem jednak skierować ją na inną ścieżkę, którą sama wcześniej podsunęła.

- Zatem jest pani przekonana, Gibbs, że miejsca w schronisku dla kobiet to nie dla pani?

- Nie jestem kobietą maltretowaną przez męża.

Miałem ochotę podyskutować na ten temat, ale szybko oceniłem, że nie jest to najważniejsza sprawa, a już na pewno nie teraz. Podejrzywałem zresztą, że Gibbs i tak nie podjęłaby dyskusji w tym zakresie. Ale rzeczywistym problemem nie były kierujące nią pobudki, tylko natura zaprzeczenia, któremu na razie hołdowała.

Dlatego ostrożnie spróbowałem ją pociągnąć w innym kierunku.

- Niemniej właśnie teraz przydałoby się miejsce w schronisku dla kobiet. Zgodzi się pani ze mną?

- Staram się tylko działać... rozważnie. Wyraźnie sugerował to detektyw Purdy. Na wypadek, gdyby rzeczywiście istniało niebezpieczeństwo... - zawiesiła na chwilę głos, aby dobrać właściwe słowa - ...że naprawdę coś może mi zagrażać. Podobno rozmawiał także z panem. Czy to prawda?

Przytaknąłem ruchem głowy. Uświadomiłem sobie, że to właśnie ja wciągnąłem Sama w ten labirynt, zatem nie powinno mnie dziwić, że jego obecność tylko bardziej gmatwa sprawę. Ale przynajmniej rada, jakiej udzielił Gibbs, wydawała się rozsądna.

- Ale teraz, będąc na celowniku tyłu kamer, nie mogę już dłużej mieszkać we własnym domu. Po prostu nie mogę. Nie mogę się nigdzie schronić. Mam trochę swoich rzeczy w samochodzie, toteż gotowa jestem poszukać innego schronienia.

- Jakie możliwości bierze pani pod rozwagę?

- Miałam nadzieję, że pan mi podsunie jakąś alternatywę... -Zmarszczyła brwi. - Coś innego od schroniska dla kobiet.

Jakie były inne rozwiązania? Oczywiście. Wiele kobiet w groźnych sytuacjach szukało schronienia u swoich przyjaciół bądź najbliższej rodziny. Zazwyczaj byłem przeciwny takim rozwiązaniom.

- Moim zdaniem schronisko to najlepsze miejsce dla pani. Wszyscy już wiedzą, na co się pani zdobyła. Nie chodzi tylko o oferowany pani dach nad głową, ale o wsparcie, fachowe doradztwo prawne i doświadczenie ludzi kierujących placówką. O wszystko, co mogą pani zapewnić. Także o współpracę z policją. To fachowcy. Gdy gra idzie o tak wielką stawkę, najlepiej byłoby skorzystać z usług zawodowców.



Obserwując jej minę w czasie tej przemowy, uświadomiłem sobie, że równie dobrze mógłbym się w ogóle nie odzywać. Grzecznie odczekała, aż mój głos rozplynie się w powietrzu, po czym oznajmiła:

- Coraz bardziej kusi mnie wynajęcie pokoju w hotelu. Sądzę, że byłoby mi tam zdecydowanie wygodniej. A poza tym... no, wie pan, miałabym więcej prywatności. Nie mówiąc już o prywatnej łazience, uslužnych sprzątaczkach i pokojówkach, elegancko wykończonych wnętrzach, obsłudze hotelowej, może nawet tabliczkach czekolady leżących co rano na poduszce.

Podniosłem więc rzecz oczywistą:

- Czy Sterling nie zacząłby poszukiwania pani właśnie od hoteli?  
- Przecież on nie żyje, doktorze Gregory. Utopił się.  
- Naprawdę pani w to wierzy? - zapytałem łagodniejszym tonem.  
- Niezupełnie - odparła bez namysłu. - Ale w ten sposób byłoby dużo łatwiej, prawda? Dla wszystkich.

Nie odpowiedziałem. Nie było to nawet milczenie taktyczne. Po prostu nie wiedziałem, jak zareagować. Pochyliła się w fotelu, zaciskając palce na rączce torebki. Przez chwilę miałem wrażenie, że ją chwyci, poderwie się z miejsca i wyjdzie. Myliłem się jednak.

Odchyliła się znowu na oparcie, założyła nogę na nogę i oznajmiła:

- On wrócił, żeby je pozabijać. Rozumie pan. Nie rozumiałem.  
- Chyba jednak nie bardzo.  
- Sterling poznał je przed laty i miał z nimi przelotne romanse. A teraz znów pojawił się w ich życiu, żeby się ich pozbyć.  
- Znowu?

- Oczywiście. Z pozoru robił kolejną transmisję, finał turnieju golfowego, mecz piłkarski, wyścig samochodowy czy cokolwiek to było. Co roku produkuje się wiele podobnych transmisji, prawda? Dla niego oznaczało to powrót na stare śmieci, zresztą każdego roku zajmował się w przybliżeniu tym samym.

- A przy okazji... podtrzymywał stare romanse? Co roku spotykał się z tymi samymi kobietami w tych samych miastach?

Dla mnie brzmiało to niewiarygodnie.

- Jeśli... mu się podobały. Jeśli ich pierwsza randka była... no, wie pan... Wtedy, rzecz jasna, spotykał się z tymi samymi kobietami po raz kolejny...

Próbowałem nakierować jej rozzalenie na dyskusję o niewierności męża. Moim zdaniem, była ku temu najwyższa pora. W każdym razie uznałem, że musimy w końcu poruszyć ten temat.

- I podczas tych spotkań je mordował? - zapytałem. Doskonale znałem początek tej historii, całkiem nieźle jej środek, ale co do zakończenia miałem wrażenie, że ktoś wyrwał z książki parę kartek obejmujących dokładnie zwieńczenie newralgicznego fragmentu jej akcji.

- Nie wszystkie. Tylko czasami...

Bomba, przemknęło mi przez myśl, jak gdyby na fali luksusu pozwolenia sobie na pewną ironię. Więc może jednak uda się go zrehabilitować.

- Proszę mówić śmiało, Gibbs. Czy była jakaś metoda w jego... Czy dałoby się zrozumieć jego motywację... To znaczy, jakim cudem...

- Cudem? One oczekiwały od niego dużo więcej. To nie był żaden układ. Tylko dlatego nabrałam podejrzeń, że on...

Je zabił?

- Mówię o tych kobietach, które nie chciały popuścić, obstawały przy swoim, przez co wystawiły się na ryzyko...

Obstawały przy swoim?

Czyżby Gibbs chciała zasugerować, że pozostałe kobiety zasłużyły na śmierć, gdyż naruszyły zasady jakiegoś porozumienia zawartego ze Sterlingiem? W końcu podobny wniosek wcale nie był aż taką rzadkością wśród maltretowanych kobiet.

Cholera, zakląłem w duchu. Gibbs po raz kolejny zdołała oderwać mnie od sedna sprawy. Próbowałem podważyć jej decyzję w sprawie wynajmu pokoju hotelowego zamiast skorzystania z opieki schroniska dla kobiet, tymczasem ona niepostrzeżenie przeniosła ciężar rozmowy na sprawę zabójstwa. Musiałem przyznać, że była to zmiana istotna. Zresztą sam przeciek z pewnością nie był dziełem amatora.

Szykowałem się już, żeby naświetlić ów proces, kiedy nagle oczy jej się rozszerzyły ze strachu.

- Na pewno nie zdradzi pan nikomu tego, co przed chwilą powiedziałam, prawda? A już na pewno policji? Gdyby to wyszło na jaw, doktorze Gregory, to wyłącznie od pana. Nikt inny jeszcze tego nie wie. Naprawdę nie zniosłabym, gdyby i to się wydało. Nie zniosłabym tego. Spodziewałem się, że Gibbs zaraz po wejściu do gabinetu zechce zrewidować swoją nieufność co do moich zdolności zachowania milczenia, ale zaskoczyła mnie doskonałym wyczuciem chwili, a ukryte za jej słowami oskarżenie zapadło mi głęboko w serce.

- Nie zawiodłem dotąd pani zaufania, Gibbs - odparłem. - I nadal go nie zawiodę.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się zalotnie. - Wydaje mi się, że bez względu na przebieg sesji my dwoje, to znaczy pan i ja, zawsze zejdziemy na temat seksu, prawda?

Czyżbyśmy rzeczywiście rozmawiali tylko o seksie? Czy też stałem się właśnie świadkiem jeszcze jednej wielkiej ułudy?

„Seks. Już nie służy wyłącznie celom prokreacyjnym”.

W ciągu następnych minut - na wypadek, gdybym tego potrzebował - otrzymałem korepetycje z zakresu odporności zaprzeczenia i elastyczności oporu. Nie wypłynęły żadne nowe fakty. A przyczyny romansów Sterlinga? Najwyraźniej mało ją interesowały.

- Stare dzieje - skwitowała krótko. - Wolę patrzeć do przodu.

Czy Sterling utopił się, czy żyje?

- Sądzę, że detektyw Purdy ma rację. On żyje. Już bym wiedziała, gdyby zginął. Na pewno bym wiedziała. Przecież to by wiele zmieniło. Bardzo wiele. Stanęłabym przed trudnymi decyzjami. Różnymi.

Czy zagrażało jej niebezpieczeństwo?

- Na pewno by mnie nie skrzywdził. Zrobił to raz i natychmiast przeprosił. Nigdy by tego nie powtórzył. Prędzej potrzebowałabym schronienia przed tymi wszystkimi dziennikarzami. Próbowałem bezpośrednio szturmować zasięki jej oporu. Usiłowałem zejść z jednej czy drugiej flanki zaprzeczenia. Bezskutecznie.

Czasami tak bywa w psychoterapii.

Po zakończeniu sesji z Gibbs, która przed wyjściem obiecała zawiadomić mnie telefonicznie, gdy już zamelduje się w hotelu, wyszedłem do toalety i w korytarzu wpadłem na Diane zdążającą w tym samym kierunku. Miała na sobie dzinsy i sweter, jakby wyjątkowo zrezygnowała z psychoterapeutycznego mundurka.

- Wpadłam tylko po swój terminarz - wyjaśniła. - Występuję dzisiaj w sądzie jako przysięgła. Muszę być na sali za dziesięć minut. Boże, mam nadzieję, że sędzia nas zasekwestruje.

Cudownie byłoby trochę odpocząć od tej codziennej orki.

- Żaden prawnik w tym mieście nie dopuści, żebyś się znalazła w gronie przysięgłych.

- Dlaczego?

Przy tej częstotliwości, z jaką występowała w roli biegłego w sprawach o przyznanie praw rodzicielskich lub znęcanie się nad dziećmi, musiała nie tylko świetnie znać przepisy kodeksu, ale również wszystkich sędziów sądu okręgowego i woźnych, jak też co najmniej połowę miejscowej palestry. Każdy prawnik chciał wierzyć, że na zakończenie procesu w pokoju przysięgłych będą pobrzmiwać głównie konkluzje jego płomiennej mowy

końcowej. Niemniej każdy, który choć raz zetknął się z Diane Estevez wiedział doskonale, że ona się postara, aby do tego nie dopuścić. Gdyby znalazła się w gronie sędziów przysięgłych, musiałby zapisać wyrok zgodny z jej poglądami, co oznaczało, że jej szansę na zostanie sędzią przysięgłym sądu okręgowego w Boulder są mniej więcej takie same, jak szansę spędzenia przez Alę Gore'a świąt Bożego Narodzenia na prezydenckim ranczu w Crawford w Teksasie. Przekrzywiła głowę w kierunku drzwi mego gabinetu, głośno pociągnęła nosem i zapytała:

- Czyżbym wyczuwała zapach „Tańczącej Królowej”?

Też wciągnąłem powietrze nosem, ale nie wyczułem żadnego zapachu perfum. Czyżbym już się uodpornił? Chcąc zmienić temat, zapytałem:

- Mam nadzieję, że niczego nie słyszysz w swoim pokoju. Nie dobiegają do ciebie żadne słowa wypowiediane podczas sesji w moim gabinecie, prawda?

- Masz na myśli swoje słowa? Przecież mówisz tak cicho, że jestem zdumiona, iż wszyscy pacjenci doskonale cię rozumieją. A czemu pytasz? Umknęło mi coś dobrego?

- Na pewno nie słyszysz ani słowa?

- Nie. O co ci chodzi? A ty mnie słyszysz?

- Czasami twój gromki śmiech. Zaśmiała się.

- Więc czemu pytasz?

- W ostatnich dniach już paru pacjentów wystąpiło do mnie z oskarżeniami, że rozpowszechniam informacje usłyszane od nich w czasie terapii. Ludzie są... zaniepokojeni, dlatego muszę poważnie traktować te oskarżenia.

- Oskarżenia? To nie są wyłącznie wyrazy troski?

- Nie, oskarżenia.

- Ach, mówisz o „Tańczącej Królowej”? Więc to ty stoisz za tymi anonimowymi donosami? Ty kablujesz na „Płatynę” chłopcom z wydziału prewencji?

- Diane...

Ale ona już podłapała temat.

- Więc jak? To twoja sprawka?

- Skąd. Oczywiście że nie.

- Nawet nieumyślnie...

- Nie!

Przecisnęła się obok mnie i weszła do toalety. Już zamykając drzwi, mruknęła:

- To może w twoim gabinecie jest podsłuch.

- Cha, cha, cha. Bardzo zabawne - odparłem.

Ledwie zdążyłem jednak przenieść ciężar ciała na drugą nogę, w mojej głowie niczym neon zaświeciło imię: Sam. I dziwnie skojarzyło mi się ze słowem sam.

43

Zdumiewająco łatwo znalazłem specjalistę od namierzania urządzeń podsłuchowych.

Zadzwoiłem do kilku adwokatów, których poznałem przez Lauren, dostałem od nich kontakty do prywatnych detektywów wykonujących ich zlecenia, a spośród nich aż dwóch skierowało mnie do tej samej firmy o nazwie West Security.

Specjalistką od ochrony elektronicznej w West Security okazała się kobieta, niejaka Tayisha Rosenthal. Wyjaśniła szybko, że mam do wyboru pobieżne skanowanie gabinetu, które będzie mnie kosztowało w przybliżeniu połowę dziennego dochodu z praktyki, albo szczegółowe przeszukiwanie kosztujące dwie średnie dniówki. Gdybym wybrał to pierwsze, uzyskałbym dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent pewności, że w moim gabinecie nie ma urządzeń podsłuchowych.

Wybrałem usługę kompleksową.

Zapytała kiedy.

- Jak najszybciej.

Może być samo południe? Mam wolny termin na dwunastą.

Zajrzałem do terminarza. Oznaczało to, że będę musiał odwołać jedną, a jeszcze lepiej dwie sesje. Zgodziłem się i podyktowałem adres.

Uczyliłem poważny błąd, wyjednując zgodę Gibbs na skonsultowanie z Samem jej podejrzeń względem Sterlinga. Co do tego byłem całkiem pewien. W dodatku Sam posunął się za daleko, nawiązując osobisty kontakt z moją pacjentką, którego efektem była zupełnie bezmyślna wyprawa do Georgii.

Ale żeby jeszcze zakładać podsłuch w moim gabinecie?

Z tym już zdecydowanie przesadził.

Sięgnąłem do spisu pacjentów i zacząłem szukać numerów telefonów tych dwóch osób, których spotkania musiałem przesunąć na inne terminy.

Jak wszyscy zżyci sąsiedzi, oboje z Diane dysponowaliśmy nawzajem zapasowymi kluczami do swoich gabinetów. Szczerze wątpiąc, że słowa padające w moim gabinecie wciąż pozostają tajemnicą zawodową, skorzystałem z pobytu Diane w sądzie i resztę swoich porannych sesji przeprowadziłem w niej, mając nadzieję, że tam nie ma podsłuchu. Kiedy pacjenci pytali o powód zamiany, tłumaczyłem, że w moim gabinecie została przeprowadzona dezynfekcja.

Punktualnie o dwunastej wyszedłem na korytarz, gdzie namierzyłem obcą kobietę pogrążoną w lekturze „Sports Illustrated”. Była młodą Afroamerykanką o krótko ostrzyżonych włosach i łagodnych rysach twarzy. Kiedy podniosła głowę nad gazety, zauważyłem, że jej czarne oczy skrzę się jak kulki z onyksu w płomieniach.

- Tayisha Rosenthal? - zapytałem. - Jestem Alan Gregory. Wskazałem drogę do swojego gabinetu. Podniosła z podłogi

prostokątną aluminiową walizeczkę i ruszyła przodem w głąb korytarza.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o cały ten lokal - zagadnęła.

- Nie, chyba że pani coś znajdzie w gabinecie. Wtedy prosiłbym o przeszukanie całego budynku.

Postukała palcem w zegarek.

- To już na pewno nie dzisiaj.

- Tak, rozumiem.

Przez chwilę stała na środku pokoju, rozglądając się uważnie, po czym w kilku długich krokach podeszła do biurka, otworzyła swoją walizkę niczym muszlę kanciastego małża i zaczęła wyciągać sprzęt.

Ruchem ręki poprosiłem ją z powrotem na korytarz i zamknąłem drzwi.

- Lepiej porozmawiajmy tutaj. Na wszelki wypadek.

- Chce pan być przy tym i obserwować, jak sprawdzam cały pokój?

- Po co? Dostanę za to jakiś upust? - mruknąłem, próbując choć trochę rozluźnić posępną atmosferę.

Zachichotała.

- Nie, ale mogłabym na bieżąco opowiadać, co w danej chwili robię, gdyby to pana interesowało.

- Brzmi zachęcająco.

- Świetnie. Ale komentarz jest dodatkowo płatny. Dla pana za pięćdziesiąt, w gotówce. -

Wyciągnęła rękę. - Płatne z góry.

- Słucham? Znów zachichotała.

- Żartowałam. Jest pan psychoanalitykiem, prawda? Wydawało mi się, że powinien pan innych leczyć z paranoi, a nie samemu w nią popadać. A mimo to ma pan podejrzenia, jak prawie każdy czubek, że są ludzie, którzy nie robią nic, tylko przysłuchują się każdemu pańskiemu słowu. Czy pan przypadkiem nie powinien być wolny od tego typu podejrzeń?

- Owszem, teoretycznie powinienem być.
- Nie dostrzega pan w tej sytuacji ironii losu?
- Dostrzegam, a jakże - przyznałem, chcąc jak najszybciej zmienić temat. - Co trzeba skończyć, żeby zarabiać na życie szukaniem w pomieszczeniach urządzeń podsłuchowych?
- Służbę w wywiadzie wojskowym. Przez jeden rok z czteroletniej służby zajmowałam się dokładnie tym samym dla Sił Zbrojnych Wujka Sama.

Wyglądała za młodo, żeby mieć za sobą czteroletnią służbę w wojsku. Najwyraźniej wyczytała te wątpliwości z mojego spojrzenia, gdyż odparła:

- Mam dwadzieścia cztery lata. Wcale nie jestem już taka młoda. Proszę sobie przeliczyć.

Wycofała się do gabinetu i przystąpiła do pracy.

Sprzęt, który wyciągnęła z aluminiowej walizeczki, sprawiał wrażenie przyrządów domowej roboty skleconych z odpadów znalezionych w sklepie z elektronicznymi bublami. Obejmował mikrofony i słuchawki oraz niewielkie urządzenie, które w moim pojęciu mogło być współczesnym licznikiem Geigera. Miało parę wskaźników z długimi podrygującymi wskazówkami, cyfrowy wyświetlacz oraz kilka pokręteł i przełączników.

Upłynęło mniej więcej dziesięć minut, w czasie których kierowała ten sprzęt w tę lub w tamtą stronę, wysuwała szuflady i przestawiała meble, aż wreszcie mruknęła:

- No, no!

Zdażyłem się już rozsiaść na podłodze przy drzwiach i zagłębić w lekturze „Sports Illustrated”, przyniesionego z poczekalni. Dowiedziałem się, że Tiger Woods wciąż wygrywa kolejne turnieje golfa.

Aż się wzdrygnąłem, usłyszawszy jej głos. Popatrzyłem na bałagan, jaki zostawiała po sobie w moim gabinecie i zapytałem:

- Co się stało?

Bez słowa wskazała mi wyjście na korytarz. Nawet na mnie nie spojrzała, bez reszty pochłonięta wskazaniem swoich elektronicznych zabawek.

Wyszliśmy z pokoju.

- Słucha mnie pan, doktoru? Świetnie. Otóż w czasie wykonywania prywatnych zleceń, a pod pojęciem prywatnych rozumiem takie jak te jednorazowe skanowania, a nie prowadzone regularnie przeglądy pomieszczeń w prywatnych firmach, tak więc w trakcie ich wykonywania miałam okazję poznać najbardziej szurniętych ludzi pod słońcem. Prawdziwych świrów. Takich, co mieli całe mieszkania powykładane folią aluminiową. Albo mężów przekonanych, że żony podsłuchują ich przez radio samochodowe. Nawiasem mówiąc, tacy ludzie chyba zawsze mają kochanki. Albo coś kombinują na boku. I to poczucie winy każe im się doszukiwać podsłuchów. Tak przynajmniej uważam. A czy są naprawdę stuknięci? Niech pan sam oceni. Dostaję dwa, trzy takie zlecenia na miesiąc. W większości przypadków czuję się tak, że oprócz skanera powinnam mieć jeszcze w walizce strzykawkę z torazyną, na wszelki wypadek. - Uśmiechnęła się smutno. - I wie pan co? Jeszcze nigdy podczas takich skanowań nie znalazłam urządzenia podsłuchowego. Ani razu.

- To dobrze, miło mi to słyszeć - odparłem, naprawdę ucieszony, że i ja się znajduję na długiej liście jej zawodowych porażek. W chwili obecnej wolałem uchodzić za kolejnego szaleńca niż odkryć, że moje podejrzenia co do podsłuchu były trafne.

- Aż do dzisiaj - dodała.

- Słucham?

Wskazała mi przyrząd, który trzymała w lewej ręce.

- Wskazuje wyraźnie, że w pokoju jest urządzenie elektroniczne wysyłające sygnał radiowy. Powiedziałabym, że nawet dość silny sygnał, łatwy do odebrania na zewnątrz. Wygląda na to, że aparat podsłuchowy jest aktywowany głosem.

- Co takiego?

- Proszę się nie martwić, teraz, gdy został namierzony, zlokalizuję go w ciągu paru minut. Tylko proszę być bardzo cicho, dopóki nie skończę, dobrze? Będę musiała się skoncentrować. Choć w wyobraźni już widziałem Sama podwieszonoego za nadgarstki do łańcucha przerzuconego przez krążek wysoko pod sufitem i nawijanego na bęben kołowrotu, to, prawdę powiedziawszy, sam miałem uzasadnione obawy, że popadam w paranoję. W najmniejszym stopniu nie spodziewałem się, że Tayisha Rosenthal naprawdę znajdzie w moim gabinecie urządzenie podsłuchowe.

Zlokalizowanie pluskwy zajęło jej dalsze pięć minut. Niemal całe urządzenie było ukryte w jednej z poduch na kanapie, na której często siadali moi pacjenci. Cała elektronika została wciśnięta głęboko między gąbki wypychające poszycie.

- To jest nadajnik. Już go wyłączyłam - powiedziała, rozpinając suwak poszycia i wyjmując spod niego małą plastikową kostkę, nie większą od opakowania gumy do żucia. - A to... - Sięgnęła głębiej między gąbki i wysunęła spomiędzy nich dość długi odcinek zaizolowanego kabla - jest antena. Przypomina pęczek cieniutkich włosów. Natomiast to maleństwo... Widzi je pan? O, tutaj. - Wskazała czubkiem długopisu. - Widzi pan, jaki miniaturowy? To mikrofon. Nowoczesny sprzęt. Dobrej jakości.

Czubek długopisu był wymierzony w drobną szarą kulkę wielkości ziarnka soczewicy, ledwie wystającą ponad tkaninę na końcu szwu przy brzegu suwaka. Gdybym nie wiedział, czego wypatrywać, nigdy bym nie zwrócił na to uwagi.

- To naprawdę mikrofon? Jaki ma zasięg? To znaczy... na jaką odległość może transmitować sygnały?

- Sprawdzę to, jeśli pan sobie życzy, ale raczej niezbyt daleko. Podejrzewam, że człowiek prowadzący nasłuch mógłby siedzieć w samochodzie zaparkowanym przed budynkiem, gdyby dysponował cyfrowym rejestratorem dźwięku na wyjściu i odbiornikiem wyposażonym w dobrą antenę.

A tymże „wyjściem” były moje rozmowy z pacjentami podczas sesji. Wskazałem ręką rozbebeszoną poduchę i zapytałem:

- Kto dysponuje takimi urządzeniami?

- Mnóstwo ludzi. Teraz można je kupić przez internet. Nic prostszego. Ale sprzęt takiej jakości sporo kosztuje. Ktoś zainwestował dużą gotówkę, żeby słuchać tego, co się mówi w pańskim gabinecie. Sama bateria do tego nadajnika kosztuje ładnych parę dolarów.

- I co ja mam teraz zrobić? - zapytałem.

- A co ja mam zrobić? Na pewno muszę opisać to znalezisko i zrobić zdjęcia, zarówno samego urządzenia, jak i miejsca jego ukrycia. Dostanie pan spory stosik fotek do swojego albumu. Na razie musi mi pan wystawić upoważnienie na usunięcie podsłuchu. Jak już to zrobię, sprawdzę jeszcze raz pokój, by się upewnić, że nie ma gdzie drugiego nadajnika. Proszę się nie martwić, nie ma go. Już teraz jestem tego pewna na dziewięćdziesiąt osiem procent. Później zadzwoni pan na policję i zamelduje o wykrytym wtargnięciu do swoich pomieszczeń. W końcu złamano co najmniej kilka przepisów, prawda?

- Zgadza się - przyznałem.

- A potem pan usiądzie i zastanowi się dobrze w skrytości ducha, kto mógł to zrobić.

- I po co - dodałem.

- Tak, to też. - Spojrzała na zegarek. - Muszę teraz wyjść, ale wrócę najpóźniej za dziesięć minut. A w zaistniałej sytuacji i tak będziemy musieli się jeszcze umówić na sprawdzenie pozostałej części budynku.

Głośno przełknąłem ślinę. Zrobiłem to mimowolnie.

- Proszę się nie martwić, policzę panu niższą stawkę. - Zapowiada się niezła zabawa.

Dla mnie to jednak wcale nie była zabawa.

Po wybraniu numeru pagera Sama czekałem na sygnał, po czym wystukałem 911, a po nim numer mojej komórki. Usiadłem przy biurku Diane i czekałem, aż mój aparat zacznie wibrować. Okres przymusowej bezczynności usiłowałem zabić próbą wyliczenia liczby ujawnionych tajemnic na podstawie liczby moich pacjentów oraz stopnia złożoności urządzenia podsłuchowego tkwiącego pod obszyciem poduchy. Uświadomiłem sobie szybko, że do rachunku brakuje mi jednej bardzo ważnej zmiennej: Nie miałem najmniejszego pojęcia, od jak dawna pluskwa tkwiła w moim gabinecie.

Jako pierwszy o niedyskrecję oskarżył mnie adwokat Jim Zebid, który już w niedzielę robił mi wymówki za ujawnienie, że mąż sędzi Heller handluje kokainą. A opowiedział mi o tym jeszcze we wtorek, zatem pluskwa musiała siedzieć w kanapie co najmniej od ośmiu dni. Pewnie nawet dłużej.

Przyjmowałem trzydziestu sześciu pacjentów tygodniowo. To oznaczało, że co najmniej trzydzieści sześć indywidualnych zestawów tajemnic zostało narażonych na ujawnienie. Przeklinałem siebie w myślach przez dobre pół minuty, po czym skorzystałem z rady Tayishy Rosenthal i wyciągnąłem sam siebie na długą szczerą rozmowę, próbując ustalić, kto mógł to zrobić.

I po co.

44

Sam

Mashville należało do tych legendarnych amerykańskich miast, które zawsze chciałem odwiedzić, ale gdy w końcu się tam znalazłem, był kwadrans po pierwszej w nocy, mglistej i pochmurnej, na kilka dni przed Świętem Dziękczynienia, gdy marzyłem tylko o tym, żeby zobaczyć tanią piankową poduszkę na wygniecionym motelowym łóżku i zamknąć oczy. Uprosiłem zaspanego recepcjonistę w Mountain Dew, żeby zbudził mnie telefonicznie o wpół do szóstej rano, i padłem na łóżko najdalej trzy minuty po tym, jak wsunąłem plastikową kartę klucza elektronicznego w szczelinę zamka w drzwiach pokoju. Tabliczka z napisem NIE PRZESZKADZAĆ na klamkę od zewnątrz. Siku, pigułki, zrzucić ciuchy i spać.

Od razu usnąłem jak zabity.

Gdy zrobiło się wpół do szóstej rano, mój samochód był całkiem wychłodzony, przednią szybę pokrywały grube krople skondensowanej mgły, a przedświąteczne Nashville sprawiało wrażenie równie zaspanego, jak ja. Przeszedłem ulicą kilkadziesiąt metrów do najbliższego sklepu, żeby zaopatrzyć się w coś na śniadanie. Niestety, satysfakcji nie oferowano w żadnym barowym menu. Nauczyłem się już, że najlepszym miejscem, gdzie człowiek po zawale może liczyć na odpowiednie produkty żywnościowe, jest sklep spożywczy. Zestawy śniadaniowe na stacjach benzynowych ograniczają się do pączków, i to w bardzo szerokim wyborze, ciastek z owocami albo rogalików z sadzonymi jajkami i parówkami o podejrzanym wyglądzie. Kupiłem suchą świeżą bagietkę, mocno paloną kawę bezkofeinową, jogurt naturalny i kartonik soku pomarańczowego, po czym wróciłem z zakupami do motelu, mając zamiar zjeść ascetyczne śniadanie, wsiąść ponownie do swojego dżipa i ruszyć dalej na północ, w stronę Indianapolis.

Stało się jednak inaczej.

Obudziłem się po jakimś czasie tylko po to, żeby skorzystać z toalety. Światło wpadające przez okno sygnalizowało zmierzch. Wysikałem się, rozebrałem, wyłączyłem telefon komórkowy oraz pager i wskoczyłem z powrotem do łóżka. Słowo „zmęczony” w najmniejszym stopniu nie oddawało mojego stanu. Nawet „wykończony” zdawało się niewystarczającym przymiotnikiem.

Następna zmiana oświetlenia, jaką zarejestrowałem w chwili przytomności, oznaczała świt. Długi gorący prysznic częściowo wrócił mnie do życia. Niczym Bili Murray w Dniu świstaka powędrowałem wczorajszą drogą do sklepu spożywczego, powtórzyłem te same zakupy i w smutnej zadumie wróciłem do motelu z tymi samymi intencjami, co wczoraj.

A jednak wprawa czyni mistrza. Udało mi się już za drugim razem. Jeszcze zanim Nashville na dobre się obudziło i oczywiście zanim zyskałem choćby najdrobniejszą szansę zasmakowania jego uroków, siedziałem już za kierownicą swojego che-rokee i wyjeżdżałem z miasta.

Później zatrzymałem się na solidny posiłek w przydrożnej kafejce na obrzeżach miasteczka o nazwie Orlinda, po którym zastanawiałem się przez pewien czas, czy rzeczywiście powinienem jechać do Indianapolis w stanie Indiana, żeby znowu być detektywem, czy raczej do Rochester w Minnesocie, by spróbować jeszcze być ojcem. Wsiadłem do samochodu, całkiem nieświadomy tego, czy podjąłem w tej sprawie jakąś decyzję.

Po tym spóźnionym śniadaniu włączyłem się do konwoju ciężarówek zmierzających w stronę Kentucky. Doszedłem do wniosku, że zawodowi przewoźnicy powinni się już spieszyć, by znaleźć się w rodzinnym gronie przed świąteczną kolacją, toteż muszą na tyle przekraczać dozwoloną prędkość, żeby w ich towarzystwie podróżować szybko i bezpiecznie.

Na południe od Louisville droga wiodła przez tereny tak malownicze, jak zdjęcia z kalendarza, a wspaniałe widoki zdawały się o wiele lepiej działać na moje schorowane serce niż jakiegokolwiek zajęcia rehabilitacyjne. Cały dzień snu, przepiękne krajobrazy, dość luźne drogi, ludzie mówiący z dziwnym akcentem

w śmiesznych rozgłoszeniach radiowych, problemy pozornie odległe o tysiąc kilometrów.

A w każdym razie o pięćset.

Jeśli spojrzysz się na mapę drogową Indiany, Indianapolis wygląda jak okrągła czarna dziurka, miejsce po kuli wyborowego strzelca, który wpakował ją w sam środek prowizorycznej tarczy zrobionej z mapy przypiętej do drzewa. Największe miasto stanu leży niemal dokładnie w jego geometrycznym środku. Kiedy się do niego dojeżdża z dowolnej strony, człowiek nabiera przekonania, że nie mógłby nie trafić do celu podróży, nawet gdyby zasnął za kierownicą. Potwierdza to tylko, że nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, bo przynajmniej w tej części Stanów Zjednoczonych prowadzą do Indianapolis.

Razem z konwojem ciężarówek o dość wczesnej porze minąłem północne obrzeża Columbus. Autostrada I-65 połyskiwała w listopadowym słońcu niczym Żółta Ceglana Droga mająca nas zaprowadzić do serca krainy Oz.

Właśnie wtedy odczułem wibracje pagera w kieszeni, sięgnąłem więc po okulary do czytania, by móc odcyfrować przekaz z wyświetlacza. Ujrzałem 911, a dalej numer, od którego serce zaczęło mi szybciej bić. Pospieszenie ściszyłem płynący z radia lament Faith Hill i włączyłem prawy kierunkowskaz, sygnalizując zamiar zjechania na pobocze. Dwaj jadący za mną kierowcy ciężarówek zatrąbili krótko na pożegnanie, na co odpowiedziałem im w ten sam sposób. Zjechałem z autostrady i zatrzymałem wóz na parkingu obok wielkiego wycieczkowego autobusu pełnego siwowłosych kobiet. Z niewiadomych powodów ich widok skierował moje myśli ku Sherry, która złamała mi serce tęsknotą za Si-monem, toteż minęła dłuższa chwila, nim zacząłem się poważnie zastanawiać, czy powinienem odpowiedzieć na wywołanie.

Po chwili wybrałem jednak numer.

- To ty? - zapytała Lucy.

- Tak. Co się dzieje?

- Gdzie jesteś? Czemu nie odbierasz telefonu?

- Jestem gdzieś na południe od Indianapolis, na parkingu przy autostradzie pełnym obcych ludzi.



- Nawet nie waż się jechać choćby kilometr dalej, Sammy. Wracaj na Siedemdziesiątkę i ruszaj w stronę gór. Tuż przed nimi odnajdziesz swój dom. Tajemnica zabójstwa Julie Franconii została rozwiązana. Moim zdaniem to przebrzmiała sprawa. Zatem nie masz czego szukać w Indianie.

- Naprawdę?

- Jej zwłoki znaleziono w lesie pod Martinsville, czyli kilka kilometrów na południe od Indianapolis, jakieś trzy albo cztery dni po tym, jak panna Franconia zaginęła bez śladu. Bez wątplenia były to jej zwłoki. Tamtejsza policja dość szybko zamknęła dochodzenie, przypisując tę zbrodnię seryjnemu zabójcy, który w tamtym okresie przemieszczał się z Chicago do Teksasu. To jeden z tych, którzy, jak twierdzą, rozsmakowali się w mordowaniu po pierwszym zabójstwie dokonanym w wieku jedenastu lat. Znasz ten typ ludzi. Gliniarze i reporterzy z „Dateline” jeździli z nim po całym kraju, uzbrojeni w łopaty i kilofy, żeby rozkopywać wszystkie wskazane przez niego miejsca ukrycia zwłok. Mam gdzieś w papierach jego nazwisko. Chcesz je znać?

- Nie, chyba że ma jakieś znaczenie.

- Nie ma. Co prawda wystarczył jeden rzut oka do federalnej bazy danych o seryjnych zabójcach VICAP, by się przekonać, że facetowi można przypisać najwyżej sześć czy siedem morderstw, bo w sprawie pozostałych dał się ponieść wyobraźni, i nasza ofiara z pewnością nie należy do tej grupy. Modus operandi zabójcy określony na podstawie sekcji zwłok ani trochę nie pasował do jego metod działania, nie pasowały też okoliczności zaginięcia ofiary. Osobiście uważam, że ktoś w Martinsville chciał się jak najszybciej uwolnić od tego śledztwa. No i zrobił to. Ale przynajmniej odnaleziono zwłoki. Dopiero teraz dochodzenie ma zostać wznowione.

- Jak zginęła?

- Od strzału w tył głowy.

- Poważnie?

- Tak. Prawdopodobnie z dziewięćmilimetrowego pistoletu.

- Zwłoki nie były okaleczone?

- Nie.

Aż jęknąłem, usłyszawszy te wiadomości. Na pewno nie była to sprawka jakiegoś przypadkowego seryjnego zabójcy. Federalni mieli przed sobą kupę roboty, jeśli chcieli przypisać tę sprawę Sterlingowi Storeyowi. Do tej pory miałem nadzieję, że na coś się przydam w Indianapolis. Teraz jednak musiałem przyznać Lucy rację, nie miałem tam czego szukać.

- Rozumiesz więc, że możesz wracać do domu, Sammy - powiedziała. - Jak się pospieszysz, zdążysz jeszcze na świąteczną kolację.

- Wiesz coś o zabójstwie w Augusta?

- Tam w ogóle nie znaleziono zwłok. Kilka dni po zniknięciu dziewczyny policja odnalazła na obrzeżach Phinizy Swamp pod miastem tylko kilka części garderoby, które mogły należeć do ofiary, a przede wszystkim jeden but z jej inicjałami. Na szczęście w tamtejszej komendzie zatrzymano te ubrania w magazynie dowodów rzeczowych. Śledczy chce teraz ponowić szczegółowe badania laboratoryjne.

Uśmiechnąłem się na brzmienie jej ulubionego słowa: „ponowić”.

- Czy to bagno pod miastem to dobre miejsce, żeby się pozbyć zwłok?

- Tak słyszałam. Podobno roi się tam od aligatorów.

- Jasne. A co z West Point?

- Tam też są pewne postępy. Sprawę zamknięto jako nierozwiązaną, ale okoliczności zabójstwa pasowałyby do układanki Sterlinga Storeya.

- Ale na razie nie ma żadnych dowodów, że był zamieszany także w tamte morderstwa, prawda, Luce?

- Jest tylko masa domysłów. Na podstawie jego delegacji służbowych udało się łatwo ustalić, że faktycznie był w danych miastach w chwili zniknięcia każdej z kobiet. Tylko jakie to ma dla nas znaczenie, Sam? Fakt, że był w danym rejonie, kiedy zniknęła bez śladu kolejna jego kochanka, wydaje się obciążający, ale to jeszcze nie powód do wysuwania oskarżeń.
  - Masz rację. Coś jeszcze?
  - Sprawa wydaje się prosta. Chyba moglibyśmy udowodnić, że znał wszystkie te kobiety i miał z nimi kontakty cielesne. Natomiast motyw... O ile mi wiadomo, motyw seryjnych zabójców są ulotne jak mgła.
  - A co z dowodami? W czasach, kiedy jeszcze byłem prawdziwym gliną, trzeba było mieć dowody, żeby oskarżyć podejrzanego o cokolwiek.
  - Zaczekaj, w końcu zajmujemy się tymi sprawami dopiero drugi dzień. Nie wątpię, że coś jeszcze wyjdzie na światło dzienne. W każdym razie z pewnością nikomu nie zdołasz w niczym pomóc, będąc w Indianie, Sammy. Tamtejsza policja do spółki z federalnymi sumiennie się wszystkim zajmie. A już na pewno nawet nie zdołasz się zbliżyć do śledczych prowadzących dochodzenie. Zatem wracaj do domu.
  - Czy gliniarze z Georgii odnaleźli zwłoki Sterlinga?
  - Nie. Co więcej, wczoraj po południu przerwali poszukiwania. Natknęli się tylko na leżący na brzegu jakiegoś dwa kilometry w dół rzeki kapelusz z emblematem sieci telewizji kablowej. Chcąc, nie chcąc, powinniśmy go uznać za zmarłego.
  - Wygodne rozwiązanie. Teraz gliniarze w całym kraju będą mogli zamknąć kilka niewyjaśnionych spraw, obarczając za nie odpowiedzialnością naszego Dobrego Samarytanina, który utopił się w wezbranej rzece. Żadnych rozpraw, żadnych apelacji. Wszystkim wyjdzie to tylko na dobre. Jak w bajce. Już widzę film dokumentalny poświęcony kolejnemu seryjnemu zabójcy.
  - Nie bądź złośliwy, bo to źle wpływa na serce. Mam jeszcze jedną ciekawą rzecz. Otóż Brian Miles... Pamiętasz go? Ten przyjaciel Sterlinga z Albany? Ten, do którego nasz bohater właśnie jechał... FBI chciało go ponownie przesłuchać, ale zniknął bez śladu. Zostawił swoje psy pod opieką sąsiadów, lecz nikomu nie powiedział, dokąd się wybiera.
  - Co o tym sądzisz?
  - Zbieg okoliczności?
  - Aha, już to widzę.
  - Wracaj do domu, Sammy.
  - Wezmę to pod rozwagę.
- Ale w mojej głowie królowało już niepodzielnie Rochester w Minnesocie, gdzie mój syn wraz ze swoim dziadkiem musieli znosić kaprysy mojej zagniewanej żony. Leżało zdecydowanie bliżej Indianapolis niż Boulder. Mój widok zapewne nie ucieszyłby Sherry, ale Simona raczej tak. Moglibyśmy razem obejrzeć w telewizji świąteczny mecz Lionsów.
- Miałaś jakieś wiadomości od Reynoso? Zamierza się uwolnić od tej sprawy i wracać do Kalifornii?
  - Nic o niej nie słyszałam od czasu, jak zakomunikowała o wyjeździe do Georgii. Nie wiem zresztą, po co miałyby się jeszcze z nami kontaktować. Zapytam o nią kilka osób i dam ci znać, czego się dowiedziałam.
  - W porządku.
  - Na pewno dobrze się czujesz?
  - Jak nigdy dotąd, Lucy.
  - To znaczy, że... nie powinnam pytać? Martwię się o ciebie. Powinieneś teraz odpoczywać we własnym domu, oglądać mecze w telewizji, szykować się do świątecznej kolacji z pieczonym indykiem, a nie siedzieć za kierownicą auta na jakimś pustkowiu.
  - To prawda, ale czuję się świetnie. Jestem tylko trochę zmęczony. Przepraszam, muszę kończyć. Mam następny telefon.

- Zadzwoń, jak już zdecydujesz, dokąd jedziesz.
- Dobra.
- Mówię poważnie. Obiecuję, że zadzwonisz.
- W porządku.
- Sam...

Przerwałem połączenie. Lucy była kochana i miała serce po właściwej stronie, ale nikt nie wiedział, dokąd się stąd udam. Ani ona, ani nawet ja. Absolutnie nikt. W każdym razie nie kłamałem, mój pager znowu wibrował. Odebrałem następny kod 911, a po nim numer Alana. Korciło mnie, żeby wyjechać z powrotem na autostradę i ruszyć w kierunku Rochester, ignorując to wezwanie. Ale gdybym tak zrobił, z pewnością zepsułbym Angusowi Święto Dziękczynienia. A Simon musiałby się przyglądać, jak jego matka

gromadzi całą siłę woli, by mnie nie zabić za to, że pojawiłem się nieproszony.

Zrezygnowałem więc z podróży w tamtą stronę. Nie zmieniało to faktu, że bardzo wątpiłem, by sprawa Alana wymagała aż użycia kodu 911. Niemniej istniała przecież groźba, że Lauren gwałtownie się pogorszyło albo coś złego spotkało kogoś z naszych wspólnych znajomych. Dlatego zadzwoniłem. I już po paru sekundach pożałowałem.

- Sam? - odezwał się.
- Tak. O co chodzi?
- Jestem w pracy i... jest ze mną pewna kobieta, specjalistka od zabezpieczeń elektronicznych, która właśnie skończyła sprawdzać mój gabinet na obecność urządzeń podsłuchowych...

To jakiś żart? - przemknęło mi przez myśl. Po tonie Alana można by sądzić, iż nabrał podejrzeń, że to ja będę próbował go podsłuchiwać z odległości setek kilometrów albo coś w tym rodzaju. Nie byłem za bardzo w nastroju do dyskusji na ten temat, dlatego się nie odzywałem.

- ...no i znalazła pluskwę.

Zamilkł wreszcie, z wyraźnym trudem wydusiwszy z siebie resztę zdania. Nie ulegało wątpliwości, że celowo wypowiadał je zrywami, tylko po kilka słów naraz. Tylko czemu mówił to mnie? Znajdowałem się przecież na parkingu przy autostradzie, w sąsiedztwie gromadki staruszek, które rozstawiły przy autobusie stolik turystyczny i licytowały partię brydża. Właśnie znalazły jakieś humorystyczne powiązania między kolorem karo w kartach a znajdującą się na drugim końcu placu damską toaletą.

Co prawda zainteresował mnie ów niezwykły fakt znalezienia pluskwy w gabinecie przyjaciela, ale nie miałem cierpliwości, żeby dalej słuchać jego dukania. Nie miałem pojęcia, czego w tej sytuacji może chcieć ode mnie, liczyłem jednak, że sformułuje swoją prośbę, zanim wszystkie mamy i babcie w całych Stanach zaczną wyciągać swoje indyki z piekarnika.

- Sam, czy to ty umieściłeś to urządzenie podsłuchowe w moim gabinecie? - zapytał.
- Co takiego?! - wrzasnąłem na cały głos.

Starsze panie jak na komendę rozbiegły się od swojego stolika. Uczyniły to tak szybko, że przestraszyłem się, że lada moment któraś się przewróci i złamie nogę.

- O co mnie oskarżasz, do jasnej cholery?! - ryknąłem chyba jeszcze głośniejsze.

Na dźwięk mego głosu staruszki zaczęły wskakiwać do autobusu, jakby nagle ubyło im wszystkim po trzydzieści lat.

- Zadałem ci tylko pytanie - odezwał się Alan, jak zawsze przebiegły.

Jasne, tylko pytanie.

- Masz szczęście, że zrobiłeś to przez telefon i nie mogę od razu dać ci w zęby.
- Mam to traktować jak zaprzeczenie?
- Nie wierzę własnym uszom, Alan.

- Możesz być pewien, że podzielam twój nastrój - odparł. Rozłączyłem się. Starsze panie spoglądały na mnie ciekawie z za szyb swojego domku na kółkach. Patrzyły z przerażeniem w oczach. Jedna z nich rzuciła wysoko w powietrze swoje karty, nim pobiegła szukać schronienia w autobusie. Wysiadłem, pozbierałem je, otrzepałem z kurzu i ułożyłem na stoliku. Dostała diabelnie dobre rozdanie. Uśmiechnąłem się szeroko do wszystkich i bezgłośnie, otwierając szeroko usta, przekazałem:

- Cztery piki.

Po czym złapałem się za nadgarstek i zmierzyłem tętno. Sto dwadzieścia. Za wysokie. Przypomniałem sobie, że muszę dokonać wyboru.

Rozwahałem wcześniej, czy nie pojechać do Albany i nie porozmawiać z Brianem Milesem, ale ta opcja nie miała obecnie żadnych perspektyw. Przyznam szczerze, że przyszło mi też do głowy, aby wrócić do Ochlockonee i zasiąść przy świątecznym stole z sympatycznymi bliźniaczkami i ich „turducken”. Zastanawiałem się nawet, czy nie warto ruszyć w podróż aż do Kolorado, żeby spędzić święta z Gibbs. Nie muszę jednak mówić, co mnie najbardziej kusilo. Mój uczuciowy kompas wskazywał dalszą drogę na północ.

Do Simona.

Wdrapałem się z powrotem za kierownicę dżipa.

45

Alan

Chyba nie najlepiej poprowadziłem rozmowę z Samem.

Gdy tylko usłyszałem w słuchawce jego ton, zdający się pytać: „No i czego ode mnie chcesz?”, natychmiast się zorientowałem, że trafiłem na jego pożałowania godny nastrój obstrukcyjny, z którego przyplływów był znany. Ale w takim nastroju, w jakim byłem, po prostu nie miałem do niego cierpliwości. Dopiero poniewczasie dotarło do mnie, że popełniłem jeszcze inny zasadniczy błąd. Dzwoniąc do niego, w ogóle nie brałem pod uwagę możliwości, że to nie on podłożył pluskwę w moim gabinecie.

Prawdę powiedziawszy, jeszcze długo po zakończeniu krótkiej rozmowy z Samem nie traktowałem poważnie tej ewentualności. Konkretnie zacząłem się nad nią zastanawiać gdzieś w połowie mojej pierwszej popołudniowej sesji.

Na wpół do drugiej byłem umówiony ze starszą panią cierpiącą na poważny stres pourazowy, w którego przyczynę mało kto chciał wierzyć. Była to zapewne najmilsza i najsympatyczniejsza, najbardziej wyrozumiała osoba, jaka trafiła do mnie na kurację. Jak na ironię, w tej chwili oboje mieliśmy obsesję na tle pluskw. Tyle że ona panicznie bała się tych prawdziwych, mikroskopijnych stworzeń roznoszących choroby. Jeśli wierzyć jej relacji, ledwie uszła z życiem po okropnej chorobie, której nabawiła się ubiegłej jesieni w czasie rejsu po Karaibach na pokładzie zakażonego statku wycieczkowego.

Swoją historię powtarzała na okrągło z zatrważającymi szczegółami już piąty tydzień. Statek w listopadzie musiał już po raz drugi z rzędu zejść z ustalonego kursu wśród tropikalnych wysp i przed terminem wrócić do Miami z powodu masowych zachorowań na silny niezbyt żołądkowo-jelitowy spowodowany

przez dość rozpowszechnionego w Stanach tak zwanego wirusa z Norwalk. Jeśli wierzyć mojej klientce, armator doskonale wiedział o charakterze epidemii, która objęła znaczną część pasażerów i załogi poprzedniego rejsu tego statku, lecz mimo nadzwyczaj dotkliwej natury tej choroby zdecydował się tylko na pobeżną dezynfekcję i wysłanie jednostki w następny rejs.

W ten sposób naraził na zakażenie wielu spośród tysiąca dwustu pasażerów, włączając w to moją pacjentkę. Kobieta utrzymywała, że nikt z towarzyszy niedoli nie wiedział wcześniej o epidemii w czasie poprzedniego rejsu, a dowiedzieli się o tym dopiero tuż przed wejściem na pokład. W to nie wątpiłem, gdyż byłem pewien, że otrzymawszy ostrzeżenie, moja pacjentka

za nic w świecie nie wyruszyłaby w rejs wycieczkowy o długości ponad półtora tysiąca kilometrów.

- Dlaczego? - dopytywała się ciągle. - Co ja im takiego zrobiłam, że narazili osiemdziesięcioletnią staruszkę na to, by przez tydzień prawie nie wychodziła z toalety? Czemu to zrobili? Nie wiedzieli, że ja też mogę się rozchorować? Więc dlaczego?

Później jednak sama odpowiadała na swoje pytanie:

- Wszystko przez chciwość. Dopuszcili, żebym się zarazila i rozchorowała jak bezpański kundel tylko dlatego, że to chciwe... łobuzy. Ich obchodzą tylko pieniądze, a nie ludzie. Jestem o tym przekonana.

Sądząc po tym, jak wstydliwie zawieszala głos, mogłem się łatwo domyślić, że przez dotychczasowe osiemdziesiąt dwa lata swego życia w ogóle nie używała słowa „łobuzy”. Co gorsza, moja pacjentka jechała właśnie windą na bankiet wydawany dla jej pokładu, gdy inny zarażony wycieczkowiec na nią zwymiotował.

- A byłam co najmniej dwa metry od niego! Wiedziałem już, że będę musiał słuchać dalej niekończącej

się opowieści o straszliwych torsjach, braku podstawowej opieki oraz bezgranicznej obojętności ze strony pracowników armatora linii wycieczkowej. Jak dotąd dramatyczna relacja objęła zaledwie trzy dni rejsu, zatem oboje mieliśmy jeszcze przed sobą trzy długie, bardzo długie dni na morzu. W dotychczasowym tempie dokończenie opowieści musiało zająć co najmniej miesiąc cotygodniowych spotkań terapeutycznych.

- Nawet ich nie winie za obecność wirusa na pokładzie -ciągnęła staruszka. - Mam jednak pretensję prawie o wszystko.

Już to słyszałem. I nie wątpię, że jeszcze usłyszę. Niejeden raz.

- Chciwe łobuzy... - powtórzyła. - Wie pan, co mi zaproponowali w ramach rekompensaty? Już to mówiłam?

Oczywiście. Wiedziałem jednak, że i tak usłyszę to ze szczegółami.

- Żeby popłynęła za darmo na drugi taki rejs tym samym zakażonym statkiem, a potem wybrała sobie inną wycieczkę, na którą dostanę dwudziestopięcioprocentową zniżkę. I to wszystko. Tylko na tyle wycenili moje cierpienia, od których mało nie umarłam.

Właśnie w czasie krótkiej przerwy w tej sesji uprzytomniłem sobie, że nie powinienem zanadto naciskać na Sama. Myśl, której pozwoliłem fermentować w mojej głowie, brzmiała: Może to naprawdę nie on, może mówił prawdę?

Lecz jeśli to nie Sam podłożył tę przeklętą pluskwę w moim gabinecie, żeby sprawdzić, co Gibbs faktycznie wie o morderczych skłonnościach swojego męża, kto inny mógł to zrobić? I po co?

Nie miałem złudzeń, że moja sympatyczna pacjentka odpowiedzialnością za fiasko całej operacji obarczyłaby chciwych łobuzów z firmy organizującej rejsy wycieczkowe. Prawda, jak podejrzewałem, była trochę bardziej skomplikowana. Zatem kto ukrył urządzenie podsłuchowe w mojej kanapie? Tego nie wiedziałem i prawdopodobnie miałem nie wiedzieć aż do chwili, gdy się wyjaśni, po co pluskwa została tam umieszczona. Należało więc najpierw ustalić, coż tak istotnego mógł zdradzić któryś z moich pacjentów, dla czego warto było popełnić przestępstwo i założyć w moim gabinecie podsłuch.

Przez pewien czas wertowałem w myślach sprawy swoich pacjentów, próbując ogarnąć wyobraźnią zakres posiadanych przez nich tajemnic, dla mnie raczej prozaicznych, za to dla kogoś bezcennych. Mimo że oskarżenia Jima Zebida pod adresem handlującego kokainą męża sędzi Heller były intrygujące, a personalia Sharon Lewis z pewnością wzbudziłyby sensację w prasie brukowej, to jednak tylko relacje Gibbs odznaczały się zdecydowanie uniwersalną siłą przyciągania.

To właśnie skłoniło mnie do wniosku, że podsłuch musiała założyć policja, a konkretnie Sam. Nie ulegało wątpliwości, że policjanci byliby bardzo zainteresowani tym, co Gibbs ma mi do powiedzenia w czasie sesji.

Teraz przyszło mi do głowy, że nie mniej zainteresowany byłby Sterling. Czy to on jakimś sposobem dostał się niepostrzeżenie do mego gabinetu i zostawił pluskwę przed wyjazdem na Florydę, żeby realizować transmisję meczu z Tallahassee? Jeśli tak - oczywiście zakładając, że jego zwłoki faktycznie utknęły gdzieś między śmieciami na dnie rzeki Ochlockonee - pewnie już nigdy nie poznam prawdy. Ale przynajmniej sekrety innych pacjentów były bezpieczne.

Umknęła mi jeszcze pewna ewentualność, którą za wszelką cenę należało wykluczyć. Zadzwoiłem do domu. Odebrała Lauren. Zapytałem o postępy w walce z solumedrolem i wyraziłem współczucie, gdy wyznała mi szczegóły swoich wysiłków.

Następnie zapytałem:

- Masz czas, żeby odpowiedzieć mi na pytanie zawodowe?

- Tak, jasne.

Głos miała spięty, jakby cierpiała na permanentny skurcz gardła.

- Czy to możliwe, aby policja uzyskała zgodę sędziego na zainstalowanie podsłuchu w moim gabinecie?

- Co takiego?

- Pytałem, czy to możliwe...

- Dobrze słyszałam. Pytasz poważnie?

- Tak.

- Nie.

- Na pewno? Nie ma takiej możliwości?

- Nie, nie ma.

- Bo właśnie usunąłem pluskwę. Urządzenie podsłuchowe było ukryte pod obszyciem poduchy na kanapie.

- Jeśli to nie jest żaden idiotyczny żart, mogę cię zapewnić, że na pewno nie umieściła go tam policja z Boulder.

- Dzięki, to właśnie chciałem usłyszeć. Muszę kończyć.

- Opowiesz mi później o wszystkim?

- Pewnie. Kocham cię.

Gdybym umiał odpowiedzieć na pytania „kto” i „po co”, pewnie mógłbym też przewidzieć komplikacje, jakie powstaną w ciągu najbliższych paru godzin.

Nie umiałem jednak, więc ich nie przewidziałem.

46

Sam

Czasami działa się pod wpływem chwili. Skoro do tej pory zmierzałem do centralnego punktu tarczy Indiany, postanowiłem jechać dalej. Lunch zjadłem w Shoney, przy stacji benzynowej, później dla formalności obejrzałem sobie tor wyścigów samochodowych, wreszcie ruszyłem w stronę śródmieścia, by znaleźć się w pobliżu RCA Dome. Zaparkowałem przed motelem odległym o kilkadziesiąt metrów od stadionu, wynająłem pokój na jedną noc i ruszyłem bez pośpiechu w kierunku gigantycznego obiektu, oczekując natchnienia ze strony zamordowanej kobiety, która tam przecież pracowała. Jak ona się nazywała? Aha. Julie Franconia.

Natchnienia jednak nie znalazłem.

Ani śladu. Julie nie chciała do mnie przemówić zza grobu.

Po raz kolejny zaczął wibrować mój pager.

Natychmiast domyśliłem się, że to on. Przeszedłem jeszcze ze sto metrów, zanim w końcu wyjąłem pager z kieszeni i spojrzałem na wyświetlacz.

Tak, to był on. Znowu alarmował kodem 911.

Postanowiłem najpierw spełnić to, co obiecałem Lucy. Zadzwoiłem do niej i powiedziałem, gdzie będę nocował. Nie

miała dla mnie żadnych nowych informacji. Dopiero później zadzwoniłem do Alana.

Ledwie rozległ się pierwszy sygnał wywołania, już żałowałem, że zadzwoniłem.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Przepraszam - rzekł.

Szedłem dalej. Ze zdumieniem odkryłem, że kompleks Dome przylega do samego centrum Indianapolis. Bardzo mi się to spodobało. Rozgrywki sportowe powinny być nieodłączną częścią wielkomiejskiego życia, a nie odbywać się na jakimś podmiejskim polu piknikowym, gdzie wokół stadionu rozciągają się kilometry wolnej przestrzeni zdolnej pomieścić miliony samochodów, ale najwyżej dwadzieścia razy w roku. Tu zaś, przed głównym wejściem, był nawet niewielki park z fontanną.

Dla mnie bomba!

- Przepraszam - powtórzył Alan.

Minałem róg budowli, dałem nura pod kładką łączącą stadion z piętrowym garażem i zatrzymałem się przed uroczym starym kościołkiem z dwiema pokrytymi miedzią wieżyczkami. Usiadłem na jego stopniach.

- Jestem w kościele - skłamałem. - Mam nadzieję, że dzięki temu zdołam rozmawiać z tobą kulturalnie.

- Naprawdę bardzo przepraszam, Sam.

- Już to słyszałem. Co dalej?

- Jeśli to ma być przejaw twojej kultury, bo siedzisz w kościele, to mogę się tylko cieszyć, że nie jesteś w barze ze striptizem.

Zaśmiałem się. To było niezłe.

- Pobyt w takim barze mógłby obecnie źle wpłynąć na moje serce. Prawdę powiedziawszy, siedzę tylko na stopniach kościoła. Nie jestem w środku. Ale Bóg może być nazbyt zajęty tymi, którzy tam weszli, więc radziłbym ci uważać.

- Nie powinienem był cię oskarżać.

- Oskarżać? Jak mogłeś w ogóle myśleć, że to ja? Pogrywam twardo, ale zawsze zgodnie z regułami. Nawet jeśli stosuję różne chwytły, nie oznacza to przecież jeszcze, że gotów byłbym się posunąć do oszustwa.

- Wiem. Myliłem się.

- To wszystko? Muszę ruszać w dalszą drogę.

- Dokąd?

To też była niezła próba powrotu do normalności, chociaż Alan zapewne zrobił to nieświadomie.

- Jeszcze nie wiem. Zastanawiam się, czy nie pojechać dalej na północ, żeby zobaczyć się z Simonem.

- Twoim zdaniem, to dobry pomysł?

- Żeby zobaczyć się z synem? To chyba zawsze jest dobry pomysł. Bez względu na okoliczności.

To go chyba nie przekonało, gdyż zapytał:

- Zamierzasz mi w końcu powiedzieć szczerze, co się stało z Sherry?

- Nie.

Mój pager zawibrował po raz kolejny. Miałem wielką ochotę go wyłączyć. Wyjąłem z kieszeni i trzymając w wyciągniętej ręce, uniosłem na wysokość oczu. Nawet z tej odległości ledwie mogłem odczytać cyferki na malutkim wyświetlaczu.

- Właśnie Gibbs zadzwoniła na mój pager - powiedziałem do słuchawki. - Muszę kończyć.
- Nie wiesz, o co jej chodzi? Zadzwoń później do mnie.
- Dobra.
- Detektyw Purdy? Boję się.

Nawet jej głos bardzo na mnie działał.

Dawno nie odczuwałem czegoś podobnego. Wstałem i prze-siadłem się dwa stopnie wyżej, ale tu też nie było lepiej, dlatego wróciłem i usiadłem o stopień niżej od miejsca, na którym siedziałem poprzednio. Nie umiałem nawet sprecyzować, do czego właściwie przydałaby mi się teraz Boska pomoc, zdawałem sobie tylko sprawę, że chodzi o coś, w czym Bóg wcale się nie będzie spieszył z pomocą.

- Tak?
- Myślę, że on żyje. Naprawdę. Domyśliłem się, że ma na myśli Sterlinga.
- I sądzi pani, że będzie próbował się mścić?
- No... niezupełnie. - Choć może i tak... Sama nie wiem. Boże, jak mam to powiedzieć... Kiedy i ona nawiązała do Wszechmogącego, zadarłem głowę i spojrzałem w kierunku, w którym mierzyły iglice kościelnych wież.

- Gdzie pani teraz jest, Gibbs? Dzwoni pani z domu?

- Nie, zameldowałam się w hotelu.

Mogłem się założyć, że wynajęła pokój w „Boulderado”. Oczyma duszy widziałem, jak stoi przy jednym z wysokich okien w nowym skrzydle tego śródmiejskiego hotelu, delikatna i krucha, na wpół ukryta za zasłoną.

- W którym?

- W „Boulderado” - odrzekła.

Podobno najbardziej luksusowy w mieście, na pewno był pierwszym miejscem, gdzie Sterling zacznie szukać żony, gdy tylko się przekona, że nie ma jej w domu. Każdy by tak zrobił. Tak więc wybór Gibbs był nierozsądny. Ale tego można było się spodziewać. Wiedziałem z doświadczenia, że kobiety maltretowane przez mężów z reguły postępują nierozsądnie.

Nie ma dymu bez ognia.

- To chyba nie najlepszy wybór - zasugerowałem.
- Myśli pan, że on będzie mnie szukał?
- A jak pani uważa?
- Przez tyle lat ani razu mnie nie skrzywdził. Podnosił rękę tylko na inne kobiety.
- Jakże?
- Te, z którymi... no, wie pan...
- Sypiał na boku? - Poczulem, że tętno mi nagle podskoczyło, jakby serce zaczęło pracować na turbodoładowaniu. Od siedemdziesięciu do stu siedemdziesięciu zaledwie w ciągu trzech minut.

Odniosłem wrażenie, że mruknęła cichutko:

- Mhm...
- Więc te kobiety, które zabił, były... miał z nimi romanse?
- Wolałabym...

Odszukałem w archiwum nieco oglądaną wersję tonu pod tytułem „tylko-nie-próbuj-mnie-robić-w-konia” i natarłem, mierząc prosto w gardło:

- Nie pora, żeby odgrywała pani przede mną osobę wstydliwą, Gibbs.
- Tak - wyrzuciła z siebie pospiesznie. - To prawda.
- Więc zna pani te inne kobiety? Oczywiście nie chodzi mi o te, o których już się mówi w telewizji.

- Nie było żadnej innej.

Powiedziała to jednak z ociąganiem. Niech to szlag. Zrobiła ledwie uchwytną pauzę, ale efekt był taki, jakby mi nadepnęła na odcisk. Bez dwóch zdań kłamała.



A przecież nie chciałem, żeby mnie okłamywała.

Jej następne słowa zabrzmiały w moich uszach jak mruczenie głaskanego kota, miękko i uspokajająco.

- Nie chcę, żeby ktoś jeszcze ucierpiał. Myśli pan, że on będzie mnie szukał? Naprawdę? Powoli nabrałem powietrza, jakbym podejrzewał, że aż tu doleci zapach jej perfum. Ale poczułem jedynie gryzące w gardle wyziewy przejeżdżającego autobusu.

- Dopóki ktoś nie znajdzie jego ciała, nie można przesądzać, żyje czy nie. W takich sytuacjach zawsze powtarzam ludziom, żeby zaufali swoim przeczuciom. To zazwyczaj daje dobre rezultaty.

- Dzwonił do mnie agent FBI i wypytywał o Briana Milesa. Ta gwałtowna zmiana tematu sprawiła, że poczułem się, jakby

ktoś mi podstawił nogę na równej drodze. Z trudem odzyskałem równowagę i zapytałem:

- Tak? I co mu pani powiedziała?

- To samo, co już mówiłam panu. Że Brian i Sterling urządzali sobie razem wyprawy na dziwki. I że z tego powodu nie lubię Briana.

- Tego mi pani nie mówiła. Że go nie lubi.

- Źle się zachowywał wobec kobiet.

- Źle?

- Tak.

- Jak mam to rozumieć?

- Może powinnam wyjechać do Denver, zamiast siedzieć w hotelu? Albo wybrać się w góry? Przed oczami, gdzieś w oddali, zauważyłem kilka punktów, które koniecznie trzeba było połączyć liniami. Zapytałem:

- W jakiej branży on pracuje? Chodzi mi o Briana Milesa.

- W elektronicznej.

- A konkretnie? Telewizory? Wieże stereo?

- Nie, mikroelektronika. Nie znam się na tym. Lubi pan góry?

Znów się potknąłem, ale natychmiast przyspieszyłem kroku, żeby się z nią zrównać. Gibbs najwyraźniej była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni bez sprzeciwu podążają za nią tam, dokąd zdecyduje się ich skierować. Więc co miałem robić? Też potulnie iść za nią.

- Nie zastanawiała się pani ponownie nad pobytem w schronisku? - zapytałem, choć w głowie miałem tylko działalność Briana Milesa w zakresie mikroelektroniki.

- Szczerze mówiąc, brałam pod uwagę tylko wyjazd do Vail. Ewentualnie powrót do Corona Del Mar, gdzie mam sporo przyjaciół.

Gibbs była zdecydowanie w typie Vail. Nie Aspen, tylko Vail. I wcale nie chodziło jej o góry, tylko o wioskę w górach. Na pewno czułaby się jak u siebie w Vail Village.

W słuchawce rozległ się donośny dźwięk klaksonu.

- Ma pani pokój od strony Broadwayu? - zaciekałem się.

Przez chwilę milczała.

- Blisko. Jestem na ulicy. Teraz z kolei zawyła syrena.

- Słyszałem przejeżdżającą karetkę - powiedziałem. - Faktycznie, po Broadwayu nawet karetki nie jeżdżą tak szybko.

- Szkoda, że pana tu nie ma - mruknęła Gibbs. - Przy panu czułabym się bezpieczniej.

Znów złowiłem to mruczenie kota, jego przyjemne wibracje aż rezonowały w moim schorowanym sercu. Wstałem i zszedłem ze schodów przed kościołem. Miałem wrażenie, jakby stopy zapadały mi się w sypkim piasku. Podnoszenie na przemian nóg wymagało nie lada wysiłku.

Zatem czuła się przy mnie bezpieczniej. Umiałem więc poprawiać nastrój kobiety.

Miałem na nią jakiś wpływ.

- Proszę mi mówić po imieniu, Sam - rzuciłem odruchowo, po czym dodałem w myślach: „W gruncie rzeczy możesz mnie nazywać, jak chcesz”.

Jak miałem się oprzeć tej pokusie? Perspektywa powrotu na wyżynę Kolorado, żeby wcielić się tam w rolę osobistego strażnika księżniczki Gibbs, wyglądała bardzo zachęcająco. Ale impuls do tego zadzwieczał fałszywie. Co prawda, było to tylko chwilowe wrażenie, lecz silne i wyraźne, jak ryk mijającej mnie zdezelowanej ciężarówki.

Kilkadziesiąt metrów od kościoła w bramie budynku mieszkalnego siedział zgarbiony włóczęga. Na jego widok przemknęło mi przez myśl: Właśnie tak wygląda nadzieja w chwili, gdy umiera.

Próbowałem usilnie, ale nie mogłem oderwać od niego oczu.

Kierowany złudnym pragnieniem uwolnienia się od czegoś w rodzaju grawitacji, wyciągnąłem portfel i wyjąłem z niego dziesięć dolarów. Rzuciłem banknot do odwróconego kapelusza stojącego między zabytkowymi adidasami obdartusa. Nawet nie podniósł głowy, żeby popatrzeć na swego dobroczyńcę, ale wyćwiczonym ruchem ręki błyskawicznie chwycił pieniądze z kapelusza i schował dłoń w rękawie powycieranej sztruksowej kurtki tak szybko, że nie zdążyłem zauważyć, co zrobił z dzie-sięciodolarówką.

Ze zdumieniem spostrzegłem natomiast na dnie kapelusza jednego dolara. Łobuz zadrwił sobie ze mnie. Tym sposobem wcale nie dałem jałmużny bezdomnemu w potrzebie, tylko bezwiednie uiściłem dobrowolną opłatę na rzecz zuchwałego wielkomijskiego artysty ulicznego.

Moje rozważania przerwała Gibbs.

- Detektywie? Sam?

A więc jednak odezwała się do mnie po imieniu.

- Tak?

- Gdybym zdecydowała się dokądś wyjechać, zadzwonię do ciebie z Vail czy z innego miasteczka, w którym znajdę schronienie. Mam nadzieję, że do czasu następnej rozmowy będziesz miał dla mnie jakieś nowiny.

Ja też. Ja też.

- Ja też - wymamrotałem.

- Chyba wiesz, że mogę ci zapłacić za ochronę. To żaden problem. Chciałabym więc... żebyś tu był.

- Niestety, to niemożliwe - wycodziłem. - Pracuję nad czymś, co może okazać się dla nas bardzo pomocne.

Westchnęła głośno.

- Do widzenia, Sam.

- Do widzenia.

Tylko gdzie należało szukać tych nowych informacji, by mieć co jej przekazać w następnej rozmowie? Nie miałem pojęcia.

Jeszcze raz powędrowałem myślami w stronę znakomicie ucha-rakteryzowanego magika, który powinien mieć jeszcze gdzieś w rękawie moje ciężko zarobione pieniądze.

Przechodząca elegancka starsza pani w etoli z lisów z namaszczeniem wyspała mu do kapelusza garść monet. Jego dłoń na krótko zawisła nad pieniędzmi, jednakże suma drobnych była widocznie niższa od ceny wstępu. Spryciarz nie zamierzał się trudzić za garstkę miedziaków.

I wtedy sobie przypomniałem, że Alan prosił, bym jeszcze do niego zadzwonił. Było mi nawet na rękę, że zapomniałem, bo gdybym cały czas pamiętał, musiałbym podejmować świadomą decyzję, by nie dzwonić. W takiej sytuacji na pewno dopadłoby mnie poczucie winy. A to by przecież źle wpłynęło na moje serce.

Wyjąłem z portfela jeszcze piątkę, złożyłem ją wzdłuż, żeby usztywnić, i wsunąłem banknot do kapelusza magika. I tym razem nie zdążyłem zauważyć, gdzie i kiedy zniknęły moje pieniądze, na miejsce których pojawiła się ta sama pokazowa jed-nodolarówka.

Nie była złożona wzdłuż na pół.

Cofnąłem się o krok i zaklaskałem cicho, jakbym z szacunkiem nagradzał orkiestrę po zakończeniu symfonii.

Bezdomny imitator ledwie zauważalnie uniósł głowę i podziękował mi, lekko unosząc dłoń do ronda kapelusza.

W końcu poświęciłem piętnaście dolarów na całkiem niezły cel.

47

ALAN

Mimo zapewnień Tayishy, że mój gabinet jest już czysty, wyszedłem na korytarz po pacjenta zapisanego na szesnastą bynajmniej nie przekonany o odzyskaniu swojego sanktuarium.

Na tę godzinę byłem umówiony z jakimś Craigiem Adam-sonem, dwudziestotrzylatkiem, który wydzwaniał od poniedziałku, żeby potwierdzić ten termin. Craig należał do tych pacjentów, którzy spędzali mi sen z powiek, gdyż nie za bardzo wiedziałem, jak im pomóc. Był niesamowitym człowiekiem, poświęcającym każdą chwilę na beznadziejną walkę z rzuconym na niego urokiem patologii mieszanych osobowości, łagodnych zaburzeń będących połączeniem natręctw myślowych i czynności przymusowych, jak również pojedynczych przejawów o charakterze paranoidalnym. W jego szczególnej sytuacji zawsze występowały dwa problemy równocześnie, równie nieprzyjemne, jak wiecznie skłócenie sąsiedzi. Opisujący jego stan kod diagnostyczny DSM, który udało mi się jakoś poskładać, wyglądał niczym europejski numer telefoniczny, jakby miał zdecydowanie za dużo cyfr, ponieważ musiałem uwzględnić dodatkowe numery, chcąc opisać nie tylko jego depresję, ale także pojawiające się od czasu do czasu psychozy.

Tego dnia w poczekalni spotkała mnie niespodzianka. Craig siedział dokładnie tam, gdzie należało oczekiwać: na ostatnim krześle w samym kącie. Ale bliżej drzwi siedziała inna moja pacjentka, która nie miała wyznaczonej sesji na to popołudnie. Prawdę mówiąc, potrzebowałem kilku chwil, żeby ją rozpoznać. Nie dość, że ufarbowała włosy na czerwono, i to w takim odcieniu,

jaki moim zdaniem był zarezerwowany wyłącznie dla kwiatów i owoców, to na dodatek obcięła je tak krótko, że po myciu jeszcze co najmniej miesiąc nie musiała korzystać z suszarki.

Sharon Lewis.

Poderwała się z miejsca, zerknęła na siedzącego w kącie przestraszonego mężczyznę i - doszedłszy najwyraźniej do wniosku, że nie jest dla niej żadnym rywalem - głosem o mocy podnośnika hydraulicznego oznajmiła:

- Potrzebuję tylko minuty. Przepraszam, bardzo przepraszam, ale naprawdę jestem w potrzebie. - Odwróciła się na pięcie i zapytała Craiga: - Mogę zabrać doktorowi pięć minut? Wiem, że jestem niegrzeczna, ale mam bardzo pilną sprawę. Nie obrazi się pan, prawda? Nie czekając na reakcję któregoś z nas, przecisnęła się obok mnie do korytarza i po chwili zniknęła mi z oczu w gabinecie.

Craig ewidentnie nie mógł zrozumieć, co się właściwie przed chwilą stało. Nawet za bardzo mu się nie dziwiłem. Spojrzał na mnie i odparł:

- W porządku. Nie ma sprawy. - Zerkał jednak na boki z wyraźnym strachem w oczach.

- Wcale nie jest w porządku - powiedziałem. - To przecież twoja sesja.

Mimo codziennej dawki koktajlu środków psychotropowych -zapisanych mu przez specjalistkę psychiatrii, która dobrze wiedziała, co robi - i regularnych, odbywanych dwa razy

w tygodniu sesji psychoterapeutycznych ze mną, Craig wciąż zaliczał się do najtrudniejszych przypadków, z jakimi miałem do czynienia poza leczeniem zamkniętym. Spotykałem się z nim nadal tylko ze względu na Adrienne, która pracowała z jego rodzicami, anestezjologami. Uznali, że jestem wprost wymarzonym terapeutą dla ich syna, ponieważ nie byłem ich kolegą ze szpitala, a mój gabinet znajdował się tylko kilkadziesiąt metrów od kamienicy przy West Pearl Street, w której wynajmowali jemu mieszkanie. Tymczasem przypadek Craiga poważnie ograniczał geograficznie obszar, po którym mógł się on względnie bezpiecznie poruszać.

Sharon Lewis nie mogła sobie wybrać bardziej wrażliwej osoby do wciśnięcia się w kolejkę, nawet gdyby potajemnie obserwowała od tygodnia wszystkich moich pacjentów.

- Nie, nie - zaprotestował. - Naprawdę nie szkodzi. Zaczekam. Skoro ona potrzebuje tego... to znaczy pana... bardziej niż ja. Zaczekam tutaj. - Mówiąc to, nawet przelotnie nie spojrzął na mnie.

- Załatwię to najszybciej, jak tylko się da.

- Tak. Dobrze. - Głośne westchnienie. - Dobrze. Bardzo dobrze.

- Zaraz wrócę - dodałem, gdyż nawet ślepiec odczytałby mowę jego ciała. Craig był bardzo niespokojny.

Błyskawicznie ukrył twarz za kolorowym czasopiśmie. Zwróciłem uwagę na jego tytuł: „Mechanika Popularna”. Na pewno nie pochodziło ze stosika, który wspólnie z Diane układaliśmy w poczekalni, a to oznaczało, że musiał je przynieść ze sobą. Nie dało się wykluczyć, że zrobił to, ponieważ nie odpowiadał mu żaden z tytułów dostępnych w poczekalni. Podejrzywałem jednak, że wolał nie ruszać żadnego z naszych pism, nie mając pewności, kto je wcześniej przeglądał.

Był gotów przyznać się do tego przede mną? Jeszcze nie. Ale ostatnio poczyniliśmy pewne postępy w budowaniu wzajemnego zaufania. Niestety, naszyły mnie obawy, że dzisiejszy wypadek wszystko doszczętnie zniszczy.

Sharon Lewis siedziała na kanapie. Sprawiała takie wrażenie, jakby od samego rana była podłączona do ekspresu do kawy. Jej niezwykle ożywienie skierowało moje myśli w stronę solume-drołowej kuracji Lauren.

- Powinnam od razu wracać do Ontario i tam poszukać sobie jakiejś kryjówki.

- Do Ontario? A nie do Kalifornii? - Poczuję się zmuszony do wyregulowania swojego terapeutycznego żyroskopu, a tego typu nedorzeczne pytanie musiało mi dać parę sekund na odpowiednią kalibrację.

- Przecież pochodzę z Kanady - wyjaśniła.

- Nie wiedziałem. - Taka była prawda.

- No więc już pan wie. - Szlag by to trafił. Już wszyscy wiedzą. O wszystkim.

Wzięłem głębszy oddech, gorączkowo dobierając w myślach słowa, które stanowiłyby dla niej wyzwanie, ale nie brzmiały zarazem oskarżycielsko.

- To, co przed chwilą zrobiłaś w poczekalni, Sharon, niczym się nie różni od zamieszania, jakie wywołałaś na lotnisku kilka tygodni temu. Rozmawialiśmy o tym. Impulsywnie dochodzisz do wniosku, że twoje potrzeby są ważniejsze od potrzeb innych ludzi, w tym przypadku mojego pacjenta siedzącego w poczekalni. Po raz kolejny uznałaś, że tylko twoja sprawa jest nie-cierpiąca zwłoki... - Powstrzymałem się w ostatniej chwili i nie dodałem:

„oraz ważniejsza od wszelkich innych” - ...co skłoniło cię do wniosku, że zasady... -

Przemilczałem: „przyzwoitości i współczucia” - ...ciebie nie dotyczą.

- Powiedziałaś przecież, że wiem, iż jestem niegrzeczna. I przeprosiłam za swoje zachowanie.

- Twój problem polega na tym, że świadomość braku kultury oraz łamania zasad w najmniejszym stopniu nie powstrzymuje cię przed kolejnymi podobnymi zachowaniami. A

twoje przeprosiny zabrzmiały równie szczerze, jak... zapewnienia z telewizyjnej reklamówki.

Tak zagryzła zęby, że omal nimi nie zazgrzytała. Ale nawet moja szorstkość nie była w stanie przebić się przez jej kewlarową fasadę. Zresztą wcale na to nie liczyłem.

- Wiedzą już, kim jestem. Dzisiaj w południowym dzienniku, w pieprzonym kanale informacyjnym Kolorado, podali do wiadomości, że tajemnicza kobieta, która naraziła na wielkie kłopoty miliony pasażerów linii lotniczych, przez co nazwano ją „najbardziej samolubną kobietą w Ameryce”, ma na imię Sharon, mieszka w Boulder i... proszę to sobie tylko wyobrazić... musi się leczyć psychiatrycznie ze względu na jej stan umysłowy. Mój „stan umysłowy”! Jezus, Maria!

Krew odpłynęła mi z twarzy. Domyślałem się już, co za chwilę nastąpi. I nie rozczarowała mnie.

A może jednak?

- Mówił pan komuś? - wyrzuciła jednym tchem. - Rozmawiał pan z kimś o mnie?

- Zamierzasz zrzucić na mnie winę za sytuację, w jakiej się znalazłaś? - Miałem wrażenie, że wypowiedziałem to pytanie obojętnym, najwyżej lekko konfrontacyjnym tonem.

- A kto inny mógłby to zrobić? - Podtekst był oczywisty: Ty kretynie! Przecież nikt więcej nie znał prawdy poza tobą!

Ktoś wyraził się kiedyś, że nie jest w stanie równocześnie myśleć i celować kijem w piłkę baseballową. Jak należało to rozumieć? Że niektóre rzeczy dzieją się tak szybko, iż można na nie reagować tylko instynktownie.

Mogłem odpowiedzieć Sharon właśnie na tej zasadzie. Ale tego nie zrobiłem. Dlaczego? Bo całkowicie zmroziła mnie myśl, że jednym z najprostszych rozwiązań byłoby otwarte wyznanie, że niedawno w tym gabinecie, w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, na którym teraz siedziała, zostało wykryte urządzenie podsłuchowe i że według wszelkiego prawdopodobieństwa ono wyniosło jej tajemnicę poza ten pokój i poza budynek, udostępniając ją całemu światu.

To, że reporterzy lokalnej stacji informacyjnej mogli podać jedynie imię mojej pacjentki, utwierdzało mnie tylko w przekonaniu, że dotarł do nich przeciek pochodzący z podsłuchu którejś z naszych sesji. Bo w czasie rozmów z pacjentami rzadko wymieniałem ich nazwiska.

Niemniej, gdybym wyznał Sharon prawdę

o wykrytej pluskwie, mogłaby mnie słusznie oskarżyć o zniweczenie jej nadziei na pełną dyskrecję terapeuty. A gdyby to zrobiła publicznie, postawiłaby mnie w sytuacji równie przykrej

i trudnej, jak ta, w której obecnie sama się znajdowała.

Udało mi się w końcu odzyskać głos. Zdawałem sobie sprawę, że ostatecznie i tak będę musiał powiedzieć Sharon oraz pozostałym moim pacjentom o tym, co znaleziono w poduszce kanapy, ale nie byłem jeszcze gotów, by zacząć mówić już teraz.

Przez dziesięć krótkich sekund terapeutycznej ciszy ujrzałem oczyma duszy, jak moja bezcenna kariera w mgnieniu oka rozplywa się niczym mgła.

Co zatem odpowiedziałem?

- Nie wiem, Sharon.

Ona zaś wybuchnęła płaczem.

- Zamierzałam się ujawnić. Naprawdę. Ale teraz... wyszłoby na to, że się przestraszyłam mediów. Do cholery, jestem skończona. Skończona! Wyjeżdżam... Muszę porozmawiać ze swoim adwokatem.

Minutę później ruszyłem do poczekalni po Craiga. Otworzyłem drzwi i spostrzegłem, że zniknął. Nie byłem tym specjalnie zaskoczony, od razu zacząłem w myślach układać, co mu powiem wieczorem przez telefon, by zniwelować chociaż część szkód poczynionych przez Sharon. Nawet wstąpiła we mnie nadzieja, że jeśli obaj zdołamy się jakoś uporać z tym, co go

spotkało dzisiaj w poczekalni, może to się okazać wręcz pomocne w jego terapii. Tak czy inaczej, nie w smak mi było, że stałem się mimowolnym powodem prowokacji, przez którą ucierpiał.

Czas pozostały do ostatniej tego dnia sesji poświęciłem na przygotowanie listy pacjentów oraz ich sekretów, zarówno tych poważnych, jak i maleńkich. Nie mogłem się też powstrzymać od podobnych do tortur rozważań o szczerych rozmowach, jakie musiałem przeprowadzić z pacjentami na temat groźnej ewentualności tego, że ich tajemnice wkrótce mogą się przedostać do opinii publicznej.

Kilka minut przed piątą w otwartych drzwiach gabinetu stała Diane. Miała nadąsaną minę.

- Żadna ze stron mnie nie chciała. Zadeklarowałam nawet gotowość głosowania za wyrokiem śmierci w sprawie o podpalenie, a mimo to zostałam odrzucona. Jestem zdruzgotana.

- Cześć - powiedziałem. - Okazało się, że miałaś rację.

- Jak zawsze. W jakiej sprawie tym razem?

- Podśluchu w moim gabinecie.

- Ach, o to chodzi? Kapuję. No więc w składzie przysięgłych znalazł się facet, który...

- Ja nie żartuję.

Zamknęła usta i wytrzeszczyła oczy. Opowiedziałem jej o wizycie Tayishy i znalezionym urządzeniu podsłuchowym, jak również kolejnym przypadku, w którym prywatna tajemnica mojego pacjenta znalazła drogę do opinii publicznej.

Sądząc po jej minie, nadal nie wiedziała, czy mi wierzyć. Odezwała się w końcu:

- Ile było takich przypadków do tej pory? Przeliczyłem w myślach. Jim Zebid i jego rewelacje o mężu

sędzi Heller zamieszany w handel kokainą. Ten był pierwszy. Potem historia oskarżeń Sterlinga przez Gibbs Storey. To był drugi przypadek. I wreszcie Sharon Lewis z jej niesławnym zachowaniem na lotnisku międzynarodowym w Denver. A więc trzy.

- Do tej pory wiem o trzech - odparłem.

- Przecież to bez sensu. Niby dlaczego?

- O co chodzi, Diane? Nie podobają ci się liczby nieparzyste?

- Po co ktoś miałby tu instalować podsłuch, chcąc się czegoś dowiedzieć o jednym z naszych pacjentów, a potem rozpowszechniać informacje o trzech? Dla mnie to nie ma sensu.

- Nie rozumiem.

- Jeśli ktoś pochłasta pomnik w parku różową farbą, pomyślisz, że coś jest z nim nie w porządku, że mu odbiło. Zgadza się?

- Owszem. - Odpowiedziałem, co prawda, twierdząco, ale w moim głosie kryło się tyle wątpliwości, jak gdybym wprost zaprzeczył.

- Lecz jeśli trzech ludzi niezależnie od siebie w różnym czasie pomaluje ten sam pomnik w parku na różowo, zaczniesz podejrzewać, że albo mamy do czynienia z jakimś spiskiem...

- Zgadza się. - Tym razem już zdecydowanie pewniej.

- Albo... jest coś niezwykłego w tym pomniku. Masz pewność, absolutną pewność, że nic nie łączy ze sobą tych trzech twoich pacjentów?

Możliwość istnienia spisku podziałała mi na wyobraźnię.

- Nie dostrzegam między nimi żadnego związku. Z tego, co wiem, nawet się nie znają. Mają różne zawody. Pochodzą

z różnych kręgów społecznych. Ani razu w rozmowach ze mną nie wspominali o pozostałych. Tego jestem pewien.

- W takim razie przyjrzyjmy się dokładniej pomnikowi.

- Masz na myśli mnie? To ja miałbym być tym malowanym na różowo pomnikiem?

- Oczywiście.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że ktoś zagiął parol na ciebie.

- Na mnie? Niby w jakim celu, Diane? Żeby mnie skompromitować publicznie, ujawniając, co mówię swoim pacjentom zgłaszającym się do mnie na psychoterapię? Może nie zawsze trafnie oceniam sytuację, uważam jednak, że w sumie to, co im mówię, nie jest aż takie złe.

- Trafnie? Użyłeś tego określenia? Boże, co za numer z ciebie. Ten, kto zainstalował tu pluskwę, nie podejrzewał, że ją odnajdziesz, Alan. Mam rację? Zatem dlaczego to zrobił? Przecież nie po to, żeby ci zagrać na nerwach. Do tego wystarczyłby zwykły magnetofon kasetowy rejestrujący przejawy twojego terapeutycznego geniuszu. Nie sądzę też, by podsłuch miał służyć ujawnieniu jakichś niezwykłych tajemnic, które mogłyby ci zdradzić któryś z twoich pacjentów. Nie rozumiesz? W takiej sytuacji nie przedostałyby się do opinii publicznej sekrety aż trzech niepowiązanych ze sobą osób. Więc jaki był faktyczny powód założenia podsłuchu?

Miałem chyba zbaraniałą minę.

- Gdyby ujawnione zostały tajemnice tylko jednego pacjenta - ciągnęła niezrażona - można by sądzić, że to właśnie o nie chodziło. Lecz skoro wiesz już o trzech wypadkach, a mogą się jeszcze zdarzyć następne, powinieneś zakładać, że obiektem podsłuchiwanym byłeś ty, a nie twoi pacjenci.

- Tylko po co? Bo tego nie rozumiem. - Miałem nadzieję, że nie wróci już do swego porównania z malowanym na różowo pomnikiem.

- Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś w rzadkim dla ciebie przyпыływie wnikliwości? Uznałeś, że jeśli chce się zrozumieć motywację czyjegoś działania, trzeba dokładnie przeanalizować

konsekwencje tego działania. No więc jakie są konsekwencje ujawnienia tajemnic opinii publicznej?

- Mogą mnie doprowadzić do ruiny.

Podeszła do mnie na krok, jakby mi chciała położyć rękę na ramieniu.

- Otóż to. Zatem ktoś próbuje robić ci złą sławę terapeuty, który nie umie dochować tajemnicy zawodowej. Masz groźnego wroga, mój drogi.

Próbowałem zaczerpnąć głęboko powietrza, ale mi się nie udało.

- Diane, jeśli naprawdę zrobił to ktoś, kto...

- Oczywiście. Jak tylko ludzie w mieście się dowiedzą, że nie potrafisz trzymać języka za zębami, będzie po tobie.

- Cholera.

- Posługujemy się, co prawda, jedynie domysłami - dodała -ale wątpię, byśmy się bardzo pomylili co do motywacji osoby, która założyła ci podsłuch. Zatem pozostaje tylko ustalić, komu może zależeć na zniszczeniu twojej kariery.

48

Sam

Jeśli nie wiecie, co naprawdę znaczy słowo „martwe”, zajrzyjcie do centrum któregoś z dużych miast amerykańskiego Środkowego Zachodu w przeddzień Święta Dziękczynienia. Gdyby tego wieczoru całe śródmieście Indianapolis samoistnie stanęło w płomieniach i wypaliło się do cna, należało by to uznać za kremację, a nie pożar. Aż tak było martwe.

Jeśli w całym śródmieściu metropolii przebywało dwadzieścia osób, mogłem przeoczyć najwyżej piętnaścioro z nich. Nawet magik przebrany za włóczęgę, który sprytnie chował w rękawie moje banknoty, zwinął swój majdan i wyniósł się gdzieś na noc. Niewykluczone, że wynajął sobie apartament w ekskluzywnym hotelu.

Za kontuarem recepcyjnym motelu, gdzie się zatrzymałem, dyżur pełnił Sikh w turbanie, mówiący z akcentem, który przyprawiał mnie o uśmiech. Zaproponował, żebym poszukał sobie czegoś do jedzenia w restauracji hotelu Marriott przy RCA Dome.

- To tam, niedaleko. Powinno być jeszcze otwarte - oznajmił ze śpiewną precyzją wytrawnego krytyka sztuki kulinarnej. Gdyby kiedykolwiek zdecydował się diametralnie odmienić swoją przyszłość i zrezygnować ze świetlistych perspektyw rysujących się na stanowisku motelowego recepcjonisty, prawdopodobnie czekałaby go obiecująca przyszłość u boku niezrównanego mistrza w tej dziedzinie, Zagata.

Przespacerowałem się do Marriotta i odnalazłem nie tylko otwartą restaurację, lecz także wolny stolik i menu. Kelnerka nie traciła czasu na uprzejmości i zaszczylenie mnie chociażby słynnym dla amerykańskiego Środkowego Zachodu uśmiechem. Od razu zapytała:

- Pan spoza miasta?

Podniosłem na nią wzrok i spojrzałem jej w twarz.

- A co, przyjmujecie tu tylko miejscowych? Jak zwykle? Zaśmiała się krótko.

- Widzę, że chyba nie - dodałem.

- Już rozumiem - odparła. - Zgadza się, jestem znudzona. Mam za sobą długi dzień pracy. Interesuje to pana? Mogłabym opowiadać bez końca. Nie jestem aż tak dobra jak Wendy, która uchodzi za tutejszą mistrzynię, ale wzięła urlop aż do poniedziałku. Powiedziałabym więc, że jest pan z Wisconsin. Może z... Michigan, ale z północy stanu, na przykład z Traverse City.

- Całkiem niezłe, Christy. - Jej imię było wydrukowane wielkimi literami na plastikowym identyfikatorze przyczepionym powyżej wydatnej lewej piersi. - Urodziłem się i wychowałem w Minnesocie, ale już od dłuższego czasu mieszkam w Kolorado.

Strzeliła palcami.

- A więc tym mnie pan zmylił. Kolo... ra... do... - wycedziła, akcentując środkową sylabę, i to w taki sposób, że o mało nie zazgrzytałem zębami.

Za jej plecami ujrzałem kobietę, która stała w drzwiach restauracji i zaczęła ciekawie rozglądać się dokoła. Uznałem, że chyba szuka tu swojego męża. Ewentualnie kochanka. Albo kochanki.

- Ta pani chyba bardziej ode mnie potrzebuje pomocy. Najdalej za minutę będę gotów, żeby złożyć zamówienie. Obiecuję. Na razie z przyjemnością napiłbym się piwa, gdyby znalazła pani chwilę.

- Jakiego piwa?

- Zdaję się na panią. - W jednej chwili udało mi się zapomnieć, że alkohol znajduje się na samym czeluście rzeczy dla mnie zabronionych. Prawdę mówiąc, gdybym o tym pamiętał, i tak niczego by to nie zmieniło.

- Jest pan bardzo uprzejmy.

- Nieprawda, wcale taki nie jestem.

Było po niej widać, że mi nie uwierzyła. I to był błąd z jej strony. Nie wątpiłem, że gdybym postawił jej piwo, w pierwszej kolejności dowiedziałabym się od niej, że każdy z jej chłopaków był skończonym dupkiem.

Kiedy dorastałem, w mojej rodzinie kultywowano jeszcze zwyczaj serwowania zupy przed świąteczną kolacją. Był to rodzaj rodzinnej tradycji. Moja matka, świecąc Panie nad jej duszą, była w stanie przygotować dużą porcję zupy, jeszcze zanim przebrzmiało moje pytanie: „A co będzie na kolację?”. W jej pojęciu zupa była lekkim posiłkiem jak najbardziej stosownym w czasie oczekiwania na bogactwo świątecznych potraw. Niestety, zupy mamy nigdy nie były lekkie, nie należała do gospodyń serwujących delikatny bulionik. W jej pojęciu musiało to być danie tłuste i treściwe, na kielbasie lub pełnotłustym serze, z grochem albo fasolą.

Na chwilę ogarnął mnie bezgraniczny smutek, gdy uświadomiłem sobie, że całe serce, jakie wkładała w gotowanie swoich zup, teraz skutkowało obłożeniem moich naczyń krwionośnych jak gdyby wieloma warstwami tapety.

Skupiłem uwagę na menu, wypatrując zupy, która byłaby jak

najdalsza od kuchni mojej mamy, kiedy znów poczułem nad sobą bliską obecność kelnerki.



- Już prawie jestem gotów - powiedziałem. - Jakie macie minestrone? Przypadkiem nie z puszki?

Nie było odpowiedzi. Podniosłem głowę. Nade mną stała kobieta, którą wcześniej zauważyłem w drzwiach restauracji. Trzymała dłonie na oparciu sąsiedniego krzesła.

- Mogę? - zapytała.

Była bardzo ładna. Dobrze ubrana. Uprzejma. I wysoka. Miałem wrażenie, że w tej wyprawie natykam się na same wysokie kobiety. Natychmiast przyszły mi na myśl siostry Wolf i ich „turducken”, który chyba wylądował właśnie w średnio rozgrzanym piekarniku kuchni w Georgii, toteż ogarnął mnie smutek, że nawet drobny kęs tego smakołyku nie trafi jutro do mych ust.

Dotarło do mnie, że rozdziawiam i zamykam gębę jak ste-tryczały piernik, który uświadomił sobie w takiej chwili, że zapomniał o swojej sztucznej szczęce, zanim w końcu udało mi się wykrztusić:

- Szczerze mówiąc, jestem całkiem zadowolony z własnego towarzystwa.

Mimo to odsunęła krzesło i usiadła.

Nie minęła nawet minuta, jak Christy postawiła przed nią na stole drugą zastawę.

Patrzyłem na to w osłupieniu. Niby miałem przed oczami wszystkie elementy układanki, ale wciąż nie potrafiłem z nich ułożyć całego obrazka.

Mój nieproszony gość zapytał:

- Zamówił pan minestrone?

Jeszcze dwa tygodnie temu odesłałbym jej z powrotem tę promocyjną ofertę. Bo dwa tygodnie temu byłem przekonany, że jestem całkiem zdrowy, a moje małżeństwo bez wątplenia przetrwa co najmniej do Gwiazdki. Dwa tygodnie temu nie musiałbym zasiadać samotnie w beczkowo wykończonej restauracji hotelu Marriott w Indianapolis. Bo dwa tygodnie temu nie znałem Gibbs Storey i nie miałem zielonego pojęcia, co to jest „turducken”.

- Proszę usiąść z łaski swojej.

- Nie wie pan, kim jestem, prawda? - zapytała.

Nie znosiłem tego rodzaju pytań, które zdawały się dopowiadać: „Wiem o czymś, o czym ty w życiu nie słyszałeś”. Poddałem powtórnej analizie swoją decyzję co do ewentualnego odesłania tej promocyjnej oferty. Chcąc zyskać trochę czasu do namysłu, odpowiedziałem na jej wcześniejsze pytanie. Było przynajmniej dużo grzeczniejsze od ostatniego.

- Lubię minestrone. Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Carmen Reynoso.

Mimo woli spomiędzy moich warg wydobyło się dziwaczne pstryknięcie. Zapewne jako efekt zaskoczenia, że nie rozpoznałem w niej od razu policjantki. Niemniej, był powodem do zmartwień. Do tej pory sądziłem, że jestem w stanie rozpoznać glinę w gęstej mgle, z zatkanymi uszami i rękoma skrępowanymi na plecach. Nie uściśnałem jednak wyciągniętej dłoni Reynoso. Nie miałem do niej żadnych osobistych urazów. Po prostu nie byłem zwolennikiem ściskania rąk.

Kelnerka przyniosła mi piwo.

- Ja też się chętnie napiję tego samego - odezwała się do niej detektyw Reynoso.

- Przyjechała tu pani w sprawie Julie Franconii? - Było to nie tyle pytanie, ile próba uświadomienia Reynoso, że nie jestem kompletnym durniem. I dodałem: - Dochodzenie zamknięte. Zwłoki znaleziono na południe od miasta, w pobliżu Martins-ville. Wszystko wskazuje, że to też jest sprawka Sterlinga. Gdyby się pani pospieszyła na lotnisko, z pewnością złapałaby pani jeszcze samolot i wylądowała w słonecznej Kalifornii w samą porę na pieczonego indyka.

Pokiwała głową, jakby przyznawała mi rację. Ale ten gest miał wyrażać coś innego, gdyż powiedziała:

- Szczerze mówiąc, przyjechałam tutaj, szukając pana.
- Czyżbym zrobił coś... niezwykłego, że wpadłem w oko policji z Laguna Beach? - Miałem na myśli wykroczenie w rodzaju surfowania w niedozwolonym miejscu albo parkowanie samochodu na gruncie prywatnym, ale tego wolałem nie mówić.

Kiedyś Alan był świadkiem mojej rozmowy z kobietą podejrzaną o pewne drobne przestępstwo i później chwalił mnie za technikę przesłuchania. Próbowałem zmienić temat, ale mnie zignorował. Zaczął, jak mu się to często zdarza, gadać jak najęty, tłumaczyć, że jeśli chodzi o rozmowę, bardzo dobrze mi wychodziły powtarzane posunięcia pierwsze, przy czym nie dałem się złapać w pułapkę reaktywnych posunięć drugich. Uznał, że to właśnie jest mój klucz do sukcesu.

Nie miałem wtedy pojęcia, o czym mówi.

Na szczęście wyjaśnił mi to przystępnym językiem. Długi wykład można było streścić prostym wnioskiem: Jeśli chce się zachować kontrolę nad przebiegiem rozmowy, oczywiście z psychologicznego punktu widzenia, trzeba stosować powtarzane posunięcia asertywne, a nie tylko reaktywne. Kiedy ktoś pyta: „Co u ciebie?” wcale nie ma potrzeby odpowiadać na przykład: „Świetnie”, zamiast tego można zapytać: „Gdzie byłeś wczoraj wieczorem o dwudziestej trzeciej?” Uznał, że dobrze sobie radzę z utrzymywaniem kontroli nad przebiegiem rozmowy właśnie dlatego, że staram się unikać posunięć drugich.

Nigdy wcześniej nie rozpatrywałem lingwistycznej struktury przesłuchania. Ale miał rację. Zawsze byłem w tym dobry. Nie wynikało to z żadnej konkretnej taktyki. Po prostu nie znoszę, gdy ktoś inny usiłuje za mnie kierować przedstawieniem.

Okazało się, że Carmen Reynoso również jest w tym dobra. Zignorowała ironiczną uwagę na temat niespodziewanego zainteresowania policji z Laguna Beach moją osobą i wykonała całkiem świeży ruch pierwszy:

- Postanowiłam pana odszukać, ponieważ wiele osób mówiło, że jest pan dobry.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zdarza się to za często, ale czasami ludzie mają rację. -To, nawiasem mówiąc, było najlepszym przykładem posunięcia drugiego z mojej strony, co oznaczało, że Reynoso w pełni kontroluje przebieg naszej rozmowy.

Na tym etapie mi to nie przeszkadzało. Byłem pewien, że

zdołam zająć należne mi miejsce za kołem sterowym, kiedy uznam to za stosowne.

- Jak rozumiem, jest nas tylko dwoje nadal wierzących, że Sterling Storey wciąż żyje.
- Skąd pani wie, w co ja wierzę?
- Jestem detektywem.

Nie chciała oddać nawet skrawka zajętego terytorium. Czulem w tym sprawkę Lucy

- Dowiedziała się pani od mojej partnerki, gdzie mnie szukać?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy. Ale i tak zrobiła to z zaciśniętymi wargami. Przyszło mi do głowy, że wstydzi się swoich zębów. Były zażółcone? Nierówne? Chyba raczej to drugie. Zaraz jednak zmieniłem punkt widzenia. Może paliła papierosy. Pociągnąłem nosem, lecz jedyne niezbyt przyjemne zapachy dolatywały z kuchni. Niemniej uznałem, że przynajmniej kiedyś paliła.

- Niechętnie ujawniam źródła swoich informacji - odparła.
- Czyli swoich kapusiów? Właściwie czego pani ode mnie chce, detektyw Reynoso?
- Jest pan katolikiem?
- Sądziłem, że pani jest detektywem. Zatem powinna pani świetnie znać odpowiedź na to pytanie. - Tym razem nie umiałem określić, czy jest to posunięcie pierwsze, czy raczej drugie, ale uznałem, że było sprytne.
- Ja jestem katoliczką. Mój ojciec uważa Bazylikę Świętego Piotra w Rzymie za najświętsze miejsce na całym świecie. Notre Dame, ale uniwersytet, a nie paryską katedrę, stawia na drugim miejscu. W mojej rodzinie sobotnie wieczory, zwłaszcza jesienne, są nie mniej

związane z wiarą niż niedzielne poranki. No i drużyna piłkarska „Walecznych Irlandczyków”. W każdym razie próbowałam tak na okrągło namówić pana, żeby zechciał mi pan towarzyszyć w drodze do South Bend.

Nie jestem katolikiem. Wręcz przeciwnie, gardzę uniwersytetem Notre Dame równie gorąco, jak heretycy gardzili Świętą Inkwizycją. Dlaczego? Z wielu powodów. Ale głównie dlatego, że Notre Dame wykradła Lou Holtza z uniwersytetu stanowego w Minnesocie.

Są tacy, których się nigdy nie zapomina. Lata doświadczeń nauczyły mnie jednak, że nie jest bezpiecznie dyskutować z fanatykami uniwersytetu Notre Dame, mającymi takie same skłonności do racjonalizmu wobec ukochanych „Walecznych Irlandczyków”, co prawdziwi waleczni Irlandczycy wobec Brytyjczyków, dlatego zachowałem swoje animozje dla siebie.

- Po co? - zapytałem.

Moje postanowienie, by nigdy więcej nie odwiedzać mającego skłonności do kidnapingu trenera Lou, nie wytrzymało próby czasu. Niewiele wystarczyło, abym znów znalazł się w nastroju do ciskania gromów na Notre Dame.

- Bo uważam, że jeśli Sterling żyje, właśnie tam go znajdziemy.

Zostawiłem na stoliku połowę swojego piwa, podobnie jak ona, która upiła niewiele więcej. Nawet nie dała mi okazji do spróbowania minestrone, podejrzewałem jednak, że tę zupę tylko w niewielkim stopniu można było porównać z robionym przez moją mamę barszczem piwnym z serem i kiełbasą. Kiedy wychodziliśmy już z restauracji hotelu Marriott, powiedziałem do Rey-noso:

- Gwoli ścisłości, jest nas troje.

- Troje czego?

- Ludzi wierzących, że Sterling wciąż żyje. Jego żona jest o tym przekonana.

Musiałem nieźle wyciągać nogi, żeby nadażyć za jej długimi susami.

- Gwoli ścisłości - odparła - jest nas jednak czworo.

- Czworo?

- Mam na myśli Briana Milesa.

Najbliższego kumpla Sterlinga z Georgii. Sprytna babka.

- Zgadza się - przyznałem. Dwa następne susy.

- Gibbs to niezła sztuka - rzuciła.

Na to mogłem odpowiedzieć tylko w myślach: Amen.

Zatem jechałem do South Bend. To była zła wiadomość. A dobra? Carmen Reynoso ocaliła mnie przed skutkami impulsu pchającego mnie w dalszą podróż na północ, do Minnesoty. W końcu każda obiektywna cząstka mego umysłu podpowiadała mi, że w tej sytuacji dążenie do spotkania z najbliższą rodziną byłoby poważnym błędem.

Jakim cudem Reynoso przekonała mnie tak łatwo, że towarzyszenie jej w podróży do uniwersytetu Notre Dame w Święto Dziękczynienia będzie właściwym wyborem?

Anonimowy informator wydziału prewencji w Kolorado znów się odezwał. Technicy, którzy porównywali taśmy z nagraniami, byli pewni, że to ten sam człowiek, co poprzednio. Ten zaś uświadomił ochotnika będącego najbliżej telefonu, że jeśli Sterling Storey zdołał się jakoś wydostać z wezbranych wód rzeki Ochlockonee, będzie prawdopodobnie szukał następnej ofiary wśród kobiet, które już wcześniej planował zamordować. Należało ich szukać między mieszkankami trzech miast: South Bend w Indianie, Flushing Meadows w Nowym Jorku oraz w Daytona Beach na Florydzie. Informator ujawnił ponadto, że kobieta z South Bend pracuje w Sportowym Biurze Informacyjnym Uniwersytetu Notre Dame. Reynoso zdobyła już wszelkie dodatkowe dane pomocne w jej identyfikacji. Była tylko jedna kobieta wśród personelu Sportowego Biura Informacyjnego, która odpowiadała przyjętemu profilowi: od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, na tyle ładna, żeby mężczyźni oglądali się za nią na ulicy, wdowa.

- Dlaczego skupiliście się właśnie na niej? Przecież nie tylko jej zagraża niebezpieczeństwo.

- Sprawdziliśmy dwie inne potencjalne ofiary. Ta z Nowego Jorku udziela się dobrowolnie w organizowaniu kobiecych turniejów tenisowych i w tej chwili jest w Australii, zajęta przygotowaniem kolejnych zawodów, więc o nią nie musimy się martwić. Natomiast trzecia, związana w jakiś sposób z Daytona Beach na Florydzie, możliwe, że z organizowanymi tam wyścigami samochodowymi, pozostaje dotąd osobą niezidentyfikowaną. Właśnie dlatego przyjechałam tutaj.

- Jak się nazywa ta jego kochanka z South Bend?

- Holly Malone. Porządna irlandzka katoliczka. Wyrwało mi się oczywiste pytanie:

- Czy to możliwe, żeby informator wpuszczał nas w maliny?

- W pozostałych przypadkach się nie mylił, prawda? Mówię o tych trzech zabójstwach, jakie nastąpiły po morderstwie z Laguna Beach.

- Mimo to...

- Bądźmy realistami. Masz jakieś inne plany na święta, Sam? Po raz pierwszy odezwała się do mnie po imieniu.

- Niespecjalnie - przyznałem.

- Ja również - odparła.

- Dlaczego nie zajmie się tym policja z South Bend? - zapytałem.

Reynoso siedziała na przednim prawym fotelu mojego dżipa cherokee. Odstawiliśmy wynajęty przez nią samochód jakiejś podrzędnej agencji przy lotnisku i ruszyliśmy dalej na północ. Ruch na autostradzie był nieduży, powinniśmy więc dość szybko dotrzeć do siedziby „Walecznych Irlandczyków”, leżącej tuż przy granicy z Michigan.

- Skontaktowałam się z tamtejszą policją, kiedy byłam jeszcze w Georgii - odparła Reynoso.

- Delikatnie wyjaśniłam sytuację i poprosiłam o wsparcie. Zaczekaj chwilę, spróbuję przedstawić ci dalszy ciąg we właściwym świetle.

Zamyśliła się na chwilę, po czym ciągnęła dalej z dziwnym akcentem, trochę obcym. Nie byłam dobry w rozróżnianiu gwar i dialektów. Była to chyba moja najsłabsza strona w policyjnej służbie.

- „Madam”... - zaczęła - ...bo musisz wiedzieć, że detektyw

z South Bend, z którym rozmawiałam, zwracał się do mnie „madam”. Coś takiego zawsze bardzo poprawiało mi humor... -Jeszcze raz przerwała na krótko i podjęła: - „Madam, chce pani, byśmy zorganizowali ochronę kobiety przed zabójcą, który został oficjalnie uznany za zmarłego w Georgii? Wy rutynowo prowadzicie takie zadania w południowej Kalifornii? Bo mu tutaj nieczęsto stykamy się z mordercami z zaświatów. Nie zanotowaliśmy żadnej zbrodni popełnionej przez ducha od... mój Boże, chyba wieków. Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatni, który wpadł nam w ręce, został skazany na śmierć. Dokładniej rzecz biorąc, powiesiliśmy go. Przypominam sobie, że były spore kłopoty z przywiązaniem odpowiedniej liny, ponieważ bez przerwy robiły się na niej supły. Ale w końcu jakoś się udało”.

- Mogę się założyć, że według niego było to bardzo zabawne - wtrąciłem.

- Lepiej. Miał niesamowity ubaw. Zaraz dołączył któryś z jego kumpli. Słyszałam przez telefon jego rechot. Mam nadzieję, że zyskamy szansę bliższego poznania obu tych błaznów, kiedy już będziemy w South Bend. W każdym razie bardzo bym się z tego cieszyła.

W trakcie naszej rozmowy zaczęła się bawić radiem, co z kolei mnie nie spodobało się ani trochę. Bardzo dobra stacja nadająca muzykę country, którą złapałem jeszcze na południe od Indianapolis, nagle zniknęła w fali trzasków, a jej miejsce niespodziewanie zajęła komercyjna muzyczna pulpa z końca lat siedemdziesiątych. Nie potrafiłem sobie wyobrazić gorszego wyboru, może dlatego, że nie lubiłem, jak mi się przypomina, że w chwili narodzin muzyki disco byłem już w kwiecie wieku. Traktowałem to jak źródło nieustającego upokorzenia.

Często łamałem sobie głowę, co powiem Simonowi, gdy dyskusja zejdzie na temat muzyki mojej młodości. Pewnie byłoby mi łatwiej, gdyby rap utrzymał się na fali przez dłuższy czas. Wypowiadać się na jego temat było jeszcze trudniej niż w przypadku disco.

- Kim, twoim zdaniem, jest ten tajemniczy informator, który przekazuje informacje oficerom z wydziału prewencji? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia.

- Kto może wiedzieć tak dużo jak on? W końcu nie ma aż tylu świetnie poinformowanych ludzi.

- Dobrze pytanie.

- Ciebie to nie ciekawi? - zdziwiłem się.

- Pewnie, że ciekawi. Tylko nie chciałabym zgadywać. A co ty o nim sądzisz?

Miałem wrażenie, że już wiem, o kogo może chodzić, ale nie byłem w nastroju do dzielenia się swoimi spostrzeżeniami. Niewykluczone, że dawał o sobie znać uboczny efekt toksycznej muzyki, która razła moje uszy niczym prowizoryczne zatyczki wycięte z arbuza. Dlatego mruknąłem tylko:

- Też nie mam pojęcia.

Byliśmy na obwodnicy Kokomo, gdy zapytała o stan mojego serca.

- Na pewno dobrze się czujesz? Może chcesz, żebym poprowadziła? Chętnie cię zastąpię.

- Wszystko gra - odparłem, życząc sobie, aby faktycznie grało.

- Słyszałam, że miałeś niedawno zawał.

- Niegroźny.

- Ale jednak.

- Owszem.

Przez jakiś czas ciszę wypełniał szum opon toczących się po nawierzchni autostrady.

Carmen Reynoso świetnie wiedziała, kiedy zakończyć dyskusję. Tym od razu zjednała mnie sobie.

Mniej więcej kilometr dalej zapytałem:

- Czego zdołałaś się dowiedzieć o Holly Malone?

- Niewiele. Jest zastępcą kierownika Sportowego Biura Informacyjnego Uniwersytetu Notre Dame. Zaczęła tam pracować jako stażystka zaraz po ukończeniu studiów. Ma dwadzieścia dziewięć lat i jest atrakcyjna. Powszechnie lubiana.

- I do tej pory samotna?

- Nie, jest wdową. Wychowuje czteroletniego synka.

- Jak zginął jej mąż?

- Zmarł na raka.

- A więc Sterling nie miał z tym nic wspólnego, prawda? Rozmawiałaś już z nią?

- Przez telefon. Była dość uprzejma, dopóki nie wspomniałam o Sterlingu. To najwyraźniej poruszyło jakąś zadrę w jej sercu?

- Zadrę?

- Zaczęła wypytywać, jak się dowiedziałam o ich związku. Od razu się domyśliłam, że wiedziała, iż jest żonaty, kiedy między nimi nawiązywało się to, co się nawiązało.

Najwyraźniej była zakłopotana tym, że wiem o ich... historii.

Byłbym tak samo zakłopotany świadomością, że ludzie wiedzą, iż zostałem zmuszony do słuchania muzyki disco, i nie zrobiłem nic, by się przed nią uchronić. Zabójcza świadomość.

- Masz jej zdjęcie?

Wyjęła z torebki złożoną na czworo kartkę z wydrukowaną fotografią formatu 21 na 28 centymetrów.

- Wyciągnęłam to z sieci. Malone to ta po lewej, w pierwszym rzędzie.

Zsunąłem okulary na czubek nosa i popatrzyłem na niewyraźne zdjęcie. Przedstawiało gromadkę ludzi pozujących przed frontonem budynku. Holly Malone wyróżniała się pośród nich, jakby była w technicolorze, a reszta czarno-biała.

- Ładna. Ma śliczny uśmiech.

- Owszem.

- A może masz przypadkiem także zdjęcia Briana Milesa? Carmen wyciągnęła z torebki następną kartkę z niezbyt starannym wydrukiem i podała mi.

Wystarczył mi jeden rzut oka, by spostrzec, że na ciele Milesa nie ma ani grama zbędnego tłuszczu. Ani grama. Zachowałem jednak tę wiedzę dla siebie. Schowałem okulary do kieszonki na piersi i zapytałem:

- Jesteś pewna, że zastaniemy Holly w mieście w czasie świąt?

- Zastaniemy. Szykuje świąteczną kolację dla dwóch swoich siostr i szwagrów. Obie rodziny z dziećmi mają przyjechać do niej z Chicago.

- Poważnie?

- Zdażyła mi o tym powiedzieć, zanim padło imię Sterlinga. Holly jest raczej wylewna.

Gdyby cię to interesowało, przystępowała do pieczenia tradycyjnego indyka, a także filetów z łososia dla jednej siostry, która nie jada mięs.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, łośoś by się obraził, że jego filety nie zostały uznane za mięso.

Carmen zachichotała. Kiedy ucichł jej śmiech, znów pozwoliłem, by moje uszy wypełnił jedynie szum opon na asfaltowej nawierzchni. Powtarzałem przy tym w myślach: Wszystko w porządku.

- Skoro już snujemy teoretyczne rozważania, to dlaczego miałyby podejmować ryzyko? Mówię o Sterlingu. Załóżmy, że wydostał się z rzeki. Czemu więc chciałby się narażać na to, że zostanie schwytany? Czemu nie miałyby wyjechać gdzieś daleko?

- Istnieje mniej więcej takie samo prawdopodobieństwo, Sam, że to zrobi, jak i to, że tylko marnujemy czas. W ciągu pięciu lat i tak zostałby namierzony gdzieś w Idaho, ponieważ odciski jego palców zidentyfikowano by na podstawie federalnej bazy danych. Dopiero wtedy byśmy się dowiedzieli, co porabiał od chwili wypłynięcia w nurtach rzeki Ochlockonee.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem co do tego zupełnie przekonany.

- Seryjni zabójcy, a zwłaszcza tacy, którzy nie dobierają swoich ofiar przypadkowo, myślą trochę inaczej niż ty lub ja. Po prostu taka ich natura. Pytasz, dlaczego Sterling miałyby tu wracać i zabijać Holly? Nie wiem. Ale dlaczego zamordował tamte cztery kobiety? Tego też nie wiemy, przynajmniej na razie. Nie chciałabym jednak żyć dalej ze świadomością, że przez moją opieszałość straciła życie także pewna wdowa z South Bend.

Przez opieszałość? Zamyśliłem się, jak właściwie należało rozumieć te słowa. I zaraz pożałowałem, że zupełnie niepotrzebnie czepiam się poszczególnych określeń.

49

Alan

Niemal cudem przetrwałem swoją ostatnią sesję tego dnia. Pocziwa Diane wpadła jak bomba do mojego gabinetu zaledwie parę sekund po wyjściu pacjenta.

- Wiesz już, kto chce cię zniszczyć?

Nie wątpiłem, że Diane troszczy się o mnie, zdawało mi się jednak, że wyczułem w jej tonie odpowiednik zacierania rąk z radości okraszonego bezgłośnym chichotem w stylu Mądrej Wróżki z Zachodu.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy.

- Boże, co za lekkomyślność.

- A tobie?

Zacząła staccato litanię moich najgłośniejszych przypadków z ostatnich dziesięciu lat, doszedłszy ostatecznie i chyba dość trafnie do długiej listy osób mogących szukać zadośćuczynienia za zło, którego jakoby doświadczyli przeze mnie. Niezbyt miło słuchało mi się tych nazwisk. I kiedy monolog Diane zaczął przybierać istic elżbietańskie rozmiary, zapragnąłem natychmiast wyjść z gabinetu, wsiąść do samochodu i wracać do domu.

- Skończyłaś? - zapytałem, gdy zrobiła przerwę dla zaczerpnięcia oddechu.
- Chyba tak - odparła. - Zapamiętasz to wszystko, czy wolisz, żebym ci spisała notatkę?
- Na pewno zapamiętam.

Okazało się, że w jej wykonaniu to tylko krótka przerwa na przegląd techniczny, bo już po paru sekundach znowu zaczęła się rozpędzać. Jak na złość, nie miałem zapiętego pasa bezpieczeństwa. W końcu zapytała:

- A co z twoimi obecnymi pacjentami? Nie wkurzyłeś zanadto żadnego z nich? Nikomu nie dałeś powodu, żeby się mścił?

Trudno mi było to ocenić. Zresztą, nawet gdyby tak było, wolałbym o tym nie wiedzieć.

- Nic takiego sobie nie przypominam - odrzekłem. - Pomijam drażliwą kwestię przecieków z ostatnich dni. Tych troje pacjentów, których sekrety przedostały się do publicznej wiadomości, ma pełne prawo wściekać się na mnie. Ale reszta pacjentów sprawia wrażenie mniej czy bardziej zadowolonych z moich starań.

- A co z czubkami? Spotykasz się obecnie z kimś naprawdę zdrowo szurniętym? Nie zauważyłeś żadnych psychotycznych przeniesień na siebie? Och, a może ktoś się dorobił żarliwego przeniesienia erotycznego? Takie sprawy mogą zajść naprawdę bardzo daleko. Mimo jej prześmiewczego tonu, zadawane pytania były jak najbardziej sensowne. Dobrze się zastanowiłem, nim odpowiedziałem:

- Nie, niczego nie zauważyłem.
- Cholera.

Wyglądała na rozczarowaną. Nie byłem pewien, o czym to świadczyło.

- Muszę wracać do domu, mam do upieczenia ciasta na jutro. Wyobraź sobie, że Raoul rozsmakował się w moim placku dyniowym. Kto by pomyślał, prawda? Na pewno nie chcesz do nas wpaść z żoną na świąteczną kolację?

- Dzięki, ale nie. Lauren nie czuje się na tyle dobrze, by przebywać w towarzystwie. Jest trochę... irytująca.

- Czyli, mówiąc wprost, zachowuje się jak ostatnia suka.
- Owszem.
- Alan?

Wciąż stała w otwartych drzwiach mego gabinetu i patrzyła mi prosto w oczy.

- Tak?

- Przestań się wreszcie nad sobą użalać. Przeskocz przez ten płótek i zasuważ dalej.

Życzyłem jej wesołych świąt, zamknąłem drzwi, cofnąłem się do biurka i zadzwoniłem do Craiga Adamsona, żeby ustalić nowy termin wizyty, która dzisiaj nie doszła do skutku.

Włączyła się jego automatyczna sekretarka. Nagrałem wiadomość, zebrałem swoje rzeczy i pojechałem do domu.

Nastała pogoda typowa dla tutejszej podgórskiej jesieni. Choć postawiłem kołnierz kurtki i wbiłem ręce głęboko w kieszenie, porywisty wiatr przenikał mnie do szpiku kości, niosąc ze sobą zapowiedź bliskiej śnieżycy - w tym regionie spełniająca się dużo częściej niż gdziekolwiek indziej po wschodniej stronie Gór Skalistych w październiku i listopadzie. Moim zdaniem, tegoroczna jesień była już w pełni nabuzowana, aż kipiąca od prowokacji. Ale tego dnia jeszcze nie padało.

Nazajutrz było Święto Dziękczynienia. Im bardziej oddalałem się od centrum miasta, tym więcej przypominałem sobie powodów do wdzięczności. Powstała z tego dość długa lista, na której Grace miała absolutnie zapewnione pierwsze miejsce, jednakże miejsca drugie i trzecie budziły już u mnie pewne wątpliwości, związane z ostatnimi życiowymi wyzwaniami.

Moja żona miała już tak opuchnięte stopy, że nie weszłyby nawet w moje buty, nie mówiąc już o własnych pantofelkach. Ktoś podłożył pluskwę w moim gabinecie. Moja kariera zawisła na włosku. Mój najlepszy przyjaciel błakał się samotnie gdzieś po Środkowym Zachodzie,

próbując jednocześnie wydobrzeć po ostrym małżeńskim kryzysie i zawale serca. Mojej pacjentce zapewne groziło śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony męża.

No i miałem wroga, którego nie zdołałem dotąd zidentyfikować.

Zatrzymałem się po drodze, żeby zrobić ostatnią część świątecznych zakupów. Piekarnia, sklep spożywczy, winiarnia. Rzecz jasna, wszystko zajmowało dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj. Na liście zamówień u rzeźnika nasz indyk figurował przy nazwisku Allen, a nie Gregory, straciłem więc prawie pół godziny, próbując razem ze sprzedawcą wytropić przekłętą ptaka,

podczas gdy wydłużający się ogonek równie uradowanych obywateli czekał cierpliwie za mną na swoją kolej.

Odbierałem ich świąteczne życzenia doskonale mi znaną melodią głośnych westchnień, ironicznych prychnięć oraz szeptanych „Dobry Boże” i „Jezu”. Nie miało to, bynajmniej, nic wspólnego z modlitwą.

Sam ostrzegł mnie kiedyś, że jeszcze pożałuję tego dnia, kiedy moi rodzice postanowili mnie uszczęśliwić podwójnym nazwiskiem. Wyglądało na to, że miał rację. Nie po raz pierwszy musiałem mu to przyznać.

Ciekaw byłem, jak on spędzi te święta.

Lauren nie miała już w przedramieniu igły od kroplówki. To był jej świąteczny prezent, chociaż sterydowe zamieszanie jeszcze nie minęło. Przeszła tylko z jednego grama solumedrolu dziennie podawanego dożylnie na osiemdziesiąt miligramów prednisonu w tabletkach. Stopniowo jego dawka miała być zmniejszana do sześćdziesięciu, potem do czterdziestu miligramów, aż za dwa albo trzy tygodnie, a więc na pewno jeszcze przed Bożym Narodzeniem, ta sterydowa inwazja na jej metabolizm powinna dobiec końca.

Wystarczyło odczekać jeszcze kilka tygodni na całkowity zanik wszelkich efektów ubocznych, aby nasze życie wróciło do normy, a lęk przekształcił się w drobny niepokój o następnego agresywnego słonia, który zechce rozbić obozowisko w naszym salonie.

Zjedliśmy lekki rodzinny obiad - choć, prawdę mówiąc, zjadłem go tylko ja, gdyż Lauren uskarżała się na dokuczliwe ssanie w żołądku, typowe nie tylko dla ludzi na kuracji sterydowej, ale także nadużywających haszyszu, w ciągu dnia pochłaniała więc niezwykle jak dla siebie ilości jedzenia - a następnie przeczytałem Grace bajkę i położyłem ją spać. Lauren przez cały ten czas grała w bilard, ponieważ specyfika tej wciągającej, nigdy niekończącej się gry była jedną z niewielu rzeczy pomagających jej przetrwać solumedrolowe pobudzenie.

Kiedy Grace usnęła, dołączyłem do Lauren w jadalni, gdzie stół bilardowy zajął miejsce

przeznaczone pierwotnie na duży prostokątny stół do posiłków. Nie poprosiła, żebym z nią zagrał. W czasie studiów była dość

wysoko notowana na listach amatorskich bilardzistów, do których mnie było raczej daleko.

Powiedzmy, że moje próby mierzenia się z nią przy stole bilardowym były równie śmieszne, jak próba dorównania Lancebwi Armstrongowi na sprinterskim etapie kolarskim z Coal Creek Canyon do Wondervu.

Poruszając się wokół stołu z niezwykle wydajnością, Lauren zbijała kolejne bile do łuzu.

Zdawałem sobie sprawę, że słucha mojej relacji o Tayishy i tajemniczym elektronicznym urządzeniu ukrytym w kanapie poprzez gęstą sterydową mgłę oblepiającą jej umysł. Poza kilkoma zdawkowymi wyrazami współczucia i delikatnym zdziwieniem, dlaczego nie zawiadomiłem jeszcze policji, nie miała nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

Wciąż krążyła wokół stołu bilardowego, gdy koło dziesiątej poszedłem do sypialni.

Tęskniłem już za nią.

Telefon zadzwonił ledwie parę minut po tym, jak zgasilem światło w sypialni. Poderwałem się i chwyciłem słuchawkę, by terkot dzwonka nie obudził Grace. Zdałem sobie jeszcze sprawę, że z dołu ciągle dolatuje stukot bil zderzających się na zielonym suknie stołu bilardowego.



Na moje „słucham” usłyszałem:

- Cześć, kolego. - To był Sam.  
- Wszystko w porządku? - zapytałem zdecydowanie za szybko, ale podświadomie byłem przekonany, że dzwoni z izby przyjęć jakiegoś szpitala. Znajdowałem się w takim stanie psychicznym, który nie pozwalał mi ufać, że ktokolwiek z moich najbliższych czuje się naprawdę dobrze.

- Tak, jasne, biorąc pod uwagę okoliczności. Zgadnij, gdzie jestem.

W obecnym nastroju nie miałem ochoty na żadne zgadywanki, ale nie słyszałem jeszcze takiej radości w jego głosie od

czasu wyjścia ze szpitala, nie mogłem sobie nawet przypomnieć, kiedy wcześniej był nastawiony aż tak entuzjastycznie. Przyszła mi na myśl Georgia, więc rzuciłem:

- W Atlancie.

- W South Bend.

Serce zaczęło mi szybciej bić, samo z siebie.

Byłem zmęczony, lecz nie na tyle, by nie skojarzyć tego od razu z ostatnią sesją psychoterapeutyczną, na której Gibbs ujawniła między innymi, że jej mąż był kiedyś związany z kobietą mieszkającą w South Bend, w Indianie.

Uniwersytet Notre Dame. Sportowe Biuro Informacyjne.

Sam pierwszy postanowił przerwać przedłużającą się ciszę.

- Wytropiła mnie Carmen Reynoso. Pamiętasz ją? To ona podsunęła pomysł, żebyśmy razem przyjechali do South Bend.

Najwyraźniej chciał mi coś przekazać między wierszami. Biorąc pod uwagę późną porę, należało podejrzewać, że to coś bardzo ważnego. Ale mój mózg wyłączył się już widocznie przed snem, bo nie mogłem niczego załapać. A w każdym razie nie do końca.

- Tak? I jak ci się podoba South Bend?

- Wiesz, że nie jestem wielkim fanem Notre Dame. Za to podobało mi się w Indianapolis. I to nawet bardziej, niż się spodziewałem.

- Ja też nie jestem fanem Notre Dame. Tak samo jest z drużyną Yankees. Irlandczyków albo się uwielbia, albo nie lubi. - Wciąż błędziłem po omacku. Aż żałowałem, że zadzwonił tak późno. Byłem jednak bardzo zmęczony.

- Carmen uważa, że powinniśmy się tu spotkać z pewną kobietą - rzekł Sam.

Carmen? Naprawdę mówił w ten sposób o Reynoso? I nagle mnie olśniło.

Carmen Reynoso wiedziała już, czego się dowiedziałem o South Bend. Więc jak brzmiała moja następna kwestia w scenariuszu?

- Ciekawe, gdzie Carmen usłyszała o kobiecie z South Bend.

- Od informatora wydziału prewencji.

- Tego anonimowego?

- Wiesz, jacy są ludzie; nie lubią się wychylać. Posłuchaj, niepotrzebne mi żadne szczegóły, ale... znasz mnie, dlatego pytam z czystej ciekawości, czy ostatnio w pracy nie rozmawiałeś na temat tej kobiety z South Bend.

- Okazuje się, że tak, Sam. Ściślej biorąc, wczoraj pojawiła się w rozmowie pewna młoda mieszkanka South Bend. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć na temat kontekstu, w jakim została wymieniona, ale była o niej mowa.

- Masz jakieś powody, by podejrzewać, że zagraża jej niebezpieczeństwo?

- Tej kobiecie z South Bend czy kobiecie, która powiedziała mi o tamtej z South Bend?

Do diabła! Posunąłem się w tej grze zdecydowanie za daleko. Otwarcie powiedziałem Samowi, że słyszałem o kobiecie z South Bend od innej kobiety. Przecież tego mógł się sam domyślić. Oczywiście i tak doskonale wiedział, o kogo chodzi. Niemniej, to by wystarczyło. Niepotrzebnie zdradziłem, że ten temat pojawił się w rozmowie z kobietą.

- Jednej i drugiej - odparł. - Posłuchaj, a nie słyszałeś nigdy o facecie nazwiskiem Brian Miles?
  - Chyba nie. Czemu pytasz?
  - To dawny kumpel Sterlinga Storeya. Właśnie wyszło na jaw, że pracuje w branży mikroelektronicznej. To może mieć znaczenie na drodze do wyjaśnienia twojej zagadki. Rzeczywiście, może.
  - Strasznie dużo rzeczy zależy od tego, co się naprawdę stało nad tą rzeką w Georgii, prawda?
  - Nad Ochlockonee - wyjaśnił. - Zabawne, że doszedłem do punktu, w którym wymawianie tej nazwy sprawia mi nawet przyjemność. Ochlockonee. Ochlockonee. Wiesz, że jest żółta? Mówię o rzece.
  - Nie, tego nie wiedziałem.
  - No więc jest. W każdym razie myślę dokładnie to samo, co ty. Wszystko sprowadza się do Sterlinga i wypadku nad Ochlockonee.-Urwał na chwilę. - A jak się miewa Lauren? Są jakieś zmiany?
  - Z jej nogą jest trochę lepiej. Niemniej leki doprowadzają ją do szału. Dzięki za troskę.
  - Przekaż jej, że o niej myślę.
  - Na pewno to zrobię, Sam. Tak więc źródłem jest wydział prewencji? To stamtąd pochodziły informacje na temat South Bend?
  - Zgadza się.
  - I tak trudno wysledzić, skąd dzwoni ten anonimowy informator?
  - Nikt nawet nie próbuje tego robić. Czy wspominałem ci, że to mężczyzna?
  - Tak, wspominałeś. Powiedziałeś też o Brianie Milesie, który pracuje w branży mikroelektronicznej. Jestem ci wdzięczny za te wiadomości.
  - Mam nadzieję, że pomogą ci w ułożeniu do końca twojej układanki.
  - Już sam fakt, że informator jest mężczyzną, redukuje liczbę moich podejrzanych dokładnie o połowę.
  - Otóż to. Musisz przeprowadzić proces eliminacji. Jak prawdziwy policyjny śledczy. Czy mogłem potem od razu usnąć? Jasne, że nie. Byłem pochłonięty rozmyślaniami o Gibbs i Sterlingu, o Saint Tropez i balkonie nad Wilshire Boulevard, o kobietach z Augusta, Indianapolis, Laguna Beach i West Point, o facecie nazwiskiem Brian Miles pracującym w branży mikroelektronicznej, a przede wszystkim o ulubionym powiedzonku Sterlinga: „Złap mnie”.
- „Seks. Już nie służy wyłącznie celom prokreacyjnym”.  
 Pozostawało liczyć na to, że Sam w końcu go schwyta.  
 Może właśnie w South Bend.

Może.

Zasłuchałem się w stłumione postukiwanie bil w jadalni na dole, traktując to jak ekwiwalent liczenia baranów.

Ale przez skojarzenie z baranami przypomniałem sobie radę Diane i ujrzałem w wyobraźni siebie na bieżni zastawionej płótkami, zacząłem więc je przeliczać w miarę ich pokonywania.

50

Sam

Carmen Reynoso dysponowała adresem Holly Malone i ściągniętą z internetu mapką okolicy, w której stał jej dom. Co prawda, dotarliśmy do South Bend już po jedenastej wieczorem, lecz mimo to postanowiliśmy odszukać dom Holly, żeby zapoznać się z jego otoczeniem. Bez trudu odnaleźliśmy rozległy bungalow przy skrzyżowaniu osiedlowych uliczek, już na

pierwszy rzut oka zdecydowanie za drogi, by mogła sobie na niego pozwolić szeregową pracownicą uniwersyteckiego Centrum Informacji Sportowej.

- Bardzo ładny - oceniła Carmen. - W stylu dawnych bogatych rzemieślników.

Chyba ją zaskoczyłem, gdy powiedziałem:

- Bo przecież z tych terenów wywodzi się ten styl. Gdzieś tutaj założył swój interes Sticklej, jeśli mnie pamięć nie myli.

Prawdę powiedziawszy, doskonale wiedziałem, że słynna fabryka mebli Gustava Stickleya znajduje się trochę dalej na północ, w Grand Rapids, ale nie chciałem wyjść na jeszcze bardziej przemądrzałego. Podejrzewałem, że Reynoso, jak większość ludzi, widziała we mnie tylko grubego i tępego gliniarza. Zresztą sam z powodów strategicznych rozpowszechniałem ten stereotyp. Lubię przewagę wynikającą stąd, że ktoś mnie nie docenia. Poza tym dobrze się czuję w takim towarzystwie, w jakim powinien się obracać stereotypowy gruby i tępy gliniarz. Wypowiadanie się na temat Gustava Stickleya, Franka Lloyda Wrighta czy Elberta Hub-barda stało w jawnej sprzeczności z tym utartym schematem.

Tyle że mnie to nie przeszkadzało. To, że coś się wie, nie oznacza przecież, iż należy wszystkim o tym mówić. Od czasu do czasu warto udawać ignoranta w ramach poświęcenia się dla

dobrego towarzystwa. A w swojej pracy aż za często musiałem polegać właśnie na ludziach z takiego dobrego towarzystwa.

Carmen z uśmiechem przyjęła moją uwagę o fabryce mebli Stickleya. I nie był to uśmiech pobłażliwy, ale wyrażający sympatię. Chociaż i tym razem zrobiła to z zaciśniętymi wargami, więc wciąż nie miałem okazji, żeby zobaczyć jej zęby. Przyszło mi jednak do głowy, że chciała w ten sposób dać do zrozumienia, iż tak jak ja kultuwuję stereotyp grubego tępaka, tak ona woli być czasami traktowana jak typowa kłótniowa i porywcza Latynoska. W każdym razie nie mogłem tego wykluczyć.

Dom Holly Malone wyglądał jak ze zdjęcia z broszury rzemieślniczego stowarzyszenia „Arts and Crafts”. Był kryty gontem, przed wejściem znajdowała się szeroka weranda z daszkiem wspartym na kilku pęczkach cienkich kolumniek, miał gustownie rozmieszczone okna, a na piętrze szeroką mansardę z oknem wychodzącym na ulicę. Na dole było wszędzie ciemno, ale na zasłonek w oknie mansardowym widoczna była zmienna poświata od ekranu włączonego telewizora.

Objechałem cały kwartał, mając cichą nadzieję, że Sterling okaże się na tyle głupi, by siedzieć w którymś z zaparkowanych samochodów i obserwować dom swojej byłej kochanki przez lornetkę. Pod tym względem nie dopisało nam szczęście. Zakończyłem ten mały objazd po przeciwnej stronie skrzyżowania i zaparkowałem pod wielkim rozłożystym drzewem całkowicie pozbawionym już liści. Zgasilem światła i wyłączyłem silnik swojego dżipa.

Wszystkie zawory zastukały głośniejszy, jakby usiłowały w ten sposób usadowić się wygodniej na odpoczynek. Poszedłem w ich ślady i ulokowałem się wygodniej w fotelu.

- Jeszcze nie śpi - zauważyła Carmen. W ciemnym wnętrzu auta dał się zauważyć obłoczek pary wydobywającej się z ust. W South Bend było wyraźnie zimniej niż w Indianapolis. Zaczerpnąłem powietrza nieco głębiej niż zwykle, próbując wyczuć zapach jej perfum. Bez skutku.

- Przystępujemy do obserwacji Leno? - zagadnąłem.

- Raczej Lettermana - skorygowała.

Uśmiechnąłem się szeroko, odwróciwszy głowę w jej kierunku i rozchyliwszy wargi, żeby mogła zobaczyć moje zęby. Poczułem się nagle jak model na wybiegu.

- Tak, masz rację, prędzej Lettermana. On też był z Indiany, prawda? Nie sądzisz, że powinniśmy wysiąść, zapukać do jej drzwi i opowiedzieć o naszych podejrzeniach co do Sterlinga, rujnując jej resztę dzisiejszego wieczoru?

- Na pewno nie powitałaby nas z otwartymi ramionami, Sam.

- Bez wątpienia. - Nie wiem, jak jest z tobą, ale większość ludzi w podobnych okolicznościach spogląda na mnie z jawną niechęcią.
- Jest dość późno...
- Mordercy działają niezależnie od pory dnia.
- Naprawdę sądzisz, że będzie próbował się jej pozbyć właśnie dzisiejszej nocy? - zapytała.
- Raczej nie. Tylko czy można być tego absolutnie pewnym? W podobnych okolicznościach nawet drobna pomyłka w ocenie sytuacji może mieć bardzo poważne konsekwencje.

Carmen ziewnęła szeroko i zapytała:

- Nie wiesz, czemu odnoszę wrażenie, że w służbie zmieniasz partnerów co najmniej tak samo często jak rajstopy?
- Lucy jest moją partnerką od tak dawna, jak sięgam pamięcią.
- Czyżbyś uważał ją za świętą?
- Nic podobnego. Lucy ma mnóstwo wad, podobnie jak ja. Tyle że kamień, który podnosi, dziwnie dobrze pasuje także do mojej ręki.

Po drugiej stronie skrzyżowania Holly Malone wyłączyła telewizor i zgasiła nocną lampkę w swojej sypialni.

Carmen zauważyła tę zmianę w tej samej sekundzie, co ja. Odezwała się bowiem:

- Mam wrażenie, że musimy teraz podjąć kluczowe decyzje.
- Przyjazd tutaj był twoim pomysłem, Carmen. Nawiasem mówiąc, dobrym pomysłem, bo inaczej nie przyjechałbym z tobą. Sądzę więc, że i tak będziemy musieli zepsuć święta Holly, jeśli nie teraz, to jutro rano, co zależy tylko od ciebie. W każdym razie będę cię wspierał, niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiesz.

Dała sobie piętnaście, może nawet dwadzieścia sekund na rozwiązanie tej łamigłówki.

- Parę przecznic wcześniej mineliśmy motel. Proponuję więc, byśmy tam wrócili i trochę się przespali, a z Holly porozmawiali jutro rano, kiedy zaczną siekać selery i cebulę do pieczenia indyka.

- W porządku. - Przekręciłem kluczyk w stacyjce. - Powiedz mi jeszcze coś, Carmen.

Kibicujesz „Raidersom”? - Zawróciłem na skrzyżowaniu i dopiero wtedy włączyłem światła.

-Oglądasz transmisje z rozgrywek futbolowych?

- Prawdę mówiąc, tak. Jak się tego domyśliłeś?

- Intuicja. Kupowałaś karnety wstępu na stadion, kiedy mieszkałaś bardziej na północy? - Do czego zmierzałem? Miałem nadzieję, że wydawała grube pieniądze na karnety zapewniające jej miejsce na trybunach przez cały sezon i trzymała w szafie o wiele za duży na nią srebrzysto-czarny strój.

- Owszem, kupowałam.
- Tak mi się właśnie zdawało.
- Co jeszcze o mnie wiesz?

To, że prócz „Oakland Raiders” lubisz disco. I chyba nic więcej. Nie myśl tylko, że mnie się to bardzo podoba, ale wolałbym poczekać z oceną, aż dowiem się jeszcze więcej, pomyślałem.

Postanowiłem raz jeszcze objechać kwartał, w którym mieszkała Holly Malone, powoli, bez pośpiechu, rozglądając się za Sterlingiem Storeyem. Dlaczego? Tak się dziwnie składa, że przestępcy okazują się najczęściej albo dużo sprytniejsi, albo o wiele głupszy, niż wszyscy sądzą. Wciąż miałem nadzieję, że Sterling należy do tej drugiej grupy. Tylko tyle.

Mniej więcej w połowie objazdu zebrałem się w końcu, żeby odpowiedzieć na pytanie Carmen.

- Nic. Naprawdę niewiele o tobie wiem. Masz dzieci?
- Jedno. Córkę. Jest na pierwszym roku studiów na uniwersytecie stanowym w Santa Cruz. Spędza te święta z rodziną swojego chłopaka.

Dokonałem w myślach pobieżnych obliczeń i wyszło mi, że Carmen może być nawet trochę starsza ode mnie.

- Ja też mam jedno, syna. Studiuje na drugim roku anglistyki. Spędza te święta u dziadków. Zaśmiała się krótko i odparła.

- Tak, wiem.

Zatem faktycznie wiedziała.

- Masz męża? - zapytałem. Nawet za bardzo się nie zastanawiałem nad tym pytaniem, zrobiłem to odruchowo. Nie znoszę, gdy mój język okazuje się szybszy od rozumu. Na szczęście nie zdarza się to za często. Zazwyczaj jestem dużo wolniejszy w gębie, co daje mi czas na zebranie myśli.

- Nie - odparła, powstrzymując się od jakichkolwiek komentarzy.

Nie zapytała mnie, czy jestem żonaty.

To też wiedziała.

A może nie?

Odruchowo wciągnąłem brzuch, zdając sobie sprawę, że żadnym sposobem nie zdołam ukryć mego indywidualnego rozděcia.

Ciekawi jesteście, nad czym się zastanawiałem przez parę następnych minut? Otóż nad tym, jak to by było, gdybyśmy zamiast dwóch pokoiw jednoosobowych w „Days Inn” wynajęli jeden podwójny.

51

Wynajęliśmy dwa pokoje.

Miałem nadzieję, że nie wahałem się zbyt długo z odpowiedzią, gdy recepcjonistka zapytała:

- Jeden pokój czy dwa?

A jednak. Po cichu liczyłem na to, że Carmen odpowie „dwa”, ale się nie odezwała. Zresztą, może miałem nadzieję, że powie „jeden” czy coś w tym rodzaju? Być może zadziałała moja wyobraźnia, lecz wydawało mi się, że i ona z uwagą oczekuje mojej odpowiedzi.

Toteż po przerwie trwającej o ułamek sekundy za długo, wyrzuciłem z siebie:

- Dwa,

W moim pokoju gdzie spojrzeć znajdowały się nalepki z napisem PALENIE WZBRONIONE, a mimo to przede mną ktoś tu palił, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Zatechły swąd palonego tytoniu niemalże drapał w gardle przy każdym oddechu. Poświęciłem minutę, aby zadzwonić ze swojej komórki do Alana i dać mu znać, że Carmen, a tym samym cała komenda policji w Boulder, wie już o kobiecie z South Bend, co oznacza, że wiadomości te musiały się wydostać z jego gabinetu otwartym kanałem informacyjnym i za pośrednictwem anonimowego donosiciela dotarły do wydziału prewencji.

Odniosłem wrażenie, że ta nowina wprawiła go w konsternację. Było mi go żal. Naprawdę miał teraz sporo na talerzu.

Dostaliśmy z Carmen pokoje sąsiadujące ze sobą, w dodatku połączone ciasnym przejściem z drzwiami zamykanymi na zasuwkę, jakby recepcjonistka dla żartu chciała mnie skusić możliwością spędzenia bezsennej nocy na krążeniu między obydwoma pokojami.

Szykując się do snu, Carmen zaczęła śpiewać. Zdażyłem zdjąć tylko buty, toteż położyłem się w ubraniu i leżąc bez ruchu, żeby łóżko nie zaskrzyphiało, wsłuchiwałem się w każdą nutę jej piosenek. Byłem prawie pewien, że nigdy wcześniej ich nie słyzałem.

Pasowało mi to do całości obrazu. Odnosiłem wrażenie, że każdy dźwięk, jaki wydostał się z jej ust od chwili, gdy usiadła przy moim stoliku w restauracji hotelu Marriott, zawierał całkiem nowe dla mnie brzmienia.

Nie dotyczyło to jedynie muzyki disco, którą nastawiła w radiu.

Po trzech piosenkach nastąpiła dłuższa przerwa, prawdopodobnie na mycie zębów, a później rozległa się jeszcze jedna, tak smutna i pełna lamentu, że aż łzy napłynęły mi do oczu na myśl o Simonie i Sherry, przyszłorocznych wakacjach i stanie mego serca. Pomyślałem też o Lauren i rządzącym nią strachu, a nawet o Gibbs i o tym, jak będzie wyglądało jej życie, kiedy kurz w końcu opadnie. Za nią też uroniłem łezkę.

Usnąłem w ubraniu, na niezasłanym łóżku, i obudziłem się o wpół do drugiej w nocy. Rozebrałem się, nie zapalając światła, umyłem zęby i wsunąłem się pod kołdrę. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwałem się w ciszę, mając wrażenie, że wyławiam przez ścianę regularny szmer oddechu Carmen. Przypomniałem sobie jej ostatnią smutną piosenkę, która, jak gdybym wysłuchał zaledwie przed chwilą, podziałała na mnie jak kołysanka. Usnąłem znowu jeszcze przed drugą i obudziłem się dopiero wtedy, gdy Reynoso załomotała do drzwi mego pokoju kwadrans przed ósmą.

Wyrwała mnie z błogiego snu o siostrach Wolf i ich prawie już gotowym „turducken”. Szczegóły oczekiwania na pieczeń rozwiały się w jednej chwili, niemniej wstawałem z łóżka z wrażeniem, że jeśli wystarczająco głęboko wciągnę powietrze nosem, poczuję wspaniałe aromaty mieszanki różnych mięs piekących się w Ochlockonee w Georgii. Ale tylko westchnąłem, bo wystarczył mi jeden rzut oka na motelowy pokój, by natychmiast powrócić do rzeczywistości, w której powietrze było przesycone zatechłym smrodem papierosów palonych tu przez durnia nie-liczącego się z innymi.

Przy śniadaniu cały czas strofowałem się w myślach za szczeniackie fantazje romantyczne. Co ja takiego sobie myślałem?

Wszelkie intymności, jakie wyłaniały się z mojej wyobraźni ostatniej nocy, zniknęły z nastaniem dnia. Jeśli nawet trochę flirtowaliśmy przed północą, należało to już bezpowrotnie do przeszłości. Carmen przy śniadaniu zachowywała się sztywno i oficjalnie, a ja galopowałem u jej boku, próbując nadażyć. Kilka razy wracałem do kolejki przed ladą w niewielkiej salce motelowej restauracji, wcale nie po to, żeby cokolwiek kupić, lecz by znaleźć chwilę wytchnienia od otaczającej ją gęstej atmosfery. Posiłek był całkiem niezły, wziąłem jogurt z owocami i miodowe płatki kukurydziane z chudym mlekiem. Po dwóch filiżankach kawy bezkofeinowej przestawiłem się na zwykłą, z ekspresu. Wyszedłem z założenia, że jeśli na podstawie poranka choć trochę można przewidywać, co nas czeka w ciągu dnia, z pewnością będę potrzebował dobrego paliwa raketowego, by nie zostać w tyle. Mój kardiolog musiałby zrozumieć tę nadzwyczajną sytuację.

- Co wiesz o Sterlingu i Holly? Co ich łączyło? - zapytała Carmen, kiedy odsunąłem od siebie plastikową miseczkę z plastikową łyżką. Przemknęło mi przez głowę, że w jej ustach połączenie imion „Sterling i Holly” zabrzmiało szczególnie ironicznie, jakby mówiła o dobrze znanej parze, królu i królowej szkolnego balu sprzed lat.

Z drugiej strony jej pytanie omal mnie nie zatkało. A właściwie nie tyle pytanie, ile odpowiedź, jakiej musiałem udzielić.

- Mieli ze sobą romans - wycedziłem. A przecież to dokładnie królowało w moich myślach ostatniej nocy. Tknięty rażąca hipokryzją, pociągnąłem szybko łyk kawy.

Nie znoszę hipokryzji u innych. Nie znoszę u siebie. Nienawidzę jej.

- Owszem, ale to nie wszystko. Kiedy rozmawiałam z nią wczoraj, wyraźnie się zmieszała, że wiem o jej związku ze Ster-lingiem. Gdyby tylko przespali się ze sobą kilka razy, nie byłoby powodu do zmieszania, prawda? Nie jest mężatką, więc co zrobiła aż tak złego, poza kiepskim wyborem żonatego mężczyzny na kochanka? Ten konkretny grzech jest w końcu każdego dnia popełniany co najmniej milion razy w naszym kraju.

Znaczenie podtekstu jej słów było tak oczywiste, jakby wykrzyczała mi je prosto w twarz. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że mało brakowało, a sama popełniłaby podobny

błąd jakieś osiem godzin temu, i że nie czuła się nazbyt dobrze ze świadomością, jak blisko była tego, żeby ulec pokusie.

Nie rozumiałem jednak, czego się doszukuje w romansie Holly Malone.

- Nie wiem, czy to aż tak krępujące, ale jest Irlandką, a więc katoliczką. I ma małe dziecko. Do tego mieszka w niewielkim mieście. Może należy do kobiet, które czują się wszystkiemu winne, a może zwyczajnie obawia się skandalu. Nikt nie lubi, gdy mu się przypomina o takich sprawach. Albo... no, to chyba lepszy powód. Poznała go w pracy. Może w Sportowym Biurze Informacyjnym „Walecznych Irlandczyków” obowiązuje zakaz romansowania z ludźmi, z którymi prowadzi się interesy. Stąd może się zwyczajnie bać utraty pracy.

- Niewykluczone. W każdym razie pasuje do środowiska katolickiego. Sądzę jednak, że kryje się za tym coś więcej.

- Dlaczego uważasz, że musi się za tym kryć coś więcej?

- No, może nie musi, Sam. Ale jednak się kryje. Czuję to. Do kogo dzwoniłeś wczoraj wieczorem?

- Słucham?

- Ledwie zamknąłeś za sobą drzwi pokoju, do kogoś zadzwoniłeś. Po co? Naprawdę nie mogłeś z tym poczekać? Do kogo dzwoniłeś?

Odchyliłem się gwałtownie na oparcie krzesła i poczułem się niezręcznie, gdyż moje indywidualne rozdęcie zakołysało się na boki pod koszulą. To zaś nasunęło mi smutny wniosek, że nie poczyniłem specjalnych postępów w tym zakresie mojego programu samonaprawy. Spojrzałem jej w twarz, ale nawet nie zdążyłem pochwycić wzroku.

- Czyżbyśmy byli już na tym etapie zażyłości, Carmen, żebyś się dopytywała, z kim rozmawiam przez telefon?

Ona też gwałtownie odchyliła się na oparcie krzesła i jej indywidualne rozdęcia podobnie zakołysały się pod bluzką, ale było to zupełnie inne zjawisko.

- Masz rację. Przepraszam. Sama nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Przepraszam.

Poprzez swoje pytanie znowu chciała mi coś przekazać. Do jakiego wniosku mogłem dojść? Do takiego, że dawała mi do zrozumienia, iż piosenki śpiewane w nocy złożyły się na jej prywatny koncert przeznaczony wyłącznie dla mnie. Zamyśliłem się nad tym.

- Pamiętasz tego psychoterapeutę, który zawiadomił cię

o sprawie Storeyów i z którym rozmawiałaś w Boulder? To mój przyjaciel.

- Wiem - odparła. Wyjątkowo dużo o mnie wiedziała.

Zwróciłem też uwagę, że ani razu nie spojrzała na mnie od czasu, kiedy padło agresywne pytanie o moją wczorajszą rozmowę telefoniczną.

- Dzwoniłem właśnie do niego - wyjaśniłem. - Ma pewien... problem. Akurat przyszło mi do głowy coś, co moim zdaniem może być dla niego pomocne. Więc jak chcesz rozegrać sprawę z Holly Malone?

Wreszcie podniosła na mnie wzrok. I uśmiechnęła się.

- Jeśli czujesz się na siłach, wolałabym, żebyś to ty z nią porozmawiał. Nasza wczorajsza rozmowa telefoniczna nie poszła zbyt dobrze. Ty masz jeszcze czyste konto. Zgadzasz się na to?

Nie mogłem oderwać oczu od tego uśmiechu. Z jej zębami wszystko było w porządku. Wcale nie były krzywe. Ani zażółcone. Tylko białe i równe.

- Jasne - odparłem.

- Jedenaście kilogramów. Obiad jest o czwartej. Muszę więc wyciągnąć go z piekarnika o trzeciej, najwyżej parę minut później. Trzydzieści pięć do czterdziestu minut na kilogram... a to tylko dlatego, że jest z nadzieniem, inaczej wystarczyłoby pół godziny... W sumie daje to w przybliżeniu pięć godzin. Zatem muszę go wstawić do pieczenia... Och, mój Boże! Już zaraz! A niech to...

Holly Malone sprawiała sympatyczne wrażenie, nadawałaby się na odtwórczynię roli córki głównych bohaterów w jakimś rodzinnym serialu komediowym, powszechnie lubianą, roztaczającą wokół siebie niezwykle urok. Była dość ładna, ale nie z klasy tych piękności, co na pierwszy rzut oka powalają faceta z nóg i wprawiają w skrajne zdenerwowanie. Jak Gibbs. Z przyjemnością obserwowałem, jak krząta się po swej ciasnej, wyłożonej linoleum kuchni, szukając w szafkach odpowiedniej blachy, przyborów oraz przypraw, po które zapewne nie sięgała od wielu miesięcy. Albo nawet dłużej. Odznaczała się przy tym entuzjazmem całego zespołu cheerleaderek, a jej pozytywna energia lepiej wpływała na moje serce niż cokolwiek innego, czego ostatnio próbowałem.

Z przyjemnością też siedziałem w kuchni w ten poranek Święta Dziękczynienia, korzystając ze sposobności występowania w roli widza spektaklu, który mogłem podziwiać co roku od tak dawna, jak tylko sięgałem pamięcią. Bo tego dnia w kuchni wszystko kojarzyło mi się z tradycją. Błaty szafek Holly były zastawione naczyniami z selerem i cebulą, bulionem i masłem, natką pietruszki i tartą bułką, nie mówiąc już o wielkim, oskubanym i wypatroszonym indyku. Przynajmniej w takiej chwili znów wszystko było na swoim miejscu w moim życiu.

Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie przy drzwiach prowadzących z kuchni do salonu, gdzie Carmen Reynoso czekała cierpliwie, aż uda mi się nawiązać bliższy kontakt z gospodynią. Była dziesiąta pięćdziesiąt. Wykonałem w pamięci proste obliczenie, zastanowiłem się przez chwilę nad konsekwencjami milczenia, i powiedziałem:

- Wyluzuj, Holly. Obiad w rzeczywistości będzie o wpół do siódmej czy nawet później. Masz cały dzień.

- O co panu chodzi? - spytała zalotnie, sądząc widocznie, że próbuję z nią flirtować. - Moi goście przyjdą już po drugiej. Zapraszałam ich na obiad punktualnie na szesnastą. Mąż mojej siostry, Artie, pewnie dostałby ataku szału, gdyby nabrał podejrzeń, że posiłek spóźni się choćby o minutę. - Mówiła z delikatnym akcentem polegającym na podkreślaniu ostatnich sylab poszczególnych słów. Ale i ten akcent tylko dodawał jej uroku.

Naprawdę doskonale się czułem w jej towarzystwie.

Z pewnym ociąganiem wyjaśniłem jej problem z pieczenia.

- Jeśli liczysz po czterdziści minut na kilogram, to indyk będzie musiał siedzieć w piecu siedem godzin i dwadzieścia minut, a nie pięć, jak wyliczyłaś wcześniej. Moim zdaniem to bardzo długo, ale w końcu mało się znam na pieczeniu indyków. Więc gdybyś wstawiła go do pieczenia już w tej sekundzie, co przecież i tak jest niemożliwe, byłby gotów do wyjęcia dopiero po szóstej wieczorem.

Zastygła bez ruchu i zapatrzyła się na mnie takim wzrokiem, jakbym zabronił się ruszać, bo po nosie łązi jej jadowita tarantula. Byłem pewien, że pospiesznie kontroluje w myślach moje umiejętności operowania liczbami.

- Och, mój Boże - szepnęła w końcu. - Mój Boże.

- Mogę ci w czymś pomóc, Holly? - zapytałem. - Może coś posiekać?

Przygarbiła się wyraźnie. Wykrzywiła usta, łypnęła na mnie złowieszco okiem i syknęła:

- Nie mógłby pan pod jakimś pozorem aresztować Artiego i wsadzić go na jakiś czas do ciupy? To by mnie uchroniło przed jego reakcją.

Pół godziny później ptaszysko ostatecznie wylądowało w piekarniku, a my mogliśmy usiąść ze świeżo zaparzoną kawą w tej przytulnej kuchni, przy stole o blacie oklejonym chromowaną kantówką.



- Na tym stole przygotuję dania dla dzieci - wyjaśniła. -Z boku dostawię jeszcze stary stolik brydżowy, który stoi w piwnicy.

- Podobą mi się pomysł sadzania dzieci przy oddzielnym stole - zauważyłem. - W ten sposób dorośli mogą swobodniej rozmawiać.

Westchnęła głośno i spojrzała na zegar.

- Może to się wyda nieprawdopodobne, ale zawsze byłam prymuską z matematyki w college'u Williamsa. Przysięgam.

Domyśliłem się, że college Williamsa należał do tych szkół na Wschodnim Wybrzeżu, które były powszechnie znane ze swej reputacji. Mnie ta nazwa nic nie mówiła. Ja chodziłem do stanowej szkoły średniej w Saint Cloud i raczej nie zadawałem się z nikim spoza niej.

- Tak już jest, że uroczyste obiady na Święto Dziękczynienia z reguły się opóźniają. To chyba nawet należy już do tradycji. Nie ma się co martwić. Jeśli Artie rzeczywiście będzie się wściekał z tego powodu, to znaczy, że jest zwykłym palantem. Bo obiad zapowiada się wspaniale.

- Artie jest palantem. Nie mam pojęcia, co moja siostra w nim widziała. Zawsze miała słabość do mężczyzn analnych.

Dostrzegłem nadarzącą się okazję.

- Nie oceniaj jej aż tak surowo. Wszyscy podejmujemy karkołomne decyzje co do związków, na których nam zależy. Sam mógłbym wyliczyć kilka podobnych swoich decyzji. Ty też na pewno podjęłaś w życiu niejedną.

Zapatrzyła się na swój kubek z kawą.

- Owszem - przyznała. - Podjęłam.

Wstała, kucnęła przy kuchence i przez szybkę popatrzyła na indyka w piekarniku. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że jest tak samo blady, jak był dziesięć minut temu w chwili wkładania do pieca. I oboje tak samo dobrze wiedzieliśmy, że zrobiła to, by trochę się zdystansować ode mnie. Najwyraźniej nasza znajomość zacieśniała się za szybko jak na jej gust.

Wyciągnąłem z kieszeni zdjęcie Briana Milesa.

- Znasz tego człowieka?

Dokładnie przyjrzała się fotografii, nim zaprzeczyła.

W pierwszej chwili jej uwierzyłem. Dopiero po namyśle doszedłem do wniosku, że jej reakcja wcale nie oznacza, iż Holly mówi prawdę.

- Na pewno? Nie kręcił się po okolicy?

- Nie, nigdy go nie widziałam. Kto to jest?

- Nieważne.

Przesunęła kilka naczyń po blacie. W końcu zagadnęła:

- I w tym momencie powinniśmy chyba zacząć rozmawiać o Sterlingu, prawda?

- Farsz zrobiony, indyk w piecu, zastawa przygotowana. Kawa jeszcze nie wystygła, goście zjawiają się dopiero za kilka godzin, zatem to rzeczywiście najlepsza pora na taką rozmowę.

- Powinnam jeszcze zajrzeć do synka.

- Nic mu nie jest. Detektyw Reynoso uwielbia małe dzieci. -Równie dobrze mogła ich nienawidzić, pogardzać nimi albo lekceważyć. Nic na ten temat nie wiedziałem. Przyznała mi się tylko, że jedno zdołała utrzymać przy życiu wystarczająco długo, by poszło do college'u.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście.

- Czy Sterling nie żyje? W gazetach pisali, że utonął.

- Kilka dni temu byłem w Georgii. Rzeczywiście wszyscy sądzą, że się utopił. Aleja nie jestem przekonany... - Przystąpiłem do dłuższego opisu opartego na relacjach wielebnego Priora oraz sióstr Wolf, nie zapominając o ścisłej kolejności, w jakiej zjawiali się przy moście nad rzeką Ochlockonee w czasie tamtej gwałtownej burzy. Pozwoliłem sobie nawet na drobną

dygresję co do złożonej natury „turducken” tkwiącego już od samego rana w piekarniku przemiłych bliźniaczek.

Znów niemalże poczułem zapach tej pieczeni w powietrzu.

Holly wykazała dużo więcej zainteresowania sposobem szykowania mięs nadziewanych innymi mięsami niż taktyką kryjącą się we wpadnięciu Sterlinga do wezbranego nurtu Ochlockonee. Na jej wyraźne życzenie podjąłem próbę szczegółowego opisanie metody stosowanej przez sprytnego kuchmistrza z Południa do upychania jednego w drugim kolejnych ptaków, mniej więcej w taki sposób, w jaki pasują do siebie znane rosyjskie drewniane lalki.

- Artiemu by się to nie spodobało - uznała. - Tyle rozmaitych mięs w jednej pieczeni? On nie znosi nawet, gdy różne składniki jednego dania mieszają mu się na talerzu. - Myśl o rozczarowaniu szwagra przywołała uśmiech na jej wargi.

- Wiesz coś o tamtych pozostałych kobietach? - zapytałem. Oznaczało to: dość pogaduszek o pieczeniu drobiu i upodobaniach Artiego. Miałem wrażenie, że gdyby facet się pojawił jeszcze w mojej obecności, musielibyśmy sobie szczerze porozmawiać na osobności.

Ruchem ręki wskazała poranną gazetę.

- Nie wierzę w to. Nie wierzyłam nawet wtedy, gdy to czytałam. To po prostu... po prostu nie może być prawdą. Sterling

nie mógł tego zrobić. - Najwyraźniej nie mogła się doczekać moich pytań o Storeya, żeby nie tracić ani sekundy na zastanawianie się nad odpowiedzią.

- Naprawdę w to nie wierzysz?

Spojrzała wreszcie na mnie, a to dobrze wróżyło. Tyle że w jej oczach pojawiły się dziwne błyski. Nie byłem pewien, co mogą oznaczać.

- Sterling jest... przystojny, to znaczy... Boże, kogo próbuję oszukiwać. Jest naprawdę bardzo pociągający, a do tego... uroczy. No, wie pan, w niczym nie przypomina macho w stylu Sylwestra Stallone'a, raczej słabszą wersję... Boże, chyba nie powinnam tego mówić... Ach, co mi tam... przypomina raczej słabszą wersję George'a Clooneya. Jest naprawdę urzekający, czym różni się od większości mężczyzn, jakich dotąd poznawałam poprzez... -Urwała nagle.

- Tak?

- Nie mógłby nikogo zabić - oznajmiła stanowczo. - Absolutnie. Sterling po prostu nie należy do tego typu mężczyzn. A może mi pan wierzyć, że dobrze znam mężczyzn.

W duchu podziękowałem Bogu za stworzenie okazji do tej rozmowy.

- Więc, twoim zdaniem, jakim jest typem mężczyzny?

- Podróżowałam przez cztery dni po okolicznych stanach, wykupiwszy najtańszą wycieczkę objazdową, w nadziei znalezienia odpowiedzi na to pytanie. A ono teraz znowu powraca jak bumerang. Miałam nadzieję dowiedzieć się od pana, kim naprawdę jest Sterling Storey, skoro potrafił tyle razy zdradzać kogoś takiego jak Gibbs.

Zadzwoił telefon. Dzwoniła jej siostra, żona Artiego.

- Odebrałaś moją wiadomość? - zapytała Holly, przechodząc w drugi koniec kuchni. - Jak myślisz, Artie bardzo się wścieknie na opóźnienie? - Odwróciła się i wyciągnęła palec w moją stronę, dając w ten sposób znać, że będzie zajęta przez kilka minut.

Wstałem od stołu i wyjrzałem do salonu. Carmen trzymała na kolanach synka Holly i czytała mu bożonarodzeniową bajkę.

Od razu rozpoznałem tę śmieszoną małą książeczkę, którą sam przed laty wiele razy czytałem Simonowi podczas świątecznych ferii. Nosila tytuł Gwiazdka Bialoskiego. Według mojego syna Bialoski był wspaniałym białym niedźwiedziem, chociaż nigdy nie mogłem zrozumieć, co go skłoniło do takiego wniosku.

Carmen czytała jak zawodowy narrator, śpiewnym głosem, wyraźnie różnicując wypowiedzi poszczególnych bohaterów. Po jej intonacji można było wnioskować, że jeden z najbliższych przyjaciół Bialoskiego jest Latynosem. Naprawdę świetnie jej szło. Słuchałem tej świątecznej

opowieści, ale myślami błądziłem daleko. Szczerze mówiąc, odtwarzałem z pamięci ostatnie chwile rozmowy z Holly.

Usłyszałem za sobą, że odkłada słuchawkę na widełki.

- Przepraszam - powiedziała. - To była siostra.

Zanim wycofałem się z powrotem do kuchni, wyłączyłem w kieszeni telefon komórkowy, żeby absolutnie nikt nam nie przeszkadzał, i zmieniłem ton swego głosu, przypomniawszy sobie, jak moja mama odlewała tłuszcz przed podaniem czegoś do stołu. Zrobiłem to instynktownie, jak dziki kot, który się przeciąga przed skokiem na upatrzoną ofiarę. Bo właśnie zamierzałem wykonać taki skok.

Moją ofiarą była ponętą blondynka, młoda wdowa, która szykowała właśnie świąteczną kolację dla swojej licznej rodziny.

- Więc Sterling Storey różni się od większości mężczyzn, jakich dotąd poznawałaś poprzez...  
- powtórzyłem pytająco.

Zrobiła krok do tyłu i oparła się biodrem o kuchenkę.

- Miałam nadzieję, że nie zwrócił pan na to uwagi. Żałuję, że to powiedziałam.

- Wierzę. Także w to, że byłoby lepiej, gdybym tego nie słyszał. Ale słyszałem. Głośno i wyraźnie.

- Jestem wdową - wtrąciła.

- Tak, wiem. I przykro mi z tego powodu.

- Ludzie gadają... Wie pan, jak to jest. Dlatego... mam bardzo ograniczone możliwości.

Mówię o swoim życiu osobistym.

- A konkretnie o seksie, prawda, Holly? - Udało mi się to nawet zrobić z pewnym polotem, jakbym w życiu nie zajmował się niczym innym, tylko rozmawiał o seksie z młodymi wdowami.

Otóż to.

Ale moje pytanie tylko ją rozbawiło.

- Zgadza się, Sam, w rzeczywistości nie mówimy o niczym innym, jak o seksie. Witaj. Sięgnąłem do tego, co wydawało mi się oczywiste.

- Jesteś uroczą dziewczyną, Holly. Mądrą, zabawną. Nie rozumiem, skąd te ograniczone możliwości. - Zdołałem się powstrzymać i nie dodałem: „Mogłabyś mieć każdego mężczyznę, gdybyś tego zapragnęła. Absolutnie każdego”. Tym bardziej nie dodałem: „Każdy byłby z tobą szczęśliwy. Nawet ktoś taki, jak ja...”.

Na swój użytek wołałem nie kończyć tej myśli.

- Zanim umarł mój mąż, mieliśmy... bardzo bogate życie seksualne. Lubiliśmy rozmaite...  
Odwróciła się nagle tyłem do mnie.

Ale nie zrobiła tego z powodu zawstydzenia. Nie to było przyczyną, że wołała na mnie nie patrzeć. Odwróciła się, bo wyczuła instynktownie, że temat seksu jest wstydlivy dla mnie.

Usiłowałem się skupić. Co rozmaitego mogli lubić?

- Ale zawsze byliśmy bardzo ostrożni, szczególnie po przyjściu Zacha na świat. Woleliśmy nie podejmować zbędnego ryzyka.

Wyglądało na to, jakby dalej rozmawiała z leżącym w piekarniku indykiem. Bo w przeciwieństwie do mnie indyk się jeszcze nie rumienił.

- To dobrze - odparłem. - To, co pani robiła ze swoim mężem w intymnych momentach waszego życia małżeńskiego było...

- Tak, źródłem naszych dochodów. Czy to ważne? Naprawdę nie czuję się najlepiej, rozmawiając o tym z panem.

Ja również. Możesz mi wierzyć, że ja również.

- Jak pani mąż miał na imię?

- Mark.

- Dziękuję. Razem z detektyw Reynoso próbujemy ustalić, jakie niebezpieczeństwo może pani zagrażać ze strony Sterlinga Storeya. Dlatego tak ważne jest dla nas to, jak go pani poznała i jak doszło do waszego pierwszego spotkania. Chcielibyśmy wyjechać stąd jeszcze dzisiaj, mogąc panią zapewnić, że jest pani bezpieczna.

Zamyśliła się nad tym przez chwilę, jakby zajrzała w trzymane karty, nim wyciągnęła jedną z nich i wyłożyła na stół.

- Jednakże i tak nie muszę z panem rozmawiać, prawda? Od strony formalnej nie ma pan żadnej władzy w tym stanie, jeśli się nie mylę.

Okazało się, że znalazła w swoich kartach całkiem niezły atut. Musiałem jej to uczciwie przyznać.

- Nie, nie mam.

- A z drugiej strony... wcale nie musiał pan tutaj przyjeżdżać, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie musiałem. W tej remizie straży pożarnej jestem ochotnikiem. Odwróciła się w moją stronę. To, że przyjechałem do niej z własnej inicjatywy i za własne pieniądze, miało swoją wymowę.

- Kto się o tym wszystkim dowie? - zapytała. - O ile, rzecz jasna, zgodzę się rozmawiać z panem szczerze.

Pociągnąłem łyk kawy. Była już zimna.

- Mógłbym skłamać i powiedzieć, że nikt prócz nas dwojga, to znaczy mnie i detektyw Reynoso, ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia, kto jeszcze będzie się zajmował tą sprawą. Sekrety są jak domowe zwierzątka. Gdy raz im się na coś pozwoli, bardzo trudno jest później je tego oduczyć.

- South Bend to małe miasteczko, a Notre Damę jest uczelnią katolicką. Nawet bardzo katolicką. Ja zaś mam syna. Pewne rzeczy, które robiłam w dotychczasowym życiu prywatnym, nie są tu w ogóle akceptowane. Co do tego nie mam żadnych złudzeń.

- Rozumiem. Znam się trochę na małych miasteczkach i ludzkich sekretach. Jeśli nie była pani nigdy w Boulder, wyjaśniam, że to dużo bardziej małe miasteczko niż metropolia. Wychowywałem się w jeszcze mniejszym miasteczku w Minnesocie. Więc jak pani go poznała?

Niemal w jednej chwili wkroczyła w swoistą niszę czasową. Od razu to rozpoznałem. Niczym bohaterka powieści Juliusza Verne'a zdołała magicznym sposobem zatrzymać czas, żeby rozstrzygnąć, czy powiedzieć mi prawdę, czy nie. Dziesięć sekund później wyłoniła się z tej swojej niszy czasowej ze słowami, które w moich uszach zabrzmiały szczerze:

- Umieściłam w sieci własną reklamę, na stronie tylko dla dorosłych. Usiłowałam poznać mężczyzn mających... podobne zainteresowania... wie pan, którzy stale podróżują i odwiedzają różne miasta w interesach. Przeważnie dostawałam odpowiedzi z Chicago na... W głębi ducha odczułem wdzięczność, że nie dokończyła tego zdania, chociaż byłem strasznie ciekaw, czym zakończyły się te podróże do Chicago.

- Ale Sterling zjawił się tutaj, w South Bend?

- Tak. Przyjechał tu służbowo, robić transmisję. Ale pan już chyba dobrze wie, czym się zajmował, prawda?

- Owszem. Zatem nie poznała go pani poprzez swoją pracę?

- Nie, spotkaliśmy się, jeśli można to tak nazwać, poprzez internet. Nigdy się nie zetknęliśmy na gruncie służbowym. Ani wcześniej, ani później. W pracy zajmuję się głównie sportem wyczynowym kobiet. Niewiele mam do czynienia z dyscyplinami męskimi, zwłaszcza grami zespołowymi.

- Rozumiem. O tym jednak nie wiedziałem. Ma pani może kopię tego ogłoszenia internetowego? Mógłbym je zobaczyć?

- Słucham?!

Na pewno zrozumiała mnie bezbłędnie. Ale jej zdumienie było też w pełni zrozumiałe, bo i czego mogłem się spodziewać po tej prośbie, która zabrzmiała mniej więcej tak samo, jakbym chciał uzyskać zgodę na przejrzenie jej bielizniarki. Pospiesznie zmieniłem ton.

- Wolałbym wiedzieć, z jakich powodów Sterling odpowiedział na to ogłoszenie. To by mi pomogło... lepiej zrozumieć jego postępowanie.

Prychnęła głośno, wciąż wybałuszając na mnie oczy. Opuściła ręce wzdłuż ciała i rozstawiła nieco szerzej stopy.

- Odpowiedział z nadzieją, że faktycznie pozna atrakcyjną kobietę lubiącą uprawiać seks z nieznanymi. Przecież to proste, detektywie. Naprawdę trudno doszukiwać się innych powodów, dla których ludzie odpowiadali... i nadal odpowiadają na moje ogłoszenie. Ale wybór kogoś, przy kim można się będzie czuć bezpiecznie... to już zupełnie inna sprawa. Zaczerwieniłem się.

- Więc jak...

- Poprzez maile. Zakładałam tymczasowe konto hotmailowe i korespondowałam z człowiekiem, dopóki nie zyskałam pewności. W przeciwnym wypadku natychmiast zamykałam konto, otwierałam drugie i zaczynałam korespondować z innym kandydatem. Nie miałem pojęcia, co to jest konto hotmailowe. Do diabła, mogłem o to zapytać Simona, gdybym miał okazję porozmawiać z nim dzisiaj wieczorem. On pewnie to wiedział.

- Jak długo trwał ten proces ze Sterlingiem? Właśnie w tym momencie do kuchni weszła Reynoso.

- Dolatują stąd wspaniałe zapachy. Chciałam zapytać, jak wam idzie.

- Doskonale, Carmen. Dasz nam jeszcze parę minut? - zapytał, robiąc minę, która miała jej powiedzieć: Ale wybrałaś sobie chwilę. Gorzej już nie mogłaś.

Wycofała się do salonu.

- Coś mi się w niej nie podoba - zauważyła Holly.

- No cóż, w każdym razie świetnie radzi sobie z twoim synkiem. A to chyba wystarczy, prawda? Pytałem, jak długo zajęło...

- Niezbyt długo.

- A potem spotkaliście się... No właśnie, gdzie?

- W kampusie.

- I wtedy...?

- Matko Boska, detektywie. Naprawdę musi pan o to pytać? Odparłem, że tak. Osobiście nie było mi to do niczego potrzebne, ale tak odpowiedziałem. O niektórych rzeczach chce się wiedzieć, nawet jeśli w rzeczywistości lepiej byłoby o nich nie wiedzieć.

A ten przypadek należał właśnie do tej kategorii.

Holly podeszła bliżej, pochyliła się nade mną i tuż nad moim uchem powiedziała szeptem, co robili ze Sterlingiem Storeyem w czasie tamtego pierwszego spotkania.

Nie wiem, czy sprawiło to wilgotne ciepło jej oddechu na moim policzku, czy też wypowiedziane przez nią słowa, w każdym razie zaczerwieniłem się po raz kolejny.

53

To miał być pierwszy raz. Holly kilkakrotnie zastanawiała się z mężem nad zrobieniem czegoś w tym rodzaju, ale w rozmowach zawsze traktowali to bardziej jak żart, nic ponadto.

Natomiast ten facet z Kalifornii mówiło tym poważnie. Od początku do końca.

Zupełnie poważnie.

Nocą przemyślała jego propozycję, czując ogarniające ją na zmianę fale podniecenia i lęku. A rano wysłała krótką mailową odpowiedź: tak.

Zdarzyło się to w sobotnie popołudnie we wrześniu ubiegłego roku. Notre Dame grało wtedy z Michigan w Ann Arbor. To ona ustaliła termin spotkania tak, żeby kampus uniwersytecki

był wyludniony. Wiedziała, że ci studenci i wykładowcy, którzy nie wyjechali na mecz do Michigan, będą go oglądać w telewizji, w dowolnym lokalu, gdzie jest odbiornik wielkoekranowy i podaje się piwo.

Od trzynastej trzydzieści do czternastej piętnaście. Tylko tyle czasu mu dała. Miała się zjawić na miejscu punktualnie o wpół do drugiej, a odejść po trzech kwadransach. Musieli zniknąć, nim zaczną się sobotnie popołudniowe spowiedzi.

A tymczasem dla Holly nastał czas najśladszego ze wszystkich afrodyzjaków: niecierpliwego oczekiwania.

„Co zamierzasz robić, kiedy będziesz na mnie czekała?” - zapytał w którymś mailu.

Zatem on też wiedział wszystko na temat niecierpliwego oczekiwania. W końcu należało się tego spodziewać. „Będę się modlić” - odpisała.

Wrzy niektórych uczelniach świeckich są kaplice; większość uczelni katolickich ma swoje zabytkowe kościoły. Uniwersytet Notre Dame dysponuje własną bazyliką.

Holly czekała na Sterlinga na wprost Kaplicy Relikwiarzy, w wysoko sklepionej bocznej nawie Bazyliki Najświętszego Serca.

Dziesięć minut przed drugą uklękła w ławce znajdującej się tuż za nią. Nie słyszała, kiedy się zbliżył. Poruszał się cicho jak mysz kościelna.

- Me odwracaj się - szepnęła. - Nawet na chwilę. Brakowało jej tchu. Oddychała tak głęboko, że musiała łapać

powietrze szeroko rozwartymi ustami.

Wiedziała już z doświadczenia, że żar niecierpliwego oczekiwania pochłania olbrzymie ilości tlenu.

Wcale nie spędziła go na modlitwie. W duchu liczyła ludzi znajdujących się w kościele.

Obecnie było ich trzynaścioro. Jedna urocza kobieta w koszmarnej czerwonym żakiecie klęczała zaledwie parę metrów od nich, w Kaplicy Relikwiarzy. Niemniej, trzynaścioro brzmiało niezłe. Nie za dużo, nie za mało. W sam raz.

- Seks w kościołach nie powinien być zarezerwowany dla księży - mruknął jej nad uchem z silnym irlandzkim akcentem. - Też tak uważasz?

Początkowo chciała wykorzystać na to spotkanie zacisze któregoś konfesjonału, nie była jednak pewna, czy może pozostać z nim sam na sam w ciemności.

Strach? Nie. Wcale się nie bała. Ani trochę.

Żałowała tylko, że nie może go zobaczyć.

Bez słowa wstała, ruszyła nawą i skrzyła na schody prowadzące na galerię organową. To też był jej pomysł.

On zjawił się po kilku minutach.

Wiedziała, że przyjdzie. Na tym etapie mężczyźni rzadko rezygnowali.

Kiedy złowiła na schodach jego ciche, ostrożne kroki, przypomniała sobie nagle, o czym rozmyślała i o czym marzyła jako trzynastolatka.

Udało jej się spojrzeć mu w twarz dopiero, gdy skończyli, gdy z niecierpliwego oczekiwania zostało zaledwie kilka kropel potu na zimnej kościelnej posadzce. Kiedy odwróciła do niego głowę, gdy spostrzegła śnieżnobiały kołnierzyk koszuli oraz rubinowe cienie od szkielec ciemnych okularów maskujących oczy, omal znów nie odebrała jej tchu świadomość, że jest aż tak przystojny. Przez głowę przemknęła jej myśl: „Mark na pewno by go zaakceptował”.

„Na pewno”.

Razem z Carmen wyszliśmy z domu Holly, zanim nadarzyła się okazja do spotkania z Artem. Byłem z tego powodu rozczarowany.

Zeszliśmy ze schodów werandy, kiedy przypomniałem sobie o czymś, powiedziałem Carmen, by zaczekała w samochodzie, a sam zawróciłem do siatkowych drzwi. Zach bawił się na podłodze w salonie wielkimi klockami lego, z których układał coś w rodzaju psa Frankensteina.

- Holly? - zawołałem, a gdy podeszła do drzwi, wyjaśniłem: - Przepraszam, mam jeszcze jedno pytanie. - Zniżyłem głos i rzuciłem głośnym szeptem: - Boisz się go? Sterlinga?

- Nie, nie boję się.

- Nie martwi cię, że jest podejrzewany o zamordowanie aż tylu kobiet?

- Nie jestem przekonana o jego winie. O nic go nie podejrzewam.

Domyśliłem się, że to, co za chwilę usłyszę, jeszcze bardziej będzie miało charakter intymnych zwierzeń. Podświadomie zacząłem dostrajać swoje anteny.

- Proszę posłuchać - odezwała się. - Kilka tygodni temu wysłałam do niego następny mail.

Zapytałam, czy jest zainteresowany, by kiedyś jeszcze raz spotkać się ze mną w kościele.

Niech to będzie dowodem, że ani trochę się go nie boję.

- I spotkałabyś się z nim?

- Oczywiście, że tak. Pod warunkiem, że nie doszłoby do zdarzeń z ostatniego tygodnia, zanim pan i ta detektyw, co uwielbia małe dzieci, tylko brak jej obycia, postanowiliście napędzić mi strachu. Przecież nieźle się razem bawiliśmy.

Czasami ludzie pytają, dlaczego zostałem gliniarzem. Zazwyczaj unikam górnolotnych bujd o służbie dla społeczeństwa i walce ze złem. Odpowiadam zgodnie z prawdą: Nieskończenie ciekawia mnie inni ludzie.

Holly Malone była tego doskonałym przykładem.

- Czy Sterling odpowiedział na tego maila? Energicznie pokręciła głową. A zarazem jakby trochę z zalem.

- Zostawiłem wizytówkę z numerem swojej komórki, prawda? Na wszelki wypadek? I zawiadomisz mnie, gdyby się tu pojawił albo gdybyś chociaż miała przecucie co do niego?

- Tak, detektywie. Zostawił mi pan numer i na pewno zadzwonię.

Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej nieco wymiętą fotografię Briana Milesa.

- Na niego też miej oko. Zatrzymaj to zdjęcie. Zadzwoń też, gdybyś go zobaczyła.

- I nie zamierza mi pan powiedzieć, kto to jest?

- Nazywa się Brian Miles. To ktoś, kogo powinnaś unikać. Zerknęła na trzymaną w rękę fotografię.

- Już mówiłam, że jestem ostrożna. Niezależnie od tego, co pan myśli o moim trybie życia, wolę nie kłaść na szali swojego bezpieczeństwa. Nie przekonał mnie pan, że Sterling jest zabójcą, ale przekonał, że spotkanie z nim mogłoby nieść zupełnie zbędne ryzyko.

- Mogłoby?

Uśmiechnęła się do mnie ciepło, w sposób pełen zrozumienia i mądrości. Tyle że ta mądrość miała delikatny odcień kpiny. Mimo wszystko ten uśmiech podziałał na mnie rozbrajająco. Ja i kobiety? Co za pieprzony bałagan.

Przeciągnąłem palcami po wąsach, rozsuwając je na boki nad górną wargą. Holly przyglądała mi się uważnie, chyba zaciekawiona, co będzie dalej. Zdaje się, że doskonale wiedziała, iż nie zawróciłem pod jej drzwi, aby wypytywać jeszcze o Sterlinga i Briana Milesa oraz upewnić się, czy zostawiłem jej swoją wizytówkę.

Odniosłem wrażenie, że Holly wie o mężczyznach rzeczy, jakie dla mnie pozostaną tajemnicą do końca życia.

Ale w Wielkim Boskim Planie i ta rzecz miała swoje miejsce.

- Czy ty i twój mąż, Mark... Czy wasze, jak sama się wyraziłaś, bardzo bogate życie seksualne... Zgadza się? Tak powiedziałaś? No więc, czy obejmowało ono... wiesz, innych ludzi, inne pary? Oczywiście mówię o kontaktach seksualnych. Nie wiem, czy wyrażam się dostatecznie jasno. Po prostu ciekawi mnie, czy... no, wiesz...

Głos uwiązał mi w gardle, zanikł, jak znika niewielka ilość wody po wyciągnięciu korka ze zlewu.

- To zainteresowanie profesjonalne?

- Szczerze mówiąc, nie, w żadnej mierze. Pytam... całkiem prywatnie. Po prostu zaintrygowała mnie ta sprawa.

Znów wyraz jej twarzy uległ zmianie. Już nie zaciskała tak mocno warg, pod skórą policzków nie poruszały się mięśnie. Za to w kąciakach oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Owszem, czasami włączaliśmy w nasze życie innych ludzi. Oboje często zmienialiśmy partnerów jeszcze przed ślubem.

- I to nie... - Są pytania, które zadaje się trudniej od innych, a ja akurat tylko takie miałem w zanadrzu. Ale naprawdę zależało mi na wyjaśnieniu paru kwestii.

- Co: nie?

- Nie stwarzało problemów? Między wami? Problemów małżeńskich? Mówię o wierności, zaufaniu. Żadne z was nie czuło się pokrzywdzone?

Pokręciła głową.

- Nic z tych rzeczy. Może to zabrzmiało śmiesznie, ale to tylko wzmacniało nasze wzajemne zaufanie. Mark znał każdego mężczyznę, z którym byłam związana seksualnie. I vice versa. W dodatku oboje mieliśmy prawo bezdyskusyjnego weta co do swoich partnerów. To nas tylko wzbogacało. - Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Zach nadal spokojnie bawi się klockami. - To nie tak łatwo wytłumaczyć. W każdym razie seks z innymi ludźmi tylko nas zbliżał do siebie.

- Poważnie?

- Tak

- I nie podważał zaufania?

- Nie. Ufaliśmy sobie bez zastrzeżeń. Takie rzeczy, jak uczciwość czy wzajemny szacunek, nigdy nie były podawane w wątpliwość.

Byłem zdumiony mniej więcej tak samo, jak w trakcie lektury Stephena Hawkinga. Niby czytałem angielskie słowa, ale już po dwóch akapitach nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że patrzę na tekst napisany po ormiańsku. Teraz czułem się podobnie. Arytmetyka jej wywodów niby była prosta, dwa plus dwa równa się cztery. Proste równanie nie powinno kryć w sobie żadnych tajemnic. A jednak kryło.

- Ufaliście sobie? - powtórzyłem bezwiednie i westchnąłem szybko, chcąc dać wyraz swojej irytacji. - Chciałbym móc to zrozumieć. Naprawdę. Bo wydaje mi się, że... kiedy ty... i on... Po prostu tego nie rozumiem. Muszę to sobie dobrze przemyśleć.

- Doceniam to. Cieszę się, że próbuje nas pan zrozumieć. Niektórzy ludzie nawet nie chcą zrozumieć. Większość nie chce.

- Na przykład Artie? Zaśmiała się.

- Tak, on również. Miłych świąt, detektywie. Zaprosiłabym was na świąteczną kolację, ale w tych okolicznościach...

- Oczywiście, oczywiście. Artie byłby nieszczęśliwy z tego powodu. Tobie też, Holly, życzę wesołych świąt. Nie pozwól Ar-tiemu, żeby popsuł wszystkim świąteczny nastrój.

Odwróciłem się, by odejść, ale spojrzałem jeszcze przez ramię. Wciąż stała w drzwiach.

- Czy Mark nie miałby nic przeciwko Sterlingowi? W roli twojego partnera seksualnego? Pytam z czystej ciekawości...

Posmutniała nagle.

- Niestety, na pewno byłby przeciwny. Sterling... bez wątpienia

stoi po niewłaściwej stronie granicy Brada Pitta. Tylko do tej granicy Mark był o mnie całkiem spokojny. Do granicy Brada Pitta.

Otworzyła siatkowe drzwi, wychyliła się na werandę i delikatnie cmoknęła mnie w policzek.

W ten sposób mnie pożegnała.



Carmen odczekała, aż usadowię się za kierownicą, zapnę pas i uruchomię silnik, nim zauważyła:

- Holly robi wrażenie bardzo sympatycznej dziewczyny. Przykro mi, że niechcący zaczęłam od nadeptania jej na odcisk.

Uśmiechnąłem się kwaśno.

- Rzeczywiście jest sympatyczna. Moja matka byłaby pewnie całkiem innego zdania, ale dla mnie jest sympatyczna. Bardzo.

Na szczęście Reynoso nie podjęła tematu związanego z gustem mojej matki. I mądrze zrobiła.

- Dowiedziałeś się tego, na czym ci zależało? - spytała.

- Czy Holly zagraża niebezpieczeństwo? Sam nie wiem. Co powiesz na to, byśmy wspólnie dokonali oceny sytuacji? Pojedźmy w jakieś spokojne miejsce, powiem ci, czego się od niej dowiedziałem, i wtedy zaczniemy wspólnie łamać sobie głowy, czy mamy spędzić Święto Dziękczynienia w South Bend, czekając na Sterlinga, czy też przeznaczyć je na coś innego.

- Chcesz jechać z powrotem do „Days Inn”? Przecież możemy porozmawiać tutaj. Na przykład w tamtej kawiarni na rogu.

- Nie, to nie najlepszy pomysł. Jak stąd dojechać do kampusu? Chciałbym go zobaczyć. W ten sposób mógłbym się pochwalić przed ojcem, że tu byłem... No i słyszałem parę ciekawych rzeczy o tutejszej bazylice.

55

Alan

W Święto Dziękczynienia słońce wstało pod znakiem zimnego frontu dmącego z furją znad Wododziału. Gwałtowną zmianę

ciśnienia poprzedzały wiatry od których wszystkie szyby w oknach groźnie pohukiwały.

Poświęciłem kilka minut, by z tej cieplejszej strony szczególnie głośno huczących taflí w panoramicznym oknie salonu popatrzeć, jak poranny blask rozlewa się po niebie, a słońce odbija w kryształkach kwarcu tkwiących w granitowych płytach Flatironsów.

To był niezwykle widok.

Obudziłem się z gotowym planem. Był to plan na sporządzenie planu. Znalazłem czystą fiszkę biblioteczną, bez linii, i spisałem na niej to, czym musiałem zająć się tego ranka. W większości były to obowiązki domowe, jak „Grace, kąpiel!” czy „Psy, spacer”, bądź kuchenne w rodzaju „Indyk, oczyścić, wymyć i osuszyć”. Ale znalazł się też jeden wpis z dziedziny fantazy „Przejażdżka rowerowa???” i jeden zawodowy „Gibbs?”.

Nie zaliczałem się do miłośników podobnych schematów działania, lecz tego dnia od razu poczułem się lepiej ze świadomością, że mam gotowy plan bitwy zapowiadającej się na długą i wyczerpującą. Jednocześnie z większą wyrozumiałością wspominałem dawnego kolegę z college’u, który zawsze nosił w kieszonce koszuli podobne fiszki biblioteczne ze spisanyimi zadaniami do wykonania, a po zrealizowaniu swego planu natychmiast wyciągał kolejną fiszkę i zaczynał od zapisania na dole ostatniego polecenia: zacznij nową listę.

Mając wciąż w pamięci radę Diane co do pokonywania płotków na bieżni, zacząłem przeskakiwać kolejne płotki na mojej liście obowiązków. Byłem już niezłe zaawansowany z kuchennymi przygotowaniem do tego trudnego od strony kulinarnej dnia, kiedy Grace obwieściła, bardzo głośno, że jest gotowa rozpocząć swoje ferie.

Jeszcze przed południem dołączyła do nas w kuchni Lauren. Na szczęście zdążyła złapać kilka godzin snu po zakończeniu bilardowego maratonu i była w tak łagodnym nastroju, jakiego nie widziałem u niej od tygodnia. Widziałem jak na dłoni, że moja żona wreszcie zaczyna wychodzić z odrażającego kokonu solumedrolu, w którym była uwięziona. Poczułem się cudownie. Popijając sok i kawę, rzuciła mi kilka delikatnych sugestii co do

moich metod kuchennej pracy i wkrótce nasz wypatroszony indyk średniej wielkości znalazł się w piekarniku, nawet mniej więcej o czasie.

Wtedy właśnie pager poinformował mnie, że ktoś zostawił mi wiadomość pod biurowym numerem telefonu. Podniosłem słuchawkę i sprawdziłem pocztę głosową.

Gibbs. Podyktowała numer swojej komórki.

Przeprawiłem moje dziewczyny i zadzwoniłem do niej z saloniku, już od pierwszych słów siląc się na urzędowy ton. Wichura nieco przycichła i szyby w oknach przestały huczeć.

Niebo było tak samo czyste, jak świadomość społeczna mojej córki, toteż góry zdawały się bardzo bliskie, na wyciągnięcie ręki.

- Mówi doktor Gregory - zacząłem.

- Cześć, to ja. Gibbs. Dzięki, że pan dzwoni. Jestem w Vail. W tym momencie spoglądałem mniej więcej w tamtą stronę,

na południowy zachód. Dzielilo nas osiemdziesiąt kilometrów krętych górskich dróg i wyniosły grzbiet Wododziału Kontynentalnego, niemniej byłem przekonany, że patrzę dokładnie w jej kierunku. A między nami wysoko spiętrzone chmury zdawały się pograżać wszystkie doliny w nieprzebytych ciemnościach.

- Jest pani tam bezpieczna? - zapytałem. Od razu uświadomiłem sobie, że to głupie pytanie, choć i tak bez wątpienia lepsze od tego, które chciałem zadać odruchowo: „Czy tam też jest od samego rana wichura?”.

- Chciałam, żeby ktoś wiedział, gdzie jestem. Na wypadek, gdyby coś się stało. No, wie pan, gdyby na przykład Sterling pojawił się w mieście.

Ta perspektywa przyprawiła mnie o dreszcz grozy.

- Schronisko dla kobiet jest otwarte również w święta, Gibbs. Z przyjemnością zadzwoniłbym tam w twoim imieniu.

- W porządnym hotelach nie ma wolnych pokoi. Musiałam się zameldować w nędznej dziurze przy samej autostradzie. Słyszysz pan ten hałas? Warkot przejeżdżających ciężarówek? Sterlingowi nie przyjdzie do głowy, żeby mnie tu szukać - zachichotała. - Za nic w świecie. Gwoli ścisłości, przeszło mi przez myśl, że nawet nędzne hoteliki w Vail nie przypominają nędznych hotelików z Baltimore czy Detroit. Pomyślałem, że to ważne, by w takiej chwili wyobrazić sobie tanią kabinę na luksusowym statku wycieczkowym.

- A zatem wszystko w porządku? - zapytałem.

- Owszem.

- Jestem bardzo wdzięczny, że pani do mnie zadzwoniła. Jesteśmy umówieni na poniedziałek, prawda? O zwykłej porze?

- Oczywiście. Na pewno przyjadę. Nie wie pan, gdzie się podziewa detektyw Purdy? Nie zamierza wracać do domu na święta? Nie mam od niego żadnych wiadomości. Czułabym się o wiele lepiej, mając świadomość, że jest gdzieś w pobliżu.

Jednym z podstawowych zadań psychoterapeuty jest izolowanie pacjenta od informacji niezwiązanej z jego przypadkiem. A to, że Sam przebywał w South Bend, na pewno nie miało nic wspólnego z terapią Gibbs.

- Niestety, nie mogę pani pomóc w tym zakresie - odparłem.

- Jeśli się odezwie, niech go pan poprosi, żeby do mnie zadzwonił. Chyba zepsuła mu się komórka, bo od pewnego czasu w ogóle nie odbiera.

- To nie jest najważniejsza rola dla mnie. Mówię o przekazywaniu innym wiadomości od pani. Jeśli mam pani pomóc, oboje musimy sobie jasno zdawać sprawę z wyjątkowej natury łączących nas stosunków. - Powiedziałem to uprzejmie, łagodnym tonem, ale w myślach kołatało mi się: „Nie jestem twoim cholernym chłopcem na posyłki!”.

Co mnie tak rozżłościło? Nagle wspomnienie z czasów szkoły średniej i wcielenie się Gibbs w rolę Teri Reginelli, usiłującej ode mnie wyciągnąć, gdzie się podział mój kumpel Sean.

Czyżbym zareagował teraz tak samo jak wtedy, kiedy poczułem się wzgardzonym głupkiem?

Jeśli takie były powody mojej gwałtownej reakcji, zachodził przypadek kontrprzeniesienia. Podręcznikowy przypadek. A to nie był zbyt przyjemny obraz.

- Przecież nie domagam się żadnej specjalnej przysługi,

Alan - powiedziała z urazą w głosie. - Proszę tylko o przekazanie wiadomości, jeśli to będzie możliwe.

- Przepraszam, ale nie mogę tego zrobić.

Z formalnego punktu widzenia wciąż stałem na twardym gruncie. Rozmowa z pacjentką na temat miejsca pobytu jednego z moich przyjaciół nie zaliczała się do właściwych metod terapeutycznych. Wiedziałem jednak z doświadczenia, że kontrprzeniesienie pasuje idealnie do właściwych metod, tyle że często prowadzi do groźnych konsekwencji.

- A więc nie zrobi pan tego? - zapytała wprost.

- Nie, nie zrobię. Jak już powiedziałem, to nie jest najwłaściwsza rola dla mnie. To, o co mnie pani prosi, może mieć kluczowe znaczenie na drodze do zrozumienia pewnych spraw, o których rozmawialiśmy w trakcie naszych sesji. Możemy jeszcze raz przedyskutować tę kwestię w czasie naszego poniedziałkowego spotkania.

- Czy to ostateczna odmowa? Chce mi pan dać do zrozumienia, że skończyliśmy już rozmowę na ten temat?

- Cieszę się, że jest pani bezpieczna, Gibbs. Sądzę jednak, że wszystko, co nie jest sytuacją nadzwyczajną, może poczekać do naszej poniedziałkowej sesji.

- Jeśli Sterling się tu pojawi i zacznie dobijać do moich drzwi, zadzwonię do pana. Bo to będzie nadzwyczajna sytuacja, prawda? Mój mąż morderca dobijający się do drzwi? Wtedy znajdzie pan kilka minut na to, żeby ze mną porozmawiać?

Rozłączyła się.

I tak poszło całkiem nieźle, pomyślałem.

Dopiero czterdzieści minut później uświadomiłem sobie, co mi umknęło. Zakończyłem pierwszy cykl obracania oraz podlewania tłuszczem indyka i zamierzałem właśnie przystąpić do drugiego, gdy ta myśl raziała mnie jak grom z jasnego nieba, choć nie marnowałem czasu na świadome rozważania o Gibbs i przebiegu naszej rozmowy telefonicznej.

Istotne z punktu widzenia terapii wcale nie było to, że Gibbs oczekiwała ode mnie pomocy w odszukaniu Sama, albo że ewidentnie chciała odmienić charakter naszych relacji terapeutycznych z roli niosącego pomoc zdegradować mnie do pozycji zwykłego chłopca na posyłki.

Problem polegał na tym, że aż tak desperacko próbowała się z nim skontaktować.

Po co?

- Zamierzasz obrócić to ptaszysko w piecu, czy będziesz tak stał jak wmurowany, wypuszczając całe ciepło z piekarnika?

Odwrociłem się. Lauren wykapała się i nawet delikatnie umalowała, a co ważniejsze, na jej ustach widniał uśmiech. Wciąż jeszcze utykała, ale poruszała się już bez pomocy laski.

Zamknąłem drzwiczki piekarnika i rzuciłem radośnie:

- Cześć.

56

Sam

Bazylika Najświętszego Serca miała charakter swoistego pomnika. Bo jakże inaczej. Przez dobre dziesięć minut krążyłem po wnętrzu olbrzymiego kościoła niczym turysta zwiedzający namiastkę Watykanu Środkowego Zachodu, ale nie potrafiłem ściśle określić, dla uczczenia czego wzniesiono tę wyniosłą świątynię. Boga? Wychowywałem się w tradycji skromnych preriowych kościółków, zwykle niedostatecznie ogrzanych zimą i zdecydowanie nazbyt dusznych latem. Nie przywykłem modlić się do Boga siedzącego w niebie i w asyście swoich

świętych przeliczającego w kółko poświęcone Mu katedry i bazyliki niczym Midas złoto w skarbcu; Boga troszczącego się, by szyby w oknach Jego kościołów były idealnie czyste, a brązowe przedmioty na ołtarzach wypolerowane do połysku. A już najmniej Boga głośno gwizdzącego, gdy zespół Notre Dame wygrywa z reprezentacją Michigan. Mój staruszek powiedział mi kiedyś, że gdyby Bóg się interesował, kto wygra mecz piłkarski, podczas gdy tyle ludzi

w Afryce głoduje, moglibyśmy wszyscy od razu się poddać, bo piekło na ziemi jest tuż za rogiem. Mój staruszek nie był żadnym geniuszem, wprost przeciwnie, ale w tej sprawie miał całkowitą rację.

Carmen okazała się bardzo spostrzegawcza, toteż nie tracąc ani chwili, zapytała, dlaczego aż tak bardzo ciekawią mnie wielkie organy bazyliki. Odparłem, że to mój konik, że od dawna fascynują mnie organy i muzyka organowa. Ale prawda była taka, że nie miałem pojęcia, czym się różni głos od manualu albo piszczałka od rejestru. Na szczęście zakres mojej wiedzy w tej dziedzinie nie miał większego znaczenia, skoro Carmen była miłośniczką muzyki disco. A prowadzenie dyskusji o gustach muzycznych z kobietą musiało być według mnie równie owocne, co próby wymuszenia na psie, żeby używał miętowego płynu do płukania pyska. W tej chwili liczyło się dla mnie tylko precyzyjne ustalenie miejsca, w którym Holly i Sterling odbyli swą obrazoburczą schadzkę, choć na zawsze miało to pozostać tajemnicą ich, moją i może także Boga, o ile nie był w tamtym czasie zbyt zajęty oglądaniem meczu drużyn Notre Dame i Michigan ani nie oślepił go do końca pseudogotycki blichtr Jego bazyliki z północnej Indiany.

Pamięć podsunęła mi, że jedno z przykazań przekazanych przez Boga Mojżeszowi mówiło o tym, aby nie pożądać żony bliźniego swego, należało więc zakładać, że miał On jakiś interes w gloryfikowaniu małżeńskiej wierności, toteż z tym większym zdumieniem odnotowałem fakt, iż Sterling i Holly dopuścili się cudzołóstwa tuż przed frontonem Jego wspaniałych organów.

Wyszliśmy razem z Carmen na dwór i jeszcze na chwilę przystanęliśmy pod zwieńczoną iglicą wysoką wieżą górującą nad bazyliką.

- Mam nadzieję, że Bóg troszczy się o to, co spotkało te cztery nieszczęsne kobiety, i tak samo troszczy się o los Holly Malone oraz Gibbs.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Widzę, że wpadłeś w filozoficzny nastrój, Sam.

Nie umiem powiedzieć, czy ja aż tak zmarzłem, a jej dłoń była niczym rozżarzona, czy też odwrotnie, w każdym razie moją uwagę przykuła pozornie olbrzymia różnica temperatur naszych ciał.

- Coś w tym rodzaju - odparłem.

Carmen wysłuchiwała uważnie mojej ocenzonej wersji historii Holly - skutecznie przekształconej z rentgenowskiego melodramatu w sugestywny obraz dozwolony od lat trzynastu, oczywiście po wycięciu wszelkich odniesień do Bazyliki Najświętszego Serca - w drodze do kampusu Notre Dame i teraz byłem gotów na odbiór jej przemyśleń co do naszych planów na pozostałą część dnia.

- Więc jak uważasz? - zapytałem. - Zagraża jej niebezpieczeństwo?

- Możliwe.

Zaśmiałem się. Zabudowania kampusu, niemal zupełnie wyludnionego na okres świąt, przeżyły mój rechot i wypluły jego resztki w postaci urywanej czkawki echa.

- Cóż, to wszystko załatwia - powiedziałem. Carmen także się zaśmiała.

Nadal stykaliśmy się rękami, górna część mojej była przytknięta do kantu jej dłoni. Sam nie umiałem powiedzieć, czy doszło do tego przypadkiem. Miałem wrażenie, że oboje tak to zaplanowaliśmy. Oczywiście tak, by w każdej chwili móc się tego wyprzeć. Musicie

wiedzieć, że gliniarze mają olbrzymią wprawę w wypieraniu się wszystkiego, w tym zakresie ustępują tylko politykom i prezesom wielkich korporacji.

Po chwili Carmen złapała mnie za dwa palce i odciągnęła od bazyliki. Ale kiedy próbowałem odwzajemnić uścisk, gwałtownie wyszarpnęła dłoń i pospiesznie wsunęła obie ręce do kieszeni kurtki. Zrobiłem to samo.

W końcu nic się nie stało.

I jakby chcąc mnie przywołać do porządku, zaczęła rzeczowo:

- Załóżmy, że Sterling poznał Holly w podobny sposób, jak tamte pozostałe kobiety. Nie masz nic przeciwko takiemu założeniu?

- Trzeba wyłączyć z tego Louise, tę stewardesę.

- Pracownicę pokładową.

- Nie wygłupiaj się. Ja naprawdę nie mam nic przeciwko stewardesom. Ani kelnerkom. W każdym razie Sterling poznał Louise podczas lotu, który obsługiwała, zgadza się? Tak było? Natomiast Holly poznał przez internet, prawda? Tyle że moim zdaniem to nie ma większego znaczenia. Początki wszystkich tych znajomości są zdecydowanie mniej istotne od seksu, który je wypełnił.

- Pewnie masz rację. A więc mniejsza z tym, czy poznał je przypadkiem, na ulicy, przy pracy czy przez internet. W każdym razie poznał je i szybko zacieśnił te znajomości, skoro doprowadziły do zbliżeń seksualnych.

- Chyba nie wszystko jest aż tak proste - wtrąciłem. - Seks z Holly nie był... przeciętny, zwyczajny. Nie ukrywała, że dla niej miał istotne znaczenie. Zresztą, nie tylko dla niej, dla niego również. To nie była zwykła... przypadkowa zdrada małżeńska, ale prawdziwa... erotyczna przygoda. Zadał się z kobietą prawdopodobnie tak samo jak on poszukującą przygód erotycznych.

- To twoja kolejna fascynacja, Sam? Jak organy i muzyka organowa?

W jej głosie odebrałem wyraźne nuty ironii.

- Mogłabyś nie utrudniać mi jeszcze bardziej tej sprawy?

- Więc Holly jest miłośniczką erotycznych przygód?

- Owszem - mruknąłem.

Nie tylko nie chciałem zawieść pokładanego we mnie zaufania Holly, ale nie zamierzałem nawet powtarzać na głos jej historii komukolwiek. A już zwłaszcza komuś nienależącemu do tego samego gatunku co Holly.

Carmen i tak się czegoś domyślała. Podsumowała zwięźle:

- Zatem poznał je, wzbudził ich zainteresowanie i nakłonił do jakiejś erotycznej przygody.

Więc dlaczego cztery z nich zginęły?

- Wiemy co nieco o Louise i Holly, prawda? Wiemy, że obie przeżyły te pierwsze seksualne kontakty ze Sterlingiem. Zatem możemy chyba zakładać, że podobny los spotkał jego pozostałe kochanki. Że doszło do pierwszego kontaktu, prawdopodobnie satysfakcjonującego obie strony, po którym nastąpiło drugie spotkanie, może nawet trzecie i czwarte, zanim posunął się do zabójstwa.

Przemierzyliśmy spory kawałek terenu należącego do Uniwersytetu Notre Dame, zanim Carmen w końcu odpowiedziała:

- Tak, przynajmniej na razie możemy tak zakładać. Wydaje mi się, że nawet musimy.

- A to by oznaczało, że Holly jest w niebezpieczeństwie. Bez dwóch zdań.

- Możliwe - odparła.

- Masz wątpliwości?

- Weź pod uwagę, że nikt nie szukał Sterlinga po wcześniejszych zabójstwach. Mógł do woli korzystać ze swej anonimowości. A teraz? Musi podejrzewać, że go tropimy.

- Czyżbyś wcielała się w adwokata diabła?

- Zmieniła się cena ryzyka. Musi mieć na uwadze to, że jakiś gliniarz, jak chociażby ty czy ja, nie uwierzy w jego utonięcie. Na jego miejscu zaszyłabym się w mysiej dziurze.

- Dlaczego? Według policji z Georgii nie żyje. Podejrzewam, że twoi przełożeni już sugerowali, byś wracała do domu. Może nawet dostałaś rozkaz powrotu. - Jej spojrzenie natychmiast potwierdziło moje podejrzenia. - Mogę się założyć, że specjalnie wzięłaś parę dni urlopu, żeby nie zostawiać jeszcze tej sprawy. Zgadza się?

- Owszem, to prawda.

Mogła mnie okłamać. Bez najmniejszego trudu.

- Dlatego nie możemy wykluczać, Carmen, że Sterling uzna, iż we własnym domu nic mu nie zagrazi. Wiesz, że ta sytuacja trochę przypomina rzut wolny w futbolu? Po tym, jak sędzia odgwizdał spalonego?

- Lecz nadal nie znamy jego motywów, Sam. I nic nie wiemy o roli Briana Milesa w całej tej sprawie.

Pod tym względem miała rację. Nie mieliśmy nawet najdrobniejszych wskazówek co do roli Briana Milesa. Rysowały się jednak różne możliwości.

- Co najmniej połowę łobuzów przymknąłem tylko dlatego, że nigdy nie umiałem pojąć sposobu rozumowania idiotów. Przestępcami zwykle zostają durnie.

- Durnie? Takich określeń używacie w Kolorado?

- Nie, w Minnesocie. - Mimowolnie wypowiedziałem nazwę rodzinnego stanu z jankeskim akcentem, wyciągając przedostatnią sylabę, aż upodobniła się do „suuu”.

- To stamtąd pochodzisz? Z Minnesoty? I z takim akcentem się tam mówi?

- Pochodzę z Iron Range, z samej północy stanu.

- Ciekawe - mruknęła.

- Niespecjalnie.

Przez chwilę nie byłem pewien, czy nie zechce dalej ciągnąć tego tematu.

Odpuściła jednak. Czym zyskała u mnie dodatkowe punkty. Przeszliśmy w ciszy z dziesięć metrów.

- Myślisz, że tę właśnie część kampusu tutejsi studenci nazywają Placem?

- Skąd miałabym to wiedzieć? - zdziwiła się.

W drodze powrotnej pod dom Holly Malone zagadnęła:

- Od czasu wyjazdu z San Jose jeszcze z żadnym gliną nie spędziłam tyle czasu, bez konieczności odpowiadania na pytanie, dlaczego zrezygnowałam z dożywotniej renty.

- Niektóre sprawy są osobiste. - Pomyślałem nagle o Sherry i o sobie, potem o Alanie i pluskwie ukrytej w jego gabinecie, wreszcie o Sterlingu i Holly oraz ich przygodzie, na którą wybrali miejsce tuż pod stanowiskiem organisty. Sekrety? Z reguły są głównie warte. - Jeśli chcesz mi opowiedzieć, co się stało, zanim zmieniłaś pracę, wysłucham cię z uwagą. Jeśli będziesz wolała to przemilczeć, w pełni cię zrozumiem. Nie wątpię, że miałaś ku temu swoje powody.

Na ulicach South Bend ruch był niewielki. Wszyscy albo oglądali mecz w telewizji, albo piekli indyki, albo wypoczywali bądź bawili się z bratanicami, siostrzeńcami czy wnukami, których od dawna nie widzieli. W idealnym świecie nie musiałbym spędzać tych świąt, jeżdżąc po ulicach obcego mi, dziwnego miasta na Środkowym Zachodzie, do tego w towarzystwie policjantki z Kalifornii lubującej się w muzyce disco. W idealnym świecie siedzielibyśmy teraz z Simonem przed telewizorem i gorąco dopingowali zespół Detroit Lions.

Ale w świecie niedoskonałym, w którym upłynęła przeważająca część mego życia, przebywanie w towarzystwie Carmen nie było jeszcze najgorszą ewentualnością.

Jakby czytając w moich myślach, zapytała:

- To twoje pierwsze święta bez rodziny?

- Żona zabrała syna i pojechała odwiedzić swoich rodziców.
- Tak, racja, tylko dlatego jesteś samotny. A ja wyniosłam się z San Jose, bo lubię mieszkać blisko plaży.

To było całkiem niezłe. Na skrzyżowaniu przed nami zapaliło się czerwone światło. W pierwszej chwili chciałem jechać śmiało, gdyż w zasięgu wzroku nie było innego auta, ale mimo to wdepnąłem hamulec. Próbowałem wymyślić jakąś sprytną replikę do ciętej uwagi Carmen, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- To moje... - zaczęła Reynoso, gdy przedłużało się oczekiwanie na zmianę świateł - ...moje pierwsze wakacje bez córki. I wygląda na to, że chyba nieostatnie.

W odpowiedzi przyznałem jej się do tego, do czego wcześniej nie chciałem się przyznać nawet przed samym sobą.

- Moje raczej też nieostatnie.

Położyła mi rękę na kolanie. A raczej tylko musnęła je palcami. Najwyraźniej pod wpływem chwili.

- Za to łatwiej jest poświęcić się pracy - dodałem.

- To prawda - odparła.

Skreśliłem na parking przy stacji benzynowej, żebyśmy mogli skorzystać z toalety. Wchodząc do środka, pomyślałem, że udało nam się z Carmen bardzo zbliżyć emocjonalnie, i to zaledwie na krótkim odcinku West Angela Boulevard Road w South Bend, w Indianie, a na dodatek bez wielu niepotrzebnych słów.

Gdyby był z nami ten przeklęty Alan, pewnie na okrągło prawilby nam kazania, aż do granicy kanadyjskiej, wzbudzając w nas chęć skoczenia sobie do gardeł.

O ile wcześniej nie skoczylibyśmy jemu do gardła.

Ciekaw byłem, jak sobie radził ze swoimi problemami, z podsłuchem w gabinecie i z chorobą Lauren. Ciekawiło mnie, czy ta prowizoryczna parasolowata osłona wciąż się trzyma na łapie psa.

Postanowiłem zadzwonić do niego później, już po rozmowie z Simonem, z którym chciałem się skontaktować mniej więcej o tej porze, gdy będą siadali do pieczenia na świątecznym stole.

57

Alan

Lauren bardzo się starała. Robiła wszystko, co w jej mocy. Kiedy sprzątałem już z kuchennych blatów, a potem szykowałem Grace do popołudniowego snu, świetnie wiedziałem, że za zaciśniętymi wargami równiutkie białe zęby mojej żony wbijają się w koniuszek języka, żeby powstrzymać cisnące się na niego uwagi o moich rozmaitych drobnych błędach i przeoczeniach, czy to w kuchni, czy przy małej.

Domyślałem się, iż robi to z wdzięczności za to, że zdjąłem z jej barków ciężar domowych obowiązków. A ja byłem jej wdzięczny za ten nadzwyczajny wysiłek łagodzenia nieprzyjemnych skutków wpływu solumedrolu na jej nastroje.

Kiedy Grace usnęła, zaliczyliśmy z Lauren pospieszny numer. Jego potrzeba chyba zaskoczyła nas oboje. Zaczęło się od przytulenia i pocałunku, potem ręce jakoś same wśliznęły się pod ubrania i po chwili ruszyliśmy truchtem do sypialni.

Zaskoczyło mnie też, jak nieśmiali potrafią być wobec siebie małżonkowie, kiedy wspólnie próbują upchnąć dobrze znany intymny akt w ciasnym okienku wolnego czasu po dłuższym okresie panującego między nimi napięcia. Kiedy zdzieraliśmy z siebie nawzajem ubrania, robiliśmy to tak, jakbyśmy poruszali

się boso po podłodze usłanej skorupkami jajek. Na szczęście dotarliśmy do mety przed upływem czasu wyznaczonego, rzecz jasna, przez obudzenie się Grace.

Później, w chwili bezbronnej nagości - dosłownie i w przenośni - Lauren zapytała:

- Pamiętasz Dennisa, prawda? Tego naszego aplikanta?

- Jasne.

Dennis Lopes był szczęśliwie gejem, na tyle odważnym, żeby zostać misterem stycznia w kalendarzu strażackim, jak również, jeśli się nie myliłem, w pojedynkę ponosić całkowitą odpowiedzialność za stan finansowy imperium odzieżowego Ralph Lauren. W światku pełnym zawodowców mających więcej obowiązków niż jest faset w dobrze oszlifowanym brylancie Dennis słychał jako przemiły facet, który zawsze mówi to, co mu leży na sercu. Niemniej, jakoś nie umiałem pojąć przyczyn jego nagłego pojawienia się w naszym małżeńskim łóżku w tym szczególnym momencie.

Zastanawiając się mętnie nad celem owej gładkiej wstawki Lauren, spostrzegłem mimo woli, że sterydowa dieta zaczyna jej szczupłej sylwetce nadawać bardziej rubensowskie kształty.

- Zawsze chodzi na piechotę między Centrum Wymiaru Sprawiedliwości a gmachem sądu.

Na początku tego tygodnia również krążył po Walnut Street.

Dennis miał fioła na punkcie sprawności fizycznej. Wcale mnie nie dziwiło, że nie korzysta z samochodu, poruszając się między tymi dwoma budynkami.

- A więc na pewno przechodził pod moimi oknami - odparłem.

- Zgadza się. - Zawiesiła na chwilę głos. - I przez ulicę zauważył, jak Jim Zebid wjeżdża na parking, a potem wchodzi do budynku. Wspomniał mi o tym wczoraj.

Odruchowo zakryłem się kołdrą do pasa. Nie odezwałem się jednak.

- Mam nadzieję, że nie spotykasz się z nim na terapii, skarbie - powiedziała ostrożnie.

- Tak? Dlaczego?

Po sposobie, w jaki na mnie spojrzała - na ułamek sekundy za długo spuszczać powieki - domyśliłem się, że liczyła na to, iż Jim spotyka się z Diane albo nawet przyjechał z wizytą do tego zabawnego Pakistańczyka prowadzącego na półpiętrze swoje softwarowe imperium, ale moja reakcja pozbawiła ją luksusu takich złudzeń.

- Bo mam z Jimem na pieńku. Zapytałem z ociąganiem:

- Tak jak Muhammad Ali z Joem Frazierem?

- Słucham? Dostyc żartów.

- Tak, wiem, że macie na pieńku. Pamiętam, że kilka razy wygrałaś z nim w sądzie.

Przypominam sobie ostatnią sprawę, dotyczącą bójki w Crossroads, kiedy to jego klient upierał się, że działał w samoobronie, rzuciwszy hot dogiem w ekspedientkę w „Orange Julius”.

- Nie to miałam na myśli - odparła miękko.

- Nie? A co?

- O wielu rzeczach, jakie się dzieją w twoim gabinecie, w ogóle ze mną nie rozmawiasz, prawda? Chodzi mi o twoją pracę, pacjentów... Jesteś związany zasadą poufności.

- Oczywiście.

- Ja także. Nie mówię ci o wielu sprawach rozgrywających się w Centrum Wymiaru Sprawiedliwości. Są rzeczy, o których się dowiaduję z racji zajmowanego stanowiska, a o których nie mogłabym z tobą rozmawiać. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Jasne.

- No więc jedna z takich spraw dotyczy Jima. - Wstała i zaczęła się powoli ubierać. - Dlatego wolałabym, żebyś się z nim nie spotykał.

Zatem domyśliła się po mojej reakcji, że prowadzę terapię Zebida.

- Mówisz tak, jakby to było coś poważnego.

Otworzyła szeroko przekrwione oczy i zdobyła się na smutny uśmiech.

- Bo tak jest. Żałuję, że nie mogę ci tego zdradzić.



Ja także wstałem i powoli wciągnąłem bokserki. Zachodziłem w głowę, jak skomponować choreografię tego naszego menueta, żeby przekazać Lauren coś ważnego, prawie nic nie mówiąc. Ale zdobyłem się tylko na mętne pytanie:

- Pamiętasz to, o czym ci mówiłem? Na temat podsłuchu w moim gabinecie?

Była akurat w trakcie wciągania przez głowę haleczki.

- Co? - mruknęła niewyraźnie przez jedwab. - On chyba... Tylko mi nie mów, że...

Z punktu widzenia etyki zawodowej nie mogłem odpowiedzieć na jej pytanie. Ale oboje doskonale wiedzieliśmy, że nawet nie musimy próbować.

Wstała i odwróciła się do mnie tyłem, żeby wciągnąć na wierzch gruby bawełniany sweter.

Przyznam otwarcie, że nagle prawie całkiem zapomniałem o temacie naszej rozmowy.

Niezależnie od jej kuracji sterydowej, nadal szalenie mi się podobał jej tyłeczek.

- Alan, powinienesz zadzwonić do Jona Youngera. I to jeszcze dzisiaj, do jego domu.

Younger był zaprzyjaźnionym adwokatem specjalizującym się w sprawach cywilnych, a więc także tych dotyczących łamania zasad etyki zawodowej.

- Dzisiaj? W Święto Dziękczynienia?

Usiadła z powrotem na brzegu łóżka, żeby włożyć rajstopy.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, jaki plan Jim mógł uknuć w tej swojej głowie.

- Plan?

- Spójrz na mnie - rozkazała. Zrobiłem to.

- Przypomnij sobie pierwszą wizytę Jima. Przyszedł do ciebie po czwartym lipca?

Zamrugałem szybko ze zdziwienia.

- Właśnie tego się obawiałam.

W porządku, Jim faktycznie zgłosił się do mnie na terapię po jakiejś kłótni z Lauren, do której doszło w biurze prokuratora okręgowego w okolicach Dnia Niepodległości.

- Jak bardzo masz na pieńku z Jimem, Lauren? Czy on ma powód, żeby... wściekać się na ciebie?

- Zadzwoń do Jona. On zna całą sytuację. Przynajmniej go uprzedź. Zrób to dla mnie.

Z głębi korytarza doleciał przenikliwy, przemieszany z płaczem krzyk:

- Ma-ma-ma-ma-ma...

Grace próbowała składać pierwsze poznane sylaby w artykułowaną mowę, podchodząc z całkowitym lekceważeniem czy wręcz pogardą do spraw interpunkcji.

Na brzmienie dziecięcego głosu Emily natychmiast poderwała się z miejsca, a parasolowata osłona na jej łapie głośno zastukała o podłogę.

- Biorę na siebie Grace - rzuciła Lauren.

- A ja lecę po taśmę samoprzylepną i biorę na siebie Emily. Wszyscy, nie wyłączając obu psów, zbiliśmy się nagle w drzwiach

sypialni. Lauren uściskała mnie jeszcze i mruknęła:

- Strasznie mi przykro.

Wybiegła na korytarz i skręciła w stronę pokoju dziecięcego.

Ciężar gatunkowy jej zaniepokojenia terapią Jima Zebida jakoś nie zrobił na mnie większego wrażenia. Nic z bałaganu, w jakim się znalazłem, nie miało takiej rangi, by nie zaczekać do poniedziałku. Zakłócanie Jonowi Youngerowi świątecznego spokoju, aby go uprzedzić, że mam wkurzonego na nas pacjenta, nie miało dla mnie specjalnie sensu.

Kiedy Lauren bawiła się z Grace, sięgnąłem jednak po słuchawkę, ale zadzwoniłem do innego adwokata, a mianowicie do Casey Sparrow.

Co prawda, Casey występowała tylko w sprawach karnych, lecz słynęła z przebiegłości, bezczelności i odwagi. Odznaczała się

bardzo puszystymi ognistorudymi włosami, z którymi tak samo nie mogła sobie poradzić, jak większość oskarżycieli z nią.

Wybierając długi ciąg cyfr, myślałem o tym, że dzięki aktywności długiego szeregu elektronów mój głos przedostanie się bez trudu przez wysokie na tysiąc dwieście metrów pasmo Front Rangę do rustykalnej posiadłości Casey przy autostradzie Peak-to-Peak u podnóża Wododziału Kontynentalnego.

- Casey? Tu Alan Gregory.

- Och, nie. Tylko nie dzisiaj. Która to godzina? Ty czy Lauren?

Casey broniła kiedyś mojej żony wobec oskarżenia o morderstwo. Wtedy ciąg zdarzeń również zaczął się od nieoczekiwanej rozmowy telefonicznej o nie najlepszej porze, podobnie jak teraz.

- Spokojnie, żadne z nas nie siedzi jeszcze w areszcie. Wybacz, że ci przeszkadzam w Święto Dziękczynienia...

- Ale?

- Masz chwilę czasu, żeby ze mną poplotkować?

- Poplotkować? - spytała zdziwiona, niemalże dziewczęcym głosem. Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak siada wygodnie na kanapie, podkulając pod siebie nogi, i ściąga z ucha klips uwierający ją pod słuchawką.

Wyszedłem na werandę i po cichu zamknąłem za sobą drzwi.

- Owszem.

- W każdej chwili może się zjawić na świąteczną kolację moja współpracownica z rodziną. Tak więc mam czas tylko do ich przyjazdu. Potem zamierzam się wcielić w najlepszą gospodynię w całym tym górzystym okręgu.

Postanowiłem nie tracić czasu.

- Znasz Jima Zebida? Chwila zawahania.

- Tak. - Po dziewczęcym głosiku nie zostało nawet śladu. To krótkie „tak” zostało wypowiedziane niczym „o, cholera”.

- Jeszcze latem zaszło coś poważnego między nim a Lauren.

- Tylko plotkujemy, prawda? - zapytała szybko.

- Zgadza się. Za tą rozmową nie kryje się nic poza chęcią poplotkowania.

- Lauren sama ci tego nie powie, jak sądzę?

- Masz rację.

- Więc ja też nie powinnam.

W tym także miała rację, ale postanowiłem poczekać w ciszy, aż odprawi jakieś swoje czary-mary niezbędne do tego, by zapomnieć o moralnym dylemacie. Wziąwszy pod uwagę jej pozycję w lokalnej palestrze, miałem prawo przypuszczać, że wie o konflikcie Jima z Lauren także z sądowych plotek. Zatem od strony etycznej nie powinna mieć aż tak bardzo związanych rąk, jak moja żona.

W końcu plotki to tylko plotki.

- W porządku - odezwała się w końcu. - Otóż słyszałam... że latem twoja żona wystąpiła do Sądu Najwyższego z wnioskiem o wymierzenie mu kary dyscyplinarnej.

- Za?

- Coś bardzo poważnego.

- Jednak on nadal pracuje w zawodzie.

- Takie sprawy ciągną się miesiącami.

- Co on takiego zrobił?

- Naprawdę muszę o tym mówić? - jęknęła płaczliwie, znów jak mała dziewczynka.

- Chyba nie masz wyjścia.

- Miał klienta oskarżonego o jakieś drobne fałszerstwo. Nie znam szczegółów, ale są chyba mało istotne. Lauren oskarżała tego człowieka.

- Rozumiem.
- Tylko nie wciągaj mnie w tę historię, Alan.
- Przecież wiesz, że nikt się nie dowie, Casey.
- No więc, jeśli wierzyć plotkom... Do diabła, w ramach adwokackiego honorarium Jim posuwał żonę tego gościa.

Zatkało mnie.

Usłyszałem w tle dzwonek do drzwi.

- Oho, muszę biec po swój fartuszek wzorowej gospodyni - powiedziała Casey. - Nawiasem mówiąc, Jim się tłumaczył, że to był jej pomysł, żony jego klienta. Podobno to ona wystąpiła z taką propozycją. Życzę wam wesołych świąt. Ucałuj ode mnie Lauren.

- Casey?

- Tak.

- Dzięki. I powodzenia z rodzicami Brendy. Zaśmiała się.

- Na pewno będę go potrzebowała. W kuchni jakoś sobie poradzę.

Wyłączyłem telefon i popatrzyłem na pasmo górskie na południe od miasta. Niebo nad szczytami w okolicach Eldorado miało odcień wytartej dwudziestopięciocentówki. Cudowne bogactwo jesiennych kolorów zniknęło bezpowrotnie, w krajobrazie zarówno górskim, jak i równinnym dominowały beże i szarości, nie mówiąc już o czerni i bieli.

Jim Zebid zgłosił się do mnie na terapię w pierwszych dniach sierpnia. Podczas kolejnych sesji nie wspominał ani słowem o toczącym się przeciwko niemu śledztwie. Przemilczał też sprawę konfliktu z moją żoną.

Po co się do mnie zgłosił? Do tej pory nie byłem tego pewien, pracowałem z nim przy założeniu, że powodem jest ciągły niepokój nabierający stopniowo charakteru dysforii. Teraz owo założenie uległo nagle mutacji. Nabrałem podejrzeń, że Jim liczył na to, iż przyłapie mnie na czymś, co będzie mogło uchodzić za złamanie zasad etyki zawodowej, a tym samym wyrówna rachunki z Lauren.

No i teraz miał mnie w garści, trzymał mnie za jaja. A co gorsza, nie widziałem sposobu na uwolnienie się z tego uścisku.

58

Sam

- Jeszcze ktoś zobaczy, że tu siedzimy, i wezwie policję.

Oboje maksymalnie odsunęliśmy do tyłu fotele w moim dziepie cherokee. Staliśmy w tej samej uliczce, co poprzedniego wieczoru, po przeciwnej stronie skrzyżowania dzielącego nas od domu Holly Malone. Tyle że tym razem zaparkowałem kilkadziesiąt metrów dalej. Z pewnością nie była to okolica, w której często się widuje ludzi przesiadujących w samochodach stojących przy krawężniku. Trudno więc było zakładać, że nie rzucamy się w oczy.

- Tego typu akcje zawsze pociągają za sobą spore ryzyko, Sam.

- Dla mnie różnica jest zasadnicza. Zwykle i ty, i ja występujemy po stronie glin. A tutaj to my jesteśmy persona non grata.

- Rozumiem, że jesteś zwolennikiem zegarmistrzowskiej precyzji i znasz trochę łacińskich słów. Jak mam się do ciebie odnosić w tym świetle?

Pospiesznie przejrzałem w myślach cały spis: Spasiony pies. Żelazny Strażnik zniekształcony przez indywidualne rozděcie. Żaloszny Fiut, którego rodzina zostawiła na święta. Tuman, który tuż po zawale jeździ po całym kraju, jakby miał serce nastolatka.

Z niewiadomych powodów właśnie w takiej chwili przypomniałem sobie, że Gibbs mnie lubi. Trochę mi ulżyło, choć i ten fakt przyjmowałem ze smutkiem.

- Jestem, jaki jestem. - Dopiero gdy już to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że cytuję Popeye'a.

Carmen z trudem się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

To ja zarechotałem pierwszy, a ona natychmiast się przyłączyła.

- Śmiało - wydusiłem między kolejnymi spazmami. - Powiedz, że jestem kompletnym idiotą.

- Gliniarz z pretensjami do człowieka renesansu. I szybki przeskok od Franka Lloyda

Wrighta do Popeye'a. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

- Skończyłaś? Otarła łzy z oczu.

- Owszem, skończyłam. Prawie. Więc czego dokładnie mamy wypatrywać?

Wykręciłem szyję w lewo prawie tak daleko, jak miałem ochotę wyciągnąć ją w drugą stronę.

- To przecież twój pomysł, Carmen. Czyżbyś zapomniała? Sięgnęła do torebki, wyciągnęła z niej kopię zeskanowanej

fotografii i przykleiła ją pośrodku deski rozdzielczej na kawałku gumy do żucia, której wcześniej u niej nawet nie zauważyłem.

Zdjęcie przedstawiało Sterlinga. Razem ze swoim kumplem Brianem wyglądali jak dwa modele na pokazie mody męskiej.

- Kto daje chłopakowi na imię Sterling? - zapytała z uśmiechem Carmen.

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

- Ale jest przystojny, prawda? - zagadnąłem. - Holly nazwała go szalenie przystojnym.

Zapatrzyła się na zdjęcie, jakby widziała je pierwszy raz w życiu, po czym odparła:

- To prawda. Niezły z niego przystojniak.

- Co? Nie w twoim typie?

- Niestety, jak na złość, nawet bardzo w moim typie. A mój typ, przynajmniej z historycznego punktu widzenia, najlepiej określić jednym słowem: dupki. I na podstawie tego, co słyszałam o jego życiu, przynajmniej do momentu, póki nie zatrzymał wynajętego samochodu przed mostem nad Ochlockonee, Sterling Storey jest typowym dupkiem. W całej rozciągłości.

- Dupki? - powtórzyłem wręcz bezwiednie, jakby tylko na tyle było mnie stać.

- Może to smutne, ale żadne inne określenie nie pasuje aż tak dobrze. Jak tylko się w którymś zakochiwałam, wcześniej czy później okazywał się jak najbardziej wiarygodnym dupkiem.

- To dupki też mają wiarygodność? Jak dyplomaci? To ją znów bardzo rozbawiło.

- Ci, w których się zakochiwałam, mieli. Bo wybierałam tylko tych z odpowiednimi referencjami. - Znów wybuchnęła śmiechem, lecz spoważniała tak samo szybko. - No to już wiesz, co się stało w San Jose. Mój ówczesny dupek był tam sędzią. W dodatku miał takie referencje, że tylko pozazdrościć.

Miałem wrażenie, że uchyliła przede mną frontowe drzwi, toteż postanowiłem wejść do środka.

- Poważnie? I co ci zrobił?

- Ledwie się wprowadziłam do niego z córką, jeszcze nie zdążyłyśmy się do końca urządzić.

Byłam zakochana po uszy. -To ostatnie zdanie wypowiedziała, przeciągając głoski, jakby z rozmarzeniem. - No i któregoś dnia córka zadzwoniła do mnie ze szkoły, bo zapomniała z domu kalkulatora... wiesz, takiego wielofunkcyjnego, z mnóstwem różnych klawiszy.

Najpierw ją obsztorcowałam, wytknęłam jej brak odpowiedzialności, a później pojechałam do domu po ten cholerny kalkulator. Zawsze miałam miękkie serce.

- I tam go zastałaś? - spytałem domyślnie. Był to element niezbędny dla całej tej układanki, choć w żadnej mierze nie wyjaśniał przyczyn rezygnacji z dożywotniej renty. Tak więc musiało się za tym kryć coś więcej.

- Owszem, z matką najlepszej przyjaciółki mojej córki. Sama ich poznałam zaledwie parę tygodni wcześniej na meczu siatkówki.

Sytuacja rzeczywiście była paskudna. Ale jeszcze niczego nie tłumaczyła.

- I to nie gdzie indziej, tylko na schodach - dodała. - Obrabiał ją od tyłu.

Interesujący szczegół, choć nieporównanie bardziej banalny od tego, co Holly opowiadała mi o spotkaniu w bazylice. Ale też trudno było porównywać obie rzeczy.

- Doszło do awantury? - zapytałem.

- A jak myślisz? Dostałam szału. Pogodziłabym się ze wszystkim, co mógłby zrobić tylko mnie, lecz dlaczego krzywdził moją córkę i jej najlepszą przyjaciółkę? Jasna cholera!

Wrzaskiem wygoniłam tę flądre nago z domu, choć to była dopiero rozgrzewka przed tym, co chciałam zaszerwować jemu. Wrzeszczałam i przeklinałam... Mówiłam ci już, że mam gorący temperament? No więc mam. A on podszedł do mnie i... wyobraź sobie, uderzył mnie.

Zdzielił mnie dość mocno na odlew po twarzy. Byłam w takim szoku, że minęło parę sekund, nim doszłam do siebie, ale jak tylko na nowo wydarłam się na niego, wymierzył mi drugi policzek, jeszcze mocniejszy. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć.

- W takiej chwili powinnaś się odwrócić i wyjść, prawda?

- Owszem, to byłoby zdecydowanie lepsze. Ale nie zrobiłam tego, nie byłam jeszcze gotowa, żeby od niego odejść. Dlatego zaczęłam wrzeszczeć po raz kolejny. Wtedy huknął mnie pięścią, prosto w szczękę. I jeszcze wziął szeroki zamach do następnego ciosu.

- Zastrześliś go?

- Ktoś ci już o tym opowiadał?

- Nie, domyślałam się tylko, że gdybyś go nie zabiła, nie musiałabyś zrezygnować z dożywotniej renty i przeprowadzać się do Orange County.

- Zgadza się. Strześliś do niego.

- Odstrześliś mu jaja?

- Nie, stopę, choć przyznam, że mnie kusiło, by mu odstrzelić jaja. Nawet sam nie wiesz, jak bardzo kusiło. Chyba nawet bym zdążyła całkiem pozbawić go męskości.

- On do dzisiaj zasiada w sądzie?

- Oczywiście. - Westchnęła ciężko, jakby chciała w tym jednym westchnieniu pozbyć się całego cynizmu. - Było mu wszystko jedno, czy mnie krzywdzi, Sam. Po prostu jego to nie obchodziło. Tak samo, jak romans z mężatką, bicie po twarzy albo dożywotnia renta. On miał to wszystko w nosie. Nic go nie obchodziło.

- Jak się miewa jego stopa? Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

- Już nie gra w squasha.

Po drugiej stronie skrzyżowania na wprost domu Holly Malone zatrzymał się samochód - terenówka z napędem na cztery koła, jeden z tych koszmarne drogich i modnych lek-susów, które rozpełzały się po całym Boulder niczym japońskie karaluchy. Nie znosiłem ich tylko trochę mniej od tych największych fordów, cadillaców czy lincolnów, których naprawdę nie cierpiałem. Bez żadnego szczególnego powodu. Po prostu

ich nie znosiłem. Prawdę mówiąc, była to jedna z niewielu rzeczy, co do których mój przyjaciel Alan w pełni się ze mną zgadzał.

- Mogę się założyć, że to Artie.

- Co za Artie?

- Szwagier Holly, o którym ci opowiadałem. Podobno też jest skończonym dupkiem.

W jednej chwili się ożywiła.

- Naprawdę?

- Obawiam się jednak, że nie jest to dupek w twoim typie. Nie jest wiarygodny i podejrzewam, że należy do tej klasy dupków, którzy nie lubią, gdy ich kobiety ograniczają się do roli ocieplanych gaci.

Osunęła się z powrotem na fotelu.

- Ach, takie buty...

Wymienialiśmy dalej luźne uwagi, ja tymczasem obserwowałem uważnie małą procesję wysypującą się ze srebrzystego lexusa. Artie prowadził wóz, co ani trochę mnie nie

zaskoczyło. Z miejsca pasażera wyłoniła się odrobinę starsza i zdecydowanie mniej dziarska wersja Holly. Natomiast z tyłu auta wysiadła trójka nie najlepiej wychowanej i nie najlepiej ubranej dziewczyny.

- W tej dostawie nie ma Sterlinga - zauważyła Carmen.
- Niestety, nie. Musimy jeszcze poczekać. - Musnąłem palcami jej dłoń. - Przykro mi z powodu tego, co się stało w San Jose.
- Dzięki.

Dwadzieścia minut później syknąłem:

- Cholera!

Przez cały ten czas milczeliśmy, toteż Reynoso aż podskoczyła w fotelu na dźwięk mego głosu.

- Co się stało? - zapytała i natychmiast zapatrzyła się na dom po drugiej stronie skrzyżowania, jakby podejrzewała, że umknęło jej coś nadzwyczaj ważnego.
- Zapomniałem włączyć swój telefon. Szlag by to trafił... - Wcisnąłem klawisz na obudowie aparatu, a ten natychmiast ożył i przystąpił do szukania w powietrzu fali z wieży przekaźnikowej, z którą mógłby się połączyć. Jak tylko mały spryciarz przestał wymieniać potajemne uwagi ze swoim nowym elektronicznym partnerem, sprawdziłem swoją pocztę głosową. Pierwsza wiadomość była od Simona.
- Hej, Carmen - rzuciłem - dasz mi parę minut? Chciałem porozmawiać ze swoim chłopakiem.
- Jasne, z przyjemnością rozprostuję nogi. Obejdę jeszcze raz cały ten kwartał. Może coś wypatrzę.

Porozmawiałem z synem o futbolu i krewnych, o hokeju i skuterach śnieżnych - a to był dla nas nowy temat, bo Simon nigdy wcześniej nie jeździł na czymś takim - mniej więcej przez trzy minuty, bo tylko na tyle było go stać przez telefon. Niemniej kontakt z nim uwolnił w mojej duszy coś, co desperacko domagało się uwolnienia. Kiedy przeszedł do swojej formy pożegnania, zapytał, czy zdążę przyjechać do dziadków na pieczonego indyka. To pytanie rozkroiło mi serce na pół. Bo z mej pamięci wypłynął ten charakterystyczny dźwięk, z jakim domowej roboty sos żurawinowy rozlewa się z sosjerki po porcji pieczeni na talerzu. Chcąc się oderwać od brutalnej rzeczywistości, w której nadal tkwiłem w South Bend, podczas gdy Simon był w Minnesocie, przeszedłem do menu aparatu komórkowego, żeby odebrać pozostałe wiadomości.

Następna była Lucy z życzeniami wesołego Świąta Dziękczynienia.

Dzięki. Tobie też życzę wszystkiego najlepszego.

No i Gibbs. Najwyraźniej lekko przestraszona, informowała mnie, że zatrzymała się w Vail. Usiłowałem się z nią połączyć, ale bezskutecznie.

Nie było natomiast wiadomości od Alana. To mnie zaskoczyło.

Carmen wskoczyła z powrotem do samochodu lekko przemarznięta. Nie powinna była wsiadać bez kurtki.

- Zauważyłaś coś? - zapytałem.
- Nie. Ani śladu Sterlinga ani Briana.
- Dzwoniła Gibbs, zostawiła wiadomość. Jest podenerwowana. Któraś z nas powinno mieć ją teraz na oku.

Podejrzewałem, że zaoponuje, ale nie zrobiła tego.

- Pewnie masz rację. Jest mniej więcej w takim samym niebezpieczeństwie jak Holly, ale nie była aż tak skora do współpracy, więc mniej od Holly zasłużyła sobie na naszą ochronę. Poza tym powinna skorzystać z oferty schroniska dla kobiet.

- Zgadza się, powinna. Może Holly też należałoby podsunąć taką myśl. - Spodobał mi się ten pomysł. Do diabła, gdybym zdołał ją namówić na wyjazd do tutejszego odpowiednika naszego schroniska, a potem jeszcze podrzucił Carmen na lotnisko O'Hare, może, chociaż tylko może, zdążyłbym jeszcze dotrzeć do Minnesoty, zanim Simon położy się spać. Znowu poczytałbym mu o Białoskym i może dowiedział się wreszcie od niego, cóż go tak urzekło w tej historyjce o małym niedźwiadku.

Nie wierzyłem jednak, by Holly zgodziła się na pobyt w schronisku. Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że ona nawet do jakiegoś stopnia bawi się zaistniałą sytuacją. Kiedy chodziło o seks, przypominała zapaleńca górskich kolejek albo maniaka skoków na bungee. Sytuacja była dla niej wystarczająco groźna, żeby jej pożądlive serce biło znacznie szybciej niż zazwyczaj. A w połączeniu z odpowiednią dawką niecierpliwego oczekiwania - bo nie miałem złudzeń, że u niej takie oczekiwanie budzi do życia coś, co u mnie od bardzo dawna pozostaje w uśpieniu - mogła to odbierać niemalże jak sposobność wśliznięcia się do łóżka samego papieża w Watykanie.

Ponadto nasza obecność w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku oznaczała, że obcy ludzie obserwują teraz każdy jej krok, a co istotniejsze, rysowała się także ewentualność zagrania na nosie krytycznie nastawionemu Artiemu. Zatem okoliczności były prawie tak samo kuszące, jak tamtego popołudnia w Bazylice Najświętszego Serca.

No i był jeszcze indyk w piekarniku.

Tylko żadnych Indian. I żadnych pielgrzymów. Mimo to Holly miała okazję sprawić sobie niezapomniane Święto Dziękczynienia.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dokładnie trzy minuty po szesnastej.

Dlaczego to było aż tak ważne? Bo gdzieś na przestrzeni minionych paru godzin, co najmniej kilka światów od South Bend, Mary Ellen Wolf zanurzyła ostrze długiego błyszczącego noża kuchennego w chrupiącej zewnętrznej skórce fantastycznie upieczonego „turducken” z Georgii. I po lekkim naciśnięciu - bo z pewnością wystarczyło bardzo lekkie, gdyż po osiemnastu godzinach w niezbyt gorącym piekarniku mięsa musiały być tak delikatne, jak szept babuni - w przekroju ukazały się kolejne warstwy tego pięknego produktu. Indyk, kaczka, kurczę, poprzedzielane cieniutkimi paskami gęstego ciemnego sosu, aż wreszcie wszystkie składniki cudownego nadzienia z ostrygami.

Są takie chwile w życiu, kiedy po prostu się wie, że pociąg już odjechał z peronu i na pewno nie cofnie się po spóźnialskich; że dawno skończyła się wiejska potańcówka i nie ma już dziewczyny, którą bardzo chciało się pocałować; że kto inny dostał awans i podwyżkę; że znajomi wyruszyli na wycieczkę starym rozklekotanym gruchotem, nie czekając na naszą decyzję.

Do tej kategorii należały też sympatyczne bliźniaczki i ich niezwykła pieczeń, której należało spróbować. Wiedziałem, że jeszcze przez jakiś czas będą mnie prześladować wspomnienia o siostrach Wolf i ich „turducken”. Byłem tego pewien na sto dziesięć procent.

Pół metra ode mnie Carmen robiła coś ze swoimi paznokciami, korzystając z ostro zakończonych drewnianego narzędzia kosmetycznego. Sherry także od czasu do czasu zajmowała się tym samym, tyle że jej poczynania nigdy nie przykuły mojej uwagi. Natomiast działania Carmen tak. Rozkojarzyła mnie jeszcze bardziej, gdy niespodziewanie zaczęła cicho nucić jedną z tych piosenek, które śpiewała przed pójściem do łóżka w „Days Inn”.

59

Alan

Kiedy wyjąłem upieczonego indyka na deskę do krojenia, żeby trochę podstygł, Lauren zapytała, czy rozmawiałem z Jonem Youngerem.

- Może zadzwonię do niego po kolacji - odparłem. - Nadal nie jestem przekonany, że ta sprawa nie może poczekać do poniedziałku.

Cmoknęła mnie w policzek.

- Zadzwoń do niego. Proszę.

Kolacja? Indyk był spieczony, tłusty i za słony, a sos żurawinowy przesmażony, tylko skarmelizowana brukselka okazała się fantastyczna, a kupiony przez Lauren merlot zwiewny niczym młoda baletnica. Na kolacji był u nas Jonas, syn naszej sąsiadki Adrienne, razem ze swą opiekunką, gdyż jego matce wypadł akurat dyżur w szpitalu. Grace przetrzymała całą tę imprezę bez jednego potknięcia, a Lauren walczyła ze swą sterydową apatią z poświęceniem godnym naśladownictwa.

I tylko psy spały jak zwykle.

Naprawdę wyszło nam cholernie dobre Święto Dziękczynienia.

Razem z Lauren poznaliśmy wszystko do kuchni. Załedwie uruchomiłem zmywarę, złapałem pager przypięty na biodrze do paska i przeprosiłem ją, tłumacząc, że muszę wykonać kilka pilnych telefonów. Pięć minut później wytropiłem żonę przy stole bilardowym. Zdążyła już ustawić na środku komplet bil i chwilowo bawiła się białą w taki sposób, który w każdym musiał wzbudzić choć odrobinę zazdrości.

- Nasi goście już poszli? - zapytałem. Przytaknęła ruchem głowy.

- Jonas w jednej chwili zrobił się senny i marudny, uznaliśmy więc wspólnie, że byłoby lepiej, gdyby znalazł się we własnym łóżeczku, zanim trzeba go będzie później wybudzać do kąpieli. Wskazałem pager i powiedziałem:

- Niestety, wynikła pilna sprawa i muszę na parę godzin pojechać do gabinetu.

- Teraz? - zdziwiła się, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

- Tak, teraz.

Byłem pewien, że mi nie uwierzyła.

Pochyliła się szybko nad stołem i jednym wprawnym uderzeniem białej bili przekształciła idealnie trójkatny szyk w gromadę różnorodnych wektorów z lekcji fizyki.

Powstrzymałem się z tą trzecią i najważniejszą rozmową telefoniczną do chwili, aż znalazłem się w samochodzie, w niespiesznej drodze do śródmieścia.

- Jim? Mówi Alan Gregory.

- Alan. Co za niespodzianka.

- Jesteś gdzieś poza domem? A może przeszkadzam ci w świątecznej kolacji? - Prawdę mówiąc, ani trochę mnie nie obchodziło, czy mu przeszkadzam, tyle że sytuacja wymagała ode mnie uprzejmości, toteż się na nią zdobywałem.

- Jestem z przyjaciółmi. Właśnie wstaliśmy od stołu. A o co chodzi?

- Powstał pewien problem z... sekretami twojego klienta. Uzyskałem pewne informacje, o których powinieneś wiedzieć.

- Słucham.

- Niezręcznie mi mówić o tym przez telefon. Nie mógłbyś później wpaść do mojego gabinetu? Powiedzmy o piątej?

- W Święto Dziękczynienia? To naprawdę konieczne?

- Wydaje mi się, że powinieneś wiedzieć, co się dzieje. Między innymi chciałem porozmawiać z tobą o sprawach, o których wiedzą już inni, dlatego uznałem, że powinienem zawiadomić cię o tym jak najszybciej, zanim dowie się o wszystkim opinia publiczna.

- W porządku. Zatem o piątej?

- Jestem już w drodze do gabinetu, ale mam jeszcze inną pilną sprawę, spotkanie z pacjentką, które będę musiał załatwić wcześniej. Ale do piątej na pewno będę już wolny.

- W takim razie do zobaczenia - rzekł.

Kiedy dotarłem do centrum Boulder, skręciłem na parking przed jednym z banków przy Walnut Street niedaleko ulicy Czternastej i pobrałem z bankomatu maksymalną kwotę



określoną przez limit dla mojej karty kredytowej. Realizacja mojego planu wymagała gotówki. I to nie takiej małej, szczerze mówiąc.

Kilka przecznic dalej skręciłem na podjazd za budynkiem, w którym mieścił się mój gabinet. Ona czekała już na schodach przed oszklonymi drzwiami tylnego wyjścia ewakuacyjnego.

- Ma pan pieniądze?

Machnąłem jej przed nosem plikiem dwudziestek.

- No to chodźmy, bierzmy się do roboty. Kazałam rodzinie wstrzymać się z deserem do mego powrotu. Siostra robi wspaniałe słodki placek ziemniaczany, który...

Słowa Tayishy jak gdyby ugrzęzły w ciemności.

- To naprawdę nie potrwa długo? - zapytałem.

- Nie. - Uśmiechnęła się do mnie tak szeroko, że odniosłem wrażenie, jakby jej białe zęby skoczyły w moim kierunku z gęstniejącego mroku. - Ale mój szef nigdy nie może się o tym dowiedzieć, jasne?

- Oczywiście - przytaknąłem skwapliwie.

- No to umowa stoi. Gdzie moje maleństwo?

60

Sam

Wszystko wskazywało na to, że w całym kwartale, w którym mieszkała Holly Malone, jeszcze tylko w jednym domu ludzie siedzieli przy świątecznej kolacji. Przynajmniej w okresie Święta Dziękczynienia była to więc dzielnica gości, a nie gospodarzy.

W ciągu następnych godzin dyżurowaliśmy z Carmen na zmianę. Podczas jednego z moich dyżurów ja z kolei obszedłem dookoła cały kwartał, i to wcale nie z tego powodu, że spodziewałem się zauważyć coś ciekawego, ale dlatego, że wszyscy mi powtarzali, jak bardzo dobrze zrobi mi na serce okresowe delikatne przyspieszenie tętna.

Zaczynałem już podejrzewać, że sama obecność Carmen dobrze wpływa na moje serce, bo to, że spała tuż obok mnie, na tylnym siedzeniu mego samochodu, przyprawiał mnie o niepokojąco duże przyspieszenie tętna. Kiedy ona zapadała w drzemkę, minuty zaczynały się wlec w żółwym tempie, choć specjalnie mi to nie przeszkadzało. Sporą część czasu spędzanego w ciszy poświęcałem na typowo policyjne rozważania o szerzącym się złu, które obecnie zawisło nad South Bend niczym groźna czarna chmura w bezwietrzną pogodę.

Gdzieś około szóstej nastąpiła pomyłka co do kolejności czuwania. Zaledwie otworzyłem oczy, budząc się z drzemki, ogarnęło mnie przecucie, że coś jest nie tak. Minęła dłuższa chwila, nim uświadomiłem sobie, że siedząca obok Carmen także śpi.

- Coś się dzieje - powiedziałem. Natychmiast otworzyła oczy.

- Co?

- Jakiś ruch.

Tym ruchem było pojawienie się minivana, starego plymoutha o bokach pokrytych panelami drewnopodobnymi. Nikt go nie mył chyba od czasu wynalezienia wody. Kierowca zaparkował tuż za terenowym leksusem, częściowo zasłaniając nam widok na ścieżkę prowadzącą do domu Holly Malone. Mimo to byłem pewien, że na chodniku przy samochodzie zbiera się liczna gromadka.

- To jej druga siostra - powiedziałem.

Carmen popatrzyła na mnie z wyraźnym zdumieniem i mruknęła:

- Rety, co za płodność. Tylko spójrz na rozmiar... Zdążyłem naliczyć na chodniku piątkę dzieciarni, lecz jeśli

znalazł się w niej ktoś mający mniej niż metr wzrostu, pozo stawałby dla mnie niewidoczny ze względu na przesłaniające widok auta.

- Dwójka dorosłych? - zapytałem.  
- Tak. Mama i tata - odparła Carmen. - A z nimi jeden, dwa... piątka dzieci? Czy szóstka? Jak sądzisz?

Zacząłem liczyć od początku.

- Mnie wychodzi szóstka. Ile lat może mieć siostra Holly? Nie wspominała o tym, kiedy rozmawialiście wczoraj?

- Jeśli to ta, o której myślę, to jest pięć lat starsza... Jezu, Sam, tylko policz. Ta biedaczka musiała być niemal bez przerwy w ciąży od ukończenia osiemnastego roku życia.

Potomstwo starszej siostry Holly było ubrane normalnie, po dziecięcemu, w przeciwieństwie do potomstwa Artiego, które wystrojono tak, jakby zachodziło niebezpieczeństwo nagłego zgonu gospodyni, a rodzina musiała być przygotowana na uczestnictwo w natychmiastowym pogrzebie.

Nowo przybyła gromadka nagle rozluźniła szyk i wręcz rzuciła się do drzwi. Biegiem, ze śmiechem i głośnymi okrzykami.

- Zaraz - odezwała się Carmen. - Teraz widzę troje dorosłych.

- Owszem, ja też. Ta blondynka jest siostrą Holly, prawda?

- Na to wygląda. Więc kim jest ta druga, z ciemnymi włosami?

Nie odpowiedziałem. Holly otworzyła drzwi i sznureczek siostrzeńców oraz siostrzenic wlał się do środka. Za nim weszła blondynka i jej mąż, barczysty, uśmiechnięty od ucha do ucha. Wszyscy kolejno ściskali się i całowali w drzwiach. Ciemnowłosa kobieta stanęła nieco z boku, przy pierwszym słupku werandy, czekając cierpliwie na swoją kolej. W rękę trzymała jakiś przykryty półmisek. Tymczasem wpuściwszy wszystkich krewnych do środka, Holly wyszła na werandę, żeby z nią porozmawiać. Stanęła na wprost ciemnowłosej i lekko przekrzywiła głowę na ramię.

Mniej więcej po upływie pół minuty wzięła przybyłą pod ramię i pociągnęła dalej od drzwi. Tam rozmawiały jeszcze przez jakąś minutę, stojąc naprzeciwko siebie, bardzo blisko.

- Przyjaciółka? Sąsiadka? - zaciekała się Carmen.

- Niewykluczone. - Na tym etapie nie chciałem wyciągać żadnych wniosków. Wolałem z nimi jeszcze poczekać.

Przykryty półmisek w końcu przeszedł z rąk do rąk, padły jeszcze jakieś ostatnie słowa i ciemnowłosa zeszła z werandy, nie żegnając się nawet z Holly. Wróciła na chodnik i ruszyła wzdłuż ulicy, oddalając się od nas. Holly zatrzymała się jeszcze w drzwiach i popatrzyła za nią, nim zniknęła w środku. Odniosłem wrażenie, że tuż przed zamknięciem drzwi przelotnie spojrzała w naszym kierunku, nie byłem jednak tego pewien.

Może tylko wyczuwała, że jestem gdzieś w pobliżu.

Sprawdziłem telefon komórkowy, żeby się upewnić, czy jest włączony. Był.

- Chcesz, żebym za nią poszła? - zapytała Carmen.

Oczywiście miała na myśli ciemnowłosą. Jej pomysł był logiczny i naturalny. Zdziwiłem się tylko, że pytała mnie, jak ma postąpić.

- To chyba niepotrzebne. Zdaje się, że miałaś rację. To sąsiadka.

- Robię się głodna. A ty?

- Jak zawsze. Myślisz, że dałoby się namówić Holly, by przyniosła nam coś ze świątecznego stołu? Niedługo będzie wyjmowała indyka z pieca. Mogę się założyć, że usiądą do pieczystego dopiero około siódmej, może nawet później.

Carmen sięgnęła do torebki, wyjęła z niej batonika i wyciągnęła go w moim kierunku.

- Ty jeszcze możesz liczyć na kawałek pieczystego, Sam. Ja już nie.

Pokonałem zdumienie i wziąłem batonika.

- Jeśli uda mi się zdobyć kawałek indyka z nadzieją, podzielę się z tobą - odparłem. - Obiecuję.

Szósta czterdzieści pięć. Pod przykrywką ciemnych chmur nadciągała noc.

- Coś mi się zdaje, że właśnie teraz wyciągają indyka z pieca - powiedziałem. - Mam zamiar przespacerować się jeszcze raz dookoła kwartału, żeby wzmóc apetyt.

Miał to być żart, ale Carmen odebrała go całkiem serio. Położyła mi rękę na ramieniu i zapytała:

- Marnujemy tutaj czas?

- Pewnie tak.

- Ile jeszcze wytrzymamy? Tylko we dwoje? Do jutrzejszego ranka? A co potem?

Już o tym myślałem.

- Mam nadzieję, że pojawi się coś nowego w dochodzeniu, co pozwoli nam skontaktować się z tutejszą policją i przekonać ją, by miała Holly na oku. W przeciwnym razie porozmawiam z nią jeszcze raz, spróbuję ją namówić, by na weekend schroniła się u którejś z sióstr w Chicago.

- Wiem, którą bym wybrała na jej miejscu.

- Ja też. Artie nie zniósłby w swoim otoczeniu dłuższej obecności kogoś, kto jest aż tak otwarty i gościnnie, prawda?

- Przykro mi z powodu twoich świąt, Sam.

- Mam przecież dobre towarzystwo, Carmen. To bardzo pomaga.

Ani jedno moje słowo nie umknęło jej uwagi. Wciąż trzymała rękę na moim ramieniu. Tylko jej nacisk zmienił się odrobinę.

- Wiesz co? Zanim pójdziesz na spacer, zadzwoń do Gibbs. Możesz to zrobić?

- Nie sądziłem, że aż tak bardzo zależy ci również na jej bezpieczeństwie.

- Nie zależy mi. Przyszło mi tylko do głowy, że jeśli Gibbs widziała Sterlinga w Kolorado, nie mamy tu czego dłużej szukać, prawda? Moglibyśmy się natychmiast spakować, pojechać gdzieś razem i... no, wiesz... zjeść coś dobrego.

Moje serce omal nie dostało czkawki w oczekiwaniu na to, aż Carmen skończy zdanie.

Pewnie przez to naszły mnie wątpliwości, czy na pewno nic mi nie umknęło.

- Pewnie że mogę zadzwonić.

Wyjąłem komórkę, ułożyłem na nosie okulary do czytania,

przywołałem z pamięci aparatu numer Gibbs i zażądałem połączenia. Odebrała po trzecim sygnale.

- Halo?

Brzmienie jej głosu podziało na mnie jak refren starego przeboju. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie powinno tak być. Ale było.

- Cześć, tu Sam. Jak się miewasz?

- Alan Gregory prosił, żebyś do mnie zadzwonił? Co to miało znaczyć?

- Nie. Chciałem sprawdzić, czy nic ci nie grozi. Nie rozmawialiśmy od jakiegoś czasu. Gdzie jesteś?

- W Vail. W motelu.

- Ładna pogoda?

- Niebo zachmurzone, ale nie pada.

- Tu podobnie. Mocno się zachmurzyło. Szarówka.

- Słyszałam, że na południu też czasami tak bywa. Mówiła zagadkami. Może była poirytowana, że musi spędzać

to święto samotnie, w pokoju motelowym. Postanowiłem się trzymać tej teorii.

- Już nie jestem w Georgii. Przejechałem na północ i dzwonię teraz z Indiany.

- Naprawdę? Co, u diaska, popchnęło cię aż do Indiany? Gdzie dokładnie jesteś?

- Obecnie w South Bend.

- Poważnie? Masz tam jakąś rodzinę? O to chodzi?

- Nie, moja rodzina wyjechała na ferie świąteczne do Minnesoty. Sprawdzam tutaj dość luźną poszlakę. Dostaliśmy pewien cynk. Ale to chyba strata czasu. Nic ci nie jest? Miałaś jakieś wiadomości od Sterlinga? A może go widziałaś?

- U mnie wszystko w porządku. Czuję się tylko okropnie, że przez moje kłopoty nie możesz spędzać Świąt Dziękczynienia z najbliższymi. Nie powinieneś być wyjeżdżać. Żałuję też, że nie zdecydowałeś się wrócić samolotem, żeby być teraz z rodziną. Zwróciłabym ci za bilet. W ten sposób miałabym mniejsze wyrzuty sumienia. Możesz to jeszcze zrobić? Pojechać na lotnisko i złapać najbliższy samolot?

- Żadnych wieści o Sterlingu?

- Żadnych.

- U mnie wszystko w porządku, Gibbs. Nie zwracaj sobie mną głowy. Spróbuj jak najprzyjemniej spędzić te święta, tylko miej się na baczności, dobra? Będziesz pamiętać? I uważaj na Ster-linga. Zadzwoń, gdyby coś cię zaniepokoiło albo zdenerwowało.

- Obiecuję. Do widzenia, Sam. Wyłączyłem telefon.

- Tam go nie ma.

- Dzięki, że zadzwoniłeś - powiedziała Carmen.

Byłem zeszywniały. Powiedzmy delikatnie, że wygramolenie się zza kierownicy nie poszło mi tak zgrabnie, jak bym sobie tego życzył.

Tylne podwórko domu Holly otaczało metrowej wysokości ogrodzenie z drucianej siatki. Posesja znajdowała się na samym rogu, pomyślałem więc, że będzie można zajrzeć nawet na tyły, idąc po prostu chodnikiem. W domu znajdowało się aż dziesięcioro dzieci, toteż ich donośne krzyki i śmiechy docierały na odległość kilkuset metrów. Kiedy znalazłem się na wysokości domu, skręciłem i ruszyłem przez jezdnię prosto w jego kierunku.

Obszedłem narożnik skrzyżowania, nie dostrzegając niczego podejrzanego. Ale w drodze powrotnej zwróciłem uwagę, że skobel zapadki w furtce prowadzącej na tylne podwórze jest podniesiony. Był to żelazny zamek starego typu, ze skoblem zakończonym masywnym hakiem, który trzeba było podnieść, żeby otworzyć furtkę, a który po opuszczeniu na poziomą część ramy klinował hak w oczku przyspawanym do słupka ogrodzenia. Nie miałem wątpliwości, że gdy mijalem furtkę za pierwszym razem, skobel był opuszczony.

Zatem ktoś go musiał podnieść.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zadzwoniłem do Carmen.

- To ja. Chodzi o rygiel zamka w furtce na tyłach. Kojarzysz?

- Mówisz o furtce w ogrodzeniu siatkowym?

- Zgadza się.

- Tak, kojarzę.

- Nie pamiętasz, czy był podniesiony, kiedy przechodziłaś tędy?

- Nie umiem powiedzieć. A czemu pytasz?

- Bo teraz jest podniesiony. Wydaje mi się, że gdy szedłem w tamtą stronę, furtka była zamknięta.

- W domu jest pełno dzieciaków, Sam. Pewnie któreś z nich wybiegło po coś z podwórka na ulicę.

- Być może. Widzisz tę furtkę z samochodu? Zawahała się.

- Nie, stąd jej nie widać.

- Zaraz do ciebie wrócę.

Przeszedłem z powrotem przez ulicę, przyciałem się w cieniu wielkiego masywnego drzewa o grubym pniu, prawdopodobnie dębu, i popatrzyłem uważnie na tylne podwórze. Wyraźnie dołatywały tu śmiechy dzieci, strzępy rozmów przy stole, brzęk naczyń w kuchni. Któreś z dzieci pisnęło przenikliwie. Dokładnie takich odgłosów należało się spodziewać.

Nic więcej.

Dobrych kilka minut upłynęło mi na obserwacji, zanim uświadomiłem sobie, czego mi brakuje.

Holly.

Nigdzie jej nie było. Obie jej siostry pojawiały się często przy zlewie mieszczącym się na wprost kuchennego okna. Jej jednak nie widziałem w kuchni ani razu od chwili, gdy po raz pierwszy skręciłem na skrzyżowaniu.

Ani razu.

Coś mnie gwałtownie ścisnęło na wysokości najniższych żeber. W zamyśleniu sięgnąłem do kieszeni i wymacałem małą brązową fiolkę z nitrogliceryną.

Obracając ją w palcach, wciąż wpatrywałem się jak urzeczony w kuchenne okno. Na krótko zgasło w nim światło. Zaraz jednak zapaliło się znowu.

Za szybko mignęła młodsza blondynka. Potem starsza.

Ale nie Holly.

Zasłuchałem się w kakofonię dźwięków.

Nie wyłapałem pośród nich głosu Holly.

Coś było nie w porządku.

Spojrzałem na zegarek. Cztery po siódmej. Moim zdaniem była najwyższa pora, żeby przystąpić do porcjowania indyka. Pomyślałem, że honory gospodarza powinny przypaść w udziale temu drugiemu szwagrowi, nie Artiemu.

Podkrałem się bliżej domu i przywarłem plecami do ściany przyklejonego doń garażu, jakieś dziesięć metrów od przejścia na niewielkie tylne podwórko.

Gdzie jesteś, Holly? No, dalej. Pokaż mi się.

Powiedz coś.

Po raz drugi zadzwoniłem do Carmen.

- Nie widziałaś, żeby ostatnio Holly wychodziła gdzieś z domu frontowymi drzwiami?
- Nie. Co się dzieje?
- Pewnie nic. Tyle że nigdzie nie mogę jej namierzyć.
- Daj spokój, Sam. Na pewno jest w środku z rodziną.
- Tak, wiem.

Przerwałem połączenie, zsunąłem okulary na czubek nosa i wyszukałem w pamięci aparatu inną pozycję.

Domowy numer Holly.

Rozległy się aż cztery sygnały, zanim któryś dzieciak podniósł słuchawkę.

- Czy mogę rozmawiać z Holly?
- Chwileczkę. - Rozległ się huk słuchawki rzuconej na jakąś twardą powierzchnię, aż zadudniło mi pod czaszką.

Gdzie jesteś, Holly? Odezwij się.

Minęła minuta, przez którą wsłuchiwałem się w stłumiony gwar różnych głosów. W końcu rozbrzmiał głośny okrzyk: „Ciociu Holly!” Potem następny. Wreszcie: „Czy ktoś widział ciocię Holly?”

Ponownie zasłuchałem się w gwar, usiłując wyłowić z niego głos Holly. Bezskutecznie.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

W końcu dzieciak podniósł słuchawkę.

- Nigdzie nie mogę jej znaleźć. Mógłby pan zadzwonić później?
- Oczywiście.

W tej samej chwili poczułem, jakby ktoś wbił mi długi tępy nóż pod żebra. A potem obrócił nim w lewo i w prawo. I jeszcze raz. Jeszcze głębiej.

W każdym razie tak to odczuwałem. Ból był tak silny, że zatykał mi dech w piersi.

Pospieszenie sprawdziłem w myślach całą listę.

Ból karku albo dolnej szczęki? Nie.

Mrowienie w rękach? Nie.

Obfite pocenie się? Może trochę. No, dobra, dość obfite.

Odkręciłem nakrętkę małej brązowej fiołki i wsunąłem sobie pod język tabletkę nitrogliceryny, szykując się na nieuchronne uderzenie krwi do głowy.

Jeszcze chwila, powtarzałem w myślach. Jeszcze chwila.

61

Alan

Tayisha skończyła po pięciu minutach.

Zajrzała do gabinetu Diane, w którym na nią czekałem.

- Proszę nie robić takiej miny, jakby hemoroidy dawały się panu we znaki - powiedziała. - Nie policzę panu pełnej stawki. Specjalnie dla pana niech będzie... dwieście pięćdziesiąt. W porządku?

Za pięć minut pracy? I tak powinienem być jej wdzięczny. W końcu opuściła z pierwotnej ceny aż pięćdziesiąt procent. Niemniej nadal uważałem, że to astronomiczna cena za pięć minut pracy.

Zacząłem odliczać banknoty.

- Niestety, mam tylko dwudziestki. Tak mi wypłacił bankomat.

- W takim razie poproszę dwieście sześćdziesiąt. To mi wystarczy.

Skończyłem odliczanie po trzynastu banknotach i popchnąłem stosik w jej kierunku.

Chwyciła go łączywie, złożyła pieniądze na pół i wcisnęła do tylnej kieszeni dzinsów.

- Na pewno zadziała? Jest pani pewna? - Każdy interes, który wymagał ode mnie wyłożenia w sekrecie większej gotówki, budził we mnie głębokie zaniepokojenie.

- Sprawdzałam. Wszystko gra. - Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, jakim mierzy się przyjaciela twierdzącego uparcie, że może prowadzić wóz, chociaż cały poprzedni dzień pił bez umiaru. - Mam tylko nadzieję, że pan wie, co robi. Nie popełni pan żadnej głupoty?

Wzruszyłem ramionami.

- W porządku. Wrócę w przyszłym tygodniu, żeby skontrolować resztę budynku. Sprzęt niech zostanie na swoim miejscu. Tylko proszę go nie zepsuć. To kosztowna aparatura.

- Jasne - odparłem. - Jeszcze raz dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić swój czas w Święto Dziękczynienia.

Poklepała się po tylnej kieszeni dzinsów.

- Opłaciło się, będzie na ratę za samochód. Miło się robi z panem interesy.

W gabinecie Diane, tak samo jak w moim, znajdowały się przeszklone drzwi balkonowe prowadzące na tyły budynku. Właśnie nimi Tayisha wymknęła się na dwór.

Pięć minut później tą samą drogą dostała się do środka Adrienne.

Nasza sąsiadka, urolog leczący Sama, była, co najważniejsze, również moją serdeczną przyjaciółką. Wybrałem jej towarzystwo na ten wyjątkowy wieczór z dwóch powodów. Po pierwsze, z natury uwielbiała wszelkie tajemnice i spiski. Życie statecznego i szanowanego lekarza specjalisty traktowała jak przykrywkę dla swego prawdziwego powołania:

anarchistki. Po drugie, i tak wypadł jej dyżur w Święto Dziękczynienia, toteż musiała większą część dnia spędzić w szpitalu miejskim, oddalonym zaledwie

o kilka przecznic od mego gabinetu. A ponieważ już nakarmiłem jej synka, wiedziałem, że nie oderwę jej od świątecznej kolacji w jego towarzystwie.

Była ubrana tak, jakby po przebudzeniu z samego rana odkryła ze zdumieniem, że całe Boulder jakimś cudem znalazło się nagle w obrębie Arktyki. Miała gruby szalik, wełnianą czapkę

i rękawiczki, a długa, podbita futerkiem zimowa kurtka upodabiała ją do młodszej siostry oponiastego bałwanka Michelin.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że takie rzeczy nie przydarzają się normalnym ludziom, prawda?

Musiałem to potraktować jak jej wersję powitania.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem normalnym człowiekiem.

- Pluskwa? Naprawdę ktoś ci założył podsłuch w gabinecie?

- Obawiam się, że tak.

- I wiesz kto?

- Wiem. Pewien adwokat. Zrobiła oczy jak spodki.

- Adwokat? Naprawdę szykujemy pułapkę na adwokata? Cholera, w tym celu dałabym się nawet przyłapać z tobą nago.

- To nie będzie konieczne, Adrienne.

Wiedziałem, że byłaby gotowa na wszystko. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale bardziej interesował mnie ciąg skojarzeniowy prowadzący do takiej oferty niż perspektywa zobaczenia jej au naturel.

Usiadła na kanapie Diane i zapytała:

- Czego właściwie ode mnie oczekujesz? Chyba wiesz, że jak tylko odbiorę wezwanie ze szpitala, będę musiała zniknąć. Powtarzam na wszelki wypadek. Bo dzisiaj jestem królową cewników. Zatem kto wie? Jeśli pielęgniarka nie da rady wprowadzić cewnika do przewodu, natychmiast mnie wezwie. Czasami przez pół roku dyżurów nie trafia się ani jeden przypadek do zastosowania cewnika Foleya, a dzisiaj w ciągu pięciu godzin miałam aż trzy takie. To pewnie z powodu pieczonego indyka. W każdym razie po następnym takim przypadku dzwonię do redakcji Księgi rekordów Guinnessa.

Nie miałem ochoty słuchać jej wynurzeń na temat jakichś wątpliwych rekordów w dziedzinie urologii. Sama nazwa cewnika Foleya przyprawiała mnie o ból zębów.

- Będziesz musiała odegrać rolę lekarki - powiedziałem.

- No cóż, to dość poważne wyzwanie, ale chyba sobie jakoś poradzę. Jakiej lekarki, amP.

- Kiepskiej, która właśnie złamała zasady etyki zawodowej.

- Robi się coraz ciekawiej. A kto będzie moim pacjentem?

- Niedługo się przekonasz.

Rozpromieniła się. Poniewczasie zrozumiałem, że natychmiast postanowiła wcielić się w wyznaczoną jej rolę. A dla mnie oznaczało to, że godzi się na pełną współpracę.

- Mogę nadal być urologiem? A konkretnie na jakie badanie zgłosił się do mnie ów tajemniczy pacjent?

- Jesteś urologiem z Denver, który od niedawna mieszka tutaj, w Boulder.

- Zatem mogę być urologiem dla wyższych sfer z Denver?

- Właśnie sknocilaś wazektomię. Niechcący przecięłaś jakiś nerw albo coś w tym rodzaju, w każdym razie twój pacjent stał się impotentem.

Pokręciła głową, krzywiąc się na moją ignorancję.

- Przykro mi, mój drogi, ale to całkowicie sprzeczne z anatomią. Żeby przyprawić pacjenta o impotencję podczas wa-zektomii, musiałabym używać strażackiego toporka zamiast skalpela.

- Zaczęła mi szczegółowo wyjaśniać złożony fizjologicznie proces erekcji, a potem jeszcze bardziej szczegółowo czynności chirurgiczne w trakcie wazektomii. Nie było w tym ani grama erotyki.

- Czy będziesz mogła to jakoś uprościć, Adrienne, gdy dojdzie co do czego? Ze względu na ewentualnych słuchaczy.

- Nie martw się, nawet jeśli twój spisek opiera się na czystym science fiction, dobrze odegram swoją rolę. Upewnij się tylko, czy nie ma żadnych specjalistów z zakresu medycyny w pierwszym rzędzie widowni.

Przez kilka następnych minut omawialiśmy jeszcze przebieg akcji. Kiedy wreszcie spojrzałem na zegarek, było piętnaście po czwartej.

Powiedziałem Jimowi Zebidowi, że przed spotkaniem z nim muszę w trybie pilnym porozmawiać z inną pacjentką. Jeśli zamierzał być świadkiem tej rozmowy za pośrednictwem urządzenia podsłuchowego, powinien już być na miejscu. Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak siedzi w mrocznym wnętrzu auta zaparkowanego gdzieś na Walnut Street, ze słuchawkami na uszach, dostrajając odbiornik do częstotliwości nadajnika pluskwy w moim gabinecie.

- Jesteś gotowa? - zapytałem Adrienne.
- Tylko wprowadź mnie na scenę.
- Zatem proszę tędy, madame. I życzę połamania nóg.
- Zdajesz sobie sprawę, że coś podobnego nie mogłoby się wydarzyć w prawdziwym życiu? - zapytała tajemniczym szeptem. - Wyobrazasz sobie, że mogłabym sknocić tak prosty zabieg?
- Nie wyobrażam sobie. Ale niech to zostanie między nami.

62

Sam

Reguły dotyczące stosowania nitrogliceryny są proste. Jeżeli jedna małeńka tabletką włożona pod język nie zlikwiduje w ciągu paru minut ostrego bólu w klatce piersiowej, należy zażyć następną. W instrukcji stosowania nie ma ani słowa o modlitwie, lecz jeśli wciąż obraca się w palcach tę niewielką brązową fiolkę jeszcze jakiś czas po tym, jak centrum twojego świata powiązane z centrum klatki piersiowej ogarnęło przerażenie, jest wielce prawdopodobne, że nawiązałeś już kontakt z tą postacią Boga, która według ciebie jest najbardziej wszechmocna. Siedziałem na ziemi, oparty plecami o garaż Holly, gdy wpychałem sobie pod język drugą tabletkę nitrogliceryny. Ogólnie rzecz biorąc, stanie na własnych nogach po zażyciu tego leku tak do siebie pasuje, jak czekolada do piwa. Czyli kiepsko. Tylko dlatego siedziałem na ziemi.

Moje myśli powędrowały w stronę Simona. I to mnie do reszty przeraziło.

Chcąc się rozluźnić w oczekiwaniu na skutek działania drugiej tabletki nitrogliceryny i ustąpienie nieznośnego bólu na wysokości żeber, usiłowałem się skupić ponownie na domu Holly. Tym razem przy kuchennym zlewie ujrzałem Artiego. Nie podejrzewałem, że w ogóle jest zdolny do tego, aby zakasać rękawy i wziąć się do jakiegokolwiek brudnej roboty w kuchni.

Ale nadal nie było tam Holly. Nie było jej nigdzie.

Pod czaszką narastał dotkliwy ból. Po pierwszej fali silnego rozkojarzenia następnym ubocznym efektem działania nitrogliceryny jest ból głowy, coś w rodzaju zamrożenia mózgu w lo-dziarce połączonego z łomotem bębna. Co gorsza, przychodzi to niemal natychmiast.

Artie zniknął za oknem i jego miejsce przy kuchennym zlewie zajęła jedna z sióstr Holly.

Gdzie jesteście?

Zadzwońcie do Carmen.

- Nadal nigdzie jej nie widziałaś?
- Sam, gdzie jesteście, do cholery?!
- Za domem.
- Jakoś słabo mówisz.
- Dopadły mnie drobne niestrawności.
- Od czego mógłbyś mieć niestrawności, skoro przez cały dzień nic nie jadłeś?
- Może zaszkodził mi ten batonik od ciebie. Mój organizm nie jest przyzwyczajony do tego typu zdrowej żywności. Więc nigdzie nie widziałaś Holly?

Usłyszałem stuk otwieranych drzwi samochodu, a po chwili trzask ich zamykania.

Wykręciłem szyję i popatrzyłem w kierunku dżipa cherokee stojącego w głębi bocznej uliczki, ale z tego miejsca widziałem tylko jego tył.

- Nie - odpowiedziała Carmen. - Nikt nie wchodził ani nie



wychodził z domu. - Oznajmiła to takim tonem, który od razu uwolnił mnie od wątpliwości, że jest wkurzona.

Usłyszałem stukanie jej obcasów o chodnik. Najpierw ten dźwięk dotarł do mnie za pośrednictwem telefonu, ale stopniowo zaczął przybierać na sile w drugim uchu, do którego nie przytykałem słuchawki aparatu. Stawał się coraz głośniejszy, a zarazem jak gdyby groźniejszy. W końcu Carmen pojawiła się u mego boku. Chryste, ależ była wysoka.

- Dzwonię po karetkę - oznajmiła.

- Nie, nie trzeba. Już mi lepiej. Przysięgam. Nitrogliceryna zrobiła swoje.

Na pewno? Nie byłem o tym przekonany. Ból w klatce piersiowej wcale nie zniknął. Tyle że mogłem wreszcie swobodnie oddychać. To powinno wystarczyć po stronie pozytywnych objawów.

Nie chciałem znów się znaleźć w karetce. Nie w Święto Dziękczynienia. I nie w South Bend. Carmen kucnęła przy mnie, przyjmując pozę, której nie mógłbym przyjąć nawet po roku stosowania ścisłej diety i codziennych ćwiczeniach jogi. Przyłożyła dłoń do mego policzka i powiedziała:

- Jesteś zlany potem.

- Nieprawda. Jestem Sammy. Uderzyła mnie delikatnie. Z czułością.

- Jeśli umrzesz tutaj, po tym, jak zabroniłeś mi wezwać karetkę, przysięgam, że przyjadę na twój pogrzeb i naszczę ci na trumnę.

- Z przyjemnością obejrzę zapis wideo z tego zajścia. Jeszcze raz dziękuję ci za głębie.

Ból stopniowo zaczął ustępować. Naprawdę. Nieznany napastnik pospiesznie wyciągnął swój tępy nóż spod moich żeber.

- Nic mi nie jest - oznajmiłem. - Dostałem tylko lekkiej za-dyszki. Lekarz uprzedzał, że w pewnych sytuacjach może mnie dopaść zadyszka. Po to przepisał nitroglicerynę. - Oczywiście lekarz nie powiedział niczego podobnego, wydawało mi się jednak, że zabrzmiało to wiarygodnie.

Carmen popatrzyła na mnie wzrokiem świadczącym wyraźnie, że nie wierzy w ani jedno słowo.

- Mam przeczucie, że Holly nie jest sama - powiedziałem.

- Nie zmieniaj tematu.

- Mówię poważnie. Podejrzewam, że on tu jest. Oczywiście Sterling.

- Dlaczego? - To jedno słowo, najprostsze pytanie, padło z taką intonacją, jakby chciała powiedzieć: „Nie bądź dupkiem. Na pewno nie ze mną”.

I nie teraz.

Wyjaśniłem jej pobieżnie wyniki moich obserwacji kuchennego okna i efekt próby porozmawiania z Holly przez telefon.

- Rozumiem, tylko jak miałby się dostać do środka? - zapytała.

Z jakim akcentem? Rozpoznałem go od razu. Sam go używałem w stosunku do Simona, kiedy był młodszy i nabrał zwyczaju obarczania winą za wszelkie niedociągnięcia swego wyimaginowanego kumpla Tanka.

- Może się wśliznął, gdy wszyscy już siedzieli przy stole? Po cichu przemknął się kuchennymi drzwiami, dobrze wiedząc, że cała rodzina zasiada przy stole w salonie od frontu. Uważasz, że to wykluczone?

- Wszystko jest możliwe.

Carmen spoglądała jednak na mnie, a nie na dom. Jej zdaniem, historyjka o zakradnięciu się Sterlinga przez kuchenne drzwi była tak samo prawdopodobna, jak wizyta Gibbs w „Wal--Marcie” w celu zakupu ciepłej odzieży zimowej.

- Nie można też wykluczyć, że Holly wpuściła go do środka -dodałem.

- Co takiego? - spytała nagle zupełnie innym tonem. Zabrzmiało to jak zachęta w rodzaju: „Wreszcie mówisz coś ciekawego. Mów dalej”.

- Ona lubi niebezpieczeństwa... może raczej ryzyko, to lepsze określenie. Ale to dla nas żadna nowość, prawda? W każdym razie w życiu seksualnym Holly Malone lubi ryzyko. Przede wszystkim to właśnie połączyło ją ze Sterlingiem.

Carmen pokiwała głową i dokończyła moje zdanie w sposób tak naturalny, jakbyśmy byli partnerami od wielu lat, a nie od paru godzin:

- I miałyby się zadawać z człowiekiem oskarżonym o morderstwo, kiedy jej cała najbliższa rodzina czeka przy stole na świąteczną kolację...

Oczyrna duszy złowiłem karcące spojrzenie Artiego.

- Owszem, bo to by się wiązało z poważnym ryzykiem. To by wystarczyło, żeby zorganizować potajemną schadzke.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- Jakies dziesięć, dwanaście minut temu.

Teraz już oboje wpatrywaliśmy się w dom. Mój wzrok przykuły małe okienka w korytarzu, w pobliżu zejścia do piwnicy. Bo właśnie tam, według mnie, należało ich teraz szukać: HoUy i Ster-linga. W jakimś pomieszczeniu poniżej poziomu gruntu. Z niewiadomych powodów uznałem, że musi to być pralnia. Ale kiedy wyobraźnia podsunęła mi obraz HoUy rozpiętej na suszarce do bielizny, odegnałem go od siebie niczym natrętną muchę.

Ta jednak, niczym osa pod koniec lata, wracała nachalnie.

Gotów byłem na kolejny krok, czyli wtargnięcie do domu, wolałem jednak, żeby Carmen doszła do tego samego wniosku na własną rękę. Czekaając na jej decyzję, wcisnąłem w swoim aparacie komórkowym klawisz szybkiego połączenia z Lucy.

- Cześć, Luce. Mam tylko chwilę czasu. Czy federalni odnaleźli Briana Milesa?... Nie?...

Dzięki... Tak, w porządku. Poważnie. Zadzwonię do ciebie niedługo. - Przerwałem połączenie. - Nie znaleźli jeszcze Milesa.

Carmen pokiwała głową, jakby spodziewała się tego.

- Sądzisz, że są razem? Sterling i Miles?

- Nie da się tego wykluczyć.

- A co z samochodem? - zapytała. - Może robią to w samochodzie. Zaglądałeś do garażu? - Ruchem głowy wskazała ścianę, pod którą siedziałem.

Zrobiło mi się głupio. Do tego stopnia koncentrowałem się na piwnicy, że w ogóle nie pomyślałem o dobudowanym garażu. Oczywiście, że nie zaglądałem do niego. Wolno pokręciłem głową

w odpowiedzi na pytanie Carmen, gdyż uświadomiłem sobie nagle ryzyko, że mój głos będzie słyszalny za cienką ceglana ścianą.

- Powinniśmy? - zapytała szeptem.

Wstałem. Moje kłopoty z błędnikiem zniknęły jak ręką odjął. Pozostał tylko ból głowy.

Carmen przeskoczyła metrową siatkę z taką łatwością, jakby to był jedynie wysoki krawężnik. Poszedłem w jej ślady, stosując bardziej konwencjonalną technikę nożycową.

Trzymając w rękę broń gotową do strzału, podkrađła się do bocznych drzwi garażu. Ja także dobyłem rewolweru.

Nie lubię swojej służbowej broni, w przeciwieństwie do niektórych gliniarzy. Nigdy nie czułem się swobodnie, ściskając w garści ten przekłety kawał żelastwa. Jestem dość dobrym strzelcem, więc nie w tym tkwi problem. To dużo bardziej skomplikowana sprawa, której nigdy nawet nie próbowałem zrozumieć. Dużo lepiej czuję się z przyciśniętą do ramienia kolbą broni długiej, strzelby lub karabinka.

Za to Carmen trzymała swojego smitha & wessona z taką swobodą, z jaką kucharz trzyma ulubiony nóż, przystępując do siekania cebuli. Nie wyczuwałem u niej żadnych mieszanych uczuć.

Holly jeździła sedanem GM z końca lat dziewięćdziesiątych. Przez zmatowiałą szybkę w bocznych drzwiach garażu nie dałbym rady określić, czy jest to pontiac, chevrolet czy

oldsmobile, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie. Zyskałem jednak niezbitą pewność, że się nie porusza - to znaczy nie kołysze się na boki.

Carmen przekreśliła gałkę w drzwiach i wśliznęła się do środka szybkim zwinnym ruchem przypominającym element układu baletowego. Ruszyłem tuż za nią. Mimo sporej dawki adrenaliny we krwi, pomyślałem z niezwykłą klarownością, że nie chciałbym zostać przyłapanym w tym samochodzie z gołym tyłkiem przez dwoje gliniarzy z bronią gotową do strzału.

Coś takiego mogłoby na zawsze odmienić człowiekowi podejście do seksu.

W ciągu paru sekund skontrolowaliśmy wszystkie zakamarki niewielkiego prostokątnego pomieszczenia oraz wnętrze samochodu i równocześnie, dokładnie w tej samej chwili doszliśmy do identycznego wniosku: garaż nie był tym razem miłym gniazdem gospodyni.

- No, dobra - mruknęła Carmen. - Przekonałeś mnie. W takim razie chodźmy jeszcze bardziej zniszczyć ludziom nastrój świątecznej kolacji.

63

Alan

Jako aktorka Adrienne okazała się aż za dobra. Nie powinno mnie to dziwić.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać mimo Święta Dziękczynienia - zaczęła. -

Wiem, że zniszczyłam panu całą wieczór. Ale musiałam się z panem zobaczyć, ponieważ... zrobiłam w ubiegłym tygodniu coś takiego, że... nie mogę się uwolnić od tej świadomości...

- Zakładam, że to coś bardzo ważnego, skoro postanowiła pani przyjechać tutaj aż z Denver.

- W mojej roli tego mini-dramatu postanowiłem zdać się całkowicie na swoje umiejętności improwizacji. Ale mając na wprost siebie Adrienne jako osobę odpowiedzialną za przebijanie piłki nad siatką, wiedziałem, że przez cały czas będę musiał wspinać się na palce.

- Po prostu nie mogę spokojnie żyć ze świadomością tego, co zrobiłam. I zupełnie nie wiem, jak powinnam teraz postąpić.

- Tak?

Jeśli Jim Zebid przysłuchiwał się tej rozmowie gdzieś na zewnątrz, powinien być już pod wrażeniem bardzo przekonującego wystąpienia. Ale gdyby miał możliwość zajrzenia do mojego gabinetu, nie uwierzyłby w ani jedno słowo. Pomijając już to, że Adrienne momentami z trudem powstrzymywała się od śmiechu, siedziała na kanapie nisko pochyłona i mówiła wprost do poduchy niczym Maxwell Smart do ukrytego w bucie mikrofonu.

- We wtorek w swoim gabinecie w Cherry Creek przeprowadzałam zabieg wazektomii. Wcześniej robiłam ich setki, to żaden poważny zabieg. Wystarczy znieczulenie, drobne otwarcie, nacięcie, przypalenie...

Przypalenie?

- ...no i szycie.

To ostatnie rozumiałem doskonale. Nie mogłem tylko pojąć, o co chodziło wcześniej.

- Przypalenie? - zapytałem, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie powinienem tego robić. Nie miało to żadnego znaczenia w konstrukcji zastawionej pułapki. Ale zżerała mnie zwykła ciekawość.

- Miałam na myśli kauteryzację - wyjaśniła, marszcząc brwi.

- Aha, kauteryzację - powtórzyłem niemal bezwiednie.

- Ale tym razem niechcący przecięłam cienką wiązkę nerwów mojego pacjenta - ciągnęła Adrienne.

- Przecięła pani nerwy?

- Przypadkowo, bo trochę za mocno nacisnęłam skalpel podczas robienia nacięcia. Nie wiem, co się stało. Może ręka mi trochę drgnęła.

- Ręka pani drgnęła podczas robienia nacięcia?

- Zamierza pan powtarzać każde moje zdanie? Tak wyglądają u pana sesje terapeutyczne? Przecież powiedziałam, że ręka mi trochę drgnęła, więc czemu pan się jeszcze dopytuje? Równie dobrze mogłabym się nagrywać na magnetofon, a potem odtwarzać zapis, kończąc każde zdanie znakiem zapytania. Oszczędziłabym w ten sposób kupę forsy. Spiorunowałem ją wzrokiem, ale nie przyniosło to oczekiwanego skutku. Najwyraźniej doskonale się bawiła.

- Jak pacjent na to zareagował? - zapytałem.

- O niczym nie wie. Nie powiedziałam mu. Jak miałby się sam dowiedzieć, u diabła? Myśli pan, że moi pacjenci się przyglądają, gdy im robię wazektomię? Są pewne zabiegi na genitaliach, którym mężczyźni lubią się przyglądać, ale wazektomia z pewnością do nich nie należy. Będzie musiał mi pan uwierzyć na słowo.

Miałem już na końcu języka: „Nie powiedziała mi pani?” przestraszyłem się jednak, że kolejna powtórka w formie pytającej sprowokuje Adrienne do jeszcze gwałtowniejszej reakcji. Zapytałem więc:

- To była jakaś ważna wiązka nerwów?

Ta kropla przepełniła czarę. Przez dobre pięć sekund próbowała dojść do siebie, zanim wreszcie wydusiła:

- W tamtym rejonie? Tam nie ma nieważnych nerwów. Przynajmniej tak mnie uczone.

Tym razem to ja z trudem powstrzymałem się od śmiechu.

- Mam rozumieć, że on będzie teraz... impotentem?

- To możliwe.

- Bardzo prawdopodobne?

- Może trochę - syknęła, unosząc wzrok do nieba.

- I nie zamierza go pani o tym poinformować?

- Jestem pewna, że podejrzewa, iż stało się coś niedobrego. Ale trudno mu będzie cokolwiek mi udowodnić. Już wcześniej miał kłopoty z wciągnięciem flagi na maszt. Poza tym dobrze wiedział, z jakim ryzykiem wiąże się ten zabieg.

Wciągnięcie flagi na maszt? Zaszleściła papierami.

- Wie pan, co to jest?

Jasne, że wiedziałem, odparłem jednak twardo:

- Nie.

- To numer jego telefonu. Wiem, że powinnam zadzwonić i porozmawiać z nim szczerze. Tylko to byłoby właściwe. Bo przecież ma prawo wiedzieć, co się stało. Ale wiem także, że gdybym to zrobiła, natychmiast zostałabym zasypana całą stertą papierów przez jakiegoś żadnego krwi adwokata, który z drobnej pomyłki zrobiłby coś o randze zabójstwa króla Ferdynanda.

Ta ostatnia wzmianka, aluzja do wybuchu pierwszej wojny światowej, była czystą improwizacją. Mój scenariusz jej nie obejmował, nawet nie dopuszczał takiej możliwości. Korciło mnie, by zapytać Adrienne, jak zamierza wytłumaczyć ten pośmiertny awans Ferdynanda z arcyksięcia na króla, lecz uległem zasadom powściągliwości i dyskrecji. Pochyliła się jeszcze bardziej nad poduchą kanapy i teatralnie podarła czystą kartkę na strzępy.

- Jak rozumiem, podjęła pani decyzję, że nie zadzwoni do pacjenta? - zapytałem stanowczo, wracając do zapisów nieistniejącego scenariusza.

- Od dwóch dni zaczynam wybierać ten numer i przerywam w połowie. Znam go na pamięć.

- I tutaj uroczym melodyjnym głosem zwyczajnie podyktowała numer telefonu. Nie mogłaby tego zrobić lepiej nawet zawodowa aktorka po wielu wyczerpujących próbach.

Na migi przekazałem jej wyrazy swego uznania.

Zapiszczał przywoływaniec. Nie mój, bo przestawiłem go na alarm wibracyjny.

Adrienne zareagowała błyskawicznie. Niemalże dała nura do swojej torebki o skłonnościach do naśladowania plecaka, po czym wycedziła:

- Cholera, to mój pager. Muszę lecieć. Przepraszam. Był pan... sama nie wiem... Pomocny to raczej nie najlepsze określenie w tej sytuacji.

Szczęka mi opadła.

Ona tymczasem pospiesznie zgarnęła swoje rzeczy i w podskokach rzuciła się do drzwi.

Rzecz jasna, ani jednego, ani drugiego także nie było w naszym scenariuszu.

64

Sam

- Od tyłu czy od frontu?

Zatrzymałem się przed furtką w siatkowym ogrodzeniu otaczającym tylne podwórze domu Holly Malone. Ściśle rzecz biorąc, to Carmen zatrzymała mnie przed furtką, opierając wyciągniętą rękę na mojej piersi. A jeszcze ściślej, oparła ją na górnej lewej krawędzi mego indywidualnego rozděcia. Kilkanaście centymetrów niżej, w okolicach należących już raczej do podbrzusza,

wciąż odczuwałem ból spowodowany nagłym atakiem duszności czy co też to było. Na szczęście był dość lekki, niezbyt dotkliwy. Pomyślałem, że jakoś to wytrzymam.

Na pewno w przenośni, a może również dosłownie.

- Wszyscy dorośli są w kuchni - odparłem. - Pewnie wystarczyłoby zapukać do tylnych drzwi. Przestraszylibyśmy ich trochę, co nie byłoby wcale takie złe. Ale w ten sposób nie musielibyśmy się przebijać przez cały tłum dzieciaków urzędujących we frontowej części domu. - Uświadomiłem sobie, że mimowolnie wciągam brzuch i wypinam pierś do przodu. Carmen cofnęła rękę.

- Chcesz pełnić honory?

- Nie, skądże. Idź przodem.

Weszła na teren, uchyliła siatkowe drzwi zewnętrzne i zapukała. Otworzył Artie. W prawym ręku trzymał długi kuchenny nóż i miał tak surową minę, jakby podejrzewał, że lada moment wyjdzie na jaw, iż któreś z jego ubranych jak do kościoła dzieci wymknęło się na dwór z niecnym zamiarem, na przykład dobrej zabawy, i będzie musiał je poszlachtować, chcąc dać wymowny przykład reszcie potomstwa.

Ponad jego ramieniem ujrzałem obie ustawiające się niczym w kolejce siostry Holly.

Zabrakło jeszcze tylko drugiego szwagra.

- Jestem detektyw Reynoso, a to detektyw Purdy - odezwała się Carmen. - Czy moglibyśmy porozmawiać z Holly Malone?

- A ja mógłbym zobaczyć jakąś odznakę? - W pierwszej chwili przemknęło mi przez myśl, że Artie może być prawnikiem, lecz zaraz doszedłem do wniosku, że tylko ogląda dużo telewizji. Dziwnym sposobem nie mogłem oderwać oczu od tańczących filiżanek wydrukowanych na jego kuchennym fartuchu i pięści spoczywających na biodrach w taniej namiastce wyrazu oburzenia. Z długim nożem w ręku wyglądał jak rozszłoszczony postarzały transwestyta, który tylko zapomniał włożyć na głowę peruki.

Oboje z Carmen na jego użytek machnęliśmy mu przed nosem policyjnymi odznakami - tak samo szybko, wręcz od niechcienia, ze znudzonymi minami. Nikt nigdy nie przygląda się policyjnym identyfikatorom. Któregoś dnia w Boulder zapomniałem zabrać odznaki z domu i poproszony o jej pokazanie, tak samo machnąłem człowiekowi przed nosem otwartym portfelem. Również moje prawo jazdy oraz szkolne zdjęcie Simona doskonale wywiązały się ze swojego zadania.

- Proszę zawołać Holly Malone - powiedziała twardo Carmen tonem, na którego brzmienie Artie cofnął się odruchowo o krok. - To bardzo ważna sprawa. Rozmawialiśmy z nią wcześniej i wiemy, że jest w domu.

Starsza z dwóch siostr odebrała to polecenie ze stosowną powagą.

- Kilka minut temu poszła na górę, żeby wziąć szybki prysznic i przebrać się do kolacji - wyjaśniła. - Już po nią idę.

Druga z siostr, żona Artiego, przybierając zgorszona minę pod tytułem „Cóż-ona-zrobiła-najlepszego?!” zapytała:

- Holly ma jakieś kłopoty?

Biedactwo, nawet w takiej sytuacji kierowała to pytanie do męża.

Nie chcąc dopuścić, by znowu się wygłupił, udając, że zna odpowiedź na to pytanie, wkroczyłem do akcji:

- Chodzi pani o kłopoty z prawem? Nie, madam. Chcieliśmy zadać jej tylko kilka pytań.

Carmen odwróciła się do mnie, pochyliła nad uchem i szepnęła:

- Poszła wziąć prysznic, Sammy. Zaczynam się czuć jak idiotka.

- Ja też - bąknąłem.

Nie uszło mojej uwagi, że nazwała mnie Sammym.

W rzeczywistości wcale nie czułem się jak idiota. Jeszcze nie. Na to miałem mnóstwo czasu.

Prysznic? Co o tym naprawdę myślałem? Otóż to: A co innego Holly miała powiedzieć swoim siostram? Jak inaczej się wytłumaczyć, żeby dać nura do piwnicy na szybki numer z nieznanym, który prawdopodobnie jest seryjnym mordercą? Zaraz za pufającą ciężko lokomotywą owej myśli znalazł się nieocenzurowany obraz z pralni, zawierający widok Holly rozpiętej na suszarce do bielizny, a tuż za nim wywodzący się z kambuza rysunek ukazujący to, do czego doszło pod stanowiskiem organisty po tym, jak Holly i Sterling wdrapali się na górę po schodach w Kaplicy Relikwiarzy Bazyliki Najświętszego Serca.

Na szczęście wszystkie te lubieżne obrazki w jednej chwili zniknęły z mojej wyobraźni, zaledwie po raz drugi zerknąłem na Artiego w kuchennym fartuchu ze wzorkiem w tańczące filizanki.

- Może pan swobodnie wracać do porcjowania indyka - odezwałem się do niego. - To nie potrwa długo i nie powinno państwu zakłócać nastroju świątecznego posiłku. - Uśmiechnąłem się. - Zapukaliśmy do tylnych drzwi właśnie po to, aby nie niepokoić dzieci.

Moja sugestia powrotu do porcjowania pieczeni w pierwszej kolejności przypomniła mu, że rozmawiając z funkcjonariuszami policji trzyma w prawym ręku wymierzony przed siebie nóż. Spojrzał na niego, a potem na nas. I w tym momencie zrobił beczenną minę - minę faceta, który dopiero tuż przed bramką wykrywacza metali na lotnisku przypomniał sobie, że zapomniał wyjąć z torby podróźnej pistolet maszynowy.

O cholera!...

Powolnym ruchem schował kuchenny nóż za plecami, jakby się jeszcze łudził, że oboje z Carmen do tej pory go nie zauważyliśmy.

Świetne posunięcie, Artie!

Czasami naprawdę uwielbiam tę pracę. Wystarczy postawić rozmówcę w sytuacji silnie stresującej, a większość ludzi w tej roli robi coś bezgranicznie zabawnego.

Duża siostra wróciła po dziesięciu sekundach, z trudem łapiąc oddech. Ale minęło jeszcze kilka sekund od chwili, gdy stanęła w kuchennych drzwiach, nim zdołała dobyć z siebie głosu. Zacząłem się już rozglądać za wejściem do piwnicy, nim w końcu wykrzyknęła:

- Nigdzie nie mogę jej znaleźć. A w kabinie prysznicowej jest sucho.

Nie zdążyła jeszcze dokończyć, gdy Carmen wskoczyła do środka.

- Schody do piwnicy! - rzuciła groźnie. - Gdzie są? Zadzwoń mój telefon komórkowy.

Powinienem był ruszyć

za Reynoso, wyciągając równocześnie rewolwer z kabury, bo jak inaczej można było przeprowadzić akcję ratunkową w piwnicy, tymczasem ja sięgnąłem po aparat. Kto dzwonił? Wyciągnąłem aparat jak najdalej od siebie i uniosłem go do starzejących się oczu. Jaki numer był na wyświetlaczu?

Spojrzałem na Carmen i powiedziałem:

- To Gibbs.

Reynoso chyba natychmiast oszacowała możliwe konsekwencje tego faktu. Zatrzymała się gwałtownie i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Jednocześnie powoli opuściła broń, dopóki wylot lufy nie wskazał najbliższego sąsiedztwa moich stóp.

- Kto to jest Gibbs? - zapytała żona Artiego,

- Tak? - odezwałem się do mikrofonu.

- On tu jest, Sam! Sterling tu jest. Och, mój Boże! Mój Boże! Pomóż mi! - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Odsunąłem telefon od ucha, zakryłem dłonią mikrofon i przekazałem Carmen:

- Sterling jest w Vail.

- Kto to jest Sterling? - zapytała żona Artiego.

- Więc gdzie się podziała Holly? - zapytała Carmen. Jej duża siostra powtórzyła:

- Na pewno nie brała kąpeli. Kabina prysznicowa jest sucha.

Uniosłem aparat w samą porę, żeby wyłowić frenetyczny szept Gibbs:

- Pomóż mi!

65

Alan

W domu panowała cisza i spokój, gdy wróciłem po zakończeniu tej dwuaktowej farsy wystawionej w moim gabinecie.

Spotkanie z Jimem Zebidem było krótkie i upłynęło w stosunkowo serdecznej atmosferze. Sprawiał wrażenie zaskoczonego wiadomością, że kłopoty mające charakter przecieków poufnych informacji z mojego gabinetu dotknęły także moją współpracownicę. Następnie wyjaśniłem mu obszernie strukturę dźwiękoszczelnych ścianek działowych całego piętra, przez co musieliśmy odrzucić podejrzenia o ewentualnym podsłuchu. Przyznałem w końcu, że postanowiliśmy wspólnie przeprowadzić intensywne przesłuchanie tej pary, która zajmowała się sprzątaniami naszych pomieszczeń, ponieważ najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem stała się ewentualność uzyskania przez te osoby dostępu do naszych kart pacjentów oraz notatek z sesji terapeutycznych.

Obiecałem, że dam mu znać o wynikach naszego prywatnego śledztwa.

Podziękował mi i wyszedł. Mówiąc szczerze, nie zauważyłem żadnych oznak, aby prowadził wobec mnie brudną grę. Widocznie był dużo lepszym aktorem ode mnie.

Przebrałem Grace w piżamkę i powiedziałem Lauren, że może wrócić do przerwanej gry w bilard, bo z przyjemnością przeczytam małej bajkę przed snem. Skontrolowałem stopień naładowania akumulatorów mojego telefonu komórkowego, wsunąłem go do kieszeni domowych sztruksów i rozsiadłem się w fotelu przy łóżeczku Grace. Wybrała książkę ulubioną od pewnego czasu - a była na etapie fascynacji kartonowymi postaciami, które wybrzuszą się w jej kierunku po obróceniu każdej kartki - ulubione ostatnio cienie wydanie o wielobarwnych baśniowych potworach. Przeczytaliśmy tę książkę już dwa razy - to znaczy ja ją przeczytałem, bo ona tylko podziwiała stwory -i jej zachwyty ani trochę nie malały z upływem czasu.

Tym razem jednak przerwał nam dzwonek telefonu.

Pocałowałem Grace, ułożyłem ją w łóżeczku, włączyłem aparat, zawinałem go pospiesznie w jedną z maleńkich bawełnianych bluzeczek mojej córki, zaczerpnąłem głęboko powietrza i zniżywszy głos o oktawę, powiedziałem:

- Tak?
- Nie zna mnie pan, ale... proszę się nie rozłączać.
- Słucham?
- Jak tam pańska mo... moszna? Pańskie... jaja?
- Co to ma...? Kto mówi?
- Proszę posłuchać. Ta lekarka, która robiła panu wazek-tomię... Otóż ona...
- Co...? Skąd pan...?
- Niech pan nie przerywa, tylko słucha. Otóż ta lekarka spieprzyła zabieg. Przegięła panu nerw. Nie, nie przegięła, tylko przecięła. I może pan być... impotentem. Potrzebny panu dobry adwokat, żeby ją pozwać do sądu. Nie będzie łatwo jej to udowodnić.
- Kim pan jest?
- Przyjacielem. Może mi pan... zaufać. Połączenie zostało przerwane.

Ja także wyłączyłem aparat.

Próbując zapanować nad oszalałym łomotaniem serca, jeszcze raz pocałowałem Grace, powiedziałem, że ją kocham, i upewniłem się, że będzie miała w zasięgu wzroku swoje ulubione maskotki.

Zszedłem do jadalni, powiedziałem Lauren, że Grace jest ułożona do snu i czeka na buziaka od mamusi na dobranoc, po czym rozsiadłem się na kanapie w salonie.

Światła Boulder migotały w ciemności na przedłużeniu moich wyciągniętych nóg.

Przydreptała Emily, wymachując na boki kikutem ogona w parodii radosnego machania i głośno postukując o podłogę parasolową osłoną. Na chwilę zatrzymała się na wprost mnie, popatrzyła mi prosto w oczy, po czym ułożyła pysk na moich kolanach. Przed przyjściem do salonu najwyraźniej złożyła wizytę swojej misce z wodą, gdyż z długiej zmierzwionej brody kapą jej tyle wody, że można by umyć mały samochód.

Chciała w ten sposób dać mi do zrozumienia, że wszystko dobrze się skończy.

Jej psi instykt w podobnych sprawach był zazwyczaj niezawodny, ale tym razem po prostu nie umiałem sobie wyobrazić, jak to wszystko może się dobrze skończyć.

66

Sam

- Spokojnie, Gibbs. Spokojnie. Dzwoniłaś już na policję?
- Tak.
- Gdzie go widziałaś?
- Na parkingu, jak wysiadał z samochodu. To był na pewno on.
- Aha, wysiadał z samochodu. Był sam? - W ten sposób chciałem pośrednio przekazywać informacje na bieżąco Carmen, która stała metr dalej. Zauważyłem, jak wysoko uniosła brwi ze zdumienia, słysząc wieści o Sterlingu. - Rozumiem, nie jesteś pewna. Masz zapalone światło w pokoju czy zgaszone?
- Zapalone.
- To zgaś je. I wyłącz telewizor. Bądź cicho, jak najciszej.
- Boję się.
- Drzwi są zamknięte, prawda? Założyłaś łańcuch?
- Tak. Pomóż mi, Sam. Proszę.
- Słyszysz już dźwięk policyjnych syren?
- Nie. Nie!



Spojrzenie Carmen mówiło wyraźnie, że jest zmieszana, i to do tego stopnia, jakby nagle jej się zdawało, że słyszała, jak jej kot prosi ją o piwo.

- Cicho - nakazałem Gibbs. - Mów ciszej. Na którym piętrze masz pokój?

- Na... drugim. Na drugim piętrze.

- Aha, drugie piętro. Połóż się płasko na podłodze, dobra? Za łóżkiem, z dala od drzwi.

Możesz to zrobić? - W tej samej chwili skojarzyłem, że zadzwoniła ze swojej komórki, a nie z aparatu stacjonarnego, i natychmiast pożałowałem, że nie kazałem jej się schronić w łazience.

- Tak, jasne. Pomóż mi.

- Jeszcze nie słychać wozów policyjnych?

- Co? Nie. Nic nie słychać.

Gęsto zabudowana część Vail ma szerokość jednego kwartału, a długość najwyżej kilkunastu. To wszystko. Wóz policyjny na sygnale pokonywał taką odległość w ciągu kilkudziesięciu sekund. Gdzie się podziewał wezwany patrol?

- Leżysz na podłodze, prawda, Gibbs?

- Tak.

- Bardzo dobrze.

- Proszę, pomóż mi.

- Przecież jestem w Indianie, Gibbs.

- Tak, wiem. Ale pomóż mi.

- Ktoś tam będzie u ciebie w ciągu paru sekund. Usłyszałem stłumione łomotanie.

- On tu jest! - syknęła Gibbs. - On tu jest, Sam. Przyszedł po mnie. Och, nie...

- Ktoś tam jest? - powtórzyłem, pokazując Carmen na migi walenie pięścią w drzwi, żeby wiedziała, co się dzieje. - To może być policja. Nie ruszaj się. Jak zyskasz pewność, że to on, uciekaj do łazienki.

Ponownie rozległy się łomoty.

Tym razem Carmen pokazała mi na migi, jakby waliła pięścią w drzwi. A potem z niezrozumiałych przyczyn pokazała palcem na podłogę.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem rozgryźć tej zagadki, aż nagle mnie olśniło.

Jasna cholera.

Opuściłem aparat. Serce waliło mi tak, jakby nagle zostało wyposażone w turbosprężarkę.

Uniosłem z powrotem telefon i powiedziałem szybko:

- Gibbs? Bądź cicho, dopóki się nie upewnisz, kto to. Pod żadnym pozorem nie otwieraj drzwi. Bądź cicho.

Zakryłem kciukiem szczelinę mikrofonu, pochyliłem się w kierunku najstarszej siostry Holly i rozkazałem szeptem:

- Pozbierajcie dzieci i uciekajcie z domu. Biegiem! Wszyscy do frontowych drzwi. Ma pani komórkę?

Pokiwała głową.

- Proszę zadzwonić na policję i przekazać, że dwoje policjantów schodzi do piwnicy z bronią w rękach.

Spojrzałem na Artiego.

Gapił się na mnie z rozdziawioną gębą. Za to mózg miał zamknięty na głucho.

Nie mógł oderwać wzroku od rewolweru w moim ręku.

- Artie? - zwróciłem się do niego, starając się za wszelką cenę dalej mierzyć w podłogę. -

Połóż ten nóż na kuchennym blacie i ruszaj za szwagierką. No, już. Zmiataj stąd.

Niczym robot przystąpił do wykonywania mojego polecenia. Przytknąłem z powrotem telefon do ucha.

- Gibbs? Jesteś tam? - zapytałem. Odpowiedziała mi cisza. Cholera.

Alan

Może dostrzegła coś w moich oczach, a może zdecydowało coś zupełnie innego, w każdym razie Lauren nawet się nie skrzywiła, kiedy powiedziałem, że w Święto Dziękczynienia znowu muszę się z kimś zobaczyć w gabinecie. Jeszcze przez chwilę muskała palcami mój kark, potem pocałowała mnie delikatnie, w sposób, który najczęściej oznaczał zaproszenie, odsunęła się na parę centymetrów i powiedziała:

- Bądź ostrożny. Proszę.

Oba psy zostały przy jej nogach, gdy ruszyłem do wyjścia.

Rzeczywiście musiałem coś zabrać z gabinetu, zaparkowałem więc samochód przed budynkiem, a później ruszyłem pieszo w kierunku Pearl Street. Nie poszedłem zwykłą drogą, czyli jeszcze kilkaset metrów dalej prosto na północny wschód, w kierunku Pasażu Śródmiejskiego, ale skręciłem od razu na zachód, w stronę tej starszej i bardziej sennej części Pearl Street, która biegła równoległe do ulicy Dziewiętej od strony gór. Wiatr tego wieczoru wiał od granicy Wyoming, toteż postawiłem kołnierz kurtki i głęboko wbilem ręce w kieszenie, żeby powstrzymać nasilające się dreszcze.

Szedłem powoli, starając się znaleźć w myślach powód, dla którego nie powinienem robić tego, co zamierzałem. Jeżeli w ogóle istniał taki powód, to nawet idąc dwa razy wolniej, też nie potrafiłbym go sobie uświadomić.

Moim celem była gromadka klockowatych domków jednorodzinnych po północnej stronie ulicy, zaprojektowanych chyba specjalnie dla kontrastu z szeregiem domów wiktoriańskich stojących po przeciwnej stronie. Wszystkie były podobnie ozdobione niewiele się różniącymi listwami wykończeniowymi, niegdyś pomalowanymi na różne kolory, teraz o tym samym szaroburym odcieniu starego wiklinowego koszyka wielkanocnego. Mniej więcej w co drugim ludzie siedzieli przy świątecznym stole, okna były jasno oświetlone, a ich blask wylewał się aż na ulicę. Po numeracji budynków szybko się zorientowałem, że ten, którego szukam, będzie stał w pierwszym rzędzie, bliżej zachodniego końca osiedla.

W nim także świeciło się światło.

Każdego tygodnia, kiedy Lauren wbija sobie w udo długą igłę strzykawki pełnej interferonu, żeby uchronić się przed zdradliwymi działaniami własnego układu immunologicznego, to robi to szybko, bez zastanowienia, tłumacząc: „Każda chwila zwłoki utrudnia podjęcie decyzji. Dlatego rzeczy drastyczne należy robić bez zwłoki”.

Nie wahałem się więc ani na moment przed drzwiami. Nie chciałem niepotrzebnie utrudniać sobie zadania, które i tak nie było łatwe. Wyjąłem lewą rękę z kieszeni kurtki, wyprostowałem palec i nacisnąłem dzwonek.

Podszedł do drzwi szybko, już po paru sekundach. Dostrzegłem jego cień, który przesłonił rozświetloną plamkę wizjera. Ale nie otworzył ich już tak szybko. Stał za nimi i patrzył na mnie przez niewielką soczewkę wpuszczoną w płytę drzwi.

Spojrzałem na zegarek i zacząłem odmierzać czas oczekiwania. W innych okolicznościach, mając do czynienia z kim innym, pewnie wybrałbym odmienną strategię, zaczął raz za razem naciskać dzwonek, może nawet zawołał: „Otwieraj! Słyszysz?!”.

Ale z nim nic by to nie dało. Dlatego cofnąłem się tylko o krok, żeby mnie lepiej widział. Od czasu do czasu wyjmowałem ręce z kieszeni, unosiłem je ku górze i obracałem się na pięcie, żeby zyskał pewność, że nie chowam niczego za plecami.

Minęło w ten sposób sześć minut i dziesięć sekund, nim zdołał przewalczyć niewyobrażalne dla mnie napięcie i w końcu otworzył drzwi. Ale podjąwszy decyzję, nie uchylił ich powoli, na kilka centymetrów, tylko od razu rozwarł na oścież, jakby to on zamierzał mnie czymś zaskoczyć.

Jednakże tylko trochę zaskoczył mnie jego wygląd. Miał na sobie gruby bawełniany dres, a pod spodem elastyczny nylonowy kostium do joggingu, do tego ciemne okulary oraz

szmacianą przepaskę zasłaniającą usta i brodę, jakby się bawił w Jesse'a Jamesa przygotowanego do skoku na bank.

- Witaj, Craig - powiedziałem. - Wydaje mi się, że mam coś, co należy do ciebie. Możemy porozmawiać?

- Skoro już pan tu jest - odparł. - Skoro już...

Mie zaprosił mnie do środka, co wcale mnie nie zdziwiło. Usiadłem więc na schodkach przed drzwiami jego domu i zacząłem mówić. Przez cały czas stał jakiś metr ode mnie, zwrócony tyłem do wejścia. Odnosił się do mnie z dużo większą nieufnością niż podczas sesji terapeutycznych, ale spodziewałem się tego. Jego ostatnia wizyta, brutalnie przerwana przez Sharon Lewis, przez co w ogóle nie doszło do naszego spotkania, z pewnością odcisnęła znaczące piętno w świadomości kogoś takiego jak Craig, zwłaszcza w dziedzinie zaufania do swojego psycho-terapeuty.

Już po paru minutach siedzenia na schodkach przed drzwiami jego domu stało się dla mnie jasne, co należy zrobić w tej sytuacji, ale minął jeszcze co najmniej kwadrans, nim wymyśliłem, jak to zrobić. Kiedy wyjaśniłem Craigowi mój sposób rozumowania, tak ochoczo przystał na mój plan, jakby sam doszedł do podobnych wniosków, zanim się u niego zjawiłem. Po cichu liczyłem na to, że się zgodzi, ale byłem również gotów sięgnąć po najbardziej drastyczne metody działania.

Jego rodzice mieszkali w luksusowej rezydencji, którą wybudowali sobie niedawno kilkaset metrów dalej, przy Third Street. Zdobyli sobie moje uznanie tym, że oboje zjawili się pod domem syna już kilka minut po tym, jak telefonicznie uprzedziłem ich o konieczności podjęcia działań.

Craig wołał jednak pojechać do szpitala psychiatrycznego karetką, a nie samochodem rodziców. Mimo że nie rozumiałem powodów tej decyzji, postanowiłem ją uszanować. A i jego rodzice, co prawda z ociąganiem, pogodzili się ze zdaniem syna. Kiedy zadzwoniłem po karetkę, poprosiłem też dyżurnego, żeby przysłał do nas patrol policyjny. Już od dłuższego czasu nie oddawałem żadnego z moich pacjentów na trzydobową obserwację w zamkniętym ośrodku psychiatrycznym, toteż musiałem skorzystać z pomocy policjantów w załatwieniu wszelkich formalności zgodnie z przepisami. Pomijając to, że Craig dobrowolnie zgodził się na pobyt w szpitalu, wołałem się także zabezpieczyć na wypadek, gdyby nagle zmienił zdanie i próbował uciekać, zanim odzyska spokój wskutek działania odpowiednich leków i znalezienia się w bezpiecznym nadzorowanym otoczeniu.

Nie pojechałem z rodziną Adamsonów do szpitala. Gdy tylko ambulans odjechał, znowu postawiłem kołnierz kurtki, wsadziłem ręce do kieszeni i ruszyłem energicznym krokiem w drogę powrotną do swego gabinetu. Musiałem jeszcze wykonać parę telefonów związanych z przekazaniem Craiga pod fachową opiekę i podyktować dyżurującym pielęgniarce moje wstępne zalecenia.

Przez te trzy następne dni miałem się bowiem widywać z Craigiem w szpitalu. I chyba wiedziałem już, od czego zacząć na nowo jego psychoterapię po zakończeniu obserwacji. Craig od razu się przyznał, że to on dzwonił do mnie w sprawie sfinansowanego przez Adrienne błędu w trakcie zabiegu wazektomii. Zaprzeczył jednak, jakoby urządzenie podsłuchowe ukryte w moim gabinecie należało do niego.

To mnie bardzo zmartwiło. Od tego właśnie trzeba było zacząć rozmowy z nim.

68

Sam

Bez trudu mogliśmy stracić z Carmen mnóstwo bezcennych sekund na wzajemne wymówki i wytykanie sobie głupoty, ale bez słowa doszliśmy wspólnie do wniosku, że nie jest to warte zachodu, bo wynik i tak pozostanie nierozstrzygnięty.

O ile dom Holly Malone był niezłym przykładem architektonicznego smaku i elegancji, przynajmniej w swojej stylistyce, o tyle żadne z tych przymiotów nie sięgały poniżej poziomu podłogi. Piwnicę tworzył szereg niskich i mrocznych pomieszczeń przypominający labirynt. W powietrzu smród mokrego betonu

i stęchlizny krzyżował się z zapachem kwiatowego odświeżacza. Odniosłem nawet wrażenie, że to ten sam produkt, który Sherry tak lubiła ostentacyjnie rozpylać w powietrzu po moim wyjściu z łazienki.

Carmen ruszyła przodem, ja tuż za nią. Żaden stopień schodów nie skrzypnął pod naszym ciężarem, zesłaliśmy na sam dół w całkowitej ciszy, co moim zdaniem było dowodem imponującej solidności konstrukcji.

Pomieszczenia ciągnęły się po obu stronach miniaturowej platformy u podnóża schodów.

Zatrzymaliśmy się na niej, lekko

skonsternowani, stykając się biodrami. Nadal miałem telefon przy uchu. Rzuciłem szeptem do mikrofonu:

- Gibbs?

Ale nie odpowiedziała. Potrząśnięciem głowy dałem znać Carmen. Przytaknęła, po czym machnęła głową na lewo, wskazując, że zaczniemy od tamtej strony.

W dalszym ciągu szła pierwsza.

W piwnicy słychać było tylko te odgłosy, których się spodziewałem. Szmer pieca centralnego ogrzewania, bulgot wody w rurach, ciche trzaski drewnianej konstrukcji budynku. Łomotanie umilkło na dobre. Nad głowami słyszeliśmy jeszcze przez jakiś czas tupot dzieci i ich rodziców ewakuujących się z domu, lecz i on wkrótce ucichł.

W pierwszym pomieszczeniu po lewej stał piec centralnego ogrzewania, a w alkowie pod szybem niewielkiego okienka znajdował się domowy warsztat. Z ciemności moje słabe oczy wyławiały ledwie zarysy sprzętów, nie byłem w stanie dostrzec jakichkolwiek szczegółów. Posuwając się za Carmen do drzwi kolejnego pomieszczenia tego ciasnego labiryntu niechcący kopnąłem coś leżącego na podłodze. Reynoso natychmiast się zatrzymała i odwróciła.

Kucnąłem i zacząłem na oślep macać po gołym betonie.

Po chwili natrafiłem na damski but. Drewniak. No, może niezupełnie drewniak, bo Sherry jakoś inaczej nazywała takie ciężkie obuwie na koturnie, ale nie mogłem sobie teraz przypomnieć tej nazwy. Dlaczego? Bo naprawdę mało mnie interesowała.

Czy Holly podczas naszej porannej rozmowy w kuchni miała na nogach takie drewniaki?

Powinienem był je zapamiętać, ale wszelkie wspomnienia z etapu szykowania przez nią pieczystego z indyka, jakie gorączkowo przywoływałem z pamięci, nie sięgały aż tak nisko, do podłogi.

Carmen pochyliła się w moją stronę, ostrożnie musnęła but palcami, a rozpoznawszy, co to jest, wzięła go ode mnie i odłożyła na podłogę pod ścianą. Kiedy się prostowała, znów pochyliła się nad moim uchem, aż poczułem ciepło jej oddechu na policzku, i szepnęła:

- Idziemy dalej.

Następne pomieszczenie, bardzo małe, było zastawione różnymi gratami. Holly najwyraźniej traktowała je jak tymczasowy magazyn staroci. Po płataninie kształtów i zarysów pospiesznie oceniłem, że znosiła tu te sprzęty, z którymi nie wiedziała co zrobić. W końcu magazynowanie rzeczy to jedno, a zawalanie rupieciami części piwnicy to drugie. Różnica jest kolosalna. Sherry przez całe życie magazynowała rzeczy. Ja je pospiesznie upychałem, gdzie popadnie.

Oczy Carmen musiały się lepiej dostosować do panujących ciemności, gdyż odnalazła wąskie przejście między gratami i w ciągu paru sekund przeprowadziła nas do kolejnego pomieszczenia.

Była to łazienka. Przez małe okienko na końcu szybu wpadało wystarczająco dużo światła, by uzmysłwić sobie, że nazwanie tego pomieszczenia łazienką to zdecydowanie przesada. Pod stropem ciasnej betonowej nory ciągnęły się rury, a kilka pozostałych przy życiu łazienkowych urządzeń idealnie pasowało do niszy między rzeczami współczesnymi i antykami. Mimo zalegającego wszędzie półmroku, bez trudu dostrzegłem liczne zacieki rdzy na fajansie zarówno umywalki, jak i sedesu.

Carmen wyciągnęła rękę do tyłu, żeby zatrzymać mnie na miejscu. Tym razem jej palce spoczęły na moim brzuchu tuż poniżej pasa.

W jednej chwili stanąłem jak wryty.

Za otwartymi drzwiami, przez które zaglądała do środka, dostrzegłem wyraźnie biały prostopadłościan emaliowanego domowego urządzenia.

Pralka automatyczna. Ewentualnie elektryczna suszarka.

I to tyle, przemknęło mi przez myśl. To koniec.

Wróciłem niemalże po swoich śladach na miniaturową platformę u podnóża schodów, od której zaczęliśmy z Carmen oględziny piwnicy. Pierwsze pomieszczenie po przeciwnej stronie było chyba największe w tym labiryncie i mieściło sprzęty należące zapewne do innej osoby. Pałca się nocna lampka oświetlała widmowym blaskiem najniższe partie zgromadzonych tu mebli. To mi jednak wystarczyło, by dojść do wniosku, że patrzę na rzeczy należące chyba do babki Holly, gdyż wszystkie - kanapa, kredens, krzesła, stół - miały ciężkie rzeźbione nogi z ubiegłej epoki.

W czterech długich susach przemierzyłem tę część i stanąłem pod drzwiami ostatniego pomieszczenia, które pierwotnie wziąłem za pralnię. Carmen została pod najdalszymi zamkniętymi drzwiami na przeciwległym końcu piwnicy.

Moje zadanie było proste. Miałem zatrzymać każdego, kto by chciał wyjść z tych drzwi do czasu odebrania sygnału Carmen. Tyle przynajmniej zdążyliśmy ustalić.

Dalej mogliśmy już tylko improwizować. Oczywiście robiąc wszystko, żeby nie postrzelić się wzajemnie w trakcie tej akcji.

Połączenie telefoniczne z Gibbs zostało przerwane. Wyłączyłem komórkę i wsunąłem ją do kieszeni spodni.

Zacisnąłem palce na kolbie rewolweru.

Zastanawiałem się jeszcze, jak będzie wyglądał ów sygnał do działania, kiedy z drugiego końca piwnicy doleciał mnie gromki okrzyk Carmen:

- Stać! Policja!

Uznałem, że to jest właśnie ten znak.

Gwałtownie otworzyłem drzwi i wskoczyłem do pralni. Okazało się jednak, że nie było już powodów do pośpiechu.

69

Alan

I tym razem wszystko rozegrało się na werandzie.

Razem z Diane ustawiliśmy obok wejścia do naszego budynku starą dębową ławkę na biegunach. I teraz już z odległości kilkudziesięciu metrów zauważyłem, że lekko się kołysze w przód i w tył. Pośrodku ławki ktoś siedział.

W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to bezdomny. Wyciągnąłem z portfela pięciodolarówkę, ale przypomniawszy sobie, co to za dzień, zamieniłem ją szybko na dwudziestkę i zwinąłem banknot w dłoń. Wyobraziłem sobie, że z okazji Święta Dziękczynienia zafunduję biedakowi miejsce przy stoliku w przytulnej restauracji, gdzie za te pieniądze dostanie porcję pieczonego faszerowanego indyka.

Ławka stała w głębokim cieniu. Z końca podjazdu nie potrafiłem rozpoznać ani wieku, ani płci niespodziewanego gościa.

Nie rozpoznałem też jego głosu, gdy odezwał się z daleka.

- Nie spodziewałem się ujrzeć tu pana dzisiejszego wieczoru. Powinien być pan w domu, z rodziną przy świątecznym stole. Sam bardzo bym chciał teraz świętować.

Zatrzymałem się w pół kroku.

- Proszę wybaczyć, ale kim pan jest? Czy my się znamy? Ławka przestała się kołysać i mężczyzna wstał. Nadal nie

widziałem jego twarzy, spostrzegłem jednak, że nie jest zbyt wysoki.

- Przyniosłem coś panu. Wyjaśnienie. - Pomachał jakimś kawałkiem papieru, zapewne kopertą. - Pomyślałem, że to może pomóc w ocaleniu kogoś. Zamierzałem wrzucić przez szczelinę na listy, ale gdy zobaczyłem pański samochód i dotknąłem maski, przekonałem się, że jest jeszcze ciepła. Uznałem więc, że jest spora szansa, iż niedługo pan tu wróci.

- Nadal nie wiem, kim pan jest - odparłem, nie ruszając się z miejsca. Stałem jak wmurowany pośrodku wąskiej alejki dojazdowej. Dziesięć metrów trawnika pokrytego złotobrazowymi źdźbłami oraz kępka rachitycznej trzmieliny dzieliły mnie od nieznanego na werandzie. Ruszył powoli do przodu, a z każdym krokiem granica części oświetlonej blaskiem latarni unosiła się centymetr po centymetrze niczym poziom wody w rzece podczas powodzi.

Kiedy z mroku wyłoniły się jego ramiona, a następnie twarz, jęknąłem:

- Och, mój Boże...

- Cześć - rzucił radośnie Sterling Storey. - Tydzień pełen niespodzianek, co nie?

Nie wiem, czemu właśnie w tej chwili pomyślałem sobie: Złap mnie.

70

W pierwszej chwili Holly nawet nie zauważyła kobiety trzymającej zakryty półmisek. Rejwach związany z przybyciem na świąteczną kolację jej najstarszej siostry z rodziną pochłonął ją bez reszty. Tymczasem ciemnowłosa nieznajoma o idealnie gładkiej cerze przeczekala cierpliwie długotrwały ceremoniał obejmowania się, ściskania i całowania, a kiedy wreszcie zostały tylko we dwie na werandzie, odezwała się:

- Holly?

- Tak.

- Pamiętasz swojego przyjaciela z kościoła? A raczej z bazyliki?

Holly się zawahała. Czyżby to oznaczało...?

- Prosił, żeby jeszcze wspomnieć o organach. A więc jednak.

- Och, tak, pamiętam.

- Jest niedaleko, za rogiem. Właśnie w takiej chwili chciałby się z tobą znowu zobaczyć.

- Mam gości... - bąknęła niepewnie.

- On wie o tym. Specjalnie chciałby się z tobą spotkać podczas ich obecności. W twoim domu. Uważa, że to będzie bardzo interesujące. A przede wszystkim zabawne.

Holly wzięła nieznajomą pod rękę i odciągnęła nieco dalej od drzwi.

- Kim pani jest? I czego pani chce? - syknęła, akcentując słowo „pani”.

- Chcę popatrzeć. Tylko na tym mi zależy.

- Popatrzeć?

- W Notre Dame miałam na sobie czerwoną garsonkę. Przypominasz sobie?

Pamiętała doskonale.

- Ale moja rodzina... co miałabym...

- Proszę ich usadowić w salonie do pamiątkowego zdjęcia. Wszystkich bez wyjątku. Wtedy on i ja wślizniemy się od tyłu i zejdziemy prosto do piwnicy. Dasz nam znak, gasząc na krótko światło w kuchni.

- I co... dalej?

- Przed kolacją przeprosisz swoich gości i wytłumaczysz, że chciałabyś wziąć szybki prysznic. On będzie czekał na dole. Ja też.

Dopiero w tym momencie Holly ogarnęła gorąca fala pożądania. Odczuła ją niczym gwałtowny podmuch silnego wiatru albo uderzenie wysokiej fali. Zalała ją bez reszty, pokryła i zatopiała w sobie.

- Weź to - dodała nieznajoma, podając jej półmisek.

- Co to jest?

- Trochę muzyki, trochę wytycznych. Nałóżysz słuchawki i włączysz odtwarzanie, jak tylko zejdiesz do piwnicy. Muszę już iść. Boję się, by ktoś nas nie zobaczył.

Holly ledwie mogła zaczerpnąć powietrza przez gęstniejącą wokół niej lepką mgłę niecierpliwego oczekiwania. Odprowadziła wzrokiem kobietę, która ruszyła chodnikiem wzdłuż ulicy, po czym zerknęła w kierunku stojącego za skrzyżowaniem dżipa cherokee z numerami rejestracyjnymi z Kolorado.

Zawróciła i weszła do środka. Czy odczuwała strach?

Niespecjalnie.

Głównie pożądanie.

Zajrzała pod przykrycie półmiska, na którym leżał walkman.

Serce waliło jej jak młotem.

Po raz kolejny miała przeżyć niezwykłą przygodę. I po raz kolejny przekroczyć zakazaną wcześniej granicę Brada Pitta.

Pozowanie do rodzinnego zdjęcia zakończyło się fiaskiem. Holly zgasiła światło w kuchni, zebrawszy całą liczną gromadkę w salonie. Zebranie dziesiątki dzieci w jednym miejscu przypominało próbę wymuszenia na roju much, żeby latał w ścisłej formacji.

Po zrobieniu zdjęcia wyciągnęła indyka z piekarnika, poprosiła najstarszą siostrę, by przypilnowała, aż wystygnie i wymówiła się potrzebą krótkiej kąpieli.

Ale zamiast pójść do łazienki, przekradła się do drzwi piwnicy i ruszyła na dół. Gdzieś w połowie długości schodów przystanęła, żeby włożyć słuchawki i uruchomić odtwarzanie kasety znajdującej się w walkmanie.

Ale nagrany był głos kobiety, nie jego. A w tle rozległa się przyciszona muzyka. Chorał gregoriański.

Ładny.

- Jesteś już na dole schodów? Widzisz taśmę samoprzylepną? Oderwij długi kawałek i zaklej sobie nim usta... Dobrze. Teraz oderwij drugi kawałek. Czekaemy w pralni. Zanim do nas dołączysz, tym drugim kawałkiem skrępuj sobie ręce w przegubach. To nie takie łatwe, ale sama próbowałam i udało mi się to zrobić, więc tobie na pewno też się uda. - Dłuższa przerwa. - Już wiesz, czego on chce. A czego ty chcesz?

Przez kilka sekund w słuchawkach panowała całkowita cisza.

- Jesteś gotowa, Holly? Kiedy będziesz gotowa, otwórz drzwi pralni i śmiało wejdź do środka.

71

Sam

Spodziewałem się czegoś gorszego.

Wyobrażałem sobie morza krwi. I walającą się pod nogami odrąbaną głowę gospodyni - bo z niewiadomych powodów nie umiałem sobie wytłumaczyć, że mogłaby zginąć w jakikolwiek inny sposób. Myliłem się jednak. Holly miała ręce i nogi skrępowane szeroką taśmą samoprzylepną, była nią też zakneblowana. Siedziała na palce automatycznej, a nie na suszarce, dziwnie wyprostowana i usztywniona, w pozie mającej bardzo mało wspólnego z

erotyką, a zwłaszcza ze schadzkami w pralniach, których lubieżne szczegóły podsuwała mi wyobraźnia.

Na pasku sukienki miała walkmana, a na głowie słuchawki.

A Gibbs? Siedziała naprzeciwko niej w ciasnej niszy, ledwie mieściło się w niej pomarańczowe plastikowe krzeselko, które na wyprzedaży garażowej można by wystawić za dolara, a i tak nie znalazłby się na nie chętny. Siedziała rozluźniona, z lewą nogą założoną na prawej. W rękę trzymała duży kuchenny nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem, solidny, wielofunkcyjny, który zapewne przywiozła z domu. Telefon komórkowy leżał na jej kolanach.

Wyglądała nie mniej wspaniale niż wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Tyle że tym razem to nie miało już dla mnie żadnego znaczenia. Najmniejszego.

Bo jakżeby mogło mieć.

- Pozwól mi odejść, Sam - powiedziała, jakbyśmy byli tu tylko we dwoje.

Tymczasem miała wymierzone w siebie dwa rewolwery, mój i Carmen. A mimo to zdołała się odezwać zupełnie spokojnym, wyważonym głosem, jakby prosiła mnie o kupienie jej piwa podczas pikniku.

- Rzuć nóż, Gibbs - powiedziałem. Chciałbym napisać, że stanowczo rozkazałem. Albo wykrzyknąłem. Ale było inaczej. Ledwie zdołałem to z siebie wydusić.

- Jeśli mnie nie puścisz, Sam, zabiję się. Mówię poważnie. Wbiję sobie ten nóż w serce.

Co miałem w głowie w takiej chwili? Dziwnym sposobem moje myśli powędrowały w stronę szaleńców, którzy niszczą dzieła sztuki w muzeach, jak choćby ten facet, który z młotkiem rzucił się na Pietę Michała Anioła. Pomyślałem: Nie, Gibbs! Nie możesz tego zrobić! Zdałem sobie jednak sprawę, że ten bezgłośny protest wcale nie dotyczył Gibbs jako żywej osoby, lecz jako dzieła sztuki.

Szaleństwo.

- Rzuć nóż, Gibbs - powtórzyłem.

- Daj spokój, Sam - odparła śpiewnie. - Przecież... W tej chwili do rozmowy włączyła się Carmen.

- Jezus, Maria...

Błyskawicznie zrobiła krok do przodu i szybkim ruchem wytrąciła Gibbs nóż z ręki. Ostrze aż zadźwięczało, gdy odbił się od ściany i potoczył po podłodze.

- Ona miałaby się zabić? Ta królowna? Gówna prawda! Nie użyłaby nawet tuszu do rzęs, gdyby miała od tego ucierpieć.

Pchnąłem nogą nóż jeszcze dalej w kąt. Zaczynało mi być strasznie głupio.

- Zatem będzie musiała żyć - syknęła Gibbs. Założyłem, że chodzi jej o Holly, wolałem się jednak nie

odzywać. Uznałem, że lepiej będzie zostawić sprawy w rękach Carmen.

Ta zaś natychmiast przystąpiła do procedury zatrzymania, zaczęła skuwać Gibbs kajdankami, recytując regulaminową formułkę o przysługujących jej prawach tonem znudzonej pry-muski recytującej tekst przysięgi przed klasą, której cała ta uroczystość ani trochę nie interesuje.

Zająłem się więc odklejaniami taśmy samoprzylepnej kneblującej usta Holly. Nie było to wcale takie proste.

Kiedy Carmen w końcu umilkła, zapytałem:

- Dlaczego, Gibbs? Czemu będzie musiała żyć? - Tylko w drobnej części interesowała mnie jej odpowiedź, gdyż przede wszystkim czułem narastające zakłopotanie z powodu tej hecy z kuchennym nożem

- Bo zjawileś się tu jako pierwszy. Tylko dlatego. Gdybym zadzwoniła do ciebie pięć minut wcześniej, rzuciłbyś się z powrotem do Kolorado, żeby mnie ratować. Dobrze wiesz, że tak byś postąpił, Sam. Ale ty wcześniej wkroczyłeś do tego domu i zszedłeś do piwnicy... Złe wyliczenie czasu. To ono mnie zgubiło. - Zamilkła na chwilę. - Ona znów chciała mieć Ster-



linga. Wiedziałeś o tym? Wszystkie tego chciały. Wbrew zasadom. Bo umowa zawsze była taka sama. Tylko jeden raz.

Nagle zrozumiałem. Odwróciłem się do niej.

- Ty też byłeś tamtego dnia w bazylice? W Notre Dame? Też weszłaś na chór?

Carmen zamarła.

Zerknąłem na Holly. Powyżej nieodklejonej jeszcze taśmy samoprzylepnej jej oczy sprawiały wrażenie wielkich jak spodki. Gibbs się uśmiechnęła. Szeroko.

- Oczywiście że byłam. - Popatrzyła na Holly. - Ona z pewnością pamięta czerwoną garsonkę od Chanela. Musi mnie pamiętać. Ale zamarzyło jej się, żeby on do niej wrócił.

Wysłała do niego maila. A tego nie było w umowie. Musiała ją dobrze znać. Zgodziła się na wszystkie warunki.

Teraz rozumiałem już wszystko. Od początku do końca.

- W umowie?

- Tak, w umowie. Zadzwoił mój telefon.

Spojrzałem na wyświetlacz. Dzwonił Alan.

- Tak? - zagadnąłem.

- Nie zgadniesz - zaczął z entuzjazmem typowym dla świeżo upieczonego gliniarza dochodzeniówki. - Jestem w swoim gabinecie ze Sterlingiem Storeyem. A już na pewno nie uwierzysz, że jego zdaniem to Gibbs zamordowała te wszystkie kobiety.

- Zaczekaj chwilę. - Odwróciłem się do Gibbs. - Jeśli chcesz wiedzieć, twój mąż nie utonął w Ochlockonee. Wrócił do Boulder i właśnie wydaje cię twojemu psychoterapeucie. Czy to brzmi romantycznie?

Ponad naszymi głowami rozległ się donośny łomot ciężkich buciorów. Przybyli miejscowi stróże prawa, by przejąć kontrolę nad sytuacją.

Pytanie, która jurysdykcja jako pierwsza powinna postawić zarzuty Gibbs, przez jakiś czas zaprzętało głowy wielu prawników z różnych stron kraju. Byłem przekonany tylko o tym, że Boulder nie ma większych szans z taką konkurencją, ale na żadne inne rozwiązanie nie postawiłbym nawet dolara.

Przez kilka godzin musiałem odpowiadać na pytania śledczych z policji w South Bend, którzy jakby nagle dostali amnezji co do swojej wcześniejszej decyzji, aby nie brać HoUy Malone pod specjalną ochronę, a następnie zacząłem się szykować do wyjazdu z Indiany.

Najpierw dotrzymałem obietnicy, zadzwoniłem do Lucy i opowiedziałem jej o tym, co się tu wydarzyło. Była zaskoczona obrotem spraw. Ona także miała dla mnie pewne nowiny.

Federalnym udało się w końcu wpaść na trop Briana Milesa. Znaleźli go w luksusowym apartamencie hotelu na Bahamach, gdzie po prostu wybrał się na urlop.

Nie było też nic dziwnego w tym, że Carmen wiedziała dużo więcej ode mnie na temat rzeczywistego przebiegu wypadków.

Kiedy spotkałem ją po zakończeniu składania zeznań, powiedziała, że to właśnie Gibbs w przebraniu dostarczyła Holly półmisek z walkmanem i taśmą samoprzylepną podczas krótkiego spotkania na werandzie. Jak to tłumaczyła? Obiecała gospodyni, że spotka się ze Sterlingiem, który w piwnicy miał jej dostarczyć zmysłowych przeżyć, podczas gdy piętro wyżej będzie stygł wyjęty z pieca indyk. Gibbs poinstruowała Holly, by włożyła słuchawki i uruchomiła walkmana, po czym wykonała kolejne polecenia nagrane na kasecie, czyli przede wszystkim zakleiła sobie usta i skrepiła rękę taśmą samoprzylepną.

Zapowiedziałem Carmen, że wyjeżdżam z miasta, i zaproponowałem podwiezienie na lotnisko O'Hare w Chicago. Odmówiła. Chciała zostać w South Bend do czasu wyjaśnienia wszelkich luk i nieścisłości. Co więcej? Nie powiedziała tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że chciała odszukać tego detektywa z South Bend, który zwracał się do niej per „madam” i z jego pomocą uwolnić się od stresu towarzyszącego uwalnianiu Holly. Ponadto zamierzała

wspomóc wysiłki władz okręgu Orange w odkrywaniu przeszłości Gibbs Storey. Na koniec wymogła na mnie obietnicę, że kiedyś opowiem jej, co się naprawdę wydarzyło pomiędzy Gibbs a Sterlingiem w bazylice Najświętszego Serca w Notre Dame. Pożegnaliśmy się na ulicy przed komendą policji w South Bend, i to z takim wzajemnym wzruszeniem, jakiego nie doświadczałem chyba od czasu ukończenia szkoły średniej. Przyznam otwarcie, iż nie mogłem się opędzić od myśli, że gdybym został trochę dłużej w South Bend, na następną noc w „Days Inn” wynajęlibyśmy jeden pokój, a nie dwa. Był to dla mnie najważniejszy powód do tego, żeby zostać. Jednocześnie był to jeden z dwóch ważnych powodów, by natychmiast wyjechać. Jaki był ten drugi?

Simon.

Zatankowałem dzipa do pełna i ruszyłem do Minnesoty.

Większą część następnego ranka przespałem w norze Angusa, za to wspaniałe piątkowe popołudnie spędziliśmy z Simonem na sporze, czy kanapki z pieczonym indykiem i sosem żurawinowym podczas transmisji meczu futbolowego dzień po Święcie Dziękczynienia dadzą się w ogóle porównać ze świeżo wyjętym z pieca nadziewanym indykiem i radością przegranej drużyny Lionsów w świąteczny wieczór.

Przegrałem w tej dyskusji, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Przeprowadziłem długą i szczerą rozmowę z Sherry, kiedy Simon poszedł do łóżka. W ciągu pięciu minut powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Potem serdecznie uściskałem Angusa, podziękowałem mu za propozycję dalszej gościny i wyruszyłem na południe autostradą międzystanową I-35. Na noc zatrzymałem się w motelu „Super 8” w Mason City w stanie Iowa.

Kilka spraw choć trochę udało mi się wyprostować.

73

Alan

Była to moja pierwsza w życiu podróż do Omaha. Biorąc pod uwagę, że wybrałem się tam w niedzielę kończącą długi weekend po Święcie Dziękczynienia i że z listy rezerwowej udało mi się dostać na pokład samolotu, musiałem uznać, że dopisało mi szczęście.

Taksówka dowiozła mnie do Sama leżącego sztywno na wznak w centrum medycznym Uniwersytetu Nebraski. Portorykańska pielęgniarka o imieniu Yashira była dla niego o wiele miłsza, niż na to zasługiwał. Odmówiła nawet próby szukania jego „zaginionych” kluczyków od samochodu, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto go odwiezie do Kolorado.

Tym kimś miałem być ja.

- Czuję się tak, jakbym miał drugi zawał. Może nawet gorzej.

- Tak mi mówiono.

Dzień wcześniej, mniej więcej w porze lunchu, Sam zaczął wydalać kamień żółciowy, którego istnienia nawet nie podejrzewał, toteż zajechał w pośpiechu pod izbę przyjęć szpitala akademickiego w Omaha, sądząc, że dostał drugiego zawału. Dwie godziny cierpienia na ostrym dyżurze wystarczyły, by kamień wyszedł, noc na obserwacji upewniła tutejszych lekarzy, że serce Sama pracuje stabilnie, a wreszcie mój przyjazd do Nebraski zmotywował Yashirę do wzmożenia wysiłków w poszukiwaniu zaginionych kluczyków od samochodu. Kiedy nadal usiłowałem znaleźć wyjazd z miasta, podsumowałem rzecz oczywistą.

- Kamienie nerkowe, kamienie żółciowe i zawał serca. Jesteś okazem zdrowia, przyjacielu.

- Na pewno stres się do tego przyczynił.

- Tak sądzisz?

- No i to, że jestem gruby. Choć zdaje mi się, że ostatnio zrzuciłem parę kilogramów. Nie widać?

Zanim odnalazłem wyjazd na zachodnie pasmo autostrady I-80, porozmawialiśmy jeszcze o jego krótkiej wizycie w Minnesocie dzień po Święcie Dziękczynienia. Odpowiedziałem też na wszystkie jego pytania o stan zdrowia Lauren oraz o długofalową skuteczność parasolowatej osłony na łapie Emily. Tylko saga o Gibbs i Sterlingu Storeyach była trochę bardziej skomplikowana. Zanim omówiliśmy tę sprawę, dojechaliśmy prawie do Lincoln. Historia Sterlinga w niczym nie zaskoczyła Sama. Zacząłem, rzecz jasna, od gwałtownej burzy w Georgii oraz twierdzenia Sterlinga, że po ześlizgnięciu się do nurtu został zniesiony co najmniej pięćset metrów, zanim zdołał wynurzyć głowę nad powierzchnię tamtej rzeki - Rzeki Ochlockonee - wtracił Sam. - Powiedz mi coś. Czy on naprawdę zaczął schodzić z tamtej skarpy, żeby pomóc kobiecie uwięzionej w minivanie?

- Twierdzi, że tak, ale kto wie, jak było naprawdę? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że przez ten tydzień odzyskał wiarę w Boga. W końcu to nadal ten sam facet, który jeżdżąc służbowo po całym kraju, na każdym kroku uprawiał pozamałżeński seks z kobietami o dziwnych upodobaniach.

- Nie tylko pozamałżeński. Do diabła, rzekłbym nawet, że ekstremalny.

- Aż tak? - Ogarnęła mnie ciekawość, postanowiłem jednak obyc się na razie bez zbędnych szczegółów. - W każdym razie jakiś staruszek w półciężarówce wyładowanej kurczakami podwiózł Sterlinga aż do Montgomery. Na szczęście miał przy sobie wystarczająco dużo gotówki, by wrócić do Kolorado z zamiarem rozmówienia się z Gibbs.

- Wiedział, że go podkablowała policji?

- Wtedy już tak. Niemalże powiedziała mu to wprost, kiedy był w Tallahassee. Utrzymuje, że Gibbs jest bardzo sprytna, dlatego naszyły go obawy, iż uczyniła wszystko, by skierować podejrzenia na niego. Wrócił do Boulder, żeby z nią porozmawiać, wyprostować wszystko, spróbować ją namówić, by się sama przyznała, zanim twój koledzy go przymkną. A kiedy jej nie znalazł,

przyszedł do mojego gabinetu, aby przedstawić swoją wersję wydarzeń, w nadziei, że jakoś na nią wpłynę i namówię do przyznania się. W piątek zamierzał spotkać się ze swoim adwokatem, oddać się w ręce policji i próbować dochodzić sprawiedliwości. W każdym razie taki miał plan. Ale sprawy się skomplikowały.

- Czy to znaczy, że on wiedział? - zapytał Sam. - Był świadom tego, co ona robi?

- Mówi, że nie wiedział. Prawdę mówiąc, poza Louise, tą stewardesą z Kalifornii, nie miał nawet pojęcia, że pozostałe... no, wiesz, próbowały się z nim umawiać... i przez to zginęły. Gdy któraś usiłowała się z nim skontaktować i umówić na kolejną randkę, Gibbs przechwytywała wiadomość. Zresztą podobno zawsze pełniła rolę łączniczki. Do niej należało nawiązywanie kontaktów.

- Poważnie?

- To ona ustalała wszelkie warunki spotkań. A sama się przyglądała. Podobno bardzo lubiła się przyglądać.

Sam westchnął ciężko, jakby próbował oczyścić płuca z jakichś toksycznych gazów.

- Tylko się przyglądała? Sama ci o tym mówiła?

- Nie mogę zdradzić, o czym ze mną rozmawiała podczas sesji. Mogę mówić jedynie o tym, czego się dowiedziałem od Sterlinga.

- Czegoś jeszcze nie rozumiem - mruknął. - Ciągnęli te swoje erotyczne zabawy przez tyle lat, więc dlaczego dopiero teraz ich partnerki zaczęły ginąć?

- Gdy przed paroma miesiącami sprowadzili się z powrotem do Boulder, Sterling doszedł do wniosku, że nie chce już dłużej być mężem Gibbs.

- Aha, dlatego postanowiła go załatwić. Wszelkie jej wysiłki wyeliminowania konkurencji poszły na marne.

- Otóż to. Uznała, że musi zrobić wszystko, aby go nie stracić na rzecz innej kobiety.

- A jaka miała być w tym twoja rola? - zaciekał się Sam. - Po co zgłosiła się do ciebie na kurację?

- Też się nad tym zastanawiałem. Z punktu widzenia swojej praktyki nie powinienem tego komentować. Ale z powodów kryminalnych... Wydaje mi się, że szukała kogoś, kto by jej pomógł odegrać rolę maltretowanej żony. I uznała, że ja będę do tego najlepszy. - Teraz ja westchnąłem. - Niestety, słusznie myślała. Poza tym chciała się chyba komuś zwierzyć, opowiedzieć o wszystkim, ale tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń policji. Zresztą spójrzmy prawdzie w oczy, wykorzystwała mnie również do tego, żeby cię wciągnął w tę sprawę.

- Szukała własnego dojścia do policji, a ja byłem gotów świadczyć jej przysługi. Bo przecież i mnie oszukała co do miejsca swego pobytu, prawda?

- Obu nas oszukała pod wieloma względami, Sam. Ja najwcześniej powinienem zdać sobie sprawę, co się święci, tymczasem byłem jak ślepiec. Wbiłem sobie do głowy, że to ona jest ofiarą nieudanego małżeństwa. Działąłem w zaślepieniu.

- Ja też - przyznał. - Gibbs okazała się prawdziwą mistrzynią w mydleniu oczu. A to głównie dlatego, że jest taka ładna. - Ze strony Sama było to już bardzo osobiste wyznanie. Czekałem, co jeszcze powie, ale szybko zmienił temat i zapytał: - Ciebie też oszukała co do miejsca swojego pobytu?

- Tak. Byłem przekonany, że jest w Vail.

- Mnie powtarzała to samo. Wiesz co? Wszystko przez te cholerne komórki. Przedtem nigdy by jej się nie udało tak wywieść nas w pole. Poleciała na Środkowy Zachód, podczas gdy sądziliśmy, że schroniła się w górskim kurorcie w Kolorado. Bo kiedyś numer telefonu rozmówcy był ściśle związany z jednym miejscem. Ale tamta epoka już się skończyła. Teraz numer nic nie znaczy.

Sam najwyraźniej potrzebował czyjś ramienia, żeby zapłakać nad utratą swojej społecznej niewinności. Przejechaliśmy ze dwa kilometry w ciszy, po czym opowiedziałem mu, jak wykorzystałem urządzenie podsłuchowe ukryte w moim gabinecie.

- Więc to ten prawnik założył u ciebie podsłuch? - zapytał retorycznie takim tonem, jakby od początku właśnie to podejrzewał.

- Owszem. Kiedy umieścił pluskwę w odpowiednim miejscu i dowiedział się z podsłuchu o tym moim pacjencie, naprawdę zniekanym wieloma zaburzeniami, namówił go do odwalania brudnej roboty, niemniej to on wszystko zorganizował i założył podsłuch. Chciał się zemścić na Lauren za coś, co wydarzyło się latem w sądzie. Wydawało mu się, że wpadł na genialny pomysł.

- Oddałeś go w ręce policji?

- Tak, pod opiekę Lucy. Była świetna. Muszę jeszcze polatać parę dziur w płotach moich pacjentów, ale...

- Nawet jeśli mi nie powiesz, który to adwokat, i tak dowiem się wszystkiego z gazet, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Będę zaskoczony? Zamyśliłem się na krótko.

- Raczej nie za bardzo.

- A ten drugi, ten pacjent z licznymi zaburzeniami... Co z nim?

Poprzedniego dnia odwiedziłem Craiga w szpitalu.

- Nie najlepiej z nim - odparłem.

- Przykro mi.

Zabrzmiało to szczerze. Przypomniałem sobie kelnerkę z Gold Hill, zgwałcone na skrzyni furgonetki, którą Sam przez całą drogę trzymał za rękę, gdy odwoziliśmy ją do pokoju wynajętego w akademiku. Możliwe, że on także o niej pomyślał.

Udało nam się przejechać całą Nebraskę, a to dosyć rozległy stan, i byliśmy już na odcinku autostrady międzystanowej I-76 prowadzącej wzdłuż rzeki Platte, między miastami Ogallala w Nebrasce i Julesburgiem w Kolorado, gdy rozmowa zeszła w końcu na Sherry.

- Chcesz porozmawiać o Sherry? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Nie za bardzo.

Tak przynajmniej wyglądała pierwsza odsłona.

Jakieś dwieście kilometrów dalej zjechałem wreszcie z I-76 w Hudson, żeby skręcić bardziej na zachód do Boulder. Przez cały ten odcinek mógłbym tłuc głową o dach auta z bezsilnej złości na jego upór, a i tak nie usłyszałbym niczego poza wyrazami radości z każdej robionej przeze mnie przerwy w podróży.

- Gdybyś się akurat nad tym zastanawiał - oznajmił wreszcie Sam - to ja po prostu nie wierzę, że rozmowy mogą w czymkolwiek pomóc.

Nad tym się nie zastanawiałem. Chciałem tylko usłyszeć jego zdanie w poruszanej kwestii.

- Poważnie?

- Sherry uważa, że omawianie różnych rzeczy może tylko wyjść na dobre. Dlatego gada o nich na okrągło. A ja? Jestem innego zdania. Słowa nie ulecą żadnym ran. Czas może tak, ale słowa nie.

Przyszło mi na myśl, że to zakamuflowana uwaga dotycząca mojego zawodu, lecz zamiast pchać się na ślepo w pułapkę, wolałem zaczekać i sprawdzić, dokąd zmierza.

Trochę to potrwało, jakieś trzydzieści kilometrów, dopóki nie minęliśmy skrzyżowania z autostradą I-25 w Dacono. Byliśmy coraz bliżej domu.

Wtedy powiedział:

- Między mną i Sherry wszystko skończone. Wyprowadzam się.

- Naprawdę? - Nawet bez większego trudu przyszło mi zachowanie obojętnego tonu, bez śladu zaskoczenia.

- Tak. Znalazła już sobie kogoś innego.

- Poważnie? - Tym razem zaskoczenie było pełne.

- Tak podejrzewałem. Domyślałem się, że ma romans. Facet przyszedł do sklepu, żeby kupić kwiaty dla swojej żony, i tak się poznali. Wykłada psychologię na uniwersytecie. Któregoś dnia śledziłem go w drodze do pracy, stąd wiem.

Z naciskiem wymienił profesję faceta, jakby chciał zmrozić atmosferę sugestią, że wszystkie jego problemy są jakoś po-

I |  
wiązane z psychologią. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie znam bliżej człowieka, który doprawił mu rogi. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie.

- Wiedziała, że się czegoś domyślasz? - zapytałem.

- Nie. I chyba tu był pies pogrzebany. Inaczej może by jej przeszło. I tak sądzę, że kiedyś oprzytomnieje. W końcu jej romans nie jest główną przyczyną rozpadu naszego małżeństwa.

- Więc co?

- Według niej? Jestem trudny we współżyciu. A według mnie, za często przymykałem oko. O wiele za często. Pewnie powiedziałyby to samo, że za dużo musiała znosić z mojej strony. Ale możesz mi wierzyć, że w ciągu ostatnich kilku lat bardzo dużo musiałem jej wybaczać. Naprawdę dużo.

Przypomniałem sobie tę napiętą atmosferę, jaka towarzyszyła jej wizytom w szpitalu.

- O czym ty właściwie mówisz? O przejawach jej krytycyzmu?

Minęło parę sekund, zanim odpowiedział.

- Na pewnym etapie krytycyzm przemienia się w coś zupełnie innego, dużo poważniejszego. Bardziej poniżającego i wyniszczającego. Znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko tej granicy.

- Czy masz na myśli... akty przemocy? Co takiego mogła ci zrobić Sherry?

- Przejdź do następnego punktu, Alan. Powiedziałem już wszystko, co zamierzałem powiedzieć.

Niekiedy przyjaźń wymaga dociekliwości, lecz kiedy indziej nakazuje zachować pełne szacunek milczenie. Cisnęły mi się na język setki pytań, ale nie zadałem żadnego.

Za to Sam odpowiedział na to, którego chyba nawet nie było na mojej liście.

- Ja też o mało nie nawiązałem romansu. W Święto Dziękczynienia.

Pospiesznie sprawdziłem katalog podejrzanych.

- Masz na myśli detektyw Reynoso?

- Okazało się, że mamy bardzo wiele wspólnego. Spojrzałem na niego. Nie byłem pewien, czy nie żartuje. Ale mówił poważnie.

- Więc co cię powstrzymało?

- To było jeszcze przed rozmową z Sherry. Za to teraz... jesteśmy już rozmówieni, więc kto wie? Do Kalifornii nie jest tak daleko. A ja lubię ciepłe morze i plażę.

Podejrzewałem, że Sam nie był jeszcze nigdy na plaży.

- I lubisz Carmen?

- Tak, jasne. Nie wiem tylko, jak to traktować. Kochałem Sherry. I co dobrego z tego wyszło?

Zahamowałem gwałtownie, żeby nie wjechać na wyladowaną sianem przyczepę ciągniętą przez upstrzoną miniową farbą antykorozyjną starą półciązarówkę.

- Przykro mi, Sam. Mówię o Sherry.

- Czuleś kiedykolwiek, że znów musisz zacząć grać tę samą muzykę, co w młodości? Kiedy to dopiero zaczynałeś się rozglądać za dziewczynami? Nie jestem pewien, czy pod tym względem poczyniłem jakieś postępy w ciągu minionych trzydziestu lat.

Jego słowa przywiodły mi na myśl Teri Reginelli oraz ;Dios mio, hay un hacha en mi cabezal Świetnie wiedziałem, że wszystkie Gibbs tego świata są zdolne unieruchomić mi nogi w ruchomych piaskach mojej adolescencji, chociaż desperacko chciałem wierzyć, że jestem wystarczająco dorosły, aby bez trudu się uwolnić. Na szczęście Sam przywołał mnie do rzeczywistości, nim zyskałem szansę wejścia głębiej w to stare grzęzawisko.

- Wiesz co? Między Sherry a mną wszystko układało się dobrze. I nagle któregoś dnia przestało. Od tamtej pory nie układało się chyba równie długo, jak wcześniej się układało.

- A co z Simonem?

- Wobec niego oboje na pewno postąpimy jak należy. Nie jesteśmy przecież idiotami.

- Jeśli chcesz ze mną skonsultować jakąkolwiek jego reakcję na wasz kryzys, wysłucham cię z przyjemnością.

- Dzięki. Jeśli telefon nie zadzwoni, to będę ja. Zaśmiałem się.

- Małżeństwo to dziwna sprawa. Weź choćby Gibbs i Ster-linga. Co chcieli osiągnąć przez te ciągle zmiany partnerów? A Holly Malone? Porządna dziewczyna z katolickiej szkoły w South Bend. A co wyprawiała z mężem? Co oni chcieli zyskać przez te swoje błazenady? Ty i Lauren sprawiacie wrażenie twardych jak skała, lecz wiem, że tak nie jest. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie perwersje seksualne rządzą wami.

Otworzyłem już usta, ale powstrzymał mnie, unosząc rękę, i dodał:

- Niech to zostanie między Bogiem a wami, Alan. Ja nie chce o niczym wiedzieć.

Samochód podskoczył gwałtownie na nierównym torowisku, gdy mijaliśmy przejazd kolejowy.

- Nikt ci nie mówił, że należy zwolnić przed takimi nierównościami? - burknął Sam.

Czy to miała być metafora? Z nim niczego nie można być pewnym.

- Na przyszłość będę pamiętał.

- Na pewno nie będziesz - odparł. - I na pewno nie pozostaniesz twardy jak skała.

- To wielkie wyzwanie, Sam. Dla mnie, dla ciebie, dla każdego.

- Miło mi, że chociaż pod tym względem się zgadzamy. Bo w gruncie rzeczy już nigdy więcej nie chcę rozmawiać na ten temat.

Powtórzyłem, że jest mi przykro z powodu rozstania z Sherry. Udał, że tego nie słyszał.

- Czytałeś gazety? - zagadnął. - Zidentyfikowali wreszcie tę kobietę, która swego czasu sparaliżowała lotnisko. Wychodzi na to, że jest z Boulder. Nie chciałbym teraz być na jej miejscu.

Dzięki pełni księżyca góry wspaniale odbijały srebrzysty poblask na tle ciemnego nieba.

Tylko trójkątne szczyty Flatironsów rozmazywały się we mgle. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Nauczyłem się wyczuwać Boulder o wiele wcześniej, niż można było je dostrzec.

#### PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Jane Davis, Sharon Stein, Stanowi Galanskiemu, Chu-ckowi Lepleyowi, Elyse Morgan, Ałowi Silvermanowi, Patricii i Jeffreyowi Limerickom oraz Nancy Hali.

Nieustające wyrazy wdzięczności należą się mojej redaktorce Kate Miciak oraz agentce Lynn Nesbit.

Rosę, Xan i mojej matce Sarze White Kellas - po kilkunastu powieściach sam już nie wiem, jak jeszcze mógłbym wam podziękować. Poza wami na nic już nie ma miejsca w moim sercu.